

Brutalny seryjny morderca.
Pościg na granicy życia i śmierci.
Żywiot o niszczycielskiej sile.

DOLORES REDONDO

ZANIM
PRZYJDZIE
POTOP

Przełożyła Barbara Bardadyn



DOLORES REDONDO

ZANIM PRZYJDZIE POTOP

Przełożyła z hiszpańskiego
Barbara Bardadyn



Dla Luisy Vareiro za dzielenie się z wszystkimi sąsiadami, czy tego chcieliśmy, czy nie, swoją pasją do zespołu Mocedades, a zwłaszcza do piosenki „Amor de hombre”. W wielu chwilach byłeś najzabawniejszą osobą w moim życiu. Dziękuję.

Mojemu przyjacielowi pisarzowi Domingowi Villarowi, który odszedł, kiedy kończyłam pisanie tej powieści.

*Ja też wierzę, że po drugiej stronie jest słońce
– musi być dla takich osób jak Ty.*

Dla Neme, Bego i Olatz – dobrze wiecie dlaczego.

Dla Eduarda, mojej miłości.

Nigdy nie doprowadzisz mnie do łez, chyba że przyjdzie Ci do głowy, żeby odejść przede mną.

„Historia to moja muza. Pisanie historii na nowo wedle własnych kryteriów jest moim zadaniem jako powieściopisarza. Zniekształcam, rewiduję, zmieniam i grzebię w historii, po czym składam ją ponownie niczym obraz w dużej skali”.

– James Ellroy w epilogu *Czarnej Dalii*

„To nie jest lekcja historii”.

– Benedict Cumberbatch w odpowiedzi na krytykę Sama Elliotta odnośnie do filmu *Psie pazury*

„Zniknięcie oznacza często utratę tożsamości albo utratę miejsca; niekiedy jest to utrata życia”.

– Andrew O’Hagan, *The Missing*

Kilka słów na temat powieści

W latach 1968–1969 morderca, którego prasa ochrzciła później mianem Biblijnego Johna, zabił w Glasgow trzy kobiety. Młode brunetki w wieku od dwudziestu pięciu do trzydziestu dwóch lat. Wszystkie poznał w dyskotecce Barrowland. Nigdy nie został zidentyfikowany i sprawa do dziś pozostaje niewyjaśniona. To było jedno z najbardziej ekstremalnych śledztw w kryminalnej historii Szkocji.

Wspomnienie Biblijnego Johna pozostało jednak na długo w pamięci zarówno szkockiego społeczeństwa, jak i policyjnych organów ścigania.

W 1996 roku Donald Simpson w swojej książce *Power in the Blood* stwierdził, że poznał mężczyznę, który wyznał mu, że jest Biblijnym Johnem. Napisał ponadto, że ten człowiek próbował go zabić i że ma dowody na to, iż zawsze działał on w Glasgow. Faktem jest, że w tym okresie doszło do zabójstw, które można by przypisać temu mordercy, kilku na zachodnim wybrzeżu i dwóch w Dundee – w 1979 i 1980 roku; we wszystkich tych przypadkach ofiary znaleziono nagie i uduszone, tak samo jak ofiary Biblijnego Johna. W tamtym czasie gazeta „Scotland on Sunday” podała, że policja ze Strathclyde ma nowe dowody w śledztwie przeciwko Biblijnemu Johnowi – w postaci próbki DNA z nasienia znalezionej na ciele trzeciej ofiary (zachowanej dzięki dbałości policjanta, który w latach sześćdziesiątych pobrał próbkę, mimo że w tamtych czasach analizy DNA były jeszcze niczym science fiction). Policja rozpoczęła operację porównywania pozyskanego materiału z DNA wszystkich brutalnych

morderców zarejestrowanych w systemie. Jeden z nich, John Irvine McInnes, popełnił samobójstwo w 1980 roku, więc w tym przypadku do porównania wykorzystano próbkę udostępnioną przez jednego z krewnych. Wynik dostarczył wystarczająco dużo danych, żeby ekshumować ciało. Nie uzyskano jednak pełnej zgodności (miejmy na uwadze, że w 1996 roku analizy DNA nie osiągnęły jeszcze tego poziomu precyzji, z jakim mamy do czynienia dziś). Ale już wtedy zrodziły się ogromne wątpliwości co do profilu tego przestępcy. Ówczesne gazety sugerowały, że Biblijny John mógł przestraszyć się śledztwa, lecz przy obecnej wiedzy kryminalistycznej wiemy, że było to bardzo mało prawdopodobne, tak samo jak to, że morderca przestał zabijać przez jedenaście lat przed swoim samobójstwem. Oprócz tego John Irvine McInnes wziął udział w pierwszym okazaniu przed siostrą Helen Puttock, jednej z ofiar. Kobieta go nie rozpoznała, mimo że znaczną część nocy spędziła razem z Helen i z mężczyzną, który potem zabił jej siostrę, a nawet przejechała razem z nimi część trasy do domu w tej samej taksówce. W 1996 roku kobieta powtórzyła to samo, co powiedziała za pierwszym razem: ten mężczyzna nie jest Biblijnym Johnem. Policja go wykluczyła.

Pod koniec pierwszej dekady XXI wieku zaczęto spekulować, że seryjny morderca i gwałcień Peter Tobin to właśnie Biblijny John. Ale po przeprowadzeniu odpowiednich analiz i badań osobowości policja wykluczyła także jego. W styczniu 2022 roku stacja BBC wyemitowała film dokumentalny zatytułowany *The Hunt for Bible John*. Obecnie sprawa Biblijnego Johna wciąż jest otwarta i dla nas on nadal żyje.

Latem 1983 roku miałam czternaście lat. Razem z wujostwem po raz pierwszy wybrałam się do Galicji – dla mnie było to lato muzyki. Jak często bywa w przypadku wspomnień, nie jestem w stanie, a poza tym nie chcę, podać dokładnych dat. Jakże ma znaczenie, czy to, co wywarło na mnie tak duży wpływ, wydarzyło się miesiąc wcześniej, czy miesiąc później? Albo czy Nik Kershaw wydał już wtedy swój album, czy nie? Albo czy ostatecznie *Wouldn't It Be Good* stało się dla mnie hymnem?

To był początek mojej nastoletniości, pierwsze lato bez rodziców, uświadomienie sobie zainteresowania, jakie wzbudzałam u chłopców... a do tego muzyka. Do tamtej pory mój kontakt z muzyką ograniczał się do tego, czego słuchali moi rodzice, do kolekcji kaset dziadka oraz repertuaru serwowanego podczas zabaw pod gołym niebem w Trincherpe. Tamtego lata ktoś mnie zapytał: jaką lubisz muzykę? Przez znaczną część wakacji zastanawiałam się nad odpowiedzią. Kiedy wsiadałam do pociągu, który miał mnie zawieźć na powrót do Kraju Basków, miałam w walizce parę płyt winylowych kupionych w sklepie Vázquez Lescaille w Pontevedrze za pieniądze, które dostałam od jednego z krewnych. Od tamtej pory muzyka stała się w moim życiu bardzo ważna.

Drugie, co zapamiętałam z tamtego sierpnia 1983 roku, to podróż powrotna pociągiem. Jechałam sama, ale byłam pod opieką znajomych wujostwa, którzy wybierali się do pracy w porcie w Santurce. Do Burgos wszystko wyglądało normalnie, ale gdy tylko wjechaliśmy do Kraju Basków, pociąg zaczął zwalniać, a niekiedy nawet całkiem się zatrzymywał. Ludzie tłoczyli się na korytarzach, żeby patrzeć przez okna. Ja zdobyłam dobre miejsce i zauważyłam coś uderzającego. W miarę jak zbliżaliśmy się do Bilbao, na koronach bardzo wysokich drzew nad brzegiem rzeki Nervión wisiało mnóstwo różnego typu rzeczy. Rzeczy, które wtedy wydały mi się dość absurdalne: prześcieradła, płaszcze, rękawiczki, buty, plastikowe beczki, torebki, rozmaite ubrania. Nie wiem czemu, ale w pamięci szczególnie utkwiała mi dziecięca piżamka. Być może dlatego, że moja siostra miała wtedy dopiero dwa i pół roku. Na torach pracowało mnóstwo robotników, pamiętam ich żółte kombinezony przeciwdeszczowe. Kiedy pociąg pokonywał wielki zakręt, mogłam zobaczyć, jak ci mężczyźni się uwijają, zabezpieczając workami z piaskiem miejsca, gdzie woda wypłukała część spoiwa, które utrzymywało tory na swoim miejscu. Z upływem czasu panorama stawała się coraz bardziej przygnębiająca. Ludzie szeptali coś o wielkiej powodzi, która – biorąc pod uwagę wysokość drzew, na których wisiały różne rzeczy – musiała być potężna. Niedługo przed wjazdem do miasta pociąg się zatrzymał i – jakby rekompensując stan w miejscu – w środku z zawrotną prędkością zaczęły krążyć plotki. Mówiło

się o zabitych, zaginionych, o wielkich zniszczeniach, o biblijnym potopie. Ja siedziałam prosto, trzymałam się poręczy pod oknem, słuchając tego wszystkiego i modląc się, żeby to nie była prawda. Wtedy pociąg znowu powoli ruszył i pomału zaczęliśmy się wtaczać do Bilbao.

Kiedy to wspominam, odnoszę wrażenie, jakbym oglądała jedną z tych fotografii z czasów drugiej wojny światowej, na których wszystko jest szare – tylko jedna skala między bielą a czernią. Zniszczenia były ogromne, wszystko pokrywała brunatna patyna błota. Mnóstwo gałęzi drzew powyrywanych z korzeniami, tworzywa sztuczne i ubrania, porwane siłą wody ze sznurków i sklepów albo z ciał, które za sobą ciągnęła. Mieszanina przedmiotów, które wydawały mi się jeszcze bardziej absurdalne. Zabawki, manekiny, które utrzymywały swoją elegancką pozę wrzucone między błoto a gruzy, rękawice robocze, poskręcane żelastwo, samochody wywrócone do góry kołami. Tak wyglądało wielkie Bilbao. Znałam to miasto i pamiętam, że kiedy zobaczyłam je po raz pierwszy, pomyślałam, że jest straszne, bo wielkie, mroczne, potężne, tymczasem teraz miałam je przed sobą w tak niezręcznej sytuacji, pełne błota, smutne, pokonane. Był sierpień, ale pamiętam chłód rozpacz. Widok tego tytanicznego miasta w takim stanie był druzgocący. Zaczęłam płakać. Skoro tyle zostało z potężnego Bilbao, to jak wygląda mój dom?

W 1983 roku nie było telefonów komórkowych. Ostatni raz rozmawiałam z mamą dzień przed powrotem. W tamtych czasach, kiedy było się na wakacjach, dzwoniło się do domu co najwyżej raz w tygodniu. Być może powinniśmy wrócić do tego dobrego zwyczaju. Wyglądało na to, że pozostali pasażerowie pociągu nie mają świeższych informacji niż ja. Pewna kobieta, która jechała do Irúnu, zauważyła, że płaczę, i próbowała mnie pocieszyć, nakłaniając przy tym pozostałych, żeby zamilkli i nie wzbudzali we mnie jeszcze większego niepokoju. Powiedziała mi, że zadzwoniła do swojego domu poprzedniego wieczoru i okazało się, że tam deszcze nie spowodowały takich szkód, choć niektóre obszary prowincji Gipuzkoa zostały poważnie zniszczone. „W twoim domu na pewno wszyscy mają się dobrze, nie przejmuj się”.

Przez wiele godzin staliśmy w pobliżu Bilbao, gdzie wysiedli ci, którzy jechali do Santurce, gdy się okazało, że dotarcie na stację jest niemożliwe. Robotnicy, którzy pracowali przy torach, mówili o dziesiątkach zabitych i zaginionych, o utopionych zwierzętach, zniszczonych budynkach, zakładach zmiecionych z powierzchni ziemi. Kiedy pociąg wreszcie ruszył, krajobraz za oknem przedstawiał zalane pola, strumienie utworzone w dowolnych miejscach, a to, co porwała ze sobą powódź, było porozrzucane dookoła.

Kiedy wróciłam do San Sebastián, wszystko było w porządku, moja rodzina była bezpieczna. Nawet nie wiedzieli, jak poważna jest sytuacja w Bilbao. W południe obejrzelśmy wiadomości na antenie Televisión Española i choć owszem, podali informację o powodzi, to wykorzystali archiwalne zdjęcia, ponieważ komunikacja była tak utrudniona, że nie dało się zdobyć tych aktualnych.

To było dla mnie lato muzyki, ale także lato, kiedy zaczęłam pisać.

Napisanie tej powieści zajęło mi trzydzieści dziewięć lat. Wiem, że zaczęłam ją obmyślać tamtego dnia w pociągu. Dziś wracam do Bilbao, żeby dokończyć tę historię, która – jak się przekonacie – nie jest rozprawą historyczną ani przewodnikiem po mieście. Pozwoliłam sobie na swobodę poetycką, bo jak już wspomniałam, nie chcę być drobiazgową, jeśli chodzi o wspomnienia: połowa z nich jest prawdziwa, druga połowa to wyraz miłości do mojej ziemi, potrzeby muzyki w moim życiu, strachu towarzyszącego mi tamtego dnia oraz przyjemności, jaką wciąż sprawia mi poddawanie się słodkiej torturze wychodzenia bez szwanku ze wszystkich katastrof, które mój umysł uparcie sobie wyobraża, kradnąc mi sen.

Jestem pisarką, której zawsze towarzyszą burzowe chmury.

Chłopiec

Harmony Cottage

Chłopiec przystanął w progu. Zadrżał, czując przeszywający chłód. Przeniósł wzrok na spokojną taflę jeziora, którego wody błyszcząły w blasku pełni księżyca, a później na niebo. Wzbierający płacz zamglił mu wzrok. Nie chciał tego robić. Chciał wrócić do środka, usiąść przy piecu, poczytać bajkę i tam zasnąć. Kiedy zasypiał na podłodze naprzeciwko ognia, nikt nie zaprzętał sobie głowy przeniesieniem go do łóżka i dzięki temu mógł odpocząć.

Ze środka dobiegły go ponagłające głosy.

– Zamknij wreszcie drzwi i bierz się do roboty, mały Johnny, jeśli nie chcesz, żebym tam przyszła i złoila ci skórę.

Zatrzasnął za sobą drzwi, żeby ich więcej nie słyszeć. Zamknął oczy i dwie grube łzy popłynęły po jego skórze, która zaczęła już tracić ciepło. Wolną ręką niemal wściekłym gestem starł je z twarzy. Płacz na nic się zdawał. Zawsze to sobie powtarzał, lecz za każdym razem, gdy musiał to zrobić, płacz pojawiał się na nowo. Trzymając ciężkie drewniane wiadro, ruszył na tył domu. Była tam mała kamienna balia do prania, ustawiona pod starym kranem. Zwisał z na wpół poluzowanej rury, która biegła ze wzgórza i schodziła po ścianie budynku. O balię była oparta stara tara do prania, były tam także drewniana szczotka ze świńskiego włosia i pojemnik z mydłem ługowym, które one robiły, wykorzystując resztki tłuszczu do smażenia. Postawił wiadro na ziemi, bo musiał użyć obu rąk, żeby

odkręcić zardzewiały kran. Jeszcze dało się robić tu pranie, ale w miarę jak zima będzie się stawała cięższa, z kurka zaczniesz lecieć coraz mniej wody, aż w końcu cała zamarznie. Wtedy każą mu chodzić aż nad jezioro, a to będzie jeszcze gorsze.

Balia była głęboka. Choć stawał na palcach, nie mógł dotknąć dna wyciągniętą ręką. Kiedy był mniejszy, latem czasem go tu kąpano. Myślał sobie, że jeśli ktoś mający problemy z poruszaniem się – jak na przykład ciocia Emily, która w dzieciństwie przeszła polio – wpadłby tu głową do dołu, to prawdopodobnie by umarł. Gdy wyobraził sobie, jak wierzga nogami, poczuł małą satysfakcję.

Udało mu się odkręcić kran do oporu i pozwolił, żeby woda leciała obficie, uderzając o kamienne dno balii. Rękawy swetra podwinął do łokci, upewniając się, że nie opadną. Wziął drewnianą tarę, tak zużytą, że małe wypustki przeznaczone do tarcia ubrań zrobiły się tępe i niemal identyczne jak reszta deski. Oparł ją o brzeg.

Nachylił się nad wiadrem i odsunął pokrywę. Zapach przyprawiał o mdłości, a przecież jeszcze niczego nie dotknął. Wiedział, że gdy tylko ruszy jego zawartość, smród przeniknie do jego nozdrzy, wejdzie do ust i przylepi się do podniebienia, gdzie zostanie na długie godziny. Cokolwiek by zrobił, nie zdoła oderwać go od zębów, od języka, i zaraz każdy jego oddech będzie przesycony tym odorem. Kolejny przypływ płaczu wstrząsnął drobnym ciałem chłopca, który musiał się chwycić balii, zgięty wpół z powodu mdłości. Zakaszłał, zapiekły go oczy, a grymas cierpienia wykrzywił mu usta niczym u smutnego klauna.

Spojrzał na róg domu, był pewien, że nikt się nie zjawi. Nie miało znaczenia, ile czasu zajmie mu ta praca, godzinę czy pięć godzin. Z całą pewnością wiedział jedynie to, że nie może wrócić do środka, dopóki nie skończy. Starając się trzymać twarz możliwie najdalej od wiadra, znowu się schylił i po omacku wsadził rękę do środka, aż dotknął tkaniny, podniósł ją i natychmiast otoczyła go chmura zgniętego zapachu. Ale najgorsze było dotykanie tego. Było trochę ciepłe. Zawsze było trochę ciepłe, nie miało znaczenia, czy trzymały to na parapecie, czy w kącie w ubikacji, gdzie okno wyrwane z futryny pozostawało otwarte. Gniło. On był wiejskim chłopcem, wiedział, co się dzieje, kiedy coś gnije. Bez patrzenia rzucił szmatę na tarę i pozwolił, żeby uderzał w nią strumień wody, odrywając

z powierzchni czarne skrzepy. Wziął w opuszki palców porcję mydła ługowego oraz drewnianą szczotkę i już zupełnie owładnięty przez płacz i mdłości zaczął usuwać krew.

Biblijny John

Glasgow, 1983

John celowo zwlekał, stojąc przed dużym lustrem wiszącym przy toaletach. Podczas gdy udawał, że poprawia sobie ubranie, w odbiciu obserwował kobietę.

Tej nocy w dyskotecie było mnóstwo facetów, ale tym się nie przejmował: zostawienie jej samej przy barze po zaproszeniu jej na drinka było wkalkulowanym ryzykiem. Kiedy wyciągał delikatnie mankiety koszuli, zobaczył, jak dziewczyna splewiała dwóch typów, którzy do niej podeszli, i kieruje pełne nadziei spojrzenie w stronę toalet. Czekwała na niego.

Miał świadomość, że ona też mogła go widzieć, przynajmniej częściowo, dlatego od czasu do czasu odwracał się nieco w prawą stronę, jakby z kimś rozmawiał albo słuchał tego, co ktoś, dla niej niewidzialny, do niego mówi.

Powiedziała, że ma na imię Marie – i to nawet mogła być prawda, w takich miejscach różnie bywało; wiele razy dowiadywał się później z prasy, że imię, jakie mu podano, nie było prawdziwe.

W jego wypadku zawsze gdy pytano go o imię, odpowiadał: „John, mam na imię John”. Mówił to z pewnością siebie i nieco głośniej niż normalnie. Nie robił nic wielkiego, żeby się wyróżnić, więc jeśli ktoś przypadkiem zapamiętał mężczyznę, z którym wyszła dziewczyna, może barman albo pary siedzące

najbliżej, mógł powiedzieć: „Chyba słyszałem, jak facet mówił, że ma na imię John, tak, jestem tego pewien, miał na imię John”.

Lubił wyobrazać sobie twarze policjantów, gdy usłyszeli to imię. To był wygłup i kolejne wkalkulowane ryzyko, ale nie narażał się wiele bardziej. Zawsze dbał o to, żeby wszystko, co mogli zapamiętać na jego temat, na nic się nie przydawało.

Przyjrzał się swojemu odbiciu w lustrze. Czyste buty, wyprasowane džinsy, biała koszula i granatowa marynarka. Kasztanowe włosy miały rudawe odcienie, w zależności od tego, jak padało światło, i nosił je starannie ostrzyżone. Schludny. Uwielbiał to słowo. „Schludny”. Tak właśnie przed laty opisali go nieliczni świadkowie, którzy go zapamiętali: wysoki, szczupły młodzieniec, kasztanowe włosy, schludny wygląd, nic więcej... No, może wspomnieli jeszcze o nieco krzywych zębach. Drobiazg, który skorygował już dawno temu.

Zmusił się do uśmiechu przed lustrem i z zadowoleniem popatrzył na swoje proste białe zęby. Zwinnymi palcami strzepnął z ramienia niewidzialny pyłek kurzu i w odbiciu na powrót skoncentrował się na młodej kobiecie.

John miał sprytną i dyskretną taktykę, która polegała na tym, że stawał niedaleko wejścia do lokalu. Właśnie tak ją zobaczył. Przyszła z dwiema przyjaciółkami, były częścią grupy, która właśnie wysypała się z autobusu. Obserwował jej chód. Z doświadczenia wiedział, że w „te dni” dziewczyny poruszają się inaczej. Miała na sobie ciemne spodnie oraz długą luźną koszulę zasłaniającą biodra, co kontrastowało z ubiorem jej koleżanek, które włożyły topy i minispódniczki. John był doskonałym obserwatorem kobiecego świata i wiedział, że przyjaciółki często ubierają się podobnie. Jednakże ubranie to nie jedyna wskazówka. Przyglądał się jej z dystansu, jak próbuje wmieszać się w tłum, który wypełnił lokal. Widział, jak zaczęła tańczyć razem z pozostałymi dziewczynami, choć po chwili opuściła parkiet i stanęła przy kolumnie, popijając coca-cole i uśmiechając się do przyjaciółek, które dalej tańczyły.

Ciemność i dudniąca muzyka pozwoliły Johnowi stanąć za nią. Teraz mógł ją powąchać, udając, że obserwuje parkiet. Wdychał jej zapach. Wyczuł delikatną woń potu spod pach wymieszaną z perfumami o słodkich nutach, które

najwyraźniej były teraz modne wśród dziewczyn, oraz ten drugi zapach, metaliczny, słonawy i kwaśny. Wykrzywił nieco usta, nie mogąc powstrzymać grymasu obrzydzenia. I prawie jednocześnie poczuł, jak erekcja podnosi jego członek pod materiałem dżinsów.

Nie spuszczać jej z oczu, odszedł kilka kroków i prawą rękę wsadził do kieszeni marynarki. Opuszkami palców pogładził czerwoną satynową wstążkę, którą tam nosił. Pomyślał o Lucy i karcąc się, przygryzł policzek, aż ból cofnął tamto odczucie, a on odzyskał panowanie nad sobą.

Później było już łatwo, jak zawsze. Formuła sprawdzała się idealnie od lat, z niewielkimi różnicami. Przystanie obok niej i zacznie z nią rozmawiać, powie, że on też nie ma ochoty tańczyć i że zastanawia się, czyby się czegoś nie napić, może chciałaby mu towarzyszyć? Ona na niego spojrzy i zobaczy to, co widzieli wszyscy: młodego mężczyznę, już nie chłopca. Zadbany, dobrze ubrany, choć bez ostentacji, dobrze wychowany, miły. Schludny. Do tego zwrócił uwagę na najprawdopodobniej jedyną w całej dyskotecie dziewczynę ubraną w spodnie i szeroką koszulę.

On będzie mówił o czymkolwiek, unikając drażliwych tematów. Obsypie ją paroma wcale nieprzesadzonymi komplementami, powie, że ma pracę, przyzna, że tak naprawdę niezbyt lubi takie miejsca jak to, że tylko uwielbia rozmawiać i że w tym hałasie jest to prawie niemożliwe, że na parkingu ma samochód i że mogą pojechać, dokąd tylko ona zechce. I pospiesznie, zanim mogłaby się sprzeciwić, doda, że oczywiście byłby zachwycony, gdyby mógł odwiedzić ją do domu, jeśli tego właśnie sobie życzy. A dziewczyna się zgodzi, ponieważ on jest czarujący, ponieważ ona przyjechała autobusem, ponieważ one wszystkie chciały mieć chłopaka z własnym autem. Zgodzi się, mimo że w gazetach ciągle pisze się o liczbie młodych dziewczyn, które zaginęły i z pewnością tysiące razy słyszała przestrogi, żeby nie wsiadać do samochodów obcych. John wiedział, co odpowie, kiedy on wyjdzie z tą propozycją – mimo wszystko i mimo że w „te dni” nie powinna tego robić. Niewykluczone nawet, że ta świnia zgodzi się uprawiać z nim seks, kiedy jej to zasugeruje. Wtedy porządnie ją pobije, z każdym ciosem ścierając

jej z twarzy makijaż i uśmiech. Zedrze z niej ubranie, które następnie porwie na strzępy, po czym będzie ją gwałcił i jej własnymi rajstopami, paskiem lub stanikiem zacznie ją dusić, aż ona przestanie krzyczeć. A później zabierze ją do domu, żeby spała razem ze swoimi siostrami, żeby jezioro oczyściło i tę damę. To było uciążliwe, ale należało tak zrobić. Dawniej porzuciłyby ją na ulicy albo w parku, poszukałyby w jej torebce tamponów bądź podpasek i położyłyby je na zwłokach, żeby przypomnieć tym świniom, że podczas menstruacji nie powinny zbliżać się do mężczyzny.

Na samą myśl o tym poczuł silne mrowienie w okolicy genitaliów. Ponownie mocno zagryzł wewnętrzną stronę policzka, patrząc na nią w lustrze z pewnej odległości, a kiedy był już gotowy, wrócił do niej.

Jest mi ciężko

I GOT IT BAD

Glasgow, 1983

Inspektor Noah Scott Sherrington dojechał do przejazdu kolejowego, kiedy semafor zaświecił się na czerwono, a światła po obu stronach torów zaczęły migać. Znał to miejsce na obrzeżach Glasgow, przez ostatnie dwa tygodnie przejeżdżał tędy co noc i wiedział, że zanim szlaban opadnie, minie cała wieczność, wystarczająco czasu, żeby cztery samochody dzielące go od auta, za którym podążał, zdążyły przejechać. Jeden, drugi, trzeci i...

– Nie, nie, nie, nie... – wyszeptał, gdy zobaczył, że kierowca przed nim zatrzymuje swój pojazd.

Scott Sherrington zahamował gwałtownie i maska starego samochodu znalazła się ledwie kilka centymetrów od tylnej części auta stojącego przed nim. Światła stopu zlały się z tymi czerwonymi migoczącymi przy torach, tworząc na mokrej karoserii tysiące krwawych rozbłysków. Patrząc na nie, Scott Sherrington poczuł lekkie zawroty głowy.

Zdenerwowany przyłożył ręce do twarzy i przekonał się, że pokrywa ją zimny pot. Powietrze wewnątrz pojazdu wydało mu się raptem niezdatne do oddychania.

Szukając przycisku do podnoszenia szyb, macał drzwi, aż trafił na korbkę i zaczął kręcić, przeklinając. Na moment zapomniał, że nie jedzie swoim samochodem. To był escort, który – był tego pewien – jako jeden z pierwszych opuścił fabrykę w Halewood w dystrykcie Knowsley, kiedy za dobrych czasów jeszcze go tam produkowano. To samochód nieoznakowany i oczywiście nikt nie mógłby zaprzeczyć, że spełnia swoją funkcję. Tak stary i pod każdym względem zwyczajny, że trudno o to, by ktoś zwrócił na niego uwagę albo popatrzył na niego dwa razy.

Chłód nocy wpadł przez okno, zamrażając pot na jego skórze. Poczuł lekką ulgę, wdychając głęboko zimne powietrze, które burza pchała w głąb lądu nad Morza Północnego, oddalając upał ostatnich dni tego dziwnego szkockiego lata. Wychylił nieco głowę, w samą porę, by zobaczyć, jak śledzony przez niego samochód minął przejazd kolejowy i jego światła zgubiły się w ciemności nocy. Przez chwilę myślał, żeby wyprzedzić pojazd przed sobą i jechać za ściganym. Kiedy tak wzdychał wyczerpany, pozwolił, żeby deszcz moczył mu twarz, i niemal natychmiast poczuł się o wiele spokojniejszy. Deszcz zawsze miał na niego taki wpływ. Ponownie usiadł prosto i zasunął nieco szybę. Wtedy zauważył, że woda, która wleciała do środka, zmoczyła mu rękaw kurtki i zaczęła tworzyć kałużę na gumowym dywaniku obok jego stóp. Popatrzył na nią rozdrażniony i pomyślał, że to nie ma znaczenia. Nic już nie miało znaczenia. Doskonale wiedział, gdzie może znaleźć Angusa Bennetta. Śledził go od dziesięciu dni i każdej nocy robił dokładnie to samo.

Bennett pracował w przedsiębiorstwie produkującym gaśnice o zastosowaniu morskim. Po wyjściu z zakładu jeździł samochodem, kręcąc się przy magazynach w porcie rzeki Clyde i po sąsiednim terenie przemysłowym w porze, kiedy większość warsztatów była już zamknięta, a na miejscu pojawiały się prostytutki. Kilka samochodów zaparkowanych tu i tam oraz stojące między nimi dziewczyny odziane w białe fartuchy, które rozchylały przed ewentualnymi klientami, pokazując, że pod spodem mają tylko bieliznę. Bennett czasami zwalniał i powoli przejeżdżał obok którejś z nich, ale się nie zatrzymywał. Kręcił się tak mniej więcej

przez godzinę, a potem opuszczał obszar magazynów i jadąc tą samą trasą, pokonywał ten przejazd kolejowy, żeby zatrzymać się dwie mile dalej, w dyskotecę za miastem. Spędzał tam godzinę, najwyżej dwie. Nigdy nie pił więcej niż dwa drinki. A potem, pokonując cztery i pół mili, wracał do domu, gdzie mieszkał sam.

Noah Scott Sherrington zaczerpnął powietrza i wypuścił je powoli. Czuł ogromne zmęczenie. To donikąd nie prowadziło i dobrze o tym wiedział.

W ciągu ostatnich dwóch miesięcy prócz Bennetta śledził jeszcze dwóch facetów. W sumie trzech podejrzanych. Setki godzin obserwacji. Charles MacLaughlin, kolejny bywalec dyskotek z łatwością nawiązujący znajomości z młodymi dziewczynami, jak się okazało, miał dwie żony i najwyraźniej szukał sobie trzeciej. I Daniel Garrat. Najbardziej zagadkowy z całej trójki. On najlepiej pasował do profilu Biblijnego Johna. Miał nieco ponad czterdzieści lat, co pasowało do teorii, że – pomimo dziecięcej twarzy – mógł mieć dwadzieścia trzy lub dwadzieścia cztery lata, jakie przypisywano mu w czasie zabójstwa dziewczyn z dyskoteki Barrowland. Noah początkowo sądził, że ten mieszka z matką, ale ustalił, że to matka i jej narzeczony mieszkali z nim, może dlatego, że dokładali się do czynszu, bo Garrat w żadnej pracy nie zagrzał długo miejsca. Scott Sherrington dowiedział się, że nie był złym pracownikiem, ale niewątpliwie z racji upodobania do nocnego życia i dyskotek często się spóźniał, co kosztowało go zwolnienie przynajmniej w dwóch ostatnich miejscach pracy. Mimo to Garrat jakoś sobie radził, ponieważ dość często zmieniał samochody, a w kieszeni miał wystarczająco grosza, żeby każdego wieczoru robić objazd po dyskotekach w Glasgow. Nie było jednak nic wiadomo o jego narzeczonych, niezbyt radził sobie z dziewczynami. Zatrzymano go dwa razy za domowe awantury, bójki z matką i jej narzeczonym. Śledził go przez półtora miesiąca. I nic.

To, co u Bennetta wydało mu się podejrzane – kręcenie się w miejscach odwiedzanych przez prostytutki i tylko patrzenie, żeby potem wylądować w dyskotecę i dalej patrzeć – wyszło na jaw tej samej nocy, kiedy Scott Sherrington zobaczył, że śledzony zatrzymuje się przed drzwiami warsztatu naprawiającego radia samochodowe. Mężczyzna powtórzył swój rytuał, jadąc powoli między

zamkniętymi zakładami, rzucając przelotne spojrzenia prostytutkom, które – widząc, że zbliża się tak pomalu – wychodziły mu naprzeciw, żeby zaoferować swoje usługi. Postronny obserwator, który nie znałby go tak, jak znał go Scott Sherrington, mógłby pomyśleć, że szuka czegoś lub kogoś, ale policjant wiedział, że to jego rytuał. Patrzeć bez kupowania. Może chciał tylko podniecić się wystarczająco, obserwując te, które pobierały opłaty za swoje usługi, a potem rozładować złość na jakiejś młodej dziewczynie, która zgodzi się odjechać z nim po wyjściu z dyskoteki. Ale w ciągu tych dwóch tygodni Scott Sherrington nigdy nie widział go rozmawiającego z żadną kobietą – ani z tymi, które żądają zapłaty, ani z tymi, które obserwował z dystansu na parkiecie. Tak więc, kiedy zobaczył, jak facet się zatrzymuje i wysiada z samochodu, pomyślał, że – podobnie jak wiele razy wcześniej – zamierza się odlać. Wtedy dostrzegł, że drzwi warsztatu naprawiającego radia uchylają się. Pospiesznie zamienił kilka słów z gościem, który był w środku, po czym ruszył do tylnej części auta i wyjął płócienny worek, który zdradzał ostry prostokątny kształt czterech czy pięciu radioodtwarzaczy samochodowych, z pewnością skradzionych. Kolejny raz nic.

Scott Sherrington wyjrzał na zewnątrz z irytacją. Czerwone światła przy torach w dalszym ciągu migają. Nad stojącym przed nim samochodem zdołał dojrzeć, że szlaban wciąż znajduje się w górze.

Położył rękę na brzuchu. Przez moment myślał, że ma niestrawność. Czuł się pełny, napchany, chociaż najprawdopodobniej chodziło o głód – oba te odczucia były do siebie dość podobne, a od południa nie miał nic w ustach. Spojrzał na zegarek i uznał, że może nie jest jeszcze za późno, żeby wpaść do pubu i coś przekąsić. To sprawiło, że pomyślał o sierżancie detektywie Gibsonie. Zmarszczył brwi. Minął się z nim, kiedy wychodził z komisariatu, akurat w tej samej chwili, gdy tamten wyprowadzał zatrzymanego z sali przesłuchań i przekazywał go dwóm umundurowanym policjantom.

Gibson miał rozluźniony krawat i nieco przekrzywiony kołnierzyk koszuli, która z jednej strony wisiała niemalże na wierzchu pod rosnącym powoli brzuchem.

– Nasz przyjaciel Billy wszystko wyśpiewał. To ten od napadów na sklepy monopolowe, którego szukaliśmy.

Przyjaciel Billy nie wyglądał wcale lepiej niż Gibson. Czerwona twarz, a zwłaszcza nos. Nie miał krawata, ale kołnierzyk jego koszuli także był przekrzywiony, a sama koszula rozpięta aż do połowy klatki piersiowej, brakowało jej parę guzików, a na wysokości torsu znajdowało się cztery czy pięć plam krwi, intensywnie czerwonych, owalnych niczym kiść ciemnych winogron.

Spojrzenie Scotta Sherringtona na parę sekund zatrzymało się na tych plamach. Grawitacyjne, powstały przez skapywanie, pomyślał. Gibson zdał sobie z tego sprawę i pospieszył z wyjaśnieniem:

– Miał krwotok z nosa, to przez ten gorąc... – Odwrócił się nieco, żeby zapytać zatrzymanego: – Prawda, przyjacielu?

Mężczyzna odpowiedział zmęczonym gestem przypominającym potwierdzenie.

Noah ruszył dalej, myśląc o tym, że założenie dziś nowych butów było złym pomysłem. Bolały go stopy.

– Sherrington – zatrzymał go Gibson, jak zawsze używając bardziej angielskiej części jego nazwiska. Pietą popchnął jednocześnie drzwi za swoimi plecami, żeby otworzyły się do końca i żeby detektyw McArthur, który wciąż siedział w środku, mógł go usłyszeć.

Z sali przesłuchań, zwanej przez co poniektórych „puszką”, dobiegł go mdły zapach potu, oparów i nieświeżego oddechu, który niczym mgła unosił się w papierosowym dymie.

– Idziemy do pubu, żeby to uczcić. Sierżant McArthur, chłopcy z wydziału kradzieży i kilku patrolowych. Może dołączysz?

– Nie mogę, przykro mi – odpowiedział Noah tonem, który wcale nie wskazywał na to, że jest mu przykro. – Mam dziś coś do zrobienia – dodał, kierując się do wyjścia.

Gibson dogonił go już na ulicy i podszedł do niego tak blisko, że niemal się o niego otarł. Chociaż na razie nie padało, temperatura spadła poniżej dwucyfrowej

wartości po ciepłym jak na Szkocję dniu. Chłodne powietrze wydobywało ze skóry Gibsona zatechłe opary. Śmierdział jak mokry pies.

– A co takiego ważnego masz do zrobienia? Ścigać Biblijnego Johna?

– Nigdy nie powiedziałem, że to Biblijny John – odparł Noah.

Detektyw Gibson próbował się uśmiechnąć, proponując mu papierosa, którego Scott Sherrington przyjął.

– Jasne, że nie – powiedział z przekąsem. – Bo Biblijny John nie żyje.

Scott Sherrington popatrzył mu w oczy, zaciągając się głęboko.

– Nie ma na to dowodów.

Tym razem na twarzy sierżanta Gibsona pojawił się szeroki uśmiech.

– A więc to prawda, ścigasz Biblijnego Johna – stwierdził, odwracając się, jakby spodziewał się publiczności. – W takim razie powiem ci, co robisz źle.

Scott Sherrington pokręcił głową i uzbroił się w cierpliwość, spoglądając w stronę samochodu. Te buty go wykańczały.

– W tym, co robisz, są trzy błędy – zaczął wyjaśniać Gibson, wymachując mu przed nosem palcami pełnymi płam od nikotyny. – Po pierwsze, Biblijny John nie żyje, a nie da się złapać ducha. Po drugie, uważasz, że możesz osiągnąć coś, co przez lata śledztwa nie udało się całej szkockiej policji.

Wyczuł celowe podkreślenie słowa „szkockiej”, powszechnie było wszak wiadomo, że Noah Scott Sherrington ukończył studia w Londynie. Niektórzy mu tego nie wybaczyli. Jemu było to obojętne. Wypuścił powietrze nosem, okazując swoje lekceważenie, ale nic na to nie odpowiedział.

– Ale po trzecie i najpoważniejsze – ciągnął Gibson – najwyraźniej zapominasz, że jesteś w Marinie i że to, co robisz, jest zniewagą.

Noah podniósł wzrok na surowy gmach, który zdawał się nad nimi wisieć. Stary budynek przy Anderson Street w dzielnicy Partick nad brzegiem rzeki Clyde przypominał szkołę państwową z lat czterdziestych. Mieścił się tu komisariat policji znany jako Dywizja Marina. Pod koniec lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych zamienił się w centrum śledztwa mającego na celu schwywanie

Biblijnego Johna: przesłuchania, okazania, zeznania świadków, portrety pamięciowe...

I nie, to nie przypadek, że Scott Sherrington zażądał przeniesienia akurat tutaj, choć miał świadomość, jak niezrozumiałe może się wydać to, że inspektor prosi o dołączenie do starego, zniszczonego komisariatu, na którego ścianach znajdowała się już rządowa tabliczka z napisem „budynek do rozbiórki” – taka, jakie umieszczano na budowlach przeznaczonych do wyburzenia w ramach wielkiego urbanistycznego projektu Glasgow. Większości osób umykało jednak to, że w tamtejszych piwnicach wciąż znajdowało się kilkanaście brudnych cel wyłożonych popękkanymi płytkami z tysiącem nazwisk i największym zbiorem dokumentacji dotyczącej sprawy Biblijnego Johna.

Noah poczuł na twarzy kroplę wody. Podniósł wzrok, powietrze było duszne i ciężkie od wilgoci. Sierpień rozpoczął się obietnicą lata, które trwało wiele dni, ale tego poranka chmury zebrały się krótko po wschodzie słońca. Początkowo nie przywiązywał do tego wagi, bo przemieszczały się znad Wysp Szetlandzkich, ale w radiu usłyszał, że w Aberdeen leje.

Być może Gibson poczuł wtedy zmianę temperatury na zewnątrz, ponieważ zaczął poprawiać sobie ubranie, wsadzając do spodni wystającą połę koszuli i zaciskając krawat. Właśnie w tej chwili Scott Sherrington zauważył na jego klatce piersiowej ciemne plamki. Niemal mikroskopijne, powstałe przez rozpylenie, i to tak silne, że największa ilość krwi skoncentrowała się u góry. Rozbryzg, który wylądował z dużą prędkością i do którego mogło dojść na przykład po walnięciu w nos przyjaciela Billy’ego.

Kiedy Gibson znowu się odezwał, najwyraźniej miał już poprawione nie tylko ubranie, lecz także maniery:

– Noah, powinieneś przyjść, to czas na świętowanie. Właśnie w ten sposób tworzy się braterstwo.

Braterstwo czy gangsterstwo? – pomyślał Scott Sherrington, zwracając uwagę na to, że tym razem Gibson użył jego imienia.

– Może innego dnia... – odpowiedział, kierując się do samochodu.

– Nie ma innego dnia, jest dzisiaj. Zrób to dla mnie...

W tym momencie Gibson nie wydał mu się złym człowiekiem, niewykluczone nawet, że miał dobre serce.

– To nic osobistego, ale mam robotę – powiedział Noah, otwierając drzwi auta.

– Jesteś tu od trzech miesięcy. Na początku to nawet mogło być zabawne, że przychodzisz tu ze swoim pompatycznym nazwiskiem, swoimi wyprasowanymi koszulami i swoimi technikami rodem ze Scotland Yardu, ale ludzie zaczynają gadać.

Noah odwrócił się do niego.

– I co mówią?

– Wiesz, jak to jest, nie chodzi jedynie o to, że uważają, tak jak ja, że tylko tracisz czas z tą całą teorią o tym drapieżniku Biblijnym Johnie i w ogóle... Są tacy, którzy twierdzą, że to bujda. Nie masz niczego, Sherrington, nie ma żadnych zgłoszeń ani podejrzanych, nie ma ofiar, nie ma sprawy.

– Moje nazwisko to Scott Sherrington, jak laureata Nagrody Nobla w dziedzinie medycyny – odparł spokojnie. – I przecież są te wszystkie dziewczyny, które nie wróciły do domów...

– Do cholery, Noah! Pewnie pracują jako dziwki w Aberdeen i zadają się z robotnikami z platform wiertniczych. Albo gdzieś w Londynie. Wszyscy wiedzą, że w dzisiejszych czasach młode dziewczyny pragną zostać gwiazdami pop.

Scott Sherrington pokręcił głową, spuszczać wzrok, ale Gibson mówił dalej:

– Mamy lata osiemdziesiąte, do cholery! Wszystkie chcą być Bonnie Tyler albo Cyndi Lauper, *Girls Just Want to Have Fun*. Nie ma żadnego drapieżnika. Te dziewczyny uciekły z domów, ufarbowały sobie włosy na różowo albo na fioletowo i śpiewają chórki w jakimś zespole, jak ta cała Frederica Bimmel. Tyle szumu, a okazało się, że była z tymi Dancing Pigs czy jak tam się, do diabła, nazywają.

Scott Sherrington dopalił papierosa. Owszem, Bimmel dołączyła do grupy flejtuchów, co to niby tworzyli muzykę.

– Nigdy nie umieściłem Frederiki na swojej liście, nie pasowała do profilu i już wcześniej uciekała z domu. We wszystkich przypadkach zaginięć, którymi się zajmuję, dziewczyny są niezbyt wysokimi, szczupłymi brunetkami i mają rodzinne zobowiązania. – Ukrył przed Gibsonem, że w chwili zniknięcia wszystkie miały menstruację, tak samo jak ofiary Biblijnego Johna. – A poza tym w ogóle nie pasują do typu dziewczyn, jakie uciekają z domu.

– To dlatego, że postrzegasz je przez pryzmat zdjęć, jakie ich rodzice noszą w portfelach: grzeczne, z czystymi paznokciami i w spódnicach o długości dozwolonej przez mamusię.

– A Clarissa O’Hagan? – zapytał, patrząc na Gibsona i udając opanowanie.

Clarissa miała szesnaście lat. Była najstarsza z trzech córek Petera i Marisy O’Haganów. Marisa zmarła na raka rok wcześniej. Peter nie był złym człowiekiem, pracował na terenie portu nad rzeką Clyde w Glasgow i mówiło się, że w weekendy trochę za dużo pociągał z flaszki, ale był spokojnym pijakiem, trochę marudnym, lecz nie agresywnym. Clarissa, która uczyła się w szkole średniej, sprawowała opiekę nad młodszymi siostrami. Pewnej soboty, trzy miesiące temu, poszła do dyskoteki z dwiema przyjaciółkami. Nie chciała tańczyć, była jeszcze w żałobie po śmierci matki. Z parkietu jej koleżanki dostrzegły, że podchodzi do niej jakiś mężczyzna, rozmawiali dłuższą chwilę; kiedy spojrzały tam ponownie, już ich nie było.

Gibson zagryzł górną wargę i część jego długich rudych wąsów weszła mu do ust.

– Tak – przyznał. – Młoda O’Hagan.

– Kochała swoje siostry, wciąż przeżywała żałobę po śmierci matki, była odpowiedzialna, dobrze się uczyła...

– Co mam ci powiedzieć? To prawda, że wyglądała na porządną dziewczynę, ale może miała już dość takiego wysiłku, to bardzo dużo jak na tak młodą osobę. Albo Bóg jeden wie, może pewnego dnia ojciec wrócił podпиты i się do niej przystawiał, sam wiesz, zastępczyni matki we wszystkim...

Scott Sherrington pokręcił głową zniesmaczony, rzucając pod nogi niedopałek.

– To obrzydliwe, że insynuujesz coś tak odrażającego bez żadnych dowodów. O’Hagan to dobry człowiek, który jest pogrążony w smutku, a gdyby stało się tak, jak mówisz, Clarissa nigdy nie zostawiłaby swoich sióstr samych. Jestem tego pewien.

– Jej koleżanki powiedziały, że facet, z którym rozmawiała, był dobrze ubrany i nie wyglądał na miejscowego – odparł Gibson. – Uwierz mi, dziewczyny z Glasgow przez całe życie próbują jak szalone upolować jednego z tych gości, co pracują na platformach wiertniczych, żeby je stąd wyciągnęli i kupili im piękny dom w Saltcoats. – To ostatnie powiedział, rozglądając się dookoła, jakby on sam miał dosyć tego miasta. – Wszyscy chcą stąd wyjechać, Sherrington, wszyscy oprócz ciebie najwyraźniej. I to jest kolejna rzecz, która budzi podejrzenia.

Noah uniósł brew, zdumiony.

– Dziwi cię to? – Gibson rzucił peta między zaparkowane samochody i oparł ręce na biodrach. – Posłuchaj, przyjacielu, myślę, że się mylisz. Nie jesteś złym człowiekiem, ale należę do tych, co uważają, że zbyt dobre wykształcenie nie jest odpowiednie dla policjanta. Masz pstro w głowie, ale jeszcze ci przejdzie. Widziałem już takich jak ty, te głupstwa wyparują ci z głowy, kiedy spędzisz parę lat w Marinie i zobaczysz, że techniki, nauki i teorie na nic się tu nie przydają. Myślę, że porządny z ciebie gość, dlatego nalegam, żebyś postępował właściwie. Staram się ci pomóc, bo uważam, że się mylisz. Ale inni zaczynają myśleć, że całe to twoje sekretne śledztwo to tylko wymówka.

Noah wywrócił oczami, kręcąc głową.

– Nie jest sekretne, i to nie jest...

– Nie mówię, że jesteś nietowarzyski, choć tak uważam...

Scott Sherrington popatrzył na Gibsona, nie rozumiejąc. Detektyw napiął koszulę na klatce piersiowej i rozejrzał się w obie strony, po czym wyszeptał:

– Uważają, że jesteś z wydziału wewnętrznego, że mogli cię tu przysłać z powodu McArthur’a i sprawy Alfreda „Tuszki”.

Sprawa „Tuszki”. Noah zrozumiał wtedy determinację Gibsona, który chciał, żeby McArthur usłyszał rozmowę prowadzoną podczas wyprowadzania Billy’ego, rabusia z krwotokiem z nosa. Miesiąc przed tym, jak Noah został tu przeniesiony, pewien zatrzymany, Alfred Galt, alias „Tuszka”, złodziej, który przydomek zawdzięczał swojej pracy w miejskiej ubojni w Glasgow, gdzie zajmował się rozbieraniem kurczaków, zmarł na dołku po spędzeniu ponad sześciu godzin z McArthurem w sali przesłuchań, czyli w tej klitce, którą policjanci bez skrępowań nazywali „puszką”.

– Bzdura – oznajmił Noah.

– Bzdurą nie jest na pewno to, że Graham przysłał cię tu z dnia na dzień. Kto przy zdrowych zmysłach prosiłby o przeniesienie z CID w Edynburgu do Mariny w dzielnicy Partick? Umieszczają cię w wydziale zabójstw, ale nie przypisują do żadnej grupy, kręcisz się po komisariacie, ale nie masz żadnej konkretnej sprawy, ścigasz duchy i jesteś bardziej nietowarzyski niż kret. – To porównanie musiało go rozbawić, bo uśmiechnął się nieznacznie, a potem powtórzył: – Właśnie, jak kret.

– Wierutna bzdura – powiedział znowu Noah, kierując się w stronę zaparkowanych samochodów.

– Skoro tak, to dlaczego nie pokażesz, że...? Chodź z nami do pubu, zjedź coś. Na miłość boską! Jesteś blady jak trup! A potem upij się jak normalny facet.

Deszcz się wzmógł i Gibson cofnął się o dwa kroki, aż znalazł się pod daszkiem komisariatu.

Scott Sherrington wykorzystał to i wsiadł do samochodu.

– Na razie, Gibson – powiedział, zamykając drzwi.

Czerwone światła nadal migwały, a szlaban zaczął drżeć.

Ścigał Biblijnego Johna?

Samo wspomnienie o nim wywoływało wściekłość u każdego policjanta, na emeryturze czy w czynnej służbie, a tym bardziej w Marinie.

Pod koniec lat sześćdziesiątych morderca, którego prasa ochrzciła jako Biblijnego Johna i którego nigdy nie ujęto, zabił trzy kobiety poznane w dyskotecę Barrowland. Pierwsza była Patricia Docker, po niej Jemima McDonald i Helen Puttock. Dla osób po dwudziestym piątym roku życia czwartkowa noc była idealna na podryw, na spędzenie miłej chwili z mężczyznami, którzy zawsze mieli na imię John, albo z kobietami, które zawsze miały na imię Jane. To jedno z tych dyskretnych miejsc, gdzie można zsunąć obrączkę do kieszeni, poznać chłopaka, potaćńczyć, a może nawet zgodzić się, żeby odwiózł cię do domu, nie oczekując, że będziesz opowiadać o swoim życiu ze szczegółami. Zakładano, że tak właśnie się to stało. Wszystkie trzy zostały znalezione martwe, ze śladami przemocy, na trasie prowadzącej do ich domów. Kiedy policja stwierdziła, że w Glasgow grasuje seryjny morderca, Biblijny John przestał zabijać. A może nie... Oprócz zaginionych kobiet, które Noah włączył do profilu wiktymologicznego, nie było wyraźnego śladu nowej działalności Biblijnego Johna, choć zdarzyło się kilka dziwnych zbrodni na zachodnim wybrzeżu i dwie w Dundee, u ujścia rzeki Tay, w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym i tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku – wszystkie przypominały zabójstwa Biblijnego Johna. Czyżby chodziło o próby, które nie poszły zgodnie z planem? Śledztwa w tych sprawach nie były prowadzone wzorowo, ale Noah zdołał ustalić, że – chociaż ciała porzucono w ubraniach i przynajmniej w jednym przypadku ofiara nie została uduszona – w chwili śmierci wszystkie dziewczyny miały menstruację.

Szlaban zaczął opadać.

Jakiś samochód przejechał z pełną prędkością w przeciwnym kierunku. Zapory o mało nie musnęły dachu auta. Żywy pomarańczowy kolor forda capri wydał mu się znajomy i mimo że przemknął błyskawicznie obok stojących samochodów, Scott Sherrington zdążył się odwrócić i rozpoznać rejestrację. John Clyde. Znajdował się na jego liście podejrzanych w zeszłym roku, kiedy Scott Sherrington jeszcze pracował w Edynburgu. Przeglądając stare sprawy, odkrył, że dwie dziewczyny, które idealnie pasowały do stworzonego przez niego profilu

wiktymologicznego, zniknęły w latach siedemdziesiątych z tej samej uczelni, na której studiował Clyde – i właśnie to rzuciło na niego podejrzenie. Nie mógł ustalić, czy John poznał je właśnie tam ani czy w ogóle uczęszczali na te same zajęcia, ale Clyde widniał na liście tych, którzy porzucili studia w miesiącach poprzedzających zniknięcie dziewczyn albo następujących tuż po tych wydarzeniach. Myriam Joyce i Helena Patrickson. Szczupłe, niezbyt wysokie brunetki. W momencie zniknięcia obie miały menstruację. Podobnie jak ostatnie przypadki w Glasgow – zaginięcia potraktowano jako ucieczki z domu. Obie słabo radziły sobie na studiach i w którymś momencie otwarcie powiedziały o zamiarze ich rzucenia.

Miały także skomplikowane relacje ze swoimi chłopakami, co sprawiało, że od czasu do czasu wychodziły na miasto same. Obie miały piękne ciemne włosy – przypadek albo i nie. Kiedy widziano je ostatni raz, były w towarzystwie miłego młodzieńca, nie na tyle przystojnego, żeby był niezapomniany, ani nie na tyle brzydkiego, żeby zapadł w pamięć. Zwyczajny młody człowiek budzący zaufanie, z rodzaju tych, z którymi dziewczyna może rozmawiać bez żadnych obaw.

Scott Sherrington sprawdzał wszystkie nazwiska ze swojej listy. W przypadku Clyde'a poprosił o informacje policję z Killin, miejscowości, w której ten mieszkał. John Clyde: syn samotnej matki, wychowywany przez nią i dwie ciotki. Po rzuceniu studiów filologicznych na Uniwersytecie Edynburskim, tuż przed ich ukończeniem, wrócił do rodzinnego miasteczka nad jeziorem i od tamtej pory w żadnej pracy nie zagrzał miejsca dłużej niż dwa miesiące. Zaczepił się jako przewodnik na łodziach dla turystów, gdzie była zatrudniona jedna z jego ciotek, i przez jakiś czas pracował jako recepcjonista w miejscowym hotelu, gdzie druga ciotka sprzątała, a matka pełniła funkcję kierowniczką obsługi. Nie była to jednak odpowiednia praca dla Johna Clyde'a. Scott Sherrington przeczuwał, że należał on do grona tych młodych ludzi, którzy uważają, że nic nie jest dla nich wystarczająco dobre i że, w jakiś tajemniczy sposób, potrafią przekonać do tego tych, którzy wypruwają sobie żyły, aby ich utrzymać. Nie da się inaczej wytłumaczyć tego, że jego matka i ciotki dalej opiekują się nim, jakby był małym chłopcem.

Noah przywołał w pamięci jego twarz ze zdjęcia do prawa jazdy, które znajdowało się w raporcie policji w Killin. Według tego dokumentu właśnie skończył trzydzieści siedem lat, ale wciąż miał dziecięcą twarz, przez co sprawiał wrażenie młodszego, niż był w rzeczywistości. Dobrze się ubierał, był zadbany i rozmowny. Uprzejmy dla mężczyzn i miły dla kobiet. Nigdy jednak nie miał dziewczyny, choć to jeszcze o niczym nie świadczyło. Scott Sherrington dość szybko wykluczył Johna Clyde'a: wystarczyła mu przechadzka w pobliżu jego domu, noc spędzona na obserwowaniu go z daleka w jednej z dyskotek oraz lektura raportu policji z Killin. Johnny Clyde był chodzącą indolencją. W tym czasie Noah nigdy nie widział, żeby przekraczał dozwoloną prędkość, nie zatrzymał się przed znakiem stop czy wypił za dużo. Tak więc, gdy zobaczył go teraz, jak przejeżdża przez tory, kiedy szlaban zaczął już opadać, wydało mu się to niewątpliwie zdumiewające.

Obserwował tylne światła capri oddalające się w mrok nocy. Poczował, że tętno mu przyspiesza, wypuścił z płuc całe powietrze, próbując się uspokoić, i podjął decyzję. Cofnął wystarczająco, żeby móc manewrować, zmienić pas i pojechać za Johnem.

Trzymał się w bezpiecznej odległości, pozwalając, by oddzielały ich dwa inne samochody, choć stwierdził, że sposób jazdy Johnny'ego nie był tego wieczoru typowy. Do przejazdu przez tory przy czerwonych światłach i opadającym szlabanie doszły jeszcze inne rzucające się w oczy aspekty. Wprawdzie nie przejechał już na czerwonym świetle, ale przekraczał limit prędkości, zwalniając nieco, kiedy zbliżał się do obszaru zabudowanego, a potem znowu przyspieszając. Ford capri nie miał półki bagażnika, a tylna szyba sięgała aż do kierunkowskazów, nadając mu specyficznego sportowego sznytu. Scott Sherrington wrażenie, że John Clyde przewozi w bagażniku swojego capri duży, bezładny pakunek. Po przejechaniu przez niewielki uskoki za terenem zabudowanym był pewien, że to, co wiezie Clyde, chybcze się z jednej strony na drugą, a przez kilka sekund dało się to dostrzec przez tylną szybę auta. Wyczuł, że zdenerwowanie Johna ma bezpośredni związek z tobołkiem znajdującym się w bagażniku. Ładunek – mimo

że przykryty plandeką albo kocem – był na tyle kłopotliwy, aby zdenerwować spokojnego z natury Johnny’ego Clyde’a.

W tej samej chwili, gdy zobaczył, jak capri pokonuje przejazd kolejowy, Noah miał przeczucie, że dzieje się coś niecodziennego. Nie potrafiłby tego wyjaśnić, nie byłby w stanie. Ale w jego klatce piersiowej, w szyi, w nadgarstkach, we wszystkich częściach ciała, gdzie czuł tętno, pulsowało przemożne wrażenie, że zwęszył zdobycz, znalazł kolejny element, że już tylko krok dzieli go od ułożenia puzzli. Próbował się opanować, oddychając głęboko, co sprawiło, że szyby w samochodzie zaparowały. Lodowaty deszcz, który nadciągnął z północnego wschodu, wciąż zacinał tak gęstymi i grubymi kroplami, że nawet przy wycieraczkach działających z maksymalną prędkością po każdym ich ruchu widział drogę zaledwie przez sekundę. Grzbietem dłoni przetarł kilka razy zaparowaną przednią szybę i poczuł, jak chłód z zewnątrz łagodzi gorączkę trawiącą jego skórę.

Wiedział, dokąd jedzie. John kierował się do domu. Killin to malownicze turystyczne miasteczko liczące zaledwie siedmiuset mieszkańców, położone na przepięknym terenie zalesionych *glens*, należące do jednostki administracyjnej Stirling i poprzecinane kaskadami rzeki Dochart nad brzegiem jeziora Katrine na obszarze Trossachs. Tej zwyczajowej nazwy używano dla całego terenu obejmującego lasy oraz *lochs* z ich licznymi odnogami i małymi wyspami. Clyde wciąż tam mieszkał, utrzymywany przez matkę i ciotki, w samym środku tego edenu. Oddalony od miasteczka, ale mieszczący się jeszcze w jego granicach, ich dom stał samotny i podniszczony, a ktoś o sporym poczuciu humoru ochrzcił go mianem Harmony Cottage.

Czterdzieści minut później capri dotarło w okolice jeziora Katrine i chociaż drogi były tu o wiele bardziej kręte, Johnny Clyde nie zmniejszył prędkości. To było jego terytorium, znał je jak własną kieszeń. Scott Sherrington nie mógł powiedzieć tego samego. Odwiedził te strony przed rokiem, kiedy sprawdzał Johnny’ego Clyde’a, ale jego wiedza była daleka od znajomości setek ścieżek i różnorodności tak zmiennego krajobrazu.

Clyde zmniejszał prędkość tylko na tych odcinkach, na których droga wiodła przez małe miejscowości skupione wokół jeziora, i Scott Sherrington był pewien, że chciał tym samym uniknąć narażenia się na gorliwość jakiegoś policjanta, który mógłby go zatrzymać i upomnieć.

Harmony Cottage znajdowało się niecałą milę stąd, po skręcie w prawo. Minęli strefę przystani, gdzie pływające pomosty rozciągały się w stronę wody, a łodzie przycumowane po obu stronach były ledwie widoczne w słabym świetle latarni, których lampy zaparowały od zacinającego deszczu.

Noaha na chwilę ogarnęła wątpliwość: czy to możliwe, że Clyde tylko wraca do domu? Że z jakiegoś powodu chce się tam dostać jak najszybciej? Może obiecał matce, że wróci o określonej porze? Mimo że Johnny był rozpieszczany przez kobiety ze swojej rodziny, tego rodzaju relacje często podlegają niezrozumiałym dla innych zasadom służebności.

Scott Sherrington sapał, czuł, że dusi się z powodu zwykłego zmęczenia. Ku jego zaskoczeniu Johnny skręcił w drogę pnącą się na wzgórze w przeciwnym kierunku i zagłębił się w las.

Nie było tam żadnych zabudowań. Żeby dostać się do najbliższej miejscowości, najlogiczniej byłoby pojechać wzdłuż jeziora, zamiast przecinać las w środku nocy. Niektóre odcinki tej drogi prowadziły aż do brzegu jeziora przez tereny zalewowe, które wiosną, wraz z potężnymi deszczami nadciągającymi z nad Morza Północnego, były nieprzejezdne. A tej nocy Morze Północne spadało im na głowę. Zgodnie z prognozą pogody apogeum burzy miało dotrzeć do Glasgow w zaledwie pół godziny, ale tutaj już było – z całą swoją siłą.

Scott Sherrington zaczął się niepokoić. Miał świadomość, że z tej drogi odchodzą niezliczone odgałęzienia, które prowadzą na tereny z jaskiniami i na zalesione urwiska, a w przeciwnym kierunku do małych naturalnych zatoczek, które tworzyło jezioro. Pościg krętą drogą w środku nocy mocno komplikował sytuację. Reflektory samochodu migotały między drzewami niczym spadające gwiazdy i Scott Sherrington obawiał się, że go zdradzą. Wątle światło ubywającego księżycyca momentami zniknęło między ciemnymi chmurami burzowymi, ale nawet

przy czystym niebie nie byłby w stanie przedrzeć się przez coraz gęstszy las. Możliwość jazdy po ciemku była absolutnie wykluczona, jeśli nie chciał wylądować w jeziorze – i w trumnie w postaci tego starego samochodu. Zgasił długie światła, zostawiając tylko pozycyjne, i skoncentrował się na obserwowaniu z daleka tylnych reflektorów capri, którego tracił z zasięgu wzroku na każdym zakręcie i odzyskiwał kawałek dalej. Opuścił szybę, żeby móc podążać za rozmytą białą linią, która wytyczała drogę po obu stronach i czasami ginęła wśród porostów i mchu, usiłujących ją ukryć.

Zwiększył odległość, kiedy zobaczył, że płatanina konarów nad drogą szczepiła się tak bardzo, że odnosiło się wrażenie, jakby pokonywało się ciemny tunel kolejowy, jednocześnie jednak dzięki temu można się było ukryć przed deszczem i jego hałasem, co pozwoliło Scottowi Sherringtonowi słyszeć warkot podrasowanego silnika capri. Gdyby nie to, być może nie zorientowałyby się, że John zwalnia, po czym zmienia bieg i zaczyna powolną jazdę dróżką, na której trawa urosła tak, że starła wyjeżdżone ślady. To była prowadząca w dół ścieżka, która pozostałaby niezauważona przez kogoś, kto nie znałby tego terenu tak dobrze jak Clyde. Drzewa, które zasłoniły niebo na ostatnim odcinku drogi, odsłaniały je wzdłuż dróżki, gdzie rosły coraz rzadziej, by zniknąć całkowicie w pobliżu jeziora. Chmury sunące z maksymalną prędkością tworzyły prześwity, przez które wyglądał księżyc, oświetlając ołowianą, pomarszczoną powierzchnię jeziora Katrine. Ciemne wody przypominały tej nocy wzburzone morze, wypychając swoją zawartość poza swe granice. Capri zatrzymało się dziesięć metrów od brzegu, pod koroną ostatniego dużego drzewa. Nie było już dokąd pójść. Scott Sherrington zgasił światła samochodu i zaparkował na poboczu, czując, że ziemia pod kołami zaczyna się uginać, rozmiękczone wskutek intensywnego deszczu. To niemożliwe, że koła capri nie zakopują się na grząskim brzegu jeziora, pomyślał.

Inspektor Scott Sherrington wymacał broń pod kurtką, wyjął ją z kabury, po ciemku wyciągnął magazynek i przesunął kciukiem po zaokrąglonej końcówce amunicji, licząc kule. Ze zdecydowanym kliknięciem i suchym uderzeniem wewnętrzną częścią dłoni na powrót wsunął magazynek, podniósł broń i przysunął

ją do twarzy, aż poczuł na skórze zimną stal, co miało dodać mu odwagi. Westchnął. Serce biło mu bardzo szybko. Próbuąc się uspokoić, powtórzył sobie w myślach wszystko, co wiedział o Biblijnym Johnie, zestawiał go z Johnem Clyde'em i wyliczał powody, dla których rok wcześniej wykluczył go z grona podejrzanych.

Clyde miał teraz trzydzieści siedem lat, a więc w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku musiał mieć dwadzieścia trzy, co najwyżej dwadzieścia cztery lata.

Scott Sherrington sądził, że Biblijny John na początku miał tylko szczęście. Clyde studiował wtedy w Edynburgu (na uniwersytecie, na którym dwa lata później zniknęły dwie dziewczyny) i nie miał samochodu. Przemieszczanie się z jednego miasta do drugiego stanowiłoby problem – to był jeden z powodów, dla których go wykluczył. Ale kiedy w poprzednim roku Noah włączył profil obu dziewczyn z uczelni w Edynburgu do swojej listy ewentualnych ofiar, odkrył, że Clyde jeździł ciemnym morrisem należącym do jednej z jego ciotek. Scott Sherrington miał utrwalone w pamięci każde z zeznań świadków zbrodni Biblijnego Johna. Jednemu z nich wydawało się – choć nie mógł przysiąc, że to prawda – że widział w przelocie Patricję Docker w noc jej śmierci w pobliżu Queens Park, przy przystanku autobusowym. Zobaczył, jak morris 100 traveller zatrzymuje się przy niej, ale nie był pewien, czy dziewczyna wsiadła do samochodu, czy nie.

Mając jeden trop i mnóstwo aspektów przeciwko, Noah przyjął, że głównym powodem wykluczenia Johnny'ego Clyde'a jest kwestia charakteru. Clyde wydał mu się po prostu nazbyt infantylny, żeby mieć na tyle zdrowego rozsądku, by przestać zabijać, zdystansować się od swoich zbrodni, nie wracać już na ten teren łowiecki, który tak mu sprzyjał, ale przede wszystkim ewoluować, wynieść swoje czyny na inny poziom. Bo Biblijny John ewoluował od czasu swojego pierwszego morderstwa. Pierwszą ofiarę porzucił na ulicy, naprzeciwko parkingu; dla drugiej wybrał ciemny i cichy park, gdzie mogła zostać znaleziona dopiero następnego dnia; trzecią zostawił w budynku przeznaczonym do rozbiórki. Dotarcie do ciała zajęło dwadzieścia cztery godziny. Pierwszą udusił jej własnymi rajstopami,

w przypadku drugiej i trzeciej zapewnił sobie broń w postaci kawałka sznurka do bielizny. Uczył się szybko i na bieżąco.

Trzy kobiety poznane w tej samej dyskotekce. Widziane z mężczyzną, którego prawie nikt zbyt dobrze nie pamiętał, nawet siostra ostatniej ofiary, Helen Puttock, która spędziła razem z nimi część nocy, a potem przejechała kawałek trasy taksówką. To na podstawie jej opisu wykonano pierwszy portret pamięciowy. Pozostali świadkowie zgadzali się co do tego, że facet powiedział, iż ma na imię John. Pseudonim „Biblijny”, jak to prawie zawsze bywa, wymyśliła prasa, bazując na słowach jednego ze świadków, który przypominał sobie mgliście, jak tamten cytował Pismo Święte (choć nie był tego do końca pewien). Ale możliwość, że tak było, w połączeniu z opisem uprzejmego, zadbanego i porządnego mężczyzny – tak porządnego, że cytuje psalmy – przyczyniła się do nadania mu przydomka „Biblijny John” i to był kolejny ważny powód przemawiający za wykluczeniem Clyde’a. Do takiego zabójcy jak Biblijny John nie pasowało bezmyślne przedstawianie się swoim prawdziwym imieniem.

Ówczesne gazety określiły te zbrodnie mianem „barbarzyńskich”. Wszystkie trzy ofiary miały w momencie śmierci menstruację. W mocno uproszczonej analizie ten aspekt zasugerował śledczym, że to w jakiś sposób irytowało zabójcę; sam fakt, iż miały okres, sprawił, że zostały zamordowane, być może dlatego, że z tego względu odmówiły uprawiania seksu, co go rozwścieczyło.

Scott Sherrington przejrzał prawie cały materiał dotyczący Biblijnego Johna. Przy tej sprawie pracowały setki policjantów, ale faktem jest, że pod koniec lat sześćdziesiątych gromadzenie czy przechowywanie dowodów nie było mocną stroną szkockiej policji ani żadnej innej. Ślady biologiczne nie zostały należycie zabezpieczone w czasach, kiedy wykonywanie analizy DNA było mniej realne niż lot na Księżyc. Nieliczne zebrane rzeczy przez lata leżały i pleśniały w piwnicy Mariny, a kiedy budynek został przeznaczony do rozbiórki, przewieziono je do biura CID w Edynburgu, żeby dalej obrastały pleśnią. Na szczęście były zdjęcia. Co prawda niezbyt dobrej jakości, ale Scott Sherrington przestudiował je milimetr

po milimetrze. To, co na nich zobaczył, znacznie wykraczało poza brutalne, barbarzyńskie i nieracjonalne zbrodnie, jakimi wydawały się na pierwszy rzut oka.

Wśród anarchicznego chaosu, jaki panował na miejscach zbrodni, gdzie przedmioty z torebek ofiar były porzucane czasami w bliższej, czasami w dalszej odległości od ciała, zupełnie bez żadnego sensu, Scott Sherrington odnalazł pewien rytm, pewną sekwencję. Ten cały bałagan skrywał cel, poszukiwanie konkretnej rzeczy: pod pasek albo tamponów. Mimo panującego nieładu zostały one bardzo starannie umieszczone pod plecami lub pod pachami ofiar, i to w tak przemyślany sposób, że dla niewprawnego oka było to po prostu przypadkowe. Nikt nie zwrócił na to uwagi – aż do trzeciej ofiary. Scott Sherrington nie lubił kryminalnych legend, nigdy nie zamierzał ich podsycać, ale w Biblijnym Johnie było coś, co go fascynowało – i wiązało się to z tym, że odkrył, iż miał on w swoich działaniach określony cel. To, że w chwili śmierci wszystkie trzy kobiety miały menstruację, nie mogło być zwykłym zbiegiem okoliczności. Noah zdawał sobie sprawę z tego, że w latach osiemdziesiątych, podobnie jak w latach sześćdziesiątych, dla większości mężczyzn menstruacja była tymczasową przeszkodą w uprawianiu seksu w te dni, kiedy żony były obolałe i rozdrażnione, a dla niektórych – gwarancją uniknięcia ciąży.

Detektyw Gibson miał rację co do jednego: Noah Scott Sherrington wierzył, że Biblijny John nadal żyje i nadal zabija, ale był też pewien, że w ciągu tych czternastu lat zmienił się na tyle, by mieć świadomość rozwoju kryminalistyki. Każdy przestępca wiedział, że zwłoki są niemym świadkiem i że dzięki środkom, jakimi dysponowano w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku, ślady i przedmioty pozostawione przy trzech kobietach zamordowanych w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym i tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku najprawdopodobniej doprowadziłyby do zatrzymania.

Otworzył drzwi samochodu i wysiadł. Cofnął się, obchodząc tył escorta. Zboczył ze ścieżki i pochyłony szedł między drzewami, które były coraz grubsze, choć im bliżej jeziora, zarazem mniej liczne. Przemieszczał się dalej, ukrywając się za

pniami i wypatrując w gęstwinie słabego światła księżyca, które od czasu do czasu wciskało się między ciężkie burzowe chmury. Wydawany przez drzewa trzask był wspnialy. Konary uderzały o siebie nawzajem i Scott Sherrington odniósł wrażenie, że wszędzie spadają kawałki złamanych wściekłością wiatru gałęzi. Musiał się skupić. W przeciwnym razie ryzykował, że pójdzie w niewłaściwym kierunku i znajdzie się na drugim końcu lasu. Jak gdyby ktoś wysłuchał jego modłów, tylne światła capri rozbłysły w ciemności niczym oczy legendarnego stwora. Teren był tu płaski; pod gęstym drzewem, przy którym zaparkował Clyde, ziemia wydawała się dość zbita, ale z tyłu po pochyłym zboczach spływała woda, tworząc mały, naturalny, błotnisty strumyk. Przednie reflektory samochodu były skierowane w stronę brzegu, oświetlając krople deszczu, które niczym firanki kołysane przez wiatr powiewały przed lampami capri.

Scott Sherrington się wzdrygnął. Nie zdając sobie z tego sprawy, podszedł bardzo blisko, zbyt blisko. Gdy to zauważył, cofnął się pospiesznie, próbując ukryć się za drzewem i przeklinając gałęzie trzaskające pod jego stopami. Jedno z tylnych świateł capri zniknęło, kiedy Johnny stanął przed nim, żeby otworzyć klapy bagażnika. Wyjął coś ze środka i nie zamykając go, skierował się nad brzeg jeziora. W pierwszej chwili Noah pomyślał, że to broń, strzelba myśliwska, których nie brakowało w tym regionie. Kiedy jednak Clyde przeszedł przed reflektorami samochodu, dostrzegł, że to łopata. Johnny zatrzymał się jakieś trzynaście stóp od brzegu. Popatrzył na jezioro i podniósł głowę, jakby błyskawice, grzmoty i ogromna ilość lodowatej wody, która przemoczyła go już do suchej nitki, były częścią jego ciała. Rozpostarł ramiona, naśladując Freddiego Mercury'ego. Scott Sherrington z niedowierzaniem obserwował spektakl, który tamten prezentował w deszczu na jego oczach. John trwał tak przez wiele sekund, zupełnie jakby jego umysł słyszał wielką owację, a potem opuścił ręce i zaczął kopać.

Noah przez chwilę patrzył, jak przerzuca rozmiękłe błoto – pracował w dobrym tempie, w czym pomagał miękki teren. Potem Scott Sherrington skulił się najbardziej, jak mógł, żeby czerwone światło tylnych reflektorów nie zdradziło jego obecności, i podszedł do samochodu.

Pakunek nie był zbyt masywny. Przykrywał go koc w szkocką kratę, wykończony lamówkami z czarnego plastiku. Nawet w małym bagażniku capri jego obecność sprawiała wrażenie nieznaczącej. Scott Sherrington przykłęknął i poczuł, jak ziemia zapada się pod jego ciężarem niczym miękkie masło. Wyjrzał z jednej strony samochodu, aby się upewnić, że Johnny dalej kopie. Zdrętwiałe palce wsunął pod koc. Opuszki musnęły gładkie i lodowate ciało, które znajdowało się pod spodem. Błyskawicznie cofnął rękę, przestraszony. Nie było to już konieczne, jednak mimo wszystko odsunął koc. Zobaczył kobietę, małą, choć już nie dziewczynkę. Zgodnie z protokołem poszukał pulsu, przykładając dwa palce do jej szyi, a następnie dotknął szczęki, na której pojawiły się już pierwsze oznaki *rigor mortis*. Skóra twarzy wyglądała na postarzałą ze względu na rozmazany makijaż i otrzymane ciosy, brzuch przypominał zapadnięte wzgórze – miał ten workowaty kształt, typowy dla kobiet, które były w ciąży więcej niż raz. Na nagim ramieniu miała wytatuowane trzy imiona, prawdopodobnie swoich dzieci: Sam, Gillian i Andrew, otoczone kwiatami i motylami. W przestrzeni między nogami Clyde upchnął zwinięte w kłębek ubranie dziewczyny. Na stosiku leżały majtki w nieokreślonym jasnym kolorze, na których była widoczna ciemna plama krwi menstruacyjnej. Tak jak w przypadku wszystkich ofiar Biblijnego Jona, pomyślał Noah. To była jedna z wielkich tajemnic dla badaczy profilu tego zabójcy: w jaki sposób udawało mu się wydobyć tak wrażliwą informację od dopiero co poznanych kobiet? Może wyjawiały mu to, kiedy proponował im uprawianie seksu? Czy gniew wywoływała w nim, jak myśleli ówczesni śledczy, frustracja związana z odmową? Noah nie wierzył w to ani przez chwilę.

Poczuł zawroty głowy, zmrużył więc oczy, żeby je pokonać. Ogromna gęła, która powstała w jego żołądku, przesunęła się w stronę klatki piersiowej, znowu przypominając to wrażenie pełności, które towarzyszyło mu od dłuższego już czasu. Myślał, że zwymiotuje, ale nie było to możliwe, bo nie jadł od wielu godzin. Gdy mdłości ścisnęły go za gardło, Scott Sherrington wstrzymał oddech, starając się nie kaszleć, choć był pewien, że w środku tego niebywałego hałasu John nie mógłby go usłyszeć, nawet gdyby Noah wykrzyknął jego imię. Zaczekał cierpliwie,

aż niepokój minie, po czym gestem wyrażającym największy szacunek ponownie przykrył ciało.

Burza przybrała na sile, chmury całkowicie zasłoniły niebo i jedynie błyskawice nad wzgórzami od czasu do czasu rozświetlały czarną noc. Noah ruszył bokiem na otwartą przestrzeń, wciąż starając się nie ujawnić swej obecności w świetle reflektorów samochodu. Szedł pochylony, przemoczony do suchej nitki, woda spływała mu po twarzy i wpadała do oczu, zmuszając do mrugania, psując i tak już słabą widoczność. Dyszał. Nerwy pętały mu figła. Miał świadomość swojej sytuacji, niebezpieczeństwa, jakie mu groziło, ale było coś jeszcze. To tak, jakby tamte czerwone światła przy torach dalej migąły w kącikach jego oczu, na granicy widzenia peryferyjnego. Znak ostrzegawczy, sygnał alarmowy, którego nie zdołał się pozbyć od chwili, gdy ford capri Johna Clyde'a przejechał przez tory z zawrotną prędkością. A może to było wcześniej? Przemoczonym rękawem kurtki wytarł twarz. Siła wody spływającej w kierunku jeziora ciągnęła za sobą podłoże pod jego stopami; czuł, jak z każdym stawianym krokiem się zapada. Miękka ziemia z łąki, która nagromadziła się przy brzegu, stała się już częścią akwenu, zaś delikatne nachylenie zbocza za plecami Noaha sprawiało, że woda spływała z przerażającą prędkością, niosąc ciemną glebę prosto w głąbiny.

Znajdował się jakieś dziesięć metrów od wykopywanego przez Johnny'ego dołu, kiedy usłyszał krzyk. Właściwie niemal ryk, pełen czystej frustracji. Scott Sherrington instynktownie rzucił się na ziemię. Bardzo powoli podniósł głowę i zobaczył, że Clyde przesunął się o czternaście lub piętnaście stóp w swoją lewą stronę, poza zasięg reflektorów. Przerzucał tam ziemię, ale po chwili przesunął się o kolejne sześć stóp do przodu, bliżej brzegu, i znowu zaczął kopać. Noah niczego nie rozumiał, przypuszczał, że kopie dół, żeby pogrzebać w nim tę biedną dziewczynę. Johnny znowu krzyknął; pełne gniewu wycie dało się wyraźnie słyszeć pośród burzy. Niczym szalenciec, bez sensu ani określonego kierunku, zaczął chodzić tam i z powrotem, w lewo i w prawo, tu i ówdzie przerzucając łopata błoto wzdłuż rozległego grząskiego brzegu jeziora. Ze zbocza wzgórza w stronę zatoki nadal spływały strumienie wody, łącząc się z falami, które wiatr

popychał w stronę ziemi, jakby próbował opróżnić jezioro. Johnny stał po łydki w szlamie i dalej przerzucał partie niemal wodnistego błota, które spływało z łopaty. Nagle padł na kolana, jakby trafił go jeden z piorunów, które przecinały niebo, i rzuciwszy łopate, użył własnych rąk, żeby wydobywać błoto. Potężna błyskawica rozświetliła noc i Scott Sherrington był pewien, że gdyby tylko Johnny podniósł głowę, zobaczyłby go. Ale Johnny'ego interesowało tylko to, co właśnie wyłoniło się z ziemi. To była czaszka. Musiała leżeć tam sporo czasu, bo światło błyskawicy wydobyło białawy blask z kości opłukanych przez deszcz. Clyde się podniósł i ruszył kawałek dalej, próbując zakryć rękami straszny widok, jaki ukazywał się wraz z kolejnym otwierającym się dołem.

Scott Sherrington znowu usłyszał jego krzyk.

– Niiieeeeeee, nie, nie...

Clyde ponownie padł na ziemię.

Przemieszczał się bokiem, nawet nie próbując się podnieść, czołgał się w szlamie, aż uklęknął przed kolejnym otwierającym się grobem. Rękami rzucał płynne porcje błota na czaszki swoich ofiar, bezskutecznie próbując ponownie je pogrzebać. Jego prywatny cmentarz otwierał się tu i ówdzie, bez litości ujawniając swoją zawartość. Noah naliczył trzy. Trzy ciemne kwiaty wyrastające z błota. Zadrzał, przerażony siłą tego dowodu. Johnny Clyde był Biblijnym Johnem, a to był jego osobliwy cmentarz. Trzymając broń obiema rękami, podniósł się i kolejny raz upewnił, czy jest odbezpieczona. Ruszył, głośno rozchlapując wodę spod stóp, choć w środku tego huku nawet on sam nie mógł siebie słyszeć. Wreszcie stanął za Johnem, który w dalszym ciągu jęczał, rzucając błoto na szarawe szczątki ciała, już prawie w całości widocznego na powierzchni.

Scott Sherrington krzyknął:

– Policja! Nie ruszać się!

John nadal rzucał na zwłoki błoto, które wydobywał z ziemi własnymi rękami, jakby nic nie usłyszał.

– Johnie Clyde, jesteś aresztowany! – Noah dotknął jego głowy lufą pistoletu. – Kładź się na ziemię! Na ziemię!

Ale John nie położył się na ziemi, John dalej wydobywał błoto, na darmo usiłując zakryć twarz trupa. Sprawiał wrażenie oderwanego od rzeczywistości, majaczył, pogrążony we własnych myślach. Kiedy Noah już sądził, że będzie musiał powalić tego szaleńca, on się odwrócił, uderzając w nogi policjanta łopata, której szukał pośród błota, gdy udawał, że kopie. Scott Sherrington padł na ziemię i stracił broń, tymczasem John usiadł na nim, przyciskając łopatę do jego klatki piersiowej. Noah natychmiast zorientował się w sytuacji. Bez wątplenia był silniejszy od Johna, ważył co najmniej czterdzieści pięć funtów więcej, ale przeszkadzał mu szlam, utrudniający poruszanie nogami, które grzęzły w błocie. John nie puszczał łopaty, choć strumienie wody schodzące ze wzgórza momentami zalewały mu twarz, uniemożliwiając oddychanie. Noah usiłował się podnieść, żeby zaczerpnąć powietrza; walcząc z instynktem, by chwycić końce łopaty, uwolnił prawą rękę, zacisnął ją w pięść i z całej siły uderzył w twarz Johna Clyde'a, który mimo przewagi upadł na bok niczym kukła. Noah podniósł się do klęku, desperacko szukając broni pośród szlamu i wody. Nie widział jednak niczego. Zapomniał o pistolecie i rzucił się na Johna, który w oszołomieniu trzymał się za głowę, w miejscu, gdzie uderzył go Noah. Zabójca próbował stawić inspektorowi czoło, ale to kosztowało go kolejne dwa ciosy – jeden w twarz, a drugi w bok, co sprawiło, że padł na brzuch. Nie dając mu czasu na reakcję, Noah usiadł na nim okrakiem, mając świadomość, że teraz to John desperacko walczy o to, by wyciągnąć twarz ze szlamu. Wykręcił mu ręce i podczas gdy go trzymał, wolną dłonią odszukał kajdanki, które nosił przyzcpione do paska. Zacisnął klamrę na nadgarstku, a potem na drugim; usłyszał charakterystyczny szcęk, gdy się zamknęły. Dopiero wtedy wstał i chwycił Johna, podnosząc go na kolana i pozwalając mu złapać oddech.

Deszcz nieco zelżał, chmury utworzyły prześwit i księżyc oświetlił obu mężczyzn.

Najpierw dało się słyszeć jakby cichą czkawkę, tak jak wtedy, gdy ktoś przestraszony głęboko nabiera powietrza; później jęk stał się wyraźny i dźwięczny. To był głęboki, przerażający płacz, który zdawał się dochodzić zewsząd. Obaj zamarli, wyczuwając ruch wokół siebie. Po chwili Noah odwrócił głowę w stronę światła capri, zastanawiając się, jak to jest możliwe. Kobieta z samochodu nie żyła od wielu godzin. Jego uwagę zwrócił znacznie bliższy ruch. Ciała dam z jeziora, władczyń tego osobliwego cmentarzyska, uwolnione z grobów przez potężną burzę, płynęły prosto w miłosne objęcia wód Trossachs.

Niesamowity widok.

John dyszał, wciąż klęcząc. Noah też potrzebował złapać oddech. Głęboko nabrał powietrza. I to było ostatnie, co zrobił. Atak serca, który wisiał nad nim w ciągu ostatnich godzin, który przez cały wieczór wysyłał mu wiadomości, uderzył w niego z taką samą prędkością, z jaką w tej właśnie chwili błyskawica przecięła niebo. Gdy inspektor Noah Scott Sherrington padł na ziemię, był już martwy.

Biblijny John

John miał twarz całą w błocie i ręce skute za plecami. Sapał z wysiłku, próbując odzyskać oddech, kiedy ten człowiek padł obok niego.

W pierwszej chwili pomyślał, że facet poślizgnął się na szlamie i że zaraz wstanie, ale kiedy sekundy mijały, a tamten wciąż się nie ruszał, przyjrzał mu się uważniej.

Inspektor leżał prawie na boku, przekrzywiona głowa zwisała na lewym ramieniu.

John popchnął go kolanem i facet opadł niczym kłoda na plecy – z wywróconymi oczami i otwartymi ustami, jakby śmierć zaskoczyła go w połowie oddechu.

Patrzył na niego, niedowierzając własnemu szczęściu. Gdyby nie miał rąk skutych za plecami, sprawdziłby mu tętno, ale skoro nie mógł tego zrobić, nachylił się nisko, aż jego nos i usta znalazły się przy nosie i ustach policjanta. Trwał tak przez kilka sekund, aż się przekonał, że tamten nie oddycha. Nie żył. John nie był pewien, co się właściwie stało. Dużo czytał na temat śmierci i wiedział, że można umrzeć nagle. Nie miał pojęcia, czy to właśnie wydarzyło się tym razem, czy może trafił go piorun, ale rzeczywistość wyglądała tak, że facet nie żył. Kosztowało to trochę wysiłku, zanim John z kieszeni trupa wydobył kluczyk do kajdanek. Ściskając go w dłoni, wstał. Trudno będzie mu wrócić do Harmony Cottage przez błotniste zbocza, ale nie zamierzał ryzykować próby zdjęcia kajdanek tutaj: gdyby kluczyk wyślizgnął mu się z dłoni, nigdy by go nie znalazł. Końcówką buta

popchnął głowę policjanta, która zakołysała się i obróciła w drugą stronę. W nikłym świetle reflektorów capri obserwował jego twarz. Mokra, umazana w błocie i szlamie – nie mógł sobie przypomnieć, czy kiedyś już ją widział. Ruch w grobach, które dalej otwierały się wokół niego niczym kwiaty zła, wyrwał go z zamyślenia.

Choć w obliczu pilnej potrzeby logiczną rzeczą byłoby gorączkowe działanie, John wiedział, że właśnie w chwilach największego pośpiechu należy zwracać uwagę na znaki. A on stał się ekspertem w ich odczytywaniu, odkąd Bóg zesłał mu pierwszy znak w dniu jego trzynastych urodzin.

Przez kilka chwil stał w miejscu, rozglądając się dookoła, żeby uświadomić sobie, co oznaczają te sygnały.

Oddalająca się burza błyskała przelotnie za wzgórzami otaczającymi jezioro. Nieczyste kobiety wypływały ze swoich grobów, kierując się w stronę rwących wód. Księżyc torował sobie drogę między chmurami przemieszczającymi się z maksymalną prędkością i oświetlał brzegi Katrine. A martwy policjant leżał u jego stóp.

Zaczerpnął głęboko powietrza naładowanego elektrycznością i ozonem, z dumą podniósł głowę i się uśmiechnął. Doskonale wiedział, co powinien zrobić. Wtedy ponownie usłyszał ten jęk, który zdawał się dochodzić zewsząd. Agoniczny szloch wtargnął do jego uszu, ścierając uśmiech z twarzy. To również był znak.

Trzęsąc się ze strachu, pobiegł w stronę lasu.

Chłopiec

Chłopiec nie wiedział dlaczego, ale było ważne, żeby po wypraniu szmat rozłożyć je dokładnie rozciągnięte na trawie w świetle księżyca, by poranna rosa mogła je odświeżyć. To też zajmowało mu dłuższą chwilę. Wyżymał jedną po drugiej, starając się pozbyć wody, po czym strząsał z suchym trzaskiem, co brzmiało niczym smagniecie biczem, i rozkładał na trawie. Do domu mógł wrócić dopiero wtedy, kiedy miał pewność, że praca została porządnie wykonana. Wtedy będzie już późno i one usną, ale w piecu będzie się palić, bo przed pójściem do łóżek zawsze podkładały opał, żeby aż do świtu utrzymać w domu ciepło.

Chłopiec będzie wycieńczony i będzie mu bardzo zimno. Mimo to nie wejdzie do środka od razu. Zawsze musiał trochę odczekać, żeby się uspokoić i przestać płakać. Jeśli jego szloch je obudził, denerwowały się.

Po otwarciu drzwi będzie obserwował wewnątrz domu: jedyne światło w pomieszczeniu pochodziło z powoli palącego się ognia. Przez parę minut będzie uważnie nasłuchiwał, aż nabierze pewności, że tylko on nie śpi, i wtedy zamknie drzwi na klucz. Unikając skrzypiących desek w podłodze, powoli podejdzie, żeby się ogrzać. Rozłoży wytarty pled, którym przykrywano drwa, i położy się na nim, przysuwając swoje zziębnięte rączki do żeliwnego pieca, aż w końcu zaśnie. Zimą woda w balii była tak lodowata, że często budził się z zaczerwienionymi i spuchniętymi od odmrożeń palcami, ale nie zważał na to.

Marząc o ciepłym piecu oraz zapachu mchu i drewna wydzielanym przez pled, strząsnął jedną ze szmat i oglądając ją z obu stron, upewnił się, że nie została ani

jedna plama. To proste: w świetle księżyca krew była czarna. Rozłożył ostatnią szmatę na trawie i podnosząc ręce, zobaczył ciemne linie pod paznokciami, a nawet przy skórkach. Wypuścił z płuc całe powietrze i poczuł, jak mdłości suną po jego wnętrznościach, jak wspinają się do głowy. Wydał z siebie jęk, skowyt niczym ranne szczenię. Wystawiając ręce do światła księżyca, niemal krzyknął na widok zakrzepłej krwi, która znajdowała się na jego skórze, stając się jego nieodłączną częścią. Nozdrza błyskawicznie wypełnił mu zapach zepsutej ryby, martwej owcy, padliny i zgnilizny, jak gdyby trzymał ręce w drewnianym wiadrze z zakrwawionymi szmatami. Dysząc ciężko, spanikowany pobiegł do balii, odkręcił kran, wbił palce w bezkształtną masę mydła ługowego i drewnianą szczotkę ze świńskiego włosia zaczął szorować swoje drobne ręce, próbując pozbyć się tego brudu, tego horroru. Tarł je z całych sił, aż czarne plamy pod paznokciami zlały się z jego własną krwią wypływającą z miejsc, w których zdarł sobie skórę. Ale chłopiec dalej szorował i krzyczał przerażony. I wiedział, że nie przestanie już nigdy, kiedy – ponownie wystawiwszy dłonie do srebrzystego światła księżyca – zobaczył, że całe zabarwiły się na czarno.

Nie masz pojęcia, jak mi ciężko

YOU DON'T KNOW HOW BAD I GOT IT

Proszę pana, proszę pana, słyszy mnie pan?

Głos docierał z bardzo daleka.

– Jak się nazywa? Imię?

Odpowiedział mu drugi głos.

– Noah, ma na imię Noah.

– Noah, niech pan otworzy oczy – nakazał ten pierwszy głos.

Otworzył je, choć nie widział niczego. Światło było białe, raniło, a on czuł ogromne zmęczenie. Chciał spać. Zamknął oczy i pozwolił się pochłonąć nieświadomości. Ale głos nalegał. Mówił bardzo głośno władczym tonem:

– Noah, wiem, że pan nie śpi, proszę otworzyć oczy i na mnie spojrzeć. Proszę nie próbować mówić, bo będzie bolało. Niech pan powoli otworzy oczy, proszę mi zaufać. – W tym głosie było coś, co przypominało mu pana Parksa, jego nauczyciela ze szkoły podstawowej.

Posłuchał i tym razem zdołał coś zobaczyć. Męską twarz, choć mocno zamazaną. Zakręciło mu się w głowie i poczuł, że mdłości ściskają mu gardło. Próbował otworzyć usta, lecz nie mógł tego zrobić. Ogarnęła go panika.

– Noah, jest pan na oddziale intensywnej terapii w szpitalu w Edynburgu. Jestem doktor Handley. Proszę mnie uważnie posłuchać, ma pan w gardle rurkę intubacyjną. Jeśli mnie pan zrozumiał, proszę zamrużyć dwa razy. – Mocno zacisnął powieki. – Jest pan podłączony do respiratora, ale uważamy, że może pan już oddychać samodzielnie. – Następnie zwrócił się do kogoś, kogo Noah nie mógł widzieć: – Dobrze zareagował na testy spontanicznego oddechu?

– Oddech własny i rytm serca prawidłowe.

Znowu zobaczył przed sobą twarz.

– Dobrze, przytrzymajcie go za ręce. Odłączymy go.

Usłyszał bulgotanie, jakie wydawał respirator, i poczuł, że rurka wysuwa mu się z gardła.

– Proszę oddychać! – nakazał doktor Handley.

Zrobił to.

Powietrze miało smak alkoholu i metalu i było ciepłe.

– Jak długo...? – Głos mu się załamał. Lekarz miał rację: bolało tak bardzo, że instynktownie spróbował podnieść ręce do szyi. Nie mógł. Gdy nimi poruszył, usłyszał metaliczne pobrzękiwanie poręczy łóżka.

– Dwa dni – odpowiedział lekarz.

– Komendant Graham... muszę z nim pomówić... – wyszeptał, usiłując w ten sposób powstrzymać ostrza, które rozrywały mu przełyk.

– Jeszcze za wcześnie na wizyty. Ale proszę się nie przejmować, komendant policji przez cały czas czuwał przy pańskiej sali. Już wszystko wie.

Wciąż czuł obecność rurki w tchawicy, chociaż wiedział, że już jej tam nie ma.

– Proszę mu przekazać, że to John Clyde.

– Wszystko wie, niech pan odpoczywa – powtórzył stanowczo lekarz.

Noah zamknął oczy i natychmiast zasnął.

Doktor Handley wszedł do pokoju i ostrożnie zamknął za sobą drzwi. Przez kilka sekund stał, obserwując mężczyznę, który zajmował łóżko pod oknem. Noah siedział, zgięte kolana obejmował ramionami. W dokumentacji widniało, że ma czterdzieści dwa lata. Był szczupły i silny, jego bladość kontrastowała z ciemnymi, gęstymi włosami, które kręciły mu się na karku i czole. Zamyślony patrzył przez okno po swojej prawej stronie. Nawet w stanie spoczynku w jego posturze było widać pośpiech i dynamikę, co Handley, który był kardiologiem przez połowę swojego życia, odczytał jako coś negatywnego. Niezadowolony zacisnął usta, po czym ruszył w stronę łóżka, zwracając tym uwagę swojego pacjenta.

– Noah Scott Sherrington.

Noah odwrócił się do niego wyczekująco. Znowu ta energia.

– Domyślam się, że jest pan kardiologiem – odpowiedział, wyciągając rękę, którą lekarz uściśnął. – Jak pan sądzi, kiedy będę mógł przyjmować gości albo chociaż rozmawiać przez telefon? Muszę pomówić ze swoim szefem. To ważne. Nie pozwolono mi nawet przejrzeć prasy – powiedział, rozglądając się nieufnie.

– Proszę się nie przejmować, pan Graham był informowany na bieżąco, odkąd pan tu trafił. Przekazał nam, że nie ma pan rodziny, więc pozwolono, żeby zobaczył się z panem na oddziale intensywnej terapii.

Handley wskazał gestem łóżko i Noah przesunął się nieco, żeby mógł usiąść.

– Jak się czujesz, Noah? Mogę mówić ci po imieniu?

Scott Sherrington przytaknął zdecydowanie.

– Tak, dobrze, czuję się bardzo dobrze.

Lekarz uśmiechnął się łagodnie.

– Nie odczuwasz żadnego dyskomfortu?

– No cóż... – Na jego twarzy pojawił się wymuszony uśmiech. – Jestem trochę zmęczony, boli mnie gardło i żebra – odparł, kładąc sobie rękę na boku. – Ale pielęgniarka mi powiedziała, że to normalne ze względu na ucisk przy... – Zamilkł, nie kończąc zdania.

– Reanimacji – uzupełnił doktor Handley.

– Wydaje mi się, że pielęgniarka powiedziała resuscytacja...

Uwadze Handleya nie umknęła posepność, w jaką Noah przywdział to słowo.

– Co pamiętasz z tamtego dnia, Noah? Opowiedz mi wszystko, co przychodzi ci do głowy, ze szczegółami. To ważne.

Noah spojrział w lewo, z wyraźną wolą podjęcia tej próby.

– Ścigałem podejrzanego. Zatrzymałem się przed przejazdem kolejowym. I wtedy zobaczyłem samochód, który przejeżdżał przez tory w przeciwnym kierunku, w sposób... Cóż, rozpoznałem rejestrację i postanowiłem za nim ruszyć.

Było widać jego doświadczenie w składaniu raportów. Doktor Handley zwrócił uwagę na to, że ograniczał się do odtwarzania faktów, a nie odczuć.

– Natychmiast się zorientowałem – ciągnął – że kieruje się w stronę jezior, do domu. Jechałem za nim jakieś dwadzieścia pięć mil, aż nad jezioro Katrine. Zaskoczyłem podejrzanego... powiedzmy, że podczas czynu zabronionego. Walczyliśmy, walczyliśmy dobrą chwilę, udało mi się zakuć go w kajdanki... i... to wszystko. – Noah zamilkł, a potem porzucił swój profesjonalny ton, jakim zdawał relację, i zdezorientowany dodał: – Potem nie było już nic. – Przeniósł wzrok na okno, błędząc po nim smutno.

Handley oderwał jego uwagę od szyby kolejnym pytaniem:

– Nie pamiętasz, czy w ciągu dnia miałeś jakieś nietypowe objawy? Duże zmęczenie, brak tchu, niepokój?

– Nie.

Lekarz popatrzył na niego podejrzliwie.

– A spuchnięte nogi albo stopy? Czuleś jakiś dyskomfort?

– Tak, ale założyłem nowe buty. Myślałem, że to dlatego – odparł, wzruszając ramionami.

– Niech zgadnę. Kupiłeś sobie nową parę butów, bo stare cię uciskały.

– Tak.

– Prawdopodobnie o numer większe, ale one też cię uciskały, prawda?

Doktor Handley pisał coś w swoim raporcie.

– Pocienie się bez wyraźnego powodu, nagłe ciepło albo zimno, palpacje, panika albo poczucie zagrożenia...?

Noah przytakiwał na każde jego słowo.

– I niestrawność – dodał. – Przez cały dzień czułem coś podobnego do głodu, ale wiedziałem, że nie mogę nic przełknąć, jakbym najadł się do syta.

– I nie pomyślałeś, że to dziwne? Że coś może się z tobą dziać?

– Tak, miałem przeczucie.

– Słucham? – zdziwił się Handley.

– Instynkt, intuicja, szósty zmysł, trudno wyjaśnić. Czułem to wiele razy wcześniej i zawsze wiązało się to z czymś, co miało się niebawem wydarzyć. Kiedy czerwone światła na przejeździe kolejowym zaczęły migać, to przeczucie stało się tak wyraźne, że mógłbym chwycić je dłońmi, a kiedy zobaczyłem, że capri przejeżdża przez tory z największą prędkością, wiedziałem to na pewno, było to dla mnie tak oczywiste, że nie miałem żadnych wątpliwości.

– Przeczucie – powtórzył lekarz. – Albo objawy ataku serca.

Noah odszukał jego spojrzenie, domagając się wyjaśnień.

– A więc nie ma wątpliwości, prawda? To był zawał? Poznałem tu, w Edynburgu, pewnego gościa, patrolowego, nazywa się Joe Chambers. Dostał zawału, kiedy jechał samochodem ze swoim kolegą. Miał szczęście, bo znajdowali się bardzo blisko szpitala, możliwe nawet, że tego samego. Kiedy spotkałem go ponownie, był chudszy o sześćdziesiąt sześć funtów i już nie pił ani nie palił. Teraz siedzi za biurkiem.

Handley popatrzył na niego ze współczuciem. Tak jak się spodziewał, gdy tylko go zobaczył: najpierw udawał, że nic się nie stało, a teraz próbował negocjować.

– Noah, dziś powtórzę badania, ale nawet w tych, które ci zrobiliśmy, kiedy tu trafiłeś, poziomy cholesterolu, glukozy i czerwonych krwinek były w normie. Spójrz na siebie, nie masz nawet dwóch funtów nadwagi. Twoje nerki i wątroba funkcjonują prawidłowo i chociaż wiem, że palisz, to wyniki nie wskazują na życie

pełne ekscesów. Jest duża różnica między tym, co przytrafiło się twojemu znajomemu, a tym, co spotkało ciebie.

– Ale dostałem zawału, prawda? – zapytał zdeorientowany.

– Owszem, miałeś atak, ale z innych powodów. Twoje serce jest chore, Noah, bardzo chore. Styl życia może mieć wpływ, ale to, co ci dolega, to nie to samo, co przydarzyło się twojemu koledze. To się nazywa kardiomiopatia rozstrzeniowa.

Noah spojrzał na niego badawczo.

– Brzmi bardzo poważnie.

– Bo to jest poważne, Noah. Chciałbym nie musieć być taki bezpośredni, ale to istotne, żebyś wiedział o tym jak najwcześniej. Od tej chwili twoje życie się zmieni i musisz dostać wszystkie informacje. Zgoda?

Noah skinął powoli.

– Zgoda – wyszeptał. – Kardio...

– Kardiomiopatia rozstrzeniowa – powtórzył doktor Handley, po czym z teczki, którą miał przy sobie, wyjął kilka kartek. – Do zatrzymania krążenia doszło w chwili, kiedy walczyłeś, wskutek nadmiernego wysiłku. Lęk, nerwy, zmęczenie fizyczne, ale i tak by do tego doszło w jakimkolwiek innym momencie. To musiało się stać. Rozumiesz?

Noah znowu zacisnął usta, skołowany.

– Ale nie pamiętam niczego, ani bólu, ani upadku, myślałem, że zawał serca poprzedzają jakieś objawy i że to strasznie boli.

– To mechanizm obronny, mózg blokuje moment wielkiego cierpienia, ale w twoim przypadku, oprócz tego, wszystko wydarzyło się bardzo szybko. To był zawał serca, który doprowadził do zatrzymania krążenia. Nagła śmierć.

Noah podniósł rękę do ust. Spomiędzy palców rozległ się przybity głos.

– A więc to prawda? Byłem martwy.

Lekarz przytaknął.

– Tak, to prawda.

– W takim razie jak to możliwe, że...?

– Złożyło się na to kilka sprzyjających dla ciebie okoliczności. Jeden z myśliwych, którzy cię znaleźli, był pielęgniarzem w wojsku i pamiętał, jak wykonać reanimację. Nie udało mu się przywrócić czynności życiowych, ale dzięki jego działaniom serce pracowało w minimalnym stopniu. Niska temperatura wody niewątpliwie też działała na twoją korzyść. Kiedy przywieziono cię do szpitala, byłeś jeszcze bardzo zimny, co chroniło twój mózg przed uszkodzeniami z powodu braku tlenu i było jednym z powodów, dla których zdecydowaliśmy się na reanimację. Ale przez dłuższy czas miałeś zatrzymane krążenie.

Handley pokazał mu wykres.

– Elektrokardiogram nie pozostawia wątpliwości. Masz blok lewej odnogi pęczka Hisa, tutaj zobaczysz to lepiej – powiedział, rozwijając rolkę papieru, który zajął całe łóżko. – To echokardiografia w trybie M, pokazuje przekrój twojego serca w jednej płaszczyźnie. To najdokładniejsze badanie diagnostyczne, do jakiego mamy obecnie dostęp. – Wydruk na papierze pokazywał komory serca. Lekarz wyznaczył segmenty, żeby zmierzyć wymiar komór.

Noah był oszołomiony. Przełknął ślinę, starając się skupić uwagę.

– Spójrz, wymiar lewej komory w rozkurczu wynosi dwa i pół cala – powiedział Handley, wskazując odpowiednie miejsce. – Norma to nieco ponad półtora cala. A frakcja wyrzutowa, czyli siła, z jaką twoje serce pompuje krew, wynosi dwadzieścia pięć procent. Normalnie powinno być ponad sześćdziesiąt procent. To oznacza, Noah, że siła skurczu mięśnia sercowego jest od dwóch do trzech razy mniejsza, niż powinna być. Choroba sprawiła, że twoje serce się rozszerzyło, jak plastikowa torebka, która została rozciągnięta, a teraz nie może wrócić do pierwotnego stanu. To poważna niewydolność.

– Już rozumiem – odparł pospiesznie, jakby chciał zakończyć ten temat, nie odrywając jednak wzroku od ciemnych dziur na echokardiogramie swojego serca. – A jak wygląda leczenie?

Lekarz westchnął.

– Noah, nie ma leczenia. Oczywiście są pewne lekarstwa, które mogą ułatwić ci życie; diuretyki na zatrzymanie wody w organizmie, na uniknięcie opuchlizny stóp, będziesz też musiał wyeliminować z diety sól. Do tego wyciąg z naparstnicy, który pomoże ci utrzymać rytm serca. Przepiszę ci też nitroglicerynę, w razie gdybyś poczuł większe duszności... To tabletki, które kładzie się pod język, dawkowanie wyjaśnię ci dokładnie, kiedy będziesz wychodził do domu. Ale najważniejszą pracę będziesz musiał wykonać ty sam, przystosowując styl życia do nowych okoliczności...

Noah mu przerwał.

– Co to znaczy, że nie ma leczenia? A te wszystkie lekarstwa, które pan wymienił?

– Noah, kardiomiopatia rozstrzeniowa to choroba śmiertelna.

– Śmiertelna – powtórzył Noah, zaskoczony. – Ile mam czasu?

– Nie da się tego stwierdzić. Kilka miesięcy...

– Ile miesięcy?

– Jesteś jeszcze młodym i silnym mężczyzną. Cztery, sześć... Trochę więcej, jeśli będziesz o siebie dbał.

– Trochę więcej... – Noah wykrzywił usta w grymasie, który postronny obserwator mógłby wziąć za uśmiech, ale doktor Handley wiedział, że to rozpacz toruje sobie drogę.

– A co to oznacza, że mam o siebie dbać? Jakie życie mam prowadzić?

Lekarz zwlekał z odpowiedzią parę sekund.

– Nie będziesz mógł wrócić do pracy, nie możesz wykonywać żadnego wysiłku, jak podnoszenie ciężkich rzeczy, wchodzenie po wielu schodach czy bieganie. Wszystko należy robić wolniej. Unikać nadmiernego wysiłku psychicznego, nerwów. Będziesz musiał zmienić dietę i przyzwyczajenia, alkohol to trucizna dla twojego serca, oczywiście koniec z tytoniem, obfitymi posiłkami, żadnej soli...

Noah słuchał go na poły z niedowierzaniem, na poły ze złością. Pokręcił głową, podniósł ręce i zakrył nimi oczy, po czym opuścił powoli, niemal wściekle, jakby w akcie bezradności chciał zerwać konsternację z twarzy. Przy ustach zacisnął dłonie w pięści i pomału otworzył oczy.

– A jaka jest tego przyczyna? Powiedział pan, że moje wyniki są dobre.

– W tej chwili nie da się tego stwierdzić. Czasami wiąże się to z pewnymi chorobami albo ich leczeniem, ale sprawdziłem twoją dokumentację medyczną i nie ma tam nic godnego uwagi. Przyczyną może być zwykły wirus, jak ten, który wywołuje katar. Niektórzy z moich kolegów twierdzą, że choroba ma podłoże genetyczne, ale pan Graham przekazał mi, że twoi rodzice zginęli lata temu, jak rozumiem, w wypadku domowym... tak więc nie da się ustalić związku.

Ale Noah już nie słuchał. Mamrotał pod nosem:

– Kilka miesięcy...

– Noah. – Doktor Handley wymówił jego imię, jakby przywoływał jego uwagę, świadomy oszołomienia, jakie czuje pacjent.

– A przeszczep? Czytałem artykuł na ten temat.

Lekarz westchnął niezadowolony.

– To science fiction, Noah. We Francji i w Stanach Zjednoczonych poczyniono pewne postępy u zwierząt, ale w nielicznych przypadkach, gdy przeszczepienie wykonano u ludzi, pacjenci nie przeżyli dłużej niż dwa lub trzy dni.

– A więc nie ma żadnego rozwiązania? Chcę znać prawdę. Umieram?

Handley nie cierpiał tej części rozmowy.

– Przykro mi, Noah.

Tobie jest łatwo

YOU GOT IT EASY

Noah wiedział, że śni, bo w ostatnich trzech dniach ten koszmar wracał do niego raz za razem. Miał świadomość, że jest zawieszony na granicy snu i bardzo żywego wspomnienia. Na powrót czuł lodowatą wodę spływającą mu po twarzy, stopy ugrzęzłe w mule nad jeziorem. Znowu słyszał, nawet pomimo huku wiatru, trzask kajdanek zamykających się wokół nadgarstków Johna Clyde'a, doświadczał nawet wysiłku przy tym, kiedy wstawał i ciągnął Johna, by nie dopuścić, żeby ten nieszczęśnik utopił się w szlamie na swoim cmentarzu. Czuł haust tak potrzebnego wilgotnego powietrza wchodzącego do płuc, podczas gdy błyskawica oświetlała pofałdowane wody jeziora. I wtedy sen się rozpląwał i zamieniał we wspomnienie. Cios, niczym gorąca i sucha fala uderzeniowa, o którym teraz już wiedział, że był atakiem, który go zabijał. I to wszystko. Czuł, jak ciepło błyskawicznie znika, wchłonięte przez ciemności. I dalej już nic... Trwał, otoczony lodowatym mrokiem, który przywierał do jego skóry w tak okropny sposób, że natychmiast zaczynał przenikać przez nos, przez usta, przez oczy... I wtedy się budził.

Noah Scott Sherrington momentalnie otwierał oczy, ponieważ za każdym razem, gdy wracał do stanu świadomości, najpierw musiał się upewnić, że wciąż

żyje, a jedynym sposobem było sprawdzenie, czy po rozwarciu powiek może widzieć światło. Lecz po otwarciu oczu zobaczył niebieskie pudełko, które Graham przyniósł mu poprzedniego dnia. Zniesmaczony odwrócił się w stronę okna, żeby go nie widzieć, przypominając sobie tę rozmowę.

Powinien zdać sobie z tego sprawę, kiedy Graham go uścisnął. Szkoccy mężczyźni z jego pokolenia przytulali innych mężczyzn, swoje dzieci, swoich rodziców i swoje rodzeństwo tylko wtedy, kiedy byli bardzo pijani albo na pogrzebach. Graham był jego przełożonym przez ostatnie dwanaście lat, a przez ostatnie dziesięć także jego najlepszym przyjacielem i Noah nie przypominał sobie, żeby w tym czasie zdobył się na coś więcej niż podanie mu ręki albo klepnięcie go po plecach. Jednakże wczoraj, po wejściu do pokoju, uścisnął go. To powinno dać mu do myślenia, ale był tak spragniony wieści, że skupił się na tym, co Graham miał mu do powiedzenia.

– A John Clyde? – zapytał, kiedy szef go puścił.

– Jesteś cholerną legendą, młody – uśmiechnął się Graham. – W całym kraju nie mówi się o niczym innym, a na komisariacie wszyscy są pod wrażeniem twojego uporu, by przez tyle czasu śledzić Biblijnego Johna. Zapiszesz się w historii.

– John Clyde czy Biblijny John, wszystko mi jedno, chcę tylko wiedzieć, czy coś powiedział – nalegał.

– I ten pieprzony drań ma na imię John. John. Co za tupet! – zawołał Graham z niedowierzaniem.

– Co zeznał?

Szef spojrzał na niego z poważnym wyrazem twarzy.

– Noah, chciałem sam ci o tym powiedzieć. Kiedy straciłeś przytomność, Clyde uciekł. Na razie nie mamy żadnego tropu.

Noah wypuścił z płuc powietrze, wznosząc oczy do góry.

Graham chciał złagodzić jego rozczarowanie.

– Ale go złapiemy. Po czternastu latach zdołałeś zidentyfikować pieprzonego Biblijnego Johna. Noah, teraz już wiemy, kim jest i jak się nazywa. Ustawiliśmy punkty kontrolne na stacjach kolejowych i lotniskach. Ci z Yardu twierdzą, że może dalej się ukrywać na obszarze Trossachs. Przeczესujemy lasy, choć to bardzo trudne z powodu zniszczeń po burzy; nieprzejezdne drogi, powalone drzewa, osuwiska... Nie da się chodzić wzdłuż brzegu Katrine bez zapadania się w szlamie po kolana. Twój i jego samochód wciąż stoją w bagnie przy jeziorze. Chociaż z drugiej strony ustaliliśmy, że zniknęło auto jednej z ciotek Clyde'a.

– To dlatego nie pozwolono mi przejrzeć gazet – zauważył Noah.

I właśnie w tym momencie pojawił się drugi znak. Graham odpowiedział na jego komentarz niezdecydowanym skinieniem głowy, a sposób, w jaki zacisnęła usta, wciągając powietrze nosem, tak naprawdę oznaczał „Tak, ale nie tylko dlatego”. I oczywiście szybko uchwycił się następnego spostrzeżenia Noaha, żeby „na razie” uniknąć powiedzenia mu prawdy.

– Niech to szlag. Rozpowszechniliście jego zdjęcie?

Graham się zawahał.

– To kolejny problem. Mamy tylko kopię fotografii z jego prawa jazdy, którą przechowuje drogówka.

– Niemożliwe. Muszą być jakieś zdjęcia.

– Ani jednego. A te z oficjalnych dokumentów są w rozmiarze zdjęć legitymacyjnych i czarno-białe, jeszcze do niedawna były dozwolone.

– Poszukajcie w jego domu, jest jedynakiem i jedynym siostrzeńcem. Teraz wszyscy mają polaroidy, jego matka musi mieć setki zdjęć.

Graham pokręcił głową.

– Mamy grupowe ze szkoły i dwa zamieszczone w lokalnej prasie z drużyną pływacką z czasów, kiedy był nastolatkiem, ale po powiększeniu stają się tylko skupiskiem ziaren. Pomyślałem, żeby przysłać do ciebie rysownika, jeśli nie masz nic przeciwko. Dzięki twojemu opisowi...

Noah zakrył twarz dłońmi. Gdy je odsunął, był wyraźnie zrozpaczony.

– Kiedy walczyliśmy, ledwie go widziałem w ciemności, były włączone tylko reflektory capri. Deszcz, burza... Kiedy zamykam oczy, w głowie pojawia mi się portret pamięciowy Biblijnego Johna, który mam powieszony w swoim salonie.

– Przecież go sprawdzałeś...

– Tak jak wszystkich studentów, którzy zrezygnowali z nauki w tym roku, w którym zniknęły tamte dziewczyny. Rozmawiałem z rektorką, prosiłem o informacje policję z Killin, a oni przysłali mi jego zdjęcie z prawa jazdy. Przeszedłem się koło jego domu, zdołałem zobaczyć go tylko z daleka. – Noah zrobił pauzę i przysunął rękę do ust, jakby nie mógł sobie darować tego, co zamierzał powiedzieć. – Wykluczyłem go. Wydał mi się zbyt bojaźliwy, zbyt leniwy. Rzucił studia, nie pracował, wciąż mieszkał w rodzinnym domu... – Noah spojrzał na swojego szefa, a na twarzy pojawiło mu się coś na kształt podziwu. – Rozumiesz? Zawsze był przygotowany na ewentualną ucieczkę. To jasne, że zatarł ślady. Mamy osiemdziesiąty trzeci rok, wszyscy mają jakieś zdjęcia. Ale niemożliwe jest to, że w sferze administracyjnej brakuje jego fotografii. Biblioteki, szkoła podstawowa, średnia... – powiedział niemal do samego siebie. – Co wiemy o ofiarach?

– Znaleźliśmy sześć ciał w wodzie, dwa kolejne zakopane przy brzegu, no i to z samochodu. W sumie dziewięć.

– To z samochodu – powtórzył Noah, podczas gdy w rozbłysku wrócił do niego widok wytatuowanych na skórze imion, z pewnością jej dzieci. To ciekawe, nie pamiętał niczego z ostatnich dni, ale na jego ustach pojawiły się imiona, które zobaczył na ramieniu tej kobiety. – Sam, Gillian i Andrew – wyszeptał.

– Co? – zapytał Graham.

– Nie, nic – odparł. – Tylko że... znaleźliście coś, co mogłoby wskazywać na to, że była tam jakaś żywa kobieta?

– Jasne, że nie. A widziałeś kogoś?

– Nie, ale słyszałem. Słyszałem, jak płakała i jęczała, szlochała.

– Jesteś pewien? W samym środku burzy... może to był wiatr. Nic nie wskazuje na to, by mogła się tam znajdować żywa kobieta. To też nie zgadzałyby się z jego sposobem działania, prawda?

Noah się zastanawiał. Ten płacz to jedna z nielicznych rzeczy, jakie wyraźnie zapamiętał z tamtej nocy.

– To było akurat wtedy, gdy burza przechodziła, skułem już Clyde'a, chwilę przed tym, jak...

Graham spojrział na niego na poły poruszony, na poły zaniepokojony.

– Cholera, Noah!

Scott Sherrington spuścił wzrok, delikatnie potrząsając głową.

– Razem z tą z samochodu mamy dziewięć ciał, na razie – mówił dalej policjant, starając się odzyskać spokój. – Nie wykluczamy przekopania brzegów zatoczek w pobliżu jego domu, żeby sprawdzić, czy jest ich więcej.

Noah pokręcił głową, zastanawiając się.

– Nie. Tamtej nocy, kiedy przyjechał nad jezioro, widziałem, że zrobił coś dziwnego, jakby słuchał jakiejś owacji. Myślę, że pogrzebał je wszystkie razem, jak coś w rodzaju kolekcji sióstr połączonych śmiercią. Musicie dalej szukać w tamtym miejscu.

Graham spojrział na niego skonsternowany. Zawsze tak robił, gdy słyszał, jak Noah właśnie w taki sposób przedstawia zachowanie mordercy.

– Zwłoki są w różnym stanie rozkładu – ciągnął Graham. – Z tych najstarszych zostało tylko kilka kości. Ci z Londynu uważają, że mogły tam leżeć ponad dziesięć lat. Przed nami mnóstwo pracy, ale przyjęliśmy już za pewnik, że nie da się ustalić tożsamości niektórych ciał. Wszystkie zwłoki były nagie i nie miały żadnych naszyjników ani kolczyków, żadnego przedmiotu, który pozwoliłby je zidentyfikować. Zabierał im biżuterię i ją chował. Podczas przeszukania znaleziono ją w pudełku wrzuconą byle jak. Jediną nadzieją w tych przypadkach jest, że istnieją zdjęcia rentgenowskie uzębienia.

Noah słuchał uważnie, jakby zapamiętywał każdą informację, którą dzielił się z nim Graham.

– Przyjechali technicy z całego kraju. Pracują nad tym śledczy z wszystkich grup, z policji walijskiej, irlandzkiej, nawet pieprzony Scotland Yard, bo cechy zbrodni pasują do kobiet zaginionych w całej Wielkiej Brytanii, w tym także studentek z Edynburga, które włączyłeś do swojego profilu ofiar. – Graham umilkł, wyglądał na nieco skrępowanego. – Sierżant detektyw Gibson pełni funkcję łącznika. Rozmawiał z rodziną Clyde’a. McArthur i on przeprowadzili pierwsze przesłuchanie pod moim nadzorem.

Noah westchnął. Gibson mógł być tak samo nieudolny, jak wszyscy inni.

– Zgoda, chcę z nim porozmawiać.

– Zabrali cały materiał, jaki znaleźli na twoim stole, ale szybko doszli do wniosku, że to dopiero wierzchołek góry lodowej. Osobiście zezwoliłem, żeby weszli do twojego mieszkania. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

Noah skinął głową, myśląc o ścianach w salonie i kuchni pokrytych mapami i wycinkami z gazet; o tym, co mogli sobie pomyśleć, widząc różne portrety pamięciowe Biblijnego Johna, jakie wykonano w ciągu tych czternastu lat. Pierwszy pochodził z listopada tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku i opublikowała go prasa na podstawie opisu Jeannie Puttock, siostry Helen Puttock, ostatniej ofiary z dyskoteki Barrowland. Kartonowe pudła pełne zeznań świadków. Mnóstwo teczek, tysiące fotokopii i jeszcze zawartość jego zamrażalnika. Miał nadzieję, że tam nie zaglądali.

Graham musiał uznać, że to właśnie wtedy, kiedy Noah był taki zamyślony, nadszedł najlepszy moment, żeby coś mu wyjaśnić.

– Noah, chcę z tobą o tym pomówić, o zapoznaniu się ze wszystkimi twoimi materiałami i wejściu do twojego domu. Zrobiliśmy to nie tylko dlatego, że było to niezbędne dla losów śledztwa.

Noah wbił w niego wzrok.

Graham znowu zacisnął usta, wypuszczając powietrze przez nos, co zdradzało, jak trudno jest mu mówić.

– Jestem pewien, że lekarz wyjaśnił ci, w jakim stanie tu trafiłeś. Kilku myśliwych znalazło cię w środku nocy. Na szczęście jeden z nich potrafił przeprowadzić resuscytację. Ale facet powiedział wszystkim, że kiedy zabrał cię helikopter straży leśnej, byłeś bardziej martwy niż moja babcia.

Noah patrzył na niego, nie rozumiejąc, do czego zmierza.

– To właśnie znalazło się w prasie. Że zmarłeś nad jeziorem, kiedy próbowałeś zatrzymać Biblijnego Johna.

– Och – wymamrotał zamyślony. – To może działać na naszą korzyść. Jeśli John Clyde ma dostęp do prasy, pomyśli, że umarłem, a z tego, co mi powiedziałaś, wynika, że na dziś jestem jedyną osobą, która może go zidentyfikować.

Na twarzy Grahama pojawił się szeroki uśmiech. Mimo wszystko nie poszło tak źle, jak sądził.

– O tym samym pomyślałem. Nie będzie się czuł tak prześladowany i być może to sprawi, że popełni jakiś błąd. Ci ze Scotland Yardu chcą przysłać kogoś, żeby z tobą porozmawiał, bo może będziesz mógł dodać coś jeszcze, czego nie ma w raportach, chcą wiedzieć, co takiego doprowadziło cię do podejrzanego, którego wcześniej wykluczyłeś. Oczywiście pod warunkiem, że będziesz się czuł na siłach.

– Pogadam z Gibsonem.

– Gibson jest tylko łącznikiem. Noah, wiesz, jak wyglądają te sprawy, to pieprzony Yard, są pewne protokoły, których należy przestrzegać, a twoja metoda stworzy precedens. Dzwonili już do nas z FBI, żeby zapoznać się ze sprawą i wypytać o szczegóły tej twojej teorii wiktyologicznej.

– Powiedziałaś, że Gibson przesłuchał rodzinę. Tylko z nim pogadam.

– Noah, znam cię. I dla twojego dobra mówię ci...

– Jeśli chcecie mieć ten swój raport dla FBI czy dla Yardu, to albo on będzie moim pośrednikiem, albo będę się czuł tak źle, że nie przyjmę nikogo.

Graham westchnął z uśmiechem.

– Przyjdzie z tobą porozmawiać, gdy tylko będziesz w nastroju.

– Jak najszybciej.

– Dzięki, Noah. Z pewnością nikt nie wie na temat Biblijnego Johna tyle co ty. Już wcześniej byłem przekonany, że jesteś sumienny, ale ekipa z Londynu przyznała, że nigdy nie widziała śledztwa prowadzonego pod takim kątem.

– Kiedy przeszukaliście jego dom?

– Tego samego dnia, gdy trafiłeś do szpitala. W domu nie było niczego, ale na tylnym patio jest szopa, którą zaadaptowali, kiedy był studentem, żeby miał spokojne miejsce na czytanie książek i słuchanie muzyki, sam rozumiesz. Tam znaleźliśmy pudełko, do którego chował niektóre rzeczy dziewczyn. Kilkanaście kolczyków, bransoletek, naszyjników bez żadnego oznaczenia, w większości tandeta, niektóre nawet z plastiku. Wszystkie razem, wymieszane, wrzucone byle jak. Zaczęliśmy pokazywać je rodzicom, przypuszczam, że rozpoznają, czy należały do ich córek, chociaż to nie pomoże ich zidentyfikować.

– Ale dzięki temu dowiedzą się, czy któraś z nich to ich córka, i wreszcie będą mogli przestać szukać.

– A właśnie, Noah, ojciec Clarissy O'Hagan zidentyfikował jej ciało. Zwłoki były wśród tych, które wypłynęły na jezioro, dało się ją jeszcze rozpoznać.

Noah skinął zasmucony. Przez ostatnie miesiące nosił w portfelu zdjęcie tej dziewczyny i chociaż był pewien, że spotkało ją coś złego, zdarzały się momenty, w których chciał wierzyć, że Gibson miał rację i biedna Clarissa uciekła z mężczyzną w nadziei na lepsze życie.

– Co wyciągnęliście od rodziny Clyde'a?

– Kobiety były w szoku, mocno podłamane. Współpracowały, ale uważamy, że o niczym nie miały pojęcia. Zatrzymaliśmy je na czterdzieści godzin, oddzielnie. Przycisnęliśmy je, wierz mi, mówiłem ci, że Gibson i McArthur prowadzili przesłuchania. O niczym nie wiedziały.

– Może i nie wiedziały, ale jedna z nich musiała pożyczyć mu samochód. Powiedziałeś, że capri wciąż stoi nad jeziorem i że przed domem brakuje auta.

– Tak, forda fiesty jednej z jego ciotek, szukamy go. Ona twierdzi, że zwykle zostawia go na ścieżce z kluczykami w stacyjce i że każdy mógł go wziąć... Tej części drogi dojazdowej nie widać z domu, więc nie może powiedzieć dokładnie, od kiedy go nie ma.

Scott Sherrington podniósł rękę, przypominając sobie widok Harmony Cottage, miejsca, w którym John Clyde mieszkał z matką i ciotkami. Uporządkował swoje myśli i dotykając palców, zaczął wyliczać.

– Potrzebujemy listy wszystkich osób, z którymi utrzymywał kontakt, wszystkich miejsc, do których kiedykolwiek pojechał albo z którymi on albo członkowie jego rodziny mogli mieć jakiś związek. Nie spodziewał się, że do tego dojdzie, musiał uciekać, ale nie sądzę, że ktoś taki jak on zostawił wszystko przypadkowi. Fakt, że nie ma żadnych zdjęć, sugeruje, iż do pewnego stopnia przewidział taką ewentualność. Poza tym... – Noah przerwał, gdy Graham zaczął kręcić głową. – O co chodzi?

– Przestań.

– Co mam przestać?

– Przestań mówić w taki sposób, „potrzebujemy”... Jakbyś prowadził albo miał zamiar prowadzić śledztwo. Wiem, ile lat na to poświęciłeś, wiem, jakie to dla ciebie ważne, i właśnie dlatego opowiedziałem ci o wszystkim, co wiemy. Ale teraz najważniejsze jest twoje zdrowie...

– Z moim zdrowiem jest wszystko w porządku – uciął Noah.

– Nie, nie jest.

– Pozwól, że sam się sobą zajmę. Z całym szacunkiem, Graham, to nie twoja sprawa.

– Owszem, moja. Rozmawiałem z twoim lekarzem i wiem, że wyjaśnił ci ze szczegółami, jak poważna jest twoja choroba. Noah, przykro mi to mówić, ale jesteś wykluczony ze śledztwa. Nie możesz wrócić.

Noah popatrzył na niego bardzo poważnie, po czym mlasnął językiem.

– A więc powiedział ci? A co z tajemnicą lekarską?

– Jestem nie tylko twoim przełożonym, lecz także najlepszym przyjacielem, a tu nie chodzi o ukrycie choroby wenerycznej czy cukrzycy. Powiedział mi, że rozmawialiście i że prosiłeś go, żeby był z tobą szczery.

Noah spojrział kątem oka na stolik, gdzie leżały dwie książki na temat radzenia sobie z żałobą, które przyniósł mu doktor i które on odwrócił na drugą stronę, żeby nikt nie mógł przeczytać tytułów.

– Nie miał prawa – zaprotestował oburzony.

Skrępowanie Grahama narastało.

– Zostanie to potraktowane tak samo jak rana odniesiona na służbie. Dostaniesz porządne odszkodowanie i całe uposażenie. Poza tym złożyłem wniosek o przyznanie ci dwóch medali, został już zaakceptowany. Jesteś dobrze zabezpieczony. Będziesz mógł wieść godne życie, aż...

– Aż umrę.

– Nie zamierzałem tego powiedzieć – odparł zaniepokojony Graham. Potem wstał i podszedł do teczki, którą zostawił na krześle przy wejściu. Wyjął z niej pudełeczko, westchnął ciężko i ponownie podszedł do łóżka. – Przykro mi z całego serca, zawsze darzyłem cię wielkim szacunkiem i popierałem twój sposób działania, ale nie przyszedłem tu po to, żeby informować cię o postępach w śledztwie...

W tym momencie Noah zaczął żałować, że nie umarł tam, nad jeziorem. Łzy napłynęły mu do oczu, więc zamknął je, mocno zaciskając powieki, żeby nie musiał tego widzieć. Nie było to zresztą potrzebne, bo gdy tylko zobaczył niebieskie etui, wiedział, co znajduje się w środku. Pozłacany zegarek, prezent z okazji przejścia na emeryturę, który tradycyjnie otrzymują wszyscy policjanci ostatniego dnia pracy.

Nie zdajesz sobie sprawy, jak masz dobrze

*YOU DON'T KNOW
WHEN YOU'VE GOT IT GOOD*

Podobnie jak doktor Handley, sierżant Gibson przystanął przy wejściu i długo obserwował Scotta Sherringtona, niewykluczone, że z tych samych powodów. Różnica polegała na tym, że Gibson był o wiele bardziej transparentny i bezpośredni niż lekarz. Kiedy Noah wyczuł jego obecność i odwrócił się w tamtą stronę, Gibson powiedział:

– Nic nie mów. Wiem, że jestem ci winien przeprosiny, przyjacielu. Cóż... żałuję, że insynuowałem, że możesz być kretem. Zapewniam cię, że w Marinie wszyscy są pod wrażeniem twojego śledztwa, a kiedy pojechaliśmy do twojego domu i zobaczyliśmy, co tam masz... No cóż, chylę czoła, wszyscy chylimy czoła.

Scott Sherrington patrzył na niego bez mrugnięcia okiem, jakby spodziewał się o wiele więcej.

Gibson chyba to zrozumiał.

– To znaczy mam nadzieję, że przyjmiesz nasze przeprosiny, sam wiesz, ci z wewnętrznego od pewnego czasu to prawdziwi dranie.

– Od pewnego czasu umiera wam zbyt wielu zatrzymanych i gromadzą się skargi na stosowanie przemocy.

– W tej sprawie McArthur też przekazuje ci przeprosiny. Ostatecznie ci z wydziału wewnętrznego dali mu po nosie, ale nie było tak źle, jak należało się spodziewać. Nie zawieszą go, ale będzie musiał chodzić do psychiatry, dopóki nie dostanie odpowiedniego zaświadczenia.

– To tyle co nic.

– Co mam ci powiedzieć? – Gibson wzruszył ramionami, a potem podszedł bliżej łóżka. – Tacy jak McArthur to dobrzy gliniarze, ze starej szkoły, dla pracy wypruwają sobie żyły, czasami poświęcają też małżeństwo i zdrowie.

– Nikt temu nie przeczy.

– Tak, ale niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

– Będą się musiały zmienić, Gibson. Ten sposób działania jest przestarzały, uwierz mi.

– Możliwe, ale na razie się sprawdza.

Noah zamierzał odpowiedzieć, ale nagle poczuł ogromne zmęczenie. Spojrzał na niebieskie pudełko leżące na stoliku. Może Gibson miał rację i niektóre rzeczy na zawsze pozostaną takie same.

Sierżant także zwrócił uwagę na pudełko.

– Planowaliśmy urządzić przyjęcie na twoją cześć na komisariacie albo w pubie, ale komendant Graham mówi, że nie możesz pić ani palić i tylko czułbyś się niezręcznie. Zresztą teraz, z tym całym bajzlem, który mamy, nie byłoby to możliwe. Marina wygląda tak, jakby czas cofnął się tam o czternaście lat. Wszędzie są tablice, pudła, fotokopie, zdjęcia i pełno policjantów...

– Graham mi powiedział, że przesłuchiwałeś kobiety – przerwał mu Noah.

– Matkę i ciotki, żony nie, bo jest niepełnoletnia.

Noah spojrział na Gibsona zdumiony.

– Chwila, powiedziałaś: żony? To musi być pomyłka. Kiedy zeszłej jesieni sprawdzałem Clyde'a, nie miał żadnej żony ani narzeczonej, ani nawet bliskiej

przyjaciółki.

Gibson podrapał się po głowie.

– Tak, widzieliśmy, że w twoich notatkach nie ma o niej żadnej wzmianki. Nie byliśmy pewni, czy ich nie zaktualizowałeś, czy o tym nie wiedziałeś. Małżeństwem są od niedawna, od nieco ponad sześciu miesięcy. To ona otworzyła mi drzwi. Gdy ją zobaczyłem, pomyślałem, że to jedna z jego ciotek, Graham mi powiedział, że z nim i z jego matką mieszkają jej młodsze siostry, prawie że rówieśniczki Johna.

– Rozmawiałeś z nią?

– Nie, bo kiedy już zamierzałem to zrobić, zjawiły się matka i ciotki i uprzedziły, że to żona Clyde'a, w dodatku niepełnoletnia, że jest pod opieką męża, a pod jego nieobecność pod opieką jego matki, więc pod żadnym pozorem nie wolno z nią rozmawiać.

– Niepełnoletnia, nie rozumiem... – powiedział Scott Sherrington, patrząc uważnie na Gibsona, jakby ten znał odpowiedź. – Żona w ogóle nie pasuje do profilu, a tym bardziej taka młoda. Sprawdziliście ją?

– Tak, Maggie Davidson, z miejscowości położonej po drugiej stronie jeziora. I faktycznie ma siedemnaście lat. Sierota od dzieciństwa. Zawsze mieszkała ze swoim bratem, starszym od niej o dziesięć lat; on zajmuje się połowem dorsza w Kanadzie, więc nie ma go w domu przez długi czas, dopóki trwa sezon, od siedmiu do ośmiu miesięcy. Tak więc dziewczyna większość roku spędzała sama. Dalsza kuzynka zaglądała do niej od czasu do czasu. Mówi, że brat pozwolił na ślub w poprzednie Boże Narodzenie i że tak naprawdę zrzucił z siebie spory ciężar, kiedy dziewczyna przeprowadziła się do rodziny Clyde'a.

– To zupełnie nie pasuje – oznajmił Noah, wstając z łóżka i kierując się do małej szafki, która pełniła funkcję szafy na ubrania. Zajrzał do środka. Na wieszaku wisiał garnitur, który Graham przywiózł mu z domu. Plastikowa torba z logo szpitala zawierała zabłocone ubrania, które miał na sobie, kiedy tu trafił, a także

portfel z dokumentami oraz buty, pokryte warstwą matowego pyłu, jakby ktoś wsadził je pod kran. Wziął portfel, buty, wieszak z garniturem i zamknął drzwi.

– Jak rozumiem, niektórzy zabójcy kobiet byli żonaci... – zasugerował Gibson.

– Tak, chodzi o społeczną reputację. Zwyczajna żona, normalne życie, nie wyróżniać się, być jednym z wielu. Ale tutaj nie pasuje mi nieletnia, sierota... – Rozkładając ubranie na łóżku, Noah zatrzymał się nagle, jakby wpadł mu do głowy jakiś pomysł. – Jak wygląda?

– Miła, pogodna, bardzo jasna cera, ciemne włosy do ramion – powiedział Gibson, przykładając cztery palce do połowy szyi – dość pulchna...

– Poważnie? To pasuje jeszcze mniej. Facet jest drapieżnikiem, który mieszka z matką i ciotkami, nie potrzebuje żony, aby pozostać niezauważonym, przecież i tak nie rzucał się w oczy. A najmniej pasuje mi to, że wybrał kobietę tak odmienną od tych, jakie go pociągają.

– Może musi być inna, dzięki temu nie istnieje pokusa.

Noah popatrzył na sierżanta zamyślony.

– Całkiem niezła teoria, ale to mi się nie zgadza, nie w momencie, kiedy był taki aktywny i pewny siebie. Nie wzbudzał podejrzeń, znalazł bezpieczne miejsce na kolekcjonowanie swoich ofiar i miał system uprowadzania kobiet, którego policja nie rozgryzła.

– Ale ty tak.

Noah nie odpowiedział.

– Choć to prawda, że miał pod kontrolą kroki śledczych – ciągnął Gibson. – Prenumerował cztery gazety, a jestem pewien, że załatwienie, aby dostarczano mu je do tej miejsciny, musiało go sporo kosztować. Nie wyrzucał ich, gromadził w stosach w szopie, która służyła mu za pracownię.

Noah rozwiązał szpitalną koszulę i zrzucił ją z siebie.

– Potrzebował gazet, żeby być na bieżąco, żeby trzymać rękę na pulsie w sprawie doniesień składanych na policję, zniknięć, nowych śledztw i w ten sposób mieć pewność, że dla policji nadal jest niewidzialny. Relacje, jakie

utrzymywał z rodziną, wskazywały bardziej na mężczyznę, który zostaje starym kawalerem, mieszkając z matką i ciotkami, niż na kogoś, kto nagle żeni się z niepełnoletnią i zabiera ją do swojego domu. Przecież ona jest tylko kolejnym problemem, jeszcze jedną osobą, przed którą musi się tłumaczyć. Nie rozumiem, dlaczego to zrobił, bo chociaż teraz jest jeszcze dość młoda i względnie łatwo nią sterować, to za kilka lat może się stać uciążliwa i zechce wiedzieć, dokąd chodzi, z kim był i tak dalej...

Gibson przytaknął, spoglądając w górę, jakby doskonale wiedział, co Noah ma na myśli.

– Na początku naszego małżeństwa żona wahała moje koszule. Potrafiła wywęszyć damskie perfumy lepiej niż pies.

– O tym właśnie mówię. W przypadku Clyde'a żona to proszenie się o problemy.

Noah włożył swoją koszulę.

– Chciałbym z nią porozmawiać. Albo przynajmniej ją zobaczyć.

– Och!

– O co chodzi?

Gibson zaczął drapać się po karku i Noah się zorientował, że robi to za każdym razem, gdy czuje się zakłopotany.

– Cóż, wypuściliśmy je po przesłuchaniu, o niczym nie wiedziały. A dziś miejscowa policja poinformowała, że opuściły dom.

– Jak to możliwe?

– Nikt nie pomyślał o takiej ewentualności, nie zakazaliśmy im podróżować ani nie nakazaliśmy pozostać w miasteczku. Prawdę mówiąc, nie przyszło nam do głowy, że mogą uciec. Wszystkie trzy od wielu lat miały stałą pracę, własną działkę, dom rodzinny, w którym mieszkały od zawsze, nic nie wskazywało na to, że...

– I nie wiecie, gdzie są...

– Niektórzy mieszkańcy twierdzą, że wybrały się za ocean. Rozmawialiśmy z kolegami z pracy i szefem matki; mówią, że chyba mają rodzinę, wujów czy kuzynów, którzy już jakiś czas temu wyemigrowali do Nowego Jorku, ale właśnie tam wszyscy jadą, prawda? Bóg raczy wiedzieć, gdzie osiadły.

Noah popatrzył na niego załamany.

– Postawiliśmy patrol przy domu, w razie gdyby wróciły, powiadomiliśmy wszystkie lotniska, nie ma informacji, by kupiły bilety. Poza tym brat młodej żony jest w Kanadzie, chociaż kuzynka mówi, że raczej do niego nie pojechały, rodzeństwo najwyraźniej nie jest ze sobą zbyt zżyte.

– Sprawdzaliście w portach? – zapytał Noah.

– Wybrałbyś się do Stanów Zjednoczonych statkiem?

– No cóż, lekarz mnie ostrzegł, że nie mogę latać, jeśli nie chcę, żeby w powietrzu wybuchło mi serce. Gdybym musiał tam jechać, statek byłby jedyną możliwością.

Gibson potrząsnął głową, jakby wyrzucał z głowy obrazek wybuchającego serca Scotta Sherringtona.

– Dziś już nikt nie wybiera się za ocean statkiem.

– Dlaczego nie?

– Bo to co najmniej osiem albo dziesięć dni na morzu, możliwe, że więcej – odpowiedział Gibson.

– To jest Glasgow, od setek lat patrzymy na morze i wyobrażamy sobie Amerykę po drugiej stronie. Ważne, byśmy ustalili, dokąd wyjechały, z pewnością dołączą do niego.

Noah zaczął zapinać koszulę i dopiero wtedy Gibson uświadomił sobie, że kolega się ubiera.

– Można wiedzieć, co robisz?

– Ubieram się. Nie słyszałeś? Wypisali mnie i dziś będziesz moją niańką.

– Och, jasne! Zawiozę cię do domu, oczywiście...

– Ale najpierw zawieziesz mnie do Killin, nad jezioro, chcę zobaczyć dom rodziny Clyde’a.

Twarz Gibsona zmieniła się momentalnie.

– Nie, do cholery! Nie możesz mnie o to prosić, Graham mnie zabije.

– Nie zabije, jeśli się nie dowie. Nakablujesz?

– Cholera jasna! Powiedział, że twój stan jest bardzo poważny. Jeśli coś ci się stanie, kiedy będziesz ze mną, powiesi mnie za jaja.

– Nie martw się, nie planuję dziś umierać – odparł Noah i nachylił się, żeby zasznurować sobie buty, które teraz były odrobinę za luźne. Podnosząc się, poczuł lekkie zawroty głowy, ukrył je jednak, udając, że strzepuje z nogawki niewidzialny pyłek.

– Ostatnio też tego nie planowałeś i sam widzisz... – rzucił Gibson. – Wybacz – przeprosił pospiesznie, drapiąc się po karku i nie wiedząc, co ze sobą począć.

Noah skończył się ubierać, do wewnętrznej kieszeni marynarki włożył recepty i kopertę z logo szpitala, którą przyniosła mu pielęgniarka, po czym rzucił szybkie spojrzenie dookoła. Książki na temat radzenia sobie z własną śmiercią i niebieskie pudełko zostały na stoliku. Skierował się do drzwi. Przechodząc obok Gibsona, położył rękę na jego ramieniu.

– Nie przejmuj się. Masz rację, ale lekarz powiedział, że bez nerwów i zmartwień mogę pociągnąć jeszcze sześć miesięcy. Poza tym jak mógłbyś odebrać ze szpitala kogoś, kto już nie żyje? Nie słyszałeś? Noah Scott Sherrington zmarł nad jeziorem Katrine, kiedy próbował zatrzymać Biblijnego Johna. Pisały o tym wszystkie gazety. – Noah zamilkł. Poczuł się fatalnie. Chciał zażartować, lecz słowa mu ciążyły, a to zdanie miało wagę płyty nagrobnej.

Gibson patrzył na niego nieco skonfundowany. Przytrzymał go za ramię.

– Czekaj, szef nam to przekazał. Że umarłeś i... – powiedział niezdarnie. – Zawsze się nad tym zastanawiałem, przypuszczam, że my, policjanci, myślimy o tym częściej niż reszta ludzi: co się wtedy czuje?

Noah oswobodził się z uścisku Gibsona i westchnął poirytowany.

– Niczego nie pamiętam z tamtej chwili, skuwałem Clyde'a, usłyszałem szcęk zamykanych kajdanek i to wszystko. Obudziłem się w szpitalu – powiedział, ruszając do drzwi.

– Komendant Graham mówi, że słyszałeś *caoineag*.

– Co?

Gibson znowu podrapał się po głowie.

– No wiesz, *caoineag*, płaczka, wodny demon. Płacze w ciemności, kiedy ktoś ma umrzeć.

Scott Sherrington odwrócił się do niego.

– Znam tę legendę. Nie słyszałem płaczu ducha, tylko kobiety, a może to był wiatr, ale na pewno nie żaden demon. Jeśli to był wiatr, nie sądzę, by można mnie winić za pomyłkę, w tym momencie ciała wielu zamordowanych kobiet wyłaniały się z grobów.

Sierżant detektyw spuścił głowę. Teraz drapał się już obiema rękami.

Noah wyszedł na korytarz, nie upewniając się, czy Gibson idzie za nim. O tak wczesnej porze w szpitalu panował spory ruch. Stojące pod ścianami wózki do sprzątanania mieszały się z tymi pełnymi czystej pościeli, a lekarze robili poranny obchód w asyście studenckiej świty.

Zobaczył doktora Handleya nadchodzącego z grupą młodych kardiologów. Wyglądali niczym gwardia pretoriańska albo rzymscy senatorowie otaczający cesarza. Większość podążała kawalek za nim, nachylona, żeby słyszeć, co mówi, ale nawet ci, którzy szli najbliżej, trzymali się na dystans. Handley przystanął na jego widok i gestem pokazał lekarzom, żeby szli dalej. Niczym w lustrzanym odbiciu Scott Sherrington zrobił to samo, zatrzymał się przy doktorze i obaj zaczekali, aż Gibson ich minie. Dopiero wtedy zaczęli rozmowę.

– Dobrze wyglądasz – przywitał się serdecznie doktor Handley.

Scott Sherrington uśmiechnął się ironicznie tym uśmiechem, który tak długo ćwiczył w ostatnich dniach i który nie sięgał oczu.

– To chyba jedyne, co we mnie dobre.

Doktor Handley pokręcił głową i już bez śladu początkowego uśmiechu powiedział:

– Posłuchaj, Noah, takie podejście nie przyniesie ci nic dobrego. Mówię poważnie.

Noah chciał zareagować, ale lekarz nie dopuścił go do głosu.

– Tak, wiem, co chcesz mi powiedzieć: że jest ci wszystko jedno, że i tak niedługo umrzesz. Ale wszyscy niedługo umrzemy.

Scott Sherrington spojrzał na niego urażony.

– Wszyscy kiedyś umrzemy, Noah, i zawsze będzie nam się wydawać, że to za szybko. Gdyby rok wcześniej wyjawiono nam, kiedy to nastąpi, niewątpliwie mielibyśmy poczucie, że uciekł nam czas. Chcę przez to powiedzieć, że mogłeś umrzeć nad jeziorem tamtej nocy, ale tak się nie stało. Widziałem wielu umierających ludzi, młodych, którzy mieli jeszcze przed sobą całe życie, i starszych, którzy, jak można by sądzić, zrobili już wszystko, co mieli do zrobienia, a w ostatniej chwili wszyscy desperacko chwyтали się życia. Jedyny sekret naszej egzystencji polega na tym, by żyć aż do ostatniej sekundy, Noah. Wykorzystaj swój czas.

Scott Sherrington spuścił głowę, jak gdyby słowa Handleya utkwily w nim głęboko albo jakby poczuł się zawstydzony. Kiedy odezwał się ponownie, zrobił to znacznie ciszej:

– O to właśnie chodzi. Mam wspomnienia z tamtej chwili.

– Tak, tłumaczyłem ci, że mózg blokuje traumatyczne wspomnienia, ale te zwykle stopniowo wracają.

– Nie mówię o ataku, tylko o tej chwili po. – Podniósł głowę i spojrzał na doktora Handleya. – Kiedy byłem martwy.

– Rozumiem... Masz na myśli nagłą śmierć.

– Mam na myśli czas, kiedy byłem martwy. Mówi pan, że znał innych takich jak ja. Co oni panu opowiadali? Pamiętali coś?

– Tak. – Doktor spojrzał na niego z nowym zainteresowaniem, jakby nagle wszystko zrozumiał. – Wielu wspomina o spokoju, braku bólu, poczuciu bezpieczeństwa, o ciemnym tunelu i świetle na jego końcu, o krewnych, którzy zmarli wcześniej. Niektórzy potrafili nawet opisać osoby zajmujące się nimi na ostrym dyżurze, jakby obserwowali je spoza swojego ciała, i powtarzali słowo po słowie, co mówiły.

– Ale to halucynacja, prawda? Z braku tlenu albo z powodu leków.

– Cóż, są tacy, którzy ci powiedzą, że to efekt lekarstw albo narkozy, ale w twoim przypadku należałoby to wykluczyć, bo do zatrzymania krążenia nie doszło podczas zabiegu. Moim zdaniem ta teoria o zaburzeniach mózgowych świadczy o niewielkiej wiedzy na temat świadomości ze strony tych, którzy ją głoszą. Aktywność mózgu jest głęboko powiązana ze świadomością, a ty byłeś nieprzytomny. Spełniałeś dwa z trzech warunków, by być martwym. – Podniósł trzy palce. – Brak tętna, brak oddechu, brak aktywności mózgu.

Noah, który słuchał ze spuszczonego wzrokiem, teraz podniósł głowę, popatrzył uważnie na długie palce lekarza i westchnął niepokieszony.

– Dziękuję za wszystko, doktorze Handley – powiedział, podając mu rękę i uznając rozmowę za zakończoną.

Ale doktor zapytał jeszcze:

– Co takiego widziałeś?

Noah próbował się wymknąć, jednak lekarz był stanowczy.

– Widziałeś coś?

Przytaknął ze zmienionym wyrazem twarzy, czując, jak ciepło odpływa z jego policzków.

Doktor Handley próbował go zatrzymać, domagając się odpowiedzi, ale Noah wyrwał swoją dłoń z jego dłoni, odwrócił się w stronę korytarza i ruszył do windy, gdzie czekał na niego Gibson.

Jest coraz trudniej

IT'S GETTING HARDER

Ulice Edynburga wydały mu się obce, mimo że mieszkał tu jeszcze kilka miesięcy wcześniej i przez poprzednie dwa lata. Miał nowoczesne mieszkanie w dzielnicy finansowej, oczywiście wynajmowane, bo ze swoją pensją nie mógł sobie pozwolić na zakup nieruchomości w mieście, w którym nawet dwupokojowe klitki osiągały sześciocyfrowe sumy. Zajął miejsce pasażera w samochodzie Gibsona, zrzucając uprzednio z siedzenia opakowania po jedzeniu, niektóre z zaschniętymi resztkami. Zestaw cukrów, soli i tłuszczów, które składają się na szkocką dietę *par excellence* i które bez wątpienia uzasadniały rosnący brzuch sierżanta detektywa. W takim tempie Gibson niebawem stanie przed dylematem, czy zapinać pas nad, czy pod nim.

Noah spoglądał zamyślony przez brudną szybę, kiedy przejeżdżali przez szkocką stolicę ulicami, które wydawały mu się jakieś dziwne w tym sierpniowym słońcu. Czuł lekkie zawroty głowy, które się wzmogły, gdy próbował przeczytać artykuł ze sterty gazet, które zajmowały tylne siedzenie i które Gibson przywiózł mu wreszcie z Glasgow. Noah jednak nic nie powiedział, bo nie chciał go przestraszyć. Milczał przez niemal całą drogę, myśląc czasami o Biblijnym Johnie, a czasami o rozmowie, którą odbył z doktorem Handleyem. Pozwolił, żeby

promienie słońca wpadające przez zakurzoną przednią szybę ogrzewały mu ciało. Włożył kurtkę, ale i tak było mu zimno.

Niecałe dwie godziny zajęło im pokonanie osiemdziesięciu ośmiu mil, jakie dzieliły Edynburg od jeziora Lomond i od Trossachs, a konkretnie od miejscowości Tarbet. W centrum miasteczka nie zauważył, żeby burza poczyniła jakieś szkody. W miarę jednak jak oddalali się od terenów zabudowanych, zniszczenia spowodowane przez wodę stały się bardziej ewidentne, a po dotarciu w pobliże jeziora niszczycielskie skutki nawałnicy były już widoczne dosłownie wszędzie. Gibson najwyraźniej chciał zaradzić niewygodnej ciszy między nimi i nie przestawał mówić przez całą drogę.

– Czytałem w gazecie, że to zimny front, znad morza nadciąga wielka masa chłodnego powietrza i zderza się z drugą, cieplejszą masą unoszącą się nad ziemią... A w poprzednie dni było tak gorąco... W tej okolicy spadło ponad dwieście litrów wody na metr kwadratowy, i to zaledwie w ciągu kilku minut. W Tarbet nie ma dużych szkód, nie licząc paru zatopionych łodzi na jeziorze, połamanych gałęzi i błota, ale w Killin wiele zboczy dosłownie się zawaliło, sporo odcinków dróg jest odciętych z powodu osuwającej się ziemi, kamieni i przewróconych drzew. Miejsce, w którym cię znaleziono, jest tak pełne błota, że do dziś nie dało się wyciągnąć stamtąd capri ani escorta. Szczęście, że tamci myśliwi mieli łódkę, bo gdyby musieli transportować cię drogą, wciąż byś tam był.

Noah uznał, że to całkiem niezła opcja.

– Nasi technicy pracowali w szlamie po pas, ale w ostatnich dniach już nie padało, więc muł zasycha. Kiedy przyjechali ci ze Scotland Yardu, kazali przywieźć mnóstwo desek i zbudowali coś w rodzaju kładki, żeby nie zapadać się w czasie pracy.

Bay Tarbet Hotel wybrano na centrum operacyjne. Po wjeździe do miasteczka zobaczyli wieńczące budynek blanki oraz wozy policyjne, które zapełniły parking.

– Chcesz wstąpić? – zapytał Gibson, wskazując podbródkiem charakterystyczne elementy hotelu.

Noah nie odpowiedział, tylko pokazał, by jechali dalej.

Droga do Killin była przejezdna, ale po obu jej stronach piętrzyły się gałęzie i kamienie, zaś asfalt zniknął pod cienką warstwą błota, które słońce wysuszyło, barwiąc je na słomkowożółto, i które zmyje dopiero kolejny deszcz.

Gibson pokazywał swoją legitymację w punktach kontrolnych. Na ostatnim jeden z patrolowych poinformował ich:

– Prasa ma obsesję na punkcie dotarcia do cmentarza tego szaleńca. Oprócz szukania Clyde’a przez cały dzień zajmujemy się wyrzucaniem dziennikarzy i fotografów ze wzgórza. I właśnie pojawiły się kolejne dwa ciała... Sprawa mocno się komplikuje.

Kiedy dotarli do miejsca, w którym kilka dni wcześniej Noah się wahał, czy John skieruje się do domu, czy pojedzie w głąb lasu, Gibson zatrzymał samochód.

– Ty decydujesz – powiedział, nachylając się tak, że ręce zwisały mu luźno z kierownicy.

– Do domu.

– Jesteś pewien, że nie chcesz tam jechać? Cała ekipa ucieszy się na twój widok, to twoja zasługa. Skoro znaleźli te dwa ciała, to dlatego, że wczoraj naciskałeś na szefa podczas waszej rozmowy.

Nie, nie potrzebował wracać w to miejsce, robił to za każdym razem, gdy zamykał oczy.

– Do domu – powtórzył.

Pusty radiowóz blokował wąską ścieżkę prowadzącą do budynku. Zostawili samochód i resztę drogi pokonali pieszo. Scott Sherrington jeszcze nigdy nie był tak blisko Harmony Cottage. Kiedy wiele miesięcy temu sprawdzał Johna, zapuścił się na ścieżkę w odległości jakichś pięćdziesięciu czterech jardów, udając wędrowca. Jeśli z daleka budynek wyglądał, jakby się rozpadał, to z bliska i po burzy przypominał kompletną ruinę.

Stojąca przy ścieżce skrzynka na listy musiała być jedynym elementem na terenie posiadłości, który został odmalowany w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu

lat. Nazwa domu została pociągnięta białą farbą, ale słupek opierał się o ogrodzenie, które w pewnych miejscach było zawalone, a w innych całkiem go brakowało. Parterowy dom był zbudowany przy zboczu wzgórza, które schodziło do jeziora i które jednocześnie zapewniało mu ochronę i częściowo go zasłaniało. Noah zauważył, że fragment zbocza o długości około sześciu stóp osunął się, zapelniając ziemią tylne patio. Z boku znajdowała się stara kamienna balia. Przednia część budynku była zwrócona do jeziora, a przy wejściu rósł klomb dość zadbanej lawendy, chociaż między fioletowymi kwiatami dało się zauważyć zaplątane chwasty. Podchodząc do drzwi, zaskoczyli policjanta, który trzymał straż. Siedział na ziemi, oparty o zniszczoną fasadę, na której były widoczne resztki różnych warstw farby. Mężczyzna trzymał w dłoniach czapkę od munduru, wystawiając twarz do sierpniowego słońca. Sierżant detektyw Gibson podszedł bliżej i dopiero wtedy głośno odchrząknął. Patrolowy podniósł się gwałtownie, nie mogąc się zdecydować, czy włożyć czapkę, czy się przywitać.

– Proszę pana, przepraszam, sierżancie, inspektorze – powiedział nieporadnie.

Gibson wyjął długopis z wewnętrznej kieszeni kurtki i podpisał plombę, zanim policjant otworzył im drzwi domu.

Nie był to żaden pałac, ale po tym, jak ocenił dom z zewnątrz, Noah nie krył zaskoczenia jego dobrym stanem. Z głównego wejścia wchodziło się do salonu, z którego prowadziły drzwi do pokoi. Te wiodące do kuchni były otwarte – i stamtąd dobiegł ich niewyraźny zapach, mieszanina ciastek, gotowanej kapusty i herbaty. W głównym pomieszczeniu pod ścianami stało mnóstwo nowych i starych mebli. Pełno filizanek i spodków, niektóre dość stare, w szklanych witrynach, kredensach i na półkach. Poduszki z kwiatowymi motywami i tanie gobeliny ze scenami polowań oraz nimfami. Na środku wisiał haftowany obraz przedstawiający krzew gorejący oraz motto Kościoła prezbiteriańskiego po łacinie: *Nec Tamen Consumeatur, Exodus 3,2*.

– „Lecz cierń się nie spalił”¹ – zacytował Noah, zdając sobie sprawę z wagi tego zdania oraz obciążenia, jakim dla takiego człowieka jak Biblijny John było zapewne wychowywanie się w otoczeniu kobiet i w cieniu tak ważkiego motta.

Wyszkolony na okoliczność wizyt w miejscach policyjnych przeszukań, Scott Sherrington potrafił rozpoznać bałagan, jaki zostawili detektywi, oraz zakurzone ślady po technikach. Wyobraził sobie, jak wcześniej wyglądało pomieszczenie. To na nic, pomyślał. Zbieranie odcisków miało sens tylko wtedy, kiedy dało się je porównać z tymi oryginalnymi. Daktyloskopia, niewątpliwie najważniejsza technika w historii stosowana w policyjnym śledztwie, nie poczyniła wielkich postępów w ciągu ostatnich lat. Na każdym kongresie policyjnym mówiło się o utworzeniu krajowego rejestru odcisków palców i danych, który mieli nazwać „Holmes”, ale na razie to było jedyne, co mieli – nazwę. Cała reszta pozostawała w sferze marzeń. Interpol dokonywał ogromnych wysiłków, żeby rozwijać się na tym polu, lecz opór brytyjskiego rządu przed dzieleniem się ze swoimi europejskimi kolegami informacjami na temat przestępców był ewidentny.

Z salonu wchodziło się do pozostałych pomieszczeń. Oprócz kuchni były tu sporej wielkości łazienka i trzy sypialnie, dwie z nich dość małe, jedna bez okien i zastawiona szafami, co kazało mu myśleć, że może dawniej obie tworzyły jeden pokój.

Noah nie był zdziwiony odkryciem, że większa sypialnia należała do Johna. Tak hedonistyczna i próżna osoba nie mogła wybrać mniejszego pomieszczenia. Duże łóżko i wielka szafa pełna ubrań dobrej jakości, dobrze skrojonych i raczej ponadczasowych. Kolory neutralne, stonowane. Najwyraźniej niczego nie brakowało. Na wewnętrznych drzwiach szafy zauważył duże lustro. Na ścianie naprzeciwko łóżka wisiało drugie, obejmujące całe ciało. Wyobraził sobie Johna, jak stoi przed nim i się przegląda – i nagle zobaczył własne odbicie. Bładość rozciągała się od czoła aż po szyję, pod oczami miał głębokie ciemne cienie, wydawało się, że w ciągu tych pięciu dni, jakie spędził w szpitalu, schudł co najmniej jedenaście funtów.

Zawartość szafek nocnych leżała porozrzucana na łóżku. Nic ciekawego. Terminarze, lekarstwa, notatki, paragony i inne tego typu rzeczy, które zostały sfotografowane i oznaczone i już zajmowały zapewne wiele stołów w głównej sali wydziału zabójstw w Marine. Po jednej stronie łóżka stała niewielka, zupełnie

pusta biblioteczka. Z pewnością ci z Yardu byli zainteresowani tym, co czytał John. Noah też chciałby to wiedzieć.

- Facet miał mnóstwo książek – zaznaczył Gibson.
- Sądząc po wielkości biblioteczki, nie mogło ich być aż tak dużo.
- Tutaj trzymał tylko kilkanaście, ale szopa była ich pełna.
- Rozmawialiście z sąsiadami?

– Tak. To, co zawsze: że wyglądał na dobrego chłopaka, że był uprzejmy, choć dość skryty. Jego matka i ciotki bardzo pracowite. Matka jest najstarsza, urodziła Johna jako panna. W tamtych czasach to była hańba dla rodziny, wyrzucili ją z domu i nie odzywali się do niej przez całe lata; to typowe dla małych miścin. Po śmierci babki dwie młodsze siostry zamieszkały z nią. To jest oficjalna wersja, parę kobiet opowiedziało mi inną. Że ojciec dobierał się do najstarszej córki, a kiedy dziewczyna zaszła w ciążę, matka wyrzuciła ją z domu; kilka tygodni później ojciec wyszedł, żeby kupić tytoń, i nigdy nie wrócił.

Noah rzucił szybkie spojrzenie na sypialnię, którą dzieliły trzy kobiety. Zdziwił się, widząc, że do trzech pojedynczych łóżek dostawiono pryczę. Wyjaśnienie mogło być tylko jedno: młoda żona Clyde'a spała razem z nimi. W tym momencie zorientował się, że w sypialni Johna nie widział kobiecych ubrań ani żadnego osobistego przedmiotu jego żony. Najmniejszy pokój prawie w całości zapełniały dwie stare szafy. Było widać pośpiech, z jakim kobiety wyciągały ich zawartość, zostawiając niektóre ubrania i duże kartonowe pudło, w którym znajdowało się kilka niemodnych, zatechłych torebek i wiele staroświeckich ciuchów. Niewątpliwie największe wrażenie robiła tania suknia ślubna wisząca na wieszaku niczym duch.

– Właśnie! – wykrzyknął Noah, zwracając się do Gibsona. – Zdjęcia ślubne. Skoro niedawno wyszła za mąż, gdzie muszą być zdjęcia ze ślubu, chociaż jedno. Żadna kobieta na świecie nie zrezygnowałaby z takiej pamiątki. Popytaj miejscowych fotografów, w kościele albo w urzędzie.

Zanim wyszedł z ciasnego pokoiku, odwrócił się i przejrzał zawartość kartonowego pudła. Z trudem rozsunął suwak jednej z torebek. Zamek, całkowicie zniszczony przez wilgoć, był zielonkawy, ale metalowe zdobienia na zewnątrz wciąż lśniły. Ze środka wyjął garść kartek sklejonnych z powodu wilgoci i sprawdził metkę. Ostrożnie rozkleił parę kartek. Były to stare programy parafialne z kościoła, do którego należała rodzina Clyde'a. Włożył je na swoje miejsce.

Szopa była drewniana i sprawiała wrażenie pogrzebanej między tylną fasadą domu a na wpół zniszczonym przez nawałnicę zboczem. Zobaczył, że ktoś rozłożył na błocie niebieską plandekę, aby móc dostać się do środka.

Trzy z czterech ścian konstrukcji zajmowały puste teraz półki. Stół, metalowa lampa, stara sofa przykryta kocem i skórzane krzesło. Jedyne kolorowy akcent, który kontrastował z szarawym drewnem ścian, zapewniały stary wełniany dywan i piecyk naftowy w błyszczącym pomarańczowym kolorze.

– Gdzie znaleźliście szkatułkę, w której trzymał kolczyki?

Gibson skierował się do najniższej części konstrukcji i wskazał otwór w belce.

– Cóż, to w sumie nie była szkatułka, tylko stara puszka po herbacie. Były w niej kolczyki, naszyjniki, bransoletki, pierścionki, spinki do włosów, wszystko wymieszane. I nie jesteśmy nawet pewni, czy zachował całą biżuterię. Ojciec Clarissy O'Hagan przeszukał wszystko po zidentyfikowaniu córki. W dniu, w którym dziewczyna zniknęła, miała na sobie jedyne wartościowe kolczyki swojej matki. Nie było ich tam. Szukamy w lombardach, może dostał za nie trochę grosza...

– Dokumenty, torebki, ubrania, majtki...?

– Nic.

– Tylko stara puszka po herbacie... – wymamrotał Scott Sherrington, kręcąc nieznacznie głową.

– Co takiego ci nie pasuje? – zapytał podejrzliwie Gibson.

– Brak metody. Sam widziałeś, jak wygląda jego pokój, jak jest urządzone to miejsce. Takich jak on Amerykanie dzielą na dwie grupy: zorganizowani

i niezorganizowani. Ci drudzy są bardzo chaotyczni, do tego wręcz stopnia, że mogą przechowywać ludzki palec w słoiku z ogórkami, a potem zostawić go w lodówce na całe lata i nawet zapomnieć, że tam tkwi. Na przeciwległym biegunie są ci absolutnie uporządkowani, jak Clyde. Życie, ubrania, pokój, ta szopa. Wszystko wokół Johna Clyde'a to ład i schludność. Ta puszka to śmietnik, a nie kolekcja trofeów. W przypadku ofiar z sześćdziesiątego ósmego i sześćdziesiątego dziewiątego zabrał torebki, a w innych przypadkach wszystkie ubrania. Graham powiedział mi, że ciała znalezione w jeziorze też były nagie, zdjął z nich wszystko, co mogłoby pozwolić je zidentyfikować, ale istnieje różnica między tym a przechowywaniem trofeów. Jego trofea muszą gdzieś być.

Gibson słuchał go z rozchylonymi ustami i rękami opartymi na biodrach. Po chwili wypuścił nosem powietrze i przyznał szczerze:

– Nie zrozumiałem ani słowa.

Wyszli z szopy, pożegnali się z patrolowym i ruszyli ścieżką z powrotem do głównej drogi. Wsiedli do samochodu, który zdążył się nagrzać od słońca. Scott Sherrington opuścił szybę i odwrócił się, żeby ukryć warstewkę potu, która pokryła mu czoło wskutek niewielkiego wysiłku, jakim było przejście do pojazdu. Patrzył w pustkę, zastanawiając się, czy tak to będzie wyglądać każdego dnia. Wietrzyk wiejący znad jeziora przytoczył na główną drogę niewielki tuman kurzu, który unosił się nad łąką obok domu.

– Zatrzymaj samochód.

– Co ci jest? – Gibson zahamował. – Dobrze się czujesz?

– Nie widziałeś tego?

– Masz na myśli ten tuman? Tutaj wszędzie są polne drogi.

Scott Sherrington otworzył drzwi i wysiadł.

– Ale ziemia jest mokra... Jak wyjaśnić, że wznosi się w taki sposób?

Jakieś sześćset stóp za granicą posiadłości znaleźli resztki paleniska ukrytego za skałą i obłożonego zaokrąglonymi kamieniami. Nie było zbyt duże, mniejsze niż

typowe ognisko. Białawe resztki wskazywały na to, że rozpalono je po ulewach. Nie było śladu drewna. Noah się schylił i wziął między palce cienki kawałek spalonego papieru, który od razu się rozpadł. Ziemia nadal wydzielala charakterystyczny zapach nafty, niemal na pewno pochodzącej ze zbiornika tamtego pomarańczowego piecyka z pracowni Johna Clyde'a. Podczas gdy Gibson ruszył z powrotem do samochodu, żeby przez radio powiadomić techników zbierających ślady, Noah analizował kierunek wiatru i sposób, w jaki unosił się popiół. Udał się w tamtą stronę przez pole, sprawdzając zakurzone resztki przyłączone do źdźbeł wysokiej trawy kołysanej przez wiatr. Zdało mu się, że w oddali coś dostrzegł, a kiedy podszedł bliżej, zobaczył, że to kawałek papieru, grubego, niemal kartonowego. Był w delikatnym kolorze sepii, lecz Noah nie wiedział, czy to efekt ognia, czy upływu czasu. Na jednej stronie znajdowały się dwie równoległe linie o nieokreślonym kolorze, a na drugiej nadruk typowy dla pocztówki. Jeśli kiedyś było tu coś napisane, to spłonęło w płomieniach. Ale na części z nadrukiem zarezerwowanej na podpis pod fotografią dało się jeszcze dostrzec słowa: „...Andrew, Printed in Eng...”.

Usłyszał za plecami sapiącego Gibsona, który wspinał się po zboczu, i instynktownie ukrył karteczkę w dłoni.

– Myślisz, że to on je rozpalił, zanim zniknął? – zapytał Gibson, wskazując resztki paleniska.

– Nie, sądzę, że to matka i ciotki, możliwe nawet, że ta jego młoda żona. Nie mógł wiedzieć, czy byłem sam, czy ścigała go cała szkocka policja. Chociaż nie spodziewał się, że nastąpi to teraz, myślę, że od jakiegoś czasu brał tę możliwość pod uwagę. Kiedy ten moment nadszedł, dokładnie wiedział, co robić. – Noah spojrzał na Gibsona, który kiwał głową, jakby to była jego koncepcja. – To by znaczyło, że one też o tym wiedziały. Może niekoniecznie miały świadomość całego planu, ale jestem pewien, że w jakiś sposób dostały dokładne instrukcje, a potem zniszczyły wiadomość. To nie był duży ogień, ale nie ryzykowały i nie spaliły jej w domowym kominku.

– Technicy już tu jadą. Znalazłeś coś?

– Nic, tylko popiół – odpowiedział Noah.

Schodząc ze zbocza w kierunku samochodu, wsunął karteczkę do wewnętrznej kieszeni kurtki.

¹ Cytat za Nową Biblią Gdańską [wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki].

Po prostu utrzymać razem życie i duszę

*JUST KEEPING LIFE
AND SOUL TOGETHER*

Okna jego mieszkania wychodziły na uliczkę odchodzącą od Earl Street, więc nawet latem nie miały bezpośredniego dostępu do słońca. Był wdzięczny za chłód, jaki powitał go po wejściu do środka. Pokonanie dwóch pięter sprawiło, że czoło miał zroszone potem, mimo że przystanął na kilka minut, by odpocząć na pierwszym półpiętrze. Ale gdy tylko zamknął drzwi, zaczęło mu być zimno.

Mieszkanie wyglądało na opuszczone. Meble pokrywała cienka warstewka kurzu. Noah zwrócił uwagę, że ktoś zostawił otwarte okno, prawdopodobnie jeden z policjantów, którzy tu byli. Błąd, którego on nauczył się unikać. Ciągły ruch na Earl Street sprawiał, że w powietrzu tworzyła się oleista mieszanka kurzu i dymu z silników, która osiadała na wszystkich powierzchniach. Zamknął okno, co znacznie ograniczyło dobiegający z zewnątrz hałas, i znowu rozejrzał się po pokoju. Bez teczek, wycinków i fotokopii, które zapełniały stół w jadalni i ścianę naprzeciwko sofy, zostały tu tylko paczka papierosów, popielniczka zawalona

petami i pół butelki dziesięcioletniej whisky Laphroaig. Do tego sprowadza się moje życie, pomyślał, wzdychając. Nachylił się, żeby wziąć paczkę, i potrząsnął nią, by przekonać się, że w środku zostały jeszcze papierosy. Chłopcy byli bardzo wielkoduszni, stwierdził. Gdyby to było typowe przeszukanie, butelka i papierosy na pewno by zniknęły.

Udało mu się pozbyć Gibsona po tym, jak zostawił na sofie stos gazet, papierową torbę z logo apteki, drugą zatłuszczoną z czymś do jedzenia – na ten zakup Gibson nalegał w sklepie spożywczym na dole – oraz niebieskie pudełko z zegarkiem.

– Zapomniałeś je zabrać ze szpitala, leżało na stoliku. Wziąłem je po tym, jak wyszedłeś.

Scott Sherrington patrzył na niego uważnie przez kilka sekund. Bez wątpienia Gibson miał dobre intencje, ale jest pewne przysłowie o dobrych chęciach i piekle. Wtedy się zorientował, że wciąż trzyma w dłoni paczkę papierosów. Chwycił butelkę whisky i dziękując Gibsonowi, wsadził mu w ręce obie rzeczy, po czym odprowadził go do drzwi.

Gdy już je zamknął, ruszył do kuchni, otworzył lodówkę, a w niej małe wewnętrzne drzwiczki zamrażalnika. Upewnił się, że cienka warstwa szronu pokrywa pudełko z pierogami z tuńczykiem, które leżało w głębi. Nikt go nie ruszył.

Usiadł na sofie naprzeciwko pustej teraz ściany. Potrafił sobie jeszcze przypomnieć rozmieszczenie każdego wycinka z gazet „The Scotsman” i „The Glasgow Herald” z wielkimi, typowymi dla lat sześćdziesiątych tytułami *Złapcie potwora; Biblijny John znów zabija; Morderca o twarzy dziecka* – przyczepionymi obok portretów pamięciowych i twarzy ofiar zarówno leżących na ziemi, jak i jeszcze z czasów, kiedy były pełne życia. Teraz podziwiał jasne kolory tapety we wzór imitujący grube poziome serpentyny, które falując, przemierzały całe pomieszczenie. W zaledwie kilka miesięcy tapeta pożółkła wokół miejsca, gdzie wisiały artykuły – skutek palenia tytoniu, kiedy przyglądał się zawartości tej ściany.

Z kieszeni marynarki wyjął kawałek papieru i podszedł do ściany. Musiał się schylić, żeby podnieść jedną z tych czerwonych pinezek rozrzuconych po podłodze. Wstając, poczuł lekkie zawroty głowy. Wziął głęboki oddech i zanim przyczepił karteczkę do ściany, obejrzał ją z obu stron, zastanawiając się, która z nich zawiera więcej informacji. W końcu przepisał na kartkę tekst z rewersu i przyczepił ją obok pocztówki przedstawiającej dwie równoległe poziome linie. Cofnął się kilka kroków i usiadł. Zawroty się nasilały. Nadszedł czas na wzięcie lekarstw, ale przypomniał sobie, że nie jadł niczego od śniadania w szpitalu. Sięgnął po zatłuszczoną papierową torebkę i otworzył ją. Ryba, frytki i *black pudding*, bardzo w stylu Gibsona. Pomny ostrzeżenia doktora Handleya na temat ciężkostrawnych potraw, zdecydował się na *fish and chips*, które były jeszcze ciepłe. Pomyślał, że kiedy nadejdzie odpowiedni moment, mógłby ze sobą skończyć, jedząc *black pudding*.

Nie miał apetytu. Połykanie zamieniło się w ćwiczenie kontroli. Drogi oddechowe wciąż miał podrażnione po respiratorze, ale oprócz tego od dnia ataku każdy kęs wpadał do jego żołądka jak ogromna kula, rosnąc stopniowo w przewodzie pokarmowym. Miał absolutne poczucie sytości, jak gdyby spożyty pokarm zwiększał tam swoją objętość, miażdżąc płuca i uniemożliwiając oddychanie. Wyjął z torebki lekarstwa i uważnie przeczytał ulotki; zakrawało na ironię, że te mikstury, które miały utrzymać go przy życiu, pierwotnie były truciznami zdolnymi go zabić. Połknął drażetki diuretyku i popił dwiema łyżeczkami wyciągu z naparstnicy. Zamknął oczy i czekał, słysząc w uchu wewnętrznym rytmiczne bicie swojego serca – niczym bęben na galerze pełnej niewolników.

Zawroty powoli ustępowały. Wrażenie pełności zniknęło, zmniejszyły się też ból głowy, dzwonięcie w uszach oraz uczucie paniki. Spojrzał na niebieskie pudełko i położył je na stoliku obok sofy. Wziął się do przeglądania gazet.

Sprawa Biblijnego Johna zajmowała pierwsze strony wszystkich dzienników. Wobec braku porządnej fotografii Clyde'a wiele z nich zamieściło zdjęcia jego matki i ciotek wychodzących z Mariny z kurtkami na głowach w nieudolnej próbie

ukrycia twarzy, a także Harmony Cottage widzianego z daleka. Nagłówki nie różniły się zbytnio od tych z lat sześćdziesiątych: *Biblijny John zdemaskowany; Zdemaskowana tożsamość najsłynniejszego mordercy w Szkocji; Biblijny John zidentyfikowany* i tym podobne. Tylko jeden był inny i Noahowi wydał się niesmaczny: *Dziewice z jeziora* – w nawiązaniu do nieśmiertelnego poematu Waltera Scotta inspirowanego jeziorem Katrine. Pod spodem zamieszczono jedno ze zdjęć, które zapewne miał na myśli Gibson, kiedy mówił mu o problemach z prasą. Choć było czarno-białe, dało się dostrzec błotnisty teren, którego nie potrafił rozpoznać (mimo że tam umarł), z taśmami policyjnymi rozciągniętymi wokół wielu otwartych dołów oraz ciał przykrytych prześcieradłami i ułożonych w rzędzie przy brzegu. Zrzucił stos gazet, które rozsypały się po podłodze. Był wycieńczony i śpiący. Ciarki przeszły mu po ciele. Wziął wełniany koc, żeby się przykryć, i w tym momencie zauważył, że wzór szkockiej kraty jest bardzo podobny do wzoru z tamtego koca, którym owinięto ciało matki Sama, Gillian i Andrew. Nawet nie znał jej imienia.

Poszedł do sypialni i przemknęło mu przez myśl, żeby zdjąć ubranie, położyć się do łóżka i spać; uciec przed strachem, słabością, nieustannym zmęczeniem i dezorientacją, z którymi musiał się zmagać przez cały czas, żeby utrzymać kontrolę nad swoim umysłem. Kiedy jednak obracał tę myśl w głowie, ogarnęła go pewność, że jeśli to zrobi, to już nie wstanie, umrze tutaj. Ściągnął z łóżka kwiecistą narzutę odziedziczoną po poprzednim najemcy i wrócił z nią na sofę. Koc rzucił z tyłu, gdzie nie mógł go widzieć, przykrył się narzutą i zamknął oczy.

Deszcz lał jak z cebra, wpadając mu do oczu. Mokre rzęsy były ciężkie i sklejały się ze sobą za każdym razem, gdy mrugał. Niczego nie widział. W każdej sekundzie zdobywał się na wysiłek, żeby dostrzec obecność Clyde'a przed włączonymi reflektorami capri. Ale to na nic. Jakby dręczyła go najsilniejsza migrena, widział wszystko przez pryzmat wielu zamazanych twarzy. Słyszał huk burzy, grzmoty dudniły w oddali, a pioruny rozłupywały drzewa na wzgórzach otaczających jezioro Katrine. Zanurzony w szlamie, znowu walczył o złapanie

oddechu; serce biło mu tak mocno, że aż bolało. Rytm bębna rozbrzmiewał niczym trzask bata: prask, prask, prask. Podnosił Johna Clyde'a z ziemi. Nie zważał już na deszcz. Paliło go w gardle, potrzebował powietrza. Wziął głęboki oddech i poczuł zapach jeziora, ziemi przyciągniętej na brzeg, ozonu powstałego w czasie burzy, potu Johna Clyde'a, spleśniałych zwłok, przy których padł na podłogę. I w tym momencie wiedział, że ostatnie, co ujrzał, to martwa twarz ofiary Biblijnego Johna. Poczuł ogromny smutek, ale mimo to postanowił się nie budzić. Postanowił tam zostać, zaczekać jeszcze trochę, zaczekać, aż zobaczy. Ale nie było niczego widać. Ciemność spowijała go zimną warstwą żelatyny, w miarę jak ogarniało go przerażenie, gdy zrozumiał, że tam niczego nie ma. Z oddali usłyszał dźwięk telefonu.

Otworzył oczy i poczuł, jak ogarnia go fala gorąca, zalewając jego ciało potem. Odgarnął narzutę w tej samej chwili, gdy telefon przestał dzwonić. Dysząc, usiadł, żeby zdjąć marynarkę, i rozejrzał się dookoła niczym astronauta, który wylądował na nieznanym planecie. Poranne światło wpadało przez okno, w które nigdy nie świeciło słońce. Wszystko wydało mu się obce. Pejzaż, otoczenie. Utkwił wzrok w spalonych resztkach pocztówki i pomyślał, że wygląda jak mała łódka płynąca po tym psychodelicznym morzu pożółkłych serpentyn. Zdejmując resztę ubrań, udał się pod prysznic.

Utrata przyjemnego odczucia należała do tych rzeczy, które najbardziej go złościły. Deszcz był nieodłączną częścią Noaha, tak samo jak był nieodłączną częścią Glasgow. Podobnie jak wielu Szkotów chełpił się, że nie ma parasola, a deszcz na twarzy zawsze oznaczał dla niego wolność. Przypomniawszy sobie Johna unoszącego ramiona w deszczu, niczym gwiazda rocka w jedności z burzą, jakby to on ją wywołał albo jakby w jakiś sposób był jej współnikiem. Noah stracił poczucie wolności. Odkąd obudził się w szpitalu, woda na jego twarzy zamieniła się w preludium śmierci i nawet pod prysznicem nie mógł uciec od złowieszczonego wrażenia, jakie w nim wywoływała. Odchylił głowę, żeby umyć włosy, a kiedy zamknął oczy, jezioro znowu wróciło. Otworzył je przerażony i dokończył prysznic, tak by nie moczyć sobie twarzy. Zastanawiał się, co mógł czuć Biblijny

John, gdy zobaczył, jak pada na ziemię martwy. Był pewien, że to sprawiło, iż jego narcyzm się nasilił. Musiał poczuć się niepokonany. Jednakże, tak jak powiedział Gibsonowi, Clyde nie mógł wiedzieć, czy Noah był tam sam, czy cała szkocka policja deptała mu po piętach. Ile zajęłoby mu dotarcie do domu i zabranie niezbędnych rzeczy? Możliwe, że nawet miał je przygotowane, czekały jak worek żołnierza w rezerwie. Sprawa zdjęć, fakt, że nie było żadnej jego fotografii, ewidentnie wskazywała na to, że miał wszystko zaplanowane. Scott Sherrington przekonał się o tym, oceniając, ile kosztowałoby starcie fotograficznego śladu jakiegokolwiek osoby. Zdjęcia z dzieciństwa, zdjęcia szkolne, zdjęcia z parafii, zdjęcia z kolegami, z lat nastoletnich, z uniwersytetu. To mu przypomniało, że widział jedno zdjęcie Johna Clyde'a; nie było nowe, ale Clyde prawie się nie zmienił. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku, opierając się na mglistych opisach świadków, gazeta „The Glasgow Herald” nazwała go „mordercą o twarzy dziecka” – i to właśnie pomyślał Noah, kiedy po raz pierwszy zobaczył tamtą fotografię.

Jego wizerunek pojawił mu się w głowie tak wyraźnie, jakby miał go przed sobą żywego. To było w zeszłym roku, kiedy pracował w CID w Edynburgu i rutynowo badał zaginięcia tych dwóch studentek sprzed dziesięciu lat. Dziewczyny studiowały na Uniwersytecie Edynburskim i pasowały do profilu ofiar Biblijnego Johna. Początkowo nie przywiązywano do tych zaginięć wielkiej wagi: obie były nierozważnymi młodymi dziewczynami, niezbyt dobrze radziły sobie z nauką i wielokrotnie wspominały o porzuceniu studiów. Tak się jednak złożyło, że jedna z nich była oprócz tego wnuczką wielkiej filantropki, co sprawiło, że zainteresowały się tym wszystkie gazety. Noah poprosił rektorat o listę studentów, którzy zrezygnowali ze studiów po zniknięciu dziewczyn. Były to cztery osoby: oprócz Clyde'a jeszcze dwóch chłopaków i jedna dziewczyna, z tą tylko różnicą, że w przeciwieństwie do nich John dobrze sobie radził na uczelni. Noah spotkał się z rektorką i z tutorem, którzy – mimo że upłynęło już ponad dziesięć lat – chętnie współpracowali, aby rzucić nowe światło na sprawę zniknięcia dziewczyn, chociaż przeczuwał, że trochę bardziej zależało im na tej ze znanym nazwiskiem. Ponieważ

nie miał nakazu, nie mogli zostawić go samego z dokumentami, ale nie było żadnych przeciwwskazań, by pokazać mu je w ich obecności. Według tutora powodem rezygnacji Clyde'a były kłopoty zdrowotne członka jego rodziny; jeśli dobrze pamiętał, chodziło o matkę. Podczas rozmowy tutor miętosił teczkę Clyde'a i otworzył ją przed Noahem. Na pierwszej stronie, przypięte zszywaczem, widniało kolorowe zdjęcie sporej wielkości.

Wyszedł spod prysznic, ubrał się pospiesznie i zadzwonił do rektoratu Uniwersytetu Edynburskiego. Następnie wziął marynarkę i ruszył do drzwi. Wahał się chwilę, czy zabrać ze sobą to, co przechowywał w pudełku z pierogami w zamrażalniku, ale doszedł do wniosku, że skoro nie znaleźli tego podczas pierwszego przeszukania, to jest tam bezpieczne. W ostatnim momencie wrócił jednak do ściany i zdjął na wpół osmaloną pocztówkę oraz wiszącą obok notatkę, w razie gdyby Gibsonowi przyszło do głowy tu wrócić. Policja z Glasgow nie pierwszy raz węszyłaby w jego mieszkaniu w ostatnich dniach.

Mam dość walczenia, choć wiem, że powinienem

*I'M SICK OF FIGHTING
EVEN THOUGH I KNOW I SHOULD*

Scott Sherrington był urodzonym obserwatorem, chełpił się tym, że jest w stanie analizować i przewidywać, z całkiem dobrym rezultatem, postępowanie innych, jednak w przypadku zachowania kobiet w sprawach sercowych zawsze miał wątpliwości.

Rektorka na niego czekała. Już podczas swojej poprzedniej wizyty, przed rokiem, podejrzewał, że pani Ferguson trochę z nim flirtowała. Zapytała go, czy jest żonaty, a gdy zaprzeczył, uśmiechnęła się do niego w ten szczególny sposób. Dzisiaj zauważył, że – choć nie miała na twarzy śladu innego makijażu – pomalowała sobie usta, być może w pośpiechu. Próbował sobie przypomnieć, czy miała je tak samo pomalowane podczas jego poprzedniej wizyty. Był pewien, że nie.

– Inspektorze, jakże się cieszę, że pana widzę. Gazety pisały, że pan zmarł. Miło widzieć, że się myliły. Dobrze pan wygląda, domyślam się więc, że to nie

było nic poważnego – powiedziała, przytrzymując jego rękę o kilka sekund dłużej, niż to konieczne.

– Nie, nic poważnego – odparł wymijająco.

– Pański telefon był dla mnie zaskoczeniem, ponieważ tak się składa, że dziś planowałam skontaktować się z pańskim komisariatem. – Usiadła za swoim stołem i wskazała mu krzesło.

– Czyżby?

– Podczas swojej poprzedniej wizyty poprosił pan, żebym do niego zadzwoniła, jeśli przypomnę sobie coś jeszcze na temat byłych studentów. – Zrobiła pauzę, patrząc mu prosto w oczy.

– I coś sobie pani przypomniała...

– Nie ja. Po tym całym zamieszaniu, jakiego narobiła prasa w sprawie Biblijnego Johna, pewien profesor przyszedł do mnie i powiedział, że pamięta Johna Clyde'a ze swoich zajęć, na które przypadkiem chodziły także dwie dziewczyny, zaginione już jedenaście lat temu. To było dla mnie duże zaskoczenie, ponieważ, jak już powiedziałam panu przed rokiem, w teczce nie było żadnej informacji, jakoby pan Clyde uczęszczał na jakiegokolwiek zajęcia z tymi dziewczynami.

Gdy zabrzączał interkom, kobieta odebrała.

– Pani rektor, profesor Martínez już tu jest.

– Dobrze, niech wejdzie.

Martínez miał około sześćdziesięciu lat i cała jego aparycja nie pozostawiała wątpliwości, że jest profesorem: tweedowa marynarka, beżowa koszula, brązowy krawat, oxfordy w tym samym kolorze. Usiadł na krześle obok Scotta i czekał na gest rektorki, która poprosiła go o zabranie głosu.

– Przede wszystkim muszę zaznaczyć, że nie chciałbym nikomu zaszkodzić tym, co zamierzam panu powiedzieć. Czy jesteście pewni, że pan Clyde to Biblijny John?

– Bez cienia wątpliwości – zapewnił Scott Sherrington.

Ukontentowany odpowiedzią, profesor Martínez spojrział na rektorkę i skinął kilka razy, zanim zaczął mówić.

– Nie pamiętałbym o tym, gdyby nie artykuły, które ukazały się w gazetach. Naturalnie nie da się zapomnieć o studentkach, które zagięły, jedna z nich była wnuczką filantropki wspierającej uniwersytet i w swoim czasie o jej zaginięciu było w Edynburgu dość głośno. Chociaż, jeśli mam być szczery, zawsze uważałem, że to była dobrowolna ucieczka. To trudne studia, wielu studentów z nich rezygnuje, nawet na ostatnim roku, a te dwie dziewczyny nie radziły sobie szczególnie dobrze. Wtedy złożyłem zeznania i to właśnie powiedziałem, choć przypuszczam, że w świetle ostatnich wydarzeń wszystko się zmieniło. Oczywiście najpierw trzeba by wiedzieć, czy te dwie dziewczyny znajdują się wśród biednych ofiar, które znaleziono...

Scott Sherrington uświadomił sobie, że profesor Martínez dywaguje; był jedną z tych osób, które uwielbiają słuchać siebie.

– Pani rektor powiedziała mi, że pamięta pan Clyde'a i że, choć taka informacja nigdzie nie figuruje, miał pan z nim zajęcia, jak rozumiem.

– Nie, on był na filologii angielskiej, a ja wykładam na filologii hiszpańskiej.

Noah patrzył na niego, czekając na ciąg dalszy.

– Kiedy jednak zobaczyłem w prasie jego nazwisko, przypomniałem sobie, że w tym semestrze, w którym zagięły studentki, ten młodzieniec przyszedł do mojego gabinetu i poprosił o możliwość uczestniczenia w niektórych zajęciach jako wolny słuchacz.

– Dlaczego tej informacji nie ma w jego teczce?

– Ponieważ nie zapisał się na mój kierunek. Filologia hiszpańska jest bardzo trudna, wielu studentów prosi mnie o możliwość przyjscia na kilka zajęć, żeby się przekonać, czy im to odpowiada. Nie mam nic przeciwko.

– Na ilu zajęciach był John Clyde?

– Trudno powiedzieć. Nie zwracam szczególnej uwagi na wolnych słuchaczy, ale na pewno nie chodził do końca semestru.

– Zakładam więc, że niezbyt sobie radził z filologią hiszpańską.

– Wprost przeciwnie. Rozmawiałem z nim jeszcze tylko raz: przyszedł po jednych z moich zajęć i zwrócił mi uwagę, że popełniłem błąd w odmianie czasownika.

– Poprawił go pan?

Profesor zacisnął usta i nabrał powietrza przez nos. To, co powiedział później, musiało go wiele kosztować.

– Miał rację. Mój ojciec był Hiszpanem. Zapewniam pana, że John Clyde mówił po hiszpańsku jak rodzimy użytkownik tego języka.

Noah zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

– Ja mówię dość dobrze po hiszpańsku, moja matka studiowała przez kilka lat w Hiszpanii, udzielała prywatnych lekcji i kiedy byłem mały, w domu mówiła do mnie w tym języku. Powiedział panu, jak się nauczył? – zapytał po hiszpańsku.

Profesor Martínez popatrzył na niego tak, jakby wypowiedział jakieś bluźnierstwo, i nawet odchylił się nieco na oparcie krzesła, żeby zademonstrować swój niesmak.

– Wielu ludzi sądzi, że potrafi mówić w jakimś języku, ale w większości przypadków ich wymowa jest niezrozumiała. I nie, o nic go nie pytałem. Muszę przyznać, że jego ton wydał mi się próżny i arogancki. Nie zachęcał do rozmowy. Sprawdziłem formę czasownika w podręczniku do gramatyki i musiałem przyznać, że miał rację. Uśmiechnął się, odwrócił i wyszedł. Więcej nie pojawił się na moich zajęciach.

– Rozumiem, dlaczego pan go zapamiętał.

Profesor nie odpowiedział. Wstał, po czym zwrócił się do rektorki:

– A teraz, proszę mi wybaczyć, ale mam zajęcia.

Próżny i arogancki, pomyślał Scott Sherrington. Martínez również miał w sobie coś z tych cech.

Kiedy profesor wyszedł, Ferguson podała Noahowi tekturową teczkę, która wydała mu się znajoma.

– To akta Johna Clyde’a, o których mówił mi pan przez telefon.

Gdy wyciągnął rękę, żeby je wziąć, musnęła jego dłoń, co zostało zarejestrowane przez każde z nich. Uśmiechnęła, a Noah udawał, że nic się nie stało, skupiając całą swoją uwagę na teczce. Otworzył ją, lecz okazało się, że miejsce przeznaczone na zdjęcie jest puste.

– Pamiętam, że była tu kolorowa fotografia.

Zdumienie rektorki wyglądało na szczere.

– Tak, powinna tu być – powiedziała, wskazując pusty prostokąt. – Możliwe, że odpadła. Teraz je przyklejamy, ale dawniej trzymały się tylko na jednej zszywce u góry. Poproszę sekretarkę, żeby sprawdzono w archiwum.

Gdy rektorka wyszła z gabinetu, Noah przyjrzał się stronie z bliska. Małeńki kawałek papieru fotograficznego został uwięziony pod zszywką, kiedy zdjęcie wyrwano ze swojego miejsca. Zamyślony podniósł wzrok i wbił go w płótno na kominku, za stołem rektorki. Dość dobra reprodukcja szkunera „Bounty” płynącego pod pełnymi żaglami po spokojnych wodach, choć w oddali srebrzyste niebo między ciemnymi chmurami groziło burzą. Uznał, że to dziwny wybór do gabinetu rektorki szkockiej uczelni. A może dokonano go celowo?

Po chwili Ferguson wróciła.

– Poszukają zdjęcia, ale archiwum jest ogromne, a odbitka ma już ponad dziesięć lat, możliwe, że się oderwała i zgubiła.

Scott Sherrington spojrzał na nią zamyślony.

– Podczas mojej poprzedniej wizyty byli państwo bardzo restrykcyjni, jeśli chodzi o pokazywanie akt. Przypuszczam więc, że dysponuje pani rejestrem wszystkich osób, które mają dostęp do archiwum.

– Zgadza się, mamy bardzo szczegółowe procedury w kwestii dostępu do informacji. Tak jak powiedziałam panu wtedy, można sprawdzić niektóre dane, na przykład te dotyczące tytułów, albo potwierdzić, czy dany student uczył się w naszym kampusie. Ciągłe proszą nas o to inne uczelnie oraz firmy, które chcą

zweryfikować czyjś życiorys, ale zgodnie z procedurami należy powiadomić o tym zainteresowanego za każdym razem, gdy ktoś sprawdza coś w jego aktach.

Scott Sherrington otworzył usta z niedowierzaniem.

– To znaczy, że po mojej poprzedniej wizycie przekazano tym wszystkim osobom, że policja sprawdzała ich akta studenckie?

Rektorka odchyliła się na oparcie fotela. Nie podobały jej się konotacje, jakie zawierało to pytanie.

– Przypominam, że nie miał pan nakazu. My współpracujemy i oczywiście charakter naszej rozmowy nadal pozostaje prywatny, ale tak, dopełniono procedur i poinformowano studentów, że ich akta były przeglądane.

Scott Sherrington nie zdołał ukryć niezadowolenia. Spuścił głowę i uzbroił się w cierpliwość. Lepiej, żeby nie obraził tej kobiety, bo była mu potrzebna.

– Pani Ferguson, mogłaby mi pani powiedzieć, czy ktoś przeglądał tę teczkę po mojej wizycie?

Wbiła w niego wzrok. Tym razem się nie uśmiechała. Podniosła słuchawkę telefonu, wybrała numer i poprosiła niejaką Addison, żeby przyszła do jej gabinetu. Kobiecie zajęło to parę minut, które – ku rosnącemu niezadowoleniu rektorki Ferguson – Scott Sherrington spędził, patrząc na obraz, który miał przed sobą.

W końcu drzwi się otworzyły i stanęła w nich wezwana.

– Addison, proszę powtórzyć inspektorowi to, co powiedziała pani mnie.

– Dzień po powiadomieniu go pan Clyde zażądał dostępu do swoich akt. Poprosił o wykonanie kserokopii niektórych stron. To powszechna procedura, wielu byłych studentów zwraca się z taką prośbą.

– To pani zrobiła te kserokopie.

– Nie, to również powszechna procedura, że wykonują je sami zainteresowani. Przy sekretariacie jest kserokopiarka do użytku publicznego.

– Sprawdziła pani, czy są wszystkie dokumenty, kiedy zwrócił teczkę? Zauważyła pani, że brakuje fotografii?

Kobieta się zaczerwieniła.

– Nie sprawdziłam tego – odpowiedziała, zwracając się do rektorki. – To jego akta, dlaczego miałby zabierać jakieś dokumenty?

– W porządku – ucięła Ferguson, wskazując jej, by wyszła. – Przykro mi – dodała, kiedy ponownie zostali sami. – Nie wiem, jak mogła... – Umilkła, zdawszy sobie sprawę z tego, że inspektor nie zwraca na nią uwagi, a jego wzrok nadal jest utkwiony w obrazie. Sama spojrzała na płótno z zaciekawieniem.

Noah podniósł rękę, umieszczając palec wskazujący i kciuk przed lewym okiem i mrużąc prawe, żeby lepiej się przyjrzeć małemu fragmentowi obrazu widocznemu między jego palcami. Jasna drewniana listwa przebiegała wzdłuż czarnego kadłuba statku, tworząc drugi poziomy pas.

– To statek... – wymamrotał.

Ferguson odwróciła się zdziwiona.

– Tak, to szkuner „Bounty”, ten od słynnego buntu – powiedziała zdezorientowana wobec oczywistości.

– Nie – odparł Noah – to linia wodna statku.

Rektorka nie odpowiedziała, choć zacisnęła usta poirytowana. Noah nie mógł powstrzymać uśmiechu, gdy uświadomił sobie, że teraz już stracił u niej jakąkolwiek szansę. Spojrzał na telefon, który stał na mahoniowym stole.

– Czy mógłbym zadzwonić?

Chłód przenika każdy nerw i każde włókno

*THE COLD IS BITING THROUGH EACH
AND EVERY NERVE AND FIBER*

Wdrodze powrotnej do Glasgow niebo było coraz ciemniejsze, aż stało się zupełnie szare. Kiedy wjeżdżał do miasta deszczu, pierwsze grube i czyste krople spadły na przednią szybę samochodu.

Czuł się dobrze. Naładowany energią, jakiej nie doświadczył od tamtej nocy, kiedy prawie zatrzymał Biblijnego Johna. Rzucił szybkie spojrzenie na torebkę z lekami, którą położył na siedzeniu pasażera, by mieć ją blisko. Musiał się przyzwyczaić do jej obecności, miał świadomość, że potrzebuje jej, by żyć, ale wiedział też, że wola, która go podtrzymuje, jest tak silna, jak dawka wyciągu z naparstnicy.

Telefon do Ministerstwa Komunikacji i Handlu początkowo nie był zbyt budujący. Brown, jego kontakt, wyszedł na obiad, a człowiek, który odebrał, był nastawiony dość pesymistycznie.

– Andrew to bardzo powszechne imię. Muszą być setki statków, które się tak nazywają albo mają to imię w swojej nazwie.

– Może pan wykluczyć te rybackie. Myślę, że chodzi o statek pasażerski, na tyle ważny, że znalazł się na pocztówce.

– Mimo to... – odpowiedział z niechęcią jego rozmówca.

Scott Sherrington wiedział, że niczego nie wskóra.

– Niech pan posłucha, będę dostępny pod tym numerem jeszcze przez kwadrans; jeśli Brown wróci, proszę mu przekazać, żeby do mnie zadzwonił. Jeśli nie, proszę mu powiedzieć, że potem się z nim skontaktuję i żeby nie dzwonił na komisariat, bo mnie tam nie ma. Dobrze?

Zaczekał, podczas gdy rozmówca notował.

Był pewien, że wyczerpał już cierpliwość rektorki Ferguson. W tej samej chwili, gdy zadzwonił telefon, ona próbowała mu wyjaśnić, że nie ma więcej czasu i że będzie musiał poczekać na swoje połączenie przy budce w sekretariacie. Ale podniosła słuchawkę i mu ją podała.

Scott Sherrington wyłożył Brownowi swoją teorię na temat statku pasażerskiego.

– Przykro mi to mówić, ale mój kolega ma rację. Andrew to bardzo powszechne imię, choć istnienie tej pocztówki znacznie zawęży poszukiwania. Jeśli ci się nie spieszy, mogę sprawdzić w rejestrze handlowym. Skoro robią pocztówki, to będą w dokumentach, choć oczywiście tylko te wyprodukowane w ciągu ostatnich dwóch lat, wszystkie wcześniejsze rzeczy są w księgach rachunkowych. To może mi zająć tygodnie.

– Nie mogę czekać. Muszę mieć jakiś trop, cokolwiek. Przychodzi ci coś do głowy?

– No cóż, skoro robią pocztówki, to musi być jakieś wielkie przedsiębiorstwo. Jeśli skupimy się tylko na statkach pasażerskich, odpowiedź mogę mieć na jutro rano. Chociaż...

– Co?

– Jesteś pewien, że statek nazywa się „Andrew”?

– Nie mam całkowitej pewności, to właśnie jest napisane na pocztówce, ale brakuje jej znacznej części – powiedział Noah, przekładając słuchawkę do drugiego ucha, żeby móc podtrzymywać ją ramieniem, kiedy szukał karteczki w wewnętrznej kieszeni marynarki. W końcu ją wyjął i położył na stole.

– Tak, Andrew, to właśnie widać.

– Jeśli istnieje możliwość, że część nazwy nie jest widoczna, to wydaje mi się, że to może być MacAndrews.

– MacAndrews... – powtórzył Noah.

Wzrokiem przebiegł po stole i znalazł lupę, która leżała obok nożyka do otwierania listów. Wskazał ją, patrząc na Ferguson, która podała mu szkło, nie kryjąc niezadowolenia. Zaczął studiować rewers pocztówki i dostrzegł, że na spalonym końcu przed A od Andrews widnieje mały czarny ślad druku. Mogła to być końcówka litery C.

– Powiedz mi coś o tym MacAndrews.

– MacAndrews to nie jest statek, to największa brytyjska firma transportu morskiego – wyjaśnił Brown – i prawdopodobnie najstarsza. Ale nie zajmują się transportem pasażerów, choć nie wykluczyłbym, że produkują pocztówki promocyjne dla swoich klientów.

– To ci od kontenerów?

– Ci sami.

– Gdzie mają siedzibę?

– Główną w Liverpoolu, ale frachtowce wypływają też z Greenock. Transportują przede wszystkim stal z British Steel, którą załadowują w Liverpoolu, i whisky z portu w Greenock.

– Wiesz, czy pływają do Hiszpanii?

– Pływają wszędzie.

Pospiesznie pokonał ostatni odcinek schodów do mieszkania, ponieważ usłyszał dźwięk telefonu. Kiedy podniósł słuchawkę, był zdyszany.

Gibson brzmiał tak, jakby był szczerze zmartwiony.

– Cholera, przyjacielu, dobrze się czujesz?

– Tak, nie przejmuj się – odparł Noah, starając się odzyskać oddech.

– Ale coś ty, do diabła, robił, że jesteś w takim stanie?

– Wstawiałem z sofy – skłamał.

Po drugiej stronie usłyszał westchnięcie.

– Posłuchaj, Graham mnie zabije, jak się dowie, że ci o tym powiedziałem, ale miałeś rację. Nazwiska matki, ciotek i żony znaleźliśmy w rejestrze pasażerów statku, który wczoraj wypłynął do Nowego Jorku. Policja portowa będzie na nie czekać, kiedy zejda na ląd. Poprosiliśmy ich, żeby tylko sprawdzili, dokąd się wybierają. W świetle prawa nie popełniły żadnego przestępstwa. Nikt nie nakazał im tu zostać, ale przynajmniej będziemy wiedzieć, gdzie są. To niesamowite, że wiedziałeś, że popłynęły statkiem.

Nie potrafił tego wyjaśnić, ale w genach ludzi z Glasgow było naturalne zamiłowanie do otwartego oceanu. Patrzyli na niego, marzyli o tym, co znajduje się po drugiej stronie, i przemierzali go w poszukiwaniu amerykańskiego snu rodem z hollywoodzkich filmów. Robili to tak samo jak ich przodkowie: zabierali tobolek z najpotrzebniejszymi rzeczami i przeprawiali się przez ocean, jak gdyby czas podróży był czymś w rodzaju inkubacji w macicy, niezbędnej, by na widok wyspy Ellis narodzić się ponownie. I nagle złapał się na tym, że myśli o tej inkubacji, o tym procesie potrzebnym do zniknięcia i narodzenia się na nowo, i o Biblijnym Johnie. Zniknięcie oznacza często utratę tożsamości...

– Znaleźliśmy fotografa, który wywołał zdjęcia ślubne. Najwyraźniej zrobił je sam Clyde prostym aparatem. Jego uwagę zwróciło, że było tylko jedno zdjęcie młodej pary, wszystkie pozostałe przedstawiały dziewczynę i inne kobiety. Zabrał negatywy razem z wywołanymi kopiami. To normalne. Ale fotograf zostawił sobie kopię jednego ze zdjęć. Dość dobrego, z samą panną młodą. Wykonał powiększenie i wystawił je na kilka dni w witrynie swojego zakładu. Wysłałem ci kopię przez gońca. Powinna już dotrzeć.

Scott Sherrington tylko mruknął w odpowiedzi. Spieszyło mu się i niezbyt był zainteresowany dalszym wysłuchiowaniem sierżanta detektywa, chciał się rozłączyć i dalej rozmyślać o tych ponownych narodzinach, nowej tożsamości, nowym życiu.

Ale Gibson zinterpretował to mruknięcie zupełnie inaczej.

– Jeśli myślisz o wyjeździe do Nowego Jorku, wybij to sobie z głowy, to zły pomysł. Poza tym rozważaliśmy już możliwość wysłania tam kogoś.

– Jak się nazywa statek?

– „Isabella”. Dlaczego pytasz?

Scott Sherrington uśmiechnął się, zanim odpowiedział:

– Daję ci słowo honoru, że nie pojedę do Nowego Jorku.

Biblijnego Johna tam nie ma, pomyślał.

– Jest coś jeszcze... – wymamrotał Gibson. – To, co powiedziałaś o trofeach i sposobie, w jaki Biblijny John by je kolekcjonował.

Noah czekał w milczeniu.

– Mówiłem ci, że miał mnóstwo książek, różnych dokumentów, listów, kartek. W segregatorze znaleziono kolekcję kopert z rodzaju tych wzmocnionych w środku plastikiem. Wszystkie oznaczone miejscem i datą i ułożone w porządku alfabetycznym. Miejsca są rozrzucone po całej Wielkiej Brytanii, ale nie ma ani jednego imienia kobiety. W każdej kopercie była podpaska, w niektórych tampon, wszystkie ubrudzone krwią.

– Mój Boże... – wyszeptał.

– To nie wszystko. Mówiłem ci, że znaleźliśmy dziewięć ciał: dwa pogrzebane, sześć w jeziorze i to w samochodzie. A razem z tymi dwoma, które pojawiły się dziś rano, mamy w sumie jedenaście.

– Tak.

– Kopert jest dziesięćnaście.

Kiedy odłożył słuchawkę, rozejrzał się dookoła. Znowu ogarnęło go to uczucie, jakby był astronautą na zakurzonej, nieznannej i wrogiej planecie. Jedna myśl ogarnęła cały jego umysł. Nie chciał tu umrzeć.

Poszedł do kuchni, otworzył lodówkę i drzwiczki zamrażalnika, po czym wyciągnął pokryte szronem pudełko z pierogami. Otrzeptał je nad zlewem, otworzył i wyjął średniej wielkości czarny notes oraz rewolwer owinięty nasączoną olejem szmatą. Bardzo ostrożnie odłożył broń na blat, a potem otworzył notes i przekartkował go, patrząc na gęste pismo, którym zapisał wszystko, co wiedział na temat Biblijnego Johna. Z notesem w dłoni skierował się do sypialni. Rzucił na łóżko torbę podróżną i włożył do niej kilka ubrań, a potem ukrył notes między skarpetkami. Zanim wyszedł z pokoju, ze stolika nocnego wziął ramkę ze zdjęciem rodziców, popatrzył na nie przez kilka chwil, złożył podstawkę i ostrożnie wsunął ramkę między ubrania. Po powrocie do kuchni sprawdził rewolwer. To był smith & wesson kalibru dziesięć milimetrów, dyskretny i niezawodny, w dobrym stanie. Bezwiednie utkwiał wzrok w odznace, której zwrotu za kilka dni zażąda od niego Graham. Schował ją. Z szafy na korytarzu wyjął pięć pudełek amunicji. Do torby dorzucił recepty, które dostał w szpitalu, oraz torebkę z lekami, która teraz towarzyszyła mu wszędzie.

Zasunął suwak i rozejrzał się po mieszkaniu, które zajmował przez ostatnie miesiące. Niczym otwór w studni przyciągało go puste miejsce na ścianie, gdzie lśnił fragment tapety, której blasku nie przygasiła nikotyna.

Nie chcę tu umrzeć, usłyszał głos w swojej głowie. Drewno na podłodze zaskrzypiało w którymś miejscu, jakby zatrzymały się tam czyjeś kroki. Jeszcze raz rozejrzał się wokół, zaniepokojony.

– Do widzenia – wyszeptał.

Gdy zamykał za sobą drzwi, strumień powietrza musnął jego kark niczym oddech. W tym momencie miał jedno ze swoich przeczuć i wiedział, że pisane mu było tu umrzeć. W jego głowie pojawił się obraz Gibsona wyważającego drzwi do mieszkania, kiedy pewnego ranka by nie otworzył. Znalazłby go martwego przed tą pustą ścianą, na której tylko on był w stanie zobaczyć historię mordercy; jego zwłoki owinięte kwiecistą narzutą, może wysuszone z powodu upałów, które w tym czasie nawiedziły Szkocję, albo spleśniałe wskutek wilgoci znad rzeki Clyde, ale pokryte tym białawym, pozaziemskim pyłem, który ostatecznie pogrzebie

wszystko. Uzmysłowił sobie, że w jakiś sposób zmienia przeznaczenie, a przeznaczeniu się to nie podobało. Niemal wyczuł złowieszczą obecność śmierci, którą zostawiał za swoimi plecami, i musiał opanować impuls, by nie rzucić się schodami w dół. Nie odwrócił się za siebie. Dotarłszy do wyjścia, zatrzymał się tylko po to, żeby zostawić klucz w skrzynce pocztowej i odebrać kopertę ze zdjęciem, które przysłał mu Gibson. Kiedy wyszedł na ulicę, padał deszcz, ale nie przeszkadzało mu, że będzie miał mokrą twarz.

Pokonanie dwustu dziewiętnastu mil dzielących Glasgow od Liverpoolu zajęło mu trochę ponad cztery i pół godziny. Aż dwa razy musiał szukać stacji benzynowej, by skorzystać z toalety. Diuretyki nie dawały mu wytchnienia, co dwie godziny czuł przemożną potrzebę oddania moczu. Można by pomyśleć, że to naparstnica, jako trucizna, powinna wywołać najwięcej zaburzeń w jego organizmie. Uprzedzony przez kardiologa, żeby przyjmował dużo płynów, na stacji benzynowej kupił butelkę wody mineralnej, ale mimo to pojawiały się skurcze nóg. Diuretyki potęgowały zmęczenie, które już i tak było typowe dla kardiomiopatii rozstrzeniowej, a biorąc pod uwagę jego sytuację i perspektywy, nie mógł też być pewien, czy depresję i rozdrażnienie należy przypisać wyłącznie tabletkom moczopędnym.

W porównaniu z Glasgow Liverpool wydał mu się pusty wczesnym popołudniem. Prowadził przez centrum w stronę portu, wahając się, czy jechać dalej, czy zatrzymać się gdzieś, żeby rzucić okiem na mapę. Był w tym mieście trzy razy; pierwszy w dzieciństwie z rodzicami; dwa pozostałe, już jako dorosły człowiek, na stadionie, żeby obejrzeć mecz swojej drużyny Celtic Glasgow, która w obu przypadkach wygrała. Noah nie był wielkim kibicem, ale w tamtym okresie magia Celticu sprawiała, że wielu marzyło o spektakularnych sukcesach. Nie mógł zapomnieć dat tych meczów, to były czasy Biblijnego Johna, ale także czasy Jocka Steina, trenera Celticu. Glasgow, miasto zdolne do wszystkiego, co najlepsze, i do wszystkiego, co najgorsze, pomyślał. W sezonie tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt sześć – sześćdziesiąt siedem piłkarze Celticu wygrali Puchar Mistrzów, zasługując

na miano „Lwów Lizbony”, jak nazywała ich cała Europa. A w sezonie tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt dziewięć – siedemdziesiąt byli o krok od powtórzenia swojego wyczynu, gdyby nie zatrzymał ich Feyenoord. To były dobre i złe czasy.

Kiedy zbliżał się w okolice Royal Albert Dock, jego pamięć z całą mocą powróciła do tamtej pierwszej wizyty z rodzicami. Jak niemal w przypadku wszystkich wspomnień, jakie przechowywał z dzieciństwa, nie potrafił ustalić daty, ale budynki z czerwonej cegły, stali i kamienia wyryły mu się w pamięci. Przypomniawszy sobie ojca, który tłumaczył mu, że to pierwszy na świecie system ognioodpornych magazynów. Przejeżdżając obok jednego z nich, zobaczył grupę brudnych i ospałych młodych ludzi, którzy zgromadzili się przy drzwiach. Niektórzy siedzieli na ziemi, inni w miejscu poruszali się w przód i w tył, jakby kołysali się w tym charakterystycznym ruchu uzależnionych od heroiny zombie.

– Ognioodporne – wymamrotał Noah, mając na myśli stare i opuszczone czerwone magazyny, ale też całe pokolenie pogrzebane żywcem z powodu hery.

Gdzieś czytał, że urząd miasta planuje przekształcić cały ten obszar; miał nadzieję, że nie będą tacy barbarzyńscy jak w Glasgow, i zastanawiał się, w którym momencie Liverpool przestał być kolebką Beatlesów, a stał się ognioodporną pieczarą. Terminal portowy był cichy i pusty, jak gdyby został stworzony z myślą o znacznie większej liczbie użytkowników, niż w rzeczywistości obsługiwał. Przy długiej marmurowej ladzie pracowała tylko jedna osoba, młoda dziewczyna, która miała wygolone boki głowy, a resztę blond włosów, z końcówkami ufarbowanymi na fioletowo, zebrała w kucyk. Z fryzurą kontrastowały niebieska marynarka, zdecydowanie zbyt gruba jak na sierpień, i biała koszula, przyozdobiona małą apaszką w stylu stewardes.

Skierował się bezpośrednio do niej i poczuł niejaki skrępowanie, kiedy dziewczyna przyjrzała mu się ze swojego miejsca. Przed nią, na blacie, stała plastikowa tabliczka z imieniem: Lisbeth.

– Dzień dobry, Lisbeth, potrzebuję informacji na temat statków, które odpływają do Hiszpanii.

- Oczywiście, proszę pana. Do którego portu chce pan dotrzeć?
- Zależy mi na informacji o firmach, które pływają do Hiszpanii.
- Towarowe czy pasażerskie?
- Pasażerskie.

– Jest cotygodniowe połączenie promowe do różnych portów, które umożliwia podróż z samochodem.

- Do których portów?
- Pasaia, Bilbao, Vigo...
- A kiedy odpłynął ostatni statek pasażerski do Hiszpanii?
- W zeszłą środę o dwunastej w nocy. Prom Liverpool–Vigo.

W zeszłą środę o dwunastej w nocy John Clyde siedział po kolana w szlamie nad jeziorem Katrine. Nie zdążyłby.

- Jest pani pewna, że odtąd nie wypłynął żaden inny statek do Hiszpanii?

– Całkowicie. To cotygodniowe połączenie, następny wypływa jutro w nocy, o dwunastej.

Podziękował, ale pozostał w tym samym miejscu z rękami opartymi o marmurową ladę, zastanawiając się nad swoim kolejnym krokiem. Dziewczyna musiała to odczytać jako rozczarowanie, bo dodała:

- Przykro mi, że nie mogłam panu pomóc.

– Och – odpowiedział, uśmiechając się po raz pierwszy od wielu dni – proszę się nie przejmować, owszem, pomogła mi pani.

Odwrócił się, żeby odejść od lady, i o mało nie zderzył się z mężczyzną, który biegiem wpadł do terminalu z dużym plecakiem na ramionach. Przeprosił niezdarnie i zwrócił się do dziewczyny:

– Muszę jak najszybciej dotrzeć do portu w La Rochelle. – Rzucił na blat swoje dokumenty.

Ona sprawdziła rozkład, spojrzała na zegarek i odpowiedziała:

– „Marianne” wypływa do Maroka dziś o dziesiątej wieczorem, zawija do La Rochelle.

– Ratuje mi pani życie – ucieszył się mężczyzna z wyraźną ulgą.

Pracownica podała mu numer stanowiska promowego oraz nazwisko kapitana, u którego ma się stawić.

Scott Sherrington, który cofnął się do poczekalni, gdzie stało kilka sof, zaczekał, aż mężczyzna zabierze swoje papiery. Kiedy ten przechodził obok niego, ponownie się pokajał.

– Jeszcze raz przepraszam.

Noah podniósł rękę, kręcąc głową.

– Nic się nie stało.

Wrócił do lady.

– Proszę pani, niech mi pani powie: co tu się właśnie stało? Dlaczego dała pani bilet temu człowiekowi, skoro mnie pani powiedziała, że statki dziś nie wypływają?

– Pan pytał o statki pasażerskie.

– To pasażer może podróżować innego rodzaju statkiem?

Dziewczyna się uśmiechnęła.

– Och, nie, ten mężczyzna jest marynarzem. Możliwe, że jego statek odpłynął bez niego albo musi się dostać na pokład w innym porcie. Wszystkie frachtowce rezerwują kilka miejsc na takie ewentualności.

– A czy zabrano by kogoś, kto nie jest marynarzem?

– Cóż, to zależy od kapitana, ale ten przepis stosuje się tylko wobec marynarzy i ich najbliższej rodziny. To taki rodzaj szacunku dla nich.

– A jeśli ktoś przyjdzie i powie, że jest marynarzem i musi dotrzeć do jakiegoś portu?

Dziewczyna przechyliła nieco głowę, patrząc podejrzliwie, choć nie przestała być uprzejma.

– Musi mieć dokument, który to potwierdzi. Książeczka żeglarska jest niezbędna, żeby wejść na pokład.

– I z tym dokumentem można dotrzeć do każdego portu?

– Tak, jeśli jest to dokument międzynarodowy.

– Czy ma pani wykaz wszystkich osób, które proszą o taki rejs?

Był pewien, że w tym momencie dziewczyna pomyślała, że jest kontrolerem. Zauważył, jak prostuje ramiona i poprawia marynarkę, zanim odpowiedziała:

– Oczywiście.

Scott Sherrington wyjął swoją odznakę i pokazał ją przelotnie. Był świadomy, że nie ma do tego uprawnień.

– Muszę zobaczyć ten spis.

– Och, zawiadomię pana McGinlaya.

Dziewczyna przeszła wzdłuż całej lady, aż na drugi koniec, i zapukała do drzwi. Z pomieszczenia za nimi natychmiast wyszedł około czterdziestoletni mężczyzna, ubrany tak samo jak ona, z wyjątkiem apaszki na szyi. Słuchając jej, spoglądał na Scotta Sherringtona, po czym pokazał mu gestem, żeby podszedł.

Noah ruszył w jego stronę. Kiedy znalazł się na końcu lady, mężczyzna podniósł składaną część blatu.

– Proszę tędy – powiedział, wskazując swój gabinet.

Inspektor ponownie wyjął portfel z odznaką, ale mężczyzna go powstrzymał.

– To nie jest konieczne – oznajmił, wskazując krzesło przed swoim biurkiem. – Słucham pana.

– Lisbeth wyjaśniła mi, że można podróżować statkiem towarowym jako pasażer, jeśli ma się książeczkę żeglarską.

– Zgadza się, to gest w stronę marynarzy.

– Mam podejrzenie, że pewien przestępca mógł wejść na pokład w taki sposób.

Mężczyzna przechylił głowę, zastanawiając się nad tym.

– Mógł, jeśli jest marynarzem i przedstawił książeczkę żeglarską.

– Proszę mi powiedzieć: jak uzyskać ten dokument?

– Cóż, to nie jest kwestia jednego dnia. Najpierw trzeba wykazać, że przeszło się podstawowe szkolenie z zakresu pomocy medycznej i bezpieczeństwa na morzu, można je odbyć w instytucie morskim, rybackim albo w ośrodku szkolenia

zawodowego. To rodzaj certyfikatu kompetencji, który jest wydawany w odpowiednim kapitanacie portu.

– Lisbeth mówiła o książeczce. To jest książeczka?

– Mówi się na to książeczka żeglarska albo marynarska, choć wygląda raczej jak paszport – wyjaśnił McGinlay, wysuwając szufladę. – Pokażę panu swoją.

Rzeczywiście przypominała paszport, choć była nieco większa.

– Pozwoli pan? – Noah wziął ją do ręki i otworzył na pierwszej stronie. Czarno-białe zdjęcie i opis: kolor włosów: brązowy; kolor oczu: niebieski; kolor skóry: biały, tatuaże na prawym ramieniu; średnia budowa ciała, wzrost: metr osiemdziesiąt centymetrów; waga: osiemdziesiąt kilogramów; oprócz tego narodowość, stanowisko i część przeznaczona na zapisywanie odbytych rejsów. Pomyślał, że z wyjątkiem tatuażu sam mógłby pasować do tego rysopisu, przynajmniej przed tym, jak schudł. – Ciekawa charakterystyka – zauważył.

– Cóż, chodzi nie o tyle o rozpoznanie człowieka, co o możliwość zidentyfikowania ciała w przypadku... – McGinlay wstał, podszedł do drzwi i poprosił Lisbeth, żeby przyniosła wykaz.

– Och, już rozumiem – odparł Noah, patrząc w zamyśleniu na książeczkę żeglarską. Z tego, co wiedział na temat Clyde'a, ten nigdy nie zbliżył się do wybrzeża. Zdobycie tej przepustki wymagałoby podjęcia kroków, które zostawiłyby za dużo śladów.

Po chwili pojawiła się Lisbeth z księgą w twardej okładce. Położyła ją na stole i wskazała konkretną stronę.

– Ostatnio mieliśmy tylko dwie takie prośby, nie licząc tej, której był pan świadkiem. Dwóch marynarzy poprosiło o podróż frachtowcem do Hiszpanii, konkretnie do Bilbao. John Murray i Robert Davidson. Popłynęli na „Lucky Man”, frachtowcu o dużym tonażu.

– Jakiej firmy?

– MacAndrews Containerships.

Noah spojrział na Lisbeth i się uśmiechnął. Znowu MacAndrews.

– Obsługiwała pani tych mężczyzn? Pamięta ich pani?

– Cóż, wszystko jest w księdze. Murray był pracownikiem tej firmy i musiał stawić się w Bilbao do pracy, ten drugi zjawił się w ostatniej chwili, choć to nic dziwnego, sam pan widział tego przed chwilą. Davidsona pamiętam, bo pojawił się problem z jego dokumentem. Zdjęcie było zamazane, najwyraźniej książeczka się zamoczyła.

Noah łamał sobie głowę. Davidson – coś mu mówiło to nazwisko, był pewien, że już gdzieś je słyszał, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie. Te przekłete leki przesłaniały jego umysł poświatą frustrującego chaosu.

– Proszę go opisać. Jak wyglądał?

– Nie wiem... – Zawahała się. – Nie przyglądałam mu się zbyt. Chyba normalnie.

– Niech się pani postara, to ważne.

– Cóż... dwadzieścia kilka lat, może trzydzieści, może trochę więcej, nie wiem... Wysoki, szczupły, bez brody, włosy brązowe... a może rude, koloru oczu nie pamiętam, nic szczególnego.

Noah skinął głową.

– Nic szczególnego – wyszeptał. – Ale mówi pani, że ostatecznie wsiadł na pokład, a pan – zwrócił się do kierownika – powiedział mi, że trzeba przedstawić kilka certyfikatów, żeby otrzymać książeczkę żeglarską.

– Książeczki żeglarskie się gubią, moczą, zapodziejają. Można je odnowić, wykazując swoją tożsamość w inny sposób, a jeśli dzieje się to za granicą, to nową wydaje się w najbliższym konsulacie. Tak samo jak w przypadku zgubionego paszportu, kiedy nowy dostaje się w ambasadzie. Wyrobienie nowej książeczki jest względnie prostą procedurą. Można ją też wykorzystać do otrzymania innych dokumentów tożsamości.

– Tym bardziej gdy ktoś spieszy się na statek i ma oryginalny dokument – zaznaczyła Lisbeth. – Wskazałam mu, gdzie jest kapitanat portu i najbliższa kabina fotograficzna. Wrócił po niecałej godzinie.

– A więc kapitanat portu jest blisko...

– Tutaj obok. – McGinlay wskazał ścianę za swoimi plecami.

– A czego potrzebował, żeby odnowić książeczkę?

– Samej książeczki, a w przypadku jej braku dokumentu, który potwierdzi tożsamość. No i dwóch zdjęć.

– Dobrze, myślę, że odwiedzę kapitanat, ale wcześniej proszę mi powiedzieć, który statek najwcześniej wypływa do Bilbao.

Lisbeth się uśmiechnęła.

– Nie muszę tego nawet sprawdzać. To frachtowiec, który pływa na tej trasie od dwóch lat. Wypływa dziś w nocy i nazywa się „Lucky Man”. To ten sam, który zabrał tych dwóch marynarzy do Hiszpanii.

Noah im podziękował. Nie umknął jego uwadze sposób, w jaki na siebie spojrzeli, gdy zauważyli, jak wiele kosztuje go wstanie z krzesła. Minął już ladę, ale jeszcze się odwrócił.

– Przepraszam, wiedzą państwo, czy MacAndrews dystrybuuje własne kartki pocztowe?

Lisbeth się uśmiechnęła.

– Przy wejściu jest pełen stojak.

Wyjął z kieszeni kawałek kartonika i porównał go z wystawionymi pocztówkami. Przyłożył nadpalony fragment do jednej z kartek. Pasował idealnie.

Mój złamany duch przemarzał do szpiku kości

*MY BROKEN SPIRIT
IS FROZEN TO THE CORE*

Kapitan „Lucky Man” nazywał się Lester Finnegan i był żywym przykładem lakonizmu, jakiego oczekuje się od wilka morskiego. Powiadomiony za pomocą radia przez McGinlaya, czekał teraz przed mostkiem, stojąc sztywno jak kołek. Wcześniej Scott Sherrington udał się z krótką wizytą do kapitanatu portu. Dowiedział się, że pewien mężczyzna, który mógł pasować do rysopisu Johna Clyde’a, poprosił o odnowienie swojej książeczki żeglarskiej na nazwisko Robert Davidson. Urzędnik go nie pamiętał, ot, jeden z wielu marynarzy, którzy odnawiają swoje książeczki. Ustąpiwszy wobec uporu inspektora, zgodził się poszukać kopii dokumentu. Noaha wcale nie zdziwiło, że brakowało w nim zdjęcia.

Kapitan ruchem głowy pozwolił mu wejść na statek; przyglądał mu się uważnie, kiedy Noah z wysiłkiem wchodził po schodach z jednego pokładu na drugi. Po szybkim i mocnym uścisku dłoni zaprosił go na mostek. Inspektor potrzebował chwili, żeby odzyskać oddech, co znowu zwróciło uwagę kapitana, ale

później, kiedy rozmawiali, ten unikał patrzenia mu w oczy, zajmując się usuwaniem niewidzialnych drobinek kurzu z ekranów i urządzeń. Noahowi było wszystko jedno, dobrze znał takich jak on.

– Kapitanie Finnegan, zapewne wie pan już, że potrzebuję informacji dotyczących dwóch mężczyzn, których zabrał pan swoim statkiem do Bilbao podczas ostatniego rejsu. Jak rozumiem, jeden z nich był pracownikiem firmy, który miał objąć stanowisko w tamtym mieście, a drugi, marynarz, zjawił się w ostatniej chwili.

– Jednego – odpowiedział kapitan.

Noah popatrzył na niego skonsternowany.

– Słucham?

– Do Bilbao zabrałem tylko jednego.

– W takim razie... Na pokład wszedł tylko jeden.

– Nie, proszę pana, wsiedli obaj. Ale powiedział pan, że zabrałem dwóch mężczyzn do Bilbao, a do Bilbao dotarł tylko jeden.

Noah westchnął.

– Ponieważ... – powiedział, zachęcając kapitana, by kontynuował.

– Zawinęliśmy do La Rochelle, to był postój techniczny, żeby rozładować kilka kontenerów. Nikt nie miał pozwolenia na zejście na ląd, ale mimo to jeden z nich to zrobił.

– Który?

Kapitan nie odpowiedział. Podeszedł do schowka, wyjął książeczkę żeglarską i otworzył ją na pierwszej stronie. Należała do Roberta Davidsona. Brakowało fotografii.

– Wie pan, co się stało ze zdjęciem?

– Nie. Wiem tylko tyle, że kiedy mi ją przekazał, było na swoim miejscu.

– Jeśli chodzi o rysopis, tu jest napisane, że mierzy metr sześćdziesiąt pięć, ma brązowe włosy i oczy, średnią budowę ciała. Powiedziałby pan, że odpowiadał temu opisowi?

– Wydał mi się trochę wyższy. Oczu nie widziałem. Miał okulary przeciwsłoneczne, a później już nie patrzyłem mu prosto w twarz.

Scott Sherrington westchnął. Dlaczego go to nie dziwiło?

– Czemu to pan ją ma? – zapytał, wskazując na dokument.

– Taki jest zwyczaj, kapitan przechowuje książeczki żeglarskie wszystkich członków załogi i marynarzy, którzy płyną statkiem. I zostanie tu, dopóki ktoś jej nie odbierze. – Na potwierdzenie swoich słów Finnegan zaniósł książeczkę z powrotem do schowka.

– Nie wydało się panu dziwne, że postanowił wsiąść w La Rochelle i zostawił tu swój dokument?

– Nie pierwszy raz marynarz zostaje na lądzie z powodu własnej decyzji albo przez roztargnienie, romans z jakąś kobietą, pijany albo aresztowany. Statek odpływa o określonej godzinie i nie czeka na nikogo. Ale wygląda na to, że w tym przypadku pożałował decyzji o dotarciu do Bilbao. Zmienił zdanie.

– Dlaczego pan tak sądzi? Ktoś widział, jak schodzi ze statku?

– Ten drugi człowiek, niejaki Murray. To on przekazał, że Davidson nie wróci.

– Rozmawiał pan z nim? Podał jakiś powód? Może powiedział panu o jego planach?

– Rozmawiał z bosmanem, powiedział mu, że Davidson zszedł na ląd i nie zamierza wracać.

– I panu wydało się to wiarygodne?

– A dlaczego nie? Dzielili kajutę i widziałem ich na pokładzie, jak rozmawiali i palili przez całą drogę. Było widać, że dobrze się dogadują.

– Co może mi pan powiedzieć o tym drugim mężczyźnie, Johnie Murrayu? Jak rozumiem, jest pracownikiem MacAndrews, znał go pan?

– Nie, dopiero co został zatrudniony i płynął do Bilbao, żeby objąć nowe stanowisko. Tydzień wcześniej firma mnie powiadomiła, że mam go tam zabrać.

– A wie pan, co to za stanowisko?

– Nie pytałem go, a on był mało rozmowny.

I kto to mówi, pomyślał Noah.

– Powiedziałyby pan, że Davidson i on byli do siebie podobni?

– Możliwe, byli mniej więcej tego samego wzrostu, ale Murray był bardziej postawny, jak skała. – Kapitan pozwolił sobie na mały żart, ale zaraz kontynuował:

– Ciemne włosy, broda. Oczy, nie wiem...

– No tak – odparł Noah, wyobrażając go sobie.

Po raz pierwszy od początku rozmowy kapitan Finnegan mówił dalej, bez konieczności wyciągania z niego czegokolwiek:

– Ale on nie był marynarzem. Przypuszczam, że książeczkę żeglarską miał tylko dlatego, że trzeba ukończyć odpowiednie kursy z zakresu bezpieczeństwa, aby móc pracować na platformach wiertniczych. A to było jego ostatnie zatrudnienie. Dokument został wydany w kapitanacie w Aberdeen. – Skrzyżował ręce na piersi, jakby uznając swój wywód za zakończony, i spojrzał w dal w pozie, która musiała być dla niego typowa.

Noah przeniósł wzrok na przednią szybę mostka, przyjmując bardzo podobną postawę i wyraz twarzy. Zaczęło się ściemniać i po obu stronach przystani dało się dostrzec czerwone i zielone światła, które wskazywały na manewry w porcie.

Bolała go głowa. Położył rękę na czole i pozwolił, żeby dotyk chłodnych palców przyniósł mu ukojenie. W tym czasie porządkował swoje myśli. Biblijny John pod nazwiskiem Robert Davidson wsiadł na pokład pierwszego statku, który wypływał do Hiszpanii. To miało sens, zważywszy na jego doskonałą znajomość języka. Jeśli postanowił opuścić kraj, to była dla niego najlepsza opcja. Ale wysiadł w La Rochelle. Dlaczego? Czy w którymś momencie poczuł, że grozi mu niebezpieczeństwo? Zdecydował się zejść na ląd tylko po to, żeby zmylić trop, przybrać tam nową tożsamość i dopiero wtedy udać się do Hiszpanii? Dlaczego porzucił na statku dopiero co wystawioną książeczkę? Czy miał więcej dokumentów na to nazwisko? Lisbeth i McGinlay powiedzieli, że łatwo wyrobić nowy w konsulacie, jeśli ma się oryginał. Noah wiedział co nieco o fałszowaniu tożsamości – rzadko kiedy opierały się one na niczym. W większości przypadków

w grę wchodziła kradzież legalnych dokumentów albo posługiwanie się tożsamością osoby zmarłej, również zmarłej niedawno, tak że informacja o jej śmierci nie dotarła jeszcze do systemu.

– Kapitanie, pozwoli mi pan jeszcze raz rzucić okiem na tę książeczkę?

Mężczyzna podszedł do schowka i wyjął dokument. Noah przewrócił pierwszą stronę i przeczytał listę przedsiębiorstw żeglugowych, w których Robert Davidson świadczył swoje usługi. Pierwszy raz zaokrętował się tuż po osiągnięciu pełnoletności i odtąd aż do teraz pracował w przedsiębiorstwach brytyjsko-kanadyjskich.

Wskazując palcem stronę, podetknął książeczkę pod nos Lestera Finnegana.

– Proszę mi powiedzieć, kapitanie, mówi coś panu któraś z tych firm?

– Tak, już wcześniej zwróciłem na to uwagę. To wszystko przedsiębiorstwa połowów dalekomorskich, głównie dorsza.

Wtedy przejrzał na oczy.

– Już wiem, kim jest Robert Davidson – powiedział na głos.

Kapitan Finnegan skierował wzrok na książeczkę, a potem znowu na Scotta Sherringtona.

– To nie jest ten facet, którego zabrałem na mój statek?

Scott Sherrington pokręcił głową. Tym razem to on musiał być lakoniczny. Nawet wtedy Finnegan ani mrugnął.

Wypływanie w środku nocy to jak opuszczanie świata w podróży donikąd. Z górnego pokładu obserwował, jak „Lucky Man” manewruje, żeby zielone światło znalazło się na sterburcie, a czerwone na bakburcie, i kieruje się w stronę wyjścia z portu.

Wdychał ciepłą bryzę, która przemieszczała się nad powierzchnią morza w stronę wybrzeża, i czuł się podbudowany faktem, że znalazł trop. Wszystko ułożyło się w całość, kiedy sobie przypomniał, gdzie wcześniej słyszał nazwisko

Davidson. Tak przed ślubem nazywała się nastoletnia żona Johna Clyde'a, której brat łowił dorsza w Saint Pierre i Miquelon, u wybrzeży Nowej Fundlandii.

Nie wykluczał, że John wykradł szwagrowi książeczkę żeglarską, mając świadomość, jakie możliwości daje mu ten dokument. Kiedy prawdziwy Davidson będzie go potrzebował, wystarczy, że zwróci się o wydanie nowego, przedkładając dokument tożsamości. Chociaż niewykluczone, że książeczka trafiła w ręce Johna przypadkowo, kiedy szperał w domu swojej narzeczonej, a obecnie żony, i po prostu to wykorzystał.

W odróżnieniu od euforii, jaką czuł, zostawiając swoje mieszkanie w Glasgow, teraz, kiedy Noah oddalał się od brytyjskiego wybrzeża, ogarnęła go ogromna melancholia. Postanowił zostać na pokładzie, dopóki światła nabrzeża nie znikną za horyzontem, jakby składał swego rodzaju hołd. Miał umrzeć – i ten moment z pewnością zastanie go daleko od ojczyzny. W tej chwili ogarnął go wielki smutek z powodu czegoś, co odsunął na dalszy plan, mając tego świadomość jedynie w połowie. Odkąd wiedział, że będzie podążał śladem Johna Clyde'a, myślał, że powinien udać się na cmentarz w Glasgow. Wypełnić rytuał, przechodząc przez most Westchnień tuż przy katedrze Świętego Mungo, i odwiedzić rodzinny grób, aby pożegnać się z rodzicami. Jednakże przekonanie, że już nie wróci – że śmierć znajdzie go z dala od domu, że w jakiś sposób umrze w ciągu najbliższych dni – nie pozwoliło mu tego zrobić. Westchnął i usłyszał, jak jego serce bije rytmicznie; w ciągu kilku dni stał się ekspertem od słuchania motoru swojego życia, był w stanie wyczuć najdrobniejszą nawet zmianę rytmu, mając świadomość, że tętno może się zatrzymać w każdej chwili.

Obserwował niebo tej bezksiężycowej nocy. Było pełne gwiazd, które rozciągały się po obu stronach statku, zimne i odległe w samym środku tej ponurej ciemności. Dziób statku przebijał się przez bezbrzeżną otchłań w stronę pełnego morza, a kiedy nie było już widać żadnego światła wskazującego na obecność reszty świata, Noah poczuł się bardziej śmiertelny niż kiedykolwiek w całym swoim życiu. Nieświadomie się cofnął, aż przywarł plecami do drzwi, gdzie ciemność nie mogła go dosięgnąć.

Poczuł zapach świeżo palonej kawy, który wydobywał się przez otwory wentylacyjne tuż przy mostku, mieszając się z wonią saletry, i zamarzył o jednym z tych metalowych garnuszków wypełnionych po brzegi czarnym płynem, a także o papierosie, którego wypaliłby w spokoju, patrząc na niebo. Ta myśl sprawiła, że wyobraził sobie Biblijnego Johna, jak udaje przyjaciela swojego towarzysza podróży; rozmawiają, palą, dzielą się prywatnymi sprawami – fałszywymi w przypadku Johna, prawdziwymi w przypadku tego drugiego. Niepokoiło go to zainteresowanie nawiązywaniem znajomości. Nie było to zachowanie typowe dla kogoś, kto opuszcza swój kraj, uciekając przed sprawiedliwością. Nie mógł być tego pewien, oczywiście, że nie, ale nie na próżno spędził całe lata, podążając za niemalże niewidzialnym tropem drapieżnika. Ktoś taki nie nawiązywałby kontaktów towarzyskich, jeśli mógł ich uniknąć.

Scott Sherrington był przyzwyczajony do tego, co nieuchwytnie, co niewidzialne. Potrafił rozpoznać obecność mordercy, nie mając ani jednego ciała, potrafił ustalić, że tym mordercą jest legendarny Biblijny John, i zrobił to tylko na podstawie jednej informacji i swojego przeczucia – wszystkie kobiety, które składały się na tę kolekcję, w chwili zaginięcia miały menstruację.

Przeczucia nie mają naukowych podstaw, nie opierają się na dowodach, są czystym instynktem, tylko tyle – delikatna zmiana rytmu bicia serca, jaką człowiek, który już był martwy, może wyczuć jak nikt inny. Już dawno temu zrozumiał, że przeczucia są czymś, co przydaje się każdemu, i że należy je utrzymywać w sekrecie.

We wszystkich komisariatach, w których pracował, wiedzieli, że Noah podtrzymuje teorię, iż w Szkocji grasuje wielki drapieżnik, ale pilnuje się, by nie powiedzieć, że jego zdaniem to Biblijny John. Większość śledczych twierdziła, że Biblijny John nie żyje, ale on wiedział, że to raczej pobożne życzenie funkcjonariuszy, którzy chcą usprawiedliwić fakt, że po czternastu latach i największym pościgu za przestępcą w historii szkockiej policji nie tylko nie udało im się go zatrzymać, ale nawet nie wiedzieli, kim on jest. Według oceny Scotta Sherringtona w tym tkwiło niebezpieczeństwo: nie wiedząc, kim jest morderca,

zdecydowali się na łatwe rozwiązanie i po prostu uznali go za zmarłego. On nie lubił łatwych rozwiązań, a kiedy przy jakiejś okazji zasugerował, że może Biblijny John zmienił swój *modus operandi*, popatrzyli na niego tak jak zawsze. Tak więc sugerowanie, że na wolności jest seryjny morderca, wobec braku informacji o jakichkolwiek zwłokach było równie absurdalne, jak podróż do innej galaktyki.

Ciekawe, że tego powszechnego wśród policji przekonania nie podzielali mieszkańcy. Między tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym a tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym rokiem w gazetach regularnie zamieszczano portrety pamięciowe Biblijnego Johna. Przez pierwsze lata nad tą sprawą pracowały dziesiątki policjantów. Marina stała się centrum operacyjnym. Zebrano setki zeznań, przesłuchano wszystkich możliwych świadków, rodziny i znajomych ofiar, bywalców Barrowland, taksówkarzy, kierowców autobusów, aż w całej dzielnicy nie było właściwie nikogo, kto w takim czy innym momencie nie przewinął się przez Marinę.

Doszło do tego, że wielu mieszkańców sądziło, iż rozpoznało twarz z portretu: w porcie, na stadionie, w Marks & Spencer, w jakimś pubie... Policja musiała więc zapewnić takiemu osobnikowi specjalną kartę, która była gwarantem, że jej posiadacz nie jest Biblijnym Johnem, aby nie dopuścić do linczów albo prześladowań – w najlepszym razie. „Policja z Glasgow niniejszym zaświadcza, że posiadacz tego dokumentu nie jest Biblijnym Johnem”.

Na początku lat siedemdziesiątych Hugh Cochrane pokazał w BBC przerażający film dokumentalny na temat Biblijnego Johna i charakteru jego zbrodni. Zakończył go cytatem z Biblii, rozdział dwudziesty trzeci, werset dwudziesty czwarty Księgi Jeremiasza: „Czy ktoś zdoła się ukryć w kryjówce, abym Ja go nie widział? – mówi Wiekuisty”². W wyobraźni Szkotów Biblijny John nadal żył i chodził po ulicach wśród mieszkańców Glasgow. Skargi na rzekome obserwacje z ukrycia ciągnęły się przez blisko dziesięć lat, jeszcze długo po tym, jak policja uznała go za zmarłego.

Lampy oświetlające pokład zgasły, została jedynie słaba iluminacja na dziobie i burtach. Na maszcie włączone były światła pozycyjne oraz mała lampa, której jasna wiązka padała prosto na jego głowę. Noah odwrócił się w stronę mostka i zobaczył, że kapitan Finnegan go obserwuje. Lakoniczny aż po grób. Jeśli nawet poczuł ciekawość, kiedy Noah ujawnił, że wie, kim jest Davidson, doskonale to ukrył. Ale nie był głupi. Od razu założył, że inspektor zechce dalej podążać śladem tego faceta – i że zechce to robić na pokładzie „Lucky Man”. Zapytał go tylko, czy wysiadzie w La Rochelle, czy popłynie do Bilbao.

Noah się zastanowił i znowu zdał się na swoje przeczucie.

– Płynę do Bilbao.

– W każdym razie do La Rochelle dotrzemy jutro po południu, w porcie spędzimy niewiele czasu, tylko tyle, żeby rozładować cztery kontenery. Ma pan osiemnaście godzin na zastanowienie.

Wewnątrz statku unosiła się woń oleju napędowego, kawy i tytoniu. Noah zszedł po głównych schodkach do sali, w której mieściła się jadalnia, tuż obok kuchni. Bosman, któremu Murray przekazał, że Davidson zszedł na ląd w La Rochelle, powiedział mu, że nie zapamiętał niczego szczególnego u żadnego z tych mężczyzn. W pierwszej części rejsu Davidson wychodził na pokład tylko w towarzystwie Murraya. Davidson wysiadł w La Rochelle. Nie, on tego nie widział, Murray powiedział mu o tym, kiedy wypływali.

– Przez pierwszą część rejsu mieliśmy dobrą pogodę, ale po wypłynięciu z francuskiego portu w Zatoce Biskajskiej musieliśmy się mierzyć ze sztormem. Murray spędził resztę podróży w swojej kajucie. Poszedłem tam kilka razy, żeby sprawdzić, czy dobrze się czuje albo czy czegoś mu nie potrzeba. Przez drzwi słyszałem, że wymiotuje. Biedaczysko znosił ten rejs bardzo źle. Po dotarciu do Bilbao był tak ochrypły, że wyszedł z szalikiem na szyi. Ledwie mógł mówić.

– Przypuszczam, że właśnie dlatego kapitan Finnegan powiedział, że Davidson nie jest marynarzem.

– Bo nim nie jest, co do tego może mieć pan pewność.

Bosman poprowadził go wąskim przejściem aż do kajuty, którą podczas poprzedniego rejsu zajmowali tamci dwaj mężczyźni, a w której teraz Noah miał podróżować sam. Piankowe materace były zwinięte niczym zwalę żółtego tłuszczu na kojach, które wypełniały całe pomieszczenie. W głębi wisiały dwie metalowe szafki, które sięgały sufitu. Był też bulaj na wysokości nieco powyżej linii wodnej; woda od czasu do czasu opryskiwała szkło, zdobiąc je kroplami. Kiedy bosman włączył przymocowaną do koi lampę, krople zabłyśły, dając wrażenie, jakby szkło było potłuczone. Na zewnątrz panowała całkowita ciemność. Noah zaniepokojony spojrział na przymocowaną do ściany pryczę, myśląc o mężczyznach, którzy zdecydowali się właśnie w taki sposób przeżyć swoje życie. Zastanawiał się, co powiedziałyby te wszystkie stowarzyszenia działające na rzecz praw więźniów i ich potrzeb dotyczących wielkości cel, gdyby zobaczyły tę kajutę. Pościelił sobie łóżko, korzystając z prześcieradła i poszwy, które przyniósł mu bosman, i wyczerpany położył się na pryczy. Wciągnął w nozdrza woń poduszki – pachniała ładnie, ale materac zachował delikatny aromat saletry i wilgoci; Noah nie chciał myśleć, czy również potu. Przez grodzie słyszał wibrujący silnik statku. Oparł rękę o ścianę i dostrzegł w rogu dziecięcy rysunek przytwierdzony taśmą klejącą. Było widać, że wisi tu od dawna. Czerwono-zielony statek przemierzał niesamowicie błękitne morze pełne kolorowych ryb. Był nawet niebieski wieloryb, który wypłynął na powierzchnię, wyrzucając strumień wody, jakby się witał. Na dziobie widniał ludzik ze strzałką, która wskazywała napis: „Daddy”.

Nie wiedział, kiedy zasnął. Później – z wyjątkiem tych chwil, kiedy wychodził do jadalni, żeby coś przekąsić, i godzin spędzonych na wpatrywaniu się w to wspaniałe niebo, właściwie tylko spał. Było tak, jakby cały wysiłek włożony w ostatnich dniach w to, żeby przeżyć, odcisnął na nim swoje piętno. Kiedy się budził, czuł, że wyłania się z jakiegoś niepewnego miejsca. Otwierał oczy i widział a to jasny, a to ciemny okrąg bulaja, który niczym księżyc strzegł jego letargu. Brzęczenie silnika i delikatne kołysanie, uspokajające i pierwotne, pogrążyły go we śnie, z którego budził się ledwie parę razy przez trzydzieści godzin trwania rejsu. Wracał z pokładu przekonany, że nie może już dłużej spać, ale gdy tylko kładł się

na pryczy i opierał otwartą dłoń o metalową ścianę, żeby czuć pracujący silnik, odpływał z dziecięcą łatwością.

² Cytat za Nową Biblią Gdańską.

Chłopiec

Chłopiec uwielbia obłoczki pary, które unoszą się nad basenem, fluorescencyjne światło, które zamienia wszystko w biel, sposób, w jaki woda ześlizguje się po jego skórze. Ale przede wszystkim uwielbia zapach chloru i poczucie higieny, czystości, jakiej doświadcza w chlorowanej wodzie.

Chłopiec wystawia głowę na powierzchnię. Wysoko na trybunie dostrzega Lucy Cross, która patrzy na niego nadąsana, nie spuszczać go z oka.

Chłopiec jest wściekły. Zanurza się ponownie i mocno bije ramionami taflę wody, dzięki czemu udaje mu się rozładować część frustracji, a przy tym powtarza sobie w myślach: „Trzymania się z dala od rzeczy ofiarowanych wizerunkom, krwi, uduszonych zwierząt i od prostytucji”. „Trzymania się...”³ Z tych wszystkich słów chłopiec zna znaczenie tylko dwóch: „krwi” i „uduszonych”. Ale powtarza sobie w myślach całą litanię tak długo, aż w końcu się uspokaja. To dzięki chlorowi – jest tego pewien.

Chłopiec lubi pływać, zawsze lubił, odkąd mama nauczyła go tego w jeziorze, gdy był jeszcze bardzo mały. Kiedy wszystko było dobrze, kiedy mieszkał tylko z nią, a ona uczyła go machać ramionami przy brzegu. Zanim wydarzyły się te wszystkie złe rzeczy, zanim przybyły one. Chłopiec zdaje sobie sprawę z tego, ile stracił; szczęśliwy czas spędzony z matką, swoje dzieciństwo, spokojny sen przez całą noc i pływanie w jeziorze. Kiedy myśli o przeszłości, ogarnia go wielki smutek, dlatego stara się nie myśleć, bo jeśli to robi, czuje się bardzo nieszczęśliwy i jest już tym zmęczony. Ale w basenie jest wolny. Jest pewny, że ma to jakiś

związek z chlorem. Środek dezynfekujący dostaje się do jego oczu, uszu i przez pory wnika we wszystkie zakamarki jego ciała, oczyszczając je. To jedyny moment, kiedy czuje się czysty. Będzie tak pływał długimi godzinami, aż rozboli go całe ciało, oczy się zaczerwienią, a skóra stanie się ściągnięta i wysuszona. Będzie go swędzieć, stanie się biaława i zacznie się łuszczyć, jak skóra martwej ryby leżącej na słońcu. Ale jemu jest wszystko jedno.

Wynurza głowę i znów dostrzega Lucy. Czuje jej oczy wpatrzone w jego skórę za każdym razem, gdy fragment ciała pojawia się nad powierzchnią wody. Jej obecność go złości. Jest wściekły, że ją stracił. Lucy Cross była jego przyjaciółką od przedszkola. Podobał mu się jej jasny śmiech, dość rzadko rozstawione zęby, rude kręcone włosy, oczy, których koloru nie był pewien: coś pomiędzy zielenią a szarością. Przez lata inne dzieci naśmiewały się z nich, mówiąc, że są zakochaną parą. Chłopiec udawał, że się wścieka, lecz w głębi duszy czuł dumę, ponieważ Lucy była najpiękniejszą dziewczynką w całym Tarbet i była jego przyjaciółką...

Teraz już nie. Teraz nie może już nią być ani nie będzie mogła nią być nigdy więcej, ponieważ Lucy się zmieniła. Chłopiec ma świadomość swojej klątwy, wie, skąd ona się bierze, i dlatego je przeklina. To przez nie, to z ich winy już nigdy więcej nie będzie mógł zbliżyć się do Lucy, jeśli nie chce czuć mdłości, mdłości i tego drugiego uczucia... pożądania.

Już na samą myśl ogarnia go ogromne podniecenie i jego członek napina się w kąpielówkach. Brzydzi się samego siebie. Zanurza się i znowu mocno pracuje ramionami, a jego ciało od barków aż do bioder przeszywają intensywne szarpnięcia. Kiedy dociera na koniec basenu, jest wykończony. Wystawia głowę i pozwala sobie na nią patrzeć, tylko po to, żeby poddać się próbie.

Ona czuje się zraniona. Od trzech dni przychodzi na jego treningi. Siada tam, pełna frustracji i wyrzutów, i patrzy, jak on pływa. Czeka na niego.

Gdy go zauważy, podnosi rękę i macha, jak gdyby w ciągu tych trzech kwadransów, jakie tu spędziła, jeszcze jej nie widział.

Nie odpowiada na powitanie, licząc, że ona się podda. Ile upokorzeń jest gotowa znieść, zanim zostawi go w spokoju? Chłopiec ma nadzieję, że już niezbyt wiele, ufa, że w końcu się znudzi i sobie pójdzie. Wie jednak, że ona tego nie zrobi, że tam zostanie. Kiedy wychodzi z wody, ona kieruje się w stronę szatni i tam zaczepia go w drzwiach.

– Cześć, widziałam, jak pływałeś. Jak się miewasz? Co się dzieje? Dlaczego się do mnie nie odzywasz? Co takiego ci zrobiłam? Jeśli zrobiłam coś, co cię zdenerwowało, powinieneś mi powiedzieć. Nie możesz ignorować mnie w nieskończoność...

Lucy wyciąga rękę i chwyta chłopca za przedramię. Staje obok niego. I wtedy on czuje jej zapach. Jest w nim coś, co przypomina mu dziewczynę, którą znał: różane mydło, chleb i herbatniki. I krew. Potrafi ją sobie niemal wyobrazić: ciepła, słonawa, rdzawa, prawie czarna, spływająca między jej nogami. Zaciska powieki i jednym szarpnięciem uwalnia się od jej ręki.

– Nigdy więcej się do mnie zbliżaj. Obrzydzasz mnie. – Niemal spluwa.

Chłopiec idzie korytarzem najszybciej, jak może, ale i tak słyszy jej płacz, który wbija mu się w mózg niczym gwóźdź poczucia winy. Nienawidzi siebie za to, że tak ją traktuje, ale uważa, że to jedyny sposób, by ją od siebie odsunąć. A poza tym powiedział prawdę. Lucy go obrzydza, ale jest w tym coś jeszcze, coś, co tylko ona w nim wywołuje, coś nowego, czego nie doświadczył nigdy przedtem. Znowu czuje, jak jego penis napina się w spodniach. Z oddali dobiega go gwar. Grupa rodziców z dziećmi z jakiegoś kursu idzie korytarzem z naprzeciwka. Chłopiec widzi drzwi toalety. Wchodzi do środka, zamyka się w kabinie, opuszcza spodnie i patrząc na swojego członka, recytuje w myślach: „Trzymanie się z dala od rzeczy ofiarowanych wizerunkom...”.

³ Cytat za Nową Biblią Gdańską.

Nie chcę już tu być

I DON'T WANT TO BE HERE NO MORE

Scott Sherrington usłyszał uderzenia o właz, a także trzask jak w komorze chłodniczej, gdy otwierają się drzwi, wyrównując ciśnienie. Zanim dobiegł go głos bosmana, do jego nozdrzy dotarł aromat kawy, który jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przywrócił go do rzeczywistości.

– Proszę pana, kapitan chce pana widzieć.

Kapitan Finnegan zerknął na niego kątem oka, gdy zobaczył, jak pojawia się na mostku. Gestem, który był niewiele więcej jak lekkim skinieniem głowy, zaprosił go do środka. Noah się nie odezwał. Po prostu czekał. Sposób bycia Lestera Finnegana zaczynał mu się podobać.

– Dostałem wiadomość przez radio od kapitanatu portu w La Rochelle. Proszę, bym stawił się tam jako przedstawiciel MacAndrews, i pomyślałem, że może zechciałby mi pan towarzyszyć.

Noah nadal patrzył w milczeniu w stronę horyzontu, czekając na ciąg dalszy.

– Inspektor portowy, który sprawdzał kontenery, zauważył dziś rano, że plomba jednego z naszych została naruszona. Chodzi o jeden spośród tych kontenerów, które wyładowaliśmy podczas poprzedniego rejsu i które dziś powinny zostać

załadowane na pociąg do Marsylii. Otworzyli kontener, żeby przeprowadzić szczegółowszą kontrolę, i w środku znaleźli zwłoki.

Tym razem kapitan Finnegan zdołał go zaskoczyć. Noah spojrział na niego zdumiony.

– Będzie pan miał kłopoty, kapitanie?

Lester Finnegan nieznacznie pokręcił głową.

– Nie. Plomby są zawsze sprawdzane we wszystkich kontenerach, zanim te zostaną załadowane na statek i z niego rozładowane. Zawierają stal najwyższej jakości albo dwadzieścia ton butelkowanej i etykietowanej whisky na paletach, gotowej do spożycia. Kradzieże ładunków zdarzają się częściej, niżbyśmy chcieli. Na przykład w zależności od marki whisky ładunek statku może osiągnąć na czarnym rynku cenę równą milionom funtów. Oczywiście towar jest ubezpieczony, a kontrola plomb gwarantuje, że po wyładowaniu ze statku był nienaruszony. Cokolwiek się stało z tym kontenerem, doszło do tego, kiedy był już pod nadzorem portu w La Rochelle. W ciągu trzydziestu lat tylko raz miałem kłopoty z paroma kontenerami, to było w czasie sztormu, i doskonale wiem, gdzie one się teraz znajdują: na dnie oceanu.

Na pomoście czekał na nich pojazd władz portowych La Rochelle. Noah myślał, że pojedą do kapitanatu albo rady portu, ale zamiast tego zawieziono ich do budynku portowej straży pożarnej. Przed wejściem stał oficjalny samochód z logo kapitanatu.

Scott Sherrington nie mówił po francusku, gubił się więc nieco, kiedy kapitan portu, urzędnik, szef straży pożarnej i dwaj strażacy rozmawiali z Finneganem. Kapitan „Lucky Man” odpowiadał zwięźle po francusku. Nie ulegało wątpliwości, że mężczyźni znali Finnegana i darzyli go szacunkiem. Poprowadzili ich korytarzem, potem przez garaż, w którym znajdował się morski sprzęt gaśniczy, i znowu kolejnym korytarzem. Finnegan powiedział mu, dokąd idą, niemal w tej samej chwili, kiedy Noah rozpoznał pomieszczenie po jego charakterystycznym wyglądzie.

– Chcą, żebym pomógł w identyfikacji ciała, przynajmniej żeby wykluczyć, że chodzi o pasażera, który opuścił pokład „Lucky Man”. Wygląda na to, że nie miał przy sobie dokumentów.

Skierowali się do jednej z lodówek i Noah zauważył, jak dwaj towarzyszący im mężczyźni cofają się po otwarciu drzwi.

Odór przyprawiał o mdłości. Jeszcze zanim otwarto worek z chłodzonym ciałem, Noah stwierdził, że znajduje się ono w stanie zaawansowanego rozkładu. Wibrujący, ostry, słodki, jak wymiociny, sfermentowany ser, kwaśne mleko, żółć albo biegunka – zapach był typowy dla pierwszej, najbardziej aktywnej fazy rozkładu.

Jeden ze strażaków rozsunął suwak. Wygląd ciała odpowiadał wyczuwanej woni. Wysuszone w niektórych miejscach i częściowo płynne w innych, obrzmiałe i opanowane przez trupią faunę.

Wszyscy obecni zakryli ręką nos i usta. Kapitan Finnegan wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki książeczkę żeglarską, którą Davidson zostawił na „Lucky Man”, opuszczając statek, i podał ją wyższemu rangą urzędnikowi. Nie podchodząc zbyt blisko, rzucił okiem na zwłoki, spojrzął na urzędnika i pokręcił głową, po czym zapytał po francusku:

– Tydzień? Jest pan pewien?

To akurat Noah zrozumiał, wiedział, co kapitan ma na myśli. I owszem, zwłoki mogły osiągnąć taki stan po zaledwie tygodniu. Metalowy kontener stojący w sierpniowym słońcu w porcie w La Rochelle w ciągu dnia mógł osiągnąć temperaturę sięgającą sześćdziesięciu stopni Celsjusza. Finnegan powiedział Noahowi, że te kontenery mają otwory wentylacyjne, aby ułatwić chłodzenie w nocy, co wyjaśnia obecność robaków. Zwłoki wykazywały wszystkie symptomy dwóch jednoczesnych działań: częściowego wysuszenia i ogromnej aktywności owadów. Z jednej strony upał w najgorętszej porze dnia sprawił, że skóra ściemniała i nabrała brązowego koloru, chociaż gołym okiem było widać, że to biały mężczyzna. Gęsta ciemna broda zakrywała sporą część twarzy, ale suchość

wykrzywiła usta, odsłaniając spuchnięty i ciemny język. To samo stało się z penisem i workiem mosznowym, które wyschły niemal na wiór, co mniej wprawne oko mogłoby pomylić z obrażeniami genitaliów. Z drugiej zaś strony zwłoki opanowała istna plaga robaków. Niewątpliwie wysokie temperatury zadziałały jak inkubator dla jaj, które w większości były już larwami, Noah dostrzegł nawet kilka poczwerek ospałych z powodu panującego w chłodni zimna. Aktywność robaków pod zewnętrzną warstwą skóry wywoływała w nim dziwne uczucie czegoś pełzającego w jego własnym ciele, niczym pulsujące serce. Starał się wyrzucić ten obrazek z głowy.

Gestem poprosił o rękawiczkę i latarkę, którą jeden ze strażaków miał przypiętą w pasie. Gdy zaświecił ją nad twarzą nieboszczyka, poczuł wdzięczność, że dość wysuszone oczy uniknęły działalności nekrofagów, prawdopodobnie dlatego, iż moment śmierci zaskoczył owego człowieka wtedy, gdy miał je zamknięte. Rogówka straciła przezroczystość i utworzyła się błona albuminowa, coś, co lekarze sądowi nazywają rybimi oczami, ale pod spodem dało się dostrzec plamkę Sommera–Larchera, niemal owalną, która rozciągała się w poprzek po obu stronach gałki ocznej, tworząc fragment elipsy; mimo to pod powiekami były widoczne jaskrawoczerwone wybroczyny podspojówkowe. Noah zgasił latarkę i zrobił krok do tyłu.

Szef strażaków zaczął mówić, a kapitan Finnegan tłumaczył mu na angielski:

– Skóra pociemniała tak bardzo, że trudno dostrzec obrażenia. Sekcja zwłok jest przewidziana na jutro; lekarz sądowy będzie mógł to potwierdzić, ale uważają, że mężczyzna został zamknięty w kontenerze i zmarł tam z gorąca. Doktor chciał wiedzieć, czy potrafiłbym rozpoznać człowieka, który opuścił mój statek podczas poprzedniego rejsu. Ale obawiam się, że w tym stanie nie mogę go zidentyfikować – usprawiedliwił się Finnegan. – W innych okolicznościach skłanialiby się ku teorii, że może chodzić o pasażera na gapę, który próbował dostać się do Marsylii, ale nie pasuje im to, że zwłoki były całkowicie nagie; niewykluczone, że kiedy temperatura w kontenerze wzrosła, sam ściągnął z siebie ubranie, ale na razie nie zostało ono znalezione.

Noah pokręcił głową.

– To było uduszenie od tyłu za pomocą dość grubego materiału, dlatego nie widać śladów. Możliwe, że szalikiem, dużą apaszką, a nawet swetrem. Z pewnością najpierw stracił przytomność, ale minęło trochę czasu, zanim umarł, i doszło do tego z powodu braku tlenu. Osoba, która go zabiła, rozebrała go, żeby nie dało się ustalić jego narodowości na podstawie metek ubrań.

Kapitan przetłumaczył to Francuzom, którzy popatrzyli na Noaha w dziwny sposób.

– Pytają, czy jest pan lekarzem sądowym – przekazał mu Finnegan.

Noah ponownie poświecił latarką na twarz nieboszczyka i gestem dłoni poprosił ich, żeby podeszli.

– Widzicie te małe czerwone plamki wokół rogówki? Gdybyśmy mogli cofnąć powiekę, zobaczylibyśmy ich znacznie więcej. To małe naczynia włosowate, które pękają z powodu braku tlenu. I proszę im przekazać, że nie jestem lekarzem sądowym – zaznaczył, a szeptem dodał: – Już prawie nikim nie jestem.

Biblijny John

Bilbao było jak Glasgow. Biblijny John uśmiechnął się, obserwując ulicę Bidebarrieta, która rozciągała się przed jego oczami. Mokra, brudna i amoralna. Dokładnie jak Glasgow. Wyczuwało się już atmosferę święta, choć do oficjalnego rozpoczęcia obchodów Wielkiego Tygodnia zostało jeszcze kilka dni. Prawie w tym samym czasie co John do miasta zaczęli przybywać ludzie prowadzący objazdowe wesołe miasteczko, handlarze i sprzedawcy, włóczędzy, którzy przez całe lato jeździli z jednej fiesty na drugą, oraz zgraja na wpół punków, na wpół hippisów, których nazywano „czarnymi stopami”. Spali, pieprzyli się i wypróżniali gdzie popadnie, szokując konserwatywną społeczność i zapewniając miejscowej policji zajęcie swoimi licznymi awanturami z resztą mieszkańców. Stanowili oni temat rozmów na ulicy, w barach i na targowiskach, krążyły plotki, że mają tyle wszy i kleszczy, iż władze rozważają zatrzymanie ich tylko po to, by wsadzić ich pod prysznic. Podobnie jak w Glasgow, prostytutka, handel narkotykami i kradzieże kaset magnetofonowych w powiązaniu z narkomanami skupiały uwagę policji. A jakby tego było mało, panowała napięta sytuacja polityczna, gdyż tak jak w przypadku innych lokalnych świąt w Kraju Basków również teraz trwała „wojna o flagi”; w dzielnicy Siete Calles, czyli Siedmiu Ulic, i w okolicy nabrzeża każdego wieczoru dochodziło do starć między demonstrantami a policją. John słyszał z daleka coraz intensywniejsze uderzenia gumowych kul używanych przez oddziały skierowane do tłumienia zamieszek. Starcia z policją na jednych ulicach kontrastowały z niemal normalną atmosferą panującą w pozostałej części starego miasta: grupki mężczyzn *txikiteando*⁴,

zakochane pary trzymające się za ręce, rodziny z małymi dziećmi, które wyszły na kolację do restauracji...

I kobiety.

Biblijny John przystanął przed wystawą sklepu, który o tej porze był zamknięty. Zrobił to tylko po to, żeby przejrzeć się w szybie. Pasowały mu krótsze i ciemne włosy, podkreślały jego cerę i błękit oczu. Zastanawiał się, dlaczego nigdy wcześniej nie przyszło mu do głowy, by nosić taką fryzurę. Sprawiała, że bardziej przypominał twardziela, marynarza, nie wyglądał tak dziecinnie jak ze swoim typowym uczesaniem, ale przede wszystkim musiało mieć to związek z kolorem. Mimo że zarówno w przypadku rysopisów, jakie publikowały gazety, jak i portretów pamięciowych zawsze wspomniano o kasztanoworudawych albo rudych włosach, nigdy nie zdecydował się na zmianę koloru, być może dlatego, że za bardzo rzucałby się w oczy, gdyby nie miał takich kasztanoworudawych włosów jak reszta rodziny. John wiedział, że bycie takim jak wszyscy jest kluczowe, by pozostać niezauważonym, ale teraz mógł pozwolić sobie na zmianę. Uśmiechnął się. Podobał się sobie, podobało mu się Bilbao, ale przede wszystkim podobały mu się kobiety z tego miasta. A on podobał się im.

Bilbao było jedną z możliwości w jego planie ucieczki, często jednak zdarza się tak, że gdy nadchodzi chwila prawdy, wszystko nabiera większego tempa, dzieje się zbyt szybko. Choć jak nikt wierzył w przeznaczenie i w to, co zaplanował dla niego los, to naszło go kilka wątpliwości. W Bilbao uchodziłby za Anglika w hiszpańskim mieście, ponieważ tam każdy, kto pochodził z Wielkiej Brytanii, był Anglikiem. Znajomość języka przemawiała na jego korzyść, a wygląd, schludny i niezawodny, zawsze mu pomagał. Nie był jednak pewien, czy to przypadnie do gustu młodym Baskijkom. A później, podczas rejsu na „Lucky Man”, tamten samotny marynarz pojawił się niczym dar od niebios, żeby dopełnić plan i rozwiązać wszelkie wątpliwości.

Obserwował grupę dziewcząt, które przechodziły obok ze śmiechem. Mieszkanki Bilbao nie szczędziły mu uśmiechów i pełnych podziwu spojrzeń, kiedy mijały go na ulicy. Były o wiele swobodniejsze niż dziewczyny z Glasgow.

Flirt zdawał się modnym sportem w tym mieście, a wyłapanie spojrzenia kobiety skłonnej się śmiać i przyjąć zaproszenie na drinka było nieskończenie łatwiejsze niż w Szkocji. Bilbao było czystym wrzeniem w brudnej wodzie; pełne spódnic z falbankami, bluzek w kolorach fuksji, pistacjowej zieleni, kanarkowej żółci. Dziewczyny miały usta pomalowane na różowo i neonowe kolczyki w uszach, a mężczyźni zapraszali je na koktajle san francisco, coco loco albo na szampana... Tymczasem dwie ulice dalej policja tłumiała zamieszki z powodu „wojny o flagi”. A trzy bary dalej dilerzy zbijali kokosy i najwyraźniej nikogo to nie obchodziło. Po drugiej stronie rzeki odjeżdżały pociągi, a w dzielnicy Las Cortes dziwki paliły spokojnie, stojąc przy wejściach do spelun i czekając na kotlarzy i dokerów. Godziny wykradzione nocy, kiedy miasto się przeobrażało. O świcie syreny wzywające do pracy zabrzmiały jak trąby sądu ostatecznego i wszyscy, niczym cierpiące dusze, rozpoczną kolejny dzień pracy, który ma tylko jeden cel: byle znowu nadeszła noc.

Ruszył dalej, trzymając się za grupą młodych kobiet, żeby móc wdychać zapach perfum modnych wśród baskijskich dziewcząt; bergamotka, mandarynka i tymianek w przypadku młodszych oraz lawenda i trawa w przypadku tych starszych. Od wielu godzin nie padało, więc perfumy tych, które wychodziły wystrojone, żeby się zabawić, mieszały się ze szczykami pijaków z poprzedniej nocy. Śmierzące grupy punków, którzy zaczęli się zjeżdżać do miasta na fiestę, oddechy cuchnących winem *txikiteros* oraz nastolatki, od których wyczuwało się woń miętowej gumy do żucia Cheiw. Biblijnemu Johnowi podobało się Bilbao, ponieważ Bilbao było jak Glasgow. Nie, jest lepsze niż Glasgow, jest jak Glasgow z lat sześćdziesiątych, kiedy jeszcze nie straciłem nadziei, pomyślał. Bilbao miało dwa aspekty. Są takie miejsca, w których wiesz, że sięgnąłeś dna, i inne, w których możesz być pewny, że osiągnąłeś sukces. W ostatnich latach szkockie miasto wyglądało na zasmucone i przygnębione i nie dało się temu zaradzić. Wszystko pokryło się patyną porażki, smutkiem zakażonych pylicą budynków, wilgocią i czarnym grzybem, a przez to trudno było sobie wyobrazić jakąkolwiek przyszłość. Plan urbanistyczny, który tętniące niegdyś ulice zapełnił pustymi

działkami, wysoki wskaźnik bezrobocia, coraz droższe mieszkania, zubożeni i znudzeni młodzi ludzie należący do gangów, zabawiający się zastraszaniem staruszek z sąsiedztwa, kiedy te wychodziły po zakupy, albo umawiający się w pustostanach, by bić się między sobą. Blade i wygłodniałe prostytutki, w pół nagie pod niemodnymi już płaszczami, które należały jeszcze do ich matek, kręciły się wokół ognisk podsycanych śmieciami. Zdecydowanie wolał Bilbao. Było to jedno z tych dziwnych miejsc pełnych zarówno możliwości, jak i rozpacz – tu wszystko zależało od twojego talentu i umiejętności obserwacji. A John był urodzonym obserwatorem.

Dotarł do alei i przeszedł pod koronami drzew. Oparł się o balustradę nad rzeką. Zauważył parę ćpunów, którzy szprycowali się pod osłoną muru na jednych z tych wąskich schodów prowadzących do brudnych wód rzeki, i odwrócił głowę z obrzydzeniem. Heroina siała tu takie samo spustoszenie jak w jego kraju. Od czasu do czasu na ulicy Somera albo w okolicach San Francisco jakaś narkomanka proponowała seks za cenę jednej działki, ale prawdziwe prostytutki były w Las Cortes, na drugim brzegu rzeki, gdzie oferowały swoje usługi w nocnych klubach z charakterystycznym czerwonym światłem na drzwiach bądź w dyskretnych luksusowych mieszkaniach przy Gran Vía de don Diego López de Haro. Nie lubił dziwek, nienawidził ich i bał się w równym stopniu. Przyprawiały go o mdłości z tymi swoimi nachalnymi propozycjami, ochrypłym głosem, zapachem mokrego psa i zaschniętej spermy. W Bilbao – mimo że było to siedlisko uzależnień – osiągnięto swego rodzaju równowagę między ubóstwem dopiero co przybyłych do miasta biedaków, pensjonatami dla robotników i luksusowymi lokalami. Bilbao przypominało stadion, trybuny: jedne schody prowadzące na różne poziomy, po których, jeśli byłeś sprytny, mogłeś wspinać się bardzo szybko, ponieważ tym, co odróżniało Bilbao od Glasgow, były pieniądze.

W Bilbao pracy było pod dostatkiem. Huty, odlewnie, stocznie, port i firmy eksportowe zapewniały utrzymanie tysiącom mężczyzn, którzy co wieczór wychodzili na miasto z kieszeniami pełnymi ciepłej forsy, wydając ją z radością pijanego marynarza. Bilbao zostało pomyślane tak, żeby zaspokoić perwersje

i zachcianki każdego i na każdą kieszeń; pensjonaty i pięciogwiazdkowe hotele; salony bingo, loterie, taksówki i samochody do wynajęcia; restauracje, w których można wybrać menu dnia bądź droższe i wyselekcjonowane dania; bary, puby, sklepy spożywcze, artykuły żeglarskie i odzież robocza obok eleganckich butików oferujących modne ubrania z Paryża czy Londynu oraz najdroższe torebki; sprzedaż haszyszu i prawdopodobnie największe, obok Galicji, wrota dla heroiny w Europie. Kościoły, kaplice, sklepy z alkoholem, dyrektorzy i dokerzy, armatorzy i kowale, córeczki tatusia i młode służące, wszyscy spotykali się w tych samych miejscach: w dyskotekach. Już sprawdził, że kluby i puby, gdzie puszczano głośną muzykę i gdzie dziewczyny przychodziły co wieczór, żeby tańczyć, mnożyły się w całym mieście. Obszedł już prawie wszystkie. Arizona, Chentes, Ovni, La Jaula, Garden...

Było wcześniej, więc tej nocy zamierzał odwiedzić co najmniej dwa. Bilbao to idealny teren łowiecki, ale nie miał jeszcze bezpiecznego sposobu na to, żeby później pozbyć się „tego, co ofiarowane”. Nie znał miasta wystarczająco dobrze, musiał dopiero sprawdzić wszystkie możliwości. Odwróciwszy się ponownie w stronę rzeki, wciągnął w nozdrza stęchły zapach wody, która wraz z przyływem przynosiła nuty soli i śmierdziała ściekami. Po drugiej stronie dostrzegł szczury biegające swobodnie między śmieciami, które rozkładały się na stacji rozrządowej, niedaleko Abando. Rzepak i cuchnący rosół, sączące się z wagonów stojących całymi dniami w słońcu, zabarwiły ziemię na czarno, co przypominało mu muł nad brzegiem jeziora Katrine. Metale ciężkie, tłuszcz i rdza, całymi latami przenoszone przez rzekę, osadzały się na brzegach, tworząc coś w rodzaju suchego zwartego osadu i powodując, że kopanie w nim nie było możliwe. Wody z rzeki spływały dziś powoli i takie brudne, że każdy obciążony przedmiot byłby pod nimi niewidoczny, a z czasem zostałby pogrzebany na mulistym dnie albo może zaciągnięty aż do ujścia w Santurce. Jednak nieustanny ruch na rzece mącił dno i wodę i sprawiłby, że ciała unosiłyby się na powierzchni.

Tylko na początku był tak nieostrożny, że porzucał je na środku ulicy. Z czasem zdał sobie sprawę, że ktoś taki jak on nie ma potrzeby ryzykować i zostawiać

śladów przy każdej z nich. Nie był jednym z tych zdeprawowanych morderców, o których pisała amerykańska prasa. Opóźnieni, impulsywni i nieświadomi tego, co nauka może zrobić z odciskami palców, włosami, śliną czy krwią. Ale przede wszystkim tego nie potrzebował. Nie miał nic do udowodnienia, nikomu nie musiał rzucać wyzwania. „Lepszy pobłażliwy niż bohater; a panujący nad swoim duchem niż zdobywca miast”⁵. John nauczył się być bohaterem, nauczył się być odważny, kiedy zrozumiał, że ma cel, że impulsywne pragnienie, które kierowało nim na początku, wynikało z wyższego nakazu. Właśnie z tego powodu nigdy go nie złapano, z tego powodu w każdym momencie wiedział, co trzeba robić, jak należy postępować. Jego najwyższy przewodnik w swej nieskończonej mądrości pokazał mu, jak powinien działać. Wzniósł oczy do nieba, szukając znaku, i pomimo zanieczyszczenia sztucznym światłem dostrzegł lśniąca gwiazdę. Nie było śladu chmur. Poprzedniego ranka spadło ledwie parę kropel, na niebie nic nie zapowiadało, by wkrótce miało się rozpadać, a wody w rzece spływały zbyt wolno. Musiał zaczekać.

Za jego plecami pojawił się blask niebieskich świateł, więc odwrócił się w stronę starego miasta. Wozy policyjne odjeżdżały, pokonując most naprzeciwko teatru Arriaga. Latarnie oświetlały Arenal pomarańczową poświatą, a miasto wrzało, nie mogąc się doczekać święta. Zobaczył przechodzącą kolejną grupę dziewcząt i obejrzał się za nimi, wdychając zapach, którym perfumowały noc. Ostatni raz spojrzął w niebo i nakazał sobie już więcej się nie martwić. On da mu znak, kiedy nadejdzie właściwy moment. Tymczasem w miejscu, w którym one czekały, mogło się zmieścić jeszcze kilka innych.

⁴ Tradycja polegająca na tym, że grupki znajomych lub przyjaciół (*txikiteros*) spotykają się i chodzą od baru do baru, pijąc wino z małych szklaneczek zwanych *txikitos*.

⁵ Cytat za Nową Biblią Gdańską, Prz 16,32.

Bilbao

Czwartek, 18 sierpnia 1983

Noah usłyszał walenie, jakby dźwięk dobiegał z bardzo daleka. Nie wzdrygnął się. Budził się powoli, jak gdyby wyłaniał się z głębin. Pomału usiadł na pryczy, słysząc w tle pracujący silnik. Kiedy dotknął stopami metalowej podłogi, wibracje wspięły się po jego kościach niczym obce bicie serca. Trwał tak przez kilka minut, oceniając swój stan fizyczny w mroku przełamanym jedynie nikłym światłem wpadającym przez bulaj. Zignorował delikatne zawroty głowy. Czuł się lepiej niż w poprzednie dni. Za drzwiami kajuty słyszał krzątających się marynarzy, którzy przygotowywali się do przybicia do brzegu. Świtało, kiedy przez Santurce skierowali się do wejścia do portu w Bilbao.

Noah po raz pierwszy zobaczył miasto, stojąc na dziobie „Lucky Man”. Temperatura była dobra, ale kiedy płynęli w górę rzeki, cały czas delikatnie mżyło. Oddychał głęboko, zaciągając się wilgotnym i nasyconym żelazem powietrzem, które przywołało znajome zapachy. Podniósł wzrok na pochmurne, ołowiane niebo, podczas gdy woda, która spadała niemal niewidzialna, zaczynała ciążyć na jego ubraniu. Gdy poczuł wilgoć na twarzy, przeszył go dreszcz. Z ogromną złością odrzucił kaptur płaszcza przeciwdeszczowego, który pożyczył mu kapitan. Zamknął oczy, zmuszając się do uspokojenia nerwów i pogodzenia się z tym odczuciem, które przedtem zawsze było dla niego przyjemne. Niewzruszony stał na dziobie, tuż przy bakburcie, wiedząc, że jest obserwowany przez kapitana Finnegana, który nie spuszczał go z oka ze swojego miejsca na mostku.

Kiedy płynęli do miasta, Noah zwracał uwagę na każdy szczegół. Miał nadzieję, że to początkowe odczucie da mu jakąś wskazówkę, że zrozumie powód, który go tu przywiódł. Wyłączył umysł i przez moment starał się być Biblijnym Johnem, myśleć jak on, patrzeć jego oczami. I kiedy płynęli w górę rzeki, był pewien, że John nie przybył tu ot tak, że wybrał to miejsce z bardzo prostego powodu: Bilbao było jak Glasgow, a Nervión – jak rzeka Clyde. Muł zruszany śrubami napędowymi statków, brunatnoczerwone ścieki spływające do rzeki rurami osadzonymi w murze wzdłuż jej koryta. Huty i warsztaty, których nie brakowało nad brzegiem, wyłaniały się, dymiące i gigantyczne, między stacjami rozrządowymi oraz wagonami towarowymi i pasażerskimi. Praca, miasto, ludzie, towary, tłuszcz i szczury, imponujące fasady budynków i błoto nad brzegiem rzeki. W Bilbao wszystko mieszało się w nieprzyzwoity, bezwstydnny sposób, jak gdyby miasto, nie wiedząc, w którą stronę się rozrastać, po prostu sączyło to, co dobre, i to, co złe, we wszystkich kierunkach.

Dźwigi, niczym szkielety mitologicznych koni, w magiczny sposób obdarzone życiem, przemieszczały się wzdłuż brzegów rzeki, unosząc swoje metalowe szczęki nad otwartymi ładowniami statków towarowych. Zaś imponujące, pokryte sadzą fasady niektórych budynków rzucały cień na neobarokowe ornamenty kamienic. Nawet mgła przesuwiała się leniwie nad wzgórzami.

Bilbao jest jak Glasgow, pomyślał. A Glasgow było pierwszym terenem łowieckim Biblijnego Johna, terenem, z którego wycofał się dopiero wtedy, kiedy – po trzecim morderstwie – presja ze strony policji stała się nie do zniesienia. Noah zastanawiał się, ile John wytrzyma w Bilbao.

„Lucky Man” zacumował przy nabrzeżu zwanym Campa de los Ingleses, czyli Łąka Anglików, które obejmowało cały płaski teren z żółtej zbitej gliny, ciągnący się od pomostów w głąb lądu i w oddali graniczący z obszarem porośniętym trawą i krzewami. Na brzegu piętrzyły się setki kolorowych kontenerów z logo MacAndrews. Noah doszedł do wniosku, że gdyby nie dotarł tu, przemierzając miasto, pomyślałby, że znajduje się w zupełnie innym miejscu. Odtąd Nervión płynęła między brzegami pełnymi drzew i chociaż fasady domów były widoczne

pośród liści akacji, to obserwator odnosił wrażenie, że ma przed sobą czyste, spokojne i ciche miasto, niemające nic wspólnego z tym, które zostawiał za sobą, w miarę jak poruszał się w górę rzeki.

Przejście przez odprawę celną sprowadzało się do szybkiego rzutu okiem na jego dokument przez funkcjonariusza straży przybrzeżnej, któremu nie pokazał legitymacji policyjnej. Ruszył przez Łąkę Anglików w stronę kilku starych budynków i zobaczył, że na obu końcach stoją dwie wysłużone bramki oficjalnej wielkości, ale nylonowa siatka była porwana w wielu miejscach, gdzie zastąpiono ją inną, w kolorze niebieskim. W ręku ścisnął karteczkę, na której Lester Finnegan zapisał mu adresy pensjonatów, gdzie zwykle zatrzymywali się marynarze, a także trzy banknoty po sto peset, które dał mu kapitan, nie przyjmując w zamian nawet funta. Wsiadł do taksówki, która miała przewieźć go ledwie kilometr dalej, do dzielnicy Siedmiu Ulic.

Rozejrzał się wokół. Na Arenal wcale nie było piasku⁶. Może był tu dawniej, stąd nazwa, skonstatował. To było zaledwie półkilometrowej długości serce promenady, która dalej rozciągała się do Uniwersytetu Deusto. Z jednej strony kościół z barokowym portalem i fasady starego miasta, z drugiej zaś, obok pałacu, który – jak miał się później dowiedzieć – był teatrem Arriaga, most nad brunatną wodą. Na przeciwległym brzegu ze stacji kolejowej La Naja oraz dworca autobusowego złożonego z paru daszków i kilku ławek dochodził stłumiony szmer ludzkich głosów, słyszalny nawet ponad hałasem dobiegającym z rzeki, po prawej z kolei rozciągała się brudna i błotnista stacja rozrządowa, która lśniła na poły z powodu deszczu, na poły z powodu nagromadzonego na fioletowej ziemi tłuszczu. Zobaczył jadący powoli pociąg osobowy i dwóch mężczyzn w żółtych kombinezonach przeciwdeszczowych, którzy szli obok niego, prawie w takim samym tempie. Było wpół do ósmej rano, a ulica tętniła życiem, ludzie zmierzali w jedną i w drugą stronę, niektórzy pod parasolami; większość, tak jak Szkoci, wolała zakryć sobie głowę czapkami przeciwdeszczowymi albo kapturami

płaszczu. Uznał, że jest jeszcze zbyt wcześnie na szukanie pensjonatu, ryzykowałby, że przy śniadaniu natknie się na spóźnialskich lokatorów.

Wszedł do kawiarni Boulevard. Wszystkie stoliki oraz taborety przy kontuarze były zajęte. Zauważył, że miejscowym najwyraźniej to nie przeszkadza, podnosili rękę, by zwrócić na siebie uwagę kelnerów, i zamawiali swoje kawy. Wielu popijało je z filiżanki, w drugiej dłoni trzymając spodek. Na ubraniach znajdowała się mieszanka wilgoci, aromatu kawy i środowiska pracy, co od razu mu się spodobało i sprawiło, że poczuł się tu jak u siebie w domu.

Zlokalizował wolny taboret i usiadł z torbą między nogami. Był zmęczony.

– *Arrantzale*, co podać?

Noah spojrzał zdezorientowany na kelnera, który właśnie się do niego odezwał.

– Przepraszam... – wymamrotał.

– *Arrantzale*, rybak, jesteś rybakiem, prawda?

Uzmysłowił sobie, że w tym zielonym płaszczu przeciwdeszczowym i z torbą rzeczywiście przypomina rybaka. Przytaknął z uśmiechem.

– Poproszę kawę. I jedną taką – powiedział ze swoim możliwie najlepszym hiszpańskim akcentem, wskazując tacę pełną słodkich bułeczek.

– Dobry wybór.

Kiedy uznał, że minęło już wystarczająco czasu, zamówił drugą kawę i drugą bułeczkę, czekając, aż zegarek wskaże dziewiątą. Zapłaciwszy pieniędzmi kapitana Finnegana, wziął torbę i wyszedł na ulice starego miasta, zostawiając za sobą kawiarnię zatłoczoną tak samo jak wtedy, gdy do niej przyszedł. Przestało padać.

Poszukał banku, gdzie mógłby wymienić funty na pesety. Znalazł oddział Banco de Vizcaya, w którym musieli być przyzwyczajeni do wymiany waluty, bo nie robili mu żadnych trudności. Po rozwiązaniu problemu z pieniędzmi szedł bez pośpiechu, zwracając uwagę na nazwy ulic i w myślach notując wszystkie informacje, jakich dostarczało mu to miejsce. Na ulicy Bidebarrieta sklepy zaczęły podnosić swoje rolety: obuwnicze, z ubraniami dla dzieci, zakłady krawieckie. Ludzie szli w jedną i w drugą stronę. Niektóre grupki przystawały, żeby

porozmawiać. Widział samotne kobiety z wózkami na zakupy albo z kolorowymi płóciennymi torbami, jeszcze pustymi, i inne, ranne ptaszki, które wracały z targowiska z warzywami i rybami.

Zaczepił mężczyznę, który właśnie otwierał drzwi kiosku z tytoniem. Ten wskazał mu ulicę Víctor i wyjaśnił, jak dotrzeć na plac Unamuno, skąd miał iść już cały czas prosto. Nie będąc do końca pewnym, czy dobrze zrozumiał wskazówki, spacerował dalej, by dojść do wniosku, że jest mu wszystko jedno i że właściwie woli dać się ponieść własnym nogom. Wyrobienie sobie pełnej opinii o jakimś miejscu wymagało połączenia obiektywnych informacji i subiektywnych wrażeń. Zauważył, że w miarę jak zagłębia się w dzielnicę Siedmiu Ulic, na ścianach jest coraz więcej graffiti. Niektóre odnosiły się do ETA, inne – jak się domyślał – były napisane w języku baskijskim, ponieważ nie potrafił ich rozszyfrować. Fasady domów były tak samo ciemne i zniszczone jak przy Arenal; wąskie uliczki i jeszcze mocno zachmurzone niebo sprawiały, że nie dochodziło tu światło. Na bruku miejscami brakowało kostek, kałuże po ostatniej ulewie były czarne z powodu sadzy, którą woda przyciągnęła tu, spływając po ścianach; na rogach rynny odprowadzały ją prosto na ziemię. Dla kontrastu w dzielnicy dało się dostrzec szczegóły, które wskazywały na chwalebna przeszłość i chaotyczną teraźniejszość, rozwijając się bez kontroli, niczym nieporadny nastolatek mający zbyt dużo pieniędzy w kieszeniach.

Nie wiedział, jak znalazł się przed katedrą. Podniósłszy głowę, wziął głęboki oddech, będąc pod wrażeniem piękna świątyni. Obszedł ją, od czasu do czasu opierając się o sklepowe fasady, żeby móc podziwiać szczegóły wieży, głęboko osadzone okna, trwałość żywego kamienia. Nagle znalazł się przed witryną cukierni, która – jak wskazywał szyld – została otwarta w tysiąc dziewięćset dziesiątym roku. Stał tam i patrzył na całe sterty zawijanych ręcznie łakoci, nie potrafił jednak ustalić, co to takiego, ponieważ nie wiedział, czym jest prawoślaz. Szukając przy zbiegu ulic nazwy tej, na której się znajdował, przekonał się, że jest już na miejscu. Ulica Tendería.

Z daleka dostrzegł wystający z fasady szyld z nazwą pensjonatu Toki-Ona. Musiał cofnąć się kilka kroków w ciasnej uliczce, żeby objąć wzrokiem budynek: wąski, trzypiętrowy, z bordowymi okiennicami. W drzwiach pojawiła się jakaś kobieta.

– Szuka pan pensjonatu? – zapytała, pokazując gestem w stronę Noaha i jego bagażu.

– Tak, dziękuję – odpowiedział, podchodząc.

– Och! Anglik – rzuciła, rozpoznawszy akcent. – Ma pan szczęście, właśnie dziś zwolniły się pokoje. A poza tym mamy trzech gości z pańskiego kraju. Jestem pewna, że ich pan polubi – dodała, widząc reakcję Noaha.

– Od jak dawna są tu pani goście?

– Jeden od kilku miesięcy, pozostali mniej więcej tydzień, ale zostaną na dłuższy czas, przyjechali pracować w porcie. Pan też?

– Coś w tym stylu – odpowiedział, cofając się parę kroków z myślą, że musi się pozbyć tego płaszcz przeciwdeszczowego. – Przepraszam, pomyliłem się, jednak szukam innego adresu.

Uśmiech kobiety przedzierzgnął się w grymas, a Noah poszedł dalej. Drugi polecony mu przez kapitana pensjonat znajdował się naprzeciwko, przy tej samej ulicy, zaledwie dwa numery dalej. Kiedy dotarł do wejścia, zobaczył, że kobieta z pensjonatu Toki-Ona nadal patrzy na niego zdeglustowana. Przy drzwiach wisiały trzy mosiężne tabliczki: „J. Vidaurreta, prawnik handlowy” na drugim piętrze, „N. Elizondo, psychiatra” na piątym i „pensjonat Gwiazda” – na pierwszym. Wcisnął dzwonek. Otwarto mu bez pytania.

Stara drewniana klatka schodowa była wyraźnie nachylona w stronę wnętrza budynku, jakby oko tornada wirowało w otworze albo jakby cały dom przechylał się w kierunku dziury na środku budowli. Pachniało jak w kościele. Kilukrotnie wcisnął włącznik światła, lecz nie przyniosło to żadnego efektu, więc zaczął się wspinać, oświetlony przez nikły mleczny blask, który docierał z góry przez świetlik. Wchodził z trudem, myśląc o tym, że gdyby musiał wspinać się wyżej,

poczułby się naprawdę fatalnie. Kiedy dotarł na pierwsze piętro, miał wrażenie, że runie w ciemną szczelinę między balustradami.

Drzwi otworzyła mu około pięćdziesięcioletnia szczupła kobieta, w ubraniu o nieokreślonym ciemnym kolorze i z włosami zebranymi w ścisły kok. Na strój miała narzucony niepasujący do całości fartuch w białe i niebieskie kwiaty. Czekwała zniecierpliwiona, aż Noah dotrze na piętro.

Nie miał siły, żeby się przywitać, i kobieta też tego nie zrobiła. Odsunęła się na bok, by wpuścić go do środka. Potem zamknęła drzwi i ruszyła korytarzem, upewniając się, że za nią idzie.

– Pokój jest osobny, dzielona łazienka znajduje się na końcu korytarza. Niepełne wyżywienie: śniadanie i kolacja. Codzienne sprzątanie pokoju, pranie i prasowanie raz w tygodniu, zmiana pościeli i ręczników też raz w tygodniu. Z prysznicą można korzystać dwa razy w tygodniu. Cena: dwieście pięćdziesiąt peset na dzień, bo nie sądzę, żeby był pan zainteresowany wynajmem na godziny... Jeśli zostanie pan kilka tygodni, to będzie dwieście dwadzieścia pięć na dzień, a jeśli dłużej niż miesiąc, tylko dwieście.

Kobieta wyjęła z fartucha klucz, którym otworzyła drzwi. To był pokój wewnętrzny. Miał duże okno z drewnianymi okiennicami, lecz wychodziło ono na patio zwieńczone świetlikiem, będącym przedłużeniem tego, który stanowił jedyne oświetlenie westybulu. Noah wyjrzał na zewnątrz. Dziesiątki sznurków rozwieszonych na wszystkich wysokościach, które rozciągały się od okna do okna, były pełne pościeli i niebieskich ubrań roboczych. Pachniało detergentem i wybielaczem. Z któregoś piętra dobiegł dźwięk tranzystora, który emitował sygnał czasu. Jak poinformowała go kobieta, pokój rzeczywiście nie miał łazienki, były za to umywalka i bidet. Noah domyślił się, dlaczego wynajmowała pokoje także na godziny.

Jak gdyby czytała mu w myślach, kobieta zaznaczyła:

– To przyzwoity dom. Wszyscy najemcy są w Bilbao po to, żeby pracować. Kładą się i wstają bardzo wcześnie, nie przyjechali tu na święto.

– Święto?

– Miejscowe święto, które zaczyna się w sobotę i potrwa przez cały tydzień. Ale mimo to obowiązuje zakaz przyprawiania do pokoi kobiet. Nie lubię też głośnych lokatorów. Mam nadzieję, że będzie pan o tym pamiętał.

– Zatrzymał się tu jakiś Anglik?

– Nie, czy to problem?

– Wprost przeciwnie.

– Bierze pan?

– Tak.

– Proszę za mną do kuchni, spiszę pańskie dane. Pierwszy tydzień jest płatny z góry.

Noah zamierzał zostawić torbę na podłodze, ale kobieta go ponagliła.

– Najpierw się płaci.

– Dlaczego Gwiazda? – zapytał, podążając za nią korytarzem.

– Nie wiem. Nazwę wymyślił mój mąż, mój nieżyjący już mąż.

Kuchnia był czysta i uporządkowana. Nic nie stało na wierzchu i Noah zauważył, że wszystkie szafki, a także lodówka, mają zamki. Okno wychodziło na ulicę, którą przed chwilą szedł, i znajdowało się niemal naprzeciwko pensjonatu Toki-Ona.

– Nie ma pani pokoju od ulicy?

– Teraz nie, ale mężczyzna, który go zajmuje, wyjeżdża za kilka dni. Jeśli pan chce, mogę tam pana wtedy przenieść, ale to droższy pokój.

– Dobrze, proszę dać mi znać, kiedy się zwolni. Na razie zapłacę za tydzień, choć możliwe, że zostanę dłużej – powiedział, podając jej cztery banknoty po pięćset peset; widział, że kobieta nie spuszcza oka z ciasnego zwitka.

Wzięła je i schowała do tej samej kieszeni swojego dziwnego fartucha, z której wyjęła resztę. Noah wyciągnął rękę, ale ona zostawiła resztę na stole. Obok położyła komplet kluczy.

Wracając do swojego pokoju, zobaczył przez uchylone drzwi pomieszczenie wychodzące na ulicę. Wskazując je, zapytał:

– A ten?

– To mój pokój, panie Scott.

Odwrócił się, żeby na nią spojrzeć. Zauważył coś dziwnego w sposobie, w jaki to powiedziała. Czyżby z nim flirtowała? Postanowił to zignorować.

– Ma pani może książkę telefoniczną?

– Leży tam. – Wskazała szafkę na korytarzu.

Noah wziął książkę i rozejrzał się dookoła zdeorientowany.

– A telefon?

– Żeby zadzwonić do swojego kraju? – zapytała podejrzliwie. – Oczywiście mam telefon, ale korzystam z niego tylko w nagłych potrzebach. Dzwonienie z pensjonatu nie jest dozwolone. Tuż przy wyjściu, na rogu, stoi budka.

Noah wszedł do pokoju, zamknął za sobą drzwi i postawił torbę na podłodze, obok dwudrzwiowej szafy, która przypominała podwójną trumnę. Usiadł na łóżku, które wskutek ruchu materaca wydało metaliczny dźwięk. Książkę telefoniczną położył sobie na kolanach i zaczął wertować. Wszystkie książki telefoniczne mają mapę miasta. Z kieszeni wyjął scyzoryk i jednym pociągnięciem oddzielił mapę, przekonawszy się, że kradzież jest nie do wykrycia. Potem odszukał kilkanaście numerów, które zapisywał sobie w małym notesie zabranym z zamrażalnika. Kiedy skończył, odłożył książkę telefoniczną na miejsce w korytarzu, wrócił do pokoju i ułożył w szafie swoje nieliczne rzeczy. Wziął dwie tabletki diuretyków, odmierzył w nakrętce dawkę naparstnicy i popił nią pastylki. Zdjęcie rodziców postawił na stoliku nocnym, po czym przez kilka sekund wodził wzrokiem wokół, zaznajamiając się z tym miejscem i unikając odpowiedzi na pytanie, które huczało mu w głowie i które bez przerwy sobie powtarzał: co on tu robi? Wyciągnął z torby odznakę inspektora, włożył ją do wewnętrznej kieszeni kurtki, a potem umieścił broń przy biodrze, z prawej strony. Na koniec wziął klucze, które zostawiła mu właścicielka, i wyszedł na ulicę.

Budka telefoniczna miała składane drzwi, które się zacięły i były otwarte. Zajęło mu chwilę, nim zrozumiał, ile monet będzie potrzebował. Doszedł do wniosku, że nie ma ich wystarczająco dużo. Wszedł więc do pierwszego lepszego baru, naprzeciwko pensjonatu Toki-Ona. Baru Casino.

W Glasgow mawiano, że nigdy nie jest za wcześnie na wychylenie pierwszego. Znał kilku policjantów, którzy wstawali skoro świt, żeby zdążyć się napić przed pójściem do pracy, ale nie spodziewał się, że w Bilbao może się spotkać z czymś podobnym. Mimo że wczesnym rankiem widział kawiarnie pełne ludzi jedzących śniadanie, nie krył zaskoczenia na widok zatłoczonego baru, mimo że było dopiero nieco po wpół do jedenastej. Około trzydziestopięcioletnia kobieta obsługiwała pijących na drugim końcu kontuaru, ale podeszła do niego, gdy tylko go zobaczyła. Była ubrana w beżowe spodnie i bluzkę w niebieskie prążki. Rękawy miała zakasane do łokci, a jej jedyną ozdobą był stalowy zegarek. Ciemne kręcone włosy sięgały jej do ramion. Uśmiechała się.

– Dzień dobry, co podać?

– Przepraszam, mogłaby mi pani rozmienić banknot na monety? Potrzebuję do telefonu. – Uznał, że musi to wyjaśnić.

– Oczywiście – odpowiedziała, biorąc banknot. Poszła do kasy i po chwili wróciła z drobnymi, znowu się uśmiechając. W przeciwieństwie do kobiety z pensjonatu, podała mu pieniądze do ręki i wzrokiem odprowadziła go do wyjścia.

Z budki obdzwonił wszystkie hostele, które zlokalizował na mapie i których numery znalazł w książce telefonicznej. W jeszcze trzech zatrzymali się obywatele Anglii lub Irlandii. Noah przekonał się, że w większości przypadków jego rozmówcy nie byli pewni, jaka jest różnica. Naturalnie nie pytał wprost o Murraya czy pracowników MacAndrews, gdyż to mogłoby wzbudzić ciekawość właściciela, który potem przekazałby to swoim gościom. Nie próbował ukrywać swojego akcentu, wszak to, że Anglik chce się zatrzymać w pensjonacie, w którym są jego rodacy, nie budziło żadnych podejrzeń. Wykluczył tych, którzy mieszkali dłużej niż tydzień, i nie mógł się nadziwić, z jaką łatwością zdobył informacje. Następnie zadzwonił do biura MacAndrews w Bilbao i zapytał o godziny otwarcia. „Od ósmej

do trzynastej i od czternastej trzydzieści do siedemnastej trzydzieści”. Zapytał o Johna Murraya. Ignorując prośbę telefonistki, która poprosiła, żeby zaczekał na linii, podczas gdy ona łączyła, położył rękę na widełkach i zakończył połączenie. Sprawdził na mapie lokalizację biura i doszedł do wniosku, że ma jeszcze czas, żeby chwilę odpocząć i wziąć prysznic, zanim pracownicy MacAndrews wyjdą na obiad.

W miarę upływu kolejnych godzin niebo powoli się przejaśniało, a temperatura wyraźnie wzrosła. Gdy tylko znalazł się na ulicy, zdał sobie sprawę z tego, że jego kurtka, założona na koszulę z długim rękawem, jest za gruba na taką pogodę. Mimo to uznał, że jest całkiem znośnie, kiedy chodził zacienionymi uliczkami w pobliżu katedry. Sprawdził na mapie i ocenił, że dotarcie na ulicę Bertendona zajmie mu około piętnastu minut. Musiał opuścić Siedem Ulic, idąc w stronę teatru Arriaga, a potem przejść przez most i dotrzeć do stacji kolejowej w dzielnicy zwanej Abando. Kiedy się tam znalazł, miał już dość kurtki. Ukradkiem przełożył broń, zdjął dżinsową katanę i ostrożnie przewiesił ją przez prawe ramię. Zapуścił się na teren znajdujący się za stacją kolejową, gdzie się szwendał, obserwował sklepy i przyglądał się własnemu odbiciu w witrynach, znowu myśląc o tym, że musi kupić sobie ubranie. Szedł powoli, żeby się za bardzo nie zmęczyć. Krótko po dwunastej dotarł do drzwi biura. Było jeszcze wcześniej, ale wolał mieć czas, by poznać tę część Bilbao i mieć pewność, że John Murray nie wyjdzie z pracy przed wyznaczoną porą.

Przez następną godzinę kilkunastu mężczyzn wchodziło do biura i z niego wychodziło. Dostawcy, listonosze, robotnicy. Punktualnie o trzynastej otworzyły się drzwi i pojawił się w nich mężczyzna w średnim wieku, z imponującymi białymi wąsami. Młoda kobieta, ubrana w brązowe spodnie i beżową bluzkę, stanęła obok niego uczynnie. Zaczekali kilka sekund, podczas gdy mężczyzna ponaglał sekretarki, które zostały w środku. Były to trzy młode kobiety, w bardzo podobnych pastelowych sukienkach, z kręconymi włosami i kolczykami w uszach. Mężczyzna z siwymi wąsami zamknął drzwi na klucz, powiedział coś, czego Noah

nie usłyszał, i podnosząc rękę w geście pożegnania, ruszył ulicą w kierunku północnym. Kobiety pospiesznie skierowały się w przeciwną stronę, do drzwi kawiarni. Tam trzy z nich się pożegnały i weszły do lokalu, a ta w brązowych spodniach poszła dalej. Noah zauważył, że kobiety usiadły przy oknie i obserwowały koleżankę przez firanki. Zobaczył też, że dziewczyna odwróciła się raz, by popatrzeć za siebie.

Wahał się, czy wejść do kawiarni i poszukać sobie miejsca w pobliżu sekretarek, czy skupić się na tej, która szła sama. Możliwe, że mieszkała niedaleko i wracała na obiad do domu... Jednakże w jej postawie, gdy się odwróciła i spojrzała w stronę kawiarni, było coś takiego, co sprawiło, że postanowił za nią pójść.

Kiedy znalazł się bliżej, spostrzegł, że mimo iż początkowo wziął pozostałe dziewczyny za młodsze od niej, było bardzo prawdopodobne, że to ona jest z nich wszystkich najmłodsza. Z pewnością zmylił go jej sposób ubierania się: brąz kontrastujący z pastelowymi kolorami tamtych, luźna bluzka ozdobiona wstążką, włosy zebrane w kucyk, a do tego buty – płaskie i zbyt zakryte jak na tę porę roku oraz jak na dziewczynę w jej wieku.

Szła dalej dobrym tempem, aż skręciła w następną ulicę, tam zwolniła i nawet zatrzymała się przed paroma sklepami, żeby z prawdziwym zainteresowaniem obejrzeć wystawy. Większość lokali była o tej porze zamknięta, ale Noah widział, jak stała dłuższą chwilę przed obuwniczym i sklepem z torebkami. W sposobie, w jaki oglądała witryny, było milczące pragnienie. Przypatrywała się ciemnym wnętrzom sklepów niczym dziecko przed cukiernią i Noah widział, jak wzdychając, poprawia sobie ubranie przed własnym odbiciem w szybie.

Dziewczyna kontynuowała swój spacer, aż dotarła do głównej alei, Gran Vía. Noah dogonił ją, kiedy czekała cierpliwie przed przejściem dla pieszych, by dostać się na przeciwległy chodnik. Tam skierowała się do dużego kiosku, który stał tuż przy wieżowcu Banco de Vizcaya. Przywitała się z kioskarzem, a ten zdjął z półki dwa czasopisma, „Jazmín” i „Bianca”. Ona podała mu banknot i czekała na resztę, przyciskając gazety do piersi. Potem się odwróciła, żeby wrócić tam, skąd przyszła,

nie mogła się jednak powstrzymać i zaczęła je przeglądać, czekając na zmianę światła na przejściu dla pieszych.

Noah nie znał tych czasopism, ale kiedy podszedł do kiosku, zobaczył, że są to romantyczne fotoopowieści. Zauważył też, że mają tu więcej niż przyzwoity wybór brytyjskiej prasy. „The Times”, „The Sun”, „The Guardian”. Pomyślał, że później wróci w to miejsce, teraz jednak przyspieszył kroku, żeby dogonić dziewczynę, która przechodziła już przez ulicę, idąc po swoich śladach. Noah się domyślił, że kieruje się znowu do biura MacAndrews. Na jednej z ulic, nieopodal stacji kolejowej, dziewczyna skierowała się w stronę rzeki. Znalazła pustą ławkę, usiadła na niej i rozejrzawszy się na boki, jakby zamierzała zrobić coś nielegalnego, położyła na kolanach jedną z gazet, wyjęła z torebki kanapkę, którą rozwinęła tylko częściowo, i zaczęła jeść, czytając.

Noah na powrót włożył kurtkę, ale jej nie zapiął; w zapiętej bardziej było widać, jak stracił na wadze przez ostatnie dni. Podszedł do dziewczyny stanowczym krokiem.

– Przepraszam, mogę usiąść?

– Och! – O mało się nie udławiła. Czasopismo zsunęło się na ziemię, gdy jedną ręką zasłaniała sobie usta, a w drugiej trzymała kanapkę.

– Nie chcę pani niepokoić. Czy byłaby pani tak uprzejma i poświęciła mi kilka minut? Chciałbym z panią porozmawiać.

Skinęła głową, uśmiechając się nieśmiało, i podniosła gazetę.

– Jest pan Anglikiem, prawda?

– Tak. Chciałbym zadać pani kilka pytań związanych z pani pracą. Pracuje pani w MacAndrews, prawda?

Nagle wydała się rozczarowana. Noah rzucił okiem na czasopismo, które trzymała na kolanach. Na okładce mężczyzna ubrany w elegancki smoking obejmował młodą kobietę ubraną w przewiewną suknię wieczorową. Uzmysłował sobie, że dziewczyna podejrzewała go o intencje natury romantycznej. Wyjął swoją

odznakę i rozejrzawszy się na boki podobnie jak ona wcześniej, pokazał ją dyskretnie.

– Nazywam się Gibson i jestem prywatnym detektywem – skłamał i uśmiechnął się nieznacznie na myśl o tym, że podszywa się pod sierżanta.

– Och, detektyw, tak jak w filmach!

Znowu się uśmiechnął, zdając sobie sprawę, że to przynajmniej częściowo zaspokaja jej potrzebę przygody.

– Przyjechałem do Bilbao w związku ze sprawą, którą się zajmuję, i myślę, że mogłaby mi pani pomóc.

Oczy miała jak spodki, a jej dolna warga nieco zadrżała.

– Mam na imię Olga – powiedziała, podając mu rękę.

Uścisnął ją krótko.

– A zatem, Olgo, sprawdzam jednego z pracowników MacAndrews, który właśnie do was dołączył.

– Pana Murraya?

– Zgadza się.

– Wydaje się miły i ma dobre maniere – stwierdziła podejrzliwie, jakby te cechy w jakiś sposób czyniły z niego niegodziwca. – Dlaczego pan go sprawdza? To złodziej? Morderca?

– Znacznie gorzej...

Otworzyła szeroko oczy i nachyliła się nieco do Scotta Sherringtona, jakby zachęcając do zdradzenia sekretu.

– To uwodziciel.

Dziewczyna głośno wciągnęła powietrze.

– Pewien człowiek uwiódł bogatą angielską dziedziczkę, pobrali się i przekonał ją, żeby cały swój majątek przepisała na niego. Ale wkrótce potem ona się dowiedziała, że był już dwukrotnie żonaty, zawsze z bardzo zamożnymi kobietami. Nawiasem mówiąc, kiedy zawierał małżeństwo z nią, wciąż był żonaty z jej

poprzedniczką. Gdy wybuchł skandal, uciekł. Uważamy, że pan Murray i uwodziciel to ten sam mężczyzna.

Olga zakryła dłonią usta.

– Niebawem! A dziewczyny mówią, że jest taki sympatyczny...

– Olgo, potrzebuję pani pomocy. Proszę mi powiedzieć: czy w biurze ktoś został?

– Nie, wyszliśmy na obiad wszyscy razem. Pan Goñi otworzy ponownie o wpół do trzeciej – powiedziała, patrząc na zegarek i, z niejakim smutkiem, na połowicznie zjedzony posiłek.

– Proszę dokończyć, jeśli pani chce – zachęcił ją Noah, wskazując kanapkę. – To pani przerwa obiadowa, a ja tylko kradnę pani czas.

Ona jednak pokręciła głową, zawinęła resztę i ostrożnie schowała do torebki, która wyglądała na dobrze zachowaną, lecz dość sfatygowaną na uchwyty i na spodzie. Wyjęła jabłko i wgrzyła się w nie, podczas gdy Noah mówił dalej:

– A może pan Murray wyszedł wcześniej? Dziś rano dzwoniłem do biura, żeby o niego zapytać, i osoba, z którą rozmawiałem, zaproponowała, że mnie do niego przełączy.

– A więc to był pan! – zawołała z uśmiechem. – Rozmawiał pan ze mną. Odbieram wszystkie telefony i przełączam do odpowiednich osób. Pan Murray jest w nowym biurze w porcie. Właśnie tam pracuje. Pełni funkcję łącznika z urzędem celnym. Biuro przy ulicy Bertendona jest dość stare, jeszcze z czasów, kiedy cała działalność koncentrowała się w centrum Bilbao, ale plan jest taki, żeby wszystko przenieść do nowego portu w Santurce. Mówiło się o przeprowadzce tam całej firmy, ale na razie trzymają biuro, bo tutaj mamy wszystkie teczki klientów, sięgające roku tysiąc osiemset któregoś.

Noah był rozczarowany.

– A więc pan Murray nie pracuje w tym samym biurze, choć to pani przekazuje mu połączenia przychodzące.

– Wychodzące też przechodzą przeze mnie, firma ma bardzo restrykcyjną politykę prywatności, jesteśmy jednym z najstarszych przedsiębiorstw w Europie i najstarszym w Wielkiej Brytanii. Nasze transporty są prestiżowe i bezpieczne, a ładunki warte miliony peset.

Noah się uśmiechnął. Olga była oddaną pracownicą. Gdy jej to powiedział, spojrzała na niego usatysfakcjonowana.

– Moja praca jest ważna. Jestem tu dopiero od dwóch miesięcy, ale pan Goñi mówi, że jest ze mnie bardzo zadowolony.

– Nie wątpię.

– Jestem łączniczką pana Murraya z firmą i ze światem zewnętrznym, w ciągu dnia rozmawiamy wiele razy. Mimo że pan Murray ma swój mały kącik w porcie, bo ze względu na swoją pracę cały dzień spędza tu i tam, między Santurce a Łąką Anglików, gdzie wyładowuje się niektóre kontenery, na statkach, w urzędzie celnym... Do biura przychodzi pod koniec dnia, żeby załatwić sprawy papierkowe z panem Goñim. Przekazuje listy przewozowe i wychodzi.

– O której godzinie?

– Około siódmej wieczorem.

– Wie pani, czy ma własne auto?

– Tego nie wiem, ale ma samochód firmowy.

Noah zanotował to w myślach.

– Oczywiście jak wszyscy wodni inspektorzy korzysta także z motorówek – dodała Olga, a gdy spojrzał na nią pytająco, wyjaśniła: – To takie małe łódki, którymi pokonuje się rzekę z portu w Santurce do Łąki Anglików, czasami służą też do tego, żeby dotrzeć na statki albo dostać się na holowniki, ale przede wszystkim do tego, żeby szybciej się przemieszczać z miejsca na miejsce wzdłuż rzeki.

– Łąka Anglików... – powtórzył Noah. – Wie pani, dlaczego tak się nazywa?

– Podobno dawniej był tam cmentarz, na którym grzebano pańskich rodaków. Ale jeśli to prawda, to nie został po nim żaden ślad. Zawsze jednak tam było,

i wciąż jest, boisko piłkarskie. Mówi się też, że to zamięłowanie mieszkańców Bilbao do piłki nożnej pojawiło się razem z angielskimi marynarzami.

Noah się uśmiechnął, ta dziewczyna była prawdziwym skarbem.

– Olgo, chcę panią prosić o przysługę.

W odpowiedzi skinęła z przekonaniem głową.

– Wcześniej jednak muszę wiedzieć, jak to wielkie święto wpłynie na działalność pani firmy.

– Ma pan na myśli Aste Nagusia... To proste, działalność portowa nie uznaje świąt. Pan Goñi weźmie sobie wolne ostatniego dnia. Sekretarki będą pracować w niepełnym wymiarze godzin, ale wszyscy pracownicy doków i oczywiście ja będziemy w pracy normalnie, z wyjątkiem jutra, bo jest wtedy wystrzał fajerwerku, i z wyjątkiem weekendu. Oczywiście firma nam to wynagrodzi.

Scott Sherrington przytaknął zadowolony.

– Oto co mogłaby pani dla mnie zrobić. Bardzo mi zależy na tym, by się upewnić, że pan Murray i uwodziciel, którego szukam, to ta sama osoba. Ogromnie by mi pomogło, gdybym mógł liczyć na informacje na temat Murraya: gdzie pracował wcześniej, jak został zatrudniony, kto przeprowadzał z nim rozmowę kwalifikacyjną i wszystkie dane związane z jego miejscem urodzenia i rodziną. Jeśli podaje się za inną osobę, łatwo będzie to ustalić. Proszę zwracać uwagę na to, co się o nim mówi. Jestem pewien, że pani koleżanki lubią plotkować.

Olga znowu skinęła głową, tym razem bardzo powoli.

– Chce pan, bym przekazywała, o czym się mówi...

Noah pospiesznie doprecyzował:

– Rozumiem politykę prywatności firmy. Nie interesuje mnie absolutnie żadna działalność związana z wykonywaną pracą, więc pani lojalność wobec MacAndrews nie będzie z tym kolidować. Ale chcę, żeby mi pani mówiła, czy dzwoni do niego jakaś kobieta albo czy zostawiają mu jakieś wiadomości, przede wszystkim ze Stanów Zjednoczonych. Myśli pani, że może to dla mnie zrobić?

– Och, jasne, że tak. Zresztą dostał już kilka takich telefonów – odparła Olga.

– Ach tak?

– Pan Murray już pierwszego dnia przekazał mi, że będzie dostawał prywatne wiadomości od swojej rodziny, tak powiedział. Poprosił, żebym go o tym zawiadamiała. A teraz, gdy pan o tym wspomniał... Faktycznie zawsze są to telefony od kobiet, od różnych kobiet. Nie mam jak się dowiedzieć, czy dzwonią ze Stanów Zjednoczonych, bo nie zostawiają żadnych wiadomości poza tym, że dzwoniły, ale wszystkie mówią po angielsku.

– Pamięta pani nazwiska?

– Nie podają nazwisk, mówią jedynie: „On wie, kim jestem, proszę tylko przekazać panu Murrayowi, że dzwoniłam”. I to właśnie robię. Pod koniec dnia informuję go: „Dzwoniła do pana jakaś kobieta”. I ma pan rację, on nigdy nie pyta mnie o nazwisko, a więc musi wiedzieć, kto do niego dzwoni.

– Oddzwania z firmy?

– Nie.

Noah się zastanowił.

– I jeszcze jedna sprawa: człowiek, którego szukam, bardzo często zmienia wygląd. Jako uwodziciel i oszust nie pozwala, by robiono mu zdjęcia, nie ma więc prawie żadnych zachowanych jego wizerunków. Wiemy, że kilka razy zmieniał fryzurę, nosił okulary, brodę, wąsy... Nie wiem, jak wygląda teraz.

– Cóż, zwyczajnie, ale nie jest brzydki. Raczej przeciętny, chociaż dobrze się ubiera i wygląda...

– Schludnie – dokończył Noah.

Olga przytaknęła zdumiona.

– Co mogę zrobić, żeby panu pomóc?

– Dziś wieczorem, kiedy Murray wyjdzie z biura, proszę odprowadzić go do drzwi pod byle pretekstem i tam się z nim pożegnać. Ja będę obserwował i dzięki temu będę wiedział, że to on.

Olga przytaknęła nerwowo, przygryzając dolną wargę. Musiała już wracać do pracy.

Noah spojrział na zegarek, a potem wyjął z portfela banknot o nominale pięciu tysięcy peset i podał go jej dyskretnie.

Popatrzyła na niego przestraszona.

– Rodzina jego żony jest bogata i płaci bardzo dobrze, więc jeśli zostanie pani moją współpracowniczką, tak będzie uczciwie.

Wzięła pieniądze i ścisnęła je w dłoni.

– To tylko zaliczka, zapłacę pani za każdą informację, jaką dostanę. Będę dzwonił do biura codziennie, żeby sprawdzić, czy są jakieś wieści. Proszę mówić tylko wtedy, jeśli będzie bezpiecznie. W przeciwnym razie proszę odpowiedzieć po prostu „nie”, a ja zaczekam tu na panią po pracy.

– To jest bardzo ekscytujące – powiedziała z uśmiechem.

– I jeszcze jedno: pod żadnym pozorem proszę się z nim nie umawiać.

Olga pokręciła głową.

– I tak nie sądzę, żeby zwrócił na mnie uwagę. Jestem zupełnym przeciwieństwem bogatej dziedziczki.

Noah znowu spojrział na jej wysłużoną torebkę, dość staromodne, ale idealnie czyste i wyprasowane ubrania. Przypomniał sobie sposób, w jaki schowała na później resztę kanapki i jak patrzyła na tamte sekretarki.

– Ale jest pani bardzo ładna. Nawet tacy jak on działają czasami pod wpływem impulsu.

Dziewczyna spuściła wzrok, a on, pokazując w stronę banknotu nadal ściskanego przez nią w dłoni, pożegnał się zdaniem, którego, jak sądził, miał nigdy nie skierować do żadnej kobiety.

– Olgo, niech pani kupi sobie coś ładnego.

Skinęła z uśmiechem.

Potem wrócił do kiosku przy Gran Vía i kupił „The Times”, „The Sun” oraz „The Guardian”. Nie mieli „The Scotsman”, nie zostało też nic z prasy francuskiej, ale w zamian za to, że zapłacił z góry za dzienniki z całego tygodnia, kioskarcz obiecał zrobić wszystko, żeby na następny dzień zdobyć szkockie gazety.

– Nie wiem, co to się ostatnio dzieje, w całym swoim życiu sprzedałem może jedną szkocką gazetę, a w tym tygodniu ciągle mnie o nie pytają – powiedział mężczyzna.

Noaha kusilo, żeby zapytać, kto jeszcze kupuje szkocką prasę, ale uznał, że wtedy za bardzo zwróciłby na siebie uwagę.

W drodze do pensjonatu, z gazetami pod pachą, uświadomił sobie, że nie jadł niczego od czasu porannej kawy i słodkich bułek. Wszedł na stację kolejową i w kawiarni zamówił kanapkę z tortillą ziemniaczaną oraz małe piwo. Jadł, przeglądając gazety. We wszystkich nadal pojawiały się artykuły poświęcone Biblijnemu Johnowi. Portrety pamięciowe, zdjęcia małej miejscowości Killin, wzmianka o potężnej burzy, która nawiedziła Szkocję. „The Guardian” zamieścił tekst na temat ofiar. Na czarno-białym zdjęciu Noah rozpoznał dziecięcą twarz Clarissy O’Hagan. Do tego zdjęcia natapirowała sobie włosy, co zupełnie jej nie pasowało, wyglądała jak w peruce. Otworzył portfel i z dna przegródki wydobyl małe zdjęcie legitymacyjne. Przedstawiało twarz nieśmiałej nastolatki, która próbowała się uśmiechnąć, gładkie włosy z przedziałkiem na środku sięgały jej do ramion. Schował zdjęcie i zostawił resztę kanapki – nagle stracił apetyt.

Pomimo skromnego posiłku w drodze do pensjonatu ogarnęła go ogromna senność. Zastanawiał się, czy jadł zbyt szybko, czy wynikało to z liczby godzin, jakie upłynęły między posiłkami. Rosnąca temperatura powietrza też nie pomogala. Przechodząc przez most, znowu zdjął kurtkę. Zatrzymał się na minutę, obserwując mętne wody rzeki przepływającej pod jego stopami we wczesnopopołudniowym słońcu. Chodnik zaprowadził go do głównego wejścia do teatru Arriaga. Piękno fasady przyciemnionej przez dym z hut było częściowo ukryte za drewnianą konstrukcją. Nad głównym wejściem na pierwszym piętrze dobudowano bowiem drewnianą galerię w charakterze dość prymitywnego punktu widokowego, co sprawiało wrażenie, jakby budynek był w remoncie. Miejsce wyglądało na opuszczone, a na niektórych oknach przyczepiono tablice z rozmazanymi przez deszcz ogłoszeniami. Wyobrażał sobie, że swego czasu był to wyjątkowy punkt obserwacyjny z widokiem na miasto (pomysł jakiejś znamienitej postaci z epoki),

z pewnością bardzo popularne i jedyne w swoim rodzaju, a dziś podupadłe i opuszczone. Wywoływało to smutek, spotęgowany dodatkowo widokiem resztek białych draperii, poszarzałych od kurzu i upływu czasu. Deski, dawniej w kolorze lśniącej butelkowej zieleni, pociemniały, a całość wyglądała na tle budynku tak sztucznie jak włosy z pakuły u lalki.

Znowu pomyślał o Clarissie O'Hagan i o tamtej fryzurze, która jej nie pasowała. Przygnębiony spojrzął na teatr Arriaga, po czym zagłębił się w Siedem Ulic.

W pensjonacie panowały chłód i cisza. Noah zdjął buty i skarpetki, po czym obejrzał swoje stopy. Kostki były ledwo widoczne, a palce spuchnięte. Zostawił otwarte okno wychodzące na patio; z parteru dobiegała muzyka płynąca ze zbyt głośno nastawionego tranzystora. Wyjrzał i zauważył, że większość okien jest otwarta, lecz ma zasunięte zasłony. Strumień powietrza, który wciskał się przez przezroczysty świetlik, sprawiał, że powiewały na zewnątrz, nadymając się jak żagle statku. Spodobał mu się ten pomysł, więc zaciągnął zasłony i zostawił szeroko otwarte okno. Usłyszał sygnał Radia Nacional z obowiązkowymi piknięciami. „Wybiła godzina piętnasta, na Wyspach Kanaryjskich czternasta”. Wysłuchał wiadomości, leżąc na łóżku i patrząc na swoje stopy. Szczególną uwagę zwrócił na słowa prezentera pod koniec serwisu: „Komunikaty o nagłych wypadkach. Do domu nie wróciła młoda mieszkanka Bilbao Elena Belastegui, prosimy, żeby skontaktowała się ze swoją rodziną”.

Wstał i boso podszedł do okna. Było więcej komunikatów: do osób będących w podróży, dotyczących ważnych spraw rodzinnych, chorób, prośby o telefon do domu albo do szpitala, jednak największą uwagę zwracały niewątpliwie te zawierające prośbę o pomoc. „Zaginęła młoda..., każdy, kto ma jakiegokolwiek informacje na temat miejsca jej pobytu, proszony jest o kontakt pod numerem telefonu albo z najbliższym komisariatem policji”. W niektórych przypadkach komunikatowi towarzyszył opis fizyczny, a nawet opis ubrania, jakie kobieta miała na sobie w dniu zaginięcia.

Właściciel tranzystora zmienił stację na muzyczną. Noah wrócił na łóżko, myśląc o tym, że musi kupić sobie odbiornik radiowy, i to natychmiast. Przeciągnął się, wciągnął do płuc zapach czystych ubrań dobiegający z patio i przejrzał gazety, wydając wybrane strony i wyrzucając resztę. Palcami wydarł wizerunki Johna Clyde'a, które zamieszczono w różnych dziennikach. Jeden z nich był masą rozmytych plam – efekt powiększenia czarno-białego zdjęcia legitymacyjnego. Noah wywnioskował, że pochodziło z prawa jazdy Clyde'a, o którym wspominał mu komendant Graham – zrobione lata temu i tak fatalnej jakości, że John nie przypominał na nim mężczyzny, którego Noah poznał. Drugi wizerunek to portret pamięciowy, wyraźniejszy i lepszy, ale przedstawiał wszystkie problemy i niezgodności, typowe dla tego typu rekonstrukcji. W tekście obok napisano, że wobec braku fotografii Johna Clyde'a, rzekomego Biblijnego Johna, wielu artystów z całego kraju zaproponowało stworzenie portretu pamięciowego na podstawie rysopisów podanych przez nielicznych sąsiadów, którzy mieli z nim kontakt i go pamiętali. A był to wygląd raczej ogólny, ponieważ tak samo jak w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym i tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku, wszystkie osoby, które utrzymywały jakieś relacje z Johnem Clyde'em, najwyraźniej cierpiały na amnezję. Ich opisy były tak mgliste i niedokładne, w niektórych przypadkach wręcz sprzeczne, że w konsekwencji efekt był rozmazany i przekłamany.

Muzyka umilkła i teraz prezenter, który przedstawił się jako Ramón García, witał radośnie słuchaczy, którzy dzwonili, aby zadedykować piosenki przyjacielom, rodzeństwu, kolegom z pracy, chłopakom ze szkoły i samemu prezydentowi. Dedykacje trwały dobrych kilka minut. Kiedy Noah słuchał tych głosów, spojrzął w stronę okna i skoncentrował się na hipnotyzującym rytmie, w jakim zasłony wybrzuszały się na zewnątrz, żeby po kilku sekundach znowu wrócić do środka, jak gdyby wszystkie te tkaniny zaciągnięte przed otwartymi oknami były opłucną jakiegoś gigantycznego stworzenia, które oddychało w samym sercu budynku. Senność wzięła nad nim górę, położył się więc i zasnął,

choć nie spał zbyt głęboko, był nawet pewien, że co najmniej raz słyszał sygnał czasu płynący z radia.

Stworzenie, które oddychało na patio, wstrzymało powietrze, wybrzusząc zasłony na zewnątrz, ale wypuściło je akurat w chwili, gdy Noah otworzył oczy. Poliester przesunął się po ramie okiennej i wrócił na swoje miejsce z delikatnym sykiem. Zegar wskazywał szóstą po południu. Noah spojrzął na swoje stopy. Usiadł i pomasaował kostki, które odzyskały normalny wygląd. Założył buty, podszedł do szafy i położył na języku dwie tabletki diuretyków. Nie miał szklanki, więc nachylił się nad umywalką i prosto z kranu wziął łyk, który wystarczył, żeby połknąć lekarstwa. Woda miała słodki smak i delikatny zapach błota, który jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przeniósł go na ciemny brzeg jeziora Katrine.

Zbyt szybko podniósł głowę i od razu poczuł zawroty. Uczepiony umywalki, potrzebował kilku chwil, żeby odzyskać równowagę i otworzyć oczy. Kiedy to zrobił, zobaczył swoje odbicie w lustrze. Trzydniowy zarost przyciemniał mu twarz, ale fioletowe worki pod oczami, które zostały jako pamiątka po pobycie w szpitalu, zdawały się ustępować dzięki lekarstwu w postaci snu podczas rejsu na „Lucky Man”. Ogólnie rzecz biorąc, wyglądał znacznie lepiej, niż można by się spodziewać po kimś, kto właśnie przeżywa swoje ostatnie dni. Utkwił wzrok w swoich oczach: błękit odzyskiwał głębię, a srebro lustra oddawało mętną intensywność rozpacz, którą trzymał na dystans, przykutą na samym dnie swojej duszy. Odwrócił wzrok, nie chciał na to patrzeć. Palcami przeczesał ciemne kręcone włosy, wziął dżinsową kurtkę – może i dobrą na szkockie lato, lecz nieodpowiednią w Bilbao – i wyszedł na ulicę.

Za dziesięć siódma Noah stanął w bramie naprzeciwko biura MacAndrews. Za pięć siódma John Murray otworzył drzwi i przytrzymał rękę na wewnętrznej klamce. Noah zauważył, że się zatrzymuje, jakby zawołał go ktoś ze środka. Zobaczył, że Olga do niego podchodzi i o coś go pyta. On wyjrzał na zewnątrz, jakby sprawdzał temperaturę, i znowu odwrócił się do środka, żeby odpowiedzieć. W tym czasie

ona dotarła już do drzwi i stanęła obok niego. Mężczyzna wyszedł na ulicę, a ona się pożegnała, by wrócić za ladę recepcji i zniknąć z oczu Noaha.

Inspektor obserwował mężczyznę, który przedstawiał się jako John Murray. Ten stanął przed wejściem do biura i zapalił papierosa. Noah wyjrzał nieco, rezygnując z kryjówki, jaką zapewniała mu brama, aby się upewnić, co widzi. Był przekonany, że Clyde nie palił. Nigdy nie widział, żeby to robił. Przejrzał w myślach swoje wspomnienia, aż nabrał pewności, że w Harmony Cottage nie było ani jednej popielniczki. Możliwe, że nie palił w domu z szacunku dla kobiet ze swojej rodziny, ale Noah nie przypominał sobie też popielniczek w jego kryjówce za domem, choć niewykluczone, że zabrali je technicy. A może był to względnie świeży nawyk, a nawet część nowego kamuflażu. Noah stał zbyt daleko, by upewnić się, czy mężczyzna połyka dym, czy tylko udaje, że pali. Murray zaciągnął się parę razy, rozglądając się na boki, jakby nie miał pewności, w którą stronę pójść, ale Noah wiedział, że zwleka, aby uporządkować myśli. Zastanawiał się. Na trzy czy cztery sekundy odwrócił się, by w zamyśleniu spojrzeć na biuro oraz miejsce, które zajmowała Olga. Ciarki przeszły po plecach Scotta Sherringtona, który roztrząsał teraz, czy słusznie zrobił, wciągając w to tę dziewczynę – i czy nie naraził jej na niebezpieczeństwo. Murray rzucił papierosa na ziemię i udał się w kierunku rzeki.

Noah wyszedł z bramy i ruszył za nim, choć zatrzymał się na chwilę, żeby sprawdzić markę na niedopałku, który rzucił Murray. Embassy – te same papierosy, według świadków, palił Biblijny John w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku.

Idąc za nim w pewnej odległości, Noah usiłował sobie przypomnieć, jak poruszał się John Clyde, lecz w jego umyśle mieszały się wspomnienia dotyczące wszystkich facetów, których śledził w ciągu ostatnich dwóch lat. Pamiętał, że Clyde nosił dłuższą fryzurę w kasztanoworudawym kolorze. Mężczyzna, za którym podążał ulicami Bilbao, miał włosy krótko obcięte i nawet w świetle zachodzącego sierpniowego słońca o siódmej wieczorem wyglądał na dość ciemne. Być może Johna Clyde'a najbardziej wyróżniała dbałość, jaką przykładał do ubioru. Noah

przypomniał sobie szafę Clyde'a w Harmony Cottage. Dobrze skrojone ubrania, na czasie, w stonowanych i neutralnych kolorach, nie miały nic wspólnego z obcisłymi spodniami i kurtkami motocyklowymi, jakie nosili niektórzy młodzi ludzie. Mężczyzna, który przedstawiał się jako John Murray, miał teraz na sobie robocze spodnie, ochronne buty, koszulę i kamizelkę z logo MacAndrews. Mógł to być John Clyde, na ile Noah potrafił go sobie przypomnieć, ale niewątpliwie bliżej mu było do Biblijnego Johna z portretów pamięciowych z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku niż z portretu Clyde'a zamieszczanego w szkockich gazetach.

Murray się nie zatrzymywał. Skierował się na stare miasto, przechodząc przez most i idąc dalej ulicą Correo. Szedł dobrym tempem, jakby mu się spieszyło, a Noah czuł, jak jego serce zaczyna bić coraz szybciej, jednocześnie starał się za wszelką cenę nie stracić mężczyzny z zasięgu wzroku. Patrzył ponad głowami tłumu – wyglądało na to, że ludzie się zmówili, żeby o tej porze wyjść na miasto. Dogonił Johna, gdy ten przystanął, by kupić papierosy w tym samym kiosku, w którym rano Noah pytał o drogę. Zaczekał na niego, odwrócony plecami, udając, że ogląda sklepową witrynę, i pilnując odbicia w szybie. Murray skręcił w stronę katedry i dalej szedł ulicą Tendería, aż do wejścia do pensjonatu Toki-Ona, gdzie zniknął za drzwiami.

Noah poszedł dalej, ale zdążył jeszcze zobaczyć, jak tamten wchodzi po schodach. Ciesząc się ze szczęśliwego zbiegu okoliczności, skierował się do siebie. Zadzwoił domofonem, czekał, aż otworzą się drzwi, i stanął w ciemnym westybulu, nie tracąc z oczu wejścia do Toki-Ona.

Zaledwie dziesięć minut później Murray znowu pojawił się na ulicy.

Przystanął i zapalił papierosa w taki sam sposób, jak zrobił to przed biurem MacAndrews. Mężczyzn dzieliły tylko jakieś cztery metry, więc Noah mógł mu się dobrze przyjrzeć. Przebrał się. Miał na sobie wyprasowane džinsy i niebieską koszulę, której rękawy podwinął starannie do łokci. Włosy też wyglądały inaczej, wilgotne, a może nażelowane. Zaciągnął się głęboko, przeszedł przez ulicę i wszedł do baru Casino, dokładnie naprzeciwko.

Noah ruszył za nim.

Rano nie zwrócił uwagi na to, że lokal jest taki długi. Kontuar zaczynał się z boku, tuż przy drzwiach wejściowych i ciągnął w głąb, gdzie mieściły się magazyn, kuchnia i toalety. Jeśli rano bar tętnił życiem, to teraz wprost pękał w szwach.

Murray zatrzymał się przy kontuarze, prawie przy samym wejściu, obok dwóch mężczyzn, którzy pili piwo. Jeden z nich na powitanie poklepał go po plecach. Noah skierował się w głąb, żeby stamtąd móc dyskretnie ich obserwować. Przechodząc obok nich, nawet przy panującym gwarze, rozpoznał wyraźny irlandzki akcent mężczyzny, który przywitał się z Murrayem.

Znalazł jeden z nielicznych wolnych taboretów i usiadł na końcu kontuaru, obok wejścia do kuchni i sterty gazet przylegającej do ściany. Naprzeciwko, wzdłuż całej długości baru, wisiało pochylone lustro, a pod nim na kilkupoziomowych półkach były poustawiane butelki. Stał tu również sprzęt stereo, z którego dobiegała grająca w tle melodia, ledwie słyszalna z powodu gwaru rozmów i śmiechów. Obok była mała rzeźba świętej, przed którą paliła się świeczka. Noah zauważył, że za kontuarem obsługuje ta sama kobieta co rano. Miała na sobie niebieskie dzinsy, a podwinięte do łokci rękawy koszuli przydawały jej stanowczości i dziarskości. Kręcone włosy muskały jej ramiona, widział, jak odrzuca je do tyłu ruchem głowy.

Podeszła do niego z uśmiechem.

– Witaj ponownie.

Noah spojrzał na nią, zaskoczony, że go pamięta.

– Dziś rano potrzebowałeś drobnych na telefon...

Przytaknął zakłopotany, a ona znowu się uśmiechnęła.

– Mam dobrą pamięć. Czego się napijesz?

Był zbity z tropu. W ogóle o tym nie pomyślał. Zastanawiał się, czego mógłby się napić. Kiedy ostatnim razem wszedł do pubu w Glasgow, zamówił piwo albo

whisky. Wystarczył rzut oka na kontuar, by się przekonać, że większość piła tu wino w małych szklaneczkach.

Kobieta nadal się uśmiechała.

– Jeśli chcesz się zastanowić, to mnie się nie spieszy.

– Poproszę czerwone wino – powiedział nieśmiało.

– *Especial* czy *chiquito*⁷?

Gestem wskazał najbliższą grupkę pijących mężczyzn i ich małe szklaneczki. Ona umieściła szklanę pod metalową rurką przymocowaną do kontuaru, szybko naląła krótkie wino i postawiła je przed nim, nie przestając się uśmiechać.

– Anglik, prawda?

Noah przytaknął, nadal rzucając ukradkowe spojrzenia na drugi koniec kontuaru, z nadzieją, że mężczyźni nie słyszą stamtąd jej słów.

– W Bilbao jest mnóstwo twoich rodaków. Jak tamta ekipa – oznajmiła, pokazując w stronę wejścia. – Michael i jego kumple, nie wiem, czy ich znasz. Można by powiedzieć, że zmówiliście się, żeby przyjechać tu na Wielki Tydzień.

Noah nie wiedział, co robić. Ostatnie, czego chciał, to zaznaczyć swoją obecność, a co dopiero witać się z nimi albo rozmawiać. W tym momencie uzmysłowił sobie, jak wszystko przyspieszyło w ciągu ostatnich dni. Był w Bilbao, kierowany przecuciem, i działał tak intuicyjnie i instynktownie, że nie miał czasu o niczym pomyśleć. Nie wiedział, co zamówić w barze, nie wiedział, jak usprawiedliwić swój pobyt w Bilbao, i nie spodziewał się, że w mieście jest tylu Brytyjczyków. Najbardziej zagadkowy był charakter tego miejsca, fakt, że – choć znajdowało się w wielkim Bilbao – dzielnica Siedmiu Ulic zdawała się tętnić życiem jak wioska, w której wszyscy się znają, rozmawiają ze sobą albo o coś wypytyują. Skulił się nieco, niemal chowając się za innymi klientami, i dyskretnie pokręcił głową. Wydawało się, że kobieta zrozumiała.

– Och! – wykrzyknęła, a uśmiech zniknął z jej twarzy.

W tym momencie inny klient zaczął się domagać jej uwagi:

– Maite, jeszcze jedna kolejka.

Noah zanotował w myślach jej imię, sięgnął ręką do stosu gazet i otworzył jedną z nich, nie zwracając nawet uwagi na to, co się znajduje na stronie. Chciał tylko spuścić głowę i udawać na tyle duże zainteresowanie artykułem, żeby uciec przed lustracją i pytaniami kobiety o szerokim uśmiechu, do której klienci zwracali się Maite. W grupce przy wejściu perorował właśnie jeden z mężczyzn: ten najniższy, Irlandczyk, zapewne Michael, opowiadał o czymś, co bawiło pozostałych. Gestykulował i mówił bardzo głośno. Nawet pośród barowego gwaru Noah zdołał wyodrębnić niektóre słowa. Tak, Irlandczyk bez dwóch zdań.

Jakiś chłopak przystanął obok Noaha i zaczął mu się przyglądać z zuchwałą śmiałością. Noah początkowo go ignorował, lecz widząc, że ten nie ustępuje, też zerknął ukradkiem, wykorzystując do tego lustro wiszące naprzeciwko kontuaru. Chłopak był równie wysoki jak on i bardzo szczupły. Miał ciemne króciutkie włosy i pociągłą twarz. Noah zauważył, że to bardzo młody człowiek, nastolatek, lecz spostrzegł także, że w jego wyrazie twarzy malowały się szczere zainteresowanie i niewinność, typowe dla znacznie młodszego dziecka – ciekawość, którą na początku wziął za bezczelność. Miał piękne ciemne oczy, a zęby górnego łuku wystawały nieco na zewnątrz, co nie pozwalało mu całkiem zamknąć ust. Jedną z jego rąk wyglądała na sparaliżowaną, jakby cierpiał na zespół sztywnego łokcia. Miał też przykurczone palce drugiej ręki, w której trzymał torbę z dwoma bochenkami chleba. Pogodziwszy się z tym, że chłopak nie odejdzie, Noah spojrzał na niego pytająco. Wtedy spostrzegł, że chłopcu towarzyszy średniej wielkości biało-czarny pies. Krzyżówka owczarka szkockiego z jakąś mniejszą rasą. Zwierzę usiadło obok chłopaka i nie spuszczało z niego oka.

Młodzieniec głośno nabrał powietrza.

– D-do boju, lwy! – zawołał, lekko się jękając.

Mówił z pewnym trudem, ale Noahowi wydawało się, że go zrozumiał – i to już całkiem go dezorientowało.

– Co? – zapytał, podczas gdy jego umysł próbował znaleźć jakiś powód, dla którego ten nieznajomy wspomina o drużynie piłkarskiej z Glasgow.

Chłopak wskazał gazetę, którą Noah trzymał w dłoniach. Dopiero wtedy zorientował się, że jest to dziennik sportowy. Było w nim zdjęcie zawodników ubranych na biało i czerwono. Tak jak na plakatach, które przyozdabiały ściany baru...

Miejscowa drużyna, Athletic Bilbao, pomyślał szybko, podczas gdy chłopak odpowiadał, wskazując gazetę:

– A-athletic, lwy.

Noah się uśmiechnął i pokiwał głową, zaskoczony tym, że drużyna z Bilbao, podobnie jak zespół z Glasgow, jest znana jako „lwy”.

Nie miał czasu, żeby coś powiedzieć, bo Maite wyszła przez boczne drzwi, za którymi znajdowała się kuchnia, i zwróciła się do chłopaka:

– Dziękuję, Rafa. Nawet nie wiesz, jak jesteś pomocny. – Wzięła od niego torbę. – Masz ochotę na moszcz?

Chłopiec przytaknął, patrząc na monetę, którą Maite wsunęła w jego dłoń. Wtedy Noah zobaczył, że grupka Irlandczyków, z którymi pił Murray, wychodzi z baru. Wymamrotał przeprosiny, położył na kontuarze kilka monet i wyszedł za nimi.

Wszelkie trudności, jakie mogły się wiązać ze śledzeniem ich po pubach w Glasgow, w Bilbao nie miały racji bytu. Ulica była pełna ludzi, niczym w święto dzielnicy, choć przeważali mężczyźni, w grupach lub pojedynczo. Natychmiast zrozumiał, że te niewielkie szklaneczki, w których mieściły się ledwie dwa łyki wina (i które nie bez przyczyny zwano *txikitos*, czyli małe), stanowiły centralną oś życia towarzyskiego i za sprawą rozmiaru nie pozwalały ludziom siedzieć zbyt długo w jednym barze. Zamawiali kolejkę, chwilę rozmawiali i po paru minutach kończyli picie. Wychodzili na ulicę i pokonywali spokojnie kilka metrów, jakie dzieliły ich od następnego lokalu. Zauważył, że ci, którzy chodzili w grupach, na zmianę płacili za kolejki i byli na ogół bardziej towarzyscy niż Szkoci. Śmiali się i rozmawiali, niektóre grupki śpiewały *coplas* na ulicy, a nawet w barach. Ale byli także samotni mężczyźni, bardziej w stylu Glasgow. Wchodzili do lokalu, opierali

się o kontuar i rzucali na niego kilka monet, w niektórych przypadkach nie zamieniając z nikim słowa. Noah zaczął rozumieć, że to taki zwyczaj, sprawa kulturowa.

Grupka Michaela zatrzymała się w barze wychodzącym na plac Unamuno, który od baru Maite dzieliło zaledwie pięćdziesiąt metrów. Jakakolwiek uwaga, jaką mogli zwrócić na Noaha, rozmywała się w tłumie klientów w każdej tawernie. W jednym z lokali doszło do małej awantury, kiedy właściciel wyszedł zza kontuaru i pięściami zaczął walić w drzwi toalety, krzycząc do tego, kto był w środku, żeby natychmiast wyszedł.

Noah spojrzał pytająco na swojego sąsiada przy kontuarze.

– Ćpuny – wyszeptał tamten z pogardą. – Chodzą do kibla, żeby się szprycować. Kilka dni temu jeden taki został znaleziony martwy w toalecie baru Las Cortes. To istna plaga.

Po wyjściu z lokalu Irlandczycy weszli w sąsiednią wąską uliczkę, która prowadziła w głąb starego miasta. W ciągu następnych dwóch godzin odwiedzili osiem różnych barów, w każdym zamówili kolejkę wina. Kiedy dotarli do trzeciego, Noah miał już opracowaną technikę, żeby pozostać niezauważonym. Nie podnosząc zanadto głowy, kładł na kontuarze odliczoną sumę za wino i mamrotał „czerwone”, co przyuważył u innych. W każdej tawernie barman nalewał *txikito* do jednej z tych małych szklaneczek; Noah zaobserwował, że w większości przypadków między jednym klientem a drugim płukano je tylko wodą. Ilość była zawsze podobna, zaledwie na dwa palce, ale jakość wina się zmieniała. Pierwsze, w barze Casino u Maite, wydało mu się przyzwoite, nie był jednak pewien, czy to z racji tego, że nie jest przyzwyczajony do picia wina, czy z uwagi na to, że jego jakość pogarszała się, w miarę jak odwiedzał kolejne bary, w każdym razie każde kolejne smakowało mu bardziej cierpko. Początkowo obawiał się, że zwrócą na niego uwagę, ale szybko zdał sobie sprawę z tego, że pijący pokonują prawie tę samą trasę – w wielu barach spotykał mężczyzn, których widział w poprzednim lokalu. Mimo to, i żeby nie rzucać się w oczy, postanowił nie wchodzić do kilku

z nich i tylko czekać przy wejściu do kolejnego baru, który w większości przypadków od poprzedniego dzieliła jedynie ściana.

W jednym z lokali Murray i grupka Michaela zamówili posiłek. Małe porcje, które podawano w parujących glinianych naczyniach i którymi się ze sobą dzielili. To nie był zły pomysł. Noah od południa nie miał niczego w ustach, ale zauważył także, że mężczyźni, którzy pili sami, nigdy nie zamawiali jedzenia. Tak samo jak w Glasgow.

Mimo że wypił niewiele, a porcje wina liczyły zaledwie parę łyków, to pojawiły się skutki, których nie przewidział. W brzuchu narastał tępy ból i paliło go tak, jakby połknął wybielacz. Czuł się źle. Buty znowu go uciskały, a chęć oddania moczu stała się przemożna. Odetchnął z ulgą, widząc, że kelner stawia przed grupą Murraya talerz ze smażonymi kalmarami. Modląc się o to, żeby nie wyszli podczas jego nieobecności, nie miał innego wyjścia, jak udać się do toalety. Zmarszczył nos, przekonawszy się, że pisuary w barach Bilbao są tak samo obrzydliwe jak te w Glasgow. Naznaczony odpryskami kibel z poźółkłej porcelany był niczym więcej jak dziurą w podłodze, a wokół kłębiła się pełna zarazków masa, mieszanina trocin i moczu, w której grzęzły mu buty. Nie było lustra, ale mógłby przysiąc, że miał rozpaloną twarz. W dwóch kolejnych barach tylko udawał, że pije, ledwie mocząc usta, lecz zgaga, ból żołądka i zawroty słowy bez przerwy narastały.

Około wpół do jedenastej Noah zauważył, że na ulicy jest mniej ludzi. Prawdopodobnie dlatego, że poszli do domu na kolację. O jedenastej, po tym, jak podążał za nimi do dziesięciu barów na tej samej ulicy, mężczyźni zatrzymali się przy drzwiach ostatniej tawerny, żeby się pożegnać.

Noah wtopił się w tłum ludzi rozmawiających przy drzwiach innego baru, kiedy zobaczył, jak wychodzą. Gawędzili przez kilka minut, aż w końcu Irlandczyk imieniem Michael i ten drugi, poważniejszy, skierowali się w górę ulicy, gdzie stał Noah. Murray ruszył w przeciwnym kierunku, wracając tam, skąd przyszedł. Noah pospieszył za nim, czując, jak brzegi butów gryzą jego spuchnięte kostki. Murray dotarł na plac Unamuno, niedaleko pensjonatów, ale poszedł dalej ulicą w dół, okrążając plac Nueva, aż wyszedł na Arenal. Klientela, której w barach było coraz

mniej, najwyraźniej nie kierowała się tymi samymi zasadami co w kawiarniach i restauracjach przy promenadzie, bo te tętniły życiem tak samo jak rano.

Wszedłszy na główną arterię, Murray szybko zanurzył się w ludzką falę i przez kilka chwil Noah myślał, że stracił go z oczu, aż zauważył go ponownie, jak idzie pospiesznie obok kościoła Świętego Mikołaja. Przyspieszył więc kroku i znalazł się prawie za jego plecami, akurat w chwili, gdy Murray wyjmował z kieszeni brelok z kluczykami i nachylał się, żeby otworzyć drzwi pojazdu zaparkowanego tuż przy bocznej ścianie świątyni. Noah cofnął się na główną ulicę, sprawdzając kierunek ruchu i upewniając się, że Murray będzie musiał wyjechać w tym miejscu, gdzie on się znajdował. Szybko przeanalizował nową informację. Miał pojazd. Jakżeby inaczej. Jeśli John Murray to Biblijny John, samochód był mu niezbędny do działania.

Noah zawrócił, dysząc. Twarz mu płonęła, jakby zasnął na słońcu. Ból stóp go wykańczał, czuł, że pasek wbija mu się w biodra, dociskając broń do jego ciała; oprócz tego wracała nagła potrzeba oddania moczu. Patrząc, jak Murray manewruje pojazdem, żeby powoli dojechać do wylotu ulicy, Noah pospieszył w stronę stojących przy chodniku taksówek. Otworzył drzwi pierwszej na postoju naprzeciwko teatru Arriaga.

– Niech pan jedzie za tym samochodem.

Taksówkarz popatrzył na niego uważnie: zaczerwieniona i spocona twarz, nieświeży oddech, angielski akcent i wymowa, która z pewnością została znacznie zaburzona przez wino.

– Nigdzie cię nie zawiozę, przyjacielu – odpowiedział taksówkarz. – Wracaj do domu i wytrzeźwiej – dodał, nachylając się w jego stronę, żeby chwycić za klamkę. Zatrzasnął drzwi przed skrzywioną twarzą Scotta Sherringtona, który jednak nie zamierzał się poddawać i ponownie się nachylił, żeby powiedzieć przez otwartą szybę:

– Nie jestem pijany.

Kiedy to mówił, uświadomił sobie, że jednak owszem, jest pijany, a przynajmniej na takiego wyglądał, ale oprócz tego jest bardzo chory. Stał tam i patrzył, jak samochód Murraya włącza się do ruchu i przejeżdża przez most obok teatru w kierunku dzielnicy Abando.

⁶ Arenal od arena, czyli po hiszpańsku „piasek”.

⁷ *Chiquito* (wym. czikito; po baskijsku *txikito*) – tu: młode, najtańsze czerwone wino; *especial* to wino lepszej jakości (na przykład *crianza*), a zatem droższe.

Biblijny John

Jechał oświetloną pustą aleją. Był spokojny. Po zrobieniu tego zawsze był spokojny. Miał świadomość, że nie powinien dać się ponieść temu przyjemnemu uczuciu, dopóki nie dokończy pracy. Obejrzał się za siebie, żeby zerknąć na bezkształtną wypukłość, jaką tworzyło ciało martwej kobiety pod kocem. Nie miał czym się przejmować, Bilbao mu sprzyjało. Włożył rękę do kieszeni, by dotknąć gładkiej satynowej wstążki Lucy. Natychmiast poczuł się lepiej. Opuścił szybę i wciągnął w nozdrza zapach miasta. Rdza, ścieki, dym z kominów i lekko słonawa woń przemieszczały się w górę rzeki. Wystawił przez okno lewą rękę i kiedy przyspieszył, poczuł, jak cuchnące powietrze pieści jego skórę; w przyływie optymizmu włączył radio i pogłośnił, pozwalając, żeby piosenka Davida Bowiego uwydatniła jego pewność siebie. Ponownie pogładził wstążkę Lucy i nagle znowu zaczął o niej myśleć.

Chłopiec

Chłopiec szedł przez las, dźwigając na plecach tornister. Musiał się pospieszyć, bo tego popołudnia ogromna masa wody znad oceanu miała zalać wzgórze, czyniąc drogę nieprzejezdną. Wiosną, kiedy często padał deszcz, wszystkie zbocza w pobliżu jeziora pokrywały się licznymi kaskadami, źródłami i strumykami, które płynęły w stronę Katrine. Droga z ubitej ziemi, która przebiegała wzdłuż brzegu i prowadziła do jego domu, była wtedy zalewana i do Harmony Cottage można się było dostać jedynie przez las, przemierzając obszar zalesionych *glens* w Trossachs, gdzie nadal płynęły liczne strumyki, wciśnięte między skały i mech. Chłopiec uwielbiał mieszkać nad jeziorem. Raz, kiedy był mały, zapytał swoją matkę, dlaczego nie mieszkają w jednym z tych domków w centrum miasteczka. Odpowiedziała mu: „Wstyd mieszka na peryferiach”. Wtedy tego nie zrozumiał, ale było mu wszystko jedno, bo lubił tu mieszkać. Jezioro wyglądało pięknie przez cały rok, z wyjątkiem bezksiężycowych nocy, kiedy odrobinę się bał. Jego ulubioną porą roku było lato, ponieważ mogli wtedy pływać w jeziorze, nawet do wczesnej jesieni. Później wody robiły się ciemne i zimne, jakby z ołowiu, ale najbardziej niebezpieczne stawały się wiosną. Liczne burze, które napływały znad Morza Północnego, burze, które lasy Trossachs przyciągały jak magnes, w ciągu jednej nocy potrafiły zmienić całą okolicę wokół jeziora, zsuwając do niego strome zbocza i grzebiąc na dnie stuletnie drzewa zakopane w szlamie. Parowy zapełniały się wodą i staczały ze wzgórz tysiącletnie skały, tworząc słynne samotne jeziora typowe dla tych okolic, z dziesiątkami nowych *lochs* i ich licznymi odnogami, formując i zatapiając małe wysepki.

Chłopiec wspiął się kawałek po wzgórzu, żeby przejść nad wzburzonym strumieniem w jego najwęższym miejscu, między dwiema dużymi skałami. Uwielbiał zapach lasu po deszczu. Mokre drewno, zielony mech, srebrzyste porosty, które pokrywały skały i północną część kory drzew. Zapach był mineralny, mocny i świeży. Teraz nie padało, ale delikatny wiatr, od czasu do czasu poruszający koronami drzew, zrzucił na chłopca srebrzyste krople, które do tej pory utrzymywały się na liściach.

W oddali rozległ się grzmot. Chłopiec podniósł głowę. Lucy Cross czekała tam na niego.

– Cześć – odezwała się nieśmiało.

Przez całe lata wielokrotnie będzie sobie przypominał ten moment. Gdy go analizował, wiedział, że na jej widok poczuł się szczęśliwy. Jakże mogło być inaczej, skoro ją kochał.

Był pewien, że się uśmiechnął, i niewykluczone, że właśnie to zachęciło dziewczynę, by do niego podeszła.

– Nie wiem, o co ci chodzi, nie wiem, dlaczego jesteś taki zły, ale ja ci nie wierzę, Johnny Clyde.

Chłopiec patrzył na nią zauroczony. Część rudych włosów miała związaną lśniącą czerwoną wstążką, wyglądała tak ładnie! Zaczerpnął głęboko powietrza wokół niej. Brakowało mu jej zapachu, woni herbatników i róż. Uśmiechnął się.

Lucy Cross zrobiła kolejny krok.

– Nie mogę uwierzyć, że mnie nienawidzisz, ale nawet jeśli tak jest, nie obchodzi mnie to, bo ja cię kocham, Johnny Clyde.

Chłopiec nie mógł się ruszyć, nie chciał się ruszyć, ale nie było to potrzebne, ona podeszła jeszcze bliżej, aż ich ciała się dotknęły, i wtedy go pocałowała. Kiedy w przyszłości będzie to wspominał, w sposób nieunikniony przyłoży do ust dwa palce. Jej usta były ciepłe, kontrastowały z chłodem lasu. Stał bardzo spokojnie, jakby się obawiał, że jeśli się poruszy, magia tego pocałunku zniknie, a jednocześnie w jego głowie huczały cztery słowa: „Ja też cię kocham”.

Ofiara

Najpierw usłyszała muzykę w radiu. David Bowie śpiewał *Let's Dance*. Miała nawet czas, żeby pomyśleć o tym, jak bardzo lubi tę piosenkę, zanim poczuła słodko-kwaśny zapach wymiocin, które zsuwały się jej po policzkach i ściekały po szyi i nagich ramionach niczym ciepła zupa. Otwierała usta w poszukiwaniu powietrza i zrozumiała, że jeśli znowu chce oddychać, najpierw musi połknąć wszystko, co jeszcze nie wyszło z jej ust. To było jak połykanie szkła. Poczowała intensywne pieczenie w brzuchu, tam gdzie ją uderzył, i znowu ogarnęły ją mdłości, ale to nic w porównaniu z bólem szyi i gardła. Otworzyła oczy i przez szorstki materiał przykrywającego ją koca dostrzegła coś w rodzaju świecących spodków, które po kolei przelatywały nad jej głową. Spróbowała poruszyć rękami i przekonała się, że prawe ramię jest uwięzione pod jej ciałem, prawdopodobnie zwichnięte.

Mogła nawet wyczuć spuchniętą wypukłość, jaką tworzyła kość przyciśnięta do tylnego siedzenia pojazdu. Poczowała wilgoć, która spłynęła jej między nogami, a teraz zaczynała się robić zimna, sygnalizując swoją obecność. Świadoma każdego otrzymanego ciosu, czuła się poobijana, zmęczona i bardzo smutna. W jakiś sposób wiedziała, że umiera, i to wywołało w niej głęboki żal, nieznośne poczucie straty, wstydu i urazy. Pod lewym ramieniem poczuła chropowatość dywaników. Podniosła rękę, szukając swojej twarzy: była spuchnięta, lepka od krwi, smarków i łez. Przerazona zaczęła macać niezdarnymi palcami, aż natrafiła na materiał zawiązany wokół szyi i nawet rozpoznała gładką satynę apaszki, którą tego wieczoru założyła w charakterze ozdoby. To jedyna część ubioru, jaką na sobie

miała. Poza tym była naga. Poczwała obecność swoich ubrań upchniętych na podłodze obok siebie oraz pasek torebki wżynający się w jej skórę. Odrzuciła koc z twarzy i przekonała się, że świecące spodki, które latały nad jej głową, to w rzeczywistości światła latarni przy alei oświetlające przejazd samochodu, którym mężczyzna, uznawszy ją za martwą, wiózł jej ciało. Z miejsca, gdzie miała głowę, widziała sufit, część szyby i płaską klamkę drzwi. Próbowwała przekręcić szyję, lecz wtedy poczuła szarpnięcie za włosy.

Odczuwała taki żal, taki smutek z powodu własnej śmierci, że ledwie zdołała powstrzymać płacz. Pomyślała o domu rodzinnym. O swojej młodszej siostrze, z którą dzieliła pokój, i o tym, jak za każdym razem, gdy ona wychodziła, dziewczynka zostawiała na jej łóżku jednego ze swoich pluszaków, czekając na nią. Wiedziała, że już nigdy więcej jej nie zobaczy, i to zasmuciło ją tak bardzo, że jej umysł popłynął do domu, do tortilli ziemniaczanej przykrytej talerzem, którą jej matka zostawiła na kuchence, żeby zjadła coś po powrocie, do zapachu fajki ojca, który przysypiał przy włączonym radiu, aż słyszał, że ona nadchodzi. Myśl o nich uzbroiła ją w odwagę, która wydawała jej się niemożliwa do wykrzesania. Podniosła prawą rękę, aż dotknęła płaskiej klamki drzwi, wsunęła palce pod spód i pociągnęła z całej siły. Nic się nie wydarzyło. Drzwi pozostały na swoim miejscu. Być może mężczyzna, który miał ją dobić, zabezpieczył je, zamykając od zewnątrz. Z zamglonym od płaczu i ciosów wzrokiem zacisnęła powieki i pociągnęła ponownie. Zauważyła delikatny ruch i otworzyła usta, szukając powietrza, gdy dotarło do niej, że nie są to drzwi zatraskiwane, tylko jedne z rodzaju tych przesuwanych na bok. Popchnęła je delikatnie, a drzwi cicho i powoli przesunęły się w kierunku tylnej części pojazdu, pozwalając, żeby chłód nocy zabrał smród wymiocin oraz krwi i zmierzwił jej włosy. Z cieniem uśmiechu opuściła bezwładnie rękę, wystającą teraz z pojazdu, tak samo jak jej długie włosy, które wcale nie były uwięzione pod jej ciałem, lecz przytrzaśnięte przez drzwi. Poczwała ogromne szczęście, niezmierną wdzięczność za to, że może gładzić powietrze swojego miasta, które pachniało rdzą i obietnicą deszczu; za to, że dostała ten ostatni ślad życia. Przeniosła rękę na leżący obok niej stos ubrań, pociągnęła za

pasek małej czerwonej torebki, uniosła ją na wysokość twarzy i wyrzuciła z pojazdu. Drzwi przesunęły się do końca z głośnym trzaskiem. Samochód się zatrzymał. Nie mogła powstrzymać jęku bólu, gdy poczuła, jak jej całe ciało naciska na opuchnięte ramię. Zaczęła płakać.

Pijak

Juanito Mendi był pijakiem. Był również, razem ze swoim bratem, spadkobiercą jednego z najważniejszych przedsiębiorstw żeglugowych w porcie w Pasaia. Jego rodzina zbudowała imperium na statkach przeznaczonych do połowu dorsza, które wypływały na północnowschodni Atlantyk. Saturnino Mendi, „Stary”, owdowiał w dniu, w którym urodził się Juanito, i od tego momentu wychowywał swoich dwóch synów taką samą twardą ręką, zgodnie z takim samym etosem pracy i z taką samą rozwagą, z jakimi stworzył fundamenty swojej firmy. Kiedy uznał, że są już w odpowiednim wieku, powierzył im kierowanie różnymi działami przedsiębiorstwa, z nadzieją, że czegoś się nauczą. Ale bracia Mendi bardziej interesowali się tym, co było na dnie kieliszka, niż zajmowaniem się tak ważną dla historii miasteczka firmą. Saturnino mawiał, że nie mieli honoru, godności ani poczucia własnej wartości. Niekiedy mówił rzeczy jeszcze gorsze. Nawet w czasach, kiedy widok pijanych mężczyzn na ulicy był czymś normalnym, pijaństwo Mendich stało się obiektem żartów w Pasaia i przynosiło wstyd ich ojcu. Rybacy, którzy nie mieli nawet śmiałości, by witać się ze „Starym”, w barach drwili sobie z jego synów, nie mogąc pojąć, dlaczego te bogate dzieciaki mają potrzebę szukania pocieszenia na dnie butelki. Pijaków Mendich nie było już dwóch. Juanito Mendi pochował swojego brata poprzedniej wiosny, a dwa dni później jego ojciec wydziedziczył go już po raz dwudziesty. Zawsze wyglądało to tak samo. Saturnino Mendi wrzeszczał, obrażał, wychodził z siebie, przeklinając chwilę, w której syn przyszedł na świat, odbierając życie jego ukochanej żonie. „Wykrwawiła się na śmierć”, zawsze powtarzał.

Później wybuchał płaczem, padał na kolana przed zakałą, jaką był jego syn, i wypowiadał najokrutniejsze słowa: „Jesteś śmieciem”. Juanito Mendi, „Pijak”, nie odzywał się słowem. Składał dłonie, jakby się modlił, jakby otaczała go oaza spokoju, pozwalając sobie nawet zamknąć oczy. Wiedział, że ojciec nie cierpi, kiedy on tak robi. Ale Juanito nie mógł zrobić nic więcej. Podnosił się i wychodził, jak zawsze zdeterminowany, by już nie wracać.

Jakiś czas temu znudziło mu się San Sebastián, pełne zamożnych ludzi z Madrytu i dżentelmenów. Dla niego to przewrażliwiona mieszanka świętoszkowatych hipokrytów i dobrze ubranych dziwkarzy. Uciekając od tego wszystkiego, nabrał zwyczaju jeżdżenia z jednej fiesty na drugą. To powszechna praktyka wśród włóczęgów, kieszonkowców i pijaków. Juanito Mendi był pijakiem, ale nie spał na ulicy, nie był bezdomny. Lubił o tym myśleć, wyobrażał sobie, że w jakimś sensie przydawało mu to godności. Dzięki niewielkiej comiesięcznej kwocie, której ojciec jeszcze go nie pozbawił, mógł opłacić nędzny pensjonat, a resztę przeznaczał na alkohol. Mimo to na ulicy spędzał wiele godzin. Wcześniej, kiedy jeszcze mieszkał w Pasaia, zwykle pił w barach, ale odkąd wiódł nowe życie, zamienił kieliszek na picie prosto z butelki. W ciągu dnia szukał najczęściej spokojnej ławki gdzieś w cieniu, gdzie nie było dzieci. Wieczorami wolał okolice, w których odbywały się imprezy pod gołym niebem, albo takie blisko głównych alei. Juanito „Pijak” wiedział, że niebezpiecznie jest oddalać się od ochrony, jaką zapewniają latarnie, bo pierwsza lepsza grupa okrutników mogła spuścić mu łomot i wrzucić go do rzeki. Ostatnią godzinę spędził, siedząc na trawniku, osłonięty kwitnącym krzewem, i opróżniając ostatnią butelkę tego dnia. Było to spokojne miejsce, z dala od gwarne centrum i starego miasta. W najbliższym barze, w którym zwykle zaopatrywał się w wino, właśnie opuszczono roletę. Juanito Mendi pomyślał, że czas już wracać. Właśnie się podniósł, kiedy nagle z przejeżdżającego obok pojazdu, niemal tuż przy nim, ktoś wyrzucił małą czerwoną damską torebkę. Leżała na mokrej jezdni, bardzo blisko krawężnika. Nie przejeżdżał żaden inny samochód, więc Juanito wyszedł z krzaków i przystanął na chodniku, tuż obok torebki. Rozejrzał się w obie strony. Ulica była pusta. Wtedy

zauważył, że biały pojazd zatrzymał się jakieś dwadzieścia metrów dalej. Otworzyły się przednie drzwi i kierowca wysiadł. Juanito się nachylił, z trudem zachowując równowagę, złapał torebkę za pasek i podniósł ją, wyciągając rękę w stronę mężczyzny z samochodu. Jednak zamiast do niego podejść, facet tylko obszedł pojazd. Właśnie wtedy Juanito ujrzał rękę. Kobięcą rękę, bardzo bladą, przykurczoną, oraz długie ciemne włosy zwisające z pojazdu w sposób, który w tym momencie wydał mu się bardzo dziwny. Później, tej samej nocy, kiedy nie będzie mógł przestać o tym myśleć, dojdzie do wniosku, że kobieta musiała leżeć na podłodze samochodu, by jej włosy mogły tak zwisać. Kierowca wepchnął rękę kobiety do środka i zebrał włosy, jakby chodziło o jakiś ładunek. Zasunął tylne drzwi i spojrzał na Juanita Mendię, który – nawet w stanie nietrzeźwości – zrozumiał, że sytuacja jest niebezpieczna. Trwało to może parę sekund, w trakcie których kierowca oceniał, czy warto przebiec tych dwadzieścia metrów, jakie ich dzieliły. Wreszcie, wykonawszy gest, którym ocenił osobnika, mężczyzna wrócił do auta i pojechał dalej. Juanito Mendi, „Pijak”, widział ten gest już wiele razy wcześniej: gest głębokiej pogardy, jakby mówił: „E tam, jesteś tylko zwykłym pijakiem, kawałkiem śmiecia”.

Otworzył torebkę i sprawdził jej zawartość: dowód osobisty, szminka, jakieś dziewczynskie rzeczy, dwieście peset w banknotach i dwadzieścia pięć w monetach. Wziął pieniądze, schował je do kieszeni, a potem, z największą ostrożnością, powiesił torebkę na kwitnącym krzewie po tej stronie, z której była widoczna z chodnika. Bo Juanito Mendi był pijakiem, ale nie był śmieciem.

Bilbao

Piątek, 19 sierpnia 1983

Noah nie wiedział, jak wrócił do pensjonatu. W głowie miał pustkę, która trwała od momentu, kiedy wśród płynnego nocnego ruchu stracił z oczu tylne światła pojazdu Murraya, do chwili, gdy pierwszy strumień wody na twarzy przeniósł go nagle do innej deszczowej nocy nad brzegiem jeziora Katrine.

Jak przez mgłę pamiętał, że wszedł do ciemnego, pogrążonego w ciszy pensjonatu, że dotarł do swojego pokoju, że zdarł koszulę z rozpalonej gorączką, zaczerwienionej skóry, że zwalczył impuls, by rzucić się na łóżko, na którym następnego dnia znaleziono by go martwego, i że myśl w jego głowie, niczym pilny rozkaz, krzyczała, że za wszelką cenę musi zbić gorączkę i ugasić pragnienie. Zataczając się, jedynie w spodniach i w butach, dotarł do łazienki na końcu korytarza. Zasunął zasuwkę i w samą porę uklęknął przed sedesem. Kleiste i ciemne wymiociny przypominały krew, ale cuchnęły octem. Chwilę trwało, zanim zdołał się podnieść. Odkręcił wodę pod prysznicem i usiadł na krawędzi wanny, żeby zdjąć buty. Węzeł sznurówek był sztywny i ciasny z powodu opuchniętych stóp. Próbował je zdjąć, po prostu za nie ciągnąc, udało mu się tylko z jednym, bo kiedy podniósł drugą nogę, stracił równowagę i wpadł do wanny, uderzając barkiem o krawędź wnęki przeznaczonej na mydło. Nawet w takich okolicznościach miał świadomość, że mało brakowało, by się zabił. Pomyślał o komizmie śmierci – po wszystkich swoich zmartwieniach związanych z możliwością, że jego serce zatrzyma się w dowolnej chwili, o mały włos nie

skręcił karku w wannie w podrzędnym hostelu. Strumień wody uderzył go w twarz; podróż do tamtej nocy była tak szybka i przerażająca, że zmusił się do otwarcia oczu, by mieć pewność, że nadal żyje.

Nie sposób stwierdzić, jak długo tak trwał, rozwalony w wannie, wciąż mając na sobie spodnie i jeden but. Od czasu do czasu otwierał usta, by napełniły się ciepłą wodą, którą połykał z trudem, próbując zregenerować się od środka. Mógł tak leżeć tylko kilka minut albo parę godzin, jak następnego dnia będzie zapewniać właścicielka pensjonatu. I chociaż obiecał samemu sobie, że pod żadnym pozorem nie zamknie oczu, w którymś momencie musiał to zrobić. Zasnął. Obudziła go zimna, wręcz lodowata woda. Oszołomiony, zdołał rozpoznać – ze względu na wyblakłe zielone płytki – że wciąż jest w pensjonacie, i w tym momencie zgasło światło. Trwał tak, z otwartymi w ciemności oczami, pozwalając, by lała się na niego lodowata woda, aż zebrał dość sił, żeby wstać. Wyciągnął jedną nogę, tę, która wciąż tkwiła w bucie, i nachylił się, żeby poszukać włącznika światła. Na darmo. Prąd wysiadł wszędzie. Wrócił do poprzedniej pozycji, pod strumień wody. Wszystko tak samo jak w Glasgow, pomyślał.

Nie lubił ciemności, musiał jednak przyznać, że lodowata woda uśmierzyła palenie skóry, ucisk za oczami, a on nawet – znajdując się w pozycji pionowej i po ciemku – odzyskał poczucie równowagi. Po upływie kilku minut, kiedy jego wzrok przyzwyczaił się do mroku, dostrzegł delikatną smugę światła, która malowała się pod drzwiami. Skoncentrowany na tej małej ostoi bezpieczeństwa, pozostał pod strumieniem prysznica, pozwalając, żeby woda oczyściła go niczym podczas chrztu w rzece Jordan.

Smok oddychał. Jego oddech brzmiał jak szelest poliestru. Otworzył oczy i pierwszym, co zobaczył, była spuchnięta opłucna bestii, która ziewała ze środka patio, nadymając wszystkie zasłony. Leżał tak przez kilka sekund, uwięziony w rytmie wdechów i wydechów, które tarposiły zasłony według własnego upodobania – zwracając je do pokoju lub zasysając w stronę patio. Było bardzo widno. Podniósł rękę, żeby sprawdzić godzinę na swoim zegarku. Przeszywający

ból wstrząsnął jego ramieniem w miejscu, w którym się uderzył, i niemal w tej samej chwili z tranzystora sąsiada z parteru rozbrzmiał sygnał radia, obwieszczając trzecią po południu.

Bardzo chciało mu się pić. Przełknął ślinę i przyłożył dłoń do piersi, by posłuchać serca. Wciąż tam było – mimo wszystko. Usiadłszy, ściągnął brwi i westchnął zniesmaczony, gdy zobaczył, że nadal ma na sobie spodnie i buty, z powodu którego o mało nie umarł. Za pomocą palców drugiej nogi zdołał teraz bez wysiłku zdjąć go ze stopy, z której zeszła już opuchlizna. Rzut oka na stolik nocny przypomniawszy mu, że nie był w tak fatalnym stanie, żeby zapomnieć o lekarstwach. Fiolka z diuretykami była przewrócona, a zakrętka, której nie dał rady założyć z powrotem, leżała obok buteleczki z naparstnicą. Tabletki z nitrogliceryną wciąż były nietknięte. Włożył do ust dwa diuretyki i popił je łykiem mikstury, pociągając prosto z butelki. Odczekał parę minut ze wzrokiem utkwionym w opłucną smoka, po czym wstał. Zdjął z siebie jeszcze wilgotne ubranie, przeglądając się w lustrze. Wróciły worki z pierwszych dni pobytu w szpitalu: spuchnięte, w kolorze między różowym a czerwonym, idealnie rysowały się pod jego oczami. Bładość i trzydniowy zarost na pewno mu nie służyły. Przejrzał skromną zawartość kosmetyczki, przypominając sobie, że musi kupić środki higieny osobistej, żyletki, by mógł się ogolić, oraz kilka butelek wody, żeby nie musiał pić prosto z tego zardzewiałego kranu.

Ach, i koszulę, pomyślał, odsuwając stopą dwa guziki, które odpadły od tej, którą poprzedniej nocy z siebie zdarł. Owinął się ręcznikiem i rozejrzał po pokoju, oceniając, co może zobaczyć właścicielka pensjonatu, kiedy przyjdzie zaścielić łóżko. Do kosmetyczki wsadził pistolet, portfel z odznaką, pieniądze i lekarstwa. Potem wyszedł na korytarz. Musiał przyznać rację tej kobiecie – goście Gwiazdy byli tak dyskretni albo tak wcześnie wstawali, że dotąd nie spotkał jeszcze żadnego z nich.

Nawet minutę nie stał pod strumieniem prysznica, kiedy znowu zgasło światło. Może dlatego, że wiedział, iż jest dzień, albo dlatego, że był o wiele bardziej świadomy, tym razem mu to nie przeszkadzało. Przeszkadzało mu natomiast to, że

po chwili z rur popłynęła lodowata woda. Niska temperatura prawdopodobnie uratowała go poprzedniej nocy, ale teraz bolało go całe ciało, czuł się poobijany, jakby spuszczone mu łomot, miał zakwasy w każdym mięśniu i wiedział, że tylko ciepło mogłoby przynieść mu nieco ulgi.

Właścicielka zaczęła walić w drzwi.

– Panie Scott, proszę natychmiast stamtąd wyjść! – krzyknęła autorytarnie. – Powiedziałam panu bardzo wyraźnie: dwa prysznice w tygodniu. I oczywiście nie może pan za każdym razem spędzać tam dwóch godzin.

Po tej tyradzie znowu zaczęła łomotać w drzwi w sekwencji po siedem uderzeń, które Noah rozpoznał jako charakterystyczny sposób stukania stróżów prawa. Tylko brakowało, by na koniec zakrzyknęła: „Policja!”. Przez to, że wrzaskom towarzyszyły serie uderzeń, Noahowi było bardzo trudno zrozumieć, co mówi kobieta. Coś o kosztach ciepłej wody.

Scott Sherrington patrzył z niedowierzaniem w stronę drzwi. Światło się zapalało i gasło, na powrót się zapalało i na powrót gasło, i wtedy ustalił, że to właścicielka pensjonatu włącza i wyłącza je z zewnątrz. I prawdopodobnie to ona odcięła prąd minionej nocy. Wreszcie włączyła je na tyle długo, że Noah zobaczył, jak drzwi trzęsą się wraz z każdym ciosem zadawanym z drugiej strony, i pomyślał, że to niemożliwe, by waliła gołymi rękami.

Zamknął oczy, próbując uporządkować myśli. Ból ramienia narastał pod strumieniem zimnej wody, a wizje z koszmarów wracały z całą mocą za każdym razem, gdy gasło światło.

– Proszę pani, niech mnie pani posłucha: jestem bardzo chory, musi pani przywrócić ciepłą wodę, inaczej nie będę mógł stąd wyjść – powiedział w stronę drzwi.

Kobieta jednak dalej krzyczała i waliła, jakby go nie usłyszała.

Noah spróbował zaczerpnąć głębszy oddech, lecz okazało się to niemożliwe.

– Proszę – usiłował podnieść głos, który wyszedł z jego gardła zduszony.

W odpowiedzi pojawiła się kolejna seria uderzeń.

Czuł, że puls mu przyspiesza, w miarę jak rośnie panika. Był o krok od zawału. Spróbował połknąć trochę wody, chcąc oczyścić gardło, ale ucisk w klatce piersiowej był zbyt silny i chociaż w żołądku nie miał niczego prócz lekarstw, które dopiero co połknął, miał pewność, że zaraz zwymiotuje, a jeśli to zrobi, zwróci własne wnętrzności i swoje serce, które biło nieregularnie, naciskając na przełyk i tchawicę, jakby zamierzało wyjść przez usta. Zaczął się trząść, a oczy napełniały mu się palącymi z przerażenia i czystej złości łzami.

– Niech pani posłucha, porozmawiamy, jak stąd wyjdę – próbował negocjować.
– *I'm sick. I'm not feeling well, I need a few minutes.*

– Wszystko mi jedno, co tam pan sobie gadasz! Niczego nie rozumiem! Nie rozumiem! – wrzasnęła.

Odezwał się po angielsku? Pewnie tak, choć nie był pewien, trudno mu było jasno myśleć. Chciał tylko, żeby wróciło światło, żeby ustało walenie w drzwi, żeby kobieta przestała krzyczeć i żeby znowu mógł oddychać.

– *I'm sick...* – powtórzył, dysząc, tym razem już w pełni świadomy, że powiedział to w ojczystym języku.

– Niczego nie rozumiem, jak mam to panu powiedzieć? Nie rozumiem pańskiego języka! – krzyknęła, znowu łomocząc w drzwi.

Trzęsąc się, wyszedł z wanny. Po omacku wyciągnął z kosmetyczki portfel i wyjął z niego duży banknot; w ciemności nie dało się dojrzeć nominału. Ostatkiem sił rzucił się z pięściami na drzwi, sprawiając, że zarówno walenie, jak i krzyki z drugiej strony natychmiast ustały. Nachylił się i przesunął banknot pod spodem. Zwinne palce właścicielki pensjonatu pociągnęły za drugi koniec.

– *You know, what I mean now? Damn witch!* – krzyknął z całych sił.

Sekunda ciszy, dwie sekundy...

Światło wróciło jednocześnie z ciepłym głosem kobiety:

– Doskonale, panie Scott.

Nagi, dyszący i oparty o drzwi łazienki, Noah sięgnął po kosmetyczkę, która leżała na desce sedesowej, i wyrzucił jej zawartość obok siebie. Wziął fiolkę

z maleńkimi perłami w kolorze kości słoniowej, włożył pod język tabletkę z nitrogliceryną, po czym osunął się na podłogę. Czekał, próbując odciąć się od beznadziejnej scenerii wokół: zmięty ręcznik na posadzce, porozrzucana zawartość kosmetyczki, drzenie, które wstrząsało jego członkami, szczykowanie zębów oraz pewność, że zaraz umrze. Skupił się na przywołaniu informacji, jakie zapamiętał z ulotki tej trucizny, choć miał płonną nadzieję, że nigdy nie będzie musiał jej zażyć: rozluźnienie mięśni ścian naczyń krwionośnych, rozszerzenie naczyń żylnych i tętnicznych, naczynia krwionośne otwierają się, aby umożliwić przepływ krwi. Czekał i czekał, jedną minutę, drugą, aż powoli nadszedł spokój, niczym łagodna fala i jeszcze jedna, i jeszcze jedna. Strumień prysznicza znów parował, na długo przed tym, jak Noah był gotowy, by spróbować ponownie.

Po powrocie do pokoju przyjrzał się swemu odbiciu w lustrze – nie wyglądał wcale dużo lepiej niż przed prysznicem. Przeszło godzinę spędził w wannie, pozwalając, by ciepła woda złagodziła ból mięśni oraz uczucie odwodnienia, które powodowało, że jego skóra była tak napięta, iż w każdej chwili mogła pęknąć niczym szkielec martwej gąbki. Zrzucił ręcznik na podłogę i obserwował swoje ciało. Nigdy w życiu nie czuł się tak zmęczony, tak kruchy i bezbronny. Zmiękczone przez gorącą wodę mięśnie ciążyły mu, a mrowienie w nich przypominało zakwasy. Skóra, normalnie blada, była zaczerwieniona od gorąca, a tu i ówdzie wykwitły czerwone plamy niczym płatki kwiatów. Ciemnofioletowy siniak rozciągał się od górnej części prawej łopatki prawie do połowy pleców, w miejscu, w którym uderzył się poprzedniej nocy. A do worków dołączyło teraz podrażnienie oczu wywołane gorącą wodą. Cztery palce prawej dłoni położył na klatce piersiowej, niemal jakby się nimi osłuchiwał, i wyczuł regularny rytm maszyny życia. Spojrzał na trzy fiolki lekarstw, teraz ustawionych na półce nad umywalką, i końcem języka nieświadomie odszukał małą ranę, która powstała w miejscu, gdzie umieścił tabletkę z nitrogliceryną, tę niewielką trującą perłę, która dostarczyła mu chaotycznego, a zarazem przerażającego doświadczenia, ponieważ panika i poczucie pewności, że za chwilę umrze, stały się wyraźne w taki sposób, jakiego nie pamiętał ze swojego pierwszego spotkania z kostuchą nad jeziorem

Katrine. Jeszcze przez chwilę obserwował żalną postać w lustrze, w której nie zostało prawie nic z człowieka, jakim był zaledwie dwa tygodnie wcześniej. Zaciął usta i oczy, żeby powstrzymać płacz, ale łzy i tak wymknęły się spod powiek i popłynęły po twarzy. Ignorując je, nadal stał z zamkniętymi oczami, aż zupełnie zdusił szloch. Nie miał czasu na takie rzeczy.

Kiedy otworzył oczy, rozejrzył się przytłoczony – musiał stąd wyjść. Swoją przygodę z tanim winem z poprzedniego wieczoru o mało przypłacił życiem, ale oprócz tego stracił cenny czas. Musiał zadzwonić do sekretarki MacAndrews, kupić środki higieny osobistej, których potrzebował, i być gotowy, kiedy Murray wyjdzie z pracy – żeby ponownie go śledzić. Dzisiaj musiał zrezygnować z brytyjskich gazet, bo zrobiło się już późno. Lecz przede wszystkim nie czuł się na siłach, by w ogóle tam pójść. Będzie musiał uważać, bo tego wieczoru nie mógł pozwolić, żeby Murray uciekł mu sprzed nosa.

Włożył ostatnią czystą koszulę i wyschnięte spodnie. Przez otwarte na patio okno znowu dobiegł głos Ramóna Garcíi, prezentera odpowiadającego na prośby słuchaczy, którzy o tej porze dedykowali piosenki swoim przyjaciołom i krewnym. Nagle zaczął się zastanawiać, komu on zadedykowałby piosenkę. Jego rodzice nie żyli od dziesięciu lat, jedynym przyjacielem, jakiego mógł tak nazywać, był komendant Graham, a nawet mu nie powiedział, że wyjeżdża z kraju. Miał dziewczyny, ale w tak odległej przeszłości, że wydawało się, jakby w innym życiu. Z jedną z nich rozważał nawet możliwość założenia rodziny, żeby ktoś czekał na niego w domu. Kiedy jednak musiał dokonać wyboru między pozostaniem w Londynie a przeprowadzką do stolicy Szkocji, żeby tam kontynuować swoje śledztwo, nie miał żadnych wątpliwości. Ona też nie. Usłyszał pierwsze takty piosenki, o którą prosiło wielu słuchaczy, i zwrócił uwagę na tekst, kiedy Ramón García podał tytuł: *Poker para un perdedor* („Poker dla przegranego”).

Wzniosę toast za Ciebie,

Pamiętając, jak i kiedy odszedłem,

Jak łódź bez steru.

*Moja przeszłość zatoneła.
Z wczoraj nie zostało już nic,
Tylko gra do dokończenia,
Ten poker, który nigdy się nie kończy,
Poker dla dwojga, poker dla dwojga,
Poker dla przegranego.*

Wiedział, że podmiot liryczny przegra tę partyjkę, ale jego partyjka też dobiegała końca. Wtedy pomyślał, że najbardziej żałosne z tego wszystkiego nie jest wcale to, że nie ma komu zadedykować piosenki, tylko świadomość, że nikt nigdy nie poprosiłby o piosenkę dla niego.

Stojąc nieruchomo przed lustrem, przyjrzał się swojemu ubraniu. Koszula było nieco wygnieciona, ale kurtka dżinsowa wciąż prezentowała się dobrze i maskowała jego ogólny nieszczęsny wygląd. Odznakę i pieniądze schował do wewnętrznej kieszeni, a rewolwer umieścił przy prawej nerce. Popatrzył na fiołki z lekarstwami, zastanawiając się, jak je ze sobą zabrać. Ostatecznie postanowił zostawić buteleczkę z wyciągiem z naparstnicy, a do prawej kieszeni kurtki wsunął dwie drażetki diuretyku i jedną z tych trujących pereł, które dziś uratowały mu życie. Stwierdził, że bez wątpienia poczuje się znacznie lepiej, jeśli uda mu się coś zjeść i wypić mocną słodką kawę, może w barze na dole. Bezwiednie zaczął myśleć o tym, jak uśmiecha się Maite, co sprawiło, że uśmiech zakwitł także na jego ustach.

Jak gdyby z naprzeciwka wołał go jakiś głos, przejrzał się w lustrze i uśmiech zamarł mu na twarzy.

– Co ty, do diabła, robisz? – szepnął do mężczyzny w odbiciu. Tamten oddał mu zdumione spojrzenie, jednak pełne zrozumienia i cichych odpowiedzi, których Noah nie chciał słuchać. Niezadowolony mlasnął językiem i pokręcił głową.

Zszedł na dół, opierając się o ścianę i starając się nie dotykać balustrady. Mimo to nie mógł pozbyć się wrażenia, że nachylenie schodów w stronę otwartej przestrzeni zwiększyło się od poprzedniego dnia, że wyimaginowane urwisko,

które był w stanie dostrzec w ciemnej pustce, otwierało się ku nieskończonej otchłani, być może do trzewi smoka.

Po wyjściu na ulicę zmusił się do minięcia baru Maite, choć nie mógł się powstrzymać, by nie zajrzeć do środka; kątem oka dostrzegł ciemne włosy kobiety.

Co ty robisz? – zapytał ponownie głos w jego głowie.

Na ulicy Bidebarrieta znalazł męski sklep odzieżowy, gdzie zastał uprzejmego sprzedawcę. Mężczyzna początkowo nie miał zbyt przyjaznej miny, gdy zobaczył, jak Noah wchodzi do jego sklepu, lecz zmienił ją znacząco, przyjrząwszy się jego strojowi i doceniwszy jakość ubrań, jakie miał na sobie. Mimo że ich stan nie przedstawiał się najlepiej, wciąż zdradzały dobrą jakość. Noah kupił dwie pary spodni, pięć koszul, skarpetki, slipki, a także wystarczająco lekką kurtkę, żeby nie było mu gorąco, lecz na tyle dobrze skrojoną, by ukryć broń, z którą już nigdy nie zamierzał się z rozstawać. Przechodząc obok kiosku, między produktami dla palaczy zauważył małą srebrną piersiówkę, którą kupił, sprawdziwszy uprzednio, czy mieści się w wewnętrznej kieszeni kurtki. Na równoległej ulicy wszedł do sklepu obuwniczego Ayestarán i nabył dwie pary butów: mokasyny klasyczne i drugie, sznurowane z miękkiej skóry, które polecił mu sprzedawca. Zapytał też, gdzie może kupić środki higieniczne.

– Na tej ulicy jest kilka drogerii, a na końcu nabrzeża, niedaleko kościoła Świętego Antoniego, supermarket Simago. Ale jeśli pan tam pójdzie, to proszę nie zabawić zbyt długo, dziś będzie zamieszanie.

Noah nie rozumiał, o co chodzi z tym „zamieszaniami”, dopóki nie przeszedł się przez Siedem Ulic. Wszystkie równoległe, tworzyły zbiór wąskich i odrobinę nachylonych uliczek nazwanych w języku baskijskim w sposób, który wydał mu się dość skomplikowany i zawiły, ponieważ jedna od drugiej różniła się tylko jedną sylabą. Ich wyraźnie średniowieczny wygląd zdradzał, że pierwotnie stanowiły one architektoniczny załączek starego Bilbao. Na początku Barrencalle, ulicy, która biegła bardzo blisko katedry i kończyła się nad rzeką, zobaczył jasnobrązowe furgonetki policji blokujące dostęp do nabrzeża. Wyczuwało się nerwowy spokój, jak w jeden z tych letnich wieczorów, kiedy w powietrzu tuż przed burzą gromadzi

się elektryczność statyczna. Większość funkcjonariuszy zapewne siedziała w pojazdach, ale czterech policjantów wyposażonych w sprzęt do tłumienia zamieszek, łącznie z hełmami i tarczami, stało na straży przy wejściu na ulicę. O tej porze w okolicy było mnóstwo ludzi: kobiety, które wracały z zakupów obciążone torbami z Simago, grupki *txikiteros*, którzy zaczęli się zbierać na rundkę po barach, młodzi rodzice z dziećmi na rękach albo pchający wózki... Wszyscy przechodzili między policjantami, dzielnie, niemal prowokacyjnie pozorując normalność. Co najwyżej rzucali pogardliwe spojrzenia w stronę furgonetek, ale później szli bardzo blisko policjantów, jakby mieli ich za niewidzialnych lub udawali, że imponujący sprzęt do tłumienia zamieszek nie robi na nich żadnego wrażenia, i niezachwianie dalej zajmowali się swoim życiem.

Noah, który odbył służbę wojskową w Irlandii, natychmiast rozpoznał te same gesty, nerwowy spokój, pełne wzgardy spojrzenia cywilów, a nawet śmiały, bezczelny sposób, w jaki niektórzy przechodzili, muskając policjantów, demonstrując prawo do wolności, jakby swoim przejściem domagali się ulicy dla siebie, a jednocześnie podkreślali, że te ich hełmy, ich tarcze i ich broń są tutaj zbędne.

Na temat konfliktu baskijskiego wiedział tylko tyle, ile przeczytał w angielskiej prasie, która zawsze porównywała go z konfliktem irlandzkim; nawet zbrojne ramię ETA często łączono z IRA. Była to walka trwająca już ponad dwadzieścia lat, która zrodziła się w odpowiedzi na reżim wojskowy rządzący krajem jeszcze do niedawna i która domagała się niepodległości Kraju Basków, niewiele więcej. Tajemnicze przywództwo ukrywające się we Francji, zamachy, samochody pułapki, morderstwa, starcia zbrojne, kradzież broni i materiałów wybuchowych, a w ostatnich latach, i to coraz częściej, uliczne zamieszki i walki z siłami policyjnymi w ramach coraz skuteczniejszej patryzantki, która rozprzestrzeniła się na ulicach całego regionu. Noah wiedział, że to właśnie w tym tkwi prawdziwe zagrożenie, że odważna wiadomość, jaką mieszkańcy przekazywali, gdy przechodząc, ocierali się o policjantów w kompletnym rynsztunku bojowym, była taka sama, jak tamta, którą otrzymał na ulicach Belfastu, i że zlekceważenie jej było błędem, jaki

popęłnił brytyjski rząd, a jak się wydawało, popełniał go również rząd hiszpański. Wiedział, że wszyscy policjanci czy wojskowi ze swoimi hełmami, karabinami i tarczami nie byli tak onieśmielający jak staruszka z naszyjnikiem z pereł i skórzaną torebką wychodząca z mszy albo młoda matka pchająca wózek z dzieckiem. I że ludzie ze swoją postawą bezbrzeżnej pogardy stanowili najostrzejszy grot włóczni, jakim społeczeństwo może zagrozić swojemu rządowi. Że sposób, w jaki domagali się dostępu do ulicy, z dumą i w milczeniu, był tylko ostrzeżeniem, ponieważ kilka godzin później mieli ustąpić miejsca tym, którzy przyjdą po nich. Noah ich też rozpoznał, jakby oglądał swoje wspomnienia z największych stref konfliktu w Irlandii. Grupy młodych ludzi w butach sportowych i neutralnych ubraniach zaczęły się gromadzić na jednym końcu Siedmiu Ulic; większość z nich miała zawiązane na szyjach palestyńskie chusty albo fulary, którymi później mieli zakryć sobie twarze.

Wszedł do supermarketu i kupił dwie butelki wody, paczkę herbatników, pędzel i piankę do golenia, żyletki do maszynki oraz kostkę mydła. W drodze do kasy, pod wpływem impulsu, wrzucił do koszyka jeszcze wodę kolońską, nie wiedząc nawet, jaki ma zapach, a także egzemplarz lokalnej gazety „El Correo Español-El Pueblo Vasco”. Rzucił okiem na pierwszą stronę, nagłówki skupiały się na konflikcie związanym z „wojną o flagi”, toczącym się między grupami mającymi swoją reprezentację w urzędzie miasta. Burmistrz postanowił, że na gmachu ratusza nie będzie powiewać żadna flaga podczas Aste Nagusia, najważniejszego święta w Bilbao, „żeby w tym czasie uniknąć problemów i napięć”, natomiast grupa socjalistyczna zagroziła, że nie weźmie udziału w oficjalnych uroczystościach, jeżeli obok flagi baskijskiej i flagi miasta nie będzie powiewać także sztandar hiszpański. Główne zdjęcie na pierwszej stronie gazety dotyczyło wojny w Iraku, a drugie, znacznie mniejsze, zawierało plakat z corridy, która miała zainaugurować święto. Wspominano także o sprawie syna pewnego radzieckiego dyplomaty, który napisał bezpośrednio do prezydenta Stanów Zjednoczonych Ronalda Reagana z prośbą o azyl polityczny. Jednakże nic z tego nie interesowało Noaha. Stojąc

w kolejce do kasy, otworzył gazetę na stronie z wydarzeniami i uważnie przeglądał informacje, aż nadeszła jego kolej.

Gdy wyszedł z supermarketu, sytuacja na ulicy była już inna. Ludzie poruszali się bliżej budynków, zostawiając pustą centralną część chodnika, i wyraźnie się spieszyli, podczas gdy sklepikarze opuszczali rolety w swoich lokalach, a nawet zabezpieczali witryny deskami. Jakby nadciągała potężna burza, pomyślał Noah.

Młodzi gromadzili się na końcu Siedmiu Ulic od strony centrum, chodzili tam i z powrotem, nie zatrzymując się, ale też nie oddalając się zbyt daleko. Czasem zamieniali między sobą parę słów, lecz na siebie nie patrzyli, cała ich uwaga była skupiona na tym, żeby nie stracić z oczu drugiego końca ulicy i tego, co się tam dzieje.

Noah postanowił udać się na nabrzeże, gdzie zjeżdżało się coraz więcej policyjnych furgonetek. Chciał z bliska zobaczyć sprzęt do tłumienia zamieszek, jakiego używano w Bilbao. Spacerował brzegiem Nervión, przechodząc prawie że obok suk, które ustawiono na końcach Siedmiu Ulic, by zablokować ewentualne drogi wyjścia w stronę rzeki. Widział, jak przyjechały trzy transportery opancerzone UR416, wzorowane na niemieckich Thyssen Henschel UR416. Musieli się spodziewać, że sytuacja zrobi się bardzo napięta, bo były to pojazdy do transportu funkcjonariuszy tłumiących zamieszki: dziewięciomilimetrowa blacha i koła odporne na przebicie. Przechodząc obok wozów, usłyszał znajomy trzask policyjnego radia, w tym samym czasie otworzył się tył jednej z furgonetek, z której wysypało się ośmiu policjantów. Mieli hełmy z przyłbicami, karabinki, mauzery i pięćdziesięciocentymetrowe gumowe pałki. Większość miała już założone nasadki do wystrzeliwania kauczukowych kul i granatów dymnych. Być może dłużej, niż powinien, zatrzymał się przed otwartą furgonetką. Dostrzegłszy gaz łzawiący, nie krył zaskoczenia, że wciąż używają gazu CN. Chloroacetofenon został zakazany w wielu krajach ze względu na jego wysoką toksyczność. Zauważył, że mieli ponadto plecakowe miotacze gazu LGM/12, i rozpoznał maskę ochronną S61. Jeśli będą rzucać to gówno, to maski nie ochronią nawet

policjantów, pomyślał. Jego uwagę zwróciły torby operacyjne z wyhaftowanym z przodu emblematem Policía Armada⁸.

Nagle podszedł do niego jeden z funkcjonariuszy.

– Na co pan patrzy? Odejść! – nakazał.

Noah posłuchał, spuszczać wzrok. Ruszył dalej między policjantami, którzy przyglądali się jemu, jego torbom z zakupami, jego ubraniom i gazecie, którą trzymał pod pachą, zastanawiając się pewnie, czy to tylko ciekawski przechodzień, czy może ktoś więcej. Skręcił w uliczkę, mijając funkcjonariuszy, którzy pełnili tam straż i czekali, rzucając zniecierpliwione spojrzenia na rosnące skupisko ludzi po drugiej stronie ulicy.

Wszedł w Barrencalle, mając świadomość, że policjanci, którzy go obserwowali, jeszcze nie stwierdzili, czy jego obecność jest całkowicie nieszkodliwa. Szedł ze spuszczonego wzrokiem, przyklejony do sklepów po lewej stronie, w których pospiesznie opuszczano rolety. Gazeta, którą trzymał pod pachą, wyśliznęła się i upadła na ziemię. Noah się nachylił, żeby ją podnieść, i wtedy jego wzrok padł na tytuł na stronie z wydarzeniami. To była bardzo krótka informacja, zaledwie notka: „Policja przyjęła do rozpoznania zgłoszenie o zaginięciu młodej Sandry Arcochy”.

Postawił torby na chodniku i podniósł gazetę, żeby doczytać szczegóły.

„Zgłoszenie złożone przez rodzinę wczorajszego wieczoru zostało przyjęte jako możliwe niedobrowolne zaginięcie młodej Sandry Arcochy, jako że jej torebka i dokumenty zostały znalezione przez służby sprzątające. Dziewczyna po raz ostatni była widziana w dyskotecie Yoko Lennon’s w Bilbao”.

Nic więcej. Scott Sherrington rozpoznał strukturę typowej wiadomości z działu wydarzeń, zamieszczonej w ostatniej chwili, z pewnością ze względu na „uprzejmy i bezinteresowny” telefon od jednego z policjantów z samego komisariatu. A jednak poczuł, że przyspiesza mu puls i oddech. Przeczucie. Podniósł głowę akurat w tej samej chwili, kiedy chłopak idący z naprzeciwka, również ze spuszczonego wzrokiem, zderzył się z nim. Uderzenie w ramię sprawiło, że Noah

stracił równowagę i opadł na witrynę, choć młodzieniec szybkim gestem przytrzymał go w pasie, natychmiast pomagając mu odzyskać pion. Chłopak bąknął przeprosiny, prawie nie podnosząc wzroku, i zniknął w bramie najbliższego budynku. Noah stał przez chwilę, myśląc o tym, co się właśnie wydarzyło, a rozkładając ciężar w torbach z zakupami, skorzystał z okazji, by sprawdzić, czy chłopak obserwuje go z bramy.

Wrócił do hostelu. Ponownie przeczytał krótką notkę w gazecie, wyrwał ją i wsadził do portfela obok zdjęcia Clarissy. Następnie wyłożył zakupy na łóżko. Zdjął pogniecione ubrania i z ręcznikiem owiniętym wokół bioder skierował się do łazienki na końcu korytarza. Powoli przeszedł przed otwartymi drzwiami kuchennymi, świadomy, że właścicielka pensjonatu nie spuszcza go z oka. Przywitała się z nim lekkim skinieniem głowy, zanim Noah wszedł do łazienki.

To był szybki prysznic, ale tym razem z mydłem. Po powrocie do pokoju napełnił umywalkę letnią wodą i się ogolił. Muzyka unosiła się na patio między rozwieszonym praniem i Noah miał pewność, że rozpoznał dźwięki piosenki, którą słyszał już wcześniej. Nucił ją, wybierając jedną z nowych koszul, włożył spodnie z cieńszego materiału oraz skórzane mokasyny. Zakładając ponownie zegarek, ocenił, że Murray musi właśnie wychodzić z pracy... Wziął nową kurtkę, przeniósł rzeczy osobiste do kieszeni, a połowę wyciągu z naparstnicy przelał do srebrnej piersiówki, która, co ciekawe, umieszczona w wewnętrznej kieszonce, znajdowała się dokładnie na wysokości serca. Przejrzał się w lustrze. Schudł, co po goleniu stało się jeszcze bardziej widoczne. Worki nadal nie zniknęły, za to oczy nie były już tak mocno zaczerwienione. Po raz pierwszy od wielu dni Noah zobaczył swoje odbicie, które wykazywało pewne podobieństwo do mężczyzny sprzed wielu dni. Przed wyjściem otworzył flakon wody kolońskiej, wylał kilka kropel w zagłębienie dłoni i nałożył je na twarz oraz włosy, a na koniec wytarł o kurtkę. Wziął pistolet i kiedy umieszczał go na stałym miejscu na biodrze, zrozumiał, dlaczego tamten młody człowiek popchnął go na ulicy.

Zanim zgasił światło, rzucił ostatnie spojrzenie na zasłony, które falowały w rytmie oddechu stworzenia z patio.

Noah nie mógł się nadziwić, jak miasto nauczyło się żyć z konfliktem. Na ulicy Tendería i w okolicy placu Unamuno zwyczajnie grupki *txikiteros* kontynuowano z zadziwiającą normalnością, mimo że w oddali, przy wejściach na ulice Belosticalle i Carnicería Vieja rozbrzmiewały uderzenia gumowych kul. Kiedy przechodził, widział latające w powietrzu kamienie i kostkę brukową, czemu towarzyszyły krzyki tych, którzy wspierali policję.

Grupka Irlandczyków na czele z hałaśliwym Michaeliem zajmowała już swoje stałe miejsce przy kontuarze w pobliżu wejścia. Murray jeszcze nie przyszedł, ale Noah założył, że niebawem się zjawi, i postanowił poczekać w środku. Wszedł po cichu, ze spuszczoną głową, i skierował się w głąb lokalu, w którym było już dość tłoczno. Zobaczył, że Maite nachyla się nad barem, żeby pocałować jakąś nastolatkę – szczupłą, o kasztanowych włosach, które sięgały jej do pasa, ubraną w białe spodnie i różowy sweter. Była razem z inną dziewczyną w tym samym wieku, która mogłaby uchodzić za Szkotkę: jasna cera przyozdobiona piegami oraz kręcone rude włosy. Towarzyszący im mężczyzna musiał mieć około czterdziestki. Pożegnali się uniesieniem ręki i minęli Noaha w drodze do wyjścia. Mężczyzna przystanął, jakby o czymś zapomniał, zawrócił i nachylił się nad kontuarem, żeby powiedzieć coś Maite. Ona spojrzała na niego, kręcąc głową, i uniosła oczy zrezygnowana. Skierowała się do kasy, otworzyła ją, wyjęła parę banknotów, które następnie zmięła w palcach, po czym wróciła do mężczyzny i włożyła mu je do ręki. Wymamrotał krótkie podziękowanie i wyszedł, dołączając do nastolatek, które czekały na ulicy.

Noah zajął swoje miejsce obok drzwi kuchennych. W tle rozbrzmiewała piosenka, którą, jak mu się wydawało, znał z radia.

Aj, miłość mężczyzny,

Doprowadzasz mnie do łez kolejny raz.

(...)

Gazowy obłok,

Który unosi mnie wyżej i wyżej...

Na jego widok Maite uśmiechnęła się w sposób, który go oczarował. Nie mógł oderwać od niej wzroku, kiedy kończyła obsługiwać klientów, zafascynowany siłą i ciepłem, jakie emanowały z jej ruchów. Było widać, że lubi swoją pracę, jej energia mogłaby wystarczyć na oświetlenie całego Bilbao. Przechodząc obok wieży stereo, pogłośniła i nucąc piosenkę, podeszła do niego.

Zafascynował go jej śpiew. W jej głosie było coś, co wydało mu się intymne i bardzo zmysłowe. W tym momencie jej zapragnął. Uśmiechnął się. Wciąż się uśmiechał, kiedy Maite przystanęła naprzeciwko.

– Ta piosenka jest wszędzie – powiedział w ramach powitania.

– Podoba ci się? To Mocedades, zespół stąd, z Bilbao. Amaya Uranga, wokalistka, ma najpiękniejszy głos, jaki kiedykolwiek słyszałam.

– Nie wiedziałem... – usprawiedliwił się. – Ludzie ciągle domagają się jej w radiu.

Maite się zaśmiała.

– To moja wina. Dzwonię codziennie i proszę, żeby ją zagrali. Słuchasz Ramóna Garcíi?

– Cóż, niezupełnie. Jeden z sąsiadów włącza radio na cały regulator. A właśnie, wiesz może, gdzie mógłbym kupić odbiornik?

– Oczywiście w El Corte Inglés, ale ja bym poszła do Radio Ortega, to sklep z tradycjami i znajdują się na rzeczy. – Wzięła papierową serwetkę i zapisała adres.

Noah powtórzył go na głos, żeby zapamiętać.

Popatrzyła na niego rozbawiona.

– A na co masz dziś ochotę, skoro wyglądasz tak elegancko? Wino?

Zaskoczony, spuścił wzrok na swoje nowe ubranie. A więc Maite zwróciła na nie uwagę. Spojrzał na nią z nowym zainteresowaniem, odpowiadając:

– Och, nie! Ani dziś, ani nigdy więcej. Chyba napiję się kawy i coś zjem, choć nie wiem co...

– Zostaw to mnie – odparła Maite i skierowała się do kuchni, z której wróciła po paru minutach z jednym z tych parujących garnków, które najwyraźniej były

popularne we wszystkich barach.

– Kawa i pyszne klopsiki dla Anglika, który przybył do Bilbao – powiedziała, stawiając zamówienie przed Noahem.

Popatrzył na nią, nie do końca rozumiejąc, co powiedziała, ale też się uśmiechnął. W uśmiechu Maite było coś ciepłego i zaraźliwego, jak zaproszenie na fiestę.

– „Anglik przybył do Bilbao” to *copla*, którą *txikiteros* śpiewają od wielu, wielu lat. Opowiada o mężczyźnie z twojego kraju, który przyjechał do naszego miasta, żeby zobaczyć rzekę i morze, zakochał się w tutejszych kobietach i nie mógł już wyjechać.

Spuścił wzrok, wciąż z uśmiechem, i natychmiast zapytał:

– I właśnie tak zamierzasz mnie nazywać?

– Ty już wiesz, jak mam na imię, a przecież jakoś muszę się do ciebie zwracać. Jesteś już stałym klientem, a jeszcze nie wiem, jak się nazywasz.

– Jestem Noah.

– Och, jak ładnie! Brzmi naprawdę dobrze. Ma odpowiednik w hiszpańskim?

– Tak, Noé.

– Noé, ten od potopu?

Przytaknął.

– A co robisz w Bilbao, Noah?

Zastanowił się chwilę i posmutniał.

– Chyba czekam na potop.

– No cóż, w Bilbao często pada, deszczu możesz być pewien, ale żeby zaraz potop...

Popatrzył na nią i znowu się uśmiechnął, po prostu nie mógł przestać.

– Zawsze trzeba się spodziewać, że przyjdzie następny potop.

– To straszne, że tak myślisz – odparła Maite, poważniejąc.

– Dlaczego?

– Potop to zniszczenie.

Twarz Noaha pociemniała, gdy wrócił do niego obraz ciał wypływających z grobów, oraz ten dźwięk podobny do płaczu, który słyszał, padając na ziemię.

– Albo oczyszczenie – stwierdził.

Znowu się uśmiechnęła, wskazując jego rękę.

– Nie nosisz obrączki, Noah. Czy jakaś kobieta czeka na ciebie w arce?

Spojrzał na swoje dłonie, zaskoczony jej zainteresowaniem. Puste dłonie, pomyślał posmutniały.

– Nie, nie jestem żonaty. A ty masz męża? – Pokazał na drzwi lokalu, mając na myśli mężczyznę, który niedawno wyszedł.

Maite też spojrzała w tamtą stronę, jakby on wciąż tam był.

– Chodzi ci o niego? – zapytała nieco rozbawiona. – Byliśmy małżeństwem. Jest ojcem mojej córki Begoñi, tej ślicznej dziewczyny z długimi włosami, na pewno ją widziałeś, gdy wchodziłeś. Byliśmy bardzo młodzi, zakochani i kiedy zaszłam w ciążę, pobraliśmy się, bo tak należało. Ale byliśmy w zasadzie dzieciakami, nie mieliśmy pojęcia, czym jest małżeństwo. Kintxo nie był przygotowany do roli męża, ale to dobry ojciec. A ty masz dzieci?

Jej ciekawość przywróciła uśmiech na jego usta, ale jednocześnie mąciła mu w głowie. Zdumiewał go sam fakt, że Maite choć trochę mogła się nim interesować.

– Nie, nigdy się nie ożeniłem i nie mam też dzieci. – Usłyszał w swoim głosie mimowolny smutek.

Posłała mu spojrzenie pełne rosnącego zainteresowania.

– A dlaczego?

– Słucham? – zapytał, starając się zyskać na czasie.

– Dlaczego taki mężczyzna jak ty nie jest żonaty?

Jeszcze kilka miesięcy temu odpowiedziałby, że nie wie, ale w ostatnich dniach dowiedział się więcej o samym sobie niż w ciągu całego dotychczasowego życia. Nie ożenił się, nie kupił domu na wybrzeżu, nie miał dzieci, nie jeździł na wakacje. Ostatnie Boże Narodzenie spędził u Grahama, a święto Hogmanay w pracy. Nie

pamiętał już, kiedy obchodził urodziny, a do jego najcenniejszych przedmiotów należały zdjęcie nieżyjących rodziców, broń, którą nosił przy biodrze, oraz notes z zapiskami na temat seryjnego mordercy. Odpowiedź brzmiała krótko: zmarnował swoje życie. Teraz o tym wiedział, ale nie mógł jej tego powiedzieć. Gdyby tylko mógł to zrobić...

W reakcji na jego milczenie Maite zacisnęła usta i lekko wzruszyła ramionami, speszona.

– Przepraszam, Noah, nie chciałam na ciebie naciskać. Powiedziałeś mi, że wolisz być dyskretny – rzekła, kierując wzrok w stronę grupki przy wejściu – a ja cię tu przesłuchuję. Oczywiście mężczyzna wcale nie musi się żenić, jest wiele powodów... Może chodzi o to, że jesteś... Podobają ci się...? – Dyskretnie wskazała na siedzących przy kontuarze mężczyzn.

Z początku nie bardzo wiedział, co chce przez to powiedzieć, ale gdy wykonała gest, wszystko stało się jasne.

– Nie. – Uśmiechnął się znowu, chociaż już nie tak szeroko jak wcześniej. – Nie, nie chodzi o to.

Niecierpliwy klient z drugiego końca baru zaczął dawać Maite znaki, że chce zapłacić. Podeszła do niego, odprowadzana wzrokiem Noaha. Kiedy wróciła, zagaił:

– A ja mogę zadać ci pytanie?

– Jasne, pytaj, o co chcesz – odparła, na powrót ożywiona.

Nie mógł się nie uśmiechać, kiedy na nią patrzył. Mając świadomość, że wygląda jak idiota, spuścił wzrok, próbując się opanować.

– To bardzo proste, Maite – powiedział, znowu na nią spoglądając. – Jeśli podasz mi dobrą odpowiedź, obiecuję, że to przemyślę, znajdę szczerą i zadowalającą wy tłumaczenie.

– Umowa stoi! – wykrzyknęła, wyciągając do niego rękę nad barem.

Noah ją uściskał. Dłoń pracowitej kobiety, silna i zimna od wody, w której ciągle płukała szklanki. Nie puszczając, spojrzał jej w oczy.

– Pytanie brzmi: dlaczego mnie o to pytasz, Maite? Jeśli uznam, że odpowiedź nie jest ogólnikowa, obiecuję, że ci to wyjaśnię.

Teraz to ona spuściła wzrok i zabrała rękę, zarumieniona. Noah nie mógł w to uwierzyć, był oczarowany. Ta kobieta była po prostu cudowna.

Wyglądała, jakby się zastanawiała, ale tylko przez krótką chwilę. Przytrzymała jego wzrok i odpowiedziała:

– Bo jesteś bardzo przystojny, Angliku Noah. Dziwne, że taki mężczyzna jak ty jest sam.

Na drugim końcu baru grupa Irlandczyków domagała się uwagi Maite. Murray właśnie do nich dołączył.

– To dobra odpowiedź – stwierdził Noah, gdy już odchodziła. – Dotrzymam obietnicy.

Zaczął jeść, obserwując ukradkiem gesty Murraya i porównując je ze swoimi wspomnieniami dotyczącymi Johna Clyde'a. Później, kiedy powoli sączył aromatyczną kawę, przyjrzał się pozostałym klientom. Po jego prawej stronie, mniej więcej w połowie kontuaru, siedział mężczyzna, który wydał mu się znajomy. Patrzył na niego, a kiedy to Noah nań spojrział, ten natychmiast spuścił głowę. Od razu go rozpoznał. To ten sam młodzieniec, który wpadł na niego na ulicy, być może nieprzypadkowo. Ze stosu po swojej lewej stronie wziął jedną z gazet sportowych i udawał, że czyta, aż kolejny mężczyzna wszedł do baru i dołączył do grupy Irlandczyków. Noah był zdezorientowany. Ów człowiek był w takim samym nieokreślonym wieku, identycznej budowy ciała i tego samego wzrostu co John Murray. Włosy nieco dłuższe, kolor między kasztanowym a rudym. Podobieństwo z Murrayem było niezaprzeczone, wprawdzie nie na tyle, żeby pomylić ich w ciągu dnia, ale wystarczające, by facet pasował do portretu pamięciowego.

Siedzieli w barze jeszcze kilka minut, ale kiedy Noah zobaczył, jak dają znać Maite, że chcą zapłacić, uprzedził ich i wyszedł wcześniej. Zakładając, że skierują się na ulicę z barami, na której byli poprzedniego dnia, ruszył pospiesznie, przeciął

plac Unamuno i zaczekał, stapiając się z członkami grupy, która śpiewała przed barem cople o pięknej kobiecie imieniem Lola.

Pierwszym, którego zobaczył, był młody inwigilator. Szedł pośpiesznie, rozglądając się po ludziach. Kiedy zauważył Noaha, przystanął przed sklepową witryną i zapalił papierosa. Kilka metrów dalej pojawiła się grupa Irlandczyka. Minęli pierwszy bar, w którym byli poprzedniego wieczoru. Noah musiał wybrać. Zaryzykował i wszedł do następnego, zamówił wino, którego nie wypił, i ze spuszczoną głową czekał przy kontuarze. Kilka chwil później do baru weszli Michael i jego kumple. Noah zauważył, że najstarszy oraz nowy członek ekipy wykonują szybki przegląd klientów, rozpoznając niektórych i odrzucając ich tym samym gestem. Kilka sekund później do lokalu wszedł facet, który stał się cieniem Noaha. Niewiarygodne. Albo to jakiś frajer, albo typ bezczelny do kwadratu. Noah dał mu dwadzieścia trzy, co najwyżej dwadzieścia cztery lata. Równie wysoki jak on, wysportowany, niezbyt krzepki, chociaż Noah miał świadomość, że na wprost skulona postawa, jaką przyjmował, próbując ukryć swoją obecność, sprawiała, że wyglądał na mniej masywnego. Miał na sobie bomberkę, zdecydowanie zbyt ciepłą jak na wieczór w Bilbao. Noah wiedział, że ma ku temu tylko jeden powód: taki sam, dla którego on nosił dżinsową kurtkę mimo wysokiej temperatury. Był uzbrojony. W tym momencie postanowił, że musi się nim zająć, zanim skupi się na Johnie Murray i jego nowych kumplach.

Rzucił na kontuar kilka monet i wyszedł z baru. Zapadł już zmrok, ale dopiero co zapalone latarnie świeciły jeszcze słabo. Pokonując tę samą trasę, wrócił na plac Unamuno i tam przyspieszył kroku, aby zyskać pewną przewagę. Starał się nie oglądać za siebie, przekonany, że jego cień podąża w ślad za nim. Myślał o tym, żeby skręcić w ulicę Tendería, ale zauważył, że ulica Cueva Altxerri, która wiodła na plac, jest bardziej opustoszała. Skierował się więc tam, mając prawie naprzeciwko kawiarnię Bilbao, potem skręcił w prawo, schował się za kolumną łuku prowadzącego na plac Nueva i zaczekał.

Miał świadomość, że jest na przegranej pozycji. Możliwe, że jego inwigilator nie potrafił się za dobrze kamuflować, ale był młody i o wiele silniejszy, niż dawał

po sobie poznać; kiedy wpadł na niego na ulicy, przytrzymał Noaha, żeby ten nie upadł, i zrobił to bez większego wysiłku.

Dotarłszy do kolumny, za którą ukrył się Noah, młodzieniec zwolnił kroku, aż prawie się zatrzymał. Patrzył na plac, próbując zlokalizować śledzonego. Noah zrobił krok do przodu, wychodząc z ciemności za jego plecami, chwycił go i zaciągnął pod arkady, przystawiając mu lufę swojego smith & wessona do szyi. Nie odzywając się słowem, odbezpieczył broń, żeby tamten mógł to usłyszeć. Nie musiał robić nic więcej. Chłopak dyskretnie podniósł ręce i powiedział cicho:

– Niech pan nie strzela, jestem policjantem.

Noah przesunął dłonią po jego talii, szukając broni. Była tu. Nawet w półmroku potrafił ją rozpoznać. Star kalibru dziewięć milimetrów. Wyjął go i umieścił ją za własnym paskiem.

– A więc policjant, tak? A odznaka?

– W prawej kieszeni.

Zawahał się. To mogła być pułapka. Przesuwając lufę po jego plecach, zatrzymał ją w pasie i poczuł, że mężczyzna drży.

– Użyj dwóch palców i wyjmij ją ostrożnie. Tylko bez żadnych numerów, bo rozwałę ci nerki.

Mężczyzna posłuchał. Wyjął portfel i go otworzył, pokazując złotą odznakę z niebieską i czerwoną emalią oraz napisem „Ertzaina 1269”.

– Co to za formacja?

– *Ertzaintza*.

– Policja? Gwardia Obywatelska?

– *Ertzaintza*. Autonomiczna policja Kraju Basków – odpowiedział młodzieniec. Mówił szybko, nie podnosząc tonu i starając się, by drżenie, które wstrząsało jego ciałem, nie opanowało jego głosu.

Noah ponownie spojrzał na odznakę.

– Mikel Lizarso. *Ertzaina*. To po baskijski? Co oznacza?

– Coś w rodzaju „strażnika ludu”.

Przyjął to wyjaśnienie. Czytał w prasie, że powstała nowa formacja, a tylko równie szaleni niepodległościowcy jak Baskowie albo Irlandczycy nadaliby swojej policji tak pompatyczną nazwę jak „strażnicy ludu”.

– W porządku. Coś ci pokażę, tylko się nie ruszaj.

Mężczyzna skinął głową, a Noah przełożył broń do drugiej ręki, żeby wyjąć własną odznakę. Przystawił ją do oczu młodzieńca.

– Inspektor Scott Sherrington, szkocka policja.

Tym razem chłopak nie mógł się powstrzymać. Odwrócił się i spojrzał na niego zaskoczony.

– Policjant?

Scott Sherrington na powrót wbił mu lufę pistoletu w nerki.

– Jeszcze nie skończyliśmy. Dlaczego mnie śledzisz?

– Nie wiedzieliśmy, że jesteś policjantem, a odkąd przyjechałeś, twoje zachowanie było podejrzane.

– Odkąd przyjechałem? Śledzisz mnie od mojego przyjazdu?

Mężczyzna patrzył na niego, nie odpowiadając.

– Dlaczego podejrzane?

– Przypłynąłeś na „Lucky Man”. Według naszych informacji kapitan Lester Finnegan może przemycać z Irlandii członków IRA, którzy mieliby działać jako łącznicy ETA.

– Przypłynięcie na pokładzie „Lucky Man” nie wydaje mi się wystarczającym powodem.

– Poza tym śledzisz grupę Irlandczyków, a dziś po południu, kiedy podszedłeś tak blisko policjantów, było jasne, że kontrolowałeś uzbrojenie.

– A tamto popchnięcie na ulicy?

– Musiałem sprawdzić, czy jesteś uzbrojony, i przekonałem się, że tak – powiedział zadowolony z siebie.

Noah westchnął. Schował swój pistolet. Mężczyzna odwrócił się powoli i spojrzał mu w twarz.

– Oddasz mi teraz moją broń i odznakę? – zapytał, wyciągając rękę, która wciąż lekko drżała.

– Wydaje mi się, strażniku ludu, że masz mi jeszcze sporo do wyjaśnienia, i myślę, że przydałby ci się łyk czegoś mocniejszego – powiedział, wskazując podbródkiem w stronę kawiarni Bilbao. – Pierwszy raz, prawda?

Mężczyzna spojrzał w stronę baru.

– Co pierwszy raz?

– Pierwszy raz ktoś mierzył do ciebie z broni. Nie wstydz się, to normalne, że się trzęsiesz. Musisz się napić – powiedział Noah, kładąc dłoń na jego talii, prawie w tym samym miejscu, gdzie wcześniej przyłożył mu pistolet, i popychając go delikatnie w stronę lokalu.

Pozwolił, żeby chłopak wybrał stół, i obserwował go, stojąc przy kontuarze, podczas gdy kelner napełniał dwie szklanki whisky z lodem. Mikel Lizarso opanował drżenie i wybrał stół w pobliżu okna, który pozwalał mu jednocześnie widzieć wejście do lokalu i drzwi toalet.

Może wcale nie taki frajer, pomyślał Noah, oceniając jego zachowanie. Wziął obie szklanki i usiadł naprzeciwko niego w milczeniu, czekając, aż zacznie mówić. Mężczyzna się nie odezwał. Było oczywiste, że mu nie ufa. Może nieźle się wystraszył i znalazł w skomplikowanej sytuacji, ale nie zamierzał ot tak mówić wszystkiego.

– Co chcesz wiedzieć? – zapytał tamten.

Noah uśmiechnął się nieznacznie. Na podstawie tego, o co zapyta, on ustali, ile wie. Jemu było to obojętne.

– Zaczynaj od Irlandczyków. Co o nich wiesz i co ich łączy z „Lucky Man”?

Mikel Lizarso skinął protekcjonalnie.

– Zaczynajmy od Michaela Connolly’ego, ksywka „Leprechaun”.

Noah uniósł brew, usłyszawszy przydomek.

Lizarso uśmiechnął się lekko.

– Tak go nazywają. Niski i hałaśliwy jak irlandzki skrzat. Przybył jako pierwszy, trzy miesiące temu. Policja brytyjska nas o tym zawiadomiła. Przypłynął na „Lucky Man”. Wieloletni członek IRA, ale nie odgrywa zbyt ważnej roli. Przypuszcza się, że został tu przysłany na zwiady, żeby nawiązać pierwsze kontakty z członkami ETA. Nie uważa się go za zbyt groźnego, nie jest uzbrojony i jak sam mogłeś się przekonać, dyskrecja nie jest jego mocną stroną. Tacy zbyt gadatliwi za dużo plotkują. Uważamy, że tak naprawdę przysłano go tu, żeby się go pozbyć, a facet jest zachwycony. Codziennie wychodzi na miasto i zalewa się w trupa, ale w każdą niedzielę obowiązkowo uczestniczy we mszy. Pracuje w porcie jako operator dźwigu. Dwa tygodnie temu przyjechał Cillian Byrne, „Ciemny”, to ten najwyższy i najpoważniejszy, zatrzymał się w tym samym pensjonacie co pozostali, ponoć jest spawaczem, który szuka pracy. Zdaje się, że wjechał samochodem przez granicę w Irún. Są jeszcze John Murray, który przypłynął na „Lucky Man” tydzień przed tobą, i ostatni z grupy, ten, który jest bardzo podobny do Murraya, ale o nim wiemy tylko tyle, że ma na imię Collin. Pojawił się wczoraj wieczorem w tym samym pensjonacie. Brytyjska policja jeszcze nie przysłała nam informacji, ale uważamy, że wszyscy są tutaj w tym samym celu. Zakładam, że wiesz o konflikcie, który rozgrywa się w tych dniach. „Wojna o flagi” stanie się jeszcze bardziej nerwowa, niż się spodziewano. W San Sebastián doszło już do poważnych starć, ale wygląda na to, że tutaj będzie jeszcze gorzej. Jutro zaczyna się święto patronalne, burmistrz zapowiedział, że na balkonie ratusza nie zamierza wywieszać żadnych symboli ani sztandarów, nawet flagi Bilbao.

– Czytałem w gazecie.

– Ma nadzieję, że dzięki temu powstrzyma protesty, do których dochodzi za każdym razem, gdy któryś urząd miasta w Kraju Basków wywiesza hiszpańską flagę. Ale nasi informatorzy mówią, że gubernator cywilny planuje nakazać policji, by w razie potrzeby weszła do ratusza siłą. I żeby wywiesiła hiszpańską flagę na balkonie akurat w chwili, gdy nastąpi wystrzał fajerwerku, który daje sygnał do rozpoczęcia święta. Przed ratuszem zbierają się tysiące osób, żeby uczcić ten

moment, i już przewidujemy zamieszki na ulicach. Siły bezpieczeństwa też się przygotowują. W tej chwili do Bilbao jadą posiłki policji z wielu kwater z Hiszpanii. Wiemy, że po tym wszystkim nastąpi punkt zwrotny. Burmistrz sprawuje najwyższą władzę w mieście, a jeśli gubernator nakazuje policji wejść siłą do ratusza, przedstawicielstwa władzy w Bilbao, jest to nie do przyjęcia!

Zrobił pauzę, kręcąc głową, jakby sam w to nie wierzył. Potem mówił dalej:

– Coś takiego mogłoby doprowadzić do konfliktu między politykami, ale także do zamieszek na ulicy. Wykryliśmy obecność dawnych członków ETA w pobliżu granicy, we Francji. A w Bilbao i okolicach namierzono wielu osobników pochodzących z całej Europy, którzy mają doświadczenie w walkach ulicznych. Uważamy, że to, co wydarzyło się w San Sebastián, to jeszcze nic w porównaniu z tym, do czego może dojść tutaj. Zamieszki mogą trwać wiele dni. Dzielnica Siedmiu Ulic jest jak twierdza, a poza tym to idealny grunt do nawiązywania kontaktów między członkami ETA i IRA.

Noah ledwie umoczył usta w whisky.

– Dlaczego uważacie, że kapitan „Lucky Man” jest w to zamieszany?

– No cóż, Lester Finnegan jest z pochodzenia Irlandczykiem...

– To tak, jakby zakładać, że ty, jako Bask, należysz do ETA – stwierdził.

– To nie to samo. Wielu z tych ludzi przyplłynęło na jego statku, tyle wystarczy, żeby go podejrzewać.

– To nic nie znaczy. Sam przyplłynąłem na tym statku i przekonałem się, że względnie łatwo jest zdobyć bilet, jeśli ma się książeczkę żeglarską.

– Polubiłeś kapitana Finnegana, prawda?

Noah znowu spojrzał z zainteresowaniem na młodego policjanta. Był bystry.

– Nie mamy na Finnegana niczego konkretnego, ale nasi informatorzy od wielu tygodni powtarzają, że dostawa broni z Irlandii może dotrzeć do Bilbao w każdej chwili. Jako oznaka dobrej woli ze strony IRA wobec ETA przed spotkaniem, które jest planowane na południu Francji. Granica jest porządnie kontrolowana, nie ryzykowaliby przerzutu tamtędy. Uważamy, że dotrze drogą morską.

- I waszym zdaniem na „Lucky Man”.
- Nie mamy jak się dowiedzieć, ale tego nie wykluczamy.
- A co wiecie o Johnie Murrayu?

– Irlandczyk, sierota, wychowywał go w Szkocji nieżyjący już dziadek. Brytyjska policja nie ma informacji na temat jego bezpośredniej przynależności do IRA. Przez wiele lat pracował jako łącznik pocztowy na platformach wiertniczych w Aberdeen. Jednak miesiąc temu miał kontakt z jednym z liderów IRA. Widziano ich razem, jak jedli kolację w czasie jednej z przerw Murraya na lądzie. Dwa tygodnie później ubiegał się o stanowisko w MacAndrews w Bilbao i jak już powiedziałem, przyplłynął na „Lucky Man”. Zatrzymał się w pensjonacie przy Arenal, a następnego dnia skontaktowała się z nim grupa Michaela i przeprowadził się do nich do hostelu Toki-Ona. – Zrobił na chwilę pauzę, jakby się zastanawiał. – Teraz, kiedy już wiem, że jesteś policjantem, domyślam się, że dla was też jest podejrzany.

Noah nie odpowiedział.

– To wszystko, co o nim wiecie? – zapytał zamiast tego.

– Tak, prowadzi zwyczajne życie. Gdyby brytyjska policja nie namierzyła tego kontaktu z IRA, zostałby kompletnie niezauważony. Dlaczego on cię tak interesuje? Uważacie, że może być ważniejszy, niż myślimy?

– Na temat IRA i ETA wiem tylko tyle, co przeczytałem w gazetach. Nie pracuję w jednostce antyterrorystycznej, jestem detektywem z wydziału zabójstw.

– I śledzisz Murraya?

– Posłuchaj, Mikelu Lizarso: inny człowiek, człowiek, którego ścigam, wypłynął z Liverpoolu na pokładzie „Lucky Man” razem z Murrayem. Nazwisko nie ma tu znaczenia, bo podróżował ze skradzionymi albo sfalszowanymi dokumentami, a może i jedno, i drugie. Obaj mieli dotrzeć do Bilbao, ale dopłynął tu tylko jeden.

– John Murray – powiedział Lizarso.

Noah przytaknął.

– W trakcie mojej podróży do Bilbao władze portu w La Rochelle poprosiły kapitana Finnegana, żeby zidentyfikował zwłoki, które znaleziono w jednym z kontenerów firmy MacAndrews we francuskim porcie. Z uwagi na stan zwłok nie dało się ich rozpoznać, ale wiek, wzrost i opis fizyczny odpowiadały Johnowi Murrayowi. Rzecz w tym, że Murray zapewnił kapitana, jakoby ten drugi pasażer bez uprzedzenia postanowił zejść ze statku w La Rochelle.

Lizarso, który słuchał Noaha z na wpół otwartymi ustami, przytaknął ze zrozumieniem.

– Uważasz, że Murray może być tak naprawdę tym drugim...

– Myślę, że facet, którego ścigam, zrobiłby wszystko, żeby zatrzeć swoje ślady, a zabijanie nie jest mu obce.

– A zatem, skoro nie jest terrorystą, to kim?

– Wiesz, kim jest seryjny morderca?

Lizarso wzruszył ramionami.

– Coś jak masowy morderca?

– Nie, to nieco bardziej skomplikowane. Masowy morderca popełnia wiele zbrodni, ot tak, niekiedy wszystkie w tym samym czasie, jak w masakrze. Seryjni mordercy nie muszą mieć więzi ze swoimi ofiarami, a między jedną zbrodnią a drugą zawsze jest jakiś odstęp, który może trwać dzień, miesiąc, a nawet lata. Nie zabijają z powodu gniewu. Ich czyny są przemyślane i zaplanowane. Pewien agent FBI, niejaki Robert Ressler, od lat próbuje skatalogować takie zachowania, badając facetów, którzy siedzą w więzieniu.

– W akademii analizowaliśmy wiele przypadków, większość z Hiszpanii. Romasanta, Arropiero, trucicielki takie jak Campins... Większość z nich była szalona, uznano ich za niepoczytalnych.

– Morderca, o którym ci mówię, to zupełnie nie ten typ. Jest inteligentny, mógł studiować na uniwersytecie, dobrze wygląda i jeździ porządnym samochodem. Miły facet.

– A zatem... masz na myśli takiego mordercę jak Zodiak z Kalifornii.

Noah przytknął.

– Też zabija pary?

– Kobiety.

Lizarso zmrużył oczy i ściągnął brwi.

– A dlaczego szkocka policja nie przekazała nam, że mamy w kraju takiego osobnika?

– Bo szkocka policja nie wie, że on tu jest. Sam zresztą nie jestem tego pewien na sto procent. Przyjechałem wiedziony przecuciem.

Ertzaina otworzył szeroko oczy, zaskoczony.

– Czy nie chodzi przypadkiem o tego mordercę, który zdołał uciec w trakcie zatrzymania? Święty morderca, morderca od Pisma Świętego czy jakoś tak. Czytałem w angielskiej prasie.

– Czytasz angielską prasę?

– A jak myślisz? Zajmuję się rzekomymi angielskimi terrorystami.

– Irlandzkimi – podkreślił Noah.

– Irlandzkimi – przyznał ten drugi.

Noah wyjął portfel, a z niego wycinek z portretem pamięciowym Biblijnego Johna, który był ledwie kolejną wersją tego, jaki w latach siedemdziesiątych niemal codziennie zamieszczały szkockie gazety, tyle że teraz mężczyzna wyglądał trochę starzej. Położył go na stoliku.

– Biblijny John.

– Właśnie, Biblijny John – powiedział Lizarso i dotknął wycinka, przyglądając się wizerunkowi. – Podobny do Murraya, podobny do Collina, a nawet do jednego z moich kolegów z pracy. Tak naprawdę przypomina mi młodszą wersję wielu moich znajomych.

W odpowiedzi Noah westchnął znużony.

– I myślisz, że jest tutaj?

Noah przytaknął.

– To dlaczego nie poinformowałeś szkockiej policji?

– Już ci powiedziałem: oni prowadzą oficjalne śledztwo, ja nie mam żadnego dowodu na potwierdzenie swoich podejrzeń, to tylko przeczucie. Oczywiście powiadomię ich, jeśli będę coś miał, ale na razie to jedynie moja intuicja. A co do tutejszej policji to na ten moment oficjalnie jestem turystą, powiedzmy, że nie pełnię czynnej służby.

– Jak to? Jesteś zawieszony?

– Jestem rekonwalescentem...

Lizarso znowu miał oczy jak spodki.

– To ty jesteś tym policjantem, który go ścigał...

Noah przytaknął.

– Zranił cię?

Znowu przytaknął. Nie cierpiał kłamać, ale w pewnym sensie tak właśnie było.

Lizarso się zastanawiał.

– No tak, pies to pies. Przypuszczam, że jeśli ściga się kogoś takiego, to nie można pozwolić mu uciec.

– Chyba tak – przyznał Scott Sherrington.

Ertzaina najwyraźniej poczuł się bezpiecznie i pewnie, bo odważył się zapytać:

– No dobra, skoro już się sobie zwierzyliśmy, oddasz mi w końcu moją odznakę i pistolet?

– Jasne, ale będziesz musiał zrobić dla mnie coś jeszcze. Wtedy nikt się nie dowie, że cię rozbroiłem i zabrałem ci odznakę.

Lizarso zaczerwienił się aż po czubku uszu.

Noah starał się na niego nie patrzeć, by nie zawstydzić go bardziej. Wyjął z portfela wycinek z gazety, który schował po południu.

– Ta dziewczyna, Sandra Arcocha, zniknęła z dyskoteki w Bilbao. Policja przyjęła tę sprawę do rozpoznania, bo służby sprzątające znalazły jej wyrzuconą na ulicę torebkę. Na antenie Radia Nacional słyszałem też, że zaginęła inna dziewczyna. – Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjął mały czarny notes i przeczytał nazwisko. – Elena Belastegui. Muszę wiedzieć dwie rzeczy: czy w podobnych

okolicznościach zginęło więcej dziewczyn, nawet jeśli tego nie zgłoszono, a także, co będzie ci znacznie trudniej ustalić, czy w chwili zaginięcia miały menstruację.

⁸ Policía Armada – policja istniejąca w Hiszpanii od 1939 do 1978 roku, a więc w czasach dyktatury generała Francisca Franco i w latach transformacji ustrojowej. Jej funkcjonariusze byli powszechnie znani jako *grises* (szarzy) ze względu na kolor munduru. Zastąpiła ją Policía Nacional.

Biblijny John

John spędził dwadzieścia cztery godziny w piekle.

Świtało, kiedy wrócił do pensjonatu – przestraszony, wycieńczony, zlany zimnym potem i chory z niepokoju. Położył się do łóżka, choć za niecałe dwie godziny miał zadzwonić budzik. Bolały go ramiona i biodra, bolały go ręce i oczy. Czuł się chory za każdym razem, gdy myślał o dziewczynie płaczącej wewnątrz kontenera. Wziął poduszkę i przyłożył ją do twarzy, żeby spróbować złagodzić lęk i drżenie, które wstrząsało całym jego ciałem, i żeby nie dopuścić do tego, by usłyszeli go inni goście hostelu. Po raz pierwszy w życiu czuł tak ogromne zmęczenie, dałby wszystko, byle tylko móc zamknąć oczy, choćby na minutę. Lecz za każdym razem, gdy próbował to zrobić, znowu miał przed sobą brudną od krwi, smarków i wymiocin twarz dziewczyny – i znowu słyszał jej płacz. Na chwilę, o wschodzie słońca, zdołał zrelaksować się na tyle, żeby znowu poczuć spokój. I właśnie wtedy wróciło wspomnienie, które było pogrzebane w jego umyśle od dnia jego trzynastych urodzin. Ta powracająca myśl po zniknięciu Lucy stała się żywym koszmarem. Za każdym razem, gdy przemierzał las, i codziennie przed zaśnięciem przywoływał obraz dziewczynki kołyszącej się w rwących wodach potoku, wspomnienie jej włosów rozciągniętych niczym patyczki wachlarza i tego, jak woda zabierała ją w dół zbocza, w stronę jeziora, wpływając w jej otwarte oczy patrzące na ołowiane niebo. W dniach, które minęły od zaginięcia Lucy do jego trzynastych urodzin, myślał o tym cały czas, miał taką obsesję na punkcie tej myśli, którą jego umysł stopniowo upiększał, że paranoja przychodziła w postaci

kolejnych ataków paniki, które on sam prowokował w sposób masochistyczny i które narastały tak, że o mało go nie zabiły.

Dzień przed swoimi urodzinami pływał w jeziorze. Jego ruchy były zamaszyste, precyzyjne, wypierały wodę, która przelewała się po skórze. Wraz z każdym machnięciem ramion zanurzał głowę i otwierał oczy, patrząc na ciemne, przepastne dno Katrine, później wyłaniał się bokiem, by zaczerpnąć głęboko powietrza, które napełniało mu płuca. Wokół panował spokój, miał całkowitą kontrolę. W pewnej chwili pomyślał, że wszystko jest w porządku, i to był sygnał, żeby ten drugi John, który mieszkał w jego umyśle, zawołał Lucy. Imię pojawiło się na jego ustach, jakby wypłynęło prosto z duszy. „Lucy”, wyszeptał, mając świadomość, że to on sam przywołuje ducha i że robi to ponownie, ignorując głos, który krzyczał w jego głowie oszalały ze strachu. Później usłyszał jęk, który dochodził z daleka, jakby przemieszczał się po powierzchni jeziora. Miał świadomość, że nie był on prawdziwy, a jednocześnie w jakiejś mierze istniał. Chłopiec się zatrzymał. Delikatnie poruszał nogami, żeby utrzymać się na powierzchni, i wyostrzył słuch, pozwalając, by zawładnął nim strach. Za jego plecami rozbrzmiało głębokie westchnięcie. Chłopiec odwrócił się błyskawicznie w tej samej chwili, gdy potężne szarpnięcie pociągnęło go w stronę dna. Echo płaczu rozchodziło się po tafli jeziora, jakby jakieś podwodne stworzenie szlochało pogrzebane w głębinach. Chłopiec nie widział nic prócz światła w górze, gubiąc się w ogromnym tunelu, podczas gdy gigantyczna siła ciągnęła go w dół. W pewnym momencie spuścił wzrok i zdołał dojrzeć kościstą rękę, która swoimi długimi palcami, niczym połamane kolce, więziła jego kostkę. Chłopiec zaczął krzyczeć i usta wypełniła mu czarna woda. Wtedy poddał się panice i rozpoczął pospieszny, szalony powrót, a jego jedynym celem było dotarcie na brzeg, zanim zobaczy Lucy, która pociągnie go ze sobą na dno jeziora Katrine.

Nie myślał o tym od dnia swoich trzynastych urodzin. Teraz przerażony usiadł na łóżku, ściskając w dłoniach mokrą pościel, i zaczął się trząść – właśnie odczytał pierwszy znak.

Gorący prysznic sprawił, że poczuł się lepiej. Ulga nie trwała jednak długo, zwymiotował pierwszą poranną kawę, gdy tylko ją wypił, i od tamtej pory nie był w stanie zatrzymać w żołądku niczego, nawet wody. Mimo to stawiał się do pracy, starając się zachowywać zupełnie naturalnie. Na niewiele się to zdało. Przed południem dopadły go mocne i bolesne skurcze brzucha. Ponad dwie godziny spędził na sedesie, nie mogąc się podnieść, choć był pewien, że w środku już nic mu nie zostało. W końcu musiał poprosić o pozwolenie, by opuścić swoje stanowisko, i wrócił do hostelu. Tam, zamknięty w pokoju, zwracając każdy płyn, którym usiłował opanować odwodnienie, poczuł się jeszcze gorzej. Nawet głądzenie wstążki Lucy nie mogło uspokoić jego duszy. Wciąż, raz za razem, przeżywał każdy szczegół, każdy swój błąd z poprzedniej nocy.

Jechał spokojnie swoim samochodem w kierunku przystani, w radiu leciał Bowie. Opuścił szybę, żeby nocne powietrze pochłonęło chociaż odrobinę przykrego zapachu płynów, jakie wydobywały się ze zwłok. Teraz wiedział, że przez to stracił parę cennych sekund, nim uświadomił sobie, że tylne drzwi są otwarte. Gdy usłyszał ciche kliknięcie, w pierwszej chwili pomyślał, że przez nieuwagę nie zamknął ich porządnie. Zatrzymał pojazd na pustej ulicy, wysiadł i obszedł go. Wtedy zobaczył, że ręka dziewczyny zwisa luźno na zewnątrz. John wepchnął ją do środka, żeby móc zamknąć drzwi, i w tym momencie zauważył, że dziewczyna jeszcze żyje. Jego uwagę zwrócił jakiś ruch w oddali. Rozejrzał się i dostrzegł tego typu, stojącego na poboczu i trzymającego torebkę, która z pewnością wypadła z samochodu po otwarciu drzwi. Zaszufładowanie go nie zajęło mu nawet sekundy. Śmieć. Poznał w życiu dziesiątki takich jak on. W czasie, gdy wykonywał swoją pracę, natknął się na wielu jemu podobnych, pijaków, którzy wracali do domu nad ranem, kaprawych robotników, którzy wychodzili wcześniej, zgorzkniałych kierowców autobusów, taksówkarzy, którzy wtrącali się w jego sprawy, ochroniarzy w dyskoteci, którzy odwracali głowy; mnóstwo śmieci, którzy przez swoją bierność skończyli jako jego cisi współnicy.

Reszta trasy do strefy kontenerów na Łące Anglików była istnym piekłem. Z jakiegoś powodu dziewczyna jeszcze żyła i zdołała poluzować sobie apaszkę, która ścisnęła jej szyję. Jej oddech był urywany, gardłowy i bulgoczący, przypominał rżenie jak u ogromnego umierającego zwierzęcia. Dojechał do końca alei i skręcił w lewo, by wjechać w strefę portową. Żeby dostać się do sektora, gdzie przechowywano kontenery, musiał objechać ją dookoła, aż do wjazdu, i dalej przez doki pod dźwigami. John przejechał w pewnej odległości od budki straży przybrzeżnej, w której o tej porze było ciemno. Odkąd terrorystyczne komando ETA ostrzelało jeden z wjazdów do portu w Pasaia, w budkach starano się nie włączać wewnętrznych świateł. Na przedniej szybie miał przymocowaną plakietkę, która pozwalała mu na wjazd na teren portu. Jako inspektor miał odpowiednią rangę i wystarczające uprawnienia, żeby mieć dostęp do własności swojej firmy o każdej porze dnia i nocy, ale wolał nie musieć się tłumaczyć, lepiej, żeby nikt nie wiedział, że tam był. Zwolnił, choć nie miał pojęcia, czy ze środka ktoś go obserwuje. Podczas swoich poprzednich wizyt w celu zostawienia ładunku nigdy nie zauważył w dokach nawet najmniejszego ruchu, nie było żadnego powodu, by myśleć, że dziś miało być inaczej. Ale John miał przeczucie, straszne przeczucie, bo kiedy sprawy zaczynały iść źle, to kończyły się źle. I jakby tylko sama wzmianka o tym przyciągnęła pecha, dziewczyna zaczęła płakać. W przeciwieństwie do tego gardłowego, zduszonego oddechu, typowego dla zachrypniętego konia, płacz zabrzmiał wyraźnie, ostro i słyszalnie, i – jakby był podróżnikiem w czasie – zabrał go do tamtej nocy nad brzeg jeziora Katrine, do tamtej chwili, gdy już prawie się udusił, policjant ciągnął go, żeby wydobyć jego głowę ze szlamu, a wściekła błyskawica przecięła niebo. Tamten płacz. Taki sam płacz, jaki słyszał teraz.

Przerażony zahamował gwałtownie i wyłączył silnik. Drżąc, odwrócił się i odsunął koc, który zakrywał twarz ofiary. Spojrzał na nią i zobaczył jedynie bezkształtną bryłę. W całej strefie kontenerów na Łące Anglików brakowało oświetlenia. Dźwigi miały mocne reflektory, które działały podczas pracy i które teraz oczywiście były wyłączone. Na dźwięk tego płaczu dochodzącego

z ciemności włosy stanęły mu dęba. Nerwowymi palcami włączył nad głową światło w kabinie, żółtawe i niewystarczające. Twarz i szyja dziewczyny były spuchnięte. Apaszka, którą ją dusił, stała się prawie niewidoczna, ukryta między jej skórą. Podbródek, klatka piersiowa i część włosów były brudne od wymiocin. Przez otwarte usta dało się dostrzec zakrwawione zęby. Oczy miała prawie zamknięte od ciosów zadanych przez Johna i zalane łzami, które spływały jej po skórze, czyszcząc ją i tworząc strumienie niczym rzeki na mapie. Głęboki lament wydobył się z jej ust razem z tym straszliwym dźwiękiem, który powstawał, gdy próbowała zaczerpnąć powietrza. Popatrzył na nią zdumiony i zarazem przerażony. A wtedy ona zapłakała głośniej. Zdesperowany odwrócił się z powrotem, żeby wyrzeć przez przednią szybę. Znajdował się już blisko celu, a jeśli tam dotrze, będzie bezpieczniejszy, nie mógł jednak ryzykować wyciągnięcia jej z pojazdu, kiedy tak płakała. Zatrwożony zakrył twarz dłońmi, próbując myśleć, starając się zrozumieć znaki. Co to wszystko oznaczało? Płacz kobiety wpijał się w jego mózg niczym wiertło, zadając mu straszne cierpienie.

John dyszał, pod wpływem jego przyspieszonego oddechu oraz oddechu dziewczyny zaparowały szyby, więc musiał przecierać je rękami, żeby zobaczyć cokolwiek na zewnątrz. Wszystko wydawało się spokojne, tak jak poprzednich nocy. Żadnego ruchu. Zdecydowany i wściekły, odwrócił się w stronę kobiety, precyzyjnie między dwoma siedzeniami i usiadł na niej okrakiem. Jęknęła i dalej łkała, wzdychając przez na wpół zmiażdżoną tchawicę. Z obrzydzeniem nachylił się nad nią, by móc sięgnąć po końce apaszki, które utknęły pod jej karkiem. Wymieszany z krwią ostry zapach wymiocin doprowadzał go do szału. Wreszcie znalazł oba brzegi jedwabnego materiału, owinął je sobie wokół palców... I nie zrobił nic, siedział jak sparaliżowany i tylko na nią patrzył, podczas gdy ona nadal płakała, wydając z siebie ten głęboki, przejmujący jęk. Trwał tak przez chwilę, nieruchomy, przerażony, umierając ze strachu. A potem puścił końce apaszki, zacisnął dłonie w pięści, podniósł je do ust i mocno zagryzł. Trzęsąc się z czystego oburzenia, wrócił na siedzenie kierowcy. Uruchomił silnik i przejechał jeszcze pięćset metrów, jakie dzieliły go od jednego z kontenerów, pustego i od dawna

nieużywanego. Do tej pory służył mu do przechowywania brezentu, lin i folii, których potrzebował do owinięcia ciał w taki sposób, żeby przypominały tylko kolejny ładunek; tutaj ukrywał też samochód, kiedy zabierał zwłoki motorówką do kryjówki przy rzece. Zatrzymał pojazd i wysiadł zdeterminowany, by nie słyszeć tego okropnego płaczu. Czując, jak strach przenika jego skórę, czekał dwadzieścia minut, dręczony głupim tchórzostwem, które nie pozwalało mu wrócić do samochodu. Zamierzał czekać, aż ona umrze. Bo, na litość boską, ani myślał jej już dotykać! Był pewien, że dziewczyna nie wytrzyma zbyt długo. Doskonale słyszał ten charakterystyczny dźwięk pękającej tchawicy. Była umierająca, do cholery, dlaczego nie umierała?!

Jednakże dwadzieścia minut później, kiedy znowu otworzył drzwi auta, ona w dalszym ciągu szlochała. Bezsilny, nie wiedząc, co robić, postanowił oddalić się na tyle, żeby ten przekłety płacz nie przeszkadzał mu myśleć. Nie zadziało, nawet ze znacznej odległości wciąż go słyszał, jak gdyby już na zawsze wyrzył się w jego głowie. Wściekły zaczął chodzić między kałużami, nie wychylając się zza kontenerów. Kusilo go, żeby walić w nie z pięści, wiedział jednak, że poddanie się furii, która już go ogarniała, byłoby błędem. Wyczerpany padł na kolana, złożył dłonie i odmówił modlitwę. Nie była to zwyczajna modlitwa. Od czasu, gdy John miał trzynaście lat i Bóg wskazał mu, co powinien robić, Biblijny John już nigdy nie modlił się tak jak wcześniej. Splecione ręce podniósł do twarzy i patrząc w niebo, zapytał: „Co mam zrobić?”.

Bóg jednak milczał. John nie wiedział, jak długo tak trwa, czekając. Przerażony i pusty, z poczuciem samotności, jaką może odczuwać jedynie opuszczony syn. Już wiele razy wcześniej doświadczył tego straszliwego milczenia, kiedy przez całe lata wołał do nieba, szorując w balii zakrwawione szmaty, i nie dostawał żadnej odpowiedzi, aż w końcu przestał to robić. Skinął powoli głową, zaczynając rozumieć plan i to, że czasami, kiedy nie ma odpowiedzi, to właśnie jest odpowiedź. Rozpiął koszulę i zębami oderwał kawałek materiału z poły, następnie pociągnął, aż całkiem go wyrwał, ponownie użył zębów, aby odedrzeć z niego dwa małe kawałki, które zwilżył śliną, po czym włożył je sobie do uszu. Szybko

otworzył drzwi kontenera i wrócił do samochodu. Uruchomił silnik, ruszył na wstecznym i wjechał do kontenera, aż poczuł uderzenie. Spojrzał w lusterko wsteczne, upewniając się, że nie dojechał jeszcze do tylnej ściany. Na chwilę wpadł w panikę, wyobrażając sobie, że koła mogły się zaklinować o jeden z kawałków złomu zostawionych w środku i że nie zdoła się stąd wydostać. Wrzucił jedynekę i przekonał się, że samochód jednak rusza. Wysiadł, otworzył tylne drzwi i pociągnął dziewczynę za rękę, aż upadła na ziemię. Potem rzucił na nią brezent i wyszedł pospiesznie, zamykając drzwi i tłumiąc płacz, który i tak rozbrzmiewał w jego uchu wewnętrznym, dopóki nie znalazł się wiele kilometrów dalej.

Czyż nie byłoby dobrze znaleźć się na twoim miejscu?

*WOULDN'T IT BE GOOD TO BE
IN YOUR SHOES?*

Mikel Lizarso przyglądał się Scottowi Sherringtonowi z zainteresowaniem, podczas gdy inspektor składał starannie portret pamięciowy Biblijnego Johna.

– Mogę go zatrzymać?

Noah podał mu kartkę.

– Pewnie. Zamieszczają go codziennie w szkockich gazetach. W Szkocji, nie w Anglii – podkreślił. – A właśnie, kupuję je w kiosku przy Banco de Vizcaya, na Gran Vía; kioskarcz dał mi do zrozumienia, że ostatnio więcej osób zainteresowało się szkocką prasą. Nie wyglądałoby zbyt dobrze, gdybym sam go o to zapytał, ale wy możecie tam wpaść, żeby się czegoś dowiedzieć.

– To wcale nie takie dziwne, w Bilbao jest mnóstwo obcokrajowców.

– Nie mówimy o gazetach piszących o bieżącej polityce czy gospodarce, to są tabloidy, których zasięg ogranicza się do Szkocji, w niektórych przypadkach tylko do Glasgow. Myślę, że istnieje bardzo mała szansa, że grupa powiązana z IRA choć

trochę interesuje się tym, co się dzieje w Szkocji, a my mielibyśmy całkiem dobry trop.

Lizarso popatrzył na niego zamyślony.

– Nie przestaniesz go śledzić, prawda?

– Nie. Nie mogę. Choć dzisiejszego wieczoru przez ciebie musiałem odpuścić. Ale jeśli to ten facet, o którym myślę, to nie będzie tracił czasu, zabije ponownie, o ile już tego nie zrobił. A na to nie mogę pozwolić.

Młodzieniec westchnął, jakby uzbrajał się w cierpliwość.

– No to w takim razie będziesz musiał poszukać sobie alibi.

– Alibi? – zapytał Noah. – Nie rozumiem.

– Alibi, przykrywkę, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Obecność Anglików w Bilbao jest powszechna, ale nie na tyle, żebyś był tu niezauważony. Mówisz bardzo dobrze, ale zdradza cię angielski akcent.

Noah prychnął poirytowany.

– Jestem Szkotem, i tak, sam już to zauważyłem.

Lizarso mówił dalej, jak gdyby nigdy nic:

– Bilbao to duża wioska w spokojnej dolinie, ludzie zaczną się zastanawiać i będą cię pytać, co tu robisz, czym się zajmujesz. Nawiązywanie rozmów i interesowanie się innymi to część tradycji *txikiteo*. Jeśli trzeci raz wejdiesz do tego samego baru, podadzą ci wino, zanim zdążysz je zamówić, będą już wiedzieć, czy pijesz białe, czerwone, czy różowe. Czy pijesz sam, czy czekasz na swoją ekipę, czy zwykle masz odliczoną sumę, czy płacisz banknotami, a w ciągu czterech dni będą wiedzieć, jak się nazywasz i gdzie pracujesz.

– Tak, to też zauważyłem.

– Poza tym podobasz się Maite, to normalne, że się tobą interesuje.

Noah uniósł brew. A Lizarso uśmiechnął się, zdumiony i w równym stopniu zadowolony, gdy uzmysłowił sobie, że teraz to on kontroluje sytuację.

– Nie wierzę, taki bystry glina i jeszcze się nie pokapowałeś? Na miłość boską! Przecież jak tylko wchodzisz, od razu idzie z tobą rozmawiać.

– Rozmawia ze wszystkimi.

– Ale nie tak jak z tobą.

– Ja nie widzę w tym nic nadzwyczajnego – rzucił skrzepowany Noah. – Poza tym ona chyba ma męża, który się tam kręci.

– Kintxo? A skąd! Rozwiedli się lata temu. Ona jest sama, ale on był nawet w innych związkach, choć zawsze szybko się rozpadały. Po części pewnie dlatego, że facet nie jest zbyt pracowity. Robił w porcie, w odlewni, próbował nawet swoich sił w marynarce handlowej i na platformach wiertniczych, kilka lat spędził za granicą, ale wrócił. Zajmuje się córką i od czasu do czasu wpada do baru, żeby wyciągnąć od Maite jakieś pieniądze, ale nic ich nie łączy.

– Jesteś świetnie poinformowany.

– Mówiłem ci już, że od trzech miesięcy przyglądam się Irlandczykowi. Jestem stałym bywalcem tego baru i uwierz mi, mnie też swego czasu wypytywali. Oficjalnie jestem studentem czwartego roku prawa na Deusto. W każdym razie zapewniam cię, że nigdy przedtem nie widziałem, żeby Maite tak bardzo się kimś zainteresowała.

– Nie, to nie prawda – odparł Noah wymijająco.

Mikel się uśmiechnął, wzruszając ramionami.

– Jak sobie chcesz. Ale lepiej, żebyś miał przygotowaną dobrą odpowiedź, kiedy cię zapytają. Maite to robi, ale inni też. Albo lepiej: zostawiaj tropy. Ludzie łatwo przekonują się do tego, czego się domyślają, a niczego nie lubią tak bardzo jak potwierdzenia swoich podejrzeń. Tak więc ja na twoim miejscu zostawiałbym okruchy.

– Okruchy?

– No wiesz, jak w tej bajce, znaki, żeby wyciągali własne wnioski. Coś jednak musisz zrobić. Irlandczycy są bardzo pewni siebie, a ostatnie, czego chcemy, to żeby zaczęli zadawać pytania na twój temat – powiedział, celując w Noaha palcem – a w konsekwencji zwrócili na nas uwagę. – Przysunął się do niego. – Prowadzimy tę operację od miesięcy, jesteśmy w decydującym momencie,

uważamy, że w najbliższych dniach dojdzie do kontaktu, na który czekamy od tygodni. Jesteś na bieżąco z naszą sytuacją polityczno-społeczną?

Noah wzruszył ramionami.

– Nie interesuje mnie ona.

Lizarso wyprostował się na krześle, po czym nachylił się nieznacznie. W tym momencie wydawał się starszy, jakby nagle przybyło mu pięć lub sześć lat.

– Posłuchaj, Scott Sherrington. To jest moja ziemia, moja ojczyzna, a to, co się tutaj dzieje, jest bardzo poważne. Przeżywamy historyczny moment, utworzenie *Ertzaintzy* zmieni wszystko, od lat próbujemy zakończyć tę wojnę, ale pośrodku jest wiele interesów, zarówno ze strony organizacji terrorystycznej, jak i niektórych osób z rządu, ludzi, którym zależy na tym, żeby to nie ustało. Sam widziałeś, że atmosfera na ulicy jest gorąca ze względu na tę sprawę z flagami. Ale nie daj się zwieść, to tylko sztuczka. Jeśli z nakazu gubernatora policja siłą zajmie urząd miasta, politycznie zostanie to odczytane jako wielka zniewaga, na którą odpowie ulica. W środku tego wszystkiego spodziewane jest spotkanie między kierownictwem ETA i IRA. A może myślisz, że nasi irlandzcy przyjaciele przyjechali tu tylko po to, żeby pić piwo? Obserwujemy ich od miesiący, mamy założony podsłuch w ich pensjonacie, a ja śledzę ich codziennie. Tak więc jest mi wszystko jedno, czy interesuje cię polityka, czy nie, nie obchodzi mnie, czy jesteś Anglikiem, czy Szkotem; jeśli chcesz, żebym ci pomógł, masz sobie poszukać porządnego alibi, czegoś, co nie wzbudzi niczyich podejrzeń. Jeśli tego nie zrobisz, będę miał gdzieś, że stawisz się w Arkaute i będziesz krzyczał przez megafon, że mnie rozbroiłeś. Nie pomogę ci.

Noah podniósł dłonie w pokojowym geście.

– W porządku. Poszukajmy tego alibi. I dla twojego spokoju: nie mam zielonego pojęcia, co to jest Arkaute.

Młody *ertzaina* westchnął i się rozluźnił, ponownie odchyłając się na oparcie krzesła.

– Arkante to siedziba akademii *Ertzaintzy*. Tam wszyscy się szkolimy, żeby być jak najlepszą policją dla naszego ludu.

Noah przytaknął, nie przestając na niego patrzeć. Jego idealizm ocierał się o komizm.

Lizarso wrócił do swojego pomysłu.

– Potrzebujesz alibi, którego nie da się obalić za pomocą czterech pytań. Ludzie, którzy pracują w porcie, w odlewniach albo w stoczniach, znają się między sobą, przynajmniej z widzenia. A jeśli nie, to i tak wszystkiego łatwo się dowiedzieć.

– A w przypadku studentów nie jest tak samo? Nikt się nie zastanawia, dlaczego nie chodzisz na zajęcia?

– Obserwację prowadzimy także na uniwersytecie, więc czasami chodzę, choć stopniowo zyskałem opinię marnego studenta, wiesz, dużo imprezowania, mało nauki. W każdym razie teraz są wakacje, wykłady zaczynają się dopiero w październiku.

Noah przytaknął zamyślony.

– To musi być jakieś zajęcie, które pozwoliłoby mi pracować w elastycznych godzinach...

– Zawsze czytasz prasę sportową – zauważył Lizarso.

– Nie czytam jej, uwierz mi. Przeglądam gazety, żeby unikać rozmów z innymi klientami.

– Ale wiesz, że Athletic wygrał ligę hiszpańską.

– Trudno nie wiedzieć – rzucił Noah, wskazując wiszący nad kontuarem plakat zespołu z pucharem.

– Ale może nie wiesz – dodał Lizarso – że drużyna rezerw, Athletic B, także zdobyła mistrzostwo. To wielkie osiągnięcie. W meczu z ósmego maja, na dwie kolejki przed końcem sezonu, zostali mistrzami trzeciej ligi.

– No proszę, imponujące – przyznał Noah bez większego entuzjazmu. – Ale nie widzę związku z...

– Od zakończenia rozgrywek chodzą słuchy, że przyjeżdżają tu zagraniczni skauci, żeby pozyskać naszych wychowanków.

– I?

Lizarso uniósł ręce wobec tej oczywistości.

– Jesteś Anglikiem.

– Szkotem.

– W tym przypadku Anglikiem – powiedział z uśmiechem.

Wyciągnął z dyspensera papierową serwetkę, z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjął długopis i zaczął pisać. Zajęło mu to niecałą minutę. Odwrócił serwetkę, umieszczając ją przed Scottem Sherringtonem.

Była to lista nazwisk.

Iru, Murúa, Bakero, Salinas, Andrinúa, Azpiazu, Kortajarena, Eguileor, Arrien, Rastrojo, Oskar.

Noah spojrzał na niego pytająco.

– To skład z meczu z ósmego maja – wyjaśnił *ertzaina*. – Zapamiętaj go, a od czasu do czasu pożycz od kogoś w barze długopis, zapisz dwa, trzy nazwiska na serwetce, tak jak teraz ja, a później ją pomnij i zostaw na kontuarze. W całym Bilbao nie znajdzie się ani jeden kelner, który nie rozpoznałby tych nazwisk, ani żaden na tyle głupi, żeby nie wyciągnąć własnych wniosków, a do tego milczeć, kiedy można się podzielić tak soczystymi plotkami.

– To nie jest głupie – przyznał Noah, wstając.

– Nie wypiełeś whisky – zauważył Lizarso, patrząc na szklankę z nietkniętym bursztynowym płynem.

– Już nie piję. Poza tym jest bardzo późno, a przez ciebie straciłem szansę na śledzenie mojego człowieka – przypomniał mu ponownie Noah, nie kryjąc irytacji.

Lizarso zignorował wyrzut, wstał i ruszył za nim.

– Skoro nie pijesz, to po co zamawiasz?

Noah odwrócił się na chwilę, by mu odpowiedzieć:

– Pies to pies.

Bilbao

Sobota, 20 sierpnia 1983

Tej nocy inspektor Scott Sherrington znowu śnił, że umiera. A świadomość, że to tylko sen, absolutnie nie łagodziła tego potwornego uczucia. Ponownie słyszał smutny płacz, tak wyraźny pośród huku burzy. Moment, w którym płacz był tak czysty i niepokojący, że odwrócił się w stronę samochodu Clyde'a, przekonany, iż usłyszał szloch tej nieszczęsnej dziewczyny. Sposób, w jaki Biblijny John podniósł ubłoconą głowę. Potem nadciągnęła fala, niczym uderzenie gorąca i zimna prosto w splot słoneczny. Wszystko zgasło, pogrążając go w absolutnych ciemnościach. Nagle mrok zaczął się poruszać, rozpuszczać, jak coś organicznego i bezkształtnego, co powoli się rozkładało, zamieniając się w galaretę. Najpierw czuł, jak do niego przywiera, owijając cienką warstwą jego ręce, nogi, tułów, nos i usta. Ciemność wnikała w niego, próbując przywłaszczyć sobie jego całego, i w tym momencie panika stawała się tak wielka, że się budził.

Otworzył oczy, czując, jak szybko bije mu serce. I mimo że zdrowy rozsądek kazał mu zapomnieć o tym śnie, on dołożył starań, żeby go zapamiętać, zmusił się nawet do zamknięcia powiek, aby zatrzymać pod nimi wspomnienia, które zniknęły już niczym wampir w świetle słońca. Młode kobiety wypływające ze swoich grobów, huk burzy, błyskawice rozświetlające wzgórza wokół jeziora, Biblijny John podnoszący głowę, żeby zaczerpnąć tchu, dźwięk płaczu, który dochodził ze wszystkich stron. Oraz sposób, w jaki John się odwrócił, akurat w tej chwili. Leżąc

w swoim łóżku, w pensjonacie Gwiazda, Scott Sherrington otworzył oczy, spojrzął prosto na biały sufit i wyszeptał:

– On też to usłyszał.

Ta pewność towarzyszyła mu przez cały poranek, niczym informacja, którą uważał za cenną, lecz nie wiedział, jak ją wykorzystać.

Między placem Moyúa a ulicą Marqués del Puerto rozciągała się witryna Radio Ortega, która była barwną wystawą sprzętów najnowszej generacji: maszyny do pisania Olivetti we wszystkich dostępnych kolorach, umieszczone schodkowo na stojaku zwieńczonym nazwą marki; przenośne gramofony w pomarańczowych, zielonych i niebieskich walizkach; wielkie jak pralka zestawy hi-fi wciśnięte w meble; magnetofony jedno- i dwukasetowe oraz tranzystory różnej wielkości, a wśród tych wszystkich sprzętów okładki popularnych winyli, które przejrzał z zaciekawieniem – Francisco, Camilo Sesto, Julio Iglesias, Mari Trini, Tino Casal. Znalazł tylko jedną płytę po angielsku – był to singiel Nika Kershawa *Wouldn't It Be Good*. Nad nimi wszystkimi królował Mocedades. Kilkanaście egzemplarzy płyt tego zespołu tworzyło swoisty ołtarzyk, który ktoś posypał złotym konfetti i przyozdobił serpentynami w tym samym kolorze. Sześcioro członków grupy pozowało na okładce, byli ubrani na czarno i tak eleganccy, jakby wybierali się do opery. Zresztą na tylnej okładce widać ich na schodach, które równie dobrze mogły prowadzić do mediolańskiej La Scali. Po wejściu do sklepu Noah rozpoznał charakterystyczne dźwięki wiolonczeli z pierwszych akordów tej popularnej piosenki. Dobiegały ze wspaniałego sprzętu ustawionego strategicznie naprzeciwko drzwi. Noah przystanął, żeby posłuchać, a sprzedawca w garniturze podszedł do niego uśmiechnięty i zadowolony. Musiał przyznać, że ta muzyka jest piękna, cała orkiestra symfoniczna akompaniowała głosowi Amayi Urangi. Na tekst składały się wzniosłe, pełne pasji i cierpienia wersy, ale i muzyka była wspaniała.

– Brzmi cudownie, prawda? – zapytał sprzedawca, zatrzymując się przy nim.

Noah przytaknął.

– Muzyka... – zdołał wydusić.

– Cóż, muzyka nie jest ich autorstwa, to intermedio z zarzuela *La leyenda del beso*, o czym niewiele osób wie. – Przyglądał się twarzy klienta, być może szukając na niej rozczarowania.

Ale Noah tylko wyszeptał:

– Wspaniała muzyka.

– Właśnie, co za różnica, skoro ostatecznie powstaje coś pięknego.

Scott Sherrington przytaknął, nie wiedząc za bardzo, co sprzedawca ma na myśli.

– Jeśli należy pan do tych osób, które potrafią docenić porządne rzeczy, to może zainteresuje pana nabycie tak dobrego sprzętu jak ten.

Noah otrząsnął się z zamyślenia.

– Och, nie. Chciałbym tylko tranzystor, żeby słuchać radia.

Sprzedawca, może nieco rozczarowany, rzucił ostatecznie spojrzenie na sprzęt muzyczny, a potem się odwrócił, wskazując ręką wewnątrz lokalu, i poprowadził tam Noaha.

Wracał spokojnym krokiem tego chłodnego poranka, który zaczął się dość pochmurnie, ale teraz niebo zaczynało się przejaśniać. Zatrzymał się przy kiosku. Jego przygoda z tanim winem z czwartkowej nocy nie tylko nie pozwoliła mu śledzić podejrzanego – wynikłe z tego konsekwencje następnego dnia uniemożliwiły mu skontaktowanie się z sekretarką MacAndrews i odebranie gazet. W sumie dziesięciu, bo prócz tych, które go interesowały, teraz potrzebował jeszcze trzech dzienników sportowych. Chociaż na razie nie odważył się zapytać, kto jeszcze kupuje szkocką prasę, nie wykluczał, że kioskarz komentuje to z innymi klientami, tak samo jak wcześniej z nim. A jeśli tak było, wolał, żeby w jego intencjach przeważało zainteresowanie sprawami piłkarskimi. Patrząc na cały stos, zastanawiał się, czy informacje, jakie miała mu do przekazania Olga, również tak się skumulowały. Choć nie żywił żadnej nadziei, że w sobotni poranek zastanie kogoś w biurze MacAndrews, pierwsze, co zrobił po wyjściu z pensjonatu, to

zatelefonował do Olgi. Odpowiedziała mu automatyczna sekretarka, podając numer, pod który należy dzwonić w nagłych przypadkach, i zapraszając do pozostawienia wiadomości.

Znowu rozmyślając o swoim błędzie z czwartkowej nocy, pokręcił głową, spoglądając na stos gazet. Kioskarz włożył je do dwóch toreb, a Noah wsunął do jednej z nich pudełko z tranzystorem. Obładowany pakunkami, ruszył w dół alei w kierunku Siedmiu Ulic; kiedy był już niedaleko starego miasta, poczuł się gorzej. Pozbawiony tchu, musiał dwukrotnie przystawać, udając zainteresowanie wystawami sklepów. Jego oddech stał się płytszy i szybszy, już niemal dyszał, i dobrze wiedział, co nadejdzie potem. Gdy zauważył pierwsze oznaki zawrotów głowy, wszedł do kawiarni. W środku były same kobiety, zarówno wśród obsługujących za ladą, jak i klienteli. Znalazł stolik w głębi i usiadł niemal plecami do wejścia, udając, że czyta swoje gazety, aby odciągnąć ciekawskie spojrzenia. Zamówił kawę, a w oczekiwaniu na nią odkręcił piersiówkę i obróciwszy się na bok, ukradkiem pociągnął łyk.

Kiedy wróciła kelnerka, czuł się już znacznie lepiej.

– Mogę dodać panu do kawy kilka kropel koniaku albo whisky, jeśli pan chce...

Scott Sherrington uświadomił sobie, na co to wyglądało.

– Och, nie. To lekarstwo, dziękuję.

– Oczywiście – odpowiedziała krótko i wróciła na swoje miejsce za kontuarem.

Choć wypił ledwie łyk kawy, spędził tam dłuższą chwilę, odzyskując siły. Jedną po drugiej przeglądał gazety, szukając informacji związanych z nim samym, z Biblijnym Johnem albo z postępami w śledztwie. Wyjmował interesujące go strony, a kiedy skończył, miał niewiele więcej niż kilkanaście kartek, które wsadził do torby razem z tranzystorem. Pozbywszy się nieco ciężaru, zostawił na stoliku stos brytyjskich gazet, prawie nietkniętą kawę i szczodry napiwek.

Po powrocie do pokoju potrzebował zaledwie dziesięciu minut, żeby rozpakować tranzystor, wpiąć kabel i po uciążliwym wysiłku związanym z przesuwaniem stolika, aby znaleźć miejsce do podłączenia, zdołać uruchomić

urządzenie. Ustawił stację, do której ludzie dzwoniли, żeby zamawiać piosenki. Poczuł się trochę głupio, kiedy ogarnęła go dziwna radość na dźwięk głosu prezentera. Cudowny zachrypnięty wokal Bonnie Tyler i pierwsze dźwięki *Total Eclipse Of The Heart* wystarczyły, by pogrążył się w melancholii.

– *Total eclipse...* – wyszeptał w tej samej chwili, kiedy wydawało mu się, że słyszy pukanie do drzwi. Zmniejszył głośność tranzystora i teraz usłyszał je wyraźnie.

– Panie Scott, kolega do pana – dobiegło go wołanie właścicielki pensjonatu.

Otworzył drzwi i rzucił kobiecie pytające spojrzenie, przekonawszy się, że jest sama.

– Pański kolega czeka na dole – wyjaśniła najuprzejmiej, jak potrafiła. – Wie pan, że wizyty są zabronione, choć w pańskim przypadku mogłabym zrobić wyjątek.

Na twarzy kobiety pojawił się grymas. Scott Sherrington był pewien, że próbowała się uśmiechnąć, lecz nie udało jej się to. Przeszedł obok niej, zamykając za sobą drzwi.

– Proszę się nie przejmować, i tak miałem już wychodzić.

– Jak pan sobie życzy – odpowiedziała, robiąc tę samą minę.

Scott Sherrington nie mógł się zdecydować, czy bardziej irytowała go wtedy, kiedy była wrogą wiedźmą, czy teraz, kiedy starała się być miłą.

Lizarso czekał na niego w westybulu. Nawet się nie przywitał. Oddychał spokojnie, ale jego twarz błyszczała w taki sposób, że Scott Sherrington pomyślał, iż najpewniej tu przybiegł.

– W torebce dziewczyny znaleziono tampony.

W pobliżu miejsca, w którym służby sprzątające znalazły torebkę, mieściły się trzy lokale handlowe: pasmanteria, której właścicielka nie wiedziała nic o sprawie; sklep spożywczy, prowadzony przez młode małżeństwo, które także niczego nie widziało; oraz bar Avenida, pozbawione uroku miejsce ze świetlówkami

rzucającymi na klientów ponure światło. Na podłodze walały się puste torebki po cukrze i rozgniecione pety. Kontuar był wyłożony zielonymi płytkami, a drewniana powierzchnia lśniła pod warstwą lakieru.

Zamówili dwie kawy i czekali, aż lokal opustoszeje. Mikel wyjął swoją odznakę i wylegitymował się jako *ertzaina*.

– Służby sprzątające znalazły czerwoną torebkę powieszoną na żywopłocie naprzeciwko baru. Widział ją pan, a może wie, jak mogła się tam znaleźć?

Właściciel skrzyżował ręce na piersi i oparł się o blat.

– To było dwa, może trzy dni temu. Mieliśmy już zamknięte, ale zostawiamy rolety zaciągnięte do połowy, żeby podłoga wyschła po umyciu. Schyliłem się, żeby wylać na zewnątrz wodę, i zobaczyłem klienta, który wieszał torebkę na krzaku tam naprzeciwko – powiedział, wskazując podbródkiem w stronę ulicy.

– Klient pańskiego baru?

Mężczyzna się zawahał.

– Cóż, to nie jest stały klient, raczej pijaczyna z rodzaju tych, co to zjeżdżają się na święto. Kupuje wino na butelki i idzie gdzieś je wypić. Nie przeszkadza, nie sprawia problemów.

– Wie pan, jak się nazywa?

– Wiem tylko tyle, co sam mówi, ale to pijak. – Mężczyzna wzruszył ramionami. – Czasami zaczyna gadać sam z siebie. Ma na imię Juanito i opowiada, że jego ojciec jest bogatym armatorem z Pasaia, ale kto go tam wie. Ubiera się dobrze, ale przydałaby mu się kąpiel, rozumie pan, możliwe nawet, że to prawda, co mówi.

– Kręci się w tej okolicy?

– Zatrzymał się w pensjonacie... Mari! – zawołał, odwracając się w stronę kuchni. – W którym pensjonacie zatrzymał się ten pijak Juanito?

Kobieta z wypiekami na twarzy wyjrzała zza zasłony z koralików w tym samym kolorze co płytki kontuaru.

– Mówił, że w jednym z tych niedaleko nabrzeża Anglików, w pensjonacie Mazarredo, a może Casa Sánchez... – odpowiedziała, po czym wróciła do kuchni.

Do lokalu weszli klienci, więc właściciel musiał zakończyć rozmowę.

– Dziękuję panu za pomoc. Ach, jeszcze jedno: czy sprawdził pan, co było w torebce?

– Moja żona ją otworzyła. W środku były dokumenty i dziewczynskie rzeczy, no wie pan, do makijażu i takie tam. Nie było pieniędzy. Pomyśleliśmy, że pewnie zgubiła ją jakaś panienska, i zostawiliśmy ją tam. Ludzie zwykle się wracają, kiedy coś gubią. Uznaliśmy, że lepiej zostawić ją na widoku i tyle.

Dochodziło południe, kiedy znaleźli pensjonat. Weszli po schodach, ale nie liczyli na to, że o tej porze zastaną tu mężczyznę. Drzwi otworzyła im młoda kobieta i zaprosiła ich do środka. Juanito Mendi przyjął ich w hostelowej kuchni. W garnku na kuchence coś się gotowało, powietrze wypełniał aromat cebuli, porów i marchwi.

– *Porrusalda* – wyszeptał Mikel.

Mężczyzna poprosił, by usiedli, i przeprosił, wskazując kubek kawy przed sobą.

– Przykro mi, że nie mogę panów poczęstować, kawa jest tylko dla gości hostelu, właścicielka odmierza ilość.

Noah przyglądał się mężczyźnie. Był jeszcze młody, co najwyżej trzydziestoletni. Właściciel baru Avenida miał rację: nosił dobrej jakości ubrania, ale wisiały na nim, jakby szybko stracił na wadze. Scott Sherrington rozpoznał wszystkie objawy zaawansowanego alkoholizmu. Osłabione mięśnie, szara skóra, przekrwione oczy, powolne ruchy, głęboki smutek. Wiedział, że ten człowiek jest umierający, tak samo jak on; jedyna różnica polegała na tym, że Noah nie chciał umierać, a Juanito Mendi – owszem.

Mikel powiedział mu, że służby sprzątające znalazły torebkę, którą on powiesił na żywopłocie. Nie dał mu nawet możliwości, by temu zaprzeczył.

– Chcemy wiedzieć, jak trafiła w pańskie ręce. Gdzie pan ją znalazł?

Mendi zwlekał kilka sekund, dopijając kawę. Potem też mówił niewiele, ale wszystko, co powiedział, było cenne.

– Zamierzałem właśnie wracać do pensjonatu, zrobiło się późno. Nie wiem, która była godzina, ale już po zamknięciu baru. Torebka spadła prawie pod moje nogi. Podniosłem ją i wyszedłem na drogę. Biały samochód zatrzymał się kilkanaście metrów dalej. Kierowca wysiadł i myślałem, że po nią wróci, ale on poszedł na drugą stronę pojazdu i zamknął tylne drzwi, które były otwarte. Wystawały przez nie ręka i długie włosy. Wepchnął je do środka, zamknął drzwi, a potem spojrzał na mnie... tak jakby... – Zrobił pauzę, wodząc spojrzeniem smutnych oczu od jednego rozmówcy do drugiego.

– Mógłby go pan rozpoznać, gdyby znowu go zobaczył?

Juanito Mendi prawie się uśmiechnął.

– Było późno, kręciłem się tam cały dzień – powiedział w ramach wyjaśnienia, choć obaj mężczyźni zrozumieli, że o tej porze Juanito Mendi miał już we krwi dzienny limit procentów, i to z nadstatkiem. – Facet wyglądał normalnie, zwyczajnie, wydawał się młody, chociaż równie dobrze mógł być nieco starszy...

Noah pokręcił głową, myśląc o tym, że to zawsze był atut Biblijnego Johna: wyglądać normalnie, zwyczajnie.

Ale wtedy Juanito „Pijak” powiedział coś zaskakującego:

– Gdybym zobaczył go ponownie, na pewno bym go rozpoznał.

– Dlaczego? – zapytał Noah.

– Bo kiedy na mnie spojrzał, zamierzał mnie zabić. – Obserwował obu mężczyzn, jakby ich prowokował, by mu zaprzeczyli. – Potem zmienił zdanie, ale wciąż o tym myślał. – Powiedział to z niebywałym spokojem.

Scott Sherrington był pewien, że w jakiejś mierze Juanito Mendi żałuje, że tak się nie stało. Samobójca z powołania.

Po powrocie na stare miasto Noah nalegał, żeby obejść okolice kościoła Świętego Mikołaja, gdzie dwie noce wcześniej widział Johna wsiadającego do

białego samochodu. Znaleźli cztery pojazdy, które mogły pasować do mętnych wspomnień Noaha i do opisu Juanita Mendiego, piąty był zaparkowany na wprost kawiarni El Tilo.

Po wejściu do baru Maite zastali niecodzienną ciszę. W radiu relacjonowano właśnie siłowe wtargnięcie policji, z nakazu gubernatora, w celu umieszczenia hiszpańskiej flagi na balkonie ratusza. Sesja została przerwana i mówiło się o starciach w okolicy urzędu miasta. Ale tak samo jak poprzedniego dnia klimat święta zdawał się przyćmiewać napięcia polityczne. Przy Arenal, na ulicach Bidebarrieta, Correo czy Artecalle atmosfera zachęcała do napicia się wermutu w oczekiwaniu na to, że po południu zostanie wystrzelony – jeszcze nie było wiadomo skąd – fajerwerk, który da początek Aste Nagusia.

Maite się uśmiechnęła, udając zaskoczenie na widok Noaha wchodzącego do baru razem z Lizarso.

– Och! Anglik, który przybył do Bilbao, i przyszedł prawnik, ile tu dobra!

Speszony Noah poszedł w głąb lokalu, za nim *ertzaina*. Maite ruszyła w ich stronę, ale po drodze się zatrzymała, by zmienić stację na muzyczną i zapalić świeczkę, która stała przed małą drewnianą figurą.

– Co to za święta? – wyszeptał Noah do Lizarso.

Zamiast odpowiedzieć, Mikel zwrócił się do kelnerki:

– Maite, słyszałaś to? Pan pyta, co to za święta.

– Jaka święta? *Amatxu*? – odparła, udając oburzenie. – To Dziewica Begoña, patronka Bilbao i prowincji Bizkaia. Moja córka, podobnie jak wiele tutejszych dziewcząt i kobiet, nosi jej imię, choć w domu wołamy na nią Bego. A *Amatxu* dlatego, że my, mieszkańcy Bilbao, mówimy tak o niej pieszczotliwie, można to przetłumaczyć jako „mamusia”. Ale teraz, kiedy tworzycie grupkę – powiedziała, zwracając się do Mikela – powinienesz zabrać go do skarbonki *txikiteros*.

– Bazylika stoi na wzgórzu nad Siedmioma Ulicami – wyjaśnił *ertzaina*. – U zbiegu ulic Pelota i Santa María znajduje się punkt, z którego można ją

zobaczyć, jest oznaczony na chodniku gwiazdą. Jest tam też skarbonka *txikiteros*, gdzie mężczyźni przynoszą dla *Amatxu* datki i śpiewają w dniu jej święta, jedenastego października. To długa tradycja.

– I zapalasz jej świeczkę, żeby ją o coś prosić? – zapytał Noah, nie odrywając wzroku od Maite.

– Jasne – odparła, patrząc mu z uśmiechem prosto w oczy.

– A o co ją prosisz? – dociekał.

Zaśmiała się, odrzucając głowę do tyłu. Jej śmiech był czysty, ciepły. Twarz Noaha się rozjaśniła, gdy tak na nią patrzył. Lizarso obserwował ich rozbawiony.

– To prywatne sprawy, Angliku Noah – odparła uszczypliwie.

– Ja tam nie wiem – wtrącił Mikel – ale ponoć wiele tutejszych kobiet modli się tak:

Dziewico Begoña,

Daj mi drugiego męża,

Bo ten obecny

Już ze mną nie śpi.

– Tak? – dopytywał Noah.

– Ja nie proszę o męża, tylko o miłość – przyznała Maite, po czym odeszła, zostawiwszy im dwa piwa.

Gdy tylko się oddaliła, poczuli, jakby cała dobra energia zniknęła razem z nią.

Noah zaczął się bawić swoją szklanką, Lizarso obserwował melancholijny wyraz jego twarzy, z jakim od czasu do czasu popatrywał na krzątającą się wzdłuż baru Maite. Scott Sherrington był dziwnym gościem, wyglądał na dobrego policjanta, z rodzaju tych mocno zaangażowanych w swoją pracę. Ale było coś jeszcze, coś, o czym mu nie mówił, a co Mikelowi wydawało się ogromnie ważne. Musiało mieć to jakiś związek z tym, jak patrzył na Maite i jak z nią rozmawiał. Było oczywiste, że kobieta mu się podoba, ale kiedy jej się przyglądał, robił to tak, jakby w dowolnej chwili mogła zniknąć, jakby wisiał nad nią nieunikniony wyrok, jakby z jakiegoś powodu, który znał tylko on, nie mógł jej kochać. Jak gdyby

w jakiś sposób to było dla niego zakazane. I wtedy pomyślał, że to samo widział tego dnia w oczach Juanita Mendiego.

Lizarso przysunął nieco swój stołek do taboretu Noaha, nachylił się, tak żeby pozostali klienci nie mogli go słyszeć, i wyszeptał:

– Myślisz, że Mendi naprawdę mógłby rozpoznać tego człowieka podczas okazania?

Noah zastanawiał się przez chwilę.

– Nie chodzi o to, czyby go rozpoznał, tylko o to, kto potraktowałby go poważnie. Sam go widziałeś. Możliwe, że dziś by to zrobił, ale za trzy dni? To alkoholik. Co jak co, ale umiem rozpoznać, kiedy ktoś ledwo trzyma się na nogach. Za trzy dni może już nie żyć. – Noah spuścił wzrok, świadomy, że równie dobrze mógłby mówić o sobie.

Lizarso spojrzał na niego nieco zdezorientowany. Znowu to spojrzenie, ten gest. Chciał go o to zapytać, ale Noah nie dopuścił go do głosu.

– Biblijny John zawsze potrafił się dobrze ukrywać, szary morderca, niewidzialny potwór. Był w miejscach publicznych razem z setkami osób, a nikt nie potrafił go dokładnie opisać.

– Nawet ty.

Otworzył usta i wziął głęboki oddech. Ale nie odpowiedział.

– Nie chciałem niczego sugerować, po prostu... Nie powiedziałem ci wszystkiego.

Noah spojrzał mu w oczy, domagając się wyjaśnień.

– Odrobiłem pracę domową. Pewnie nie wiesz, że niektórzy dowódcy w *Ertzaintzie* wywodzą się z wojska albo z policji. Tak tylko przejściowo, dopóki nie zaczną awansować nasi... Ale mamy przynajmniej kontakt z innymi formacjami, bo na Gwardię Obywatelską oczywiście nie można liczyć, nie dadzą nam nawet butelki wody...

– Do brzegu – ponaglił go Noah.

– Zaginęła jeszcze co najmniej jedna dziewczyna.

– Co? – Uświadomił sobie, że odezwał się bardzo głośno, zwracając uwagę bliżej siedzących klientów. Spostrzegł też, że w którymś momencie do baru weszli Irlandczycy. Ani John Murray, ani ten cały Collin jeszcze do nich nie dołączyli. Pochylił się i spuścił głowę, żeby wysłuchać Lizarso.

– Jedna na pewno. Delia Vázquez, dwadzieścia trzy lata. Służąca w bardzo szanowanym domu w Bilbao, z tych, co to mają liczną służbę. Pracodawcy zgłosili zaginięcie na policji. Podobno dziewczyna pracuje w tym domu od dwóch lat i jest godna zaufania. Nie ma po niej śladu, odkąd miała wychodne, a nie zabrała ze sobą ani bagażu, ani żadnej swojej rzeczy. Ostatni raz widziano ją z koleżankami w dyskotecce Arizona. To sala, do której często przychodzą dziewczyny zatrudnione jako służące, bardzo duża i bardzo popularna w Bilbao. Koleżanki Delii twierdzą, że widziały, jak rozmawiała z jakimś chłopakiem. Dlatego wspomniałem o okazaniu. Jestem ciekaw, czy ktoś mógłby wskazać go palcem.

– Koleżanki opisały mężczyznę, którego widziały?

Ertzaina wypuścił powietrze z płuc.

– Tak, chociaż nie widziały go zbyt dobrze. Zwyczajny facet, krótkie włosy, normalny wzrost, normalna waga...

– Powiedziałeś, że co najmniej jedna. Jest więc druga?

– Drugą trzeba jeszcze potwierdzić. Dziś rano poszedłem do domu, w którym pracowała pierwsza dziewczyna, i jedna ze służących powiedziała mi, że ostatnio dzieje się coś dziwnego, że Delia nie jest pierwszą dziewczyną, która zniknęła z dyskoteki Arizona. Policja nie dostała więcej zgłoszeń. Może wieczorem moglibyśmy się tam pokręcić i popytać.

Noah spojrział na niego przygnębiony.

– To on – powiedział bardzo cicho. – Powtarza to krok po kroku, rozumiesz?

Mikel pokręcił głową, jakby dla niego to było nie do pomyślenia.

– Ale przecież to niebywałe, dwa razy z rzędu i w tej samej dyskotecce?

– Tak właśnie lubi łowić. W Glasgow zabrał trzy ofiary z dyskoteki Barrowland.

Lizarso wskazał w stronę wejścia. John Murray i Collin właśnie dołączyli do Michaela i „Ciemnego”, ale nie zostali w barze. Zapłacili za kolejkę i wyszli na ulicę. Lizarso ruszył do wyjścia i wyjrzał na zewnątrz, żeby sprawdzić, w którą stronę poszli, a Noah czekał, żeby zapłacić.

Kiedy Maite się nachyliła, żeby tylko on mógł ją usłyszeć, zrobił to samo. Byli bardzo blisko siebie, Noah czuł zapach mydła na jej skórze, jej włosy musnęły go przelotnie i musiał zamknąć oczy w obliczu fali doznań, jaką to w nim wzbudziło.

– Na koszt firmy – wyszeptała.

Spojrzał na nią zaskoczony. W ciągu ostatnich trzech miesięcy, jakie spędził w Marinie, codziennie chodził do tego samego pubu i właściciel ani razu mu nie postawił.

– Dlaczego? – zapytał, choć natychmiast poczuł, że to nie było mądre pytanie.

– Bo tak chcę – odparła stanowczo. – Czy może jesteś jednym z tych, co to nie przyjmują zaproszenia od kobiety?

Uśmiechnął się zachwycony. Lubił mieć ją blisko, pozwolił sobie nawet pomyśleć, jak by to było jej dotknąć.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, bo jeśli mam być szczery, spotyka mnie to po raz pierwszy. Nawet nie wiem, co powinienem zrobić, oczywiście oprócz tego, że muszę ci się odwdzińczyć.

– Nie wierzę. – Maite się roześmiała. – Jeśli czujesz się dłużny, możesz temu zaradzić, zapraszając mnie gdzieś.

Nie zastanawiał się długo, szczerą odpowiedź natychmiast pojawiła się na jego ustach:

– Bardzo bym chciał, Maite. – W sposobie, w jaki to powiedział, było coś, co nie pozostawiło żadnych wątpliwości. Tak, chciałby, tak, pragnie tego, tak.

Odsunęła się nieco i spojrzała mu w oczy. Wtedy Noah zrozumiał, że popełnił błąd. Co on wyrabiał?

Pożegnał się nieporadnie i wyszedł za Lizarso, który czekał na zewnątrz.

Tym razem Irlandczycy ruszyli w stronę ulicy María Muñoz. Bary znajdowały się po obu stronach, ludzie siedzieli w lokalach albo stali na zewnątrz ze szklankami w dłoniach. Wznosili toasty, trącając się szkłem z winem, trzymali talerze z krokietami albo panierowanymi kalmarami. Noah nie krył zaskoczenia, gdy zobaczył, że w połowie ulicy znajduje się komisariat policji. Gdy przechodzili obok, Lizarso wskazał mu zamknięty bar.

– Mikeldi działał tuż pod nosem komisariatu policji i w latach frankizmu był bastionem ruchu oporu. Mówi się, że spośród niezliczonych zniewag właściciela baru pod adresem sąsiadów z naprzeciwka ta najszlachetniejsza kosztowała go areszt i sześciomiesięczne zamknięcie lokalu. W dniu zamachu na Carrero Blanco, premiera i najbliższego współpracownika Franco, w środku dyktatury, wywiesił na drzwiach swojego baru kartkę z napisem: „Dziś sprzedajemy tylko czerwone wino, białe idzie w górę”⁹. – Roześmiał się na to wspomnienie, po czym wyjaśnił Noahowi polityczne okoliczności, w jakich do tego doszło.

Noah nie widział w tym nic śmiesznego prócz talentu właściciela baru Mikeldi do metafor.

– Nic dziwnego, że Irlandczycy czują się tu tak dobrze. Tak naprawdę wy, Baskowie, i Irlandczycy jesteście do siebie bardzo podobni – zauważył.

– Ach tak? W czym jesteśmy podobni?

– Na pewno w poczuciu humoru i w tych waszych niepodległościowych roszczeniach.

Lizarso uniósł brwi, zaskoczony.

– Rozwiń.

– Doskonale rozumiem represje w czasie dyktatury wojskowej. Ale jesteś policjantem, najpierw wygłaszasz mi mowę o tym, jak ważne jest zatrzymanie bandytów, którzy stoją za terroryzmem w twojej ojczyźnie, w portfelu z dumą nosisz odznakę, na której napisano, że jesteś strażnikiem ludu, a chwilę potem zdajesz się usprawiedliwiać, niemal z szacunkiem, rzekomy opór swoich rodaków przeciwko „wrogowi”. Służbę wojskową odbyłem w Irlandii, poznałem tam nawet

dziewczyne, z którą się spotykałem. Miałem dość wysłuchiwania patriotycznych przemówień tych, którzy popierali Irlandzką Armię Republikańską; nazywali ją armią, siebie określali mianem ruchu oporu, ale to tylko grupa terrorystyczna, tak samo jak ETA. Nie rób takiej miny – powiedział, widząc niezadowolenie na twarzy swojego kompana. – Doceniam idealizm, myślę, że tak naprawdę tkwi on we wszystkich policjantach na świecie, nawet w tych, którzy ostatecznie dają się skorumpować. W przeciwnym razie nikt nie chciałby zostać policjantem. Ale pozwól, że przypomnę ci coś, co sam mi powiedziałeś: „Pies to pies”. I tym właśnie dla nich jesteśmy.

– Nie w przypadku *Ertzaintzy*. Ludzie nas kochają i szanują, jesteśmy policją stworzoną właśnie do tego, żeby zmniejszać napięcie, jakie stworzyły tu rządowe siły porządkowe. Nie wiem, ile czasu mieszkałeś w Irlandii, ale nawet sobie nie wyobrażasz, co znaczy dla normalnych ludzi żyć w państwie policyjnym, gdzie wszystkich traktuje się jak podejrzanych, gdzie zniewagi są na porządku dziennym i gdzie ludzie postrzegają policjantów jako przeciwników, osoby niegodne zaufania, brutalne, dzikie, wrogie; nie jako obrońców, tylko przestępców.

– Ta sama gadka co w Irlandii – stwierdził Noah.

– Posłuchaj, Scott Sherrington, w Kraju Basków policja rządowa wzbudza strach. Nie jest od tego, żeby chronić i służyć, tylko żeby ścigać i bić. Samowolne zatrzymania, rewizje osobiste pozbawione szacunku, nadużycia, drwiny, kiedy obywatele przychodzą na komisariat, żeby złożyć skargę. A przede wszystkim przemoc wobec wyraźnie pokojowo nastawionych cywilów, usprawiedliwiana ściganiem tych, którzy wywołują zamieszki. Nie musisz wychodzić poza Siedem Ulic, żeby usłyszeć setki historii o tym, jak uzbrojona policja wpada do barów i tłucze każdego bez wyjątku, mężczyzn, kobiety, starszków, a nawet dzieci; historie o pijanych policjantach, którzy wyjmują broń, kładą ją na barze i proszą o kolejnego drinka; o chłopakach zmuszanych do wielogodzinnego stania pod ścianą z rękami w górze, podczas gdy policja dokonuje rutynowego sprawdzenia ich dowodu, co powinno zająć najwyżej kilka minut.

– Takie rzeczy nie dzieją się tylko w Irlandii czy w Kraju Basków, w Szkocji sam poznałem takich policjantów – powiedział Noah, myśląc o detektywie McArthurze z komisariatu Marina. – Ludzi, którzy rano przed pójściem do pracy wychylają cztery szklanki whisky, policjantów, którzy zbyt łatwo posuwają się za daleko. W komisariacie, w którym ostatnio pracowałem, salę przesłuchań nazywano „puszką”. Jak myślisz, dlaczego? Taki sposób postępowania jest powszechnym złem wśród policjantów na całym świecie.

– To musi się zmienić.

– Pewne rzeczy się nie zmieniają – stwierdził Noah i naraz zdał sobie sprawę, że niemal słowo w słowo odtwarzają rozmowę, jaką odbył z Gibsonem. Zniesmaczony pokręcił głową. – Przepraszam – powiedział, patrząc na Lizarso. – Masz rację, sam prowadziłem dyskusję w bardzo podobnym tonie z jednym ze swoich kolegów. Tyle że wtedy to ja wymachiwałem ideałami, a on obstawał przy tym, że stara szkoła jest skuteczna i że niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Młody *ertzaina* skinął głową ze zrozumieniem.

Scott Sherrington mówił dalej:

– Chodzi o to, że twój idealizm wydaje mi się groźny...

– Nie rozumiem – odparł defensywnie Lizarso.

– To dobrze, że chce się coś zmienić, że chce się być lepszym policjantem, chronić i służyć i tak dalej...

– I tak dalej – powtórzył z sarkazmem Lizarso.

– Zmierzam do tego, że wyobrażanie sobie, iż ci, którzy łamią prawo, będą dokonywać rozróżnienia między tobą a innym rodzajem policji, że będą na ciebie patrzeć inaczej, to niemal dziecinne rozumowanie. Myślisz, że kiedy wlepiasz komuś mandat za wykroczenie drogowe, zakuwasz faceta, który pobił żonę, albo rozbijas komórkę terrorystyczną, ktoś będzie patrzeć na ciebie inaczej, bo jesteś strażnikiem ludu? Naprawdę sądzisz, że te typki nie będą nazywać cię pogardliwie, nie wymierzą ci ciosu albo do ciebie nie strzelą, tylko dlatego że nosisz inny mundur?

– Nie rozumiesz tego. My jesteśmy policjantami tego ludu. Jesteśmy z tego ludu, nigdy nie obrócimy się przeciwko swoim.

– Ale przede wszystkim jesteś policjantem. Nie zapominaj o tym. Kiedy byłem w Irlandii, musiałem rozdzielać wrogie grupy złożone z ludzi wcale nieróżniących się tak bardzo od tych, którzy w pubach pili ze mną piwo. Jak myślisz, jak byś zareagował, gdyby podczas zamieszek nakazano ci atakować tych, którzy rzucają kamieniami i uważają, że jesteś pieprzonym wrogiem? Poszedłbyś i powiedział im: „Jestem strażnikiem ludu, proszę, rozejdźcie się spokojnie do domów?”.

Lizarso spuścił głowę. Wydawał się urażony do żywego.

– Nie chcę ciągnąć tej rozmowy, niczego nie rozumiesz.

W następnym barze siedzieli w krępującej ciszy, słysząc, jak Irlandczycy co chwilę wznoszą toasty. Noah nie mógł nie patrzeć na Mikela. Młody policjant wyglądał jak naburmuszone dziecko i Noah czuł się z tym fatalnie. Dlaczego mu to wszystko powiedział? Co go to, do diabła, obchodzi? Koniec końców, Lizarso to porządny chłopak, który kiedyś będzie wspaniałym gliną w miejscu, które samo wymierzy mu ciosy. Brak wiary w społeczeństwo, nieunikniony smutek wywołany tym, że codziennie trzeba radzić sobie z mroczną stroną świata, oraz poczucie – które dopadnie go wcześniej czy później – że cała ta robota idzie w diabły. Ale tym bitwom każdy policjant musiał stawić czoło w samotności, a po przefiltrowaniu ich we własnych trzewiach zdecydować, czy zostało mu jeszcze trochę wiary w ludzkość, czy wręcz przeciwnie, przechodzi na drugą stronę, żeby pewnej nocy zejść do lochu i wypuścić demona karmionego podłością tego świata. Dać ujście nienawiści, porażce poniesionej jako mąż i ojciec, wstydu związanemu z przyjmowaniem łapówek, żalosnemu upadkowi, jakim jest pieprzenie się tylko z dziwkami; pozwolić wyjść całej tej żółci przez wyżycie się na jakimś nieszczęśniku, jak Alfred „Tuszka”, otwierając w ten sposób otchłań, w której jesteś skazany na kłamanie z wysoko podniesioną głową tym z wydziału wewnętrznego, a spać możesz jedynie po wypiciu pół butelki whisky.

Lizarso nie był pamiętliwy. W kolejnym barze poprosił kelnera o długopis i kazał Noahowi sporządzić jedną z list mających stworzyć jego tożsamościowe

alibi. Scott Sherrington zapisał z pamięci kilka nazwisk piłkarzy z drużyny B i pokazał je Mikelowi, który przytaknął i się uśmiechnął, po czym włożył serwetkę pod pustą szklanę.

Po wyjściu z baru Noah zobaczył chłopaka, który załatwiał dla Maite sprawunki. Stał przy jednej z tawern razem ze swoim psem i Noah się domyślił, że jest chłopcem na posyłki w okolicznych barach, ale Mikel go ostrzegł:

- Rafa chyba nas śledzi.
- W takim razie jest znacznie lepszym cieniem niż ty – zadrwił Noah.

Chłopak przechadzał się spokojnie między ludźmi. Od czasu do czasu się zatrzymywał i patrzył z typową dla dziecka zuchwałością, obserwował detale, przystawał zachwycony przy rozmawiającej grupce, przysłuchiwał się dyskusjom – zawsze w towarzystwie średniej wielkości gładkowłosego psa, który nie odstępował go na krok. Wtedy Noah rozpoznał to, o czym mówił Juanito Mendi, to spojrzenie, którym siebie osądzał i szufladkował za jednym zamachem, i doszedł do wniosku, że powiedzenie czegoś chłopakowi nie jest nawet warte zachodu. Nie wiedział dlaczego, ale świadomość tego osądu wywołała w nim głęboką melancholię.

Chodzenie od baru do baru w czyimś towarzystwie zupełnie zmieniało perspektywę *txikiteo*. Irlandczycy zdawali się być w swoim żywiole i już po chwili Noah zaczął odkrywać atrakcyjność tej tradycji baskijskich mężczyzn. Ponieważ była sobota, wielu z nich towarzyszyły żony, wprawdzie nie było ich tyle, ile – według Lizarso – miało się zjawić w niedzielę, ale na pewno o wiele więcej, niż Noah widział w poprzednich dniach. Święto miało się rozpocząć za kilka godzin i kiedy minęło wpół do drugiej, liczba ludzi wyraźnie się podwoiła. Mężczyźni w grupkach śpiewali przed barami, na środku ulicy. Były to piosenki w języku baskijskim, więc nie rozumiał ani słowa, brzmiały jednak tak słodko i melancholijnie, że był pewien, iż traktują o rozstaniu, samotności i oddaleniu. Dowiedział się od Lizarso, że ulica z barami, na której w ostatnich dniach śledził Irlandczyków i która ciągnęła się od placu Unamuno, nazywa się Iturribide. Ale wszyscy znali ją jako ścieżkę słoni –

„ze względu na zalanych w trąbę, których się tu widuje”, wyjaśnił *ertzaina*. Noah przyznał, wobec niedowierzania Mikela, że podczas swojego pierwszego doświadczenia na „ścieżce” sam dołożył ziarnko prawdy do tej legendy, bo wracał stąd pijany, czego nawet nie był świadomy, dopóki nie powiedział mu o tym pewien taksówkarz przy Arenal. Dykteryjkę zakończył krótkim „myślałem, że umieram”, co rozbawiło Lizarso i co ostatecznie sprawiło, że Noah sam się roześmiał wobec absurdu całej sytuacji, której rzeczywisty wymiar znał tylko on.

Do wina zamawiali specjały każdego baru. Jedzenie było dobre, smaczne, ciepłe, wypełniało swoim zapachem ulice przed lokalami, zaostrzając apetyt przechodniów aromatami grillowanych krewetek i krokietów z szynką. Noah zawahał się, czy skosztować wina z regionu Rioja, które zaproponował Lizarso: alkohol i jego lekarstwa to nie było dobre połączenie. Kiedy jednak spróbował, zauważył wyraźną różnicę między tym winem a tamtym, które pił podczas swojej pierwszej rundy po barach, więc zamówił szklaneczkę. Wraz z każdym kęsem i z każdym łykiem czuł się lepiej, bardziej swojsko, jak gdyby zawsze był częścią tej okolicy. Dzielnica Siedmiu Ulic w Bilbao miała właśnie taką moc, sprawiała, że człowiek pragnął być elementem tego wszystkiego, co się tu działo. Ktoś wsunął mu w dłoń książeczkę z tekstami *coplas*, które śpiewali *txikiteros*. Uśmiechnął się, podczas gdy nieznajomi mężczyźni kładli ręce na jego ramionach, żeby włączyć go w swoje śpiewy, kołysząc się w rytmie barytonowych głosów.

Szli dalej, podążając za Irlandczykami, aż do najwęższej części ulicy, gdzie w barze Melilla y Fez skosztowali arabskich szaszłyków i pieczarek, a kawałek dalej, w La Mejillonera, bardzo blisko szkoły Marystów – małży na ostro.

Noah czuł się dobrze, wino z Rioja nie miało nic wspólnego z tamtym sikaczem z pierwszego dnia, a dzięki pysznym przekąskom jego żołądek był zupełnie spokojny, co nie zdarzało się w ostatnim czasie. Poczul, jak ciepło zalewa mu policzki; gdyby nie miał przy sobie broni, zdjąłby nową kurtkę, która pomimo lżejszego materiału zaczynała mu przeszkadzać. Na koniec w kawiarni Altuna, na ulicy równoległej do „ścieżki słoni”, wypili kawę, która – choć wziął tylko parę łyków – wydała mu się najlepszą kawą, jakiej próbował w swoim życiu.

Kiedy Noah wrócił do pensjonatu Gwiazda, było wpół do piątej. Irlandczycy poszli do swojego hostelu, a Lizarso pożegnał się z nim do wieczora, obiecując, że załatwi pojazd, którym tej nocy mogliby śledzić Murraya. Scott Sherrington usiadł zamysłony na łóżku, słuchając szelestu powiewających zasłon zasysanych na patio. Lewą rękę podniósł na wysokość twarzy i obserwował linie żłobiące skórę. Opuszki palców zdawały się płonąć energią, która emanowała z jego wnętrza, a łzy ciekące mu z oczu sprawiały, że płonął jeszcze mocniej.

Nagle poczuł, że wszystko wokół niego się rozpada, a przyjemne uczucie, które towarzyszyło mu przez wiele godzin, ulatuje wraz z energią emanującą z jego ręki. Pomimo tej drobnej sprzeczki z Lizarso wyjście z nim na *txikiteo* było dla Noaha wspaniałym doświadczeniem. Chociaż oficjalnie śledzili Irlandczyków, to ten przejęty od miejscowych zwyczaj pozwolił mu spokojnie pomyśleć, a czasami nie myśleć w ogóle, co w ostatnim tygodniu było nie lada luksusem. Mógł wyłączyć umysł, stworzyć sobie iluzję, że jest jednym z wielu mężczyzn, którzy piją wino na ulicach Bilbao, kosztować arabskich szaszłyków tudzież grillowanych krewetek, starać się nadążać za tekstami *coplas* śpiewanych przed barami, uśmiechać się i zapomnieć, że jest żywym trupem. Rzucił się w objęcia iluzji, ponieważ tego potrzebował, potrzebował złudzenia, że żyje, nieświadomej pewności siebie, z jaką wszyscy przeżywamy nasze życie, nie myśląc o tym, że śmierć czai się za rogiem.

Wrócił do pensjonatu z ciepłem w żołądku i tym uczuciem nicnierobienia, które zachęca do beztroskiej sjesty w sierpniowe popołudnie. Spokojnie rozmawiał z Mikelem o błahostkach, które wreszcie nie miały nic wspólnego z jego zawodem ani z możliwością negocjacji między grupami terrorystycznymi, ani z prześladowaniem obywateli, ani z pragnieniem sprawiedliwości, ani z potworem, który chodził sobie swobodnie po ulicach Bilbao. Pożegnali się przed katedrą, a kiedy Noah przechodził obok baru Maite, zobaczył ją w drzwiach. Lokal był pusty, roleta na wpół opuszczona, a ona zamiatała podłogę, gromadząc przy wejściu zmięte papierowe serwetki i zgniecione niedopałki. Przerwała pracę, gdy zauważyła go przed wejściem do pensjonatu. Popatrzyła na niego spokojnie, powstrzymując uśmiech, z wyrazem twarzy, w którym Noah dostrzegł mieszankę

tęsknoty i roztropności. Z kluczem w połowie drogi do zamka on też się zatrzymał. Chciałby móc włożyć go z powrotem do kieszeni, pokonać tych zaledwie dziesięć metrów, jakie dzieliły drzwi pensjonatu i wejście do lokalu. Chciałby móc stanąć przed nią, kobietą, która poza barem zawsze sprawiała wrażenie niższej. Chciałby móc podziwiać z bliska skręt jej włosów i to, jak zbiera je palcami i zakłada za uszy. Pragnął jednego z tych jej uśmiechów i wyobrażał sobie, że dostępuje zaszczytu bycia jego jedynym adresatem.

Lecz zamiast tego przekręcił klucz w zamku. I pożegnał się z Maite milczącym uniesieniem dłoni, widząc, jak ona powoli powtarza ten gest, niemal ze smutkiem, który się rozprzestrzeniał, aż musnął palce Noaha niczym fala wywołana niespełnionym pragnieniem ich dłoni, by się dotknąć. Zanurzył się w chłodny półmrok westybulu, podczas gdy drzwi zamykały się powoli, zabierając nikłe światło, które wpadało z zewnątrz.

⁹ Nawiązanie do nazwiska Blanco – białe.

Maite

Stojąc przy wejściu do swojego lokalu, Maite patrzyła, jak Noah znika za drzwiami pensjonatu, i zastanawiała się skonfundowana, co tu się właśnie wydarzyło.

Po raz pierwszy widzieli się bez barowego kontuaru pomiędzy sobą i choć nie uważała się za specjalistkę od męskich zachowań, tego dnia coś się między nimi narodziło, coś małego, początek czegoś – nie miała co do tego wątpliwości. Ale ta reakcja Noaha była ostatnim, czego się mogła spodziewać. Czyżby tak bardzo się pomyliła?

Obserwowała, jak drzwi pensjonatu zamykają się powoli. Oparła miotłę o ścianę i ulegając impulsowi, ruszyła w tamtą stronę.

Zdążyła w samą porę, by nie pozwolić drzwiom się zatrzasnąć. Popchnęła je do środka i zobaczyła, że on się odwraca, zaskoczony jej widokiem.

– Maite...

– Noah, chciałam z tobą porozmawiać – powiedziała, podchodząc do niego.

Skinął głową z poważnym wyrazem twarzy.

– Sama nie wiem, może wyda ci się to dziwne albo zwyczajnie się mylę, ale wcześniej, w południe, kiedy byłeś w barze, cóż, odniosłam wrażenie, że zachowujesz się zupełnie inaczej... i zdziwiłam się, że teraz praktycznie się ze mną nie przywitałeś.

Noah milczał, patrząc na nią na poły zdumiony, na poły pełen wątpliwości.

– Cóż – ciągnęła zdenerwowana, przeczesując palcami włosy – może tylko mi się zdawało, ale chciałam być pewna, że to nie z powodu czegoś, co zrobiłam albo powiedziałam, co mogło cię zdenerwować.

Na jego ustach zarysował się smutny uśmiech, podczas gdy kręcił głową.

– Nie, Maite, ty nic nie zrobiłaś, nie mogłabyś mnie zdenerwować.

Wykonała krok do przodu, stając teraz naprzeciwko niego.

– Na pewno?

Chciał odpowiedzieć, lecz zamiast tego wziął głęboki oddech, nie będąc w stanie dodać nic więcej. Zresztą nie mógłby tego zrobić, ponieważ wspinając się na palce, Maite go pocałowała.

To był przelotny pocałunek, czuły i ostrożny, który trwał trzy sekundy, zanim Noah objął ją, odwzajemniając go przez jedną, dwie, trzy, cztery, pięć sekund, po czym się odsunął.

Maite spojrzała na niego, znowu niczego nie rozumiejąc. Noah wciąż miał zamknięte oczy, a na twarzy grymas bliski płaczu, co próbował ukryć pod rękami.

– Co się dzieje? – zapytała zaalarmowana, widząc, jak szlocha zboleły. – Powiedz mi, co się dzieje, Noah – domagała się, próbując chwycić jego dłonie, by zsunąć mu je z oczu.

On się cofnął, nie pozwalając, by go dotknęła, gdy zobaczył ból rysujący się na jej twarzy.

– Przykro mi, Maite, to niemożliwe, to błąd.

– Ale dlaczego? Co ty mówisz? – zapytała, podnosząc głos.

– Nie jestem dla ciebie odpowiedni, Maite. Ani dla ciebie, ani dla nikogo.

Nie odpowiedziała. Na jej twarzy odmalowało się rozczarowanie, może też niedowierzanie. Opuściła ręce wzdłuż ciała, odwróciła się i ruszyła do drzwi.

Doktorka Elizondo

Noah wszedł do swojego pokoju, który wydał mu się jeszcze bardziej pusty i smutniejszy, usiadł na łóżku i płakał w milczeniu przez dłuższą chwilę.

Potem umył twarz w zimnej wodzie, żeby usunąć ślady łez. Wziął kurtkę, lekarstwa, klucz do pensjonatu i wyszedł na półpiętro. Podeszedł do przestrzeni między schodami i podniósł wzrok do światła, które wpadało przez świetlik, wydobywając blask z lakierowanej balustrady na wyższych piętrach. Zaczął się wspinać i tak jak się obawiał, wraz z każdym kolejnym piętrzem schody coraz bardziej nachylały się w stronę otworu na środku. To wrażenie było jednak rekompensowane jasnością, która rosła, w miarę jak wchodził wyżej. Na piątym piętrze znajdowało się dwoje drzwi. Na jednych wisiała mosiężna tabliczka z nazwiskiem psychiatry, która w przeciwieństwie do tej przy wejściu na dole nie straciła jeszcze blasku. Nacisnął dzwonek i usłyszał rozchodzący się po mieszkaniu dźwięk. Drzwi otworzył mu około sześćdziesięcioletni mężczyzna. Był ubrany w garnitur i miał siwe włosy. Na jego ustach pojawił się miły, acz niezbyt szeroki uśmiech. Nie dał gościowi szansy, by się odezwał.

– Niech pan wejdzie i zaczeka w poczekalni, już prawie skończyliśmy. Zostało mi pięć minut.

Noah wszedł do pomieszczenia, które ten mu wskazał. Stały tam dwa fotele i kilka niepasujących do siebie krzeseł. Na środku – stolik kawowy zawalony gazetami. Zamiast usiąść, czekał przy oknie, które wychodziło na patio. Oceniał, że to pomieszczenie prawdopodobnie jest w tym samym pionie co jego pokój

cztery piętra niżej, ale cudowny sposób, w jaki wpadało tu światło, mimo że dzień robił się pochmurny, wywoływał w nim wrażenie, że znajduje się w innym miejscu, w innym budynku, a nawet w innym mieście.

Mężczyzna dotrzymał słowa i wrócił po pięciu minutach.

– Doktorka teraz pana przyjmie.

Noah spojrział na niego zaskoczony.

– Doktorka? Myślałem, że to pan...

Mężczyzna wydawał się rozbawiony tym pomysłem.

– Och, nie. Jestem pacjentem. Proszę wejść, już na pana czeka – powiedział, wskazując otwarte drzwi na korytarzu.

Wraz z jego słowami w progu pojawiła się kobieca postać, ale światło z pokoju w kontraście z półmrokiem panującym na korytarzu nie pozwoliło Noahowi dostrzec jej rysów, dopóki nie znalazł się obok niej. Równie wysoka jak on, twarz poważna, lecz miła. Miała na sobie mokasyny, szare spodnie i męską koszulę, która jednak nie odbierała jej atrakcyjności. Rude włosy miała upięte w kok, z którego wymknęło się kilka kosmyków, sięgających jej ledwie do ramion. Nosiła okulary w ciemnych oprawkach, które – Noah był tego pewien – zakładała po to, by wyglądać na starszą, ponieważ szkła nie wyglądały na korekcyjne.

Przywitała się z nim mocnym uściskiem dłoni, wskazując dwa krzesła przed swoim biurkiem.

– Jestem doktorka Elizondo. Wejdzie pan, panie...?

Noah uściśnął jej dłoń, mamrocząc nazwisko, ale zawahał się przed wejściem do gabinetu.

– Proszę się nie przejmować, nie musi pan zostawać – oznajmiła, zauważywszy jego wątpliwości. – Ale skoro już pan tu przyszedł, moglibyśmy chociaż trochę porozmawiać.

– Przepraszam – powiedział, siadając. – Jeśli wydałem się pani... Chodzi o to, że nie spodziewałem się, że pani jest taka...

– Ma pan na myśli to, że jestem kobietą czy że jestem młoda? – zapytała spokojnie.

Westchnął i wstał.

– Przepraszam, to był błąd, nie chciałem wydać się niegrzeczny, po prostu spodziewałem się... Sam nie wiem, czego się spodziewałem.

– Proszę się nie przejmować. Niech pan usiądzie i powie mi, co pana sprowadza.

– Nie wiem. Może mnie pani teraz przyjąć? Nie ma pani więcej pacjentów? Myślałem, że trzeba się umówić.

Kobieta sięgnęła do stojącego na biurku zegara i odwróciła go w jego stronę.

– To pora wystrzelenia fajerwerku. Nie mam dziś więcej wizyt. Tak więc jeśli zechce mi pan opowiedzieć, co go tu sprowadza...

Noah znowu usiadł, choć tylko na krawędzi krzesła, z rękami na podłokietnikach. Westchnął, nim ponownie się odezwał:

– Początek święta. Może panią zatrzymuję. Nie chce pani wyjść?

– Wygląda na to, że po tym całym porannym zamieszaniu w urzędzie miasta burmistrz postanowił wystrzelić fajerwerk z esplanady przy bazylice. Ale nie jestem pewna, czy wszystko potoczy się spokojnie, a ja nie lubię chaosu, tak więc jeśli zechce pan zostać, mogę pana teraz przyjąć.

Noahowi wydawało się, że usłyszał w jej głosie nutę wyrzutu.

– Nie chciałem pani przeszkadzać, tyle że nie przypomina pani psychiatrów, których poznałem do tej pory. Przypuszczam, że spodziewałem się mężczyzny albo kogoś o wiele starszego.

Zignorowała wzmiankę o płci i wieku i od razu zainteresowała się resztą informacji.

– Ilu psychiatrów pana leczyło, panie Scott?

– Scott Sherrington, to nazwisko dwuczłonowe. – Uśmiechnął się zakłopotany, a ona zapisała nazwisko. – Nie, nie wyraziłem się właściwie. W mojej pracy

jesteśmy czasami zobligowani do pójścia na terapię po przeżyciu sytuacji, powiedzmy, traumatycznych.

– Strażak, policjant?

– Policjant.

– A pan czuł się kiedykolwiek zobligowany do pójścia na terapię?

– Sześć lat temu. Mój partner zginął w strzelaninie poza służbą. Nie było mnie z nim.

– Uważa pan, że terapia panu wtedy pomogła?

– Nie – odparł ostro.

– Dlaczego?

– Proszę się nie obrazić, ale w tamtym momencie potrzebowałem tylko zrozumieć, co się stało.

– A dlaczego teraz pan uważa, że potrzebuje psychiatry?

– Potrzebuję odpowiedzi na pytania dotyczące rzeczy, które mi się przytrafiają, a których sam nie mogę wyjaśnić.

– I tym razem jest inaczej, nie tylko potrzebuje pan zrozumieć, ale oprócz tego uważa pan, że potrzebuje pomocy.

Noah skinął powoli głową.

– Chce pan, byśmy porozmawiali o którejś z tych rzeczy, panie Scott Sherrington?

Nim odpowiedział, popatrzył na nią długo.

– Co pani wie o śmierci?

Wyglądała na zaskoczoną, a jednocześnie pokrzepioną tym pytaniem. Nie odrywając od niego wzroku, odchyliła się na oparcie fotela i podniosła rękę, którą następnie delikatnie pogłaskała się po zuchwie. Milczała przez kilka sekund, a kiedy odpowiedziała, jej twarz była zmieniona.

– Jestem w tym temacie ekspertką.

Noah przyjrzał się jej uważnie. Czyżby osądził ją pochopnie? Czyżby przecucie, które przywiodło go pod jej drzwi, było uzasadnione?

Zapytał nieufnie:

– Jak to możliwe? Ile ma pani lat? Nie dałbym pani nawet trzydziestu, w tym wieku szala przechyla się jeszcze na tę stronę.

– Na tę stronę? A jaka jest ta druga? Proszę mi wyjaśnić.

W którymś momencie zaczął się czuć mniej skrępowany. Odchylił się na oparcie krzesła.

– Ciężar zmarłych – zaczął powoli. Wypowiedzenie tego na głos było niczym *katharsis*, jak gdyby odkręcił kran. Popatrzył na mocne światło wpadające przez okno i wyjaśnił: – To tak, jakby po urodzeniu szala była całkowicie przechylona na stronę życia, w dzieciństwie wszystkie znane nam osoby, rodzice, rodzeństwo, przyjaciele, rodzice przyjaciół, wszyscy są po tej stronie. Po stronie żywych. Nawet w młodości, kiedy zaczynamy mieć świadomość śmierci, zawsze dotyczy ona kogoś spoza naszego najbliższego kręgu. Później umierają nasi rodzice, znajomi naszych rodziców, rodzice naszych przyjaciół, przyjaciele, nasi nauczyciele i szala zaczyna się przechylać na drugą stronę. To jest ciężar zmarłych.

– A więc to pana dręczy? Na pańskiej szali więcej jest zmarłych niż żywych?

– Przypuszczam, że tak jest już od dawna, w sumie nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Aż do teraz.

– A co się zmieniło?

Spojrzenie Noaha opuściło okno i z bezgranicznym smutkiem spoczęło na twarzy tej jakże młodej kobiety.

– Umieram.

Zdziwiona, przechyliła nieco głowę, przyglądając mu się wnikliwie.

– W przenośni...? Ponieważ ogromnie pan cierpi?

– Dosłownie. Mam chorobę serca. Kardiomiopatię rozstrzeniową. Lekarze dają mi cztery miesiące życia, jeśli dopisze mi szczęście, ale prawda jest taka, że mogę umrzeć w każdej chwili, nawet zaraz.

Doktorka Elizondo skinęła powoli głową, jakby przyswajała to, co usłyszała.

– Bardzo mi przykro. Niewątpliwie to bardzo trudna sytuacja. Żałoba, czy to po stracie kogoś, czy wynikająca z bliskości naszej śmierci, to jedno z najbardziej destabilizujących przeżyć, jakich może doświadczyć człowiek. Zagubienie, sprzeczne uczucia, strach to tylko niektóre elementy, z jakimi należy się zmierzyć, w miarę jak następują kolejne etapy, przez które często przechodzą osoby będące w pańskiej sytuacji. Uważam, że to bardzo rozsądne, że szuka pan pomocy. Nie możemy uniknąć nieuniknionego, ale możemy sprawić, że to wszystko będzie mniej bolesne.

– Nie odpowiedziała mi pani.

– Nie rozumiem?

– Mój kardiolog dał mi kilka książek na temat tego procesu. Znam wszystkie etapy żałoby. Zaprzeczenie, negocjacje, gniew, depresja i akceptacja. Mam świadomość, że nie zostało mi wiele czasu i być może dlatego w ciągu tygodnia przeszedłem przez wszystkie. Zaprzeczenie trwało krótko, ledwie pięć minut w szpitalu od chwili, w której lekarz mi o tym powiedział, do momentu, gdy zobaczyłem potwierdzenie na echokardiogramie. Tak samo z negocjacjami. Mój katastrofalny stan nie pozostawia miejsca na targowanie się; gdy tylko opuszczam gardę, śmierć prześladowuje mnie w tak okrutny i ewidentny sposób, że przyznanie się do tego, iż umrę, nie ma nic z akceptacji, zostało mi to po prostu narzucone. Gniew kontroluję najlepiej. Jestem policjantem i zawsze dobrze sobie z tym radziłem, nauczyłem się go ukierunkowywać. A co do depresji... – Wziął głęboki oddech. – Siedzę w tej studni od pierwszego dnia i prawda jest taka, że wobec nieuchronności śmierci pogodziłem się z tym, że ona też będzie mi towarzyszyć do końca.

Kobieta powoli skinęła głową, zachęcając, by kontynuował.

– Ale nie o tym chcę rozmawiać. Zanim będę mówił dalej, potrzebuję, żeby odpowiedziała pani na moje pytanie. Co pani wie o śmierci? Co pani wie o doświadczeniach bliskich śmierci? I o osobach, które były martwe, a wróciły?

– Czy to właśnie się panu przytrafiło?

– Kilka dni temu rozległy atak serca spowodował u mnie nagłą śmierć. Bam, ogromna fala gorąca i zimna, jakby wiatr przeszył moje ciało, i sekundę później byłem martwy. Umarłem i wciąż byłbym martwy, gdyby kilku facetów, prawdopodobnie kłusowników szukających zwierzyny oraz ryb we wzburzonych wodach, nie znalazło mnie w zimnym szlamie i nie zawiozło do szpitala, gdzie pracuje wybitny kardiolog. Umarłem, oficjalnie byłem martwy, brak tętna, zatrzymanie akcji serca. Na wiele, wiele, wiele minut.

Rozchylając klapę kurtki, wyjął z wewnętrznej kieszeni tabletki oraz buteleczkę z naparstnicą.

– Och! – wykrzyknęła, prawdziwie zaskoczona, oglądając opakowania lekarstw. Uwadze Noaha nie umknęło to, że nawet otworzyła piersiówkę i powąchała zawartość.

– Jeśli dojdzie do następnej wizyty, przyniosę pani wypis ze szpitala – powiedział, zabierając lekarstwa. – No i tak, do tego momentu wszystko dzieje się mniej więcej normalnie, trup, jak każdy inny, z tą tylko różnicą, że ja zmartwychwstałem, jak pieprzony Łazarz. Gdyby przyjaciel Jezusa prowadził praktykę psychiatryczną, proszę mi wierzyć, poszedłbym z nim porozmawiać. Ale nie znam nikogo, kto był martwy; rzecz jasna nie oczekuję od pani zbyt wiele, potrzebuję tylko wiedzieć, ile pani rozumie, co jest pani skłonna przyznać w tym temacie, a nawet czy jest pani gotowa zgodzić się, że jest o czym rozmawiać, czy robi mi pani wykład o halucynacjach wytwarzanych przez mózg. Musi mi to pani wyjaśnić, zanim w ogóle zaczniemy się nad tym zastanawiać, bo nie mam czasu do stracenia.

Kobieta milczała przez kilka sekund, patrząc na niego. Potem przytaknęła powoli, zaciskając usta i podejmując decyzję. Odsunęła nieco fotel od biurka, nachyliła się i wysunęła dolną szufladę. Ze środka wyjęła zdjęcie w ramce, oparła je o podstawkę i obróciła, żeby Noah mógł je zobaczyć. To była czarno-biała fotografia. Rodzina pozująca przed wiejskim domem. Mężczyzna i kobieta, oboje dość młodzi, oraz czwórka małych dzieci. Trzy dziewczynki i niemowlę, które kobieta trzymała w ramionach. Wyglądali na szczęśliwych.

– To moja rodzina, a ta tutaj – wskazała jedną z dziewczynek, tę najmniejszą – to ja. W dniu, w którym zrobiono to zdjęcie, obchodziłam czwarte urodziny. Wujostwo z San Sebastián, którzy do nas wtedy przyjechali, mieli nowy aparat i wykonali tę fotografię przed naszym domem. Pamiętam, że kilka dni wcześniej, nie wiadomo dlaczego, zaczęłam odmawiać pójścia do łóżka. Szwendałam się po salonie, aż w końcu zasypiałam na kanapie i tata musiał zanosić mnie do pokoju, który dzieliłam z siostrami, ale jeśli obudziłam się w środku nocy, schodziłam do salonu i aż do rana spałam na kanapie. Tydzień po tym, jak zrobiliśmy sobie to zdjęcie, w nocy, kiedy wszyscy spali, obudziłam się od potrząsania i usłyszałam kobiecy głos, który mnie ponaglał: „Obudź się, obudź się”. Otworzyłam oczy. Obok mnie siedziała kotka, z pewnością weszła przez okno w kuchni, a przynajmniej tak pomyślałam w tamtym momencie. Była mała i chuda, miała czarną błyszczącą sierść i zielone oczy. Bardzo lubiłam zwierzęta i ucieszyłam się na jej widok, choć wiedziałam, że mama nie pozwoli nam jej zatrzymać. Usiadłam, żeby lepiej się jej przyjrzeć, i wtedy to usłyszałam. Szum, jakby wiatr z północy wpadł do wnętrza domu. Towarzyszyło mu ciepło, jakby gdzieś była włączona suszarka do włosów, pracująca na najwyższych obrotach, albo jakby otwarto przede mną drzwiczki rozgrzanego piekarnika. Nabrałam powietrza i poczułam, że wnętrze mojego nosa jest tak suche, że aż bolało, jakby w tym momencie w środku popękała skóra. I wtedy znowu usłyszałam ten głos: „Wyjdź stąd, uciekaj”. Zabrzmiał tuż przy moim uchu, jakby ten, kto mówił, siedział obok mnie. Rozkaz nie zostawiał miejsca na dyskusję. Dorosły głos, którego nigdy przedtem nie słyszałam, a który jednak zwracał się do mnie z ufnością krewnego. Wzięłam kotkę na ręce, przeszłam przez pomieszczenie do głównego wyjścia i otworzyłam drzwi. W chwili, gdy przekraczałam próg, drewniany dach się zawalił. To było tak, jakby cały dom eksplodował z piekielnym hukem palącego wiatru i płonących desek, co sprawiło, że wyrzuciło mnie na trawę przed domem. Moi rodzice, moje dwie starsze siostry i mój malutki braciszek spłonęli w tamtym pożarze.

Po latach wróciłam tam, żeby porozmawiać z sąsiadami, którzy mnie wtedy znaleźli. Pamiętali wiele szczegółów, ale nie mogli sobie przypomnieć małej

czarnej kotki. Od tamtego dnia mieszkałam z wujostwem w San Sebastián. Byli bardzo życzliwi i traktowali mnie bardzo dobrze, ale z biegiem lat zauważyłam, że historię o kotce, która mnie obudziła, żeby wyciągnąć mnie z pożaru, przestali traktować jak wytwór mojej wyobraźni czy bastion, w którym ukrywało się poczucie winy za to, że uratowałam się jako jedyna. Nie wiem, ile miałam lat, ale pewnego dnia pierwszy raz zobaczyłam, jak wymieniają spojrzenie, kiedy opowiadałam tę historię. Więc przestałam to robić. Ale nie zapomniałam o tym, a tamta kotka, której już nigdy potem nie widziałam, stała się powodem, dla którego zdecydowałam się studiować psychiatrię. – Doktorka Elizondo westchnęła głęboko i dodała: – Tak więc, panie Scott Sherrington, mam nadzieję, że obciążenie mojej szali zmarłych i moje rozeznanie w kwestii procesu umierania lub nieumierania są dla pana satysfakcjonujące.

Noah skinął głową i nawet pozwolił sobie na żart:

– Nie mam dużo czasu, więc liczę, że nie umówi mnie pani na następny tydzień.

Uśmiechnęła się.

– Noah, co ty na to, żeby wrócić tu jutro o tej samej porze? – zapytała, po raz pierwszy zwracając się do niego na ty.

Wstał i zrobił dwa kroki w stronę drzwi, ale zatrzymał się, zanim je otworzył.

– To byłaby bardzo brudna sztuczka, gdybyś wymyśliła sobie tę historię tylko po to, żeby zyskać moje zaufanie.

Kobieta nie odpowiedziała. Zamiast tego zaczęła rozpinać sobie koszulę aż do pępka, a potem odwróciła się do Noaha plecami i zsunęła materiał, odsłaniając jedno z ramion. Blizna miała długość około dwudziestu centymetrów. Skóra była szorstka, biała, wręcz perłowa, niczym wewnątrz ostrygi. Ślad ciągnął się od ramienia do łopatki, w miejscu, gdzie uderzyło płonące drewno z jej domu, wyrzucając ją na zewnątrz i ratując jej życie.

Choćby tylko przez jeden dzień?

EVEN IF IT WAS FOR JUST ONE DAY?

O wpół do dziewiątej wieczorem Mikel czekał na niego przy wejściu do pensjonatu Gwiazda. Przez kolejne dwie godziny powtórzyli właściwie tę samą trasę, którą za dnia podążali za Irlandczykami. Potem ci weszli na kolację do restauracji Víctor Montes przy placu Nueva i siedzieli tam do grubo po pierwszej. Kiedy wyszli, cała grupa zdradzała skutki spożycia sporej ilości whisky, z której sływał lokal. Michael „Leprechaun” kilkakrotnie próbował zatrzymać się w różnych barach, które mijali w drodze powrotnej do pensjonatu, ale „Ciemny” szeptał mu coś na ucho i niski Irlandczyk się podporządkowywał. Ostatecznie razem, jak grzeczni chłopcy, wrócili do Toki-Ona.

Mikel i Noah czekali w ciemnym westybulu Gwiazdy, aż po dwudziestu minutach zobaczyli wychodzącego Murraya. Przebrał się i miał nażelowane włosy zaczesane do tyłu. Rozejrzał się szybko w obie strony i ruszył w kierunku katedry, a potem w stronę Arenal. Musieli się bardzo starać, żeby nie stracić go z oczu. Na ulicy było jeszcze sporo ludzi, ale Murray szedł zdecydowanym krokiem, omijając grupki, niczym ktoś, kto jest spóźniony na umówione spotkanie. Gdy znaleźli się

przy Arenal, postanowili się rozdzielić. Noah czekał na rogu przy bocznej ścianie kościoła, gdzie dwa wieczory wcześniej zaparkował Murray i gdzie skierował się teraz niczym niewolnik własnych przyzwyczajęń. Mikel pospieszył w stronę nabrzeża po wypożyczone renault sześć i podjechał, manewrując pośród tłumu, który kierował się do *txosnas*, tymczasowych barów rozstawionych na placu Arriaga. Noah wszedł do samochodu akurat w chwili, kiedy Murray przejechał na wprost nich, kierując się na most.

Najpierw udali się do dzielnicy Deusto. Murray zaparkował prawie przy wejściu do dyskoteki Garden. Podszedł do drzwi, ale przekonawszy się, że tej nocy jest występ na żywo, nawet nie wszedł do środka.

Wrócił do samochodu i skierował się do innego nocnego lokalu w okolicy. Noah i Mikel zaparkowali przy alei Madariaga dwa samochody za Murrayem i zaczęli, aż ten wejdzie do lokalu.

– To nie jest miejsce, do którego przychodzą młode dziewczyny – zauważył Mikel Lizarso. – Bywają tu ludzie w różnym wieku, ale przeważają osoby starsze i atmosfera jest nieco bardziej, powiedzmy sobie, szemrana niż w takim lokalu jak Arizona.

Nie, Noah nie oczekiwał, że Biblijny John wróci do Arizony. To byłoby zbyt niedojrzałe i przewidywalne. Skoro nie mogli go złapać przez te wszystkie lata, to dlatego, że wyciągnął wnioski, albo – jak nazywał to Ressler, ten amerykański badacz z FBI – „ewoluował”. Ogromne ryzyko, jakie podejmował na początku lat siedemdziesiątych, trzy razy z rzędu wybierając na swój teren łowiecki Barrowland, bez wątplenia musiało mieć wpływ na zmiany, jakie wprowadził w swoim *modus operandi*. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku przy wejściach do wielu lokali były już zamontowane kamery monitoringu, a Noah miał pewność, że w tak dużych salach jak Arizona, gdzie często odbywają się występy na żywo, mają sprzęt do rejestrowania koncertów. Gdyby zniknęło stamtąd więcej dziewczyn, policja prawdopodobnie poprosiłaby o nagrania. A Biblijny John nie był głupi.

Wejście do Holiday Gold w żadnym razie nie było tak okazałe jak to do dyskoteki Barrowland w latach sześćdziesiątych w Glasgow. Zajmowało tylko niewielką część fasady w postaci drzwi z ciemnego drewna, a obok znajdowała się dwukolorowa nazwa lokalu. Noah podejrzewał, że klub nie jest zbyt wielki, być może dlatego tak bardzo zdziwił go widok przestronnego lokalu z dużą sceną, o wiele bardziej nowoczesnego, niż sobie wyobrażał.

Szybko zrozumiał, dlaczego Lizarso użył słowa „szemrana”, opisując klientelę Holiday Gold. Średnia wieku wynosiła tu ponad trzydzieści lat, możliwe nawet, że bliżej czterdziestu. Dało się zauważyć kilka młodszych kobiet, ale w większości były to grupy przyjaciółek, szeroko uśmiechniętych i wystrojonych, które siadały razem bardzo blisko parkietu. Zauważył, że rzucają oceniające spojrzenia przechodzącym mężczyznom i nachylając się do swoich koleżanek, szepczą komentarze, które wywołują salwy śmiechu. Noah nie był w sali Barrowland w Glasgow w okresie pierwszych morderstw Biblijnego Johna, ale z łatwością się domyślił, że profil tamtych kobiet, które przychodziły ze swoimi przyjaciółkami, żeby się zabawić, które zsuwały obrączkę do kieszeni i które zawsze miały na imię Jane, nie różnił się zbyt wiele od klienteli Holiday Gold.

Murray przeszedł się po lokalu, a potem znalazł sobie odpowiednie miejsce przy barze. Gdy Noah zamówił dwie coca-cole, barman spojrzał na niego wyraźnie zaskoczony, po czym zachęcił, żeby wziął napój z „czymś jeszcze”. Noah podał colę Mikelowi i obaj oparli się o jedną z dużych kolumn, udając, że przyglądają się tańczącym na parkiecie grupkom. Oparty łokciami o bar Murray sączył coś, co z daleka wyglądało na whisky. Parę razy zamienił słowo z kobietami, które podchodziły do baru, żeby zamówić napoje, ale nie działało się nic ponadto. Po chwili wstał i ze szklanką w dłoni ruszył w stronę parkietu. I właśnie wtedy Noah zobaczył Collina. Obserwował Murraya z oddali, w połowie zasłonięty przez jedną z kolumn otaczających parkiet.

– Myślisz, że się tu umówili? – zapytał po chwili Lizarso.

– Nie, zauważyłem go wcześniej. Gdyby się umówili, już by do niego podszedł. Raczej nie chce, żeby Murray go zobaczył. Śledzi go, tak samo jak my. Z jakiegoś

powodu coś podejrzewa.

– Uważasz, że tak samo jak ty myślisz, że tak naprawdę to nie Murray?

Noah zastanawiał się, nie przestając obserwować Irlandczyka.

– Nie, jeszcze nie wie, co tu nie gra. Ale odkąd pierwszy raz zobaczyłem, jak Collin wchodzi do baru Maite i lustruje klientów, zdałem sobie sprawę, że bez wątpienia jest najgroźniejszy z całej grupy. Nie dostaliście jeszcze żadnych informacji na jego temat?

Lizarso pokręcił głową.

– Jakby był duchem.

Spędzili w Holiday Gold nieco ponad półtorej godziny. Na jednym ze stolików Murray zostawił prawie nietkniętą szklanę z whisky i wyszedł z lokalu, a za nim, w pewnej odległości, Collin. John nie skierował się do swojego samochodu, tylko ruszył pieszo aleją; Lizarso był pewien, że idzie do kolejnej z okolicznych dyskotek.

Murray zapłacił za wejście przy drzwiach sali Chentes, a Collin zrobił to samo parę minut później. Kiedy Noah i Mikel czekali na odpowiedni moment, by ruszyć za nimi do środka, zobaczyli mężczyznę, który podszedł pośpiesznie do wejścia i zaczął rozmawiać z ochroniarzem.

Noah szturchnął swojego kompana.

– Czy to nie...?

– Tak, to Kintxo, były mąż Maite.

Patrzyli, jak przez ponad minutę facet negocjuje z bramkarzem, który wreszcie pozwolił mu wejść.

Chentes było miejscem kosmopolitycznym, z klientelą bardzo w stylu Holiday Gold, może trochę zamożniejszą. Byli tu mężczyźni w garniturach, jakby początek święta zaskoczył ich w tych samych ubraniach, jakie włożyli, żeby udać się do notariuszy, kancelarii prawnych albo firm zajmujących się doradztwem handlowym. Na niektórych stolikach stały butelki szampana i wyszukane kieliszki z zawartością w różnych kolorach. Dobrze ubrane kobiety i drogie perfumy.

Murray pasował tu ze swoimi wyprasowanymi dżinsami, białą koszulą i granatową marynarką, ale Collinowi czarne ubranie nadawało nieco punkowego wyglądu, przez co wyróżniał się spośród gości lokalu. Sala była odrobinę mniejsza od poprzedniej i Collin zaszył się w ciemnym kącie, nie spuszczać oka ze swojego celu. Noah i Lizarso zamówili dwa napoje, żeby móc się zamaskować, a Murray, cały czas siedzący przy barze, poprosił o whisky, której nie wypił. Parę razy wydawało się, że zainteresowała go jakaś dziewczyna, ale po dwóch godzinach wyszedł z lokalu, skierował się do samochodu, pojechał do dzielnicy Siedmiu Ulic i znowu zaparkował w pobliżu kościoła. Lizarso objechał świątynię, żeby zostawić samochód w tej samej okolicy, uprzednio wysadziwszy Noaha przy Arenal naprzeciwko ulicy Correo, gdzie ten wmieszał się w liczną grupę chłopców i dziewczyn wracających ze strefy *txosnas*, rozstawionych wzdłuż nabrzeża przy teatrze Arriaga. Noah przeszedł na drugą stronę, by przyjąć plastikowy kubek pełen piwa, który zaproponowała mu jakaś dziewczyna. Zatrzymał się i zaczął rozmowę z młodymi ludźmi przy bankomacie, czekając, aż Lizarso ponownie do niego dołączy.

– Collin przyjechał niemal w tym samym czasie. Gdzieś tu musi mieć samochód.

Przyspieszyli kroku, skręcając w prawo, i wkrótce znaleźli się na ulicy Tendería. Musieli schować się obok witryny Santiagu, żeby obserwować z daleka, jak najpierw do hostelu wchodzi Murray, a Collin czeka przy drzwiach ponad piętnaście minut, by w końcu zrobić to samo.

– Nie wiem, który z nich niepokoi mnie bardziej, Murray czy Collin – odezwał się zamyślony Lizarso. – Gdyby nie to, że wykluczamy taką opcję, powiedziałbym, że ten drugi zachowuje się jak policjant.

Noah się odwrócił, żeby spojrzeć na ciemną witrynę. Białe opakowania słodczy lśniły nawet w nikłym żółtawym świetle latarni przy katedrze.

– To nie policjant – stwierdził, oglądając zawartość witryny. – Ale z całej tej grupki on martwi mnie najbardziej. Jedyne, który zachowuje się jak żołnierz. – Wskazał opakowania na wystawie i zapytał: – Co to jest prawoślaz?

Lizarso się uśmiechnął, zaskoczony jego zainteresowaniem.

– Och, to roślina lecznicza, do przygotowania cukierków wykorzystuje się chyba tylko korzeń. Są dobre na gardło, bo mają właściwości kojące. Moja babcia zabierała je do poświęcenia w Dzień świętego Błażeja w lutym, a potem dawała nam je za każdym razem, gdy mieliśmy kaszel, jakby to było lekarstwo. Zawsze kiedy ją widywałem, zaczynałem kaszleć jak szalony.

– A dlaczego Santiaguito?

– Nie wiem na pewno, ale podobno założyciel, pan Santiago, był człowiekiem niskiego wzrostu i stąd zdrobnienie. Ale kto to wie...

Kiedy Noah wrócił do swojego pokoju w pensjonacie Gwiazda, był wyczerpany i śpiący. Zdeterminowany, by podejść do sprawy szczerze, przyznał, że cała jego melancholia bierze się stąd, że nie widział Maite, prócz tamtej chwili w westybulu. Przekręcił przełącznik, który delikatnym kliknięciem i zielonym światełkiem wskazał, że radio jest włączone. Zdjął ubranie i po ciemku położył się do łóżka, pozwalając, by zielona lampka była jedynym światłem w ciemności. Wziął małe urządzenie i przyłożył je do ucha, by lepiej zrozumieć tekst piosenki.

Przyjdź do radia nocą,

Jeśli jesteś sama w mieście,

Nie ruszając się z pokoju.

(...)

Nie jesteś sama,

Ktoś w mieście cię kocha.

Nie bój się,

Bo świt nadejdzie.

Nie jesteś sama,

Chcemy cię pocieszyć.

Wejdź na antenę,

Powiedz, co cię dręczy.

Po raz pierwszy od wielu dni sen przyszedł bez trudu; Noah nie był nawet świadomy, kiedy zasnął.

Maite

O d wielu godzin leżała w łóżku. W oddali, niczym echo, muzyka z ulicznej imprezy dudniła nad dachami Bilbao, choć nie na tyle głośno, by nie mogła usłyszeć dźwięków własnego domu. Jej córka miała nocować u przyjaciółki po powrocie z zabawy, przez co Maite czuła się wyjątkowo samotna. Obok, na nocnym stoliku, stał tranzystor, który miała włączony cały czas, licząc na to, że usłyszy coś, co wyrzuci z jej głowy wspomnienie spotkania z Noahem.

Nie mogąc się powstrzymać, raz za razem powtarzała każde z jego słów – to, co ona powiedziała, to, co on odpowiedział; wracała do niej wściekłość, jaka ją ogarnęła po wyjściu z westybulu, gdy czuła się jak skończona idiotka. Ze wszystkich głupich powodów, jakie może podać mężczyzna, żeby odtrącić kobietę, najbardziej obraźliwy jest bez wątpienia ten, że nie jest dla niej odpowiedni. Za kogo on się, do diabła, uważa, aby jej mówić, że nie jest dla niej odpowiedni? Czy ona ma sześć lat?

Była dorosłą kobietą, mogła sama podejmować decyzje. Oczywiście, że niektóre relacje nie były dla niej odpowiednie, ale to ona była od tego, żeby je kończyć albo w ogóle się nie angażować. I miała w tym, niestety, spore doświadczenie.

Wypuściła nosem powietrze, próbując opanować złość.

Ale było coś jeszcze, coś, co obracała w głowie przez cały dzień i co nie miało nic wspólnego z tym, co zostało powiedziane. Kiedy usuwała z tego spotkania

przeklęte słowa, kiedy zostawiała same gesty, spojrzenia, uśmiechy i znowu odtwarzała tę scenę niczym niemy film, wtedy wnioski były zupełnie inne.

I tak samo jak w tych starych filmach, klucz tkwił w pocałunku.

Rozpoznała dźwięki piosenki Miguela Ríosa i pogłodziła nieco radio, żeby jej wysłuchać, a potem dotknęła palcami ust i pogładziła je, przypominając sobie każdą chwilę tamtego pocałunku.

„Możesz sobie mówić, co chcesz, Angliku Noahu, ale jak śpiewała Betty Everett: jeśli mężczyzna cię kocha, dowiesz się tego z jego pocałunków”.

Bilbao

Niedziela, 21 sierpnia 1983

Istnieje faza snu zwana snem paradoksalnym. Czytał, że w sposób naturalny lub wyuczony niektóre osoby mogą nie tylko być świadome tego, co się z nimi dzieje, gdy śnią, lecz potrafić także kontrolować treść i rozwój snów zwanych snami świadomymi. Nie doszedł do tego procesu i był bardzo daleki od panowania nad tym, o czym śni, ale w ostatnich dniach rozwijał umiejętność spowalniania każdego z obrazów, które pojawiały się w jego umyśle, gdy znowu przeżywał swoją tragedię.

Kiedy śnił, miał świadomość tego, że przeżywa koszmar. Czasami doskonale zdawał sobie sprawę, że słyszy głos dochodzący z radia, sygnały czasu, a nawet pikanie, jakie wydaje monitor pracy serca, choć co do tego nie miał pewności, czy było całkiem prawdziwe. Wiedział, że śni, lecz to nie wystarczyło, by zmniejszyć strach, jaki wywoływał w nim tamten płacz, który był preludium samej śmierci. Nie miał pojęcia, czy słyszał zawodzenie jakiegoś mitycznego stwora, dusze ofiar Biblijnego Johna, czy może wołanie swojego własnego ducha, który wrzeszczał szaleńczo, kiedy otchłań nicości otworzyła się przed jego stopami. Jednakże wszystko zmieniło się w chwili, kiedy uzmysłowił sobie, że Biblijny John słyszał ten płacz tak samo wyraźnie jak on. Ten horror zamienił się w ostatnią deskę ratunku, w ostatnią nadzieję, w coś, w co pragnął wierzyć z całych swoich sił, w co potrzebował wierzyć, ponieważ jeśli to, co obaj usłyszeli, cokolwiek to było, pochodziło z innego świata, być może jeszcze była dla niego nadzieja. Właśnie to

założenie sprawiało, że raz i drugi na nowo przeżywał tę torturę i próbował zatrzymać ją przed ostatnią chwilą.

Lodowata woda leciała mu na głowę, krople tak mocno uderzały w oczy, że aż bolało. Burza huczała zaciekle, a mimo to pośród tego dudnienia bicie jego serca brzmiało niczym bicz trzaskający w jego bębrenki, ogłuszająco. I wtedy do jego snu wślizgnął się jakiś głos...

– Dzień dobry, Bilbao. Przy mikrofonie Ramón García, a to jest Lista Czterdziestu Przebojów FM Radia Bilbao. Przy okazji pozdrawiam wszystkich mieszkańców, dziś świętujemy drugi dzień Aste Nagusia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku. Przed nami takie atrakcje jak tradycyjna gonitwa z bykami, rywalizacje w wiejskich dyscyplinach sportu oraz parada olbrzymów i wielkich głów. A na wszystkich wielbicieli walk byków wieczorem czeka wielka corrida na Vista Alegre. Niebo jest dziś zachmurzone i chociaż w tej chwili nie pada, to od wczesnych godzin porannych towarzyszyła nam ulewa, więc gonitwa z bykami, którą uwielbia tak wielu mieszkańców Bilbao, odbyła się w deszczu. Za kilka minut udostępniemy wam nasze łącza, żebyście mogli zadedykować swoje ulubione piosenki waszym przyjaciołom albo bliskim. Zostawiam was z Donna Summer i jej *She Works Hard For The Money*, która w tym tygodniu zajmuje pierwsze miejsce na naszej Liście Czterdziestu Przebojów.

Noah otworzył oczy pośród niewielkiej ilości światła wciskającego się między drewniane okiennice, które zasłaniały jego okno od strony patio. Przekręcił delikatnie głowę i po lewej stronie zobaczył zielone światełko tranzystora, błyszczące niczym mały szmaragd. Pogłośnił, żeby posłuchać muzyki, i jak zwykle po przebudzeniu dokonał przeglądu swoich dolegliwości. Każdego poranka zmagał się z lekkimi mdłościami, które trwały do czasu, aż oddał mocz i uzupełnił płyny. Usiadł powoli, starając się uniknąć zawrotów głowy, które wstrząsały nim, jeżeli popełniał błąd i podniósł się nazbyt gwałtownie. Zrobił to, wspierając się najpierw na łokciach, a potem pomału przenosząc tułów do przodu i dotykając kostek. Stopy wyglądały normalnie, żadnego śladu opuchlizny. Przeniósł je na podłogę i odczekał jeszcze kilka sekund, zanim wstał. Następnie podszedł do okna i otworzył

okiennice, pozwalając, żeby szarawe światło, które sączyło się przez świetlik, oraz zapach detergentu i wybielacza wcisnęły się do pomieszczenia wymieszane z ciepłym powietrzem z patio. Gdy się odwrócił, zobaczył karteczkę, którą ktoś wsunął pod drzwi. Była to wiadomość od właścicielki pensjonatu, napisana starannym pismem, co zaskoczyło Noaha. Kobieta życzyła mu dobrego dnia, przepraszała, ponieważ musiała iść na mszę, i informowała, że śniadanie zostawiła w kuchni. Uchylił drzwi pokoju i nadstawił uszu. W domu panowała cisza, a w korytarzu unosił się przyjemny zapach kawy, który natychmiast pobudził jego apetyt. Przez wszystkie te dni, odkąd się tu zatrzymał, nie spotkał jeszcze żadnego gościa. Właśnie o tym myślał, kiedy za swoimi plecami usłyszał głos Maite:

– Dzień dobry.

Odwrócił się zachwycony, jakby liczył, że ujrzy ją w swoim pokoju. Ale nie było tam nikogo, jedynie głosy płynące z radia opartego o poduszkę na jego łóżku.

– Dzień dobry, kto się do nas dodzwonił? – zapytał prenter.

– Maite. Stąd, z Bilbao.

Noah zamknął drzwi i podekscytowany ruszył do łóżka.

– *Egun on*¹⁰, Maite, jak się bawisz podczas Aste Nagusia?

– No cóż, Ramontxu, muszę pracować...

– Od tego jesteśmy, żeby umilać czas pracującym, ale życzymy ci, abyś w wolnej chwili mogła się cieszyć Aste Nagusia.

– Tak będzie, z pewnością – odpowiedziała.

Noah usiadł na łóżku, obok poduszki, patrząc na urządzenie i uśmiechając się z niedowierzaniem. Czuł niewytłumaczalne zdenerwowanie.

– A więc, Maite, jaką piosenkę mamy zagrać? – zapytał Ramón García.

– Chciałabym prosić o *Amor de hombre* Mocedades.

Prenter roześmiał się rozbawiony.

– Maite, jak romantycznie! A dla kogo ma być ta piosenka?

Noah wstrzymał oddech, czując, że kurczy mu się żołądek, jakby jechał kolejką górską.

– Dla chłopaka, który mi się podoba.

– Nie wyjawisz nam jego imienia, Maite?

Noah wziął odbiornik w dłonie, jego palce drgały wraz z jej głosem.

– On wie, o kim mówię.

Prezenter znowu się roześmiał.

– Podaj nam chociaż jakąś wskazówkę, Maite, żeby nie miał żadnych wątpliwości, jeśli cię teraz słucha.

Wahała się przez chwilę.

– No cóż, on czeka na potop.

Noah zamknął oczy i wypuścił z płuc całe powietrze, a na jego ustach pojawił się szeroki uśmiech.

– W takim razie ma szczęście, Maite – odpowiedział gadatliwy Ramón García.

– Bo prognoza pogody przewiduje, że już dziś po południu będzie lało jak z cebra. Tak więc dla ciebie i dla chłopaka, który ci się podoba, Mecedades i ich *Amor de hombre*.

Wysłuchał każdej nuty, każdej sylaby płynącej z gardła Amayi Urangi, próbując odnaleźć wiadomość przeznaczoną tylko dla niego. Kiedy piosenka się skończyła, siedział jeszcze przez kilka minut, trzymając odbiornik w dłoniach. Pragnął znowu usłyszeć głos Maite. Rozglądał się wokół z uśmiechem, zastanawiając się, czy to, co się właśnie wydarzyło, było prawdziwe, czy to jedynie sen.

Wykąpał się, ogolił i ubrał, nie przestając się przy tym uśmiechać i powtarzając każde słowo, jakie wypowiedziała, jak gdyby tylko dzięki temu mógł uwierzyć, że były prawdziwe. Przez cały ten czas nosił przy sobie radio. Choć wiedział, że jest mało prawdopodobne, by zadzwoniła ponownie, po prostu nie mógł oderwać się od urządzenia, z którego płynął jej głos. Kiedy był gotowy, wreszcie poszedł do kuchni. Nie krył zaskoczenia, widząc przygotowany stół. Stały na nim talerzyki z babeczkami i bułeczkami, dzbanek mleka oraz dzbanek kawy, cały czas podgrzewany; to z niego po całym domu roznosił się aromat. Nalał sobie pełną filiżankę, a potem wziął jedną z bułeczek i odsunął zasłony, żeby widzieć ulicę.

W tym momencie Michael i „Ciemny” wyszli ze swojego pensjonatu. Zdecydowanym krokiem ruszyli w stronę placu Unamuno. Noaha coś tknęło. Zostawił filiżankę na stole i otworzył okno, wychylając się najbardziej, jak był w stanie. Kąt nie był dobry, ponieważ wysunięta część budynku nie pozwalała zobaczyć całej szerokości ulicy, ale mógłby się założyć, że weszli do budki telefonicznej. Zamknął okno i wycofał się na korytarz. Bez powodzenia próbował otworzyć po kolei wszystkie drzwi po prawej stronie, aż doszedł do sypialni właścicielki. Nacisnął kłamkę, a ta ustąpiła.

W pokoju panował porządek, łóżko było zaścielone, a narzuta idealnie naciągnięta, tak że całość wyglądała niemal jak pomnik. Rzucił jeszcze zaniepokojone spojrzenie w stronę drzwi wejściowych i wszedł do środka. Otworzył okno, które znajdowało się nad budką. Z tego miejsca zdołał dostrzec nogawki spodni jednego z mężczyzn, opartego o drzwi. W budce spędzili nieco ponad dziesięć minut, potem wyszli i wrócili do swojego pensjonatu. Noah zamierzał właśnie zamknąć okno, kiedy zauważył Rafę, chłopaka, który załatwiał sprawunki między innymi dla Maite. Niósł plastikową torbę, z której wystawały dwa bochenki chleba. Przystanął na rogu i zaczął machać nerwowo rękami w stronę kogoś, kogo Noah nie mógł zobaczyć. Chłopak przeszedł kilka kroków i wtedy Noah się przekonał, że grupka czterech wyrostków, w wieku mniej więcej od dziesięciu do dwunastu lat, szła za nim, ubliżając mu. Jeden z dzieciaków podszedł do Rasy i walnął ręką w jeden z bochenków, który najpierw się wygiął, przewieszony przez brzeg torby, a później wypadł na mokrą ziemię.

Nie mogąc się powstrzymać, Noah krzyknął z okna:

– Ej, wy! Zostawcie go w spokoju!

Wszyscy chłopcy, łącznie z Rafą, odwrócili się i spojrzeli w górę. Ten, który uderzył w bochenek chleba, zacisnął dłoń w pięść, po czym wystawił środkowy palec.

Noah odwrócił się gwałtownie do wnętrza pokoju i... natknął się na uśmiechniętą właścicielkę pensjonatu.

– Och, pan Scott! Nie powiem, że nie schlebia mi pańska wizyta w mojej sypialni. Widzę, że czuje się pan już znacznie lepiej.

Spojrzał na nią zaskoczony. Próbował się wytłumaczyć, mówił, że chciał zobaczyć coś, co działo się na ulicy, że wszedł tu tylko po to, a jednocześnie zauważył niedwuznaczny uśmiech właścicielki, który wywoływał w nim przerażenie. Nie zamknąwszy nawet okna, bąknął przeprosiny – później nie był pewien, czy wypowiedział je po hiszpańsku, czy po angielsku – po czym ruszył do drzwi wyjściowych i zszedł na dół.

Kiedy znalazł się przy Rafie, dyszał, co było pokłosiem wysiłku wynikającego z ogromnego pośpiechu oraz zażenowania na samą myśl o tym, co mogło przyjść na myśl tamtej kobiecie. Gdy jednak zobaczył, w jakim stanie jest chłopak, o wszystkim zapomniał. Rafa się cofnął i oparł o ścianę. Miał zwieszoną głowę, przykurczone ręce przyciskał do piersi i patrzył na resztki chleba, które dwóch małych wdeptywało w ziemię, aż zamieniły się w mokrą, brudną od błota i sadzy papkę. Pozostali śmiali się zadowoleni, a jeden z tych deptających chleb odezwał się do Raby:

– Lubisz taki, debilu?

– Ej! – krzyknął Noah, na co czterech napastników uciekło w stronę ulicy Iturribide i wmieszało się między ludzi.

Noah stanął naprzeciwko Raby i zmusił go, by ten na niego spojrzał.

– Rafa, wszystko dobrze?

Chłopak skinął głową.

– Na pewno? Uderzyli cię?

Było oczywiste, że jest zdenerwowany, a do tego wściekły. Zanim się odezwał, głośno nabrał powietrza. Podnosił głowę i po chwili opuszczał ją z powrotem. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, wziął głęboki wdech i wreszcie się odezwał:

– Po-połamali mi... chleb.

– Nie przejmuj się tym teraz – próbował go uspokoić Noah.

– T-tak, ale połamali mi chleb. – Rafa miał oczy pełne łez. – To dla catofueros.

– Dla kogo?

Chłopiec powtórzył z wielkim trudem, przez łzy i nerwy. Noah wydedukował, że powiedział coś na kształt Cantón Fueros. Kojarzył, że to bar przy Arenal. Wsadził rękę do kieszeni i wyjął kilka monet.

– Nie martw się, kupimy nowy chleb. Chodź, pójdę z tobą.

Kiedy zawracali w stronę placu, próbował wsadzić monety do rąk chłopaka, ale on wykręcał dłonie i potrząsał nimi tak nerwowo, że upuściłby nawet torbę, gdyby nie miał jej zawieszoną na nadgarstku. Nie będąc w stanie wprowadzić go do środka, Noah zostawił Rafę przed piekarnią; chłopak w dalszym ciągu rzucał nerwowe spojrzenia w tamto miejsce, gdzie zostały podeptane resztki chleba. Obserwując go przez szybę, Noah kupił bochenek, wrócił do chłopca i włożył chleb do torebki razem z pozostałym. Rafa natychmiast poczuł ulgę.

– Dzię-dziękuję – powiedział, podnosząc głowę.

Obserwując, jak nabiera powietrza przed każdym słowem, Noah widział, że wciąż jest bardzo zdenerwowany.

– M-muszę zanieść chleb. Cze-czekają na mnie.

Noah ruszył razem z nim.

– Tamci chłopcy często ci dokuczają?

– Cza-cza-czasami – powiedział bardzo powoli. – Kiedy nie ma Euri. – Szedł zdecydowanie, ale tak, jakby na końcu każdego stawianego kroku wznosił się nieco na palcach.

– Kogo?

– M-mojej su-suczki E-euri.

Noah skinął głową.

– Tak, widziałem cię z nią ostatnio.

– Euri t-to deszczowa su-suczka. M-moja mama znalazła ją w cza-czasie deszczu... Dlatego wabi się Deszcz. Je-jeśli jest Euri, n-nie mają o-o-odwagi.

– Przekłęci tchórze! – oburzył się Noah.

– Euri jest g-grzeczna, nie gryzie – wyjaśnił nieco przejęty chłopak.

– Jasne, że nie. – Noah był poruszony lojalnością chłopca wobec swojej psiej towarzyszki.

– Ale... oni o tym nie w-wiedzą...

Nagle przystanął i spojrzał na Rafę. Zażartował. Uśmiechał się. On też się uśmiechnął i wyciągnął rękę.

– Chcesz, żebym poniósł torbę?

– Mogę sam.

Ponownie ruszył obok niego.

– Nie jestem de-debilem – powiedział chłopak.

– Nie, oczywiście, że nie – przyznał Noah, nie mając pewności, czy z jakiegoś powodu nie sprawia, że młody czuje się nieswojo.

– Nazywają mnie de-debilem. – Rafa podniósł głowę, odrzucając ją nieznacznie do tyłu, i głośno nabrał powietrza. – Ale nie jestem de-debilem. – Opuścił głowę i powiedział bardzo powoli: – Porażenie mó-mózgowe. – Nabierał powietrza po każdym słowie.

Noah spojrzał na niego zaskoczony.

– Słucham?

– Porażenie mó-mózgowe. – Chłopak zrobił pauzę i ponownie zaczerpnął powietrza. – Taki się urodziłem, mama mówi, że to wy-wypadek, może się przytrafić każdemu. Nie jestem de-debilem.

– Nie pomyślałem tak ani przez chwilę – zapewnił go Noah bardzo poważnym tonem.

– To dlatego, że mówię ź-źle.

Czekał, świadomy wysiłku, na jaki Rafa musiał się zdobywać.

– Niektórzy myślą, że jestem g-g-głupi... bo mówię ź-źle.

Noah znowu przystanął.

– Ja też mówię źle i muszę sikać co godzinę, i nie mogę biegać, żeby nie dostać ataku. Przypuszczam, że niektórzy mogą pomyśleć, że jestem głupi.

Rafa się uśmiechnął.

– To prawda, mówisz bardzo ź-źle – powiedział rozbawiony. – Ale nie jesteś g-g-głupi.

– Nie jestem – odparł Noah z uśmiechem.

– Ani nie jesteś s-s-skautem – rzucił nagle chłopak, wybuchając śmiechem.

Noah zamarł, wbijając w niego wzrok.

– W barach mówią, że jesteś s-s-skautem, ale nie wie-wiedziałeś, kim są lwy – wyjaśnił Rafa, przypominając mu tamtą chwilę, kiedy pierwszy raz spotkali się w barze u Maite i zagadnął go o lokalną drużynę piłkarską.

– Spryciarz z ciebie! – zawołał Noah ze śmiechem.

– W-wiem dużo rzeczy.

– Ach tak? – podjął jego grę.

– Że nie jesteś s-s-skautem i że podobasz się Maite.

– W takim razie chyba jestem trochę głupi, bo najwyraźniej zauważyli to już wszyscy oprócz mnie.

Rafa był teraz znacznie spokojniejszy, więc Noah skorzystał z okazji, żeby go zapytać:

– Powiedziałaś komuś, że według ciebie nie jestem skautem?

Chłopak pokręcił głową.

– Detektyw – odparł bardzo cicho.

– Tym według ciebie jestem?

Rafa jeszcze bardziej ściszył głos:

– Angielski detektyw. Hostel Gwiazda, ś-ś-śledztwo. I nosisz broń, i twój kolega też.

Noah pokiwał głową z nieskrywanym podziwem.

– Skąd wiesz, gdzie się zatrzymałem?

– Robię też spra-sprawunki dla hosteli... Po-po-poza tym wyglądałeś przez okno.

Podniósł rękę do czoła i uśmiechnął się.

– Rafa, chcę cię prosić o przysługę. Nie możesz powiedzieć o tym nikomu, bo jestem tajnym detektywem. Żebym mógł rozwiązać sprawę, nad którą pracuję, nikt nie może się dowiedzieć, co robię.

– Nie po-po-powiem nikomu – zapewnił chłopak z wielką powagą. – I będę twoim po-po-pomocnikiem.

Noah wbił w niego wzrok, świadomy, że ma problem.

– To dlatego wczoraj mnie śledziłeś?

– Pomocnik – powtórzył tamten i niemal równocześnie zaczął się kołysać w przód i w tył, ponownie zdenerwowany, wskazując zatłoczony lokal za swoimi plecami. – Muszę zanieść chleb – dodał i biegiem ruszył do środka.

Noah wszedł za nim. Od progu otoczył go dym pachnący grillowanymi owocami morza. Podłogę pokrywała gruba warstwa tłustych serwetek i pancrzyków po krewetkach. W Cantón de los Fueros niedzielami eleganccy mieszkańcy Bilbao obierali skorupiaki palcami i stukali się kieliszkami z martini.

Zobaczył, jak Rafa wchodzi przez boczne, kuchenne drzwi. Zamówił więc porcję krewetek oraz wino i postanowił cierpliwie poczekać, aż chłopak wyjdzie. Do tej pory rozmowa była interesująca, ale powinien się przygotować na drugą część.

¹⁰ *Egun on* (bask.) – Dzień dobry.

Mikel Lizarso

Siedząc na pryczy, na której spędził część nocy po tym, jak zostawił Noaha w pensjonacie, *ertzaina* Mikel Lizarso rozejrzał się dookoła. Miejsce to zajmowało piwnicę budynku przy ulicy María Díaz de Haro, przeznaczonego na siedzibę Wydział Ruchu Drogowego *Ertzaintzy* w Bilbao. W części publicznej znajdowały się wozy patrolowe, warsztat samochodowy i magazyn, zaś za drzwiami bez żadnego oznaczenia mieściło się pomieszczenie, które teraz zajmował Lizarso i do którego wchodziło się przez schowek na miotły w głębi garażu. Miało jakieś trzy metry wysokości, dwa otwory wentylacyjne oraz dwa małe, wąskie okna, które wychodziły na tyły budynku. I oficjalnie go tu nie było. Jego istnienie pozostawało tak tajne, że z resztą budynku mogli się porozumiewać jedynie przez interkomy. Jego jednostka zwyczajnie nie istniała, a kiedy politycy o niej mówili, nazywali ją departamentem przy przewodniczącym. Pod względem administracyjnym byli bowiem przeznaczeni do osobistej ochrony *lehendakari*¹¹ i jego doradców, lecz w tajemnicy tworzyli coś w rodzaju departamentu bezpieczeństwa, do którego powstania na pewno nie dopuszczono by w policji istniejącej zaledwie od roku. Większość kierownictwa *Ertzaintzy* wywodziła się z wojska albo z innych odłamów policji, a szanse otrzymania informacji z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z Madrytu lub współpracy z wydziałami antyterrorystycznymi innych jednostek policji były zerowe. Mieli tak ograniczone możliwości, że w gabinecie przewodniczącego baskijskiego rządu uznano, iż należy pilnie stworzyć grupę wiernych, idealistycznych patriotów, zrekrutowanych spośród policjantów, dwudziestu dwóch mężczyzn i dwie kobiety, mających

w sobie wystarczająco zapachu, żeby w cieniu wykonywać pracę, która będzie miała istotne znaczenie dla przyszłości Euskal Herria¹². Grupa została podzielona na pięć sekcji: przemysł, narkotyki, broń, ETA oraz materiały wybuchowe, głównie Goma 2, najczęściej wykorzystywany przez organizację materiał wybuchowy, którego ślad prowadził prosto do ETA. Lizarso był szczęśliwy i dumny, że został powołany do tej służby. Stanowili załóżek przyszłego departamentu bezpieczeństwa i znajdowali się pod kuratelą dyrektora Wydziału Ruchu Drogowego, który wywodził się z podziemia Baskijskiej Partii Nacjonalistycznej i który miał już doświadczenie w pozostawaniu w cieniu.

Lizarso miał świadomość, podobnie jak wszyscy członkowie tej jednostki, że działali w ukryciu, z większym zaangażowaniem niż wykszoleniem, niewielką wiedzą i ogromnymi chęciami, by robić wszystko, jak należy. Naprawdę wierzył w każde słowo, które przekazał Noahowi. Ale od czasu rozmowy z nim coś uległo zmianie. Coś, co sprawiło, że inaczej patrzył na miejsce, w którym pracował przez ostatnie sześć miesięcy. Po obu stronach pod ścianami stało osiem stołów; z jednej strony wisiało zdjęcie *lehendakari* Carlosa Garaikoetxei; z drugiej dużych rozmiarów *ikurriña*¹³. Niewielka przegroda oddzielała tę strefę od pryczy postawionych z myślą o nocnej służbie, był tu także telewizor z odtwarzaczem VHS, który towarzyszył im podczas szesnastogodzinnych zmian. Za ścianą – powód, dla którego zawsze powinien być tu przynajmniej jeden policjant – na wielu regałach i półkach stało trzydzieści pięć telefonów stacjonarnych, gondolowych, a nawet jeden ścienny oraz leżała plątanina kabli, które po podłodze prowadziły do takiej samej liczby rejestratorów umieszczonych naprzeciwko. Szafa pełna chromowanych taśm przeznaczonych do nagrywania, sterta notesów z numerami telefonów, kosz pełen celofanu zdjętego z taśm i jeszcze jedna szafa, gdzie chronologicznie ułożono nagrane taśmy. Z jednej strony stół i dwa krzesła, kilka zestawów słuchawek do odsłuchiwania nagrań oraz mnóstwo zeszytów do robienia notatek.

Po raz pierwszy, odkąd tu był, zaczął się zastanawiać, co wydarzy się później, jaką tak naprawdę rolę będzie w tym wszystkim odgrywał, co się wydarzy, kiedy

jego misja przestanie być prowadzoną niemalże ukradkiem grą i będzie miała konsekwencje w prawdziwym życiu jego narodu. Co by się stało, gdyby spośród setek godzin podsłuchów wyłuskało się wiadomość zdolną zmienić bieg wydarzeń politycznych i społecznych? Co by się stało, gdyby musieli zrobić krok naprzód? Zmusiłoby ich to do porzucenia roli zwykłych suflerów w przedstawieniu teatralnym, które odgrywali na zewnątrz.

Mikel Lizarso to wiedział, wiedział to przez cały czas, i to był właśnie powód, dla którego zgodził się dołączyć do tej ekipy. A najbardziej wnerwiało go to, że Scott Sherrington potrafił dostrzec jego słabość ukrytą za idealizmem, którym wymachiwał.

Na pryczy miał rozłożonych wiele gazet z tego dnia. Na pierwszej stronie „El Correo” widniał nagłówek „Bilbao chce się bawić” oraz zdjęcie burmistrza stojącego przed wejściem do bazyliki Begoña w towarzystwie *txupinera*¹⁴ podczas odpalania fajerwerku. Obok zniszczona lalka leżąca w gruzach ilustrowała informację o zamachu z użyciem Goma 2 na koszary Gwardii Obywatelskiej w Laredo; ranne zostały dwie dziewczynki. Na dole strony informowano o tym, że działacz OWP został zamordowany w Atenach i że w Argentynie czterdzieści tysięcy osób demonstrowało przeciwko ustawie o amnestii. Lizarso był rozczarowany i wściekły. Trzymał na kolanach egzemplarz jednej ze szkockich gazet sprzed ośmiu dni, której zdobycie sporo go kosztowało. Raz za razem czytał artykuł o tym, że inspektor Scott Sherrington zmarł podczas próby zatrzymania Johna Clyde’a, który – jak się podejrzewa – może być słynnym mordercą Biblijnym Johnem.

Na stoliku zadzwonił telefon. Lizarso zamierzał wstać, żeby odebrać, ale policjant, który właśnie wszedł i który miał go zmienić, ubiegł go. Po wysłuchaniu dzwoniącego zwrócił się do Mikela:

– Pyta o ciebie facet z angielskim akcentem.

Gdy tylko Lizarso przyłożył słuchawkę do ucha, Noah go ponaglił:

– Tylko tracicie czas z tym podsłuchem w pensjonacie. Jakąś godzinę temu widziałem, jak Michael i „Ciemny” korzystają z budki, z której teraz do ciebie dzwonię, na rogu mojej ulicy.

– Jakąś godzinę temu? A co robiłeś przez cały ten czas?

– Byłem zajęty. Pamiętasz Rafę, chłopaka, który nas wczoraj śledził? Nie łyknął, że jestem skautem. Mało tego, podejrzewa, że jestem policjantem, podobnie jak ty.

– Powiedział o tym komuś?

– Nie, nie sędzę.

– Więc trzeba wybić mu to z głowy, za wszelką cenę.

– Obawiam się, że na to jest już za późno, chłopak nie jest głupi, zapewniam cię. Zauważył rzeczy, które większość ludzi by przeoczyła. Musiałem przyznać mu rację; gdybym tego nie zrobił, to byłoby zbyt ryzykowne. Powiedziałem mu, że jestem na tajnej misji. No i teraz mam pomocnika. Co o tym myślisz? Chłopak uwielbia historie o detektywach.

– Myślę, że jesteś całkiem niezły w opowiadaniu historii, detektywie Scotcie Sherringtonie. Wyjawiałeś mu, że oficjalnie nie żyjesz? Czy może powiedziałeś, że przyjechałeś jako turysta?

¹¹ *Lehendakari* (bask.) – przewodniczący baskijskiego rządu.

¹² *Euskal Herria* (bask.) – Kraj Basków.

¹³ *Ikurriña* – flaga Kraju Basków.

¹⁴ *Txupinera* (bask.) (rodzaj męski: *txupinero*) – osoba, która odpowiada za wystrzelenie fajerwerku dającego początek Aste Nagusia.

Doktorka Elizondo

Pro telefonie do Lizarso Noah wahał się przez chwilę, przechodząc koło baru Maite. Ale na samą myśl o tym, że mógłby ją spotkać, tak się zdenerwował, że poczuł, jak pocał mu się dłonie. Jeszcze nie był gotowy. Owszem, chciał się z nią zobaczyć, ale nie miał pojęcia, co jej powiedzieć.

Było oczywiste, że coś się działo, coś, co zupełnie wymykało się spod jego kontroli. Co mógł zrobić? Okoliczności nie zmieniły się ani na jotę, a jednak słowa Maite i tamta piosenka zmieniały wszystko. Zacisnął usta i nabrał powietrza przez nos, próbując się uspokoić. Miał świadomość chaotyczności swoich uczuć, które go do niej pchały, a z drugiej strony pragnął się jedynie ulotnić i zniknąć z powierzchni ziemi. Czując się takim tchórzem, jak jeszcze nigdy w swoim życiu, postanowił odłożyć to na później i z ulgą ruszył na swój zwyczajowy spacer po odbiór prasy. Nagłówki na pierwszych stronach szkockich gazet zmusiły go do zatrzymania się przy kiosku i zapoznania z newsami. Na wszystkich znajdował się portret pamięciowy Biblijnego Johna. *Policja zatrzymała podejrzanego, Biblijny John zatrzymany, Policja złapała potwora.*

Dwa razy przeczytał uważnie treść artykułów, w których powtórzono to wszystko, o czym pisano w poprzednich dniach. W niektórych znowu wspomiano o nim jako o inspektorze, który zmarł, próbując zatrzymać mordercę. Wyglądało na to, że policja rzeczywiście pilnowała mężczyzny bez dokumentów, który odmówił podania swojego nazwiska i który odpowiadał portretowi pamięciowemu wykonanemu na podstawie opisów znajomych Johna Clyde'a. W słowach

„pilnowała”, „przesłuchiwany na posterunku policji”, „zatrzymany” i „wszystkie kierunki dochodzenia są wciąż otwarte” pobrzmiwało echo, które zdaniem Scotta Sherringtona można było przetłumaczyć jako „nie mamy niczego”. Mimo to słowa te dały mu do myślenia, zastanawiał się nawet, czy nie zadzwonić do Gibsona i o to nie dopytać. Schował interesujące go strony, a kiedy resztę gazet wyrzucał do kosza, podjął decyzję, że jeszcze zaczeka, aczkolwiek zostawił sobie miejsce na wątpliwości. Czy to możliwe, że się pomylił? Że jego przeczucie okazało się błędne? Czy martwy mężczyzna w La Rochelle mógł być tylko złodziejem zawartości kontenerów, który został zamordowany przez swojego współnika? Że Murray to jedynie kolejny idealista, walczący o wolność swojego narodu i obracający się w najgorszym towarzystwie? Że dziewczyny, które zaginęły w Bilbao, bawiły się gdzieś w Kraju Basków? Albo że ten pijaczyna pomylił się co do spojrzenia mężczyzny z białego samochodu?

Noah zaczął się martwić. Opuścił swój kraj, swoją ojczyznę, jedyne miejsce, które mógł nazwać domem, tylko po to, żeby gonić za chimerą. Czyżby w akcie desperacji, widząc, że jego życie dobiega końca, uzasadnił swoją ucieczkę koncepcją, że Biblijny John zbiegł do Hiszpanii? Czy wszystkie jego założenia były ucieczką od okrutnej rzeczywistości? Szaloną próbą wymknięcia się śmierci?

Wspinał się po schodach do gabinetu doktorki Elizondo, niemal ocierając się o ściany. Prawdopodobnie był to efekt szarawego światła wpadającego dziś słabo przez świetlik, bo przecież nie istniała inna możliwość, ale mógłby przysiąc, że schody trochę bardziej nachylały się w stronę otworu pośrodku niż poprzedniego popołudnia.

To ona otworzyła mu drzwi. Wszedłszy do gabinetu, Noah spostrzegł, że dziś doktorka zostawiła rodzinny portret na biurku.

Kierując się na swój fotel, powiedziała:

– Dużo myślałam o naszej wczorajszej rozmowie. Uderzające jest to, do jakiego stopnia jesteś świadomy różnych etapów, przez które przechodzisz po tym, jak się dowiedziałeś, że umrzesz.

Noah się wzdrygnął i nabrał powietrza.

– Byłam zbyt brutalna? Możemy nazywać rzeczy po imieniu? Czy wolisz, byśmy unikali słowa „śmierć”?

– Używajmy go – zgodził się.

– Chodzi mi o to, że każdy z tych etapów: zaprzeczenie, negocjacje, gniew, depresja i akceptacja, jest przepełniony odczuciami i doświadczeniami, anormalnymi i niesamowitymi, a wręcz śmiem twierdzić, że niewiarygodnymi. Są to przeżycia, których większość osób nigdy nie doświadcza i które same w sobie są niezwykle w psychiatrii. Ty jednak pragniesz pójść o krok dalej i muszę przyznać, że jestem bardzo ciekawa, o czym chcesz porozmawiać.

Przeniósł wzrok na okno, uciekając od dociekliwych oczu doktorki, i zaczął mówić:

– Każdej nocy śni mi się moment, w którym umarłem. Wiem, że jest to bardziej wspomnienie niż sen. Doznaję tych wszystkich odczuć tak samo wyraźnie, jakbym przeżywał je ponownie. Na początku bardzo się tego bałem, ale teraz prawie zawsze udaje mi się obudzić przed końcem.

– Doświadczyłeś tego także na jawie?

– Tak, kiedy deszcz pada mi na twarz, tak samo jak wtedy, i parę razy pod prysznicem. Gdy tylko zamykam oczy, wszystko się powtarza.

Lekarka zrobiła kilka notatek.

– Mów dalej.

– Co tam napisałaś? – chciał wiedzieć Noah.

Odwróciła zeszyt, żeby mógł zobaczyć.

– Stres pourazowy. To zaburzenie wywołane przez traumatyczną sytuację, zwykle obejmuje koszmary i lęk. Chociaż Kardiner zdefiniował to już w latach czterdziestych, to wydaje mi się, że jako termin psychiatryczny oficjalnie funkcjonuje od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku. Został ukuty w Stanach Zjednoczonych przy badaniu zaburzeń, jakie przejawiali weterani wojny w Wietnamie.

– Nie wiem, kim jest Kardiner, ale koszmary wydają mi się czymś normalnym po powrocie z wojny.

– Abram Kardiner był amerykańskim psychiatrą, któremu zawdzięczamy bardzo wiele – wyjaśniła Elizondo. – Nie chodzi tylko o koszmary. Według definicji Kardinera osoby, które cierpią z powodu stresu pourazowego, cały czas żyją w tym samym środowisku emocjonalnym związanym z traumatycznymi zdarzeniami, z powracającymi myślami, w których człowiek czuje się albo działa tak, jakby te zdarzenia się powtarzały.

– Uważasz, że tak właśnie dzieje się w moim przypadku?

– Może częściowo.

– Ale niezależnie od sposobu, w jaki docieram do tego wspomnienia, pewna rzecz, która wydarzyła się tamtej nocy, wymyka się wszelkiej logice. Mówiłem ci już, co się stało, ale nie powiedziałem, że chwilę przed atakiem zdarzyło się coś dziwnego... Usłyszałem płaczącą kobietę.

Elizondo spojrzała na niego tak, jakby nie zrozumiała.

– Zapewniam cię, że to było kompletnie niemożliwe, bo burza wisiała nad naszymi głowami, byliśmy na niezamieszkałym obszarze i ledwo mogłem słyszeć samego siebie, kiedy krzychałem do tego faceta, którego próbowałem zatrzymać. A mimo to usłyszałem ją bardzo wyraźnie. Przeciągły jęk, płacz. Brzmiał bardzo smutno, boleśnie i tak wyraziście, że byłem pewien, iż płacze jakaś kobieta. Nawet się odwróciłem i spojrzałem w stronę miejsca, gdzie leżało ciało ostatniej ofiary. Upewniłem się, że była martwa, i to już od dłuższego czasu. Ale nawet gdyby żyła, byłoby niemożliwe, żebym usłyszał jej płacz z takiej odległości i przy takim huku. Miałem wrażenie, jakby ten dźwięk rozbrzmiewał w mojej głowie. I to było ostatnie, co usłyszałem.

– Jak rozumiem, wyklucasz ludzkie pochodzenie tego, co usłyszałeś.

– To było pierwsze, o co zapytałem, kiedy obudziłem się w szpitalu: czy był tam ktoś jeszcze, jakiś świadek, a może kobieta, którą uznałem za zmarłą, jeszcze żyła i to ona płakała. Wiesz, co mi odpowiedzieli?

Elizondo czekała w milczeniu na dalszy ciąg.

– W Szkocji istnieje legenda o *caoineag*. To wodny demon, który przybiera kobiecą postać, zamieszkuje jeziora i strumienie. Płacze w ciemności, nie dając się nigdy zobaczyć, choć można go wyraźnie słyszeć. Podobno jeśli ktoś ma to nieszczęście i usłyszy wodnego demona, spotka go wielka tragedia albo umrze.

– Płaczka – przytaknęła doktorka. – To mityczne stworzenie, które występuje w wielu kulturach. Nie poznałam nikogo, kto by tego doświadczył, ale wśród pacjentów mających za sobą doświadczenia bliskie śmierci wielu twierdzi, że tuż przed końcem słyszało smutny płacz. Może zainteresuje cię to, że w niektórych kulturach wierzy się, iż słyszą go tylko mordercy, kiedy nadchodzi ich godzina. To płacz ofiar, które ci mają na sumieniu. Ofiary nie mogą zaznać spokoju i w ten sposób ostrzegają ich, że czekają na nich po drugiej stronie.

Noah uniósł brwi.

– Jest coś jeszcze, o czym ci nie powiedziałem. W miarę, jak sen się powtarzał, przypominałem sobie więcej szczegółów. I najbardziej uderzające jest to, że wiem z całą pewnością, iż człowiek, którego zatrzymałem, także to usłyszał.

Kobieta poruszyła się niespokojnie na swoim fotelu.

– A więc obaj słyszeliście ten płacz? On też?

– Myślisz, że może to on był adresatem? – zastanowił się chwilę. – Nie, to nie był płacz dla niego, mogę cię zapewnić, że ten facet wciąż żyje.

– Ty też, mogę to poświadczyć.

Noah pokręcił głową.

– W takim razie dlaczego go słyszałem, skoro to on miał umrzeć?

– Może mieliście umrzeć obaj... – odpowiedziała spokojnie.

Przez kilka sekund Noah patrzył jej uważnie w oczy, następnie wstał i podszedł do okna. Na zewnątrz zaczął padać drobny deszcz. Ponownie odwrócił się do kobiety.

– Czy diagnozowałaś kiedyś pacjenta, nie widząc go? To znaczy czy kiedykolwiek konsultowałaś kogoś, kto nie przychodził na terapię osobiście?

– Tak, to dość powszechne. Czasami przychodzą krewni, jeśli zauważają, że ktoś bliski dziwnie się zachowuje, kiedy podejrzewają uzależnienia lub alkoholizm, albo w przypadkach, gdy taka osoba odmawia przyjęcia pomocy. Prawie zawsze daje im się wytyczne, żeby spróbowali zmienić podejście tych osób i odbudować ich zaufanie na tyle, by zgodziły się przyjść na terapię. Nazywam ich „pacjentami enigma”.

– A czy nie mając przed sobą tego pacjenta, jesteś w stanie go zdiagnozować tylko na podstawie tego, co ci opowiadają o jego dolegliwościach?

– Nie jest to na pewno trafna diagnoza. Potrzeba na to miesiące, niekiedy lat. Ale gdybym dostała od rodziny wystarczająco dużo informacji, mogłabym przynajmniej zbliżyć się do kwestii związanych z danym zachowaniem.

– Chciałabyś to zrobić?

– Co takiego? – zapytała podejrzliwie.

Noah uświadomił sobie, że niełatwo będzie ją przekonać; musiał uważać na słowa. A już się przekonał, że w takich sytuacjach jak ta język go zawodzi.

– Od dawna ścigam tego faceta. Przejrzałem wszystkie kierunki śledztwa prowadzonego przez czternaście lat i wciąż mam wrażenie, że coś się tu nie zgadza. To musi mieć związek z motywem. Zawsze uważałem, że gdybym mógł dostać się do jego głowy, wiedzieć, jak myśli i dlaczego to robi, zdołałbym go zatrzymać.

– To bardzo interesujące, Noah, ale to ty jesteś moim pacjentem, a nie tamten człowiek. Masz świadomość, jak dziwne jest to, o co mnie prosisz?

Nie poddawał się.

– Pewien amerykański policjant poświęcił się gromadzeniu historii wielu morderców siedzących za kratkami, żeby ustanowić wspólną dla nich płaszczyznę działania. On nazywa to profilem behawioralnym i twierdzi, że jeśli zdołamy ustalić, co kieruje takim człowiekiem, moglibyśmy przewidzieć jego następny krok i go zatrzymać.

Słuchając go, doktorka nieufnie przechyliła głowę.

Noah kontynuował:

– Wiem, że pewna psychiatrka pomogła mu sformułować pytania, jakie powinien zadać, żeby zrozumieć, skąd brały się ich odrażające instynkty. Pomyślałem, żeby poprosić o pomoc psychiatrę, który pracował w Marinie w Glasgow, ale... powiedzmy, że jego doświadczenie z pijanymi policjantami, którym sprawy wymykają się spod kontroli, nie wydało mi się najwłaściwsze w tej konkretnej kwestii.

Odpowiedziała dopiero po kilku sekundach. W jej głosie pobrzmiwała ostrożność:

– Wiem, co to jest. Ja nazywam to „prawdopodobną diagnozą osobowości”. Nigdy jednak nie diagnozowałam przestępcy.

Noah spuścił głowę. Ustalała zasady. „Nigdy nie diagnozowałam przestępcy”. Kiedy podniósł spojrzenie, starał się być jak najbardziej bezpośredni.

– Umieram. Myślałem o tym, w jaki sposób przeżyłem swój czas na tym świecie, naprawdę dużo o tym myślałem. A mimo to zostawiłem swój dom i przyjechałem tu w ślad za mordercą. Zrobiłem to, ponieważ czuję, że złapanie go jest jedyną rzeczą, jaka może nadać sens już nie mojemu życiu, bo swoje życie zmarnowałem, ale przynajmniej mojej śmierci: niech służy do zatrzymania go.

Kobieta kręciła głową, jakby nie chciała go słuchać.

– Mam pytanie, Noah, i chcę, żebyś był ze mną absolutnie szczery; będę wiedzieć, czy kłamiesz. Czy to jest powód, dla którego przyszedłeś do mojego gabinetu? Bo myślę, że mogłeś sobie zaoszczędzić...

Przerwał jej:

– Przyszedłem, bo się boję. Boję się i nic nie wiem. Potrzebuję odejść w spokoju i w tym celu muszę zrozumieć parę rzeczy. Przyszedłem tu, bo nie mam nikogo, z kim mógłbym o tym porozmawiać, a podejrzewam, że o czymś takim można rozmawiać tylko z najbliższym przyjacielem, z kobietą, która cię kocha, albo z kimś całkiem obym. Mój najlepszy przyjaciel byłby idealny, bo też jest profesjonalistą z dużym doświadczeniem, ale on nawet nie wie, gdzie jestem. A na

miłość jest już dla mnie za późno. Tutaj znam tylko chłopaka, który robi sprawunki w barach, i młodego *ertzainę* z głową pełną ideałów. Ty jesteś moją ostatnią szansą.

Uśmiechnęła się nieznacznie.

– Nieszczególny komplement.

– Powiedziałem: profesjonalistą z dużym doświadczeniem... – pozwolił sobie na żart.

– A ten młody policjant, którego poznałeś? Czy nie byłoby bardziej logiczne, gdyby w kwestii policyjnej pomógł ci właśnie on?

– Brak mu doświadczenia. Poza tym to nie jest kwestia policyjna. Najlepsi śledczy z całej Szkocji pracowali nad tą sprawą przez czternaście lat. Nie potrzebuję techniki policyjnej, tylko okna w umyśle tego faceta.

– I uważasz, że to pomogłoby ci osiągnąć spokój, Noah?

– Tak. Pomogłoby mi. Zrobisz to?

– A mam inne wyjście?

Noah pokręcił głową.

– W porządku, pomogę ci. Ale tylko dlatego, że uważam, iż twój upór, by go złapać, w tak ekstremalnej dla ciebie sytuacji jest czymś, nad czym powinniśmy pracować podczas terapii. I zrobię to pod warunkiem, że co najmniej połowę sesji poświęcimy wyłącznie tobie.

Pochylił się i wyciągnął do niej rękę.

– Umowa stoi.

Elizondo ją uścisnęła. Jej uwadze nie umknęło nagłe ożywienie, a nawet blask na przygaszonej dotąd twarzy pacjenta.

– Jak myślisz, od czego powinniśmy zacząć? – zapytała.

– Od tego, od czego nie zaczynali moi poprzednicy prowadzący śledztwo. Od pierwszych ofiar i okoliczności ich śmierci. Przyniosę ci informacje o wszystkich trzech, żebyś się z nimi zapoznała. Przekonasz się, że pozornie nie miały ze sobą wiele wspólnego, z wyjątkiem miejsca, z którego je zabrał, sposobu, w jaki umarły,

i faktu, że w tym momencie wszystkie miały menstruację. Policja dopiero przy trzeciej ofierze zorientowała się, że mają do czynienia z tym samym sprawcą.

– Niewiarygodne.

– Weź pod uwagę, że w tamtym czasie nie było policjantek. Tamci funkcjonariusze kompletnie nie znali kobiecego świata. Kwestię menstruacji wzięli za przypadek. A kiedy zaczęli ją rozważać, doszli do wniosku, że powodem ataków mogła być odmowa współżycia z powodu menstruacji.

– Dość dziecinna teoria. Wydaje się oparta na frustracji policjanta dyżurnego. Mogę go sobie wyobrazić, jak wraca do domu podniecony, a żona wyskakuje z czymś takim. Nie twierdzę, że to nie może być frustrujące, niektórych mężczyzn może nawet zdenerwować, ale żeby zaraz zabijać...

– Uważam tak samo.

Elizondo przez chwilę się zastanawiała.

– Motyw musiał być bardziej złożony. Pytanie brzmi: skąd bierze się jego wściekłość? Z tego, że żona odmawiała mu seksu w te dni? W takim razie powinniśmy założyć, że w pozostałe dni się na to zgadzała, bo w przeciwnym razie brakuje motywu. Jeśli rzekomo mamy do czynienia ze sfrustrowanym mężczyzną, pozbawionym możliwości seksualnego zaspokojenia, to byłoby wszystko jedno, czy ofiary miały menstruację. A jednak wnioskujemy, że jest to bezpośrednio powiązane.

Noah się z tym zgadzał. Doktorka mówiła dalej:

– Poza tym to mit, że w te dni kobiety nie mają ochoty na seks. To prawda, w niektórych przypadkach pojawia się ból, opuchlizna, dyskomfort, obfite krwawienie, ale w wielu innych te dolegliwości trwają tylko kilka godzin. Dla znacznej części par jest to kwestia czysto higieniczna. Dla niektórych kobiet seks w te dni jest bardzo satysfakcjonujący, być może ze względu na rozluźnienie wynikające z pewności, że nie zajdą w ciążę.

– Nie wiedziałem o tym – przyznał Noah.

– Powiedziałabym, że nasz pacjent enigma nienawidzi menstruacji. Penetrował je podczas gwałtu? To znaczy swoim...

– Tak.

– Dopytuję, bo to, że pojawia się podniecenie seksualne, nie jest niczym dziwnym. Czytałam o przypadkach gwałcicieli, którzy mają wiele orgazmów bez penetracji. Bo podnieca ich sama przemoc. Ale to, że uprawiał z nimi seks, świadczy o czymś innym. Z żywymi czy martwymi?

– Przeprowadzone sekcje zwłok tego nie precyzują. Ich tampony albo podpaski zostawiał na ciałach albo układał je zupełnie bez sensu, ale zużyte środki higieniczne zabierał.

– Cóż, to potwierdza nasze przypuszczenia: zabójstwa są bezpośrednio powiązane z menstruacją. Ale ja bym powiedziała, że związek z krwią menstruacyjną świadczy o czymś głębszym.

– Zawsze tak uważałem. Nie sądzę, żeby atakował je dlatego, że mają okres. Wybiera je z tego powodu.

– To bardzo interesujące – przyznała Elizondo.

– Ale dlaczego? A przede wszystkim: jak? Skąd o tym wie? Większość śledczych zgadza się co do tego, że to delikatny temat. Nawet w tych czasach nie jest normalne, żeby dziewczyna przyznała, że ma menstruację w rozmowie z dopiero co poznanym chłopakiem.

Lekarka zrobiła notatki i spojrzała na zegarek.

– Mam kilka teorii, ale muszę się jeszcze skonsultować i zanim zrobię kolejny krok, zapoznać się ze wszystkim, co masz. Będziemy kontynuować jutro. Teraz wolałabym, żebyśmy wrócili do ciebie i twoich motywacji.

Noah spojrzał przez okno. Milczał, dopóki kobieta nie odezwała się ponownie:

– Noah, chciałabym, żebyś mi powiedział, dlaczego tak naprawdę tu jesteś.

Na chwilę przeniósł na nią wzrok, ale potem znowu spojrzał na zewnątrz.

– Jesteś śledczym, masz umysł ścisły – kontynuowała. – Zachowujesz się bardzo rozsądnie w obliczu takiej sytuacji jak własna śmierć, która większość osób

wyprowadziłaby z równowagi. Nawet w takich okolicznościach postanawiasz wyruszyć w podróż, przybywasz do Bilbao, akceptujesz to, co nieuniknione w każdej sytuacji, z jaką masz do czynienia, przewyciężając je w sposób godny podziwu. Ale wiem, że musiało się coś wydarzyć, coś, co sprawiło, że się zmieniłeś albo zacząłeś wątpić... – Noah znowu na nią spojrział, podczas gdy celowała w niego palcem. – I myślę, że wykracza to znacznie poza to, że twoim zdaniem doświadczyłeś zjawiska paranormalnego kilka sekund przed śmiercią.

– Co myślisz na temat przeczuć?

– To kolejne pytanie, które zadałeś po to, żebym ci wyjaśniła, do jakiego stopnia uważam je za akceptowalne? To ja jestem psychiatrką i to ja zadaję pytania, panie Scott Sherrington.

Wzruszył ramionami, uśmiechając się.

– Przez całe życie kierowałem się przeczuciami. Jestem w Bilbao właśnie z powodu jednego z nich. Chcę tylko wiedzieć, co o tym myślisz.

– Myślę, że są częścią uniwersalnej inteligencji. Instynkt i zachowania ustanowione dla ekstremalnych, niebezpiecznych i ryzykownych sytuacji. Zdumiewające jest to, że pojawiają się spontanicznie i bez wcześniejszego rozumowania. To właśnie sprawia, że postrzegamy je jako coś niemal magicznego, ale tak naprawdę jest to interpretacja informacji, którą dostajemy w sposób nieświadomy.

– A do jakiego stopnia uważasz je za wiarygodne?

– Zależy. W twoim wypadku muszą takie być, wszak od lat ścigasz morderców. Ale błędem byłoby podejmowanie każdej decyzji na podstawie tego, co podpowiada ci intuicja.

– Intuicja? – zapytał Noah.

– Napisano na przykład mnóstwo bzdur na temat kobiecego instynktu. Trzeba być bardzo krytycznym, żeby nie popaść w błąd poznawczy i nie pomylić intuicji z parciem na pęcherz.

Zaśmiał się serdecznie.

– Nie przejmuj się, ja doskonale je rozróżniam. Ostatnio dzięki przeklętym diuretykom nie wytrzymuję bez skorzystania z toalety dłużej niż przez godzinę. Tak czy owak, nie rozumiem, o co chodzi z tym błędem poznawczym.

– To pułapka, skrót, którym podąża nasz mózg, aby nie dopuścić do tego, byśmy zaprzeczyli samym sobie. Zasadniczo służy temu, żebyśmy myśleli, że zawsze mamy rację. Przyjemnie jest mieć rację, tak więc przyjmujemy to bez słowa. Jeśli pojawiają się wątpliwości, jeśli w którymś momencie myślisz, że możesz się mylić, to znaczy, że robisz to dobrze.

– Co za ulga – odparł przygnębiony. – Bo zaczynam wątpić w swój instynkt. Możliwe, że się pomyliłem, i to nie tylko w kwestii tego faceta.

– Co masz na myśli?

– Powiedzmy, że sprawy nie toczą się tak, jak przewidywałem. Wiadomości, które docierają ze Szkocji, osoby, które tu poznałem... Lizarso, chłopak, już ci o nich mówiłem, i... jest pewna kobieta – dodał bardzo cichym głosem.

Elizondo wyprostowała się na fotelu.

– Nigdy nie poznałem nikogo takiego. Od samego początku jest bezpośrednia, nie poddaje się, nie pozostawia mi wyboru, jest uparta... – Mówiąc to, lekko się uśmiechnął.

Oparła się o biurko, spojrzała mu w oczy i zapytała bardzo poważnym tonem:

– Jesteś zakochany?

Popatrzył na nią zdumiony.

– Nie. Oczywiście, że nie... To niemożliwe. Ja nie mogę się zakochać.

– Dlaczego nie?

– Dlaczego nie? Nie bądź niemądra! Przecież ja umieram!

– Ale jeszcze żyjesz, Noah.

Odchylił się na krześle, jakby chciał zwiększyć dystans.

– Niczego nie zrozumiałaś. Mogę umrzeć w każdej chwili. Nawet teraz.

Elizondo wzruszyła ramionami.

– Podobnie jak ja, i ten młody policjant, ten chłopak i ta kobieta, która sprawia, że coś czujesz.

Noah wstał, nie mogąc się opanować.

– Wiem, co próbujesz mi powiedzieć: wszyscy umrzemy. Mój kardiolog powiedział mi to samo. Ale wy macie to szczęście, że żyjecie w niewiedzy, nie wiecie, kiedy to nastąpi, a ja wiem, że mój koniec jest bliski. Nie mam żadnych szans.

– Oprócz tego, że jestem psychiatrką, jestem też lekarką. Potrafię odróżnić zwłoki, kiedy mam je przed sobą, od żywego człowieka. A ty jesteś żywy. Dopóki się żyje, zawsze są szanse.

Wydawało się, że Noah chce odpowiedzieć, ale tylko patrzył na nią wściekły.

Ona wskazała krzesło i dopiero kiedy ponownie usiadł, mówiła dalej:

– Nie zastanawiałeś się nad tym, że być może los w jakiś sposób rekompensuje ci chorobę? Nie możesz rezygnować z przeżycia każdej sekundy życia, jaka ci została. A jeśli to twoja ostatnia okazja?

– A nie sądzisz, że to głęboko egoistyczne wobec innych? Jakim prawem miałbym wchodzić w czyjeś życie, jeśli nie mogę zostać?

– Noah, głęboko egoistyczne jest pozbawienie innych szansy, by sami zdecydowali. Każdy powinien iść własną drogą, a mam wrażenie, że twoi nowi przyjaciele nie należą do ludzi, którzy pozwalają, by inni decydowali za nich. Spróbuj i opowiesz mi o tym na następnej wizycie. Jutro o tej samej porze.

Czyż nie byłoby dobrze, gdybyśmy mogli pragnąć się na odległość?

*WOULDN'T IT BE GOOD IF WE COULD
WISH OURSELVES AWAY?*

Kiedy wszedł do baru Maite, zobaczył, że Lizarso siedzi już na swoim stałym miejscu, w głębi sali. Noah spojrzął na zegarek. Nie sądził, że jest już tak późno, a po poważnym wyrazie twarzy policjanta wywnioskował, że ten czeka na niego od dłuższej chwili. Maite uśmiechnęła się na jego widok, ale kiedy usiadł obok Lizarso, postawiła przed nim kawę, którą zamówił, i dalej udawała, że jest zajęta, obserwując go z pewnej odległości. Noah zauważył, że świeczka u stóp Dziewicy Begoña wciąż się pali, co sprawiło, że poczuł się dobrze w sposób, którego nie mógł wyjaśnić, i mimowolnie przypomniał sobie tamten krótki pocałunek, aż napotkał poważną minę Lizarso, który nie odezwał się jeszcze słowem.

Był wkurzony – i słusznie – ale na jego widok Noah o mało się nie uśmiechnął. Znowu ten idealizm, który przypominał mu młodszą wersję jego samego, wersję z całym życiem przed sobą.

– Nie zamierzałem cię okłamywać. – Spuścił głowę i nachylił się do młodego policjanta, żeby nikt inny nie mógł go usłyszeć. – Dopiero co cię poznałem, jeszcze nie wiedziałem, jakie są twoje intencje, ale nie kłamałem otwarcie, powiedzmy, że pominąłem tę informację. Zapytałeś, czy zostałem ranny, a ja odpowiedziałem, że tak, i to prawda, choć nie w taki sposób, jak można by sobie wyobrazić.

Lizarso słuchał uważnie, nie okazując jednak, czy to, co mówi Noah, porusza go choćby w najmniejszym stopniu.

– W porządku, opowiem ci, co się stało. Śledziłem go. Wyszedłem z ukrycia, gdy kopał grób, z trupem w bagażniku samochodu. Kazałem mu podnieść ręce, wywiązała się walka i właśnie założyłem mu kajdanki, kiedy dostałem ataku serca.

Tym razem Lizarso podniósł głowę i popatrzył na niego zdumiony. Noah pokazał mu, żeby znowu się przysunął, i ciągnął:

– Facet skorzystał z okazji i uciekł. Znalazło mnie kilku myśliwych i to uratowało mi życie. Obudziłem się w szpitalu. W gazetach napisano, że umarłem, i moi przełożeni uznali, że będzie lepiej, jeśli człowiek, którego szukamy, w to uwierzy. Zadał sobie wiele trudu, by nigdzie nie było jego aktualnych zdjęć, a jeśli jedyny policjant, który widział go przez krótką chwilę, nie żył, to nie miałby się czego obawiać i to był nasz największy atut. Jeśli nie powiedziałem ci tego wcześniej, to dlatego, że przyjechałem tu wiedziony przecuciem, mając pewność, że facet, którego ścigam, teraz nazywa się John Murray. Ale moi szefowie nic o tym nie wiedzą, nie wiedzą nawet, gdzie jestem ani że podejrzewam, iż Biblijny John jest w Bilbao.

Lizarso podniósł ręce, wypuszczając z płuc powietrze.

Noah zobaczył, że Maite patrzy na niego z drugiego końca kontuaru. Nie mógł się doczekać, by z nią porozmawiać, i zastanawiał się nad tym, jak zdołał doprowadzić do otworzenia tyłu frontów naraz. Lizarso znowu nachylił się w stronę Noaha.

– Te tabletki, które ciągle łykasz – odezwał się, jakby sam do siebie. – Jak ktoś taki jak ty może dostać zawału serca? Przecież jesteś jeszcze młody, szczupły.

Zawał?

Noah spojrział na Maite, która przechodziła blisko nich w drodze do kuchni, i dał Mikelowi znak, żeby ściszył głos.

– Mogę zrozumieć – ciągnął *ertzaina* – że oficjalnie pozwalacie, by ludzie myśleli, że umarłeś, ale nie pasuje mi to, że nie informujesz swojego przełożonego. W sumie co ci szkodzi, skoro i tak jesteś na zwolnieniu? Zgoda, prawdopodobnie nie pozwolono by ci przyjechać, ale już tu jesteś i czujesz się dobrze. Najważniejsze są postępy w śledztwie. Rozumiem, że skoro szukałeś go przez wiele lat, nie chcesz, żeby teraz zatrzymał go ktoś inny, jednak to bardzo niewłaściwe, że twój szef o niczym nie wie. Myślę, że zaginięcie marynarza z „Lucky Man” i sprawy dziewczyn, które nie wróciły do domów w Bilbao, to wystarczająco, żeby potraktowali cię poważnie.

Noah uśmiechnął się. Lizarso nie jest idealistą, stwierdził. Jest romantykiem.

– To wszystko jest o wiele bardziej skomplikowane.

– Czego jeszcze mi nie mówisz?

Lizarso mógł być romantykiem, ale nie był idiotą.

Noah znowu się nachylił, przysuwając się do niego.

– Nie powiedziałem ci, że to był zawał. Powiedziałem, że to był atak serca. To inny rodzaj choroby, o wiele poważniejszy. I nie jestem na zwolnieniu.

Mikel wzruszył ramionami, niczego nie rozumiejąc.

– Nie ma mnie.

– Jak to cię nie ma?

– Moja choroba sprawia, że jestem niezdolny do pracy. Nie ma mnie w policji.

– Chyba sobie żartujesz! – zawołał z niedowierzaniem. – To aż tak poważne, że nie możesz wykonywać nawet papierkowej roboty?

Noah podniósł głowę, żeby sprawdzić, gdzie jest Maite. Obsługiwała właśnie grupę osób po drugiej stronie baru. Znowu przysunął się do Lizarso. Nadszedł czas, by sprawdzić teorię doktorki Elizondo.

– Nie zostało mi już wiele czasu na tym świecie.

Lizarso ponownie się wyprostował, żeby popatrzeć mu w oczy. W jego spojrzeniu były pytania, zdziwienie, ale przede wszystkim smutek.

– Kilka lat?

Noah zamknął oczy, poruszony. Na miłość boską, negocjował!

Położył rękę na ramieniu Mikela i znowu się do niego przysunął.

– Kilka miesięcy. – Nie dając mu szansy na reakcję, przytrzymał go za ramię. – Musisz zrozumieć, że oni nigdy by na to nie pozwolili. Gdyby się dowiedzieli, że tu jestem, przysłaliby kogoś, żeby natychmiast mnie odsunąć. Nie mogę pozwolić sobie na to, żeby Biblijny John znowu uciekł. Nie ma nic na Murraya, zniknąłby, zanim byśmy się zorientowali. Uwierz mi, bardzo łatwo jest mu zaciągnąć się na statek albo zwyczajnie przekroczyć granicę z Francją i stamtąd udać się do Ameryki Południowej. A nawet gdyby go zatrzymali, to o co oskarżą Murraya: sierotę, człowieka, który połowę dorosłego życia spędził odizolowany na platformie wiertniczej, niekarany, bez rodziny. Moja teoria jest taka, że podczas rejsu Biblijny John zakolegował się z prawdziwym Murrayem, a kiedy facet opowiedział mu o swojej sytuacji, zobaczył, że jego tożsamość jest idealna, by mógł pozostać niezauważony, bez krewnych, dawnych znajomych czy byłych dziewczyn. Myślę, że jedyne, czego się nie spodziewał, to fakt, że tamten może mieć jakieś powiązania z Irlandzką Armią Republikańską. Nie muszę ci mówić, jak wygląda współpraca między wydziałami policji w Europie. Wiesz, co zrobiliby z tego typu informacją w systemie policyjnym, w którym pierwszeństwo ma terroryzm. Zaufaj mi, najlepiej, żeby nadal myślał, że nie żyję. Tutaj czuje się bezpiecznie, dlatego znowu zaczął polować. – Spojrzał Mikelowi w oczy, żeby pytanie wybrzmiało mocniej. – Jak myślisz, co zrobiliby twoi szefowie, gdybyśmy im powiedzieli, że naszym zdaniem facet, który może należeć do komanda IRA w Kraju Basków, jest podejrzany także o mordowanie kobiet? Twoim zdaniem czemu daliby pierwszeństwo?

Lizarso spuścił wzrok i wypuścił z płuc całe powietrze.

Noah nadal ścisnął jego ramię.

– Wkładam w tę sprawę resztę swojego życia, resztę tego, kim jestem, i teraz zależę od ciebie. W portfelu noszę zdjęcie bardzo młodej dziewczyny, która powinna być w domu i opiekować się swoimi siostrami, a została zakopana na błotnistym brzegu jeziora tylko dlatego, że miała menstruację w dniu, w którym Biblijny John stanął na jej drodze. Chcę powstrzymać tego człowieka i możliwe, że będzie to ostatnie, co zrobię na tym świecie. – Puścił ramię Mikela i dodał: – Znasz już całą prawdę. Teraz jestem w twoich rękach.

Lizarso pokręcił głową. Spośród wszystkich rzeczy, które mógł powiedzieć w tym momencie – a miał tysiąc zastrzeżeń, widział mnóstwo komplikacji, nie wspominając o naruszeniu protokołów postępowania – spośród ich wszystkich poruszył tylko jedną sprawę. I Noah musiał przyznać rację doktorce Elizondo. Lizarso podejmował własne decyzje.

– Nie powinieneś być w szpitalu czy coś takiego?

Noah uśmiechnął się delikatnie i spojrzał na niego niczym ojciec dumny ze swojego syna.

– W szpitalu nie mogą już nic dla mnie zrobić.

Mikel milczał przez chwilę i Noah obawiał się, że zastanawia się nad nowymi zastrzeżeniami, dlatego nie krył zaskoczenia, gdy *ertzaina* powiedział:

– Według tego badacza, o którym mi mówiłeś, Roberta Resslera, tacy mordercy zwykle zabierają z miejsca zbrodni jakąś pamiątkę. On nazywa je trofeami, jak te myśliwskie albo puchary zdobywane przez sportowców. Ten nasz też zabierał trofea?

Noah przytaknął, przypominając sobie opis Gibsona dotyczący segregatora harmonijkowego, w którym było pełno kopert. Jeszcze bardziej przysunął się do Lizarso i powiedział cichym głosem:

– Podpaski, tampony. Zawsze poplamione krwią. Na pierwszych trzech miejscach zbrodni zostawił nieużywane środki higieniczne rozrzucone wokół zwłok. Teraz wiemy, że te zużyte zabierał ze sobą. Trzymał je w ponumerowanych kopertach, każda była oznaczona nazwą miejsca, gdzie dopadł swoją ofiarę.

– Czytałem też, że według Resslera swoje trofea zawsze trzymają blisko, żeby móc raz za razem odtwarzać zbrodnię.

– Wiem, co sugerujesz – powiedział Noah, patrząc znowu w stronę wyjścia z baru, jakby mógł przeniknąć przez ściany i sięgnąć okien hostelu Toki-Ona.

– Myślisz, że ma je tutaj? – zapytał *ertzaina*.

– Nie wiem. Ale Ressler ma rację co do tego, że lubią mieć je blisko siebie. Kiedy przeszukiwaliśmy jego dom rodzinny, znaleźliśmy koperty schowane w segregatorze w szopie, która służyła mu za kryjówkę. Jestem pewien, że nie wchodził tam nikt oprócz niego.

– W takim razie możliwe, że teraz też chowa je blisko. A w tym momencie jego jedynym prywatnym miejscem jest pokój w hostelu. Koperty to nie jest coś, co zwraca uwagę właścicielki, kiedy przychodzi sprzątać, to nie to samo co kolekcjonowanie gałek ocznych albo obciętych kciuków. Gdybyśmy mogli tam wejść i znaleźlibyśmy koperty, mielibyśmy pewność.

– Ja wchodzę tam prawie codziennie, żeby przynosić sprzątki. – Rafa zatrzymał się przy nich dyskretnie, kiedy rozmawiali, i nawet nie zwrócili na niego uwagi.

U jego stóp siedziała czarno-biała suczka, uważna, nawet na sekundę nie spuszczać z niego oczu. Lizarso wpatrywał się w chłopaka, a ten wyciągnął do niego rękę.

– Rafa – powiedział i gestem wskazał Scotta Sherringtona. – Po-po-pomocnik.

Lizarso uściskał mu dłoń.

– Ach tak? Czyj pomocnik?

Chłopak się uśmiechnął.

– Pana s-s-skauta o-o-oczywiście. A to Euri, deszczowa suczka. Moja *ama* znalazła ją na deszczu, była cała mokra. Kiedy jest mokra, wydaje się bardzo mała, ale kiedy jest sucha, jej sierść jest bardzo ładna – wyjaśnił nieco nerwowo. – Potem się nachylił, niemal tak samo jak oni dwaj podczas rozmowy, i powiedział po cichu: – Wy-wyszli punktualnie o ósmej, wszyscy razem, i byli w barze przy

ulicy Pelota, obok baru Lamiak. Teraz idą tutaj, zatrzymali się przy wejściu i rozmawiają.

Lizarso uniósł głowę i rzucił okiem w stronę drzwi, przekonując się, że rzeczywiście tam stoją. Przytaknął, patrząc na Noaha.

– Posłuchaj, pomocniku, może napijesz się moszczu? – Noah podniósł rękę, by przywołać Maite. – I uważaj, co ci powiem: nie chcę, żebyś szwendał się za tymi typami, a tym bardziej żebyś wchodził do czyjegokolwiek pokoju, zrozumiałeś?

Chłopak zaczął marudzić:

– Ale jestem twoim po-po-pomocnikiem.

– Nie jesteś – uciął Lizarso.

– Jest, oczywiście, że nim jest – potwierdził Noah, powstrzymując nadąsaną minę, która zaczęła już malować się na twarzy chłopaka. – Jesteś moim pomocnikiem i właśnie dlatego musisz mnie słuchać. Pomocnicy nie działają na własną rękę, zawsze podporządkowują się detektywom. Prawda?

Rafa skinął głową.

– Tak, ale ja go znam. To chu-chu-chuligan.

– Dlaczego tak mówisz? – zainteresował się Lizarso.

– Rzuca kamieniami w latarnie, sam widziałem.

Noah kontynuował:

– Wejście do prywatnego domu w celu przeszukania to zadanie policji. Pewnie widziałeś to w filmach, zawsze pytają o nakaz sądowy.

– Tak – przyznał smutno.

Noah wzruszył się, widząc go tak markotnego.

– No dobrze, pomocniku, o której godzinie musisz być w domu?

– O dzie-dziesiątej.

– W porządku, w takim razie do dziesiątej załatwiasz wszystkie sprawunki jak zwykle. Jeśli zauważysz ich w jakimś barze, przyjdiesz tu i mi o tym powiesz. Dzięki swojej pracy masz doskonałą przykrywkę i nie chcę, żebyś ją spalił. Jeśli

zaczną cię widywać w miejscach, gdzie nie powinno cię być bez żadnego sprawunku w ręce, mogą zacząć coś podejrzewać.

– T-to prawda.

– Dobrze, powtórz, co ci powiedziałem.

Chłopak dwukrotnie głośno zaczerpnął powietrza.

– Tylko w barach, dla których robię sprawunki.

– Doskonale. A teraz napij się moszczu. – Noah przysunął mu szklanę, którą postawiła przed nimi Maite. – Punktualnie o dziesiątej jesteś w domu. Dobry pomocnik musi odpocząć, żeby następnego dnia był pełen energii.

– Ja jestem pełen energii – powiedział chłopak z dumą.

– Poznałem wielu policjantów, którzy nawet w połowie nie byli tak pełni energii jak ty.

Maite wyszła zza kontuaru, przekazała mu torbę i kilka monet.

– Idź do warzywniaka Karmele i przynieś mi dwie cytryny i pęczek natki pietruszki.

Noah zauważył, jak Rafa się prostuje; robił tak zawsze, gdy poświęcał czemuś całą swoją uwagę. Kiedy chłopak miał już wyjść, nachylił się do niego i powiedział:

– Pamiętaj, bądź dyskretny, pomocniku.

Rafa się uśmiechnął, odsłaniając wszystkie zęby górnego łuku i część dziąseł. Gdy tylko wyszedł z baru, Lizarso mruknął:

– Twoim zdaniem to dobry pomysł? Poważnie?

– Nie robi nic złego. To porządny chłopak. I bystrzejszy, niż myślisz.

– Zobaczysz... – rzucił, po czym wstał i poszedł do toalety.

Gdy tylko Maite spostrzegła, że Mikel się oddala, podeszła do Noaha z uśmiechem.

– Podoba mi się, że jesteś miły dla Ruffy. To bardzo dobry chłopak i bardzo pracowity. Robi sprawunki dla barów, pensjonatów, a nawet dla dziekana z katedry, ale wiesz, niektórzy nie traktują go dobrze, a we mnie wtedy krew się burzy.

– Kupiłem sobie radio – rzucił ni stąd, ni zowąd.

Maite się zaczerwieniła i uśmiechnęła, unikając jego wzroku.

Noah poczuł naraz takie zdenerwowanie, że nie wiedział, co powiedzieć. Dlatego spojrzął w stronę drzwi wejściowych i stwierdził:

– Ładna pogoda.

Zaśmiała się serdecznie.

– Ładna pogoda? Przecież pada przez cały dzień.

Pokręcił głową, nie dowierzając własnej nieporadności. Kiedy był z nią, nie wiedział, co się z nim dzieje, wszystko wychodziło na opak.

– No... chodzi mi o to, że jest ładny dzień... w porównaniu z pogodą w moim kraju.

– Mam nadzieję, że przestanie padać, bo wieczorem jest pokaz sztucznych ogni na Arenal, wystrzeliwują je ze stacji rozrządowej naprzeciwko, ale jeśli będzie mocno lało, to zostanie odwołany. Nasze miasto słynie z tych pokazów sztucznych ogni w Wielki Tydzień. Przypuszczam, że nigdy żadnego nie widziałeś.

– Nie, nigdy – przyznał z uśmiechem.

– Mam zamiar zamknąć wcześniej, żeby go obejrzeć. Może chciałbyś pójść ze mną... Na pewno ci się spodoba.

– Na pewno. Ogromnie bym chciał, ale mam do zrobienia coś bardzo ważnego, więc dziś wieczorem nie mogę.

Lizarso wrócił właśnie z toalety i stanął obok niego.

– Idziemy? – zapytał ponagłająco. – Przy Barrencalle jest peruwiańska restauracja, o której słyszałem wiele dobrego. Chcę zjeść kolację, zanim ruszymy do dyskotek.

Uśmiech zniknął z twarzy Maite. Spojrzała na Noaha i pokręciła nieznacznie głową w geście wyrażającym coś pomiędzy rozczarowaniem a potwierdzeniem swoich podejrzeń,

– Bawcie się dobrze – powiedziała, odchodząc od kontuaru.

Po drodze zdmuchnęła świeczkę, która płonęła u stóp małej Dziewicy Begoña.

Biblijny John

Biblijny John wdychał zapach niespalonego paliwa wypluwanego przez rurę wydechową starej motorówki, płynąc w dół rzeki. Rzucił zamyślane spojrzenie na tobołek, który transportował, wdzięczny, że nie czuje nic więcej. Oprócz tych wszystkich odpadków ze stoczni, odlewni i warsztatów, które zabarwiały wodę na rdzawy kolor, większość takich miast jak Glasgow czy Bilbao odprowadzała swoje ścieki bezpośrednio do rzek rurami bez kratek, przez które teraz nieczystości spadały na wysokości głowy Johna. Deszcz, który zaczął mocno padać w godzinach porannych, nie ustawał przez cały dzień, a w połączeniu z niemal pełnym przypływem w Zatoce Biskajskiej przyczyniał się do złagodzenia smrodu rzeki, przykrywając muł na brzegach i przeganiając szczury na wyżej położone tereny. Dostrzegał ich małe żółte oczka, które patrzyły na niego między szczelinami w murze oporowym. Krople bębniły o kaptur jego płaszcz przeciwdeszczowego – i o brezent, którym owinał ciało dziewczyny. Pyrkanie czterosuwowego silnika motorówki zwykle było dla niego tak kojące i pierwotne niczym bicie matczynego serca, które słyszy się, będąc w jej łonie, a przynajmniej on tak to sobie wyobrażał. Ale nie dziś. Dziś wszystko układało się źle i John nie wiedział dlaczego. Spojrzał podejrzliwie na owinięte ciało, które transportował. Wszystko szło dobrze. Doskonale, tak jak powinno, jak było zawsze – aż do tej nocy. Na samą myśl o tym ciarki przeszły mu plecach.

W oddali dostrzegł małą budowlę. Zawieszona nad rzeką na wysokości Campo de Volantín – z perspektywy wód rzeki Nervión podczas przypływu wyglądała jak domek dla lalek przymocowany do muru oporowego rzeki. To była jedna z tych

nieużywanych konstrukcji, które mnożyły się wzdłuż całego brzegu. W przeszłości pełniły funkcję budek dla strażników łodzi, punktów obserwacyjnych albo małych magazynów zbudowanych za niewielkie pieniądze, żeby trzymać w nich różne narzędzia portowe. Obecnie były opuszczone, niektóre nawet w pół zawalone. Ta niewielka budka zwróciła uwagę Biblijnego Johna, kiedy pierwszy raz płynął firmową motorówką z portu w Santurce na Łąkę Anglików. Porozpytywał i dowiedział się, że zarządzali nią dawni przewoźnicy z Uribitarte. W przeszłości korzystali z tych budek, żeby przechowywać w nich osobiste przedmioty i rzeczy potrzebne do pracy na motorówkach, które mieszkańcy Bilbao nazywali „benzynówkami”; teraz budki popadły w zapomnienie i ruinę. Później kontrola nad nimi przeszła w ręce zarządu wód Nervión, który pierwotnie planował ich rozbiórkę. Ale w mieście, w którym rzeka miała kolor rdzawopomarańczowy, nagromadzone w korycie śmieci wraz z każdym wiosennym przypływem coraz bardziej podnosiły poziom wody, a szczury, wielkie jak tłuste koty, pożerały ekskrementy zrzucane prosto w nurt – w tym mieście pomyślał, żeby poświęcić czas i pieniądze na wyburzenie małych, nikomu niewadzących baraków, został ostatecznie porzucony. Konstrukcja miała tylko małą główną fasadę, tak szerniałą i brudną jak wszystkie w Bilbao, drzwi, przez które nawet niski mężczyzna nie mógłby przejść wyprostowany, oraz dwa maleńkie okna. Z jednej strony była osadzona pod schodami, które dawniej musiały służyć za pomost, a po przeciwległej stronie miała drugie drzwi. John oglądał ją w środku nocy dzień po przybyciu do Bilbao i przekonał się, że może zacumować motorówkę pod nawisem promenady. Konstrukcja była niewidoczna dla każdego, kto stałby na górze, i prawie niewidzialna w nocy dla kogoś, kto patrzyłby z przeciwległego brzegu na Uribitarte. Przednie drzwi były zamknięte na zardzewiałą kłódkę; te boczne – po prostu związane łańcuchem. Podczas przypływu woda sięgała do zewnętrznej krawędzi budowli, chociaż plamy na ścianach w środku wskazywały na to, że pływy syzygijne zalewały ją do różnych wysokości. Pierwszej nocy wrócił o świcie i za pomocą procy zniszczył kilka latarni stojących wzdłuż obu brzegów, na alei Uribitarte z jednej strony i na Campo de Volantín z drugiej. Później, już

z motorówki, wymienił zardzewiałe zamki na dwa nowe łańcuchy i dwie nowe kłódki.

Patrząc na brezent, którym owinał ciało, odetchnął z ulgą. Potrzebował dwóch dni, żeby odzyskać spokój. Od początku jednak wiedział, że nie może być pewien, jak zinterpretować ostatnią sytuację, dopóki nie zabije ponownie – dopiero wtedy mógł się przekonać, czy to, co się stało, wynikało z przypadku, czy był to znak. John uważał się za znakomitego analityka. Był pewien, że powód, dla którego nigdy go nie złapią, wiązał się przede wszystkim z tą umiejętnością. Przez całe dzieciństwo prosił o jakiś znak z nieba, znak, który przyszedł, kiedy już się go nie spodziewał. I od tamtej pory nauczył się obserwować, interpretować, analizować każde zdarzenie i wszystkie ewentualne konsekwencje. „Lepszy pobłażliwy niż bohater; a panujący nad swoim duchem niż zdobywca miast”.

John wiedział, że nie jest człowiekiem, którego łatwo kontrolować, i że musi zachować czujność, ponieważ co jakiś czas, kiedy coś się komplikowało, znowu dostawał jeden z tych znaków, sygnał, który ostrzegał go przed zagrożeniem i zapewniał mu bezpieczeństwo. Stało się tak po Lucy Cross. I później ponownie po trzecim zabójstwie dziewczyny z Barrowland. I znowu tamtej nocy nad brzegiem jeziora Katrine, kiedy śledzący go policjant padł martwy. A teraz musiał rozstrzygnąć, czy ta sytuacja z dziewczyną z kontenera była znakiem, czy też nie.

Wrócił kolejnej nocy, przerażony, blady i osłabiony z powodu biegunki i wymiotów spowodowanych zdenerwowaniem. Wahał się, czy otworzyć kontener, ponieważ w jego głowie pojawiały się obrazy, na których ona dochodzi do siebie po ataku, czeka w ciemnym kącie i płacze, owinięta w brezent, który powinien być jej całunem. Ale kiedy otworzył kontener, powitała go tylko cisza. Podniósł brezent i popatrzył na nią. Była martwa. Stał tak kilka minut, kierując światło latarki na jej twarz, niezdolny, by się ruszyć. Nawet nie przypominała kobiety. Skuliła się niczym płód w łonie matki, jakby na koniec właśnie tam wróciła. Uklęknął i dotknął jej ramienia, palców u rąk, żuchwy. Była kompletnie sztywna, co prócz tego, że utrudniało mu transport – przeraziło go. *Rigor mortis* zaczynał się pojawiać zwykle trzy lub cztery godziny po śmierci i osiągał maksimum po

upływie dwunastu godzin, więc bardzo możliwe, że żyła jeszcze przez cały poranek, a może nawet do trzeciej albo czwartej po południu. John owinął ciało folią i obwiązał linami, starając się nie patrzeć na twarz. Potem załadował je do samochodu, przejechał na brzeg, gdzie znajdowała się motorówka, i zabrał ją do jej sióstr, w miejsce, w którym czekały. I w ten sposób wszystko się kończyło.

Podniósł głowę, żeby popatrzeć na ciemny odcinek rzeki, w który się zagłębiał. Kiedy minął budkę, skręcił mocno na lewą burzę, aż skierował się pod prąd. Podpłynął do filarów, które podtrzymywały wszystkie pomosty, i schylił głowę, kiedy motorówka znalazła się pod nawisem promenady. Z otwartej rury w murze wypłynęła ciemna, śmierdząca masa, która wpadała prosto do rzeki w akompaniamencie zduszonego chlupotu. Rzeka cuchnęła pomimo deszczu i zbliżającego się przypływu, który nie osiągnął jeszcze punktu kulminacyjnego. Wiedział, że powinien był zaczekać, gdyż tylko podczas pełnego przypływu można dostać się łodzią na wysokość drzwi. Przywiązał motorówkę i musiał utrzymać równowagę, stając obiema nogami na nadburcie blisko dziobu, żeby otworzyć kłódkę przy bocznych drzwiach. To, co ofiarowane, nie było dziś zbyt duże, ale z trudem radził sobie z tymi zaledwie czterdziestoma pięcioma kilogramami, kiedy należało utrzymać równowagę, by podnieść je na wysokość klatki piersiowej. Powinienem być zaczekać, powtórzył sobie. Jednak od ostatniej nocy w jego ciele ulokowało się coś w rodzaju niepokoju, coś, co nie pozwalało mu czuć się całkiem bezpiecznie i domagało się od niego pośpiechu, a jednocześnie zachowania większej ostrożności. Zarzucił ją sobie na ramię niczym dywan, górną część ciała oparł o próg otwartych drzwi i wrzucił ją do środka. Następnie podniósł się na ramionach i przechodząc nad zwłokami, znalazł się w środku. Wziął ją za górną część tułowia i wciągnął, a potem umieścił między pozostałymi, głową zwróconą w stronę Deusto, a stopami w stronę Arriaga. Budka nie była zbyt przestronna. Wprawdzie aby przejść przez drzwi, należało się schylić, ale w środku mógł się wyprostować. Długa na trzy ciała i szeroka na jedno. John westchnął, zaczynał się martwić.

Gdy doszedł do wniosku, że to dobre miejsce, kierował się bezpieczeństwem swojego pobytu w Bilbao; jego nowa tożsamość i to miasto były czymś tymczasowym, bo znak wskazujący, co powinien zrobić, miał pojawić się później, tak jak zawsze. Nie miał wątpliwości, że to się stanie, tak samo jak nad brzegiem jeziora Katrine. Teraz jednak działo się coś innego, coś, co wiązało się z celem, z przyjemnością i z Bilbao. Nigdy nie kwestionował celu, ale od dziewczyny z czwartku przyjemność zniknęła. I chociaż dziś wszystko przebiegło jak zwykle, bez najdrobniejszego nawet błędu, uczucie przyjemności, które do tej pory towarzyszyło składaniu ofiary, ulotniło się, ustępując miejsca czystej formalności. A Bilbao... Bilbao mu się podobało i miało to związek z byciem Johnem Murrayem, biedaczyną przekonany, że walczy o przegraną sprawę tak samo jak Irlandczycy, którzy ostatecznie każdej nocy upijali się ojczyzną i alkoholem. Życie Murraya było takie proste – bez rodziny, bez przeszłości... Dobrze się czuł w jego skórze. Nie pamiętał, by kiedykolwiek doświadczył czegoś podobnego. Męskie towarzystwo, poczucie przynależności, szacunek innych facetów...

Schylił się, żeby wyjść bocznymi drzwiami, gdy nagle za plecami usłyszał głębokie westchnięcie.

Przestraszony wrócił do środka i wycelował światło latarki w stronę ciał. Nic się nie ruszało. Zeskoczył na motorówkę, ponownie stanął na dziobie i założył kłódkę oraz łańcuch. Odrzucał cumę, kiedy znowu usłyszał płacz. Bardzo cichy, jakby dobiegał z daleka, może spod całunu ściśniętego folią i linami. Przerazony, zapominając na moment o zachowaniu ostrożności i niezapalaniu światła, które mogłoby go zdradzić, skierował włączoną latarkę na małe drzwi. Był niemal przekonany, że natychmiast ktoś potrząśnie nimi od wewnątrz, wywołując brzęk łańcucha. Trwał tak przez kilka sekund. Nieruchomy, cały w nerwach do tego stopnia, że jego ciało zaczęło się trząść. Cofnął się bardzo powoli i nie przestając celować latarką w stronę drzwi, uruchomił silnik i uciekł.

Zaledwie kilka sekund po tym, jak motorówka przekroczyła granicę ciemnej strefy, o której stworzenie John zadbał osobiście, mężczyzna obserwujący go w ciemności na Uribitarte wyszedł z cienia.

John czuł się nieswojo, noc nie przebiegła tak, jak by tego chciał. Leżąc w łóżku, słuchał echa muzyki z zewnątrz, skrzywienia pensjonatu, drzwi od ulicy – ktoś wrócił nawet później od niego. Wyjął z kieszeni czerwoną wstążkę Lucy, przysunął ją do twarzy i zamknął oczy. Przypomniawszy ją sobie, podekscytowany – część rudych włosów związywała lśniąca czerwoną wstążką, wyglądała tak ładnie! Zaczerpnął głęboko powietrza. Brakowało mu jej zapachu herbatników i róż. Uśmiechnął się.

Lucy Cross zrobiła kolejny krok.

– Nie mogę uwierzyć, że mnie nienawidzisz, ale nawet jeśli tak jest, nie obchodzi mnie to, bo ja cię kocham, Johnny Clyde.

Nie nienawidzę cię, wołał jego umysł. Kocham cię.

John wrócił do tamtej sceny, nienaruszonej w jego pamięci, jak gdyby właśnie się wydarzyła. Pamiętał jej ciepłe usta i to, jak stał bardzo spokojnie, żeby nie zniszczyć magii tego pocałunku. Nie był pewien, czy zdołał powiedzieć „ja też się kocham”, choć szeptał te słowa miliony razy w kolejnych latach, gdy przypominał sobie ten moment.

Wziął głęboki oddech. Przeniknęło go ciepło płynące z ciała Lucy, wypełnione znajomym zapachem herbatników, różanego mydła, czystej wełny... Oraz krwi. I nagle było tak, jakby poczuł w ustach ten metaliczny posmak ciemnej wydzieliny, która wypływała spomiędzy jej nóg, wywołując u niego natychmiastową erekcję. Silne mdłości, które pojawiły się w głębi żołądka, podeszły mu do ust i wykrzywiły jego ciało z czystego obrzydzenia, podczas gdy przytulał Lucy z całych swoich sił, żeby niczego nie zauważyła. Podniósł ręce do jej włosów i pociągnął za satynową wstążkę, która ześlizgnęła się łagodnie po jedwabistych puklach dziewczyny. Ona się roześmiała, jakby to było zabawne, i nawet się odwróciła, prosząc go, żeby umieścił tasiemkę na swoim miejscu. Wtedy John owinął wstążkę wokół jej szyi i zacisnął.

Bilbao

Poniedziałek, 22 sierpnia 1983

Nocna obserwacja nie przyniosła nic nowego. Pojechali za Johnem Murrayem do dyskoteki Garden, w której spędził niecałą godzinę. Później, nie opuszczając dzielnicy Deusto, udali się do Tiffany's, gdzie siedział do wpół do trzeciej. A na końcu ruszyli do Chentes, która jak się zdaje, nie miała ustalonej godziny zamknięcia. Podejrzany rozmawiał z kilkoma kobietami, z ostatnią w Chentes, i to dłuższą chwilę, ale najwyraźniej nic z tego nie wyszło. W Tiffany's ponownie natknęli się na byłego męża Maite i chociaż Noah nie zdołał go zobaczyć, Mikel przysięgał, że przy wejściu widział także Collina. Jeśli tak było, to ten w żadnym momencie nie spotkał się z Murrayem. Obaj śledczy zgadzali się co do tego, że Collin prawdopodobnie mu nie ufa i bardzo możliwe, że również go śledzi.

Noah podziękował Bogu, kiedy po wpół do czwartej i po tym, jak ostatnia dziewczyna dała mu kosza, Murray wrócił do pensjonatu. Dochodziła czwarta, gdy Noah wszedł do Gwiazdy z okropnie spuchniętymi nogami, ubraniami wilgotnymi od deszczu, który nie przestał padać przez cały dzień, i z uporczywym dzwonieniem w uszach od ogłuszającej muzyki dyskotekowej. Dzwonienie to teraz mieszało się z innym, przerywanym, dobiegającym przez otwarte na patio okno.

Sen miał krótki i spokojny. O ósmej słuchał już w radiu Ramontxu Garcíi, który witał miasto w kolejnym dniu świętowania. „Chociaż poranna ulewa zaskakuje

w tym momencie tych, którzy wybrali się na walkę z młodymi jałówkami na arenie, to Gargantua, olbrzymy i wielkie głowy będą częścią efektownej i kolorowej zabawy dla małych i dużych w okolicy Arenal. Odbędzie się także druga corrida z torreadorami na koniach, święto będzie trwało bez chwili wytchnienia ze sztucznymi ogniami, orkiestrami dętymi i wielką radością”.

Wyłączył radio przygnębiony i całkowicie pewien, że dziś nie będzie dedykacji od Maite. Westchnął, obserwując swoje odbicie w lustrze, świadomy, do jakiego stopnia miało na niego wpływ to wszystko, co się z nią wiązało. Pytanie doktorki Elizondo znowu rozbrzmiało mu w głowie. Czy on się zakochał? Już był zakochany? Spuścił wzrok na stos lekarstw leżących na półce nad umywalką i na powrót przeniósł go na odbicie w lustrze, by sobie odpowiedzieć.

– To by było szaleństwo.

Po gorącym prysznicu, zażyciu leków i skromnym śniadaniu, o dziewiątej wszedł do budki telefonicznej na dole.

Po drugiej stronie linii usłyszał głos Olgi:

– MacAndrews, dzień dobry, w czym mogę pomóc?

– Dzień dobry, Olgo, mówi detektyw Gibson.

Rozległy się trzaski i parę metalicznych stuknięć. Już zaczynał myśleć, że połączenie zostało przerwane, kiedy dziewczyna odezwała się ponownie szeptem:

– Na miłość boską. Gdzie pan się podziewał? Mam panu mnóstwo do powiedzenia.

– Przepraszam, nie mogłem do pani zadzwonić, miałem problem delikatnej natury...

– Proszę chwilę poczekać – rzekła Olga.

Kolejna seria stukotów, syków i trzasków.

I znowu szepczący głos:

– W piątek dzwoniła do niego jakaś kobieta, dwa razy rano i trzy razy po południu. Mówiła tylko po angielsku, a sądząc po głosie, nie była zbyt młoda, no ale skoro ten facet jest taki zdeprawowany...

Noah mógł niemal zobaczyć uśmiech Olgi, którą bawiła cała ta sytuacja.

– Zostawiła jakąś wiadomość?

– Rano było tak jak zawsze: proszę mu przekazać, że dzwoniłam i bla bla bla, ale po południu powiedziała, że jest jego matką i żeby do niej oddzwonił. Tylko kto w to uwierzy?

Olga mu się podobała, byłaby dobrą detektywką.

– A dlaczego jej pani nie uwierzyła?

– Bo zostawiła swój numer telefonu. Który syn nie zna numeru telefonu swojej matki?

Noah się uśmiechnął.

– Przekazała mu pani tę wiadomość?

– Prawda jest taka, że nie mogłam tego zrobić aż do dziś. W piątek pan Murray przyszedł do pracy rano, ale musiał chyba złapać grypę żołądkową. Jego zastępca powiedział nam, że przez ponad dwie godziny siedział w ubikacji, cały czas wymiotował i... no wie pan. Przed południem musiał wracać do domu.

– Powiedziała pani o tym kobiecie, która dzwoniła?

– Oczywiście, że nie. Jak mówiłam, nie uwierzyłam, że to jego matka, a nie zamierzam podawać tego typu informacji każdemu, kto zadzwoni.

– Dziękuję, Olgo. Zadzwonię jutro.

– Proszę poczekać, jeszcze nie skończyłam. Ta sama kobieta zadzwoniła znowu dziesięć minut temu i ponownie zostawiła swój numer. Wydawała się mocno zdesperowana. Poza tym, kiedy sprawdziłam automatyczną sekretarkę z weekendu, okazało się, że było przynajmniej sześć telefonów, osoba dzwoniąca czekała, aż włączy się automat, ale rozłączała się, nie zostawiając żadnej wiadomości. A ta, która dzwoniła dzisiaj, na pewno nie jest jego matką. Przekazałam mu te informacje i pan Murray nie był zbyt zadowolony, prawdę mówiąc.

Noah zanotował numer, który podyktowała mu Olga, po czym się rozłączył, analizując nowe fakty. Choć był pewien, że ten jeszcze śpi, zadzwonił do domu Lizarso. Odezwała się automatyczna sekretarka.

– Zapisz sobie ten numer. John Murray dostał co najmniej dwa telefony od kobiety, prawdopodobnie swojej matki, która domaga się, by do niej oddzwonił. Chcę tylko, żebyś sprawdził, skąd jest ten numer. Nie waż się pod niego dzwonić. Widzimy się wieczorem.

Kiedy wyszedł z budki, natknął się na kobietę czekającą pod czarnym parasolem. Noah się przywitał, przytrzymując drzwi, przekonany, że nieznajoma chce skorzystać z telefonu, lecz ona zwróciła się do niego bardzo pewna siebie:

– Czy pan Scott Sherrington?

Spojrzał na nią zaskoczony. Widział ją pierwszy raz w życiu.

– Proszę wybaczyć – powiedziała – może źle wymówiłam. Jestem matką Rافی, mam na imię Iciar.

– Och... Iciar – zdołał wydusić. – Rzadkie imię. Chyba nigdy wcześniej go nie słyszałem.

– To na cześć Dziewicy, tej z sanktuarium w Iciar, niedaleko miasta Deba. To bardzo stare imię. Panie Scott, chciałabym pomówić o Rafie.

Początkowo sądził, że kobieta ma około czterdziestu pięciu lat, ale później, kiedy pił z nią kawę, zauważył, że nie farbuje włosów i nie ma ani jednego siwego włosa. To podkrążone oczy sprawiały, że wyglądała na starszą. Była szczupła i wysoka jak jej syn, miała takie same ciemne, gęste włosy, tyle że ona spinała je na karku metalową spinką.

Kiedy zaproponował jej kawę, kobieta rozejrzała się wokół nerwowo, jak gdyby nie czuła się zbyt swobodnie we własnym sąsiedztwie, albo jak gdyby propozycja Noaha wydała jej się nieodpowiednia. On nie wiedział, czy w Bilbao zaproszenie kobiety na kawę, by z nią porozmawiać, uznawano za niewłaściwe, ale zakładał, że w tym wypadku bardziej chodziło o sąsiadów, więc rozmawiając, ruszyli dalej, a kiedy dotarli do Arenal, zgodziła się wejść z Noahem do czekolaterii Lago.

– Rafa opowiedział mi, co zaszło z tymi chłopakami i że pan mu pomógł.

– To nic takiego.

– Wcale nie, panie Scott. Mogę być z panem szczerą, prawda?

Przytaknął.

– Większość ludzi nie rozumie, co dolega Rafie, a ludzie nie szanują tego, czego nie rozumieją.

– Porażenie mózgowe, Rafa mi powiedział.

– A wie pan, co to jest, panie Scott?

– Szczerze mówiąc, nie orientuję się zbyt dobrze, ale wiem, że nie wpłynęło to na inteligencję pani syna, Rafa mi powiedział, że jest taki od urodzenia.

– W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym roku, kiedy byłam przy nadziei, nie kontrolowało się przebiegu ciąży, zrobiono mi tylko jedno badanie, a poza tym opinia pierworódki liczyła się tyle co nic. Mimo to wydaje mi się, że miałam w sumie normalną ciążę, na początku mdłości, potem przyrost wagi, większa senność... Ale kiedy według moich obliczeń powinnam już urodzić, nic nie zapowiadało rozwiązania. Lekarz zbagatelizował sprawę i kazał mi przyjść na wizytę za tydzień, potem znowu za tydzień i znowu. Od kilku dni czułam się źle, w końcu straciłam przytomność i obudziłam się w szpitalu. Kiedy sprawdzili stan wód płodowych, okazało się, że łożysko zaczęło się psuć. Było już powyżej dziesiątego miesiąca, prawie jedenasty wedle moich obliczeń. Wywołali poród i Rafa urodził się pozornie normalny. Ważył trzy kilogramy sześćset pięćdziesiąt gramów. Duży chłopiec. Sam pan go widział.

– Tak, jest bardzo wysoki.

– Zabrałam go do domu i niedługo potem zauważyłam, że coś jest nie tak. Z pediatrą sprawa wyglądała mniej więcej tak samo jak z ginekologiem. Potraktował mnie jak głuptaskę, bo byłam pierworódką, i twierdził, że z moim synem jest wszystko w porządku. Ale ssąc pierś, Rafa bardzo się męczył, zasypiał i nie przybierał na wadze. Pamiętam, że lekarz oskarżył mnie nawet o lenistwo przy karmieniu. Ja widziałam to od samego początku, ale około czwartego miesiąca niektóre sąsiadki i przyjaciółki też zaczęły zwracać na to uwagę. Ma pan dzieci? Trzymał pan kiedyś na rękach niemowlę, panie Scott?

– Nie mam dzieci, ale trzymałem dzieci niektórych znajomych.

– Pamięta pan to uczucie? Jak miękki i ciepły pakunek, niemowlęta są idealne do ułożenia ich sobie na rękach... A kiedy się je przytula, same dopasowują się do naszego ciała. To instynktowne. No więc moje dziecko było niczym drewniana lalka. Jego plecy, ręce i nogi były zawsze tak twarde jak małe deski. Kiedy przykładałam go do piersi albo układałam na ramieniu, był taki sztywny, jakby przeżył się ze złości. Nigdy nie poczułam, żeby jego ciało przy moim było rozluźnione i ufne. Nigdy nie raczkował, kiedy miał dwa i pół roku ledwo potrafił się utrzymać na nogach i miał prawie cztery, kiedy zaczął chodzić samodzielnie. Mówić mówił od małego, ale wiele go kosztowało, by wyrażać się w sposób zrozumiały... Mój mąż zostawił nas mniej więcej w tamtym czasie.

– Rafa mi powiedział, rozmawialiśmy.

Spojrzała na niego zdumiona.

– Powiedział panu? Nigdy o tym nie mówi. Oczywiście wszystko mu wyjaśniłam; że jego ojciec nie był przygotowany i że nie powinien chować do niego urazy. Ale prawda jest taka, że było ciężko. Akurat kiedy miał pójść do przedszkola, chciałam, żeby przyjęto go do normalnej placówki, jednak został odrzucony, usłyszałam, że nie mogą nic zrobić dla takiego dziecka jak on. I to było tak, jakby wtedy mój mąż sobie uświadomił, że Rafa nigdy nie będzie taki jak inne dzieci. Powiedział mi, że już dłużej nie da rady, i odszedł. Oczywiście nie powiem, że tak było lepiej, ale uważam, że niczego nam nie brakowało. Sama nauczyłam swojego syna chodzić, mówić, czytać i pisać, dodawać, nauczyłam go nut i kolorów. I wie pan co? Jest bardzo bystry.

– Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

– W bardzo młodym wieku wyprowadziłam się z rodzinnego domu i zaczęłam pracować. Później wyszłam za mąż, też bardzo młodo. Obawiam się, panie Scott, że moje wykształcenie jest dość ograniczone. Nauczyłam syna wszystkiego, co sama umiem, ale to za mało. Nie mogę znieść tego, że tak utknął, kiedy mógłby rozwinąć się o wiele bardziej.

Noah popatrzył na nią pełen szacunku. Nadal jednak nie rozumiał, do czego zmierza.

– Proszę wybaczyć moją ignorancję, ale czy nie ma żadnej szkoły specjalnej albo czegoś takiego?

– Wiele lat temu powstało w Kraju Basków stowarzyszenie walczące o dobrostan i prawa naszych dzieci, do którego nas włączono. Wie pan, jak się nazywa? Stowarzyszenie Pro Subnormales.

– Subnormales oznacza...

– Że są gorzej rozwinięci umysłowo.

– Ale Rafa nie...

– Nie sędzę, żeby chodziło o złe intencje, możliwe nawet, że nazwę wymyślili sami rodzice. Ignorancja powoduje, że każdemu przyczepiamy etykiety. A najgorsze w etykietkach jest to, że człowiek je akceptuje. W każdym razie potrzeby dzieci z porażeniem mózgowym nie są takie same jak potrzeby dzieci z zespołem Downa. Każdy przypadek jest inny. Tak więc jakiś czas temu my, rodzice dzieci z porażeniem mózgowym, zaczęliśmy pracę nad projektem, który ma pomóc im w rehabilitacji i nauce. Wielu jest tak inteligentnych jak Rafa. Jesteśmy przekonani, że dzięki odpowiedniej rehabilitacji, nauczycielom i dobremu logopedzie większość z tych dzieci może się rozwinąć.

– To fantastycznie – stwierdził Noah.

– Kosztowało nas to mnóstwo pracy i wielu lat, zanim lokalne władze nas wysłuchały. Zaczęliśmy się spotykać w siedemdziesiątym piątym w lokalu należącym do Stowarzyszenia Pro Subnormales w Bilbao, które użyczało nam go, kiedy jego członkowie sami z niego nie korzystali. Na początku było nas piętnaście czy dwadzieścia osób, ale stopniowo zaczęło przybywać coraz więcej. Ostatecznie Rada Prowincji Bizkaia zrozumiała nasze problemy i wyszła nam naprzeciw. Od kilku lat mamy własne specjalistyczne centrum bardzo blisko stąd, nazywa się Aspace: Asociación de las Personas con Parálisis Cerebral, Stowarzyszenie Osób z Porażeniem Mózgowym. Proste.

Noah przytaknął z zainteresowaniem. Nie był pewien, czy ta kobieta chce prosić go o darowiznę, czy powiedzieć mu coś jeszcze.

– Udało nam się pozyskać kilku nauczycieli, rehabilitanta, logopedę, który przychodzi trzy razy w tygodniu, żeby pracować z dziećmi nad dykcją, oraz psychologa, który nieodpłatnie przyjmuje w soboty. W ośrodku jest jadalnia, ambulatorium, sale lekcyjne, miejsce do zabawy, mamy nawet małą salę gimnastyczną, dość skromną, ale odpowiednią dla nich.

Od dłuższego czasu bawił się swoją łyżeczką do kawy.

– Gratuluję pani zapału i zaangażowania, jestem pewien, że wykonuje pani wspaniałą pracę, ale nie bardzo rozumiem, co...

– Rafa nie chce nawet słyszeć o tym ośrodku.

Noah spojrzał na nią szczerze zaskoczony. Odniosł wrażenie, że Rafa to dość pewny siebie chłopak – i w pełni świadomy tego, kim i jaki jest.

– Dlaczego?

– Niektóre dzieci, zwłaszcza te bardziej świadome swoich ograniczeń, uważają, że to jest, jak by to powiedzieć... upokarzające. Wstydzą się przychodzić do specjalistycznego ośrodka. Rafa obstaje przy swoim za każdym razem, gdy o tym wspominam, mówi mi, że nie będzie chodził do ośrodka, bo inaczej wszyscy będą myśleć, że jest głupi.

– Tak – przyznał Noah. – Kiedy z nim rozmawiałem, też powtarzał, że nie jest głupi. Powiedział, że ludzie uważają tak dlatego, że nie mówi poprawnie. Ja to zbagatelizowałem.

– Logopeda mógłby pomóc mu z dykcją, gdyby Rafa zgodził się chodzić na wizyty. To samo dotyczy nauki. Uważam, że jest w stanie uczyć się dalej... Wie pan, tu nie chodzi tylko o tamtych chłopaków. Nie zdarzyło się to pierwszy raz. Już kiedy był mały, musieliśmy znosić spojrzenia, komentarze, a gdy mnie przy nim nie ma, pojawiają się wyzwiska, śmiechy, i to nie tylko ze strony dzieciaków, panie Scott. Ludzie potrafią być naprawdę okrutni. Dlatego mamy Euri. Wiem, że powinnam pozwalać mu wychodzić z domu samemu, ale jestem spokojniejsza, jeśli

idzie z nim Euri. Widział pan, że nie jest zbyt duża, ale ta suczka oddałaby za Rafę życie.

– Deszczowa suczka.

– Opowiedział panu? Rafa jest towarzyski, codziennie ma do załatwienia mnóstwo sprawunków, i to wyszło od niego; nie wspominając o wsparciu, jakie zapewnia naszemu domowemu budżetowi. Wstaje przed świtem, zresztą zawsze był rannym ptaszkiem, od małego. Wstaje i wychodzi na spacer z Euri. Jest bardzo odpowiedzialny i nie jest nieśmiały, ale zwykle nie opowiada o prywatnych sprawach. Zaskakujące, że tak się przed panem otworzył.

– Powiedział, że to pani znalazła suczkę na deszczu.

Kobieta po raz pierwszy uśmiechnęła się szeroko.

– Jednego wieczoru wyszłam, żeby wyrzucić śmieci, i wtedy się na nią natknęłam. Była cała przemoczona. Wyglądała jak mokra owca *latxa*...

– Owca jaka?

– To rasa owiec, którym kosmyki wełny zwisają do ziemi. Wzięłam ją do domu i Rafa oszalał na jej punkcie. Mimo to rozwiesiłam ogłoszenia, byłam pewna, że ktoś będzie jej szukał, bo jest śliczna. Widział ją pan?

– Tak, jest bardzo ładna. Rafa mi powiedział, że kiedy jest mokra, wydaje się bardzo mała. To border collie?

– Weterynarz powiedział, że nierasowa, ale nam jest wszystko jedno. Ja nigdy wcześniej nie miałam psa. Nawet pan sobie nie wyobraża, jak ona się zachowuje przy Rafie. Jak na niego patrzy, jak o niego dba... Zawsze słucha tego, co mówi, zwraca uwagę na jego gesty i nastrój. Ma wspaniałą sierść, ale bardzo cienką, więc kiedy pada deszcz, jest cała przemoczona. Nauczyliśmy ją się otrząsać, kiedy pstrykamy palcami, i robi to za każdym razem – powiedziała kobieta ze śmiechem.

– Ale tamtego dnia zauważyłam, że ma bardzo brudną sierść, i postanowiłam ją wykąpać. Kiedy Rafa wychodził z domu, kazałam mu obiecać, że później po nią przyjdzie, i tak zrobił, ale akurat kiedy wracał, natknął się na tych chłopaków. – Jej twarz się zachmurzyła. – Ci dranie nazwali go debilem. – Podniosła dłonie do ust,

jakby chciała wepchnąć do środka to słowo razem z wściekłością, jaką czuła. – Chcę, by pan zrozumiał, że jestem dumna ze swojego syna, kocham go takiego, jaki jest. Normalność nie istnieje, ale tak czy owak on jest normalnym chłopakiem, a ja jestem normalną matką. I jak każda matka nie zamierzam siedzieć z założonymi rękami i patrzeć, jak moje dziecko zderza się z barierami, które mogłoby pokonać... I właśnie tu wkracza pan.

Noah spojrzał na nią zdziwiony.

– Ja?

– Rafa mi powiedział, że jest pan detektywem...

Uśmiechnął się, spuszczać głowę. A więc o to chodziło.

– Panie Scott, mój syn od dziecka marzy o tym, by zostać detektywem i jeździć radiowozem. Zawsze lubił filmy o śledztwach, sam pan wie, porucznik Colombo, McCloud, Kojak... Kiedy był mały, bawił się tylko w policjantów. A teraz przychodzi do domu i mówi, że będzie pańskim pomocnikiem i że bierze udział w śledztwie.

Noah zacisnął usta i na kilka sekund zamknął oczy. Nie cierpiał kłamać, ale musiał to zrobić.

– Nie jestem detektywem, proszę pani. I tak naprawdę nigdy nie powiedziałem pani synowi, że nim jestem. Ale on wziął mnie za detektywa, więc uznałem, że nie stanie się nic złego, jeśli podejmę jego grę. Może pani być spokojna, obiecuję, że pani synowi nic nie grozi, ale jeśli pani chce, wyprowadzę go z błędu.

– Nie zrozumiał mnie pan. Doskonale wiem, że nie jest pan żadnym detektywem. Aż huczy od plotek, że do Bilbao przyjechał skaut, i rozumiem, że ze względu na charakter pańskiej pracy nie może pan rozpowiadać, czym się zajmuje. Przypuszczam, że w tym roku, z tym całym zamieszaniem wokół Athleticu, rynek transferowy jest rozgrzany do czerwoności. Jesteśmy kibicami Athleticu, odkąd mój syn zaczął się interesować drużyną w wieku pięciu czy sześciu lat, ale to nie ma nic do rzeczy. Ja też nie widzę nic złego w tym, żeby dalej zachowywał pan

pozory. Rafa niczego tak nie pragnie, jak zostać detektywem, takim jak ci z telewizji.

– A zatem?

Kobieta się nachyliła, jakby zamierzała powierzyć mu jakiś sekret.

– Bez przerwy o panu opowiada, a po tym, co pan dla niego zrobił, kiedy dokuczali mu tamci chłopcy, stał się pan dla niego bohaterem. Proszę mnie zrozumieć, mój syn wychowywał się bez ojca, wprawdzie matka może wiele zdziałać, ale rozumiem też jego podziw dla mężczyzny takiego jak pan.

– Co miałbym zrobić?

– Na początek przekonać go, żeby zaczął chodzić do logopedy. A potem na lekcje i na rehabilitację. Chce zostać detektywem, więc pana posłucha.

Noah wyciągnął rękę nad stolikiem.

– Zajmę się tym. Proszę tylko zadbać o to, żeby Euri zawsze z nim wychodziła.

Uścisnęła jego dłoń, znowu się uśmiechając.

Doktorka Elizondo

Znaczna część popołudniowej sesji z doktorką Elizondo przebiegła w ciszy. Noah nie chciał usiąść, mimo że był wyczerpany. Cały czas stał przy oknie i patrzył na błyszczącą patynę, którą deszcz pokrywał dachówki, balkony i ulice. Podczas tych wizyt unikał poruszania tematu, który tak naprawdę przywiódł go pod jej drzwi. Powód, dla którego każdej nocy uparcie przypominał sobie szczegóły chwili swojej śmierci w nadziei, że za ciemnością coś jest. Ale dziś nie mógł przerwać tego milczenia, to nie był dla niego dobry dzień. Wilgoć przeniknęła jego kości i po raz pierwszy, odkąd przybył do Bilbao, jego nowa letnia kurtka okazała się niewystarczająca.

– Nocami słyhać taki gwiazd, przypomina mi to dźwięk, jaki wydaje monitor pracy serca, nie przychodzi mi do głowy lepsze porównanie. Powiedziałbym, że dochodzi ze strony świetlika, więc jeśli nie jest to jedna z tych dźwiękowych halucynacji, o których mówiłaś, ty też powinnaś to słyszeć.

– *Otus scops*.

– Słucham? – Odwrócił się do niej. Dziś zostawiła rozpuszczone włosy, które w takim wydaniu miały jakby bardziej rudawy kolor.

– Syczek zwyczajny. Mała europejska sowa z rodziny puszczykowatych, która wydaje bardzo osobliwy dźwięk. Na początku swojej pracy tutaj zadzwoniłam nawet w tej sprawie do ornitologa.

– *Otus scops* – wymamrotał, odwracając się z powrotem do okna.

Był zmęczony. Kiedy wrócił do pensjonatu po odebraniu prasy, już prawie w południe, musiał położyć się na chwilę, słuchając w Radiu Bilbao programu „Trzynasta Godzina” prowadzonego przez Santiaga Marcillę. Wspomniano w nim, że wciąż trwają poszukiwania zaginionej dziewczyny. Przejrzał gazety; wieści docierające ze Szkocji nie były zbyt pokrzepiające. Na pierwszych stronach wszystkich dzienników podawano, że podejrzany przyznał, iż jest Biblijnym Johnem. Śledztwo nie zostało jeszcze zakończone, ale nie wyglądało to dobrze. Kiedy rozbrzmiał sygnał czasu obwieszczający trzecią po południu, zmusił się do zjedzenia paru herbatników, po których poczuł się tak, jakby spałaszował dzika. Pozycja stojąca łagodziła uczucie pełnego żołądka.

Na pytania doktorki odpowiadał monosylabami, a mimo to sesja okazała się owocna. W ciągu tych pięćdziesięciu minut, jakie musiał spędzić z nią w zamknięciu, był zobligowany zająć się kwestiami, których unikał przez cały dzień. I uzmysłowił sobie, że w większości przypadków znał odpowiedzi, przynajmniej częściowe, na wszystkie pytania. Miał świadomość, że jego dyskomfort jest bezpośrednio związany z gafą, jaką popełnił poprzedniego dnia, i z reakcją Maite. Sposób, w jaki przechodząc obok, zdmuchnęła świeczkę, która paliła się u stóp Dziewicy Begoña, mówił więcej o jej rozczarowaniu niż tysiąc słów. I to uczucie ściśniętego żołądka miało związek z wszystkim, co pragnął jej powiedzieć, a czego nie robił. Nie chciał rozmawiać o Maite. Mówił o Rafie i jego matce. I o kroku, jaki wykonał, wyznając Lizarso prawdę na temat tego, jak poważny jest stan jego zdrowia. Wsparcie młodego policjanta, by mogli kontynuować śledztwo, przyniosło mu wielką ulgę. Nadal jednak ciążyło mu to, że nie powiedział mu, iż według gazet policja w Szkocji zatrzymała już podejrzanego. Noah uważał, że gdyby musiał wyjaśnić to Mikelowi, nie byłby w stanie przedstawić tylko faktów, treści tekstu z gazety. A może on już się dowiedział? Odnosił wrażenie, że jeśli sformułuje na głos przecucie, które przywiodło go do Bilbao, wtedy głęboka wiara w to, że John Murray jest Biblijnym Johnem, pewność, że znowu zabija, intuicja, że te zaginione dziewczyny zostały pogrzebane na błotnistym brzegu rzeki – wszystko, co w ostatnich dniach było sensem jego

życia, od razu się rozpadnie. Wiedział, że nie potrafi przekazać mu tej informacji jako suchego faktu i że jeśli musiałby powiedzieć na głos: „Policja z Glasgow zatrzymała podejrzanego, który przyznał, że jest Biblijnym Johnem”, to on jako pierwszy, a nie Lizarso, straciłby wiarę we wszystko, co robił.

Widząc, że sesja nie przynosi żadnych rezultatów, doktorka Elizondo spróbowała czegoś innego.

– A może zajmiemy się przez chwilę pacjentem enigmą?

Noah odwrócił się do niej, nagle żywo zainteresowany.

– Tak, doskonale.

– Wczoraj powiedziałaś coś, co dało mi wiele do myślenia. Że nie atakuje ich dlatego, że mają okres, tylko wybiera je z tego powodu.

Noah przytaknął.

– Nie wiem, jaki ma motyw ani jak się tego dowiaduje, ale tak właśnie myślę.

– Ja poszłabym trochę dalej – powiedziała Elizondo bardzo powoli. – Wybiera je z tego powodu, ponieważ nienawidzi ich z tego powodu.

– Nienawidzi ich, to oczywiste. Widziałem dziesiątki zdjęć ciał. To, co z nimi robi, świadczy o głębokiej nienawiści.

– Ale wszystkie kobiety w wieku rozrodczym mają menstruację – stwierdziła doktorka. – Musiałby nienawidzić wszystkich kobiet na świecie, możliwe nawet, że tak jest, ale dlaczego działa akurat w tym momencie? Wczoraj powiedziałaś, że niektórzy śledczy myśleli, iż to mogła być brutalna reakcja na odmowę uprawiania seksu. A według mnie możliwe, że to nie z powodu odmówienia seksu, tylko dlatego, że się na niego godzą.

– Wybiera kobiety, które mają okres, potem proponuje im seks i wścieka go to, że one się zgadzają?

– Nawet nie musi dojść do zbliżenia. Chodzi mi o to, że sama propozycja i zgoda z ich strony mogą wywołać coś w jego głowie. Sam fakt, że godzą się na jego towarzystwo, może być dla niego wystarczający.

– Bez prowokacji.

– Nie jest potrzebna, wszystko znajduje się w jego głowie. Wszystko, co dzieje się później, bierze się z tej ogromnej nienawiści.

Skąd może pochodzić coś tak potężnego? – zastanawiał się Noah. Odpowiedział mu głos w jego umyśle: W życiu są tylko dwie rzeczy – miłość i strach.

Doktorka mówiła do niego coś, co wyrwało go z zamyślenia. Odwrócił się, żeby na nią spojrzeć, i w tym momencie wstrząsnął nim silny zawrót głowy. Cofnął się o krok, uderzył głośno o okno, i tak jak się nauczył, oparł się plecami, zamknął oczy i powoli się osuwał, aż usiadł na podłodze.

Otworzył oczy, kiedy poczuł zimne palce doktorki mierzącej mu tętno, najpierw na nadgarstku, później na szyi. Podeszła do szuflady biurka i wróciła ze stetoskopem. Osłuchiwała go dłuższą chwilę.

– Cóż, puls jest trochę słaby, ale nie ma powodów do niepokoju. Tak czy inaczej, powinienesz odpocząć, zanim spróbujesz się podnieść. Wyprostuj się całkiem, Noah, połóż się na podłodze.

– To tylko zawrót głowy – próbował tłumaczyć.

– Wziąłeś lekarstwa?

– Tak, ale mało jadłem, prawdopodobnie to osłabienie...

– Dlaczego mało jadłeś? Czujesz się pełny, tak jak przy niestrawności? – zapytała zaniepokojona.

– Trochę, ale to nie to.

Wyciągnął do niej rękę, żeby pomogła mu się podnieść. Zrobiła to, choć niechętnie, i zaprowadziła go do krzesła.

– Dobrze, Noah, jeśli to nie to, w takim razie co?

Zanim odpowiedział, spuścił nieznacznie głowę i znowu spojrzął w stronę okna.

– To musi mieć związek z nią.

– Z nią? Z tą kobietą?

Noah przytaknął.

– Mówiłeś mi o swoich rozmowach z Rafą, z jego matką, z Mikelem, ale nie porozmawiałeś jeszcze z nią, prawda?

– Wczoraj doszło do nieporozumienia. Możliwe, że ona teraz myśli, że nie jestem nią zainteresowany... Wiem, że to głupstwo, ale czuję się tak, jakbym wrócił do punktu wyjścia, i to mnie... nie mogę znaleźć słowa... Przygnębia? Poczucie, że ucieka mi czas, jest coraz bardziej dojmujące.

– To dlaczego tego nie zrobisz? Dlaczego wreszcie z nią nie porozmawiasz?

– Z tego samego powodu, dla którego nie mówię wszystkiego Mikelowi. Bo powiedzenie tego na głos oznacza pogodzenie się z tym, że mogę się mylić.

– To jest część gry naszego życia, Noah. Zaryzykuj, co masz do stracenia?

Alarm, informujący, że minęło pięćdziesiąt minut przewidziane na wizytę, rozległ się natarczywym dzwonieniem. Doktorka go wyłączyła, a Noah ruszył w stronę drzwi. Zatrzymał się tam i odpowiedział na jej pytanie:

– Do stracenia mam jedyne, co mi zostało. Nadzieję, że moje przeczucie nie jest pomyłką, bo jeśli tak się okaże, to nic z tego wszystkiego nie będzie miało sensu.

Lekarka się podniosła i odprowadziła go do głównego wyjścia.

– Posłuchaj, Noah, powinieneś trochę odpocząć. Te zawroty głowy to nie jest dobry znak.

– To tylko brak tchu, bardzo się zmęczyłem, wchodząc na piąte piętro. Te przekłete schody... – odparł, wskazując na stopnie prowadzące w dół. – Jeśli nadal będą się tak przechylać, któregoś dnia jeden z twoich pacjentów przez przypadek wpadnie do tej dziury.

Elizondo odprowadziła go wzrokiem, gdy schodził przyklejony do ściany.

Czyż nie byłoby dobrze być przy tobie?

*WOULDN'T IT BE GOOD TO BE
ON YOUR SIDE?*

Bar musiał być otwarty dopiero od niedawna, bo siedziało w nim niewiele osób, tylko mała grupka przy wejściu. Noah zauważył, że to były mąż Maite, ich córka Begoña i ruda przyjaciółka tej ostatniej. Już wcześniej widział ich razem. W tle jak zwykle grała muzyka, ale pośród dźwięków *Baby Jane* Roda Stewarta usłyszał ostrą dyskusję. I chociaż wszyscy zamilkli na jego widok, było dla niego jasne, że się kłócili.

Zajął swoje miejsce na końcu kontuaru, obok kuchni, i zamówił kawę, której upił ledwie dwa łyki. Maite zabrała się do zmywania, a pozostali dokończyli swoje napoje w milczeniu. Przed wyjściem dziewczyny nachyliły się nad barem, żeby pocałować Maite, ale mężczyzna wyszedł bez pożegnania. Maite miała poważną minę.

– Wszystko w porządku? – zapytał Noah.

Podeszła do niego.

– Nie, cóż, tak, to ojciec mojej córki. Umówił się z nią na Arenal, ale dziewczyny przyszły tutaj, bo Edurne, przyjaciółka Bego, nie czuje się dobrze i chciała się napić rumianku. A ten dureń wyskakuje mi teraz z tym, że nie chce, żeby dziewczyny zaglądały do baru. No wiecie co, przecież robią to od zawsze! Co za bzdura!

– A jaki podał ci powód?

– Twierdzi, że nie podoba mu się, jak patrzą na nie mężczyźni, że niektórzy z klientów baru gustują w młodych dziewczynach.

Noah zrobił poważną minę.

– Mnie też niezbyt się podoba, że tak często tu wpadają – ciągnęła. – Mają osiemnaście lat, są bardzo ładne i ja także widzę, jak na nie patrzą, to oczywiste. Ale ten człowiek dostał jakiejś paranoi: niech nie przychodzą do baru! Niech z nikim nie rozmawiają! A teraz jeszcze się upiera, żeby wracały wcześniej do domu, wcześniej nawet niż w zeszłym roku. A to normalne, że dziewczyny się buntują, chcą robić to, na co mają ochotę. Bego zawsze była bardzo odpowiedzialna i nigdy nie sprawiała nam kłopotów. Nie rozumie, że jej ojciec nagle się uparł, żeby ograniczać jej wyjścia. A wszystko przez jakąś plotkę, że giną dziewczyny.

– To nie jest plotka, Maite. Słyszałem o tym w wiadomościach, czytałem w gazetach...

– Przecież w czasie święta to normalne: do domów nie wracają dziewczyny, nie wracają chłopcy, niektórzy zjawiają się dopiero po zakończeniu świętowania. A ta dziewczyna z sąsiedztwa nie pierwszy raz szlaja się po imprezach.

Noah wyprostował się na taborecie.

– Zaginęła dziewczyna z sąsiedztwa?

– Córka znajomego, który mieszka przy tej samej ulicy. Ale to szalona dziewczyna, już wcześniej znikła z domu i zawsze wracała. Późnym wieczorem widziano ją w Gaueko z jakimś chłopakiem.

– Cóż, może ma rację, że powinni uważać.

– Ja to wszystko rozumiem, należy je ostrzegać, żeby na siebie uważały, ale nawet sobie nie wyobrażasz, jaką zrobił im awanturę o to, że przyszły do baru, wrzeszczał jak opętany. Ale skoro dziewczynę boli brzuch i musi napić się rumianku, to dokąd ma pójść, skoro ja tu jestem?

Noah się zainteresował.

– Bolał ją brzuch?

– Kobiece sprawy – wyjaśniła.

Kobiece sprawy mogły oznaczać tylko jedno.

– Maite, powiedziałaś, że Kintxo nie chce, żeby rozmawiały z klientami. Może coś widział...

– Nie wiem, to porządne dziewczyny, dobrze wychowane, witają się ze wszystkimi. A poza tym Kintxo już taki jest, nieufny, nikt mu się nie podoba, a zwłaszcza Anglicy. Jego rodzice wyemigrowali do Anglii, kiedy był mały, tam się wychowywał. Zawsze powtarza, że Anglicy traktowali go bardzo źle, że byli dla niego nieprzyjemni. Tak was nie znosi, że nie może nawet na was patrzeć.

– Ja jestem Szkotem – wymamrotał.

Maite wzruszyła ramionami, jakby było jej wszystko jedno. Nie ulegało wątpliwości, że jeszcze jest urażona po poprzednim wieczorze.

– Ale wspominał ci o kimś konkretnym? A może ty widziałaś, jak z kimś rozmawiały?

Spojrzała na niego zdziwiona, ale i trochę zła.

– Nie wiem. Co masz na myśli?

– Nic – uciął.

Nagle poczuł się nieswojo, gdy tak wbijała w niego srogie spojrzenie.

– Posłuchaj, Maite, chciałem cię przeprosić za wczoraj. Wiem, że to, co powiedział Mikel, zabrzmiało, jakby...

Przerwała mu, bo do baru weszła właśnie grupa klientów.

– Nie musisz mi się tłumaczyć, Noah – powiedziała, po czym zostawiła go samego.

Chłopiec

Chłopiec czyta w bibliotece. Odkąd sięga pamięcią, ma kartę Miejskiego Ośrodka Kultury. Zanim jego ciotki się do nich wprowadziły, zwykle czekał tu na swoją mamę po wyjściu ze szkoły. Ona nie chciała, żeby wałęsał się sam po ulicach, ponieważ obawiała się, że inne dzieci mogą wyrządzić mu krzywdę; uważała, że ze względu na ich sytuację niektóre osoby żywią do nich niechęć. Chłopiec nie ma ojca, ale się tym nie przejmuje; nie ma też dziadków – i tym, owszem, trochę się przejmuje, bo przejmuje się tym mama. W domu nad jeziorem mieszkali sami przez wiele lat i byli szczęśliwi, a przynajmniej on był szczęśliwy. Kiedy skończył pięć lat, pewnego dnia mama mu wyjaśniła, że jego babcia, która przez cały ten czas mieszkała bardzo blisko, mimo że chłopiec o tym nie wiedział, właśnie umarła i że jego ciotki, młodsze siostry mamy, będą teraz mieszkać z nimi. Chłopcu to nie przeszkadzało. Ciotki – które dopóki żyła babcia, nawet nie witały się z jego matką – wprowadziły się do nich dzień po pogrzebie staruszki. Były młodsze od mamy i miały ciemne włosy, a nie rudawe, tak jak chłopiec i jego matka. Były ładne, nawet ciocia Emily, która utykała, ponieważ w dzieciństwie przeszła polio. Bawiły się z nim, łaskotały go po brzuszku, a on śmiał się do łez. Opowiadały mu stare rodzinne historie, o krwi, do której należał, historie o grzechu i wstydzie, historie o nienawiści i zemście. Chłopiec musiał oddać im swój pokój i znowu spał z mamą, tak jak wtedy, gdy był mały, i to też mu nie przeszkadzało. Wszystko było dobrze, ponieważ mama była zadowolona. Wyglądało na to, że zapomniała o latach odcinania się i wstydu i usprawiedliwiała zachowanie swoich siostr nakazem swojej czcigodnej matki. Mama przygotowała

im pokój i znalazła im pracę; jednej na statkach turystycznych na jeziorze, a drugiej w tym samym hotelu, w którym sama pracowała. To właśnie wtedy mamie zaproponowano stanowisko kierowniczkii obsługi. Wcześniej nie mogła go przyjąć, ponieważ nie miała z kim zostawić chłopca. Pensja była wyższa, ale godziny pracy fatalne. Musiała wychodzić z domu w środku nocy, żeby być w Tarbet przed świtem i wykonać wszystkie zadania, zanim wstaną pierwsi turyści.

W starym *cottage* był tylko jeden piec – w salonie. Łóżko mamy było duże i robiło się zimne, kiedy wychodziła, więc ciotki zaczęły zabierać chłopca do swojego pokoju.

Chłopiec lubił ich zabawy, ich rozgrzaną skórę, twarde piersi, ciepło ich łon. Spał nago między nimi dwiema, dotykając ich ciał i trzymając wszystko w tajemnicy.

Ale one czasami chorowały. Były rozdrażnione i cierpiące, puchło im łono, a brzuch ścisnęły skurcze. Wtedy wpychały chłopca pod koce, dusił się między wełną i ich udami, i kazały mu pić krew tego, co ofiarowane, aż odczuwały ulgę i zasypiały. Chłopiec tego nie lubił. Nie chciał tego robić. Płakał i marudził, a kiedyś nawet zagroził, że opowie o wszystkim mamie. Wtedy one mu powiedziały, że złamał prawo Boże, że wypił krew tego, co ofiarowane, i że Bóg już nigdy mu nie przebaczy, że matka nie będzie go już kochać, ponieważ zamienił się w coś, czego ona najbardziej nienawidzi, i że jeśli jej o tym powie, ona poczuje taki wstyd i obrzydzenie, że pewnej nocy, kiedy będzie spał, wsadzi go do worka z kamieniami i wrzuci do jeziora, żeby się utopił, tak samo jak jego dziadek, ponieważ to właśnie robiło się w ich rodzinie z degeneratami.

Chłopiec zrobił się posepny. Nie chciał się już z nimi bawić, nie było już ciepła ani spokojnego snu. Zapach tego, co złożone w ofierze, przyprawiał go o mdłości i chłopiec odnosił wrażenie, że w te dni wszystko w nich – skóra, włosy, oddech – miało zapach krwi, która wypływała spomiędzy ich ud. Na cały dzień zostawały w łóżku pod kocami, pocąc się. Siorbały gorącą herbatę, którą on im przynosił, i wstawały tylko po to, żeby pójść do ubikacji i wyjąć zakrwawione szmatki, które miały między nogami, zamieniając je na czyste, po czym wracały do łóżka. W te

dni odór, który najwyraźniej czuł tylko on, wypełniał cały dom niczym cuchnąca chmura unosząca się na parze oddechów i zimna, które wciskało się do środka przez nieszczelne okna. Najgorsze jednak, że to, co ofiarowane, było martwe i gniło po wyjściu z ich ciał. W łazience stało drewniane wiadro, w którym zostawiały zakrwawione szmatki, a chłopiec musiał je później prać, ponieważ one były zbyt słabe, by się tym zająć. Smród przyprawiał go o mdłości, wywoływał w nim takie obrzydzenie, że w te dni chłopiec wykonywał swoje zajęcia na zewnątrz i nawet mył się na dworze, w miednicy, byle tylko nie wchodzić do łazienki i nie widzieć wiadra, które zostawiały obok muszli klozetowej. Unikał tego jak tylko mógł, powtarzając sobie, że już więcej nie będzie tego robił. Ale kiedy szmatek przybywało i nawet przykrywka już się nie domykała, jego własna matka prosiła go: „Pomóż swoim ciotkom, są bardzo chore, a wiesz, że ja wracam z pracy zmęczona”.

Zimą woda była bardzo zimna i trudniej usuwało się plamy, ale latem było jeszcze gorzej. Wiadro miało drewnianą przykrywkę, ale one często zapominały ją zamknąć. Do środka wpadały więc muchy i składały jaja na skrzepach krwi na szmatkach. Upał przyspieszał rozkład i nieraz się zdarzało, że kiedy chłopiec wysypywał zawartość wiadra na tarę, znajdował małe żółte robaki żywiące się tym, co ofiarowane. Zobaczywszy je, rozumiał, jak straszne było to, do czego zmuszały go ciotki, ponieważ on był jak te robaki.

Chłopiec wiele razy myślał, żeby powiedzieć o wszystkim mamie, pomimo grózb ciotek, bo wiedział, że mama go kocha – albo kochała. Ale ostatnio przyłapuje ją na tym, że obserwuje go w milczeniu, jak gdyby wiedziała o nim straszliwe rzeczy. Chłopiec nie jest pewien, czy to tylko jego wyobraźnia, czy mama wie, co się dzieje w środku nocy, kiedy ona idzie do pracy. Tak więc nic nie mówi, ponieważ przeczuwa, że ona i tak już o wszystkim wie. To sprawia, że czasami jest bardzo smutny, innym razem jest wściekły. Dlatego woli jej nie mówić, bo gdyby miał się przekonać, że ona wie...

Przy wielkim pustym stole w bibliotece chłopiec czyta, niemal pożera każde słowo z opasłego tomu, który ma przed sobą. Pani Thompson skrzywiła się, gdy

podawała mu książkę. „Myślę, że to dla ciebie zbyt trudne”, powiedziała.

Chłopiec czyta łapczywie, zachłannie, pożera kolejne strony oczami pełnymi przerażenia, rozpoznając siebie w kreaturze opisywanej przez Brama Stokera.

Jest zrozpaczony. Czy powinien pogodzić się z tym, że jest potworem? Czy musi zaakceptować, że skazał swoją duszę na potępienie? Czy jest jakaś szansa na odkupienie winy? W ostatnich tygodniach chodziła mu po głowie możliwość wypowiedzenia się, by otrzymać przebaczenie Boga. Minionej niedzieli został po nabożeństwie i już chciał poprosić o spowiedź pastora Pierce'a, ale w ostatniej chwili coś go powstrzymało. Coś, co nie pozwala mu spać i co ma związek z Lucy, z dniem, w którym ona się zmieniła, i z tym, co wtedy poczuł. Do tamtej pory przysięgłby na Biblię, że nie cierpi tego, do czego go zmuszają, że był tylko ofiarą przebłągalną, że doprowadzono go do grzechu kłamstwami. Ale kiedy przeniknął go zapach tego, co ofiarowane i co pochodziło od Lucy, jego ciało zareagowało niczym wiedzione pierwotnym, zwierzęcym instynktem. Zapragnął pić z Lucy, a jednocześnie jej za to nienawidził. Nie mógł nawet patrzeć jej w oczy. „Obrzydzasz mnie”, powiedział jej. I to była prawda. Obrzydziała go, a on brzydził się samym sobą. Pobiegł do łazienki, opuścił spodnie i zaciśniętymi pięściami bił się po penisie i jądrach, aż ból wziął górę nad instynktem. A teraz, kiedy czytał, jak Drakula pije krew swoich ofiar, daleki od wstępu, jakim napawały go ciotki, poczuł między nogami mrowienie, które narastało pod ciasnym materiałem spodni. Od tamtej pory zaczął sobie wyobrażać, jak by to było pić z Lucy. Tego dnia chłopiec wiedział, że to, co powiedziały mu ciotki, było prawdą. Tego dnia wiedział, czym się stał: piekielnym pomiotem, aberracją, która była na świecie tylko po to, żeby robić wynaturzone rzeczy.

Bilbao

Wtorek, 23 sierpnia 1983

Noah nie spał już od co najmniej godziny, ale nadal leżał w łóżku, słuchając radia i robiąc notatki w swoim małym czarnym notesie. Wyjścia do dyskotek negatywnie się na nim odbijały. Podczas tych nocnych wypraw starał się pić wodę albo jakiś napój orzeźwiający, ale te godziny były straszne dla jego ciała – wzmagaly się palpacje serca, częstotliwość zawrotów głowy i konieczność oddawania moczu. Wszystko się nasilało, bo kiedy sam musiał prowadzić obserwację, ogarniał go strach, że straci Murraya z oczu. Po powrocie do Gwiazdy miał tak spuchnięte stopy, że ledwie mógł zdjąć buty.

Przez głos prezentera radiowego przedzierał się dźwięk deszczu bębniącego o dach patio. Zostawił otwarte okno, żeby patrzeć na smoka oddychającego wraz z ruchem zasłon i żeby słyszeć *Otus scops*, który swoim śpiewem nadawał rytm. Noah był markotny, wiedział, że w znacznej mierze wynikało to ze stanu jego zdrowia, należało to zaakceptować jako coś naturalnego. Z drugiej jednak strony, kiedy próbował uzasadnić to przygnębienie, znajdował tysiące usprawiedliwień dla swoich czarnych myśli. Śledzenie Johna Murraya vel Biblijnego Johna okazało się męczące. Poprzedniej nocy Mikel był na służbie i nie mógł mu towarzyszyć. Jakby w ramach rekompensaty Murray wrócił do pensjonatu przed drugą. Ale z tego powodu Noah zaczął się zastanawiać, czy facet nie wyjdzie ponownie. Mógł się o tym przekonać, tylko obserwując przez całą noc wejście do hostelu. Robił to

przez dwadzieścia minut, stojąc w westybulu Gwiazdy, ale stopy i głowa bolały go tak bardzo, że w końcu się poddał.

Na temat trzech zaginionych do tej pory dziewczyn nie było żadnych wieści. Chociaż policja przyjęła zgłoszenie o zaginięciu tylko dwóch z nich, to do swoich domów nie wróciły trzy młode kobiety. Gdyby potwierdził się przypadek dziewczyny z sąsiedztwa, o której wspomniała mu Maite, dziewczyny, którą ostatni raz widziano z jakimś mężczyzną w Gaueko przy ulicy Ronda – byłoby ich cztery. Noah zastanawiał się nad tym, jak przerażająca może być myśl detektywa, mogąca zmienić możliwość popełnienia nieludzkiej zbrodni w potwierdzenie czegoś, co potrzebował wiedzieć. A fakt, że szkocka policja pomyliła się co do swojego zatrzymanego, w jakimś stopniu byłby tryumfem jego ego. To spowodowało, że poczuł się jeszcze gorzej. Wzdychając, rzucił notes na łóżko i skoncentrował się na jowialnym głosie Ramóna Garcíi, który zdawał się być w szampańskim humorze, nawet kiedy mówił o tym, że dziś deszcz też nie przestanie padać. Potem wymienił wszystkie zaplanowane na ten dzień wydarzenia i poinformował słuchaczy o stanie zdrowia Luisa Villagasa, mężczyzny, który został bardzo poważnie ranny podczas walki z młodymi jałówkami na Vista Alegre i którego Noah znał ze słyszenia, ponieważ ten stał się bohaterem anegdoty opowiadanej w barach.

Nagle rozległy się cztery lekkie stuknięcia do drzwi, a towarzyszył im głos właścicielki pensjonatu:

– Panie Scott, przyszedł pański kolega.

Noah spuścił na podłogę obolałe nogi, po czym podszedł do drzwi, nieznacznie utykając.

– Proszę mu przekazać, że za chwilę zejdem, muszę się ubrać – zawołał i zaczął wkładać spodnie.

Głos właścicielki zabrzmiał tak blisko, że wyobraził sobie, jak kobieta dotyka ustami szczeliny w drzwiach.

– Wiem, co mówiłam, ale dla pana zrobiłam wyjątek, panie Scott. Pański kolega jest tutaj.

Po otwarciu drzwi zobaczył Mikela Lizarso z mokrymi od deszczu włosami, uśmiechającego się wymownie, tym bardziej gdy zauważył pełne uznania spojrzenie, jakie właścicielka pensjonatu rzuciła na nagi tors inspektora Scotta Sherringtona.

– Dziękuję, jest pani bardzo miła – powiedział Noah, udając, że nie widzi miny Lizarso wchodzącego do pokoju.

Gdy tylko zamknął drzwi, policjant zaniósł się śmiechem. Śmiał się tak długo, aż Noah pokazał mu gestem, żeby zamilkł.

– No dobrze, teraz musisz mi wyjaśnić, dlaczego ta urocza czarownica z zachodu „robi dla pana wyjątki, panie Scott” – powiedział, naśladując słodki głos właścicielki.

– Można to osiągnąć zielonymi banknotami.

– Och, ale ona wydaje się chętna na zapłatę w naturze.

Noah pokręcił głową z obrzydzeniem.

– Ja cię tylko informuję – żartował dalej Lizarso, omiatając pomieszczenie wzrokiem. Zauważył lekarstwa ustawione na półce nad umywalką, teczkę z logo szpitala, zdjęcie pary, którą, jak się domyślił, byli rodzice Noaha, oraz mały czarny notes, który gospodarz pospiesznie przykrył poduszką. – Bardzo mi się podoba, jak się tu urządziłeś.

– Domyślam się, że nie przyszedłeś oceniać wystroju – powiedział Noah, siadając na łóżku.

– Nie, mam ci do przekazania dwie rzeczy; pierwsza jest taka, że dziewczyna, która wczoraj nie wróciła do domu, już się odnalazła. Była na imprezie ze swoim kochasiem.

Noah westchnął, myśląc o tym, co się stanie, jeśli pozostałe dziewczyny też odnajdą się żywe... Czyżby aż tak bardzo się pomylił?

– Cieszę się. Maite mi powiedziała, że to jest właśnie najbardziej prawdopodobne. A ta druga sprawa?

Lizarso wyglądał jak kot, który zjadł kanarka.

– Ty pierwszy. Jak poszło w nocy?

– Zanim wyleci mi z głowy: byłoby dobrze, gdybyś dowiedział się czegoś więcej o byłym mężu Maite. Może to nic takiego, ale wczoraj Maite mi powiedziała, że martwi go, iż jego córka ma kontakt z klientami baru, do tego stopnia, że nie chce, by tam przychodziła. Powiedział Maite, że „niektórzy gustują w młodych dziewczynach”, a poza tym, co za zbieg okoliczności, ta ruda, przyjaciółka jej córki, skarżyła się wczoraj na ból brzucha. Maite dała mi do zrozumienia, że ma okres.

Lizarso przechylił głowę, zastanawiając się nad tym, a Noah ciągnął:

– Wspominałeś, że Kintxo pracował przez jakiś czas dla brytyjskiej firmy, ale Maite mi powiedziała, że jego związki z Wielką Brytanią są znacznie szersze. Jego rodzice wyemigrowali, kiedy on był bardzo mały, i tam się wychowywał. Maite twierdzi, że nienawidzi Anglików. Dobrze byłoby sprawdzić, gdzie dokładnie mieszkał, w jakich miastach i w jakich okresach, no i kiedy wrócił.

– Do czego zmierzasz? Wydaje ci się podejrzany?

– Może do niczego nas to nie zaprowadzi, ale nie powinniśmy lekceważyć żadnego tropu. Zwłaszcza że dziś w nocy, kiedy śledziłem Murraya, znowu widziałem Kintxo w jednej z dyskotek. Był z kumplami i przypuszczam, że to przypadek, ale po tym, co wczoraj usłyszałem od Maite, zastanawiam się, czy mógł mieć na myśli Murraya i czy może w którymś momencie zobaczył coś więcej niż my.

– Niewykluczone... Ale nie wiem, jak mielibyśmy się tego dowiedzieć, żeby się nie zdradzić. Trzeba by go po prostu zapytać, to jedyny sposób.

– Nie, dopóki nie będziemy wiedzieć czegoś więcej o samym Kintxo i jego związkach z Wielką Brytanią.

– Widziałeś też Collina?

– Nie, nie widziałem go w dyskotekach, choć nie wykluczam, że mógł się tam kręcić, było mnóstwo ludzi. Ale kiedy Murray wrócił do swojego pensjonatu, odczekałem jakieś dwadzieścia minut, by się upewnić, że już nie wyjdzie, i wtedy

zobaczyłem nadchodzącego Collina. Wczoraj Murray nie opuścił ulicy Telesforo Aranzadi, najpierw był w Drugstore, to taki lokal, który w połowie jest barem, a w połowie dyskoteką.

– Znam go.

– A później był po drugiej stronie ulicy, w Bluesville, to dość eleganckie miejsce, przynajmniej sądząc po klienteli. Przez dłuższą chwilę rozmawiał z jedną kobietą w tym drugim lokalu, ale najwyraźniej nic z tego nie wyszło. O drugiej w nocy był już z powrotem w swoim pensjonacie.

– To, że wrócił tak szybko, też nie daje mi spokoju. Później mógł wyjść jeszcze raz...

– Tak, też o tym pomyślałem.

– Wiem natomiast, że wstał bardzo wcześnie. Miałeś rację z tym założeniem podsłuchu w budce na dole. Na razie nie wiemy o żadnym telefonie od „Ciemnego” albo Michaela, ale dziś bardzo wcześnie rano, chwilę przed tym, jak przyszedł mój zmiennik, za kwadrans szósta, Murray dzwonił z budki.

– Skąd możesz być taki pewny, że to był on?

– Bo zadzwonił pod numer, który mi wczoraj podałeś.

Noah wstał.

– Z kim rozmawiał? Co powiedział?

Mikel się uśmiechnął, po czym z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjął walkmana i podał mu słuchawki.

– Sam będziesz musiał mi to powiedzieć. Akcent jest tak twardy i mówią tak szybko, że prawie niczego nie rozumiem.

Noah założył słuchawki i w jego głowie rozbrzmiał głos Johna Murraya.

„To ja”.

Ton był głęboko melancholijny, John Murray mówił bardzo cicho, niechętnie, jakby artykułowanie słów wiele go kosztowało, co nie przystawało do radości kobiety po drugiej stronie linii.

„Nareszcie! Bardzo się martwiłyśmy, zostawiłyśmy ci mnóstwo wiadomości. Jak się czujesz?”

„Dobrze – odparł ostro. – Posłuchaj, musicie przestać do mnie wydzwaniać, rozumiałaś? Nie chcę, żebyście do mnie dzwoniły”.

„Nie rozumiem, sam podałeś nam ten numer, powiedziałaś, że jest bezpieczny”. Głos zdradzał rozczarowanie.

„Ale już nie jest, nie dzwońcie do mnie więcej, rozumiałaś?” Zabrzmiało ostro i nieco groźnie.

„Zrozumiałam – odparła posłusznie. – Kiedy przyjedziesz? A może chcesz, żebyśmy to my przyjechały do ciebie?”

„Nie, nie. Jeszcze za wcześnie, dam wam znać”. Zmęczony i zwodniczy.

„Jakiś numer musi być bezpieczny, ogromnie się martwimy, pieniędzy nie wystarczy już na długo, a wiesz, że to kwestia miesięcy...”

„Dajcie mi spokój! – krzyknął wściekły. – Nie rozumiecie, że w mojej sytuacji muszę myśleć o sobie?”

„Zrobiłyśmy to, co nam kazałeś, mogłyśmy zostać w domu, ale posłuchałyśmy cię, jesteśmy w takiej sytuacji przez ciebie”. Kobieta po drugiej stronie linii jęknęła. Płakała.

„Nie, to ja jestem w takiej sytuacji przez was, niech to szlag”.

„Jak możesz tak mówić, John? Zrobiłyśmy dla ciebie wszystko”.

Cisza po stronie Murraya. Przez kilka sekund było słyhać jedynie płacz kobiety. Nagle rozległy się trzy kolejne uderzenia w słuchawkę. I groźny głos Murraya:

„Zamknij się! Zamknijcie się wszystkie, przestańcie ryczeć! Niech to szlag!”

Płacz nagle ustał.

„John, nie rób tego”.

„Czego mam nie robić, mam?” Znużony.

„Nie opuszczaj nas, John”.

W tym momencie połączenie się urwało.

Trawa zawsze jest zieleńsza za płotem

*THE GRASS IS ALWAYS GREENER
OVER THERE*

Noah czuł się bardzo źle, znacznie gorzej niż przez ostatnie dni. Pogorszenie stanu fizycznego było ewidentne, ale najbardziej martwiło go, a wręcz irytowało w nieznanym mu dotąd sposób, że traci władze umysłowe.

Z minuty na minutę zdawał sobie sprawę z tego, jak zagmatwane są jego myśli. Wszystko mieszało mu się w głowie jak groch z kapustą, wątki pojawiały się i znikwały. Dziewczyna, która wróciła do domu i która była tylko gdzieś na imprezie; człowiek, który oddał się w ręce szkockiej policji, przyznając, że jest Biblijnym Johnem; odgłosy sowy w środku nocy; Kintxo, który dość długo mieszkał w Wielkiej Brytanii, a teraz był zdenerwowany, ponieważ „niektórzy gustują w młodych dziewczynach”; oraz Maite, która nie zapalała już świeczek Dziewicy Begoña. Nie mógł myśleć. Zawroty głowy i zamęt przyćmiewały mu umysł za każdym razem, gdy próbował rozumować, i dręczyła go pewność, że wszystko zaczyna się i kończy na Maite.

Przez cały poranek potrzeba wyjścia do kiosku po szkockie gazety i skontaktowania się z Olgą walczyła ze zdrowym rozsądkiem, który podpowiadał mu, że powinien odpocząć. Osłabienie nóg, jakie czuł po przebudzeniu, przeszło w nieznośne mrowienie, a wraz z upływem kolejnych godzin jego kończyny zaczęły drętwieć. Zdołał się ubrać, ale kiedy był już przy drzwiach, poczuł takie zawroty głowy, że z trudem udało mu się wrócić do łóżka. Początkowa ulga, jaką przyniósł odpoczynek, nie trwała długo. Wkrótce potem zaczął mieć trudności z oddychaniem i dopiero kiedy usiadł, zdołał im nieco zaradzić. Połknął kolejne dwie tabletki diuretyków i łyżeczkę wyciągu z naparstnicy. Przez następne trzydzieści minut próbował zapanować nad lękiem, aż udało mu się uspokoić i pozbyć wrażenia, że na powrót przeżywa moment swojej śmierci.

W którymś momencie musiał zasnąć. Głos Ramóna Garcíi obwieścił, że wybiła piąta po południu, a Noah się zastanawiał, czy ten facet nigdy nie wraca do domu. Tętno znowu miał regularne i odzyskał czucie w nogach. Przeżuł cztery herbatniki, przyglądając się swojemu odbiciu w lustrze. Pasek i buty go uciskały, ale najbardziej uderzające były worki wypełnione płynem, które powstały pod oczami. Próbował je zniwelować, obmywając twarz zimną wodą. Potem wyszedł na półpiętro.

Zaczął wchodzić po schodach do gabinetu doktorki Elizondo, ale nim wdrapał się na trzecie piętro, już się dusił. Usiadł na stopniu, starając się złapać oddech. Odchylił głowę, żeby zobaczyć trochę nikłego sierpniowego światła, tego bez wątpienia najdziwniejszego miesiąca w jego życiu. Żółta aureola rozciągała się wokół świetlika i wtedy zauważył, że schody tak mocno przekrzywiły się w stronę wewnętrznego otworu, że gdyby spróbował po nich wejść, z pewnością runąłby w pustkę. Siedział nieruchomo. Słuchał skrzypienia drewna i delikatnego stukania deszczu o dach, wdychając zapach lakieru i wosku. Przerażony. Ponieważ ze wszystkich odczuć, jakie nagromadziły się tego dnia, najwyraźniejsze było to, że nie ma już czasu. To oczywiste, że doktor Handley się mylił, nie zostało mu kilka miesięcy – „kilka miesięcy, jeśli będziesz o sobie dbał”.

Naglące poczucie uciekającego czasu, umysłowy zamęt i wszystkie teorie, nad którymi tak ciężko pracował, rozpadały się jak chimery, którymi były. Brednie, które miały nadać jego życiu jakiś sens; życiu, które wymykało mu się z rąk i które – teraz to wiedział – okazało się bezwartościowe. Może nie było żadnego drapieżnika, może Murray nie był Biblijnym Johnem, może to wszystko było tylko majaczeniem śmiertelnie chorego człowieka, otumanionego lekami i depresją, usiłującego nadać jakieś znaczenie już nie swojemu życiu, lecz swojej śmierci. Jeżeli sesje z doktorką Elizondo coś mu dały, to tyle, że doszedł do wniosku, iż najbardziej przeraża go to, czego nie powiedział Handleyowi, kiedy ten rozmawiał z nim na szpitalnym korytarzu, ani Gibsonowi, gdy ten zapytał go, co czuł w chwili śmierci, ani nawet samej Elizondo. To, co widział, kiedy był martwy, długo po upiornym płaczu, ataku, który powalił go na ziemię, chłodzie i ciemności – to przerażało go bardziej niż śmierć. Całe życie sprowadzało się do dwóch rzeczy: miłości i strachu. A on miał tylko to drugie.

Poddał się. Kiedy mógł się już podnieść, zszedł z powrotem do pensjonatu, wziął parasol i wyszedł na ulicę, po drodze ponownie patrząc na stopnie prowadzące w górę i zastanawiając się, jak to możliwe, że ktoś w ogóle po nich wchodzi.

Najpierw zadzwonił do Olgi z budki przy wejściu do pensjonatu. John Murray dostał międzynarodowy telegram, ale ona nie miała jak się dowiedzieć, co było w nim napisane ani kto mu go przysłał. Noah pomyślał, że to dobra dziewczyna, kiedy usłyszał, jak – wobec jego rozczarowania – przejmuje się tym, że nie może mu pomóc. Wszedł z budki na deszcz i bardzo powoli rozłożył parasol, ogarnięty dezorientacją, która towarzyszyła mu od rana. Spacerował bez celu sąsiednimi ulicami, nie wiedząc, czego dokładnie szuka, aż natknął się na kolejną budkę telefoniczną. Zatrzymał się przy niej, a potem wszedł do środka, zdjął słuchawkę, sprawdził, czy działa, i wrzucił kilka monet o wartości pięciu peset. Numer telefonu, który znał na pamięć, musiał wykręcić aż trzykrotnie, bo za każdym razem był zajęty. Kiedy po drugiej stronie odpowiedział mu znajomy głos, Noah ze zdumieniem skonstatował, że jest tak zmęczony, że ledwie może mówić.

– Dzień dobry, kogo my tu mamy? – zapytał jowialnie Ramón García.

– Dzień dobry – wybełkotał Noah.

– Och, wygląda na to, że to mężczyzna. Witaj, kim jesteś?

– Chciałbym zadedykować piosenkę – powiedział nieśmiało.

– W takim razie dodzwoniłeś się w odpowiednie miejsce, bo tutaj każdego popołudnia, w programie „Lista Czterdziestu Przebojów” FM osiemdziesiąt dziewięć i pięć, możesz zadedykować, komu tylko zechcesz, wybraną przez siebie piosenkę. Musisz tylko, tak jak nasz przyjaciel, zadzwonić pod numer cztery, osiem, siedem, dwa, jeden, zero... Jaką piosenkę wybrałeś?

– *Wouldn't It Be Good* Nika Kershawa.

– Co za akcent! Słysząc, że jesteś Anglikiem, przyjacielu. A komu ją dedykujesz?

Noah uzmysłowił sobie, że cały się trzęsie.

– Dziewczynie, która mi się podoba, Maite. To najładniejsza dziewczyna w całym Bilbao.

– Proszę, proszę! Maite. Pozostało nam się tylko dowiedzieć, jak ma na imię adorator Maite.

Brakowało mu tchu i po raz pierwszy tego dnia był pewien, że nie ma to nic wspólnego z chorobą.

– Noé. Jak ten od potopu.

– Dobrze, a więc od Noégo dla Maite: *Wouldn't It Be Good*.

Rozłączył się i jeszcze przez kilka sekund opierał na widełkach, jakby sam zwisał z telefonu. Wyobraził sobie Maite słuchającą każdego słowa Nika Kershawa. Pomyślał, że może powinien był zadedykować jej jakąś piosenkę po hiszpańsku, ale tego, jak się czuł w tym momencie, nikt na świecie nie potrafił wyrazić tak dokładnie jak Kershaw.

Kiedy się odwrócił, żeby wyjść z budki, zobaczył Rafę z Euri; chłopak miał na sobie żółty płaszcz przeciwdeszczowy, choć zdjął kaptur i obserwował go z uśmiechem na ustach. Suczka nie spuszczała go z oczu.

– Za-zadedykowałeś piosenkę Maite – powiedział zamiast powitania.

Noah przytaknął z uśmiechem, mając świadomość, że Rafa przygląda mu się uważnie, z lekko przechyloną głową.

– To twoja dzie-dziewczyna?

Noah się nachylił, żeby pogłaskać delikatną sierść Euri, zyskując tym samym kilka sekund na odpowiedź i zastanawiając się nad konsekwencjami swojego czynu. Pytanie chłopaka nie było wcale niedorzeczne. Właśnie zadedykował piosenkę kobiecie na antenie stacji o największej słuchalności w Bilbao. Właśnie przyznał publicznie, że mu się podoba. Było tak, jakby nagle zdał sobie sprawę z tego, co zrobił i jakie to będzie miało skutki.

– Nie.

Nie, pomyślał, Maite nie jest moją dziewczyną i nigdy nie będzie mogła nią zostać. Co mu, do diabła, strzeliło do głowy, by zadzwonić do radia? Spojrzał na zegarek: z Lizarso miał się spotkać dopiero za dwie godziny, a teraz poczuł nagle, że nie będzie w stanie pójść do baru i siedzieć z nią sam. Zdenerwowany niczym nastolatek, zamknął na chwilę oczy i westchnął, świadomy bałaganu, w który się wpakował.

– Dlaczego nie? – naciskał chłopak, nie przestając na niego patrzeć.

Noah wzniosł oczy do nieba, które wciąż zasnuwały chmury, i wyciągnął rękę.

– Powiem ci, jeśli ze mną pójdziesz; akurat przestało padać. Tak sobie myślę, że dziś jest trzeci dzień świętowania, a ja wciąż nie wiem, gdzie jest rozstawione wesołe miasteczko.

– Miasteczko. Nie mówisz poprawnie – zaśmiał się Rafa z błyszczącymi oczami. – Na ulicy Luis B-briñas, blisko Babasurto, prawie obok San Mamés.

– To niedaleko?

– Dla mnie t-tak, dla ciebie... lepiej wziąć taksówkę.

Noah popatrzył na tego niezwykłego chłopaka, będąc pod wrażeniem jego umiejętności obserwacji.

– Masz rację. Myślisz, że znajdziemy taką, która zabierze nas z Euri? Wcześniej musimy jeszcze wpaść do kiosku po moje gazety.

Reszta popołudnia upłynęła znacznie lepiej, niż mógł sobie wyobrazić, biorąc pod uwagę, jak wyglądały poranek i przedpołudnie. Zdecydowanie zignorował czerwone migające światła, które we wspomnieniach wciąż błyszcząły po obu stronach przejazdu kolejowego w Glasgow – niewątpliwy znak przecucia lub nadchodzącego ataku serca. Mimo zapowiedzi, że przez resztę dnia będzie padać, niebo nad Bilbao się roz pogodziło, podobnie jak nastrój Noaha. Nie lało od kwadransa i chociaż drobna mżawka sprawiała, że wszystko było mokre, atrakcje w wesołym miasteczku działały normalnie, przed loteriami stały grupki kupujące losy, inni grali w mobilnych salonach bingo.

Noah złożył parasol i przeszukał kieszenie, wyjmując parę monet, by dać je dziewczynie, która zbierała na kanapkę. Nie umknęły jego uwadze potępiające spojrzenia, jakie niektórzy mu rzucili, kiedy przekazał jej pieniądze. Szła boso, pluskając się w kałużach, choć w ręce niosła parę starych martensów. Część głowy miała ogoloną, a resztę jasnych brudnych włosów postawioną na irokeza, prawdopodobnie na piwo. Kiedy się oddalała, Noah zwrócił uwagę na małą materiałową torebkę z paskiem na ramię i grubymi ćwiekami. Szybka myśl przemknęła mu przez głowę i niemal od razu ją zgubił. Przez chwilę próbował przywołać jakieś powiązanie z tym, co zobaczył, ale zdołał jedynie pomyśleć o fotografii Clarissy O’Hagan, którą nosił w portfelu.

Uśmiechnął się, obserwując z daleka Rafę, który jeździł w kółko na jednej z karuzeli. Noah czuł się o wiele lepiej niż przez cały dzień i był pewien, że miały na to wpływ nagłówki na pierwszych stronach szkockich gazet. „The Scotsman” i „Daily Record” pisały na swoich łamach o fiasku policji, gdy się okazało, że facet, który przyznał się do zbrodni popełnionych przez Biblijnego Johna, jest tylko jednym z wielu głupców chcących zaistnieć.

Odetchnął z ulgą i wrócił do układania swoich teorii. Czuł się pewnie i nawet zganił samego siebie za to, że nie był w stanie rozróżnić profilu, z którym w ciągu

tych wszystkich lat ścigania Biblijnego Johna zetknął się wiele razy. W Marinie przechowywano zdjęcia całej masy świrów, którzy w różnych okresach stawili się w komisariacie, by przyznać, że są legendarnym zabójcą. W większości przypadków nietrudno było ich odrzucić, bo tylko powtarzali jak papugi teksty z artykułów, które publikowano w gazetach. Przeciętniacy, nieudacznicy, nieszczęśnicy wiodący marny żywot, którzy uwierzyli, że przyznanie się do bycia seryjnym mordercą to jedyny sposób, żeby się wyróżnić. Ale od czasu do czasu trafiał się taki typ, który wymagał trochę więcej pracy. Chociażby dlatego, że pasował pod względem charakteru lub samotniczego trybu życia. Chociażby dlatego, że w głębi duszy z całego serca pragnął być nim, Biblijnym Johnem.

Siedząc na ławce pomacał w kieszeni marynarki wycinki artykułów, które – jak zawsze – wyrwał z gazet, zanim je wyrzucił, z wyjątkiem tych sportowych, te bowiem zamierzał nosić pod pachą przez resztę dnia.

– *They are crazy*, Euri! Świat jest pełen szaleńców! – powiedział, zwracając się do suczki, która patrzyła na niego z powagą, przyznając mu rację. W oddali znowu zobaczył przechodzącą punkówkę. Założyła buty, ale ich nie zasznurowała. Ponownie zwrócił uwagę na torebkę i pod wpływem impulsu wyjął z portfela zdjęcie Clarissy O’Hagan. Patrzył na nie długo, zastanawiając się.

Z zamyślenia wyrwały go wesołe piski. Noah podniósł rękę, żeby pozdrowić Rafę, który machał za każdym razem, gdy obracający się zygzak przybliżał go do miejsca, gdzie czekali Noah i Euri. Chłopak doskonale się bawił: był już na wirującej karuzeli, na ośmiornicy, na szalonym robalu i na diabelskim młynie. Noaha wiele kosztowało przekonanie Ruffy, że będzie lepiej, jeśli on zaczeka tu na niego z suczką i będzie patrzył z dołu. Początkowo pomylił rozczarowanie chłopaka ze strachem przed samotną jazdą. Kiedy jednak zobaczył, jak Rafa macha do niego na każdym okrążeniu i gdy szli od jednej atrakcji do drugiej, próbuje opowiedzieć mu, co czuł podczas przejażdżki – uświadomił sobie, że ten chciał jedynie przeżywać to wszystko razem z nim.

Przyglądając się z boku przez dobre dziesięć minut i słuchając chóralnych pisków, Rafa nie odważył się wsiąść do statku pirackiego, który bujał się w przód

i w tył, sprawiając wrażenie, jakby chciał wyrzucić swoich pasażerów w powietrze. Nie poszedł też na autodrom, choć widząc błysk w jego oczach, Noah wiedział, że samochodziki mu się podobają; Rafa dotknął pogardliwie swojej prawej ręki i wymamrotał: „Nie mogę prowadzić”. Przechodząc obok stanowisk strzeleckich, chłopak przystanął, żeby popatrzeć na setki pluszaków zwisających z daszków i ze ścian. Uśmiechnął się, kiedy Noah go zapytał:

– Którego chcesz?

Rafa wskazał palcem w stronę daszku, gdzie wisiało wiele replik gigantycznego robota.

Noah podszedł do budki i zagadnął straganiarza:

– Ile strzałów za wielkiego robota?

– Nie wolisz Dogtania? – odpowiedział mężczyzna, zwracając się do chłopaka.

Rafa spojrział z rezerwą na pluszowego psa przebranego za muszkietera, wskazywanego przez mężczyznę, i przysunął się do Noaha, żeby tylko on mógł go słyszeć.

– To dla dzieci, ja wolę M-mazingera Z.

– Robot – odpowiedział stanowczo Noah, patrząc na straganiarza.

Zdał sobie sprawę, że mężczyzna przygląda się ogromnym workom, które utworzyły mu się pod oczami.

– Trzydzieści pięć patyczków – powiedział wyzywająco.

Noah wyjął pieniądze, zapłacił za kulki i zaczął czekać, aż mężczyzna ustawi patyczki. Straganiarz zaczął żałować, że nie zawołał sobie co najmniej dwudziestu patyczków więcej za zabawkę, kiedy Noah po kolei odrzucił trzy strzelby, jakie mu zaproponował, aż wreszcie zadowolili się następną.

– Chcesz strzelać? – zapytał Rafę.

Chłopak spojrział na niego zmieszany.

– Nie mogę – wyszeptał.

Noah strącał patyczki jeden po drugim. Rafa tak się cieszył z każdego trafienia, że kiedy zestrzelił dwudziesty, zebrało się wokół nich już kilkadziesiąt osób. Twarz straganiarza mówiła wszystko. Patrzył to na Noaha, to na wielką zabawkę, którą uznał już za straconą, i fukał oburzony po każdym trafieniu inspektora i każdym wybuchu radości chłopaka. Kiedy Noah strącił ostatni patyczek, rozległy się gromkie brawa otaczających ich osób, a straganiarz niemal wyrwał mu strzelbę z rąk, po czym drążkiem zdjął zabawkę i wręczył ją Rafie.

Noah był szczęśliwy, spacerując spokojnie i ciesząc się spojrzeniami i gratulacjami dla chłopaka, który z dumą nosił swojego robota, prawie tak dużego jak on sam.

– Kiedy są twoje urodziny, Rafa?

– Pie-pierwszego lu-lutego.

– A ile lat skończysz?

Nim odpowiedział, głośno zaczerpnął powietrza.

– Osiemnaście.

– Wiesz, że w przyszłym roku mógłbyś zrobić prawo jazdy, prawda?

Rafa przystanął i się odwrócił, tak żeby Noah widział jego twarz.

– Nie mogę pro-prowadzić zde-zderzającego się samochodu, t-to jak mam pro-prowadzić prawdziwy?

– Wiesz, czym jest pojazd przystosowany?

Rafa pokręcił głową.

– W Glasgow poznałem pewnego człowieka, który w wypadku stracił nogę i rękę. Zrobili mu samochód z ręcznym sprzęgłem, a dźwignię zmiany biegów miał przy kierownicy. Jeździł granatowym samochodem i woził nim całą swoją rodzinę.

Chłopak zaczerpnął głęboko powietrza, a potem odpowiedział bardzo powoli:

– Nigdy nie widziałem czegoś ta-takiego.

– Ale takie pojazdy istnieją, mechanicy przystosowują je do potrzeb każdej osoby.

Rafa milczał, wydawało się, że o tym myśli.

– Uwierz mi, będziesz jeździł wcześniej, niż ja nauczę się robić to porządnie po tym, jak przez całe życie prowadziłem lewą stroną. Wczoraj musiałem gdzieś pojechać samochodem mojego przyjaciela Mikela i dwa razy mało brakowało, żebym spowodował wypadek.

– Naprawdę? – zapytał Rafa rozbawiony.

– Przysięgam. Raz na moście i drugi raz, kiedy skręcałem na rondzie.

Chłopak zaśmiał się serdecznie, a Euri, zarażona jego radością, zaczęła podskakiwać, żeby go polizać.

– Bardzo ch-chciałbym prowadzić, jeździłbym dobrze – powiedział weselszym tonem.

– Rafa, wczoraj poznałem twoją mamę. Była bardzo zmartwiona. Powiedziałaś jej, że jesteś moim pomocnikiem, chociaż obiecałaś, że nie powiesz o tym nikomu.

– I nie powiedziałem nikomu... Ale to *ama*, nie wolno jej okłamywać.

Noah się uśmiechnął.

– Masz rację. I nie jestem o to zły. Ale twoja mama powiedziała mi, że nie chcesz chodzić do ośrodka na rehabilitację ani na lekcje.

Rafa spuścił głowę, by schować się częściowo za zabawką.

Noah przystanął, zmuszając go, by zrobił to samo.

– Rafa, spójrz na mnie. Dlaczego nie chcesz tam chodzić?

– Ludzie mó-mó-mówią, że to szkoła dla głupków – odparł, po czym dodał znacznie ciszej: – Ja nie jestem g-g-głupi.

– Wszyscy jesteśmy głupi, Rafa. Wcześniej widziałeś mnie w budce, jak dedykuję piosenkę kobiecie, która mi się podoba. Zapytałaś, dlaczego nie jest moją dziewczyną, a ja obiecałem, że ci to wyjaśnię. Wiesz, dlaczego nie jest moją dziewczyną? Bo czuję się głupi. Czuję się jak imbecyl, bo uważam, że nie jestem dla niej wystarczający, że nie sprostalbym zadaniu, nie byłbym dla niej dobrym chłopakiem ani dobrym mężem, nie mógłbym zrobić nic, czego się ode mnie oczekuje...

Rafa patrzył na niego uważnie szeroko otwartymi oczami.

– To nie-nieprawda, ty jesteś detektywem, łapiesz prze-przestępców, jesteś ważny...

– Może i tak, ale co z tego, skoro czuję się tak bezwartościowy, że to mnie paraliżuje?

– Nie lu-lubię, jak się ze mnie ś-ś-śmieją.

– I to świadczy o twojej głupocie, Rafa. Za każdym razem, kiedy przestajesz coś robić, oni wygrywają, oni mają rację.

Chłopak spuścił głowę, było widać, że jest zły. Euri kręciła się koło niego nerwowo, stając to z jednej, to z drugiej strony, świadoma panującego napięcia.

– Już zauważyłeś, że jestem chory. Mojej choroby nie da się wyleczyć, tak samo jak w twoim przypadku, ale różnica polega na tym, że mnie nie może się polepszyć. I uwierz mi, gdyby było jakieś miejsce, gdzie mógłbym pójść, coś, co mógłbym zrobić, gdyby ktoś mógł mi pomóc, nie przestałbym próbować.

Rafa podniósł głowę i na niego spojrzał. Noah dotknął jego ramienia, czując napięte pod koszulką mięśnie.

– Cały czas powtarzasz, że nie jesteś głupi, a jednak zachowujesz się, jakbyś taki był, skoro nie chcesz, by ci się poprawiło.

– Dobrze – powiedział chłopak.

– Dobrze?

– Pójdę do ośrodka.

– I?

– Na rehabilitację.

– Świetnie. Znasz szkołę jazdy Kart?

Rafa przytaknął.

– Wczoraj rozmawiałem z jej właścicielem. Powiedział, że mając siedemnaście i pół roku, możesz już przystąpić do egzaminu teoretycznego. Kiedy skończysz osiemnaście lat, będziesz mógł zdawać egzamin praktyczny swoim przystosowanym samochodem.

Rafa patrzył na niego z otwartymi ustami. Podniósł rękę, żeby wytrzeć ślinę.

– W przyszły poniedziałek, kiedy skończy się święto, pójdziemy cię zapisać. Dostaniesz podręczniki i od razu będziesz mógł zacząć się uczyć. Chcę, żebyś zdał za pierwszym podejściem, nie zamierzam wyrzucać pieniędzy w błoto. Czy wyraziłem się jasno?

Rafa przytaknął z uśmiechem.

– W zamian chcę, żebyś chodził na rehabilitację i żebyś we wrześniu zaczął naukę. Rozejrzemy się za samochodem i poszukamy mechanika, żeby go przystosował. Musimy się pospieszyć, bo nie zostało mi dużo czasu, nawet nie wiem, czy zdążę zobaczyć twoje postępy, więc będziesz musiał dać mi swoje słowo.

Rafa umieścił robota pod pachą i wyciągnął rękę.

– Daję słowo.

Wtedy Noah złamał zasadę szkockich mężczyzn w kwestii uścisków. I znowu się rozpadało.

Całe miasto opanowała atmosfera fiesty, ale w dzielnicy Siedmiu Ulic jeszcze mocniej rzucała się ona w oczy. Hałaśliwe grupy *comparseros*¹⁵ ubranych w kolorowe koszule tłoczyły się w barach. Lokal Maite nie był wyjątkiem, pękał w szwach tak bardzo, że mimo deszczu niektórzy pili na ulicy, tuż przy drzwiach, chowając się pod swoimi parasolami.

Noah zatrzymał się przy wejściu. Poprosił Rafę, żeby zaczekał tu na niego chwilę, a sam udał się do swojego pensjonatu. Nie umknęło jego uwadze wyrozumiałe spojrzenie, jakie posłał mu chłopak, prawdopodobnie o wiele bardziej niż sam Noah świadomy, jak wielkie wrażenie robi na nim Maite.

Wszedł do swojego pokoju w Gwieździe i spod stosu ubrań, które trzymał w przypominającej trumnę szafie, wyciągnął grubą kopertę z kopią ślubnego zdjęcia Maggie Davidson, młodej żony Johna Clyde'a. Obejrzał je pobieżnie w dniu, kiedy odebrał kopertę ze swojej skrzynki w Glasgow, i wtedy nie zobaczył nic, czego nie opisałby mu Gibson. Błada młoda dziewczyna, pozbawiona wdzięku,

z nadwagą i włosami sięgającymi za uszy, wciśnięta w tanią suknię ślubną. Powód, dla którego John wybrał ją na żonę, wciąż pozostawał zagadką.

Noah położył zdjęcie na łóżku, wyjął z portfela fotografię Clarissy O'Hagan i je porównał. Następnie spośród góry skarpetek wygrzebał mały czarny notes. Sprawdził nazwiska każdej z ofiar Biblijnego Johna między tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym a sześćdziesiątym dziewiątym rokiem oraz te z listy kobiet, które zagięły w ciągu ostatnich czternastu lat i które mogły pasować do tego samego profilu. Miał szczegółowy opis każdej z nich. Nie potrzebował jednak tych notatek, ponieważ wystarczyło, że ponownie przeczytał nazwiska kobiet, a wizerunki ich twarzy, w większości czarno-białe, wróciły do niego z taką mocą, jakby miał je tu przed sobą.

Dysponował ponadto szczegółowymi opisami ubrań, jakie miały na sobie w chwili zaginięcia, torebek, butów, biżuterii i ozdób, jeżeli takowe nosiły, makijaży oraz perfum. Pospiesznie kartkował strona po stronie, aż znalazł to, czego szukał. Myriam Joyce, dziewczyna, która zagięła na kampusie w Edynburgu i która okazała się wnuczką dobrodziejki uniwersytetu, tamtego dnia miała torebkę od Vivienne Westwood, czarną, prostą i drogą. Przeczytał opis: przekłuta trzema dużymi igłami imitującymi agrafki. W tym momencie Noah poczuł się tak, jakby w jakiś magiczny sposób został przeniesiony do tamtego małego pokoju bez okien w Harmony Cottage. Nieomal czuł na swoich dłoniach dotyk zardzewiałego suwaka, kiedy go rozsunął i zobaczył naszywkę z wielkim V, które było wówczas logo Westwood, oraz stare programy parafialne, które ciotka Johna tam schowała, kiedy nosiła tę torebkę. Cofnął się o dwie strony w notesie, aż znalazł nazwisko Clarissy, a także opis dwóch małych rubinowych kolczyków, które należały do jej nieżyjącej matki i które niczym dwie krople krwi lśniły w uszach żony Johna na ślubnej fotografii.

Mało brakowało, by przed barem Maite zderzył się z młodą kobietą.

– Pan Scott Sherrington – przywitała się.

Pod parasolem, ubrana w długą koszulę, rude włosy rozpuszczone i pofalowane z powodu wilgoci – Noah potrzebował dłuższej chwili, żeby rozpoznać doktorkę Elizondo. W tym momencie się zorientował, że nie zna jej imienia. Oderwała się od grupy, z którą piła, i podeszła do Noaha, niemal go dotykając.

– Nie przyszedłeś dziś na wizytę.

– Przez cały dzień dziwnie się czułem – usprawiedliwił się.

– Dziwnie czy źle?

– Chyba i tak, i tak. Przedtem doskonale to rozróżniałem, ale po tym, co mnie spotkało, trudno mi odróżnić przecucie od ataku serca – przyznał. – Wstałem o piątej i ubrałem się, żeby pójść na wizytę, ale nie dałem rady wejść po schodach. Przypuszczam, że wszyscy mają z tym trudności, biorąc pod uwagę ich stan. Zastanawiam się, jak tobie udaje się schodzić. Nie boisz się?

Kobieta słuchała go w skupieniu. Nagle powiedziała:

– Proszę, chodź ze mną na chwilę.

Noah dał znać Rafie, żeby zaczekał, i ruszył za doktorką w stronę wejścia do pensjonatu Gwiazda. Kobieta otworzyła drzwi kluczem, weszła do westybulu i włączyła światło.

– Och, widzę, że już naprawili, prawie przywykłem do wchodzenia po ciemku.

Elizondo poszła dalej i stanęła przy owalnej przestrzeni na środku klatki schodowej.

– Stań obok mnie – poprosiła.

Kiedy to zrobił, zapytała:

– Powiedz mi, Noah, widzisz, że schody są nachylone?

Podniósł głowę i zobaczył, że poręcz rozciąga się po idealnej elipsie aż na wyższe piętra, oświetlone tak samo jak parter. Niedowierzając, wszedł razem z doktorką na pierwsze piętro i znowu sprawdził poręcz. Schody nosiły ślady użytkowania typowe dla starego budynku, ale nic ponadto. Były idealnie poziome.

Kiedy ponownie znalazł się przed barem, gwar śmiechów i rozmów przedzierał się przez grającą w tle muzykę. Z Euri i Rafą u boku, Noah zatrzymał się na chwilę przed wejściem, popatrując na klientów siedzących w środku i szukając Maite. Miała na sobie niebieską sukienkę, a sięgające ramion włosy skręciły się jej w grube loki, najpewniej z powodu wilgoci. Śmiała się z czegoś, co powiedział jeden z klientów. Kolejny raz wydała mu się śliczna. Westchnął i głęboko zaczerpnął powietrza, starając się opanować to nowe wrażenie, że pędzi w dół bardzo stromego zbocza, siedząc w kolejce górskiej. Zastanawiał się, do jakiego stopnia to wszystko jest prawdziwe, do jakiego stopnia to tylko iluzja, tak jak schody, które niechybnie wciągnęłyby go w otchłań. Rozmowa z doktorką Elizondo go zaniepokoiła.

– Mamy tu dwa aspekty, Noah. Psychiatryczny mówi o schodach, które dla ciebie są poszukiwaniem odpowiedzi na pytanie, co spowodowało cię do mojego gabinetu. Myślę, że jesteś już bardzo blisko odpowiedzi; wydaje mi się nawet, że już ją znasz, musisz tylko ją zwerbalizować. Ale cokolwiek trzymasz w środku, wywołuje to w tobie taki strach jak ta otchłań, która cię pochłonie, jeśli wpadniesz w otwór między schodami.

Pokręcił głową zdumiony.

– Naprawdę widziałem, że były nachylone.

– Wierzę ci. Odpowiedź znajduje się w tobie, projektujesz swój strach na sesje ze mną, bo wiesz, że jesteś już bardzo blisko. Z jakiegoś powodu dziś jest ten dzień, coś ruszyło się wokół ciebie i sprawiło, że dziś o tym mówisz. W miarę, jak przybliżałeś się do tego, co cię przeraża, twój mózg tworzył poczucie, że runiesz w otchłań, a dziś stało się ono tak intensywne, że cię sparaliżowało. Jutro chcę cię widzieć w swoim gabinecie; jeśli o piątej cię nie będzie, przyjdę po ciebie do pensjonatu. Chcę, żebyś o tym pomyślał, Noah: Co się dzieje? Co się dziś zmieniło?

Chciałby być szczery.

Dziś umrę.

Zamiast tego zapytał o drugi możliwy aspekt swojego przypadku. I chociaż doktorka zasugerowała, że może wynika to z zaburzenia równowagi chemicznej w mózgu, Noah wiedział, że powiedziała to tylko po to, by opanować jego niepokój, gdy przekonał się, że ze schodami jest wszystko w porządku. Po części miał świadomość, że jego dyskomfort wynikał również z tego, że obiecał doktorce, iż pójdzie do szpitala, podczas gdy już dawno postanowił, że w żadnym wypadku tego nie zrobi. Nie miał czasu, musiał się zająć zbyt wieloma rzeczami.

Kiedy wyszli na zewnątrz, Noah zatrzymał ją jeszcze na chwilę.

– Chcę zadać ci pytanie na temat pacjenta enigmy.

Lekarka kiwnęła głową w ramach zachęty.

– Podejrzewam, że rzeczy należące do ofiar dawał kobietom ze swojej rodziny. Myślę, że kazał im je nosić.

– Uważasz, że one wiedziały, skąd pochodzą te rzeczy?

Pomyślał o zdjęciu młodej żony Johna Clyde'a, która w dniu ślubu miała w uszach kolczyki matki Clarissy, czy o tamtej torebce, którą jego mama lub jedna z ciotek nosiła na parafialne spotkania.

– Nie, nie wydaje mi się.

Elizondo spojrzała na niego uważnie.

– Widziałeś *Psychozę*, film Hitchcocka?

– Oczywiście.

– No więc peruka Batesa jest w nim kluczowa. Norman Bates był spokojnym facetem, a nawet dobrym człowiekiem, ale kiedy popełniał zbrodnie, wkładał rzeczy swojej matki. W ten sposób pokazywał, do jakiego stopnia miała nad nim kontrolę i jak podle go traktowała. Dlatego ważne jest to, czy one wiedziały, skąd pochodzą te rzeczy. Jeśli tak było, to by oznaczało, że nasz pacjent enigma zabija dla nich, a przekazanie im rzeczy zamordowanych jest czymś w rodzaju ofiary. Ale jeżeli robi odwrotnie niż Norman Bates i ubrania ofiar każe nosić kobietom ze swojej rodziny, a one nie znają ich pochodzenia, wtedy sprawa jest jasna:

projektuje na nie swoje morderstwa. To je tak naprawdę chce zabić, co pokazuje, zmuszając te kobiety do noszenia rzeczy swoich ofiar.

Noah zatrzymał się przy wejściu do baru. Myśli w jego głowie mieszały się bezładnie. Ofiary Johna Clyde'a, jego rodzina, zaginione dziewczyny z Bilbao, przyjaciółka Begoñi, która miała okres... Zobaczył samego siebie, jak tkwi w drzwiach baru Maite, próbując myśleć o czymkolwiek, byle tylko nie mierzyć się z ogromnym niepokojem, nerwami, nieporadnością i niesamowitym szczęściem, jakie odczuwał za każdym razem, gdy ją widział. Zawsze sądził, że motyle w brzuchu to metafora. Nigdy w życiu nie czuł się tak oszołomiony. Przez głowę przemknęła mu nawet myśl, żeby sobie pójść, ale wtedy Rafa popchnął go delikatnie.

– Wchodzimy?

Noah zrobił krok do środka, próbując opanować lekkie drżenie rąk. Zobaczył Irlandczyków, hałaśliwych i podpitych, na stałym miejscu przy drzwiach, a także Lizarso, który na drugim końcu baru podnosił rękę, by zwrócić na siebie uwagę. Wtedy Maite spojrzała w stronę wejścia. Kiedy ich oczy się spotkały, najpierw miała bardzo poważną minę, a później, bardzo powoli, na jej twarzy wykwitł szeroki uśmiech. W tym momencie Noah Scott Sherrington poczuł się tak szczęśliwy jak jeszcze nigdy w życiu. Kiedy szedł w głąb lokalu, zauważył, że mała świeczka na powrót płonęła u stóp Dziewicy Begoña.

Lizarso był w euforii, nie ulegało wątpliwości, że ma nowe wieści. Noah spostrzegł, że z trudem mógł się powstrzymać, kiedy Maite stawiała przed nimi dwa piwa i napój orzeźwiający dla Raby. Zaczekał, aż kobieta odejdzie, i nachylił się, żeby Noah mógł go słyszeć.

– Dzisiaj przyjęto zgłoszenie w sprawie drugiej dziewczyny, która była w dyskotecie Arizona i nie wróciła do domu. Na szczęście zawiadomienie trafiło do *Ertzaintzy*. Razem mamy już trzy oficjalnie zaginione kobiety.

Scott Sherrington wypuścił powietrze z płuc. Znowu to przecucie.

Lizarso ciągnął:

– Nazywa się Alicia Aguirre, dwadzieścia osiem lat, zamężna. Ale nie przyszła tam z mężem, to był babski wieczór, świętowały urodziny. Jedna z przyjaciółek potwierdza, że Alicia miała okres, kiedy zaginęła. Mało brakowało, by nie przyszła, ale wzięła środek przeciwbólowy i poczuła się lepiej.

Noah podniósł głowę, żeby popatrzeć mu w oczy. Lizarso ponaglił go gestem, by znowu się przysunął.

– Dziewczyna, która obchodziła urodziny, dostała od nich w prezencie polaroida i zrobiła wiele zdjęć w dyskotecce – powiedział, wyjmując z wewnętrznej kieszeni kurtki fotografię.

Noah i Rafa nachylili się, żeby ją obejrzeć. Zdjęcie było ciemne, nadmiar światła padającego z boku oświetlił je nierównomiernie. Znajdowała się na nim grupa dziesięciu kobiet w wieku między dwudziestym piątym a trzydziestym piątym rokiem życia, uśmiechających się do aparatu. Fotografia została zrobiona przy barze, a biorąc pod uwagę kąt, możliwe, że pstryknął ją barman zza kontuaru.

– Przyjrzyj się ludziom z tyłu.

Było widać głowy jakiejś przechodzącej grupki oraz samotnego mężczyznę, który patrzył w stronę dziewczyn.

– Myślę, że to on – powiedział Lizarso.

Noah spojrzał krótko na policjanta, a potem znowu na fotografię.

– Możliwe...

– Mo-możliwe też, że ten drugi – wtrącił Rafa. – Ten, który jest po-podobny...

Obaj mężczyźni odwrócili głowy, by na niego spojrzeć.

– Dobre oko – pochwalił go Noah.

– Tak, dobre oko – przyznał Lizarso. – Tylko że nie wiemy, czy Collin był w Bilbao w tym dniu, kiedy zrobiono to zdjęcie. Jak ci mówiłem, pojawił się dzień po twoim przyjeździe, czyli tydzień po przybyciu Murraya. Oczywiście mógł tu być kilka dni wcześniej. Wspominałem ci, że jeszcze nie wiemy, jak przekroczył granicę. Rozmawialiśmy z przyjaciółkami dziewczyny. Niektóre pamiętały, że

widziały, jak rozmawiała z jakimś facetem, ale jak zwykle podały tylko ogólne, a nawet sprzeczne opisy. Kiedy je zapytałem, czy mógł to być mężczyzna z tego zdjęcia, powiedziały, że tak, że nie i że nie są pewne. Wszystkie natomiast zgadzały się co do tego, że wypily sporo alkoholu. Ale nie to jest najciekawsze na tym zdjęciu. Popatrzcie jeszcze raz.

Noah przyjrzał się uważnie profilom osób, które przechodziły za dziewczynami. Jeden z mężczyzn wydał mu się dziwnie znajomy.

– Czy to...?

– Kintxo – powiedział Rafa.

Lizarso potwierdził powolnym ruchem głowy.

– Ale to nie wszystko. Dziś po południu, kiedy wy bawiliście się w najlepsze w wesołym miasteczku, ja poszedłem odwiedzić twojego przyjaciela, kioskarza z Gran Vía. Zapytałem go, kto kupuje szkockie gazety. Podał mi charakterystykę, która pasuje do ciebie, a także rysopisy jeszcze dwóch facetów, jednym z nich mógłby być Murray, a jeśli chodzi o drugiego, podał mi jego nazwisko, bo zna go z Siedmiu Ulic: Joaquín Orueta, alias Kintxo. Sprzedawca mówi, że zwrócił jego uwagę, bo przyszedł zaraz po odejściu tego pierwszego faceta i poprosił, żeby dał mu te same gazety, które kupił tamten.

Noah uśmiechnął się, zaskoczony.

– W połączeniu z tym, co powiedział w rozmowie z Maite, potwierdza to, że Kintxo śledzi Murraya.

Lizarso zobaczył, że Maite jest w pobliżu, i zamilkł, aż kobieta znowu odeszła nieco dalej.

– Nie wiem, kto kogo śledzi. Przeświatliłem życie rodziców Kintxo w Wielkiej Brytanii. Zanim przeprowadzili się do Edynburga, przez jakiś czas mieszkali w Aberdeen, jego ojciec pracował na platformie wiertniczej i zgadnij co...

Noah odpowiedział:

– Kintxo pracował na tej samej platformie w Aberdeen.

– Tak.

– Brakuje tylko, żeby studiował na Uniwersytecie Edynburskim.

Lizarso się uśmiechnął.

– Nie, nie zdał egzaminów wstępnych.

Młody policjant wstał, widząc, że Irlandczycy szykują się do wyjścia z baru, krzycząc i robiąc zamieszanie.

– Nie sądzę, by dziś długo wytrzymali, wcześniej zaczęli – powiedział, wskazując podbródkiem na hałaśliwą grupę.

Noah wyjął banknot i podniósł go, przywołując Maite. Kobieta podeszła do wieży stereo, wzięła kasetę, a następnie położyła ją na ladzie, tak żeby mógł ją zobaczyć. Na okładce *Human Racing* Nik Kershaw, z nieco przekrzywioną głową, patrzył na wprost spod swoich ciemnych brwi. Noah słyszał o piosenkach zakochanych, które dzieliły ze sobą niektóre pary, o piosenkach o złamanym sercu, z którymi inni identyfikowali się tak bardzo, że odnosiło się wrażenie, jakby zostały napisane ich własnymi łzami. Odkąd pierwszy raz usłyszał ten utwór, zastanawiał się, jak to możliwe, że młody Nik był w stanie zagłębić się w ten cały zamęt, w cały smutek, w pytania, pragnienia i rozpacz człowieka u kresu życia, dla którego nie ma już ratunku.

Maite uśmiechnęła się nieśmiało.

– Bardzo mi się spodobała ta piosenka. I dedykacja.

Nie odpowiedział, tylko patrzył na nią w milczeniu. Czuł, że zaczyna się trząść, i modlił się, by tego nie zauważyła.

– Nie znałam Nika Kershawa, ale po wysłuchaniu twojej piosenki posłałam Begoñę, żeby kupiła mi jego kasetę. Ja nie rozumiem ani słowa, ale Bego mówi po angielsku, chodziła do dobrej podstawówki i od małego ćwiczyła z ojcem. Przetłumaczyła mi jej tekst; jest trochę dziwna... Nie wiem, czy w ogóle jest romantyczna...

Noah przytaknął, nie wiedząc, co powiedzieć. Był zdenerwowany, a także zawstydzony obecnością Rify i Lizarso, którzy przysłuchiwali się każdemu ich

słowu. Czuł, że trzęsą mu się nogi, a pustka w żołądku robiła się coraz większa, jakby w każdej chwili miał zemdleć.

– Byłoby dobrze, gdybyśmy porozmawiali – powiedziała Maite.

Wouldn't it be good, pomyślał Noah, ale tego nie powiedział.

– Teraz muszę już iść... – zdołał wyduśić niezdarnie i od razu zrobiło mu się głupio.

Ona się uśmiechnęła.

– Nie mówię, że w tej chwili, ja też muszę pracować. Ale później...

– Maite, nie mogę, przysięgam, że gdyby to było coś innego, dałbym sobie spokój, ale dzisiejsza noc jest bardzo ważna... Ta praca...

– Mikel wszystko mi wyjaśnił.

Noah rzucił szybkie spojrzenie na Lizarso, zastanawiając się, co takiego powiedział Maite. Ale ona zaraz mu wytłumaczyła:

– Że musisz porozmawiać z tymi piłkarzami, młodymi chłopakami, którzy szlajają się po dyskotekach. Ja to rozumiem, normalna sprawa... Na pokaz sztucznych ogni pójdę z koleżankami, a później pokręcimy się tu i tam, około trzeciej będę w kawiarni Brasil, niedaleko Arenal...

Noah nie krył przygnębienia.

– Maite... Nie wiem, czy zdołam tam dotrzeć.

– Przyjdzie – wtrącił Lizarso. – Będzie tam. Punktualnie. Ja mogę się zająć pracą.

Ledwie wyszli z baru, Mikel zaczął się zanosić śmiechem, Rafa mu wtórował, a Euri skakała wokół nich.

– Co za romeo! Dedykuje piosenki w radiu!

– Przy-przyłapałem go w bu-budce na ulicy Correo – powiedział Rafa.

Lizarso spojrzał na niego, udając oburzenie.

– Żeby przyjaciel Mikel się nie dowiedział, co? I kim, do cholery, jest Nik Kershaw?

– Wychodzi na to, że facetem, którego potrzebowałem – odpowiedział Noah, rozkładając parasol. – Ale zdaje się, że tobie też coś zawdzięczam. Kiedy z nią rozmawiałeś?

– Cóż, widziałem jej minę tamtego dnia, kiedy wspomniałem, że idziemy do dyskotek. Wyjaśniłem jej, że twoja praca polega na spotykaniu się z młodymi piłkarzami bez wiedzy klubu.

– Nie cierpię jej okłamywać – rzucił przygnębiony Noah.

– To powiedz jej prawdę.

– Nie mogę – westchnął.

– Jeśli myślisz o niej poważnie, będziesz musiał to zrobić. A wygląda na to, że nie da ci innej opcji. Ona nie ustąpi, Noah – powiedział z uśmiechem Mikel.

Ale jemu nie było do śmiechu. Zdawał sobie sprawę z tego, co się dzieje. Bardzo łatwo ulec złudzeniu, że wszystko się dobrze ułoży, dać się ponieść nadziei. Lecz dla niego nie było nadziei.

Na placu Unamuno zobaczyli, że grupa Irlandczyków kieruje się na ścieżkę słoni.

Noah spojrział na zegarek.

– Rafa, chyba czas, żebyś wracał do domu, twoja mama na pewno zaczyna się już martwić.

Na pożegnanie Rafa podał rękę Lizarso, ale kiedy nadeszła kolej Noaha, rozpostarł ramiona i objął go niezdarnie.

Zatrzymali się przy schodach Mallona. Kiedy patrzyli, jak chłopak i jego suczka wspinają się po przyklejonych do ścian stopniach w stronę przejścia do budynków, Lizarso skomentował:

– Proszę, proszę, panie Scott Sherrington, wygląda na to, że robi pan duże postępy w relacjach międzyludzkich.

Uśmiech, który zaczął się zarysowywać na twarzy Noaha, zniknął, kiedy usłyszał szczekanie Euri i zobaczył, że grupa wyrostków – tych samych, którzy wcześniej dokuczali Rafie – wychodzi mu na spotkanie z alejki. Zaalarmowany

Lizarso odwrócił się w tej samej chwili, kiedy jeden z chłopaków wyrywał z rąk Rasy zabawkę i zaczął nią potrząsać. Euri szczełała jak szalona, poruszając się do przodu i do tyłu w pobliżu Rasy, nie pozwalając, by pozostali do niego podeszli.

Noah ruszył na schody, a *ertzaina* pobiegł za nim. W odróżnieniu od płaskich stopni prowadzących do starego cmentarza i do sanktuarium Begoña – w tej części schody miały tak szerokie i wysokie stopnie, jakby zostały wykute w zboczu. Noah przewrócił się po dotarciu do piątego. Lizarso, który zdążył go wyprzedzić, odwrócił się na chwilę, nie wiedząc, czy pomagać Rasi, czy swojemu przyjacielowi. Dysząc, Noah podniósł rękę, by mu pokazać, żeby biegł dalej. Zajęci dręczeniem Rasy, chłopcy nawet nie zauważyli jego przybycia. Lizarso rozpostarł ramiona, odcinając im drogę ucieczki i wpychając ich do alejki. Jednocześnie zawołał do Rasy, żeby zawrócił i sprawdził, co z Noahem.

A jemu brakowało tchu. Czuł, że serce wali mu szaleńczo, choć regularnie, niczym bęben na galerach w trakcie bitwy. Przekręcił się, aż zdołał usiąść na mokrej nawierzchni, i zaczerpnął głęboko świeżego, wilgotnego miejskiego powietrza, oczywiście z metaliczną nutką i sadzą. Zasłonił twarz dłońmi, naciskając na oczy, żeby powstrzymać płacz, który niczym powódź zalewał go od środka. Trwał tak przez minutę, udając, że skupia się na oddechu, niezdolny odpowiedzieć na pytanie chłopaka, przekonany, że jeśli wypowie choć jedno słowo, wybuchnie szlochem i już nigdy nie przestanie płakać. Euri, obdarzona instynktem – jak mówiła Iciar – rozpoznawania kiełkującego lęku, usiadła obok i przycisnęła do niego swoje drobne, kędzierzawe ciało. On nadal dyszał, lecz jego wysiłki nie miały na celu napełnienia płuc tlenem, tylko uspokojenie, powstrzymanie, zmiążdżenie niepokoju, który narastał w jego klatce piersiowej jak kula z pakuł i gorąca smoła. Umierał. I jak każde umierające zwierzę pomyślał o powrocie do domu, o znalezieniu sobie spokojnego miejsca, o zaprzestaniu walki. Ta myśl okazała się kojącym balsamem. Udało mu się uspokoić oddech. Pomału odsunął dłonie od twarzy, a wtedy Euri skorzystała z okazji, by go polizać. Patrzył, jak Raza schodzi po parasol, który potoczył się na sam początek schodów, a następnie wraca do niego, by go osłonić.

Lizarso dołączył do nich po chwili. Pod pachą niósł zabawkę. Oddał ją chłopakowi i zaniepokojony zwrócił się do Noaha:

– Jak się czujesz?

– To nic takiego, złapał mnie skurcz w nogach, przytrafia mi się to codziennie. Przejdzie, jak coś zjem.

Mikel patrzył na niego podejrzliwie, ale nic nie powiedział, żeby jeszcze bardziej nie martwić Rafe.

– Nie będą ci już więcej dokuczać – oznajmił, zwracając się do chłopaka. Ewidentnie próbował odciągnąć jego uwagę od bladej twarzy Noaha. – Kiedy pokazałem im odznakę, narobili w gacie.

Rafa uśmiechnął się rozbawiony, a Lizarso ciągnął:

– Szkoda, że nie widziałeś, jak się trzęśli! Dwóch nawet się rozbeczało. Spisałem ich nazwiska i adresy i ostrzegłem, że codziennie będę cię pytał, czy cię zaczepiali, a jeśli zrobią to znowu, przyjedzie po nich radiowóz *Ertzaintzy*.

Rafa nagle spoważniał.

– Zrobisz to? Zatrzymasz ich, jeśli będą mi dokuczać?

Mikel wyjął z kieszeni wizytówkę i mu ją podał.

– Daję ci moje słowo. Jeśli ktoś będzie ci dokuczał, możesz do mnie zadzwonić.

Wciąż dysząc, Noah wyciągnął rękę w stronę policjanta, żeby ten pomógł mu się podnieść.

– Nie sądzisz, że powinieneś jeszcze trochę zaczekać? – zapytał Lizarso.

Noah wstał i otrzepał spodnie.

– Nic mi nie jest. Ale muszę wrócić do Gwiazdy i się przebrać.

Gdy przysiągł Rafie, że czuje się dobrze, chłopak zgodził się wreszcie wrócić do domu. Zaczekali, aż wszedł do budynku. Wtedy Noah stwierdził:

– Dobrze to załatwiłeś.

– To nic takiego – odpowiedział Mikel, odwracając się w stronę ulicy Tendería.

– Choć niewykluczone, że zrobią swoją zwyczajową rundę, powinieneś pójść za Irlandczykami. Ja niedługo do ciebie dołączę.

Ertzaina był stanowczy.

– Nie ma mowy! Chrzańć Irlandczyków! Przebierzesz się i idziemy na kolację.

Wolałby zostać sam. Kiedy wrócił do swojego pokoju, skurcze nie ustępowały, a nogi bolały go tak, że prawie nie mógł chodzić. Wziął dwa diuretyki, popijając je łykiem wyciągu z naparstnicy, i zmienił spodnie na suche. Jego pragnienie samotności wiązało się nie tyle z tym, że Lizarso zobaczył go w chwili wielkiego osłabienia, ile z palącą potrzebą płaczu, zalania się łzami. Nie mógł dalej okłamywać samego siebie – i nie chciał dalej okłamywać ich. Przez cały dzień czuł się jak gówno, sprawy toczyły się szybko, a w jego klatce piersiowej rosło pewne odczucie, coś na kształt rozpacz, jakiej nie doświadczył do tej pory, jaka nie była częścią etapów opisanych w procesie żałoby, w procesie umierania. W żadnej z książek traktujących o śmierci nie wyczytał nic o momencie, w którym należy płakać po samym sobie z głębokim, szczerym żalem, z całą trwogą po stracie, z całą goryczą świadomości, że nie można już cofnąć czasu. Chciał tylko płakać, opłakiwać samego siebie i swoje zmarnowane życie, opłakiwać dzieci, których nie będzie miał, dotyk skóry Maite, wszystkie pocałunki, które zachowywał i które – teraz już to wiedział – były przeznaczone dla niej i dla nikogo innego. Umierał i chciał to zrobić w samotności.

Kiedy już się przebrał, wyszedł z pensjonatu. Rzucił ostatnie spojrzenie na puste łóżko i okno, które zostawił otwarte, żeby przewietrzyć pokój. Tak samo jak w dniu, gdy opuścił swoje mieszkanie przy Earl Street w Glasgow. Dziś miał pewność, że gdyby nie było z nim Lizarso, śmierć zastałaby go tutaj. Jedyna różnica polegała na tym, że teraz by na nią czekał.

Ale Lizarso był. Niekiedy potrzebujemy czegoś namacalnego, musimy zobaczyć, żeby uwierzyć bez żadnych wątpliwości, a dla Lizarso był to ten moment, kiedy ujrzał, jak Noah pada na ziemię. Nie potknął się, nie poślizgnął, runął niczym wieża trafiona przez piorun, przez pewny i śmiertelny strzał. Cały

optymizm, jakim emanował, kiedy wyszli z baru, runął tak samo gwałtownie jak Noah na tamtych schodach. Nie musiał mówić ani słowa, Noah był pewien, że jego upór, by mu towarzyszyć, by nie zostawiać go samego, wiązał się z tym, że młody policjant w jakiś sposób również przeczuwał, jaki los czeka starszego kolegę tej nocy.

Zamówili krokiety z dorsza, faszerowane kalmary w atramencie, a nawet wino Paternina Banda Azul. Noah z trudem przełknął parę kęsów, chociaż musiał przyznać, że gdy tylko ciepłe jedzenie dotarło do żołądka, od razu poczuł się lepiej. Wznieśli toast. Nie rozmawiali jednak wiele. Kiedy dwaj mężczyźni się przyjaźnią – podobnie jak wtedy, gdy dwie osoby się kochają – mogą siedzieć razem w milczeniu bez najmniejszego skrępowania. A może wynikało to z tego, że obaj przeczuwali, iż tej nocy ważny jest tylko jeden temat, jedna sprawa, ale o tym nie chcieli rozmawiać.

Już z nieco bardziej rumianymi policzkami Noah wyszedł na ulicę, zacisnął powieki i gdy tylko poczuł na twarzy krople wody, natychmiast rozłożył parasol. Połowę grupy Irlandczyków znaleźli w barze Guria. Dziś byli bardziej pijani niż zazwyczaj. Michael i Cillian zwany „Ciemnym” ulotnili się przed północą, zaś Murray i Collin wrócili do hostelu Toki-Ona o pierwszej. Noah i Mikel schowali się w westybulu Gwiazdy i czekali.

Kwadrans później Murray wyszedł ponownie. Przez dłuższą chwilę jechał w deszczu bez konkretnego celu, zwalniał przed dyskotekami, lecz nie przystawał. Lizarso trzymał się w pewnej odległości, dziś miał żółte renault pięć, o którym można było powiedzieć wszystko, tylko nie to, że jest dyskretne. Kiedy drugi raz przejeżdżali obok Holiday, *ertzaina* zjechał na bok i zgasił silnik.

– Jestem pewien, że tu przyjedzie, tylko kręci się w kółko dla zmyłki. Tak jakby chciał sprawdzić, czy nikt go nie śledzi – zauważył Lizarso.

– Myślisz, że nas zauważył?

– Nas nie, Collina też nie, ale Kintxo nie jest zbyt dyskretny. Nie sądzę też, by akurat nim się zbyt przejmował. To tylko ostrożność.

Pięć minut później John Murray minął ich i zaparkował cztery miejsca dalej. Obserwując go ze środka samochodu, dali mu czas, żeby podszedł do kasy, kupił bilet i wszedł do lokalu.

Tej nocy John Murray nie tracił ani chwili. Krótco po wejściu zwrócił uwagę na dwie dziewczyny. Mikel i Noah zauważyli, jak podąża za nimi w pewnej odległości, udając, że tylko się przechadza albo obserwuje tańczących na parkiecie. Przyjaciółki były same, musiały mieć po około trzydzieści lat i dało się dostrzec między nimi zasadniczą różnicę. Jedna miała na sobie minispódniczkę, obcisły top i szpilki, a druga dzinsy, bluzkę i dłuższy sweter. Wyglądało to jak spotkanie dwóch kobiet, może koleżanek z pracy, które chciały gdzieś wyjść, ale nie miały żadnego planu ze swoimi stałymi grupami znajomych. Chwilę potańczyły i ta w minispódniczce zaraz zaczęła flirtować z mężczyzną, który tańczył w pobliżu i nie spuszczał z niej oka. Ta druga powoli się wycofywała, aż wreszcie zeszła z parkietu. Nie minęły nawet dwie minuty, a John już podszedł, by z nią porozmawiać. Noah zauważył, że stoi w pewnej odległości, nie chcąc naruszać jej przestrzeni. Z szacunkiem. Robił krok do przodu, żeby szepnąć jej coś na ucho, ale potem się cofał, uśmiechał i pozwalał, żeby to ona przysunęła się i odpowiedziała. Dżentelmen w każdym calu. W końcu ruszyli w stronę baru. John zlokalizował stółek dla dziewczyny, która podziękowała mu, nie przestając się uśmiechać, zamówił dwa drinki i zapłacił dużym banknotem. Przez pierwsze pół godziny słuchał jej uważnie, to raczej ona prowadziła rozmowę, ale i tak wyglądała na zachwyconą. W pewnym momencie jej przyjaciółka pojawiła się z facetem, którego poznała na parkiecie. Powiedziała coś koleżance, po czym para ruszyła w stronę strefy z sofami. John zamówił drugą kolejkę i znowu wyjął duży banknot. Po upływie kilku minut przeprosił dziewczynę i poszedł do toalety.

– Idę za nim – powiedział Lizarso. – Ty pilnuj dziewczyny.

Noah zauważył, że wielu mężczyzn przyglądało jej się w czasie, gdy siedziała sama. Ale drugi kieliszek stojący obok musiał zniechęcić podrywaczy.

Lizarso wrócił po chwili z mokrymi od deszczu włosami i ubraniem.

– Zrobi to dziś – oznajmił z przekonaniem.

Noah zaczerpnął głęboko powietrza. Tak, wiedział, że to było to; przez cały dzień nie opuszczało go przecucie, że niedługo coś się stanie.

– Nie poszedł do łazienki, tylko wyszedł na zewnątrz. I wiesz, co zrobił? Przetawiał samochód. Spod samych drzwi dyskoteki w ciemne i spokojne miejsce trzy ulice dalej. Nie chce, by ktokolwiek pamiętał, że ta dziewczyna wsiadła do samochodu. Teraz, owszem, jest w łazience, pewnie się suszy. Nie miał parasola, a nie może wrócić mokry bez dobrego wyjaśnienia.

Odwróciwszy się w stronę baru, zobaczyli Kintxo, który nagle się skądś wyłonił i stał teraz koło dziewczyny. Zapytał ją o coś; początkowo odpowiedziała mu uprzejmie, rozmawiali przyjaźnie, ale on naciskał, a jej ewidentnie się to nie podobało. Uśmiech zniknął z twarzy dziewczyny, a jej odpowiedzi stały się ostre. Kintxo parę razy wskazał gestem jakieś miejsce na sali, może toalety. Wyraźnie zobaczyli, jak ona kręci głową. Potem z ulgą spojrzała ponad ramieniem Kintxo. John Murray wracał do baru. Wtedy wydarzyło się coś absolutnie niespodziewanego. Kintxo złapał dziewczynę za ramię i ściągnął ją ze stołka, na którym siedziała. Ona uwolniła się z jego uścisku, odpychając go i krzycząc. Mimo muzyki dało się słyszeć, jak woła: „Daj mi spokój!”. Siedząca najbliżej grupa pijących chłopaków i dziewczyn natychmiast otoczyła Kintxo, jeden z barmanów wybiegł z za kontuaru i ruszył w jego stronę, a bramkarze rzucili się, aby zdusić awanturę w zarodku.

Noah odszukał Johna pośród tłumu. Ten zatrzymał się w połowie drogi i spokojnie, niczym postronny widz, obserwował rozwój wypadków między Kintxo a dziewczyną. Wtedy musiał coś zauważyć, bo odwrócił głowę w kierunku Noaha, jakby ktoś go zawołał. Noah nigdy nie będzie wiedział ze stuprocentową pewnością, czy ich spojrzenia się zetknęły. Światła w sali zaczęły bardzo szybko przygasać, obraz się rozmył i Noah Scott Sherrington padł na podłogę.

¹⁵ *Comparseros* (hiszp.) – członkowie grup zwanych *comparsas*, które odpowiadają za organizację i koordynację różnych wydarzeń podczas święta Aste Nagusia. *Comparsas* działają także w innych regionach Hiszpanii i w Ameryce Łacińskiej; grupy te skupiają muzyków, piosenkarzy i tancerzy, którzy występują podczas karnawału i różnych lokalnych świąt.

Kintxo

Kintxo przyszedł do Holiday sam, ale nie miał ochoty na zabawę. W ciągu ostatnich dni jego umysł zaprzętała tylko jedna myśl. Dziewczyny. W tylnej kieszeni spodni miał wiele starannie złożonych wycinków z gazet. Nie było tam miejsca na nic innego.

Od dłuższej chwili obserwował tę parę. I gdy tylko zobaczył, że facet odchodzi, podszedł do kobiety. Był ogromnie zdenerwowany, ale próbował się uśmiechać.

– Cześć.

– Cześć – odpowiedziała.

– Widziałem, jak rozmawiałaś z tamtym facetem.

Uśmiechnęła się.

– Tak, jestem z nim.

– To twój chłopak?

Znowu się uśmiechnęła, zadowolona.

– Nie, poznałam go niedawno.

Kintxo rozejrzał się niespokojnie. Miał nadzieję skończyć, zanim tamten wróci.

– Widziałem, jak rozmawialiście, i jego twarz wydała mi się znajoma. Jak się nazywa?

– John, jest Anglikiem.

– John Murray?

– Nie podał mi nazwiska. Ale możesz tu zaczekać i sam go zapytasz, zaraz wróci. Poszedł tylko do łazienki. Pewnie jest kolejka, jak zawsze.

– Poprosił cię, żebyś z nim wyszła?

Nie przestała być miła, ale już się nie uśmiechała.

– Przepraszam, ale to nie twoja sprawa.

Kintxo westchnął zniecierpliwiony, rozglądając się dookoła.

– Posłuchaj mnie uważnie: nie idź z tym gościem, nie wychodź z nim stąd.

– O co ci chodzi? Nie znam cię, człowieku, nie wiem, kim jesteś. O czym ty w ogóle mówisz?

– Ten gość jest niebezpieczny.

– Ta, jasne! A ty jesteś moim wybawcą, z którym muszę wyjść, tak? No już, spadaj!

– Nie, nie chcę, żebyś ze mną wychodziła. Chcę, żebyś wróciła ze swoją przyjaciółką albo z kimś innym, tylko nie z tym gościem. Ja cię tylko ostrzegam, grozi ci niebezpieczeństwo.

Dziewczyna miała już dość, była zaskoczona i zaalarmowana wzmianką o swojej przyjaciółce. Ile czasu ten facet ją obserwował? Rozejrzała się dookoła, jakby szukała kogoś, kto mógłby jej pomóc, i nagle uśmiechnęła się z ulgą.

– Słuchaj, palancie, John już wraca. Pogadaj z nim, jeśli masz jaja.

Kintxo stracił cierpliwość. Złapał ją za ramię, ściągając dziewczynę ze stołka, i przysunął się bliżej, by powiedzieć jej na ucho:

– Zabije cię, tak jak zabił już inne. Na Boga, nie wychodź z nim!

Siedzący najbliżej mężczyźni i kobiety spojrzeli w ich stronę, kiedy ją pociągnął, i otoczyli ich zaalarmowani, słysząc, jak dziewczyna krzyczy:

– Daj mi spokój!

Nie mógł zrobić nic więcej. Wiele dłoni przytrzymało go za ramiona. Dwaj bramkarze, wielcy jak szafy, przycisnęli go do kontuaru, wykręcając mu ręce na plecy. Dziewczyna nie przestawała krzyczeć, że Kintxo to wariat, a ludzie zebrali się wokół, żeby obejrzeć przedstawienie. Mimo to był zadowolony, ponieważ kiedy go odwrócili, zobaczył, że John, który obserwował go z daleka, zdecydował się na ucieczkę, kierując się samotnie w stronę wyjścia z sali. Kintxo się uśmiechnął.

Fałszywy John wziął nogi za pas. Nie zamierzał wracać do dziewczyny, która opowiadała każdemu, kto chciał słuchać, że ten świr próbował ją ostrzec, że jej towarzysz chce ją zabić. Wtedy uświadomił sobie, że nawet nie zna jej imienia, imienia, które nie pojawi się w gazetach pod zdjęciem następnej zaginionej dziewczyny. „Jeden do zera, fałszywy Johnie. Jeszcze cię dorwę”, pomyślał Kintxo, kiedy wyrzucali go za drzwi, prosto na deszcz.

Biblijny John

Siedząc w samochodzie, z wyłączonym silnikiem i zgaszonymi światłami, John analizował to, co się właśnie stało w dyskotecie. Od kilku dni myślał o tym, czyby nie przestać. Pojawiało się zbyt wiele znaków i być może nie poświęcił niezbędnego czasu na ich interpretację. Musiał zastanowić się nad tym głębiej, a przede wszystkim bardziej szczerze. Czuł, że wydarzenia rozgrywają się bardzo szybko i że brakuje mu czasu, by przestudiować każdy szczegół, przeanalizować każdy gest – te największe i te najmniejsze. Gotowała mu się głowa. Wspomnienia, sny i koszmary mieszały się w jego umyśle i nie dawał rady ich uporządkować. Miał przeczucie, że wokół niego coś się dzieje, odnosił wrażenie, jakby małe sprężyny zegara obracały się w jakimś miejscu, którego nie mógł dojrzeć, a jednak miało to ogromny wpływ na jego życie.

Mógłby przysiąc, że wszystko zaczęło iść źle, począwszy od tamtej dziewczyny. Chodziło nie tyle o to, że przeżyła gwałt i duszenie, ile o fakt, że później nie potrafił jej dobić. Nie było to też wcale takie dziwne, nie był potworem, jednym z tych zdeprawowanych morderców zdolnych do robienia wyrodnych rzeczy z ciałami. On nigdy nie tracił kontroli, zdarzyło mu się to tylko raz, z Lucy Cross; ale odkąd w dniu trzynastych urodzin dostał znak, trzymał tego demona z daleka. Owszem, zabijał te świny, ale to był potężny impuls, który pojawiał się w szczytowym momencie odrazy. Uwolnienie gniewu w akcie wyżycia się na sprośnej suce, która doskonale wiedziała, że w te dni nie powinna zbliżać się do mężczyzny, to nie to samo co zabicie z zimną krwią rannej, umierającej już młodej

kobiety. On nie był taki. Owszem, w jego zemście dominowały sprzeciw, awersja i nienawiść wobec haniebnej praktyki, ale nie był zwyrodnialcem.

Tak, to wyjaśnienie byłoby właściwe, gdyby nie usłyszał płaczu. Ta umierająca kreatura, szlochająca w tylnej części samochodu, zbudziła ducha przeszłości. Ten płacz pozostał w jego głowie na długie godziny, nawet po zamknięciu kontenera, po powrocie do pensjonatu, po włożeniu do uszu waty. I wtem ustał. Ponownie usłyszał go dwie noce temu, kiedy po tym, jak sądził, że wszystko minęło, i po idealnym wykonaniu zadania usłyszał go wyraźnie z wnętrza budki rzecznych przewoźników. Gdyby był innego typu człowiekiem, jednym z tych, którzy nie potrafią interpretować sygnałów, miałby poważne wątpliwości co do swojego zdrowia psychicznego.

A tej nocy Kintxo. To były mąż tej z baru. Widział go tam, jak skamle o piwa i wyciąga forszę od swojej eks. John obwiniał się o to, iż nie zorientował się wcześniej, że Kintxo – choć wyglądał na naciągacza i lenia – był także „tatusiem”. John nie miał dzieci, nie miał też ojca, więc nie był ekspertem, ale wydawało mu się żalosne, że ktoś, kto kiedyś porzucił swoje dziecko, teraz udaje, że odzyskał instynkt, którego nigdy nie miał, i zjawia się, kiedy dziecko jest już dorosłe, kiedy już go nie potrzebuje, kiedy już spotkało je wszystko, co złe, kiedy miało niebawem umrzeć i musiał się objawić sam Bóg, żeby temu zapobiec... Uśmiechnął się, uświadomiwszy sobie, że dywaguje, lecz takie zachowanie Kintxo wydało mu się okropne i żalosne. Mimo to John powinien wiedzieć, wnosząc po sposobie, w jaki tamten na niego spojrzał, kiedy zobaczył, jak rozmawia z przyjaciółką jego córki, że nie zadowolony ostrzeżeniem w postaci paru zimnych spojrzeń. Ale tym razem to nie John wykonał pierwszy krok. Dziewczyna była śliczna, bardzo atrakcyjna, miała rude włosy niczym szkocka księżniczka. Nie mógł przestać podziwiać jej urody, odkąd pierwszy raz zobaczył ją w barze.

Mimo że Lucy była znacznie młodsza, kiedy ją stracił, coś w tej dziewczynie mu ją przypominało. Pewnego dnia ona nagle odwróciła się do niego i uśmiechnęła. Później kilka razy mijał ją na ulicy, a ona zawsze witała się uprzejmie. Pewnego popołudnia, kiedy dziewczyna czekała na swoją przyjaciółkę

przy drzwiach, przystanął i rozmawiał z nią przez chwilę. Nie stali tam nawet pięciu minut, kiedy zjawił się Kintxo. On po prostu pożegnał się normalnie i sobie poszedł, ale tacy faceci jak Kintxo, kiedy odnajdują ojcowski instynkt, czują się ojcami całej ludzkości, odpowiedzialnymi za wszystkie dzieci świata, zaczynają dawać na tacę w kościele i opatrywać zdarte kolana chłopcom przewracającym się w parkach.

John przypuszczał, że w ten sposób uciszają swoje sumienie, ponieważ dla własnych dzieci byli głównianymi ojcami. Co najmniej dwie noce temu uzmysłowił sobie, że zbyt często natyka się na tego typu. Początkowo nie przywiązywał do tego wagi; mimo że w Bilbao przebywał dopiero od paru tygodni, dużo osób znał już z widzenia, spotykał je w barach, w dyskotekach, w pubach. W przypadku takiego lawiranta jak Kintxo nie było to niczym dziwnym. Dlatego nie spodziewał się tego, co zaszło dzisiaj. Facet zupełnie poważnie odgrywał swoją rolę protektora. John potrzebował dłuższej chwili, żeby sobie przypomnieć, ile razy widział go, jak kręcił się niedaleko, a ile razy prawdopodobnie znajdował się jeszcze bliżej. Sporządził w głowie listę i postanowił, że sprawdzi parę rzeczy przed powrotem do hostelu; co do jednego nie miał jednak wątpliwości: choć nie wiedział, na jak długo – musiał przestać. Był głupcem, lekceważąc największy z otrzymanych znaków, zły omen, tak potężny, by przepłynąć morze, oraz złowieszcze brzemię, którego był świadomy dopiero, odkąd przybył do Bilbao, odkąd po raz pierwszy w życiu znalazł się z dala od nich.

Spojrzał na zmięty w kulkę błękitny papier leżący na podłodze po stronie pasażera. Rzucił go tam, gdy tylko przeczytał ten telegram. Nie musiał rozprostowywać kartki, żeby powtórzyć słowo po słowie, co tam napisano: „John, to pilne, zadzwoń, beznadziejna sytuacja”.

Nie wątpił, że są zdesperowane, wiedział jednak, że każde z tych słów oznacza co innego: „Mały Johnny, nie możesz od nas uciec, nigdy cię nie wypuścimy, idź na dwór i wykonaj swoją pracę, chłopcze, jeśli nie chcesz, byśmy złożyły ci skórę”.

Oczy napęłniły mu się łzami. Próbując je powstrzymać, zaczął walić w kierownicę i krzyczeć z całych sił.

Najpierw, w strugach wciąż padającego deszczu, pojechał na teren portu za Łąką Anglików. Jak zwykle w budce straży przybrzeżnej było ciemno i nic nie wskazywało na to, że w środku ktoś siedzi. Podjechał do kontenera, z którego najczęściej korzystał, i z samochodu, w świetle latarki, przyjrzał się plombie, by się upewnić, że nikt tu nie węszył. Była nietknięta. Potem udał się na teren za urzędem miasta i tam zaparkował. Włożył cienką kurtkę wybraną na tę noc, na którą miał inne plany, po czym do wewnętrznej kieszeni wsadził latarkę, zasunął suwak i postawił kołnierz, by chronić się przed deszczem. Przeszedł ledwie dziesięć metrów i już był przemoczony. Bez wątpienia nie ubrał się odpowiednio, by spacerować podczas ulewy, ale jak przystało na porządnego Szkota, nie zniechęciło go to. Wierzył, że deszcz, który zawsze zapewniał mu schronienie, w połączeniu z ciemnością, o którą sam zadbał w strefie pomostu, wystarczą, by trzymać z daleka ciekawskich, pary szukające prywatności i ćpunów szukających jedynie dobrego miejsca, by się szprycować. Skierował się w stronę alei naprzeciw okazałych fasad, które przypominały burżuazyjną przeszłość tej okolicy, a potem przeciął park i ogrody, pozwalając, by pochłonęła go ciemność.

Udał się prosto nad rzekę. Szedł przyklejony do balustrady, aż dotarł do schodów dawnego pomostu, z którego łodzią można się było dostać z Campo de Volantín na Uribitarte. Z zadowoleniem skonstatował, że mrok panuje również na przeciwległym brzegu. Kreślił idealną elipsę, która rozciągała się nad niespokojnymi wodami rzeki. Ledwie widział własne stopy. Przykryte chmurami niebo i smog skrzętnie ukryły to nikłe światło, jakie mogło stamtąd padać, ale mimo to latarkę odważył się włączyć dopiero wtedy, gdy znalazł się na krawędzi schodów. Nieużywane, a na dodatek skąpane w deszczu, stanowiły śmiertelną pułapkę. Pokryte szlamem i porostami, które obejmowały całą ich powierzchnię, były zabarwione na zielono i czarno. Kurtkę zakrył częściowo reflektor, skierował wiązkę pod nogi i zaczął schodzić z wielką ostrożnością. Ryzykując, że zniszczy sobie spodnie, przytrzymał się uchwytu do cumowania na jednym ze schodków i wychylił się pełen obaw, świadomy, jakie to niebezpieczne. Z miejsca, w którym się znajdował, nie miał możliwości zobaczenia bocznego wejścia, ale przynajmniej

mógł sprawdzić łańcuch na drzwiach przedniej fasady budki. Skierował światło w tamto miejsce i zauważył z niezadowoleniem, że wystająca część promenady zasłania małą konstrukcję, sprawiając, że przednie drzwi były niewidoczne. Wycelował więc światło latarki w stronę wody, która – brudna od błota i spieniona – spływała w dół z ogromną prędkością. Przyptyw miał osiągnąć punkt kulminacyjny o czwartej nad ranem i dopiero wtedy z poziomu wody będzie mógł sprawdzić, czy kłódki zostały naruszone.

Nagle krew zastygła mu w żyłach, zdało mu się, że usłyszał cichy jęk, jakby zaczynający się płacz.

– Chyba jesteś mi winien parę wyjaśnień.

Głos za jego plecami tak go przestraszył, że John stracił równowagę, poczuł, że się śliza i leci do przodu, świadomy pustki przed swoimi rękami, gdy machał nimi, szukając czegoś, czego mógłby się załapać. Przez moment był pewien, że wylądowuje w rzece, lecz w ostatniej chwili jego lewa dłoń znalazła na podstopnicy schodka metalową wypustkę, której przewoźnicy używali przez całe lata do przywiązywania łódek. Dysząc ze strachu, usiadł na schodach, całkowicie już niszcząc swoje ubranie. Próbował myśleć. Usłyszał kroki mężczyzny, który odezwał się z góry. Zbliżał się. John się odwrócił, ale jeszcze za bardzo się trząsł, żeby stanąć na śliskich schodach. Oparł prawe ramię na wyższym stopniu i wycelował latarkę tam, skąd dochodził głos.

To był Kintxo. John wykluczył możliwość, że ten go śledził; gdyby tak było, dostrzegłby go na Łące Anglików albo w czasie, gdy siedział w samochodzie po wyjściu z Holiday. Nie, Kintxo przyszedł tu na pewniaka i John miał przekonanie, że nie był to pierwszy raz. Pokręcił głową, obwiniając się, i znowu pomyślał o tym, że złowieszczy znak tych czarownic dosięga go nawet z drugiej strony oceanu. Facet podniósł jedną rękę, by osłonić się przed mocnym światłem, ale się nie przestraszył. Zaczął schodzić, odzywając się głośno, żeby John usłyszał go wyraźnie w zacinającym deszczu:

– Przede wszystkim musisz mi wyjaśnić, kim jesteś.

John usiłował szybko myśleć.

– To ja, John Murray.

Kintxo pokonał kolejny stopień.

– Nie. Nie wiem, kim, do cholery, jesteś, ale na pewno nie nazywasz się John Murray. Poznałem Murraya, kiedy pracowałem z nim na platformie wiertniczej u wybrzeży Aberdeen. i powiem ci, że nawet nie jesteś do niego podobny.

John trwał nieruchomo w milczeniu. Trząśł się. Myślał.

Kintxo pokonał jeszcze jeden stopień, przystając niecałe dwa metry od głowy Johna.

– Murray to bardzo popularne nazwisko, na pewno mnie z kimś pomyliłeś... – powiedział, starając się zyskać na czasie.

– Tak, tyle że John Murray, którego znam, miał przyplłynąć do Bilbao i zacząć pracę dla MacAndrews w porcie, a tymczasem ty zajmujesz jego miejsce, więc gadaj wreszcie, coś ty, kurwa, za jeden.

John nie wiedział, co odpowiedzieć. Walka wręcz absolutnie nie wchodziła w grę, kiepsko się bił, a poza tym Kintxo był wielki i silny. Siedział więc cicho, czując, jak cała historia, którą wokół siebie zbudował, obraca się w pył.

– Masz rację – przyznał w końcu, znowu starając się grać na czas. – Murray powiedział mi o tej pracy. Ja długo byłem bezrobotny, a jemu trafiło się coś innego i wysiadł w La Rochelle; zgodził się, żebym zajął jego miejsce. Możesz zapytać kapitana Finnegana, pracuje dla MacAndrews i obu nas zabrał na swój statek.

Kintxo pokonał kolejny stopień, poślizgnął się na zielonej nawierzchni, ale zaraz odzyskał równowagę. Nic nie powiedział, niewykluczone, że był trochę pijany, a może tylko się zastanawiał. John liczył na to, że swoim wyjaśnieniem zasiał w nim wątpliwość.

Z jego odpowiedzi wynikało, że tak.

– Nie wiem... W każdym razie to, że podajesz się za Johna Murraya, nie jest jeszcze najgorsze. Uważam, że jesteś po prostu złym człowiekiem. Widziałem, jak

rozmawiałeś z moją córką i z jej przyjaciółką, i ani trochę mi się to, kurwa, nie podoba.

Zaczął szukać czegoś w kieszeniach. Przez chwilę John się obawiał, że wyjmie broń, ale to była złożona wielokrotnie kartka. Kintxo rozłożył ją przed wiązką światła i John natychmiast rozpoznał jeden z portretów pamięciowych, które od dwóch tygodni pojawiały się w szkockich gazetach.

– Myślę, że jest do ciebie bardzo podobny – powiedział Kintxo, rzucając mu całkiem już mokry papier.

John łamał sobie głowę, próbując coś wymyślić. Poruszył latarką, kierując wiązkę światła na środek portretu pamięciowego. Przez chwilę udawał, że mu się przygląda.

– Nie wiem, kto to – skłamał w końcu. – Ale bardzo przypomina mi Collina, tego Irlandczyka, który mieszka w moim pensjonacie. Jest wyższy ode mnie, ale ludzie czasami nas mylą.

Kintxo nie odpowiedział, wahał się. Pokonał kolejny stopień. Jego buty znajdowały się teraz obok portretu, który rozpadał się w deszczu jak papka, ale John nie przesunął strumienia światła. Niczym nietoperz czuł, jak tamten porusza się powoli, może odrobinę podпиты, ale na pewno nie na tyle wstawiony, żeby nie mieć nad sobą kontroli. Zaczekał kilka sekund, modląc się, by dopadły go wątpliwości. Wtedy Kintxo się nachylił, żeby znowu popatrzeć na portret, i powiedział:

– Ostrzegam. Żebym cię już więcej nie widział...

Wtedy John mocno chwycił Kintxo za kostki i pociągnął. Mężczyzna poleciał do tyłu, by usiąść na schodach. Zaraz jednak rzucił się do przodu i złapał Johna za szyję, na co ten podniósł się gwałtownie i z całych sił uderzył go w głowę latarką. Kintxo wydał z siebie dźwięk, jakby nabierał powietrza. Nic nie powiedział, tylko pochylił się nieznacznie. Wtedy John walnął go ponownie. Niczego nie widział, za to usłyszał łamiące się kości jego twarzy. Bił go dalej, aż poczuł, że ręka, która trzymała go za gardło, wiotczeje. Po chwili Kintxo opadł na niego. Jego głowa

spoczęła na ramieniu Johna, jakby byli dziwną tańczącą parą, a potem ciężar ciała przeważył, pociągając obu mężczyzn w dół schodów.

John puścił latarkę i próbował za wszelką cenę czegoś się chwycić, czując przy tym, jak kilka paznokci oddziela mu się od palców. Kintxo ważył co najmniej dwadzieścia kilogramów więcej niż on. Bezwładny mężczyzna ześlignął się i wylądował wzdłuż pierwszych stopni, które zanurzały się w wodzie. Jego ciało zatrzymało Johna, który machał nogami przerażony, czując w butach lodowatą ciecz. Zamarł, dysząc, czekając, nasłuchując. Pod rękami czuł gąbczasty i śluzowaty dywan, jaki tworzyły algi, które na ostatnich stopniach mieszały się z porostami i mchem. Nie słyszał nic prócz deszczu i własnego serca bijącego mocno niczym trzask bata. Uważając, by znowu się nie poślizgnąć, odwrócił się powoli i pięć stopni wyżej dostrzegł latarkę, nadal włączoną. Nie chciał ryzykować, więc nie podniósł się do pionu, tylko cały rozdygotany ruszył na czworakach, aż jej dosięgnął. Instynktownie przycisnął latarkę do klatki piersiowej, jakby było to coś w rodzaju koła ratunkowego. Wtedy zauważył, że jest cała we krwi i w czymś białawym, jakby śluzie, który przylepił się do reflektora. Pomyślał, że powinien ją zgasić – tak mocne światło tańczące w ciemności mogło być doskonale widoczne z drugiego brzegu rzeki. Położył palec na włączniku, ale nie miał odwagi go nacisnąć, nie chciał pograć się w czerni.

Musiał myśleć, i to szybko. Zdjął kurtkę, a gdy wysuwał dłoń, zahaczył o rękaw złamanymi paznokciami, które teraz zwisały bezwładnie; wyrwał sobie jeden. Zaklął, wkładając dłoń pod pachę, by złagodzić ból. Zabrało mu to długą minutę, podczas której jego umysł, pracujący na pełnych obrotach, nie przestawał analizować zgubnych skutków nieszczęścia, jakie nad nim zawisło. Niczym pieprzona klątwa. Opanowawszy ból, owinął latarkę w kurtkę, tłumiąc w ten sposób jej blask i tworząc podstawę, żeby się nie potoczyła, po czym oparł ją o schody. Światło było słabe, ale ponieważ John nawykł do ciemności, okazało się bardziej niż wystarczające. Musiał zająć się Kintxo. Z jedną połową ciała na ostatnim stopniu, a drugą w wodzie, postać kołysała się delikatnie, częściowo zakotwiczona w rozlewisku, jakie utworzyło się na starym pomoście, co

kontrastowało z siłą, z jaką płynęła rzeka, zasilana padającym nieustannie od kilku dni deszczem. Niczym małe dziecko John zszedł powoli, szorując tyłkiem po algach i szlamie, aż jego stopy znowu zanurzyły się w wodzie. Lewa część twarzy Kintxo dotykała schodka. John nie miał żadnych wątpliwości, mężczyzna nie żył. Na czole i tuż za linią włosów obszar czaszki, mniej więcej wielkości pięści, był nienaturalnie zapadnięty. Ulewny deszcz nie zmyje gęstej, śluzowatej masy, która tryskała z rany. Musiał go popchnąć, żeby woda zabrała ciało. Czubkiem stopy John kopnął go w twarz. Ciało ani drgnęło, ale głowa mężczyzny zachwiała się i odwróciła na drugą stronę.

Pewna myśl przeszła umysł Johna niczym błyskawica. Otworzył usta, wciągając jak najwięcej powietrza. Popatrzył na bezwładną postać, a w jego głowie pojawiła się reminiscencja, która ocierała się o niego od chwili, gdy zobaczył, jak tamten facet pada na podłogę w dyskotecie. Niczym w filmie z efektami specjalnymi, John wrócił do owej nocy nad brzegiem jeziora Katrina, kiedy to piorun pochodzący z samego nieba trafił typa, który go śledził – tak samo jak stało się dziś. Ogarnięty pewnością swojej intuicji, John poczuł, jak jego oszołomione ciało drży wskutek napięcia nagromadzonego podczas walki oraz złego przeczucia, które narastało w ciągu ostatnich dni, aż zaczęło mu ciążyć niczym klątwa. Znowu poczuł się wybrańcem. Przywarł plecami do muru oporowego, przy czym nie mógł przestać myśleć o szczurach, które chowają się w szczelinach za jego plecami. Z mieszaniną obrzydzenia i ogromnej wściekłości podkurczył nogi, a następnie wyprostował je z całych sił, by kopnąć ciało Kintxo. Zwłoki się przesunęły, płynąc na koniec schodów, gdzie porwał je prąd, zabierając je w dół rzeki.

John z trudem wczołgał się na górę. Trząsł się tak bardzo, że nawet gdyby spróbował, nie dałby rady się podnieść. Wziął latarkę i kurtkę, wspinając się na czworakach na wyższy spocznik. Uznał, że nadszedł czas, by zgasić światło, jednak wcześniej dokonał przeglądu szkód. Jego buty i spodnie były przemoczone, uwalane ciemnozieloną mazią alg i mchem, ale to był najmniejszy kłopot – kurtka i koszula przesiąkły krwią, która prawdopodobnie dotarła nawet do bielizny. Spojrzał na zegarek – było trochę po trzeciej, w samym środku święta patronalnego

miasta. Ulewa wygoniła do domów wielu, ale mieszkańcy Bilbao, tak samo jak Szkoci, mieli naturalną odporność na deszcz, która gdy dodać do niej alkohol, stawała się supermocą. Wtedy ich wytrzymałość wymykała się wszelkiej skali, chociaż padało tak mocno, że w jakimkolwiek innym miejscu ulice byłyby puste. Powrót do pensjonatu w takim stanie był absolutnie wykluczony.

Dyszząc z czystej frustracji, podjął decyzję. Zdjął całe ubranie, prócz butów i spodni. Miał rację – krew przeniknęła nawet na skórę. Lewą stroną koszuli wytarł ciało w ulewnym deszczu. Potem zrobił z ubrania tobołek i zgasił latarkę. Gdy tylko ponownie otoczyła go ciemność, niczym w koszmarze poczuł obok siebie tak wyraźną obecność, jaką wcześniej czuł od Kintxo. Szum. Westchnięcie. I bardzo cichy płacz, który – John to wiedział – pochodził z wnętrza budki. Wahał się przez chwilę, zastanawiając się, czy wrócić na schody i wyrzucić tobołek, jednocześnie jednak wiedział, że za nic w świecie nie zbliży się do tego miejsca w ciemności.

Ruszył w stronę alei, opanowując impuls, by biec w mroku. Tuż przed dotarciem do granicy zaciemnionej strefy znalazł pokrywę studzienki kanalizacyjnej. Znowu przeklinając swój los, włożył poranione palce w szczelinę pokrywy, dysząc z bólu i użalając się nad sobą. Pociągnął, przesuwając ją o niewiele ponad pięć centymetrów. Wepchnął, niemalże wcisnął ubrania do środka. Trochę więcej wysiłku kosztowało go, żeby latarka przeszła przez wąską szczelinę i zniknęła na zawsze. Kiedy już mu się to udało, podniósł się i stopami umieścił pokrywę z powrotem na swoim miejscu. Westchnął, czując chwilową ulgę, świadomy, że trudności jeszcze się nie skończyły. Był na wpół nagi, kompletnie przemoczony i czuł się taki słaby i poobijany, jakby właśnie uciekł z piekła. Jednakże ta noc dopiero się dla niego zaczęła. Musiał wrócić do pensjonatu, bo pewnych rzeczy pod żadnym pozorem nie mógł tam zostawić, a później pozostać niezauważony, aż pojawi się znak.

Przechodził przez ulicę, kiedy zobaczył zbliżającą się grupę dziewczyn i chłopców ubranych w identyczne stroje jednej *comparsa*. Wahając się, czy iść dalej, czy zawrócić, zorientował się, że jest już za późno, bo właśnie wskazała na niego jedna z dziewczyn. John wszedł na chodnik ze spuszczoną głową, a kawałek

dalej się poślizgnął – najpewniej z powodu błota, które przykleiło mu się do butów. Zachwiał się, odzyskując równowagę, czym wywołał wesołość grupki.

– Aleś się ubzdryngolił, przyjacielu! Lepiej wracaj do domu.

Nawet nie podniósł głowy, szedł dalej, zataczając się i udając, że się potyka. Koniec końców, kompletnie pijany Irlandczyk idący w deszczu bez koszuli nie był najdziwniejszym, co można zobaczyć podczas tego święta w Bilbao.

Collin

Ubrany w ciemny płaszcz przeciwdeszczowy, stał ukryty w mroku, oparty o jedną z kolumn, które podtrzymywały skrzynie z kwiatami zdobiącymi aleję. Miał duży czarny parasol, ale postanowił go złożyć, ponieważ deszcz uderzający o naprężony materiał bębnił ogłuszająco, co uniemożliwiało mu słuchanie rozmowy dwóch mężczyzn. Na niewiele się to jednak zdało. Huk deszczu pozwolił mu słyszeć ledwie szmer, który dowodził, że rozmawiają. Kiedy zobaczył Kintxo schodzącego po schodach, podszedł trochę bliżej. Nie mógł zrozumieć, co mówią, ale Collin był pewien, że snop światła latarki podczas walki był widoczny nawet z Księżycy. Niewybaczalne zaniedbanie ze strony Murraya. Kusilo go, żeby bić brawo, gdy zobaczył, jak owija latarkę swoją kurtką. Przewidział niemal wszystkie jego działania po zabiciu Kintxo. Początkowo stwierdził, że na jego miejscu obciążyłby zwłoki, ale później musiał przyznać, że Murray ma znacznie większą wiedzę na temat natury rzeki niż on. Ze swojej uprzywilejowanej strażnicy przy alei zdołał dostrzec ciało. Tylko przez chwilę, w miejscu, gdzie kończyła się elipsa ciemności, tuż przed tym, jak prądy Nervión wciągnęły je na dno. Przy takiej prędkości w ciągu kilku minut zwłoki znajdą się w Zatoce Biskajskiej.

Zobaczył, jak John odchodzi i przecina aleję, udając pijanego. Wyglądało to nawet zabawnie. Collin wrócił na pomost i też użył małej latarki, żeby obejrzeć schody. Zobaczył coś na środku. Zszedł ostrożnie i chociaż próbował, nie mógł tego podnieść; po delikatnym dotknięciu papier rozpadł mu się w palcach. Znajdująca się na zdjęciu twarz była zamazana, ale Collin oglądał wystarczająco

dużo brukowców z wizerunkiem poszukiwanego przestępcy, żeby rozpoznać to, co widzi. Opuszkami palców zgniótł resztki kartki, aż zamieniły się w kulkę, którą wrzucił do rzeki.

W drodze powrotnej przyjrzał się miejscu, w którym Murray się rozebrał. Było czyste. Później obejrzał studzienkę. W świetle latarki sprawdził symbole wytłoczone na pokrywie i mlasnął z niesmakiem. Włożył palce w szczelinę i odsunął wieko do połowy. To nie była studzienka, tylko hydrant podziemny, otwór o głębokości około siedemdziesięciu centymetrów wypełniony kolektorami do nawadniania i zaworem upustowym. Przez kilka sekund patrzył na zakrwawione ubrania i rozczarowany kręcił głową.

Chłopiec

Chłopiec kończy trzynaście lat. Przygląda się swojej twarzy w małym lustrze w łazience, podczas gdy jego matka i ciotki czekają na niego przy wyjściu, by pójść na niedzielną mszę. Ich głosy docierają do niego przez szczeliny lichego otworu, który pełni funkcję okna. Obserwuje spojrzenie oddane przez lustro. Ładny chłopiec, który wkrótce będzie młodzieńcem, ma zmierzwione na czole kasztanowe włosy i kilka nieco krzywych zębów, ale nigdy się nie uśmiecha. Jego niewzruszona twarz odzwierciedla spokój, który nauczył się udawać, kiedy był jeszcze bardzo mały. Pozwala sobie jednak na smutny uśmiech do swojego odbicia, niemal oklaskując tę wspaniałą rolę, ponieważ chłopiec, który emanuje takim spokojem, w środku jest zdesperowany.

Nie może już dłużej wytrzymać. Upłynął miesiąc od zaginięcia Lucy Cross i dwa tygodnie, odkąd zawieszono poszukiwania. John ani na chwilę nie przestał o niej myśleć. Kiedy zamyka oczy, znowu widzi ją martwą u swoich stóp, jej ciało leżące twarzą do dołu między kamieniami w strumieniu. Woda moczy jej włosy, jakby postanowiła je umyć. Okropność tego, co zrobił, oraz ciężar poczucia winy sprawiają, że jest chory. Stracił na wadze i co niedzielę wykorzystuje pretekst w postaci swojego rachitycznego wyglądu, żeby nie pójść na nabożeństwo. Dziś jednak mu to nie pomogło. Matka i ciotki naciskały tak mocno, że nie pozostało mu nic innego jak ustąpić. Ma na sobie niedzielny garnitur, który na jego ramionach wygląda, jakby wisiał na wieszaku. Schudł tak bardzo, że kiedy wyjmuje pasek ze szlufek, spodnie zsuwają mu się z bioder.

Rozgląda się dookoła. Umywalka jest pęknięta, okno rozklekotane, a gromadzące się pod spłuczka krople wody całymi latami skapywały na drewnianą pokrywę sedesu, deformując ją wskutek wilgoci i tworząc na niej kółka czarnej pleśni. John nie wie, czy sedes zdoła wytrzymać jego ciężar, ale udaje się to, przynajmniej przez chwilę. Dopasowuje pasek do szyi i przywiązuje do miedzianej rurki starej spłuczki. Wtedy nadgniła pokrywa ustępuje, nawet niewielki ciężar chłopca wystarcza, żeby wyskoczyła z zawiasów. Jedna noga zostaje w środku sedesu, a druga zwisa na zewnątrz, podczas gdy on wierzga. Boli. Sądził, że największy ból będzie pochodzić z płuc, kiedy poczuje pękające pęcherzyki płucne, tymczasem okazuje się, że najbardziej bolą plecy. Jego kręgosłup drga w rytmie niekontrolowanych elektrycznych spazmów, które pewnie sprawiłyby, że by krzyczał, gdyby tylko mógł. I właśnie w tej chwili, gdy ma wrażenie, że już dłużej nie wytrzyma, John wydaje z siebie głośny charkot i traci przytomność, wyrываяc ze ściany zgniłe kołki podtrzymujące spłuczka z piętnastoma litrami wody w środku. Spłuczka, chłopiec i powykrzywiana rura spadają na podłoga.

John tego nie słyszy, ale huk jest potężny.

Kiedy się budzi, ma jeszcze mokre włosy. Leży w sypialni swojej matki. Siedzi przy nim doktor Baker i chłopiec myśli, że z pewnością przyniesiono go tutaj, ponieważ niezręcznie byłoby tłumaczyć medykowi, dlaczego trzynastoletni chłopak śpi ze swoimi ciotkami. Baker to dobry człowiek. Odsyła kobiety za drzwi i przez ponad godzinę próbuje rozmawiać z chłopcem, który jednak nie odzywa się ani słowem. Pali go w gardle. Baker mówi, a John słucha, ponieważ ten od pierwszego zdania przejawia wyjątkową przenikliwość. Doktor wie, że chłopiec był przyjacielem Lucy Cross, i rozumie, przez co przechodzi. Po raz pierwszy w życiu ktoś okazuje mu empatię. Później opowiada mu o dzieciach, które sprowadził na świat, i o pacjentach, którym zamknął powieki. Baker rozumie nieuchronność życia i śmierci oraz cel każdego z nich. A potem mówi coś, co wszystko zmienia: „Człowiek może podjąć decyzję co do tego, kiedy chce umrzeć, nikt jednak nie zdoła pozostać przy życiu, jeśli tylko tak sobie postanowi. To, że teraz żyjesz, zawdzięczasz komuś, kto jest ponad tobą, przeżyłeś cudem”.

Chłopiec spędza cały dzień w łóżku swojej matki. Myśli o Bogu i jego woli. Doktor Baker poprosił kobiety, żeby mu nie przeszkadzały, żeby pozwoliły mu odpoczywać. Chłopiec słyszy, jak szepczą w salonie, i dopiero kiedy dobiega go brzęk naczyń podczas kolacji, wychodzi z pokoju. Na jego widok kobiety przerywają szepty. Pojawia się w samych tylko majtkach, jego ciało zaczyna przejawiać oznaki dojrzewania, a on ma świadomość, że za nic w świecie nie pokazałby im się tak jeszcze dzień wcześniej. Jego skóra jest biała i nieskazitelna, niczym u małego dziecka, lecz w jego oczach jest coś, czego nigdy przedtem nie widziały i co wywołuje niepokój, ponieważ kontrastuje z jego ogólnym wyglądem, który można by nawet uznać za żałosny. Ze śladem na szyi, która przybiera brązowy odcień w miejscu, gdzie pasek wgryzł się w skórę, chłopiec kroczy niczym młody cesarz. Dotyka ramienia swojej matki, która patrzy na niego pytająco. Chłopiec się nie odzywa, ale wskazuje jej krzesło stojące obok jednej z jej sióstr. Matka wzrusza ramionami, nie rozumie, co on chce przez to powiedzieć. Chłopiec zaciska dłoń w pięść i z całej siły wali w stół, sprawiając, że sztucce podskakują na talerzach, i wzbudzając strach u wszystkich trzech kobiet. Jego matka przykładą rękę do klatki piersiowej i w milczeniu wstaje, by ustąpić mu miejsca u szczytu stołu. Chłopiec siada, bierze łyżkę i z wyrazem silnego bólu na twarzy przęłyka odrobinę zupy. Potem patrzy na nie po kolei. One spuszczają głowy. On znowu zaciska dłoń w pięść i podnosi kciuk, wskazując za siebie. Gdy się odzywa, jego głos nie jest głosem dziecka, jest zachrypnięty i nieprzyjemny:

– Zabierz swoje rzeczy z mojego pokoju – mówi do matki.

John uzmysławia sobie, że chłopiec umarł tego poranka, ale nie przejmuje się tym. Od teraz już nikt nie będzie go uważał za chłopca, nawet on sam. Bierze do ust kolejną łyżkę zupy i uśmiecha się, mimo że czuje ogromny ból.

Bilbao

Środa, 24 sierpnia 1983

Maite.
Nachyliła się nad nim z uśmiechem. Nie mógł powiedzieć nic innego prócz jej imienia, ale też nic więcej nie było potrzebne. Poczuł, że końcówki jej włosów muskają jego klatkę piersiową, i uśmiechnął się szczęśliwy.

– Maite – powtórzył.

– Witaj, Noah. Proszę otworzyć oczy.

Pokój był przestronny, nie miał ani drzwi, ani okna, tylko wielką szklaną ścianę, przez którą mógł zobaczyć sufit sąsiedniego pomieszczenia. Było tu sporo osób, doliczył się czterech mężczyzn plus ten stojący przed nim. Ten, który mówił:

– Witaj, Noah, jestem doktor Sánchez. Czy wie pan, gdzie się znajduje?

Mówił z dziwnym akcentem, może z Andaluzji.

Noah westchnął.

– Przypuszczam, że w szpitalu.

– To szpital Cruces w Bilbao. Wie pan, dlaczego tu jest?

Zawahał się.

– Cóż, myślałem, że...

– Myślał pan, że umiera, prawda?

– Przez cały dzień fatalnie się czułem, wydawało się... – wychrypiał.

– Wydawało się, że to koniec?

Noah odpowiedział pytaniem.

– Ile czasu byłem...?

– Nieprzytomny tylko przez kilka minut, później zastosowaliśmy płytka sedację, żeby pan odpoczął i żebyśmy mogli wykonać kilka badań, które wiążą się z pewnym dyskomfortem, gdy pacjent jest w pełni świadomy. Dziś jest środa, dwudziesty czwarty sierpnia, dochodzi południe i dalej pada deszcz. A właśnie, kim jest Maite? Wołał ją pan.

Noah się uśmiechnął.

– Jakie badania wykonano? Bardzo mnie boli.

– Wyjaśnimy to ze szczegółami, ale najpierw mam dla pana dobre wieści i kilka trochę gorszych.

Noah zastanawiał się, czy wszyscy kardiolodzy przechodzą ten sam kurs przekazywania złych wiadomości. Ta gadka brzmiała znajomo.

– To są doktorzy Martín, Trujillo, Ferraz i Punset, kardiolodzy specjalizujący się w zaawansowanej niewydolności mięśnia sercowego. – Lekarze przywitali się delikatnym gestem na wzór rzymskich cesarzy. – Przyjechali do Bilbao, żeby wziąć udział w kongresie, który rozpoczyna się w najbliższy poniedziałek, ale w tym tygodniu prowadzą kursy dotyczące swojej techniki tutaj, w szpitalu Cruces, i zainteresowali się pańskim przypadkiem. Z jednej strony to oczywiście nie był koniec, bo pan żyje – powiedział z uśmiechem. – Z drugiej strony mógł pan umrzeć, gdyby przyjaciel nie przywiózł pana do szpitala, ale przyczyną nie byłaby kardiomiopatia, na którą pan cierpi, tylko sposób, w jaki przyjmował pan leki. Nic dziwnego, że czuł się pan źle.

Logo na teczce, którą lekarz trzymał w dłoniach, wydało się Noahowi znajome.

– Na szczęście pański przyjaciel pamiętał, że widział u pana wypis ze szpitala. Kiedy pan tu trafił, nie byliśmy pewni, co panu dolega. I muszę powiedzieć, że podróż w takim stanie była z pańskiej strony nierozważna, ale przede wszystkim naraził się pan na duże niebezpieczeństwo, nie będąc pod kontrolą lekarza.

Głos zabrał inny z kardiologów, możliwe, że Punset:

– Lekarstwa, które panu przepisano, już same w sobie są niebezpieczne, literatura jest pełna zbrodni popełnionych przy użyciu naparstnicy, ale proszę mi wierzyć, że diuretykami także można zabić. Jestem pewien, że pański kardiolog powiedział panu o tym. Tego typu leki muszą być nieustannie dostosowywane do potrzeb każdego pacjenta, a te zmieniają się z dnia na dzień.

– Tylko ja jestem za to odpowiedzialny – zapewnił Noah.

Lekarz uzbroił się w cierpliwość i mówił dalej:

– Proszę pana, mam świadomość, jak wielkie obciążenie emocjonalne wiąże się z chorobą, na którą pan cierpi, i towarzyszącymi jej okolicznościami. Ale nie może pan łykać tych lekarstw, jakby to były cukierki. Diuretyki obniżyły poziom potasu i magnezu do bardzo niebezpiecznych granic. Zawroty głowy, skurcze, dezorientacja, tachykardia... To wszystko spowodował brak potasu, a nie kardiomiopatia. Zatrucie naparstnicą prowadzi do zwolnienia tętna, a zwiększone napięcie nerwu błędnego może powodować zwolnienie akcji serca. Połączenie tych dwóch skutków prowadzi do bradyarytmii...

Noah podniósł rękę, przerywając mu.

– Trochę wolniej, bardzo proszę. Niczego nie rozumiem.

Głos znowu zabrał doktor Sánchez.

– Z pewnością zauważył pan mdłości, wymioty, biegunkę, problemy ze wzrokiem, mroczki lub widzenie żółtawych aureoli, a oprócz tego dezorientację i przygnębienie. Ma pan zatruty organizm. Wszystko pan przedawkował i o mało się nie zabił. Czy teraz pan rozumie?

Noah przytaknął.

– Zmienimy panu diuretyk – powiedział lekarz, patrząc przelotnie na kiwających głowami pozostałych kardiologów. – Chcę, żeby brał pan furosemid, jedną tabletkę dziennie. Zmienię panu też wyciąg z naparstnicy na tabletki. Widzieliśmy, że nosił ją pan w piersiówce. Jeśli popijał ją pan jak alkohol, to dziwne, że się pan nie zabił. Jedna tabletkę dziennie. Tylko jedna. Zauważyliśmy

też, że brakuje jednej tabletki nitrogliceryny. Zmienimy ją panu na inny, bezpieczniejszy lek: cafinitrinę. Może pan go zażywać w przypadku silnych duszności.

Doktor wyciągnął rękę i dotknął ramienia Scotta Sherringtona, jakby było mu przykro, że go upomina.

– Mógł pan się zabić, ale mimo wszystko mam dobre wieści.

– Zacząłem już tracić nadzieję – zażartował Noah.

– Zrobiliśmy panu pełną morfologię, niektóre wyniki już przyszły, poprosiliśmy o powtórzenie kilku z nich, dostaniemy je w najbliższych godzinach, a tymczasem chcemy, żeby został pan na obserwacji. Kolejne badanie, jakie wykonaliśmy, to cewnikowanie serca. Jest ryzykowne, ale dokładniejsze niż echokardiografia. Nakłuwa się żyłę udową, gdzie instaluje się introduktor, przez który wkłada się i wyjmuje cewniki. Dzięki temu docieramy do prawych jam serca i do tętnicy płucnej w celu pomiaru ciśnienia i oporu płucnego, które w pańskim przypadku są bardzo ważne. Nie będę pana zamęczał informacjami technicznymi, ale sprawdziliśmy też ciśnienie w naczyniach włosowatych płuc. Poza tym zbadaliśmy dwie tętnice wieńcowe, wprowadzając kontrast, żeby zobaczyć, jak krąży krew, i upewniliśmy się, że nie ma żadnej niedrożności. Porównując wyniki z echokardiografią w trybie M, którą wykonano panu w Edynburgu, widać asynchronię skurczu wynikającą z bloku lewej odnogi pęczka Hisa, widoczne jest też powiększenie wymiaru lewej komory, a siła, z jaką mięsień sercowy pompuje krew, zmniejszyła się.

– To źle – powiedział Noah.

– Nie jest dobrze – odezwał się inny z kardiologów. – Ale sprawdziliśmy również, i to są dobre wieści, że nie ma zmian w tętnicach wieńcowych, zastawki wyglądają normalnie, ciśnienie w naczyniach włosowatych płuc też jest w normie, a opór naczyniowy płucny wynosi trzy jednostki Wooda. Proszę zapamiętać tę informację, to ważne.

Po minie Noaha było widać, że nie rozumie.

– W przypadku niewydolności serca, jako że pański mięsień sercowy nie jest w stanie zbyt dobrze pompować krwi, ciśnienie w lewych jamach się zwiększa i przenosi na krążenie płucne, powodując duszności.

– I to są te dobre wiadomości?

Kardiolodzy popatrzyli po sobie. W końcu głos zabrał najstarszy z nich, gestem prosząc o pozwolenie, by usiąść na łóżku.

– Noah, słyszał pan o przeszczepie serca?

– Oczywiście, mój lekarz w Edynburgu powiedział, że to science fiction.

– Przyznaję, że może to tak wyglądać. Historia współczesnej transplantacji serca zaczyna się w latach sześćdziesiątych za sprawą doktora Christiaana Barnarda działającego w Kapsztadzie. Inni lekarze, we Francji i w Stanach Zjednoczonych, eksperymentowali na zwierzętach, ale Barnard jako pierwszy odważył się zrobić przeszczep u ludzi. W tamtym okresie przebywał zresztą w Hiszpanii i nauczył swojej techniki doktora Martíneza Bordiú. To on przeprowadził pierwszą transplantację w naszym kraju, u pacjenta, który cierpiał na kardiomiopatię rozstrzeniową, tak jak pan. Jednakże, choć technika chirurgiczna tych operacji prawie się od tamtej pory nie zmieniła, pacjenci umierali z powodu odrzucenia organu, ponieważ był to element obcy dla gospodarza. Reakcja immunologiczna sprawiała, że przeszczepione serce przestawało pracować po upływie kilku dni.

– Doktor Handley mi o tym opowiadał.

– Ale to się zmienia, panie Scott Sherrington, wraz z rozwojem leków zapobiegających odrzuceniu. To immunosupresanty, które przyjmuje się do końca życia, i wierzymy, że dzięki nim pacjenci mogą funkcjonować tak całe lata, nawet dziesięciolecia, ciesząc się więcej niż dobrą jakością egzystencji.

– To prawda? – Noah skierował swoje pytanie do najmłodszego lekarza.

– Tak, Noah. Pierwsza transplantacja serca, po której zaczęto podawać immunosupresanty, miała miejsce w Barcelonie w maju tego roku, a kilka tygodni później drugą przeprowadzono w Madrycie u jedenastoletniej dziewczynki z Granady. Oboje pacjenci przeżyli i ocenia się, że mają przed sobą długie życie.

Noah podniósł się trochę bardziej. Głos zabrał inny z lekarzy, Trujillo, jeśli inspektor dobrze pamiętał.

– Po transplantacji pacjenci są poddawani intensywnemu leczeniu immunosupresyjnemu trzema farmaceutykami: prednizonem, cyklosporyną i azatiopryną, których dawki zmniejsza się stopniowo w ciągu pierwszego roku.

– Rozumiem, ale dlaczego mi o tym mówicie?

– Jak powiedziałem wcześniej, z wszystkich wyników otrzymanych z cewnikowania najważniejszy był ten dotyczący oporu płucnego, a w pańskim przypadku to trzy jednostki Wooda. Pozostałe wyniki pańskich badań krwi, stanu nerek i wątroby są dobre. Choć może to zabrzmieć jak sprzeczność, cieszy się pan dobrym zdrowiem. Oczywiście niezaprzeczalny fakt jest taki, że na pańską chorobę nie ma lekarstwa. Nie nastąpi poprawa. Śmierć w pańskim przypadku jest nieuchronna. Suma tych wszystkich aspektów sprawia, że jest pan idealnym kandydatem do przeszczepu.

Noah popatrzył na nich, na jednego po drugim, starając się przyswoić wszystko, co usłyszał.

– Transplantacja.

– Jeden kardiolog pobiera narząd od dawcy, u którego stwierdzono śmierć mózgu, pomiędzy jest mnóstwo kwestii technicznych w celu transportu organu, a inny chirurg wszczepia go biorcy. W tym przypadku panu.

– Po pierwsze i najważniejsze – wtrącił się kolejny z lekarzy – musimy wiedzieć, czy ma pan jakieś zastrzeżenia.

Noah popatrzył na niego przygnębiony. Potem pokręcił głową.

– Nie, jak już wyraźnie powiedział pański kolega, moja śmierć jest nieuchronna. – Wzruszył ramionami. – Nie mam nic do stracenia.

Gdy lekarze przytaknęli z zadowoleniem, Noah podniósł rękę.

– A... jak to będzie wyglądać? Co należy zrobić? Jakie są kolejne kroki?

– Cóż... – odezwał się doktor Sánchez. – Przed nami sporo pracy. Po pierwsze trzeba wykonać coś, co nazywamy kwalifikacją do przeszczepienia. Na tym etapie

powtórzymy badania, by się upewnić, na ile to tylko możliwe, że wszystko pójdzie dobrze. Potrzebne są konsultacje z anestezjologiem oraz internistą. Ale najważniejsze jest to, żeby otrzymał pan wszystkie niezbędne informacje i zrozumiał, na co się zgadza, bo w ciągu kilku miesięcy po operacji i przez cały następny rok będzie pan właściwie żył od wizyty do wizyty w szpitalu. Oprócz leczenia immunosupresyjnego przez pierwsze tygodnie co kilka dni należy wykonać biopsję mięśnia sercowego. Przez żyłę udową lub szyjną wprowadza się cewnik i szczypcami pobiera próbkę mięśnia do badania histopatologicznego, żeby sprawdzić, czy nastąpiło odrzucenie przeszczepu, czy nie. W zależności od wyników zwiększa się lub zmniejsza dawkę immunosupresantów, ale musi pan wiedzieć, że te leki obniżają odpowiedź immunologiczną. Będzie pan bardziej narażony na poważne infekcje, w związku z czym należy zachować warunki aseptyczne, zwłaszcza przez pierwsze trzy miesiące po operacji.

– Myślę, że mógłbym to zrobić.

Inny z lekarzy dodał:

– Nie wystarczy to, co pan myśli, musi pan być pewien, a ta kwestia nas niepokoi, zważywszy, że odkąd zdiagnozowano u pana chorobę, niezbyt pan o siebie dbał i nie chodził na wizyty lekarskie w celu dostosowania dawek leków. Z całą pewnością część szkód w organizmie wyrządził pan sobie sam. Musimy być pewni, że pan rozumie i przyjmuje nie tylko ryzyko, lecz także odpowiedzialność, jaka się z tym wiąże.

Noah wypuścił z płuc powietrze, zastanawiając się na tym. Mieli rację.

– To prawda, że dbanie o zdrowie nie było moim priorytetem. Ale zrozumcie, ja nie wierzyłem, że to w czymkolwiek pomoże, a jedynie przedłuży moje cierpienie. Kiedy jest nadzieja, sprawa wygląda zupełnie inaczej.

– Doskonale to rozumiemy. Powiedzmy, że jeśli się pan zgadza, weźmiemy się do pracy. Musimy być gotowi, bo nawet jeśli przyjdzie nam czekać tygodnie lub miesiące, zanim pojawi się zgodny dawca, równie dobrze może się to zdarzyć o wiele szybciej – powiedział doktor Martín.

– Zgadzam się. Zrobię wszystko, co trzeba.

– W takim razie najpierw należy pana przewieźć do innego szpitala, tutaj nigdy nie przeprowadzano tego typu procedur. Pomyśleliśmy o Klinice Uniwersytetu Nawarry w Pampelunie, znajduje się względnie niedaleko, ambulans przetransportuje tam pana w ciągu trzech godzin, a na miejscu będzie na pana czekał zespół, żeby od nowa przeprowadzić wszystkie badania.

– Dziś?

– Tak. Jak już powiedziałem, chcemy zacząć jak najszybciej, żebyśmy byli gotowi, jeśli pojawi się zgodny dawca.

– Nie mogę tam pojechać dziś – powiedział Noah, rozglądając się dookoła, jakby w jakimś kącie tego pokoju znajdowało się źródło jego argumentu. – Nie moglibyśmy poczekać kilka dni?

– Właśnie wyjaśniliśmy panu, jakie to wszystko jest skomplikowane i jak wygląda pańska sytuacja. Dostosuję panu leki, ale pański stan pogarsza się z dnia na dzień, a wskaźniki Wooda oporu płucnego, o których mówiłem i które są dla nas takie ważne, stale rosną. Teraz wynoszą trzy jednostki, jeśli przekroczą pięć, a nawet cztery, transplantacja będzie niemożliwa.

– Myślę, że to nie potrwa długo, tylko kilka dni.

Lekarze spojrzeli po sobie zmartwieni. Teraz odezwał się ten najstarszy, w jego głosie dało się wyczuć wielkie rozczarowanie:

– Nie wiem, co pan planuje, Noah, ale lepiej, żeby prawidłowo przyjmował pan leki, bo jeśli dalej będzie pan lekceważył swój stan, nie mogę pana zapewnić, że zostanie panu tych kilka dni. Czas to jedyne, czego pan teraz nie ma.

– Tylko parę dni, proszę. Jeśli chcecie, w tej chwili mogę podpisać zgodę, co tylko trzeba...

– Cholera, aleś mnie wystraszył! – zawołał od progu Lizarso.

Chociaż Noahowi powiedziano, że jest południe, w sali nie było naturalnego światła, więc niecodzienną bladość twarzy policjanta przypisał częściowo

światłówkom. Nie mógł się nie uśmiechnąć.

– I jeszcze się śmiejesz – dodał *ertzaina*, podchodząc do niego. – Myślałem, że umierasz, draniu! Nie ma w tym nic zabawnego.

Noah wyciągnął do niego rękę, którą Lizarso uściskał.

– Nie śmieję się – odpowiedział. – Po prostu zdałem sobie sprawę z tego, że mnie lubisz, i to sprawia, że jestem szczęśliwy.

– Mogłeś mnie o to zapytać i zaoszczędzić sobie przedstawienia. O mało nie narobiłem w gacie. – Mikel puścił jego dłoń i spoważniał. – Serio, Noah, myślałem, że umierasz.

– Tak, ja też.

– Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że wszedłem do twojego pokoju w pensjonacie. Kiedy ostatnio u ciebie byłem, widziałem wypis. Przypomniałem to sobie i wspomniałem o tym lekarzom, a oni powiedzieli, że to bardzo ważne.

– W porządku. Co się stało, jak upadłem? Jak się skończyła ta akcja z Kintxo? Ostatnie, co pamiętam, to Murray wracający z toalety. Wszystko widział, myślę nawet, że widział i mnie.

– Nie jestem pewien, czy powinienem z tobą teraz o tym rozmawiać.

– Na miłość boską! Umieram! Myślisz, że coś się zmieni, jeśli mi o tym opowiesz? – wykrzyknął Noah i pokazał gestem, żeby Lizarso usiadł na łóżku.

Ertzaina westchnął, niewątpliwie wyczerpany, i opadł na materac.

– Prawdę mówiąc, od chwili, gdy straciłeś przytomność, nie zwracałem większej uwagi na to, co się dzieje wokół. Widziałem, jak ochroniarze wyrzucali Kintxo na ulicę. Murraya już nie zobaczyłem, przypuszczam, że zwiął, kiedy zobaczył całe to zamieszanie; widziałem za to tę dziewczynę, była w grupie ciekawskich, która nas otoczyła, kiedy medycy cię wynosili. Nie widziałem z nią nikogo. Zapytałem ją, czy nic jej nie jest i co powiedział jej tamten człowiek. Odparła, że to wariat, który chciał z nią flirtować i w kółko powtarzał, żeby nie wychodziła ze swoim towarzyszem, bo ten ją zabije.

– No to nie ma już żadnych wątpliwości, Kintxo musiał zobaczyć coś, co wydało mu się mocno podejrzane. Może nie na tyle, żeby iść z tym na policję, ale wystarczająco, żeby postarać się do tego nie dopuścić.

Lizarso patrzył na Noaha zamyślony.

– Co to znaczy, że Murray cię widział?

– Nie jestem pewien. To przeczucie. Z daleka obserwował to, co działo się między Kintxo a dziewczyną, a ja obserwowałem jego. Sekundę przed tym, jak się przewróciłem, zauważyłem, że światło się przyciemnia, jakby świat zniknął, i mógłbym przysiąc, że w tym momencie on spojrzał tam, gdzie stałem, jakby czuł się obserwowany, jakby wyczuł moją obecność.

– Myślisz, że mógł cię rozpoznać?

– Dotąd uważałem, że nie, ze względu na okoliczności, w jakich się wtedy spotkaliśmy, podczas burzy, prawie w całkowitych ciemnościach, umazani błotem, mokrzy... Jednak on był przy mnie, kiedy miałem pierwszy atak, jestem pewien, że widok, jak ktoś upada w taki sam sposób, musiał mu się wydać co najmniej znajomy. I jest coś jeszcze, o czym nie mogłem ci powiedzieć wczoraj wieczorem; najpierw dlatego, że był z nami Rafa, a później wszystko potoczyło się tak szybko... Dowiedziałem się, że ubrania ofiar przekazywał kobietom ze swojej rodziny. Podczas przeszukania jego domu znaleźliśmy pudło pełne niemodnych ciuchów. One zostawiły te rzeczy, uciekając z kraju. Moją uwagę zwróciła dość osobliwa torebka, a wczoraj zobaczyłem dziewczynę, która miała podobną, i sobie o tym przypomniałem. W latach siedemdziesiątych stworzyła ją pewna projektantka związana z Sex Pistols. To była torebka jedyna w swoim rodzaju. A kiedy otworzyłem ją w domu Clyde'a, w środku znalazłem osobiste rzeczy jego matki albo ciotek. Myślę też, że swojej młodej żonie podarował kolczyki jednej z ofiar. Miała je na zdjęciu z dnia ich ślubu, tym, które znaleźliśmy.

– Cholera!

– To nie wszystko. Doktorka Elizondo uważa, że w ubieraniu krewnych w rzeczy ofiar jest coś chorego. Sądzi, że to one są obiektem jego nienawiści. Przez

całe życie zabija kobiety, które je uosabiają.

– Cholera! – wykrzyknął ponownie Lizarso. – Zaraz, kim jest doktorka Elizondo?

Noah się uśmiechnął.

– To moja psychiatrka.

– Chodzisz do psychiatrii? – zdziwił się Lizarso.

– No cóż, umieram, ścigam seryjnego mordercę i zakochałem się po raz pierwszy w życiu. Sam przyznasz, że to czyste szaleństwo.

Mikel przytaknął z poważną miną.

– Ale pomaga mi także przy tej sprawie, stawia coś w rodzaju diagnozy na odległość, opierając się na wszystkich informacjach, jakie o nim mamy. Ona to nazywa prawdopodobną diagnozą osobowości. Ta sprawa z ubraniami plus rozmowa Johna z jego matką, którą odsłuchaliśmy, częściowo potwierdzają teorię Elizondo, a mianowicie, że to dziwna rodzinna relacja, w której zależność i zniewolenie działają w obie strony. Lekarka uważa, że zerwanie więzi z kobietami z rodziny po raz pierwszy w życiu dało mu zupełnie inną perspektywę. Sekretarka z MacAndrews powiedziała mi, że Murray dostał wczoraj telegram ze Stanów Zjednoczonych. Nie znamy jego treści, ale bardzo mu się to nie spodobało. Myślę, że mimo ostrzeżeń Johna kobiety z jego rodziny znowu się z nim skontaktowały. Gdy dostał telegram po tym, jak je poprosił, żeby więcej do niego nie dzwoniły, poczuł, że nigdy nie zostawią go w spokoju, że zawsze znajdą sposób, żeby utrzymywać z nim więź. Myślę, że go przytłaczają.

– Dobrze byłoby się dowiedzieć, co napisano w tym telegramie.

– Myślę, że one stały się dla Johna ciężarem. Po raz pierwszy funkcjonuje poza wpływem tych kobiet i chyba mu się to podoba. Uważam, że Elizondo ma rację, John jest teraz wolnym człowiekiem. Mówiąc słowami wybitnego Roberta Resslera, wkrótce ewoluuje; nie wiem, w jakim kierunku: czy zniknie, czy się rozpędzi i będzie zabijał, aż go złapiemy, ale postawiłbym na to pierwsze. Możliwe, że ma dość, ale człowiek, którego widziałem wczoraj, jak z dystansu

obserwował, co się dzieje, był oazą spokoju. Zawsze sądziłem, że Biblijnego Johna wyróżnia to, że ma cel. I myślę, że jego celem jest przeistoczenie się w kogoś innego.

– Co teraz będzie? – zapytał Lizarso, zataczając ręką łuk po szpitalnej sali.

– Odpocznę kilka godzin, zanim przyjdą wyniki badań. Potem mnie wypiszą.

– Nie będą robić nic więcej?

– Już ci mówiłem: nie mogą nic dla mnie zrobić – odparł Noah, nie wspominając o rozmowie, którą odbył z kardiologami. – Dostałem nowe dawki leków, z pewnością poczuję się lepiej.

– Ale...

– Posłuchaj, Mikel, chcę ci coś powiedzieć. Chodzi o naszą rozmowę sprzed kilku dni. Nie wiem, co mnie napadło, nie byłem sobą. Przypuszczam, że jestem trochę rozgoryczony, ale zawsze starałem się być dobrym policjantem, bo zawsze wierzyłem w sprawiedliwość, w to, co słuszne. Zostałem gliną, żeby chronić i służyć, i to jedyne, co zrobiłem dobrze w swoim życiu, jedyne, czego nie żałuję. Tak więc zapomnij o wszystkich bzdurach, które ci powiedziałem. Idealizm jest dobry, koniec końców, czymże jest człowiek bez idei, w którą może wierzyć?

Zasłaniając usta jedną ręką, Lizarso głośno wypuścił powietrze nosem.

– Nie myśl, że się nad tym nie zastanawiałem.

– No to daj sobie z tym spokój. Byłem zaślepiony i się pomyliłem.

– Nie, wcale nie.

Noah spojrzał na niego zaskoczony.

– Może właśnie dlatego tak mnie to wkurzyło. Nie wiem, czy to było jedno z tych twoich pieprzonych przeczuć, w każdym razie trafiłeś w czuły punkt. Jestem w *Ertzaintzie* od roku, należę do pierwszego rocznika. Wiesz, co zrobiłem pierwszego dnia jako policjant, kiedy wyjechałem z akademii na motocyklu patrolowym ubrany w nowy mundur? Pojechałem do rodzinnego miasteczka, do Aia. Nie wiem, jak mogli się czuć średniowieczni rycerze, którzy kierowali się na pole bitwy, w zbrojach i konno, ale myślę, że było to zbliżone do tego, co wtedy

czułem. Odpowiedzialność, duma, honor. Zatrzymałem się przed tawerną, wszedłem i zamówiłem kawę. Wszyscy mężczyźni, którzy byli w środku, podeszli, żeby mi pogratulować, ściskali mi rękę i poklepywali mnie po plecach.

– Rozumiem cię, to była głupota z mojej...

Mikel przerwał mu, podnosząc rękę.

– Parę miesięcy później wezwali nas, bo pracownicy fabryki opon Michelin z miasteczka Hernani wtargnęli do Rady Prowincji Gipuzkoa w San Sebastián. Od tygodni demonstrowali w ogrodach, przed głównym wejściem, jeśli padało, to pod łukami, i zawsze pokojowo. Ale tego dnia odbywało się posiedzenie plenarne, zebrało się sporo deputowanych i nie wiem, dlaczego postanowili tam wejść i zażądać rozmowy z prezydentem. Było ich około pięćdziesięciu, stali tam, zakłócając posiedzenie, ale bez żadnej formy przemocy. W sumie przyjechały dwa oddziały. Wkroczyliśmy do budynku, wylegitymowaliśmy ich i poprosiliśmy, żeby wyszli, ale oni powiedzieli, że nigdzie się nie ruszą, dopóki nie porozmawiają z prezydentem. Ponieważ zachowywali się pokojowo, kazano nam się wycofać do pomieszczenia za salą główną i tam czekaliśmy. Gdy tylko znalazłem się w budynku, od razu rozpoznałem swojego wuja, brata ojca; co najmniej od trzydziestu lat pracował w fabryce Michelin, i on też mnie zobaczył, ale obaj udawaliśmy, że się nie widzimy, nie chodziło też o to, żeby się tam od razu witać. Noah, ja zawsze wspierałem walkę robotników na mojej ziemi. Dokądkolwiek pojedziesz, powiedzą ci, że tutaj pracuje się ciężko, ale w niewielu miejscach uzyskano to, co osiągnęli robotnicy w Kraju Basków... A zrobili to, wypruwając sobie żyły w przedsiębiorstwach, ale domagając się swego. Walka robotników w Kraju Basków jest powodem do dumy, bo kiedy pracownicy naciskają, aby dostać lepsze warunki, każdy ich wspiera. Myślę, że w jakiś sposób ludzie rozumieją, że ta tkanina jest częścią sieci, która oplata nas wszystkich, i kiedy robotnicy z jakiejś fabryki idą strajkować, to strajkują wszyscy. Ich żony nie wybierają się na zakupy, dzieci nie idą do szkoły, sklepy są zamykane, nie działa transport. Paraliżują kraj. Pracodawcy o tym wiedzą, prawdopodobnie dlatego pracownicy w Kraju Basków uzyskali najlepsze z możliwych warunki pracy, ale

tego nie nadużywają. Tutaj robi się swoje i ma się poczucie dumy, co – i tu być może masz rację – łączy nas trochę z Irlandczykami. No więc byliśmy tam mniej więcej godzinę i nagle nadszedł rozkaz, żeby ich wyrzucić. Wszyscy popatrzyliśmy na siebie, a potem na naszego szefa. Jak to wyrzucić? Niektórzy zaczęli protestować, mówiąc, że nie pójdą tam i nie będą wywalać tych ludzi za pomocą pał. Wtedy usłyszeliśmy, że nie ma takiej potrzeby, że wrzucimy tam kilka pocisków dymnych, wyjdą sami i wszystko skończy się w ciągu minuty. Nie mieliśmy nawet masek, same kaski. Noah, przysięgam na mojego ojca, że nie wiem, co, do cholery, rzuciliśmy tamtego dnia, ale kiedy to zaczęło się rozprzestrzeniać, myśleliśmy, że umrzemy. Dostawało się do oczu, do nosa, do ust, swędziało, piekło, przenikało do płuc i uniemożliwiało oddychanie. Nasz szef miał rację: nie trzeba było czekać nawet minuty. W ciągu kilku sekund wszyscy znaleźli się na zewnątrz, łącznie z nami. Wszyscy przerażeni: manifestanci, deputowani i sami policjanci. Większość pobiegła do parku przy placu Guipúzcoa w poszukiwaniu wody. Wielu skończyło w stawie razem z kaczkami, próbując pozbyć się ze skóry tego gówna. „Skurwysyny” to najłagodniejsze, co usłyszeliśmy, ale najbardziej zabolalo mnie to, że nazwali nas zdrajcami. Sprzedawczykami. Podnieśliśmy naszych kolegów, którzy leżeli na trawie, wsiedliśmy do furgonów i odjechaliśmy, niemal stamtąd uciekliśmy. Pamiętam twarze kumpli. Zawstydzeni, zdruzgotani, kaszlący i o mało nie wykończeni tą trucizną. Napisały o tym wszystkie gazety. Kiedy wróciłem do tawerny w swoim miasteczku, jedni nawet nie chcieli się ze mną przywitać, drudzy zapytali, jak mogliśmy zrobić coś takiego. Po kilku dniach niektórzy koledzy radzili sobie z tym lepiej, inni gorzej. Szef nas zwołał i powiedział, że to się więcej nie powtórzy, mieli pozbyć się tego gazu i na przyszłość wyposażyć nas w maski. Niektórzy bili brawo. Ja musiałem wyjść, żeby zwymiotować. W ciągu następnych dni poważnie zastanawiałem się nad odejściem ze służby. Wtedy zaproponowano mi, żebym dołączył do grupy zajmującej się sprawami bezpieczeństwa. Wuj do dziś się do mnie nie odzywa, kuzyni ledwo co. Ojciec ze mną rozmawia, ale wiem, że się wstydzi. Powiedział mi, że pójście do tawerny nie było dobrym pomysłem.

– Bardzo mi przykro – rzekł Noah.

– No więc sam widzisz, miałeś całkowitą rację. Tutaj mi się podoba, czuję, że jesteśmy na dobrej drodze, w jakiś sposób tworzymy to, co kiedyś będzie departamentem bezpieczeństwa baskijskiego rządu. Na razie to wygląda tak, jakbyśmy bawili się w szpiegów, starając się gromadzić informacje, ale posuwamy się do przodu. To jest dobre i jednocześnie złe. Nie wiem, czy moi koledzy się nad tym zastanawiają, ale ja nie mogę przestać myśleć, co się stanie w dniu, kiedy zabiją pierwszego *ertzainę*, bo teraz już wiem, co się wydarzy.

Noah westchnął. Nic nie powiedział, ponieważ akurat w tej chwili do sali wszedł lekarz w towarzystwie pielęgniarki. Nie czekając, aż Lizarso wyjdzie, zwrócił się do pacjenta:

– Dobrze, Noah. Mamy już brakujące wyniki badań i wszystko zmierza w tym samym kierunku, o którym rozmawialiśmy wcześniej. Pozwól, że będę ci mówił po imieniu. To twoja decyzja, więc cię wypiszemy. Pielęgniarka przekaże ci wszystkie recepty na nowe leki. Pamiętaj, żeby przyjmować je zgodnie z naszymi zaleceniami. – Potem, patrząc na Lizarso, dodał: – Jeśli zależy ci na twoim przyjacielu, powinieneś próbować go przekonać. To kwestia życia lub śmierci. I nie jest to tylko utarty zwrot.

Maite

Maite opuściła roletę w barze, zostawiając prześwit czterdzieści centymetrów od podłogi. Deszcz wciąż nie ustawał, lało tak mocno, że krople odbijały się od ziemi. Westchnęła melancholijnie. Zawsze lubiła deszcz, ale padało już... ile dni? Pięć, sześć, bez przerwy. Wróciła za kontuar, żeby pogłośnić muzykę. To zwykle był przyjemny moment. Sprzątała za barem, a w lokalu siedzieli jeszcze ostatni klienci. Potem opuszczała roletę, zostawiając tylko szczelinę, żeby się przewietrzyło, i kończyła sprzątać, sama w swoim barze. W barze, który stworzyła własną determinacją, który pozwolił jej utrzymać córkę i żyć, nie będąc zależną od nikogo. Lokal był dość stary, kiedyś mieścił się tu bar należący do dawnego kasyna, wyższe piętra od lat były zniszczone, ale za dobrą cenę udało jej się wynająć parter, a potem go kupić. Przyjemna odmiana w codziennej rutynie. Zmęczenie nagromadzone w ciągu dnia wyparowywało, kiedy zostawała sama, podkręcała muzykę, a potem zmywała i zmywała podłogę czy obliczała dzienny utarg. Czasami po skończeniu pracy przygaszała światła i siadała na środku lokalu, zastanawiając się, jak pomaluje go w przyszłym roku albo jaki remont zrobi, gdy tylko uzbiera trochę więcej pieniędzy. Wtedy czuła się szczęśliwa.

Przygotowując wiadro do zmywania podłogi, odwróciła się, rozczarowana, w stronę świeczki płonącej u stóp Dziewicy Begoña.

– Aj, *Amatxu* – westchnęła.

Wtedy przyznała, że jej smutek nie wynika z deszczu. Była Baskijką, już niejedne święta spędzała przy takiej pogodzie. Poza tym padało w dniu jej ślubu z Kintxo i w dniu, kiedy urodziła się Begoña; padało, kiedy pierwszy raz otworzyła bar. Nie, to nie deszcz, to nigdy jej nie deprymowało. Przeniosła wiadro z za kontuaru i zaczęła zmywać podłogę. Smutek zamienił się w złość, kiedy pomyślała o tym, jaka była głupia. Zakochała się w tym facecie jak jakaś małolata. Miała trzydzieści pięć lat i nie czuła się tak od czasów nastoletniości. Ponownie wyjęła mopa i tarła mocno, aż ślady na podłodze zniknęły. Jej wściekłość narastała. Im dłużej o tym myślała, tym głupsza się czuła. Było ewidentne, że on ani trochę się nią nie interesował, i nie rozumiała, jak mogła być taka ślepa, by tego nie zauważyć. Wystawił ją dwa razy, z tą tylko różnicą, że dziś nie zjawił się tu z absurdalną wymówką. Mimowolnie odwróciła się w stronę miejsca, które Noah zwykle zajmował. Westchnęła, myśląc o nim. W jego spojrzeniu był cichy, spokojny smutek, który stanowił dla niej zagadkę. Wydawało jej się, że widziała w nim szczerą, ostrożną nieśmiałość. Zastanawiała się, jak to możliwe, że wyglądał na tak szczerego, tak autentycznego. No i tamten pocałunek... Jeśli był oszustem, to stosował najbardziej wyrafinowaną metodę spośród wszystkich, o jakich kiedykolwiek słyszała. W ciągu tych lat spędzonych za kontuarem w barze udaremniała zaloty wszelkiej maści łobuzów, łajdaków, ale i poczciwców. Zdawała sobie sprawę z tego, jakie to było niedorzeczne; gdyby jej własna historia była historią przyjaciółki, powiedziałyby jej: „Dziewczyno, oszalałaś! Jak to możliwe, żeś się zakochała? Jak to możliwe, że nie myślisz o niczym innym? Jak to możliwe, że myślisz, że go kochasz? Jak to możliwe?”.

Wsadziła mopa do wiadra i wyjęła go wściekle. Ponownie przeniosła wzrok na świeczkę poświęconą Dziewicy Begoña i podczas gdy łzy napływały jej do oczu, dalej wycierała podłogę mocnymi, pełnymi złości pociągnięciami.

Czyż nie byłoby dobrze, gdybyśmy mogli żyć bez trosk?

*WOULDN'T IT BE GOOD IF WE COULD
LIVE WITHOUT A CARE?*

Po przejściu od drzwi szpitala do samochodu, który stał względnie blisko, byli cali przemoczeni. Noah nie chciał czekać, mimo że Lizarso nalegał, że przyniesie parasol, który trzymał w bagażniku. Kiedy wsiedli, *ertzaina* zapytał:

– Co miał na myśli lekarz, mówiąc, że powinienem spróbować cię przekonać?

Do czego mam cię przekonać, Noah?

Scott Sherrington wypuścił powietrze nosem. Lizarso był wobec niego szczery, był jego przyjacielem, więc koniec końców – należała mu się prawda.

– Jest pewna operacja.

– Operacja, która może cię wyleczyć?

– Cóż, może mnie wyleczyć albo może mnie zabić, ale to w moim przypadku nie ma większego znaczenia, bo i tak umrę.

– To wspaniale! – wykrzyknął szczerze uradowany Lizarso. – Powiedziałeś, że nie mogą nic zrobić.

– Mikel, wybrali mnie, bo jestem bliski śmierci. Idealnie im pasuję ze względu na wytrzymałość, wiek, kondycję fizyczną, no i dlatego, że zostało mi bardzo mało czasu. Ale to nie jest panaceum, to bardzo skomplikowana operacja, bardzo ryzykowna, wykonano dopiero kilka takich, nie wiem, czy słyszałeś kiedyś o transplantacji serca.

– Tak, parę miesięcy temu czytałem o tym w prasie. To niesamowite, Noah. Oczywiście, że też ryzykowne, wyobrażam sobie, że bardzo trudne, ale lepsze to niż ta druga opcja, co?

Noah milczał.

– Dlaczego muszę cię przekonywać? Jesteś już przekonany, prawda?

– Jeszcze dziś chcieli mnie przewieźć do szpitala w Pampelunie. Gdybym się zgodził, już bym tam był.

Mikel Lizarso przez chwilę patrzył na niego w milczeniu. Było słychać jedynie deszcz bębniący o samochód. Woda lała się po przedniej szybie, tak że nie było widać niczego na zewnątrz.

– No tak – odezwał się w końcu – wiem, co robisz, wiem, co zamierzasz, i rozumiem cię, dobrze wiesz, że cię rozumiem, ale wczoraj, kiedy straciłeś przytomność w dyskotecie, myślałem, że nie żyjesz, do cholery! Nie mogłem znaleźć tętna. Ten lekarz nie przesadza, mówiąc, że to sprawa życia lub śmierci.

– On coś zrobi. Planuje zabić kolejną dziewczynę albo uciec, albo i to, i to...

– Martwy go nie złapiesz.

Noah zamknął oczy i zacisnął usta.

– Coś się niebawem stanie, czuję to.

Lizarso uruchomił silnik i spojrzał na niego zmartwiony.

– Przyjacielu, mam tylko nadzieję, że tym razem się nie mylisz.

Zaparkowali w pobliżu kościoła Świętego Mikołaja i Mikel wyjął z bagażnika parasol. Noah nie protestował, kiedy ten odprowadzał go do pensjonatu. Z baru Maite spod rolety i przez małe okienka nad drzwiami sączył się pas złotego światła.

Mężczyźni przystanęli, Lizarso obserwował Noaha, który patrzył w stronę tego światła.

– Myślisz, że dasz radę sam podnieść roletę?

– Spadaj!

– Mam zabrać parasol czy ci zostawić? Wydaje mi się, że tam w środku czeka cię niezłe lanie.

– Idźże wreszcie!

Na twarzy Lizarso pojawił się szeroki uśmiech. Zostawił Noaha przed wejściem i odszedł, choć jeszcze raz obejrzał się za siebie z uśmiechem.

Chyba żartujesz, nie masz o tym pojęcia

*YOU MUST BE JOKING, YOU DON'T
KNOW
A THING ABOUT IT*

Noah nachylił się nieco i podniósł roletę. Maite zmywała podłogę, stojąc plecami do drzwi. W radiu znowu rozbrzmiewała piosenka *Amor de hombre*.

– Zamknięte! – zawołała, odwracając się. Na jego widok najpierw zrobiła zdziwioną minę, a później stanęła nieruchomo, w milczeniu.

Noah zaczął mówić.

– Maite, mam ci wiele do powiedzenia i jeśli dasz mi szansę, jeszcze dziś wszystko ci wyjaśnię.

Spuściła wzrok, rozczarowana.

– Nie jesteś mi winien żadnych wyjaśnień. Wróc jutro, już zamknięte.

Odwrócił się, lecz nie wyszedł z lokalu. Opuścił roletę i na powrót zwrócił się do niej.

– Maite, właśnie wypisali mnie ze szpitala Cruces. – Podniósł prawą rękę z foliową torbą z logo placówki, w której miał teczkę z wypisem i recepty, a także kurtkę z rewolwerem, który wyjął ze spodni. Położył torbę na jednym ze stołków. – Spędziłem tam całą noc i cały dzień. Powiem ci to, co przyszedłem ci powiedzieć, bo nie wiem, czy będę miał drugą szansę. A później, jeśli zechcesz, pójdę sobie.

Patrzyła na niego i czuła, że jego oddech przyspieszył. Uważała, że wygląda bardzo ładnie. Miał na sobie ciemne spodnie i białą koszulę podwiniętą do łokci. Pod wpływem deszczu pofalowały mu się włosy, które były czarne i błyszczące, co kontrastowało z jakże bladą skórą, tymi niebieskimi oczami i czerwonymi workami pod nimi. Nie wyglądał na chorego, może niewyspanego, może zmęczonego, ale nie chorego. Przymknęła bez uśmiechu, zgadzając się, by mówił. Chociaż nigdy nie mogłaby sobie wyobrazić tego, co zamierzał jej powiedzieć.

Noah zrobił kilka kroków, aż znalazł się naprzeciwko niej, na parę sekund zacisnął powieki, jak gdyby zbierał się na odwagę albo szukał odpowiednich słów. A potem powiedział:

– Maite, kocham cię.

Zaskoczona, otworzyła usta i przyłożyła dłoń do piersi.

– Aj, *amatxu maitia*¹⁶!

– Mówię szczerze – ciągnął. – Myślę, że cię kocham, odkąd pierwszy raz wszedłem do twojego baru. Nie mogę przestać o tobie myśleć i jestem szczęśliwy tylko wtedy, gdy cię widzę. Wiem, że nie tak się to robi, że zasługujesz na to, bym zapraszał cię na kolacje, zabierał na tańce, bym kupował ci kwiaty, bym się do ciebie zalecał i wyznał ci miłość jak należy, zasługujesz na to wszystko, ale ja nie mam czasu, Maite.

Spuściła wzrok na jego ręce i zauważyła, że ma jeszcze plaster w miejscu, w którym był wkłuty wenflon. Wyciągnęła rękę, ujęła jego dłoń i wtedy poczuła, jak cały się trzęsie. Maite nigdy nie widziała trzęsącego się mężczyzny. Przysunąwszy się bliżej, przekonała się, jak ładnie pachnie i jaki jest wysoki. Gdy

tylko stanęła na palcach, Noah się nachylił i ją pocałował. Kiedy ją puścił, uśmiechała się. On nie. Westchnął głęboko, wciąż strapiony.

Spojrzała na niego, nie rozumiejąc, co się dzieje.

– Ja też cię ko...

Ale on położył palec na jej ustach.

– Jest coś jeszcze, o czym musisz wiedzieć. Jestem chory, Maite. To jest powód, dla którego spędziłem cały dzień w szpitalu, to jest powód, dla którego nie przyszedłem na spotkanie z tobą wczorajszej nocy. Jestem chory i umrę, jeśli będę się z tobą kochał.

Maite się uśmiechnęła.

– Ja też umrę.

Parsknął śmiechem, a ona patrzyła na niego, zdezorientowana. Nagle śmiech ucichł i Noah zdołał jedynie smutno wykrzywić usta, a do oczu napłynęły mu łzy.

– Nie, Maite, dosłownie. Ja naprawdę umrę.

– Co ty mówisz? – zapytała zaalarmowana.

– Dlatego nie mogę cię kochać, Maite. To jest powód, dla którego nie powiedziałem ci tego wcześniej, powód, dla którego nie mogę z tobą być.

Wtedy ona go pocałowała i zrobiła to znowu, kiedy on próbował odpowiedzieć, raz i drugi, i znowu, i znowu... I w ten oto sposób Noah się przekonał, że doktorka Elizondo nie myliła się również co do Maite. Ona nie należała do tych kobiet, które pozwalały, by ktokolwiek decydował za nie.

¹⁶ *Maitia* (bask.) – tu: kochana; kochanie.

Bilbao

Czwartek, 25 sierpnia 1983

Świtało, a deszcz nadal padał, tak jakby miał już nigdy nie przestać. Jak każdego ranka w ostatnich dniach Noah zastanawiał się, ile czasu mogło mu jeszcze zostać. Nie miał pojęcia ile, lecz było coś, co tego poranka i owszem, wiedział – mianowicie spędził najcudowniejszą noc w swoim życiu. Nigdy by nie pomyślał, że dwoje kochanków może się aż tyle całować. Nigdy nikogo tyle nie całował, nigdy nie był tyle całowany. Usta Maite miał odciśnięte na każdej części swojego ciała. Na rękach, na stopach, na włosach, na oczach, na opuszkach każdego palca, na wgłębieniu na karku, u podstawy czaszki. I na ustach. Jej zapach, ślinę i ciepło miał odciśnięte w postaci pocałunków na każdym centymetrze skóry i wiedział, że nigdy w życiu nie był tak kochany.

Spojrzał na nią, drzemiącą obok, i uśmiechnął się zachwycony siłą tej kobiety, która – tak jak pierwszego razu, gdy ją zobaczył – nigdy nie da mu wytchnienia i której on nigdy niczego nie odmówi. Dopóki będzie żył.

Z początku się opierał, ale w jakiś sposób uważał, że jest jej to winien, że jest jej winien prawdę na temat swoich uczuć, ale także na temat spodziewanej długości swojego życia. Jeżeli tak jak mówiła doktorka Elizondo, egoistycznie jest decydować za innych, nie byłoby uczciwe, gdyby nie dał jej wszelkich elementów niezbędnych do oceny. Ostatecznie postanowił spróbować jej wytłumaczyć to wszystko, o czym powiedział, podać wszelkie wyjaśnienia, nawet pokazał jej wypis

ze szpitala. Ona słuchała uważnie, od czasu do czasu zadając jakieś pytanie. Przejrzała dokumenty i ulotki dołączone do leków, a na każdą jego odpowiedź reagowała tak samo: jeszcze większą liczbą pocałunków. Nie powiedział jej tylko o jednym, a mianowicie o tej niewielkiej szansie na otrzymanie nowego serca. Byłoby to egoistyczne, wiedział, że gdyby dał jej brzytwę, ona byłaby gotowa chwycić się jej z całych sił. W pewnym momencie Maite wzięła klucze do baru w jedną rękę, a drugą ujęła jego dłoń.

– Begoña nocuje dziś u Edurne. Chcę, żebyś spędził ze mną noc. To chyba możesz, prawda?

Noah przytaknął.

Nie kochali się, ale i nie spali. Całowali się i rozmawiali, i między jednym pocałunkiem a drugim Noah opowiedział jej wszystko, wszystko, naprawdę wszystko: jak poznali się jego rodzice, o swojej podstawówce, pierwszych kolegach, absurdalnym wypadku z grzejnikiem, który kosztował życie jego rodziców, o swoim pragnieniu, by zostać policjantem, o kobiecie, która mogła być jego żoną, o Biblijnym Johnie, o wszystkich tych latach poszukiwania go, o nocy, której na chwilę go złapał, o upiornym płaczu, który obaj usłyszeli, a także o tym, czego doświadczył, kiedy umarł.

– Jak to wyglądało, Noah? Co tam jest?

I to, czego nie mógł powiedzieć doktorowi Handleyowi, to, czego nie chciał powiedzieć Gibsonowi, to, czego jeszcze nie powiedział doktorce Elizondo, to, co sprawiało, że każdej nocy budził się przerażony, ta część świadomego snu, którego nie chciał już więcej doświadczać, to, czego, jak sądził, nigdy nie mógłby opowiedzieć nikomu, opowiedział Maite, jak gdyby zawsze była jedyną adresatką tej historii. Powiedział to z taką samą naturalnością, z jaką pojawiała się w jego umyśle, słowami, których nigdy nie używał, by opisać strach, a tym bardziej w obcym języku.

– Najpierw poczułem coś takiego jakby ciepły podmuch wiatru. Jakby przeszła mnie fala ciepłego powietrza. Nie czułem bólu, nie czułem niczego.

Nagle wokół zrobiło się ciemno, chociaż w jakiś sposób byłem świadomy samego siebie. Potem ta ciemność spowiła mnie całkowicie, niczym zimna żelatyna, i zaczęła się wciskać we wszystkie pory mojej skóry, aż zawładnęła mną zupełnie. W miarę, jak mnie ogarniała, przestawałem być sobą i zamieniałem się w nic. To było przerażające, bo każdy fragment mojego serca, mojego mózgu i mojej duszy walczył o to, żeby nie zniknąć, żeby nie umrzeć, nie chciał tego zrobić, nie poddawał się śmierci. I wtedy przywrócili mnie z powrotem. Od tamtego dnia, za każdym razem, gdy zasypiam, budzę się i nie wiem, czy umarłem, czy nie. Rodzice ochrzczili mnie w Kościele prezbiteriańskim, ale nigdy nie uważałem się za człowieka wierzącego. Nigdy się tym nie przejmowałem, Maite. Przez całe życie byłem policjantem, pogodziłem się z tym, że któregoś dnia mogę dostać kulkę i umrzeć, tak jak wielu innych, leżąc w jakiejś uliczce. Ale teraz się boję, teraz, kiedy kończy mi się czas, mam świadomość, że w tym życiu byłem nikim. Nie żebym chciał iść do nieba czy coś w tym stylu, ale wolałbym być wodą w oceanie albo piaskiem na plaży, cząstką we wnętrzościach ryby. Gdyby chociaż umieranie było tak jak spanie, jak odpoczywanie, ale ono takie nie jest, Maite. Tam niczego nie ma. Tylko ciemność gotowa mnie wchłonąć, wcisnąć się w moje pory i uczynić mnie częścią siebie.

Maite przytuliła go mocno i odezwała się stanowczym tonem:

– Jeśli nadejdzie ten moment, będzie inaczej. Teraz jesteś kimś ważnym w tym życiu, w moim życiu, jesteś moją miłością, Noah, a to musi czemuś służyć.

Potem zajęła się przemierzaniem jego ciała zimnymi palcami i ciepłymi pocałunkami.

– Wszystkie pory twojej skóry uszczelnię miłością, zrobię ci tarczę z pocałunków i śmierć cię nie dosięgnie. Obiecuję ci to, kochanie. Uczynię cię częścią siebie i będę się ciebie domagać na tym świecie i na tamtym.

Noah się uśmiechnął.

– Już było inaczej. Wczoraj, kiedy obudziłem się w szpitalu, pierwsze, co zobaczyłem, to byłaś ty, pierwsze, co usłyszałem, to był twój głos. Lekarz

powiedział, że wołałem cię przez sen.

W którymś miejscu domu zadzwonił telefon i Maite wyszła z łóżka, żeby odebrać, mówiąc po drodze:

– To na pewno Begoña. Zawsze dzwoni do mnie po przebudzeniu.

W oddali usłyszał jej głos, matczyzny i ciepły głos, którym rozmawiała ze swoją córką. Uśmiechając się jak dziecko, nachylił się nad miejscem, w którym został jeszcze ślad jej zapachu, i wciągnął go głęboko w nozdrza, pragnąc jedynie, żeby tu wróciła.

Zjawiała się chwilę potem, naga i wychłodzona, przeszła przez pokój, ale zanim położyła się do łóżka, włączyła radio.

Głos prezentera wypełnił przestrzeń, przebijając się przez dźwięk uderzającego o szyby deszczu: „Deszcz w dalszym ciągu psuje świętowanie Wielkiego Tygodnia, ale mimo wszystko publiczność zalewa Arenal podczas południowego *sokamuturra*¹⁷, a wieczorami bawi się w najlepsze. Przedwczoraj torreador Manolo Vázquez pożegnał się wzruszająco z areną w Bilbao, odcinając pierwsze ucho na tegorocznym święcie, a wczoraj tryumfował Ruiz Miguel, który zapewnił widzom przednią zabawę. Nawet najstarsi miejscowi nie pamiętają Wielkiego Tygodnia w takiej ulewie”.

Noah zauważył, że Maite jest trochę poważniejsza niż wcześniej.

– Wszystko w porządku?

– Tak, dzwoniła Begoña, martwi się trochę o swojego ojca. Pamiętasz, jak ci mówiłam, jaki zrobił się ostatnio uciążliwy, wyznacza jej godziny powrotu i nalega, żeby odprowadzać dziewczynki do domu...? Co wieczór umawiają się na Arenal, on je odbiera i przyprowadza tutaj albo do mieszkania Edurne. Wczoraj się nie zjawił. A teraz Bego mówi, że dzwoniła do niego i nie odbiera.

Nagle Noah przypomniał sobie, jak Kintxo próbował przekonać tamtą dziewczynę, żeby nie wychodziła z Murrayem. Wspierając się na łokciu, spojrzał na Maite.

– Zdarzało mu się to już?

– Wcześniej tak, kiedy Begoña była mała, czasami przez całe tygodnie nie miałam od niego wieści. Ale po powrocie z platformy wiertniczej się zmienił. Nie wiem, czy widząc, że mała dorasta, uświadomił sobie, że ją traci, czy może sam dojrzał. Prawda jest taka, że w ciągu ostatnich lat bardzo się nią interesował, choć nigdy nie był taki męczący jak teraz. I sam widzisz, najpierw tyle im się naprzykrza, a potem nie przychodzi.

– A ciebie to nie martwi?

– Znam Kintxo, zawsze był hulaką, a natura ciągnie wilka do lasu. Oczywiście nie powiem tego córce, ale możliwe, że śpi z jakąś dziewczuchą albo wygrał w bingo i szlaja się gdzieś, wydając pieniądze. Stawiałabym na to drugie, bo już kiedy wczoraj nie przyszedł do baru, żebym mu coś dała, uznałam to za dziwne. Jak powtarzała moja matka: „Przyjdzie, jak zgłodnieje”.

Noah wyjaśniał jej już, że przybył do Bilbao, ścigając niebezpiecznego człowieka. W tym momencie rozważał, czyby jej nie powiedzieć, że jest pewien, iż tym człowiekiem jest Murray. I że Kintxo też tak uważa, sądząc po tym, jak próbował przekonać dziewczynę w dyskotecce, żeby z nim nie wychodziła; i jak podejrzanе wydaje się to, że najpierw pokrzyżował Murrayowi plany, a teraz nie daje znaku życia. Lizarso mu powiedział, że widział, jak ochroniarze wyrzucają Kintxo na ulicę. Może Maite miała rację i śpi u jakiejś swojej przyjaciółki albo świętuje wygraną. Nie chciał jej przestraszyć. Dlatego nachylił się i znowu ją pocałował.

W radiu tymczasem rozbrzmiała piosenka *Amor de hombre*. Maite podśpiewywała: „Aj, miłość mężczyzny, doprowadzasz mnie do łez kolejny raz”.

– Nie wiem, dlaczego tak bardzo ci się podoba ta piosenka. Miłość nie powinna doprowadzać do łez. – Podniósł rękę do jej twarzy i ją pogłaskał. – Ja nigdy nie doprowadzę cię do łez, Maite.

– W takim razie nie umieraj. Bo jeśli to zrobisz, możesz być pewien, że będę po tobie płakać jak jeszcze nikt na świecie.

¹⁷ *Sokamuturra* (bask.) – przypomina *encierro* (gonitwę z bykami po ulicach miasta) z tą różnicą, że byk jest trzymany na kilkudziesięciometrowej linie.

Biblijny John

Wcześniej rano, jeszcze zanim otworzyli, zadzwonił do biura i zostawił wiadomość. Dziś nie przyjdzie do pracy. Jest chory. Nie skłamał. Pod drzwiami pensjonatu wrócił w środku nocy. Przemoczony do suchej nitki i wpół nagi, czekał czujnie w ciemności, aż się upewnił, że wszyscy śpią. Po prysznicu, pod którym szorował się tak, jakby miał zedrzeć skórę, zabandażował sobie zranione palce, nie będąc w stanie oderwać całkiem paznokcia, który został oddzielony od skóry i wyglądał jak małe skrzydła owada siedzącego na jego palcu, trzymając się tylko u nasady. Rozgrzebał łóżko i włożył do swojej torby ubranie na zmianę, wszystkie pieniądze, jakie miał, dokumenty na nazwisko Robert Davidson, które zdobył kilka miesięcy wcześniej na podstawie oryginału, oraz te, które ukradł martwemu Murrayowi. Następnie uklęknął przy łóżku niczym grzeczny chłopiec, który zamierza zmówić modlitwę, i wsunął rękę w rozcięcie w materacu. W kopercie znajdowały się cztery inne, a na każdej z nich tylko jedno słowo: „Bilbao”. John wsadził kopertę za pas, upewniając się, że została zasłonięta przez lekką koszulę, i omiół wzrokiem pokój, który zamieszkiwał jako John Murray. Rozmyślał o tym, że jeszcze nigdy nie był tak szczęśliwy jak w skórze tego nieszczęśnika. Zgasił światło.

Zamierzał już wyjść, kiedy zauważył, że na podłodze leży koperta. Z pewnością właścicielka pensjonatu wsunęła ją pod drzwi, a on nieświadomie po niej przeszedł. Podniósł ją zaniepokojony i wrócił, by przeczytać wiadomość. Jak go znalazły? Był pewien, że w żadnym momencie nie powiedział im, gdzie się zatrzymał. Jak daleko sięgały macki tych hydr? Przypuszczał, że wszystkiemu jest winna ta wścibska

telefonistka z MacAndrews. Tak, był pewien, że to ona. Przez cały tydzień przekazywała mu informacje o telefonach od nich, a nawet telegram. Skoro matka dzwoni do pracy swojego syna, prosząc, żeby się z nią pilnie skontaktował, to kto nie udostępniłby jej adresu pensjonatu, w którym zatrzymał się ukochany potomek?

Przytłoczony udręką, cofnął się, aż dotknął materaca, i usiadł po ciemku. To był jego zwyczaj od małości. Zatrzymać się w ciemności, przy głębokiej balii i naprzeciwko jeziora, i pozwolić myślom płynąć w absolutnej ciszy, w przeciwieństwie do mętliku, jaki miał w głowie. Dotyk papieru palił mu skórę i przenikał aż do żywego mięsa jego na wpół wyrwanych paznokci. Nawet w ciemności zdołał dostrzec ubrania wiszące na haczyku za drzwiami, przeczytaną do połowy książkę leżącą na stoliku nocnym oraz logo MacAndrews na kamizelce rzuconej na krzesło pod oknem. Ogarnął go głęboki smutek i pomyślał o tym, jak bardzo chciałby móc tu zostać. Dalej być Johnem Murrayem, każdego wieczoru rozmawiać o polityce ze swoimi kumplami, nadal sprawdzać kontenery, gawędzić z dokerami i bosmanami, pływać na swojej małej motorówce w górę i w dół rzeki. Po raz pierwszy w życiu poczuł, że żyje poza pajęczyną, którą one utkały wokół małego chłopca.

Teraz, z zewnątrz, zaczął rozumieć wiele rzeczy. Początkowo sądził, że wszystkie jego nieszczęścia zaczęły się od dziewczyny, której nie mógł zabić. Kiedy zamykał oczy, znowu widział ją martwą, skuloną w pozycji embrionalnej, jak mała dziewczynka, która zasnęła, płacząc. Żeby rozwiązać swoje wątpliwości, ruszył na poszukiwania nowej ofiary. Wykonanie było idealne, ale w Johnie coś zaczęło się zmieniać. Tamten płacz miał wyryty w pamięci, podobnie jak widok ciała skulonego niczym niemowlęce – podkulone nogi, pięści delikatnie oparte o twarz. Jej obraz zlał się w jego snach z obrazem innego dziecka, chłopca, którego przepędził w najgłębsze miejsce swojego umysłu i który pozostał tam przez cały czas, żeby on go nie widział. Był to chłopiec, który płakał bezgłośnie, by ich nie zdenerwować, i który przemarznięty do szpiku kości, spał owinięty w wytarty pled służący do przykrywania drew. Teraz zdał sobie sprawę z tego, że mógłby wykonywać swoje zadanie do końca życia, ale to nie miało już żadnego sensu,

ponieważ po raz pierwszy od czasu Lucy miał świadomość, że zabił człowieka. Przyjemność, poczucie spełnionego obowiązku, popęd – wszystko zniknęło. Nagle zaczął się zastanawiać, czy to kiedykolwiek istniało, czy niepohamowana chęć ukarania ich wynikała nie tyle z potrzeby, żeby dać im nauczkę, ile z konieczności uśmierzenia bólu chłopca, który musiał zdzierać krew z menstruacyjnych szmat i od małego był zmuszany do picia tego, co ofiarowane.

Przeklinając je, zaświecił lampkę i otworzył kopertę. Wiadomość była krótka: „Edurne dzwoniła do pana dwa razy, zostawiła swój numer”.

John głośno wciągnął powietrze, zaskoczony, że to jednak nie one. Edurne, szkocka księżniczka o rudych włosach. Jej, owszem, powiedział, gdzie się zatrzymał. Schował kartkę do kieszeni, po czym, upewniwszy się, że wszyscy nadal śpią, wyszedł z pokoju. Nie zaczęło jeszcze świtać i wciąż mocno padało. Ruszył w stronę placu Unamuno. Za rogiem podszedł do worków ze śmieciami ułożonych jedne na drugich tuż przy schodach Mallona, wyjął spod ubrań kopertę i wsadził ją do pierwszego otwartego worka, jaki znalazł.

Euri

Euri obudziła Rafę, liżąc go po twarzy. Odsunął ją parę razy, ale wobec nalegania zwierzęcia w końcu dał za wygraną.

– O co chodzi, p-piękna?

Suczka zaskomlała, wskazując mu drzwi.

– Chcesz wyjść?

Uradowana Euri zakręciła się parę razy wokół własnej osi.

Rafa usiadł na łóżku i wyjrzał na zewnątrz; jeszcze nie świtało.

– Jest ba-bardzo wcześnie, Euri, jesteś p-pewna?

Na wpół śpiący, zaczął się ubierać. Podszedł do drzwi, wziął klucze, płaszcz przeciwdeszczowy i smycz Euri.

Z pokoju dobiegł go głos matki:

– Dokąd idziesz, kochanie? Jest bardzo wcześnie.

– Euri chce siku. Zaraz wracam.

– Strasznie pada.

– Euri to nie przeszkadza. Mnie też nie.

– Włóż płaszcz i każ jej się otrząsnąć przed wejściem.

Gdy tylko znaleźli się na zewnątrz, Euri próbowała się wysikać, ale Rafa pociągnął za smycz, żeby nie robiła tego tak blisko drzwi. Kiedy podszedł do schodów, zobaczył Murraya – wychodził z pustej ulicy Tendería. Nie pierwszy raz widział go podczas jednego ze swoich spacerów z Euri o świcie. Tak jak wtedy, gdy zauważył, jak rozbija latarnie przy rzece. Rafa cofnął się w głąb ciemnej alejki

prowadzącej do drzwi wejściowych. Zobaczył, że Murray kieruje się prosto do sterty worków ze śmieciami, które nie zostały jeszcze zabrane przez śmieciarkę przejeżdżającą co rano przez stare miasto. Mężczyzna rozejrzał się dookoła, jakby się obawiał, że ktoś może go zobaczyć, wyciągnął coś spod ubrania i wsadził do jednego z otwartych worków, po czym go zawiązał.

Odszedł pospiesznie w strumieniach deszczu zalewających ulicę.

Nie masz żadnego problemu

YOU'VE GOT NO PROBLEM

Noah wyłączył radio, żeby móc słyszeć Maite. Chciał rozkoszować się poranną ciszą panującą w mieszkaniu, obecnością kobiety, która – choć teraz jej nie widział – była panią tego miejsca. Chciał poczuć emocje związane z tym, że przez moment jest częścią jej życia. Siedząc na łóżku w cynowym świetle poranka, rozejrzał się wokół i przez chwilę ujrzął wizję przyszłości, jaką mógł mieć u jej boku. Spodobało mu się to. Popijał kawę, którą mu przyniosła, zanim poszła pod prysznic, i skupił się na słuchaniu, jak nuci, zapewne pod strumieniem ciepłej wody, podczas gdy deszcz nadal bębnił o szyby. Czuł się szczęśliwy. Gdy spojrział na zegarek, zaskoczyło go, że już po dziewiątej. Przez nikłe światło docierające z zewnątrz miał wrażenie, że jest znacznie wcześniej. Noah wstał z łóżka i włożył bieliznę, wołając w stronę łazienki.

– Maite, mogę skorzystać z telefonu?

– Pewnie, możesz korzystać ze wszystkiego, z czego tylko chcesz – odchrzyknęła. – Czuj się jak u siebie.

Uśmiechnął się. Był przekonany, że w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach przypadków to zdanie wybrzmiewało nie do końca szczerze, lecz wiedział z całkowitą pewnością, że Maite wypowiedziała je z głębi serca.

Wybrał numer biura MacAndrews.

– Dzień dobry, to ja. Jeśli nie może pani rozmawiać, proszę powiedzieć, że ktoś pomylił numer, i zadzwonię ponownie za piętnaście minut.

– Spokojnie, jestem sama, dziewczyny wzięły sobie dzień wolnego, a pan Goñi jest w drugim gabinecie. Dziś uwodziciel nie przyszedł do pracy, zadzwonił bardzo wcześnie, jeszcze zanim przyszedłam, i zostawił wiadomość. Mówił, że jest chory, że dziś nie przyjdzie i nie sądzi, że będzie mógł przyjść jutro. W innym wypadku pomyślałabym, że to wymówka, jutro jest piątek przebierańców, ale prawda jest taka, że on chyba od kilku dni czuje się źle, wygląda jak zagubiona dusza, a dzisiaj jego głos brzmiał całkiem wiarygodnie.

– Dzwoniły do niego znowu te kobiety?

– Nie, ale właśnie dostał kolejny telegram. Chce pan wiedzieć, co w nim napisano?

– Nie, Olgo, zrobiła pani już wystarczająco dużo. A jeśli się dowie, że mi pani pomaga, może pani mieć poważne kłopoty. Czytanie cudzej korespondencji to przestępstwo.

– Nie w tym wypadku. Pan Murray wydał polecenie, żeby nie przyjmować żadnego telegramu, który przyjdzie na jego nazwisko. Wczoraj po południu odesłałam jeden. Dlatego ten, który przyszedł dziś rano, prawdopodobnie nie jest zaadresowany na nazwisko Johna Murraya, tylko na stanowisko inspektora portowego MacAndrews. Oficjalnie jestem jego sekretarką i zostałam upoważniona do kontrolowania każdej korespondencji przysyłanej do firmy.

– Co napisano?

– To brzmi jak modlitwa: „Nie opuszczaj nas”.

Rozłączył się i wybrał numer Lizarso.

– Myślę, że w jakiś sposób rodzina Johna dowiedziała się, że zamierza zniknąć – stwierdził, przekazawszy Mikelowi treść telegramu. – Dziś nie przyszedł do pracy, zadzwonił i powiedział, że jest chory. I jest jeszcze coś: wczoraj wieczorem

Kintxo nie przyszedł odebrać swojej córki i jej przyjaciółki. Maite uważa, że nie ma się czym przejmować.

– A ty?

– Sam nie wiem, co myśleć...

– Dzwoniłem do Gwiazdy. Czarownica z zachodu powiedziała, że cię nie ma.

– Jestem u Maite.

Niemal widział, jak Lizarso uśmiecha się po drugiej stronie linii.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę.

Noah się spieszył, nieco onieśmielony. Na szczęście jego kompan zmienił temat.

– Ale nie dzwoniłem po to, żeby plotkować. Chodzi o Rafę, martwię się o niego. Zatelefonował do mnie bardzo wcześnie, był tak zdenerwowany, że musiał trzy razy powtórzyć, zanim zrozumiałem, co mówi. Twierdzi, że ma dowody, dowody na to, że Murray to Biblijny John. Poprosiłem go, żeby nie ruszał się z domu, właśnie się do niego wybieram. Noah, nie wiem, w co on się wpakował, może to nie był dobry pomysł, żeby dmuchać mu w skrzydła, Rafa nie jest taki jak inni. Jest...

– Ani mi się waż – ostrzegł go Noah.

– Jest delikatny.

– Wiem. Widzimy się u niego.

Noah odłożył słuchawkę i wrócił do pokoju. Maite wyszła właśnie z łazienki. Gdy go zobaczyła, zsunęła z siebie ręcznik, którym była owinięta. Wtedy na korytarzu zadzwonił telefon.

– Noż... – poskarżyła się, na powrót zasłaniając się ręcznikiem w drodze do aparatu. Gdy wróciła po niespełna dwóch minutach, jej twarz była zmieniona.

Noah od razu się zmartwił.

– To Gwardia Obywatelska z portu w Santurce. Powiedzieli, że Czerwony Krzyż wyciągnął z wody mężczyznę w wieku około czterdziestu lat. Miał przy sobie dokumenty Kintxo. Nie żyje. Poprosili, bym przyjechała, żeby go rozpoznać.

Maite chciała, żeby pojechał razem z nią. Noah ponownie zadzwonił więc do Lizarso, by przekazać mu wiadomość i uprzedzić, że jednak nie może zjawić się w domu Rify. Zamówili taksówkę i po drodze odebrali Begońę, która nie przestawała płakać. Siedzący obok kierowcy Noah odwrócił się, żeby spojrzeć na Maite, tulącą córkę w ramionach. Głaskała głowę dziewczyny, jakby ta była malutkim dzieckiem.

Posterunek Gwardii Obywatelskiej mieścił się w budynku zarządu portu, stamtąd radiowóz zawiózł ich do małego baraku w porcie, zajmowanego przez personel Czerwonego Krzyża. Jeden z funkcjonariuszy pokazał im wyłożone na tacy dokumenty, portfel, sygnet z inicjałami oraz złoty łańcuszek, który denat miał na szyi.

Na widok tych rzeczy Begoña zanosła się jeszcze głośniejszym płaczem.

– To należy do taty, *ama...*

Maite przytaknęła, patrząc na funkcjonariusza.

– Skoro rozpoznały panie rzeczy, ostatnim krokiem jest identyfikacja ciała, żebyśmy mieli całkowitą pewność.

Maite wyrwała się z uścisku córki.

– Ja to zrobię.

– Muszę panią ostrzec – powiedział funkcjonariusz. – Uderzenie w głowę zdeformowało część czaszki, więc identyfikacja może nie być łatwa.

Dziewczyna załkała rozpaczliwie, usłyszawszy słowa gwardzisty, którego Maite natychmiast spiorunowała wzrokiem.

– Skąd to uderzenie? Kto go uderzył? – dopytywała Begoña.

– Możliwe, że nikt, najprawdopodobniej sam zrobił sobie krzywdę, upadając. Woda płynie tu bardzo wysoko i z wielką prędkością, brzegi są śliskie, a on sporo wypił.

– Skąd może pan to wiedzieć? – zapytała Maite.

– Badania to potwierdzą, ale wiemy, że wczoraj awanturował się w dyskotecę. Ochroniarze wyrzucili go na ulicę w środku nocy, bo dręczył jakąś dziewczynę.

Sądząc po stanie zwłok, przebywał w wodzie od tamtej pory.

– To nieprawda – odezwał się Noah, stając między funkcjonariuszem a Begoñą, po czym zwrócił się do tej drugiej: – Byłem w tej dyskotecie i wszystko widziałem. Twój ojciec próbował ostrzec pewną dziewczynę, ale powstało nieporozumienie i ona źle zrozumiała jego intencje.

– Dobrze, więc kto to zrobi? – niecierpliwił się gwardzista.

– Ja – odpowiedziała Maite.

– Może ja bym mógł – zaproponował Noah.

Ale ona nie zostawiła miejsca na dyskusję.

– Nie, już słyszałeś, możliwe, że to nie będzie takie proste, ty widziałeś go może parę razy. Musimy być pewne. – Ponownie piorunując wzrokiem gwardzistę, przeszła obok i ruszyła za pielęgniarzem Czerwonego Krzyża.

– Przykro mi – usprawiedliwił się mężczyzna, patrząc na Noaha i dziewczynę.
– Moim obowiązkiem było państwa ostrzec.

Po wyjściu z budynku Noah mocnym uściskiem pożegnał się z Maite przy taksówce, która miała zawieźć je z powrotem do domu. Najbardziej na świecie pragnął być przy niej, jednak gdy zobaczył opanowanie ukochanej kobiety oraz bezbrzeżną rozpacz Begoñi, zrozumiał, że powinien dać im czas i przestrzeń.

Podczas gdy gwardzista spisywał dane Maite, Noah przez okno zobaczył duży holownik płynący w stronę ujścia po frachtowiec o wielkim tonażu, który wydał mu się znajomy. Spojrzał w kalendarz, by się upewnić.

Jeśli dziś jest czwartek, pomyślał, i jesteśmy w Bilbao, to jest „Lucky Man”.

Mrukowaty kapitan Finnegan skinął głową, pozwalając mu wejść, gdy zobaczył go przed mostkiem. Robił właśnie notatki w swoim dzienniku pokładowym i nawet jeśli zaskoczył go widok Noaha, to nie dał tego po sobie poznać.

– Scott Sherrington – powiedział w ramach powitania i natychmiast wrócił do swojego zajęcia, pozwalając, by sekundy upływały niemiłosiernie wolno.

Noah się nie przejął. Stał za sterem i włożył ręce do kieszeni na znak szacunku. Istniały dwa miejsca na świecie, w których nie należało niczego dotykać: miejsce zbrodni i mostek kapitański.

Czekał cierpliwie, aż kapitan skończy; dał mu czas, by umieścił dziennik w schowku i zakręcił delikatnie skuwkę pióra. Potem omiół wzrokiem teren portu przy Łące Anglików.

– Podobno nazwa tego miejsca wzięła się stąd, że dawniej był tutaj cmentarz. Grzebano tu brytyjskich marynarzy, którzy umierali w Bilbao.

– Myślałem, że chodziło o piłkę nożną.

– To też – zgodził się Noah. Następnie w typowym dla Finnegana stylu zapytał:
– Jest pan członkiem IRA, kapitanie?

– Nie – odpowiedział tamten.

– Zwolennikiem może?

– Nie – odparł z takim samym spokojem, jakby odmawiał kawy.

– Miejscowa policja uważa, że co najmniej raz przywiózł pan do Bilbao jakiegoś członka IRA.

– Możliwe – przyznał. – Nie pytam o to ludzi wchodzących na mój statek.

– I że któryś z tych ludzi mógł przywieźć ze sobą ładunek broni.

– Nie na moim statku.

– Może...

– Mam kontrolę nad każdym ładunkiem, który trafia na mój statek i go opuszcza. Gdyby ładunek broni czy czegokolwiek innego płynął na moim pokładzie, wiedziałbym o tym.

Noah westchnął. Jakże trudno rozmawiało się z tym człowiekiem!

– Tak jak podejrzewałem, okazało się, że mężczyzna, za którym przyjechałem aż tutaj, nie jest Johnem Murrayem.

Lester Finnegan ani drgnął. Nadal patrzył na niego w milczeniu.

– Podejrzewam, że prawdziwy John Murray wciąż leży w kostnicy straży pożarnej w porcie w La Rochelle. Murray pracował na platformach wiertniczych,

a potem został zatrudniony jako inspektor portowy przez MacAndrews, firmę, do której należy ten statek.

Kapitan zaczerpnął głęboko powietrza. Noah wiedział, że trafił w dziesiątkę.

– Przypuszczam, że oprócz kontenerów i pracowników, którzy muszą się przemieszczać między jednym portem a drugim, firma prosi pana czasami o przewóz rzeczy innego typu: części zamiennych, gaśnic, materiałów biurowych, przedmiotów osobistych, ksiąg rachunkowych, a nawet poczty...

Finnegan przytaknął.

– Przygotowują je w paczkach albo w torbach i po przybyciu do portu docelowego odbiera je ktoś z biura. To tańsze niż poczta tradycyjna i nieskończenie bezpieczniejsze.

– A proszę mi powiedzieć, kapitanie, czy kiedy pracownik MacAndrews John Murray wsiadł na „Lucky Man”, miał przy sobie jakieś paczki należące do firmy, które miały trafić do Bilbao?

Zaskoczenie na twarzy kapitana Lestera Finnegana było szczere. Skinął, nic nie mówiąc.

– Sądzę, kapitanie, że jeśli mężczyzna, który wysiadł z pańskiego statku w tym porcie, nie był Johnem Murrayem, to mało prawdopodobne, by wiedział, że powinien zabrać ze sobą ładunek, który wniósł na pokład.

Biblijny John

Włóczył się przez pierwsze nieprzyjemne poranne godziny. Nie czuło się, że jest lato. Nikłe światło szybko uwidocznilo, że nie ma na sobie odpowiedniego stroju, jak na tak niską temperaturę. W przemoczonym na powrót ubraniu poszukał baru wystarczająco oddalonego od starego miasta. Chciał schronić się pod dachem i napić kawy, żeby się rozgrzać. Kupił sobie nawet gazetę, żeby mieć co robić – i żeby wyglądać na zajętego. Nagłówki dotyczyły świętowania i polityki. Lehendakari uznał za niefortunną wypowiedź Rafaela Very, sekretarza stanu do spraw bezpieczeństwa; pisano o napięciach z gubernatorem prowincji Bizkaia z powodu nakazu wywieszenia flag przed urzędem miasta. Na próżno próbował się skupić na tyle, żeby móc się odstresować, czego tak bardzo potrzebował. Ostatecznie, zdenerwowany i nieufny, wypił gorącą kawę i zostawił gazetę na stoliku. Nie mógł zostać zbyt długo w żadnym miejscu.

Znowu wyszedł na deszcz. Minęło południe, kiedy dotarł do drzwi hotelu. Luksusowy Carlton znajdował się najdalej od pensjonatu Toki-Ona. Dopóki nie zdecyduje, co robić, potrzebował miejsca, w którym czułby się bezpiecznie, a w wystawnym hotelu nie będą go szukać. Wziął pokój, posługując się dokumentami swojego szwagra. Czuł, że podjął słuszną decyzję, widząc zatłoczony hol. Było tam sporo mężczyzn różnych narodowości mniej więcej w jego wieku. Recepcjonista powiedział mu, że należą do licznej grupy lekarzy przybyłych na wielką konwencję, która miała się odbyć w mieście.

– Jest pan lekarzem? – zapytał go kiepskim angielskim.

John przytaknął, nie mówiąc nic więcej.

Kiedy wszedł do swojego apartamentu i pożegnał boy'a hotelowego, zamknął drzwi na klucz, a potem oparł się o nie i osunął, siadając na podłodze. Był wyczerpany, ranny, śmiertelnie przestraszony. Powtórzył sobie wszystko, co wiedział, co pamiętał z każdego artykułu, jaki przeczytał w prasie w ciągu ostatnich dni. To niemożliwe, tamten mężczyzna nie żył, sprawdził to osobiście. A jednak, kiedy patrzył, jak ten człowiek pada na podłogę w dyskotecce, coś wydało mu się znajome. Nie dawało mu to spokoju i dopiero kiedy zobaczył zwłoki Kintxo, wiedział dlaczego. John wierzył w znaki. Był przekonany, że niebo właśnie zesłało mu jeden z nich. Tak samo jak tamtej nocy, kiedy damy wychodziły ze swoich grobów, piorun zesłany z nieba załatwił tamtego gliniarza. Ten sam Bóg powalił tego typu, jeśli to on teraz znowu go śledził. John nie mógł być absolutnie pewien, nauczył się już żyć z brakiem pewności, ale wiedział, że lepiej być bezpiecznym, niż mieć pewność. Nie mógł dalej myśleć, miał świadomość swoich obrażeń, konsekwencji walki z Kintxo, ciosów, zadrapań, oderwanych paznokci, opuszczonego życia. Musiał dojść do siebie, musiał to zrobić, żeby móc myśleć. Z trudem dotarł do wielkiego łóżka. Rzucił się na nie i zasnął w niespełna minutę.

Na twoim miejscu zostałbym tutaj

I'D STAY RIGHT THERE IF I WERE YOU

Reszta przedpołudnia nieco się skomplikowała. Razem z kapitanem Lesterem Finneganem Noah zszedł do ładowni. Bosman pamiętał, że to sam Murray wybrał miejsce, w którym postawił dwa ciężkie pudła. Odległy, suchy i ciemny kąt. Później zwyczajnie przyjął za pewnik, że w którymś momencie przyślą po nie kogoś z MacAndrews. Ale pudła nie należały do MacAndrews ani nawet do Murraya.

Po tym, jak uradził z kapitanem, co zrobić, spotkał się z przyjaciółmi. Obiad zjadł z Rafą i Lizarso w restauracji Guria, jednym z tych lokali, które kilka dni przed rozpoczęciem świętowania przenosiły się z Barrencalle Barrena na Gran Vía. Musiał przyznać, że było to najlepsze danie z dorsza, jakie jadł w swoim życiu. Poobiednia rozmowa się przedłużyła, bo omawiali kolejne kroki, jakie należało wykonać. Noah był wycieńczony.

Po wyjaśnieniu, w jakich okolicznościach znaleziono zwłoki Kintxo, z rosnącym zaniepokojeniem słuchał relacji o tym, jak Rafa widział Johna, który pozbywał się swoich trofeów, wyrzucając je do śmieci, jak następnie chłopak je

odzyskał i jak żałował, że nie mógł go śledzić, by wiedzieć, dokąd poszedł. Noah podziękował Bogu, że tak się stało, myśląc, że może Lizarso miał rację i dmuchanie chłopakowi w skrzydła okazało się błędem. Nie gasząc ogólnego entuzjazmu, był zmuszony przekonać ich, że zakrwawione tampony i podpaski włożone do kopert dowodziły tylko tego, że dla nich John Murray jest Biblijnym Johnem. Policja uznałaby po prostu, że facet jest świntuchem, a oni wariatami. Teoria, że te rzeczy należały do zaginionych dziewczyn, była właśnie tym: zwykłą teorią. A dopóki nie znaleziono by ciał ofiar, nie dało się stwierdzić, że to ich rzeczy.

Później musiał im opowiedzieć o znalezisku na „Lucky Man” i przekonać Lizarso, że na razie najlepiej nic nie robić, bo sprawa skomplikowała się bardziej, niż się spodziewał. Czterdzieści pistoletów Colt M1911 oraz amunicja, drobny prezent od IRA dla ETA, z pewnością finansowany z Nowego Jorku. Gdy tylko powiedział o tym Mikelowi, musiał go powstrzymać, żeby ten nie pobiegł do telefonu. Przekonanie go, że na razie nie mogą wszczynać alarmu, sporo go kosztowało.

Nie ulegało wątpliwości, że kapitan Finnegan nie chce pakować się w tarapaty i będzie trzymał język za zębami, co zresztą dla niego typowe. A Noah też nie miał ochoty spędzać wielu godzin na tłumaczeniu policji, kim jest John Murray, dlaczego podejrzewa, że nie żyje, i kim według niego jest facet, który nosi jego nazwisko. Ostatnie, czego potrzebował, to żeby cała policja z Kraju Basków ściagała teraz Johna Murraya vel Biblijnego Johna za terroryzm. Argument, który w końcu przekonał Lizarso, był taki, że broń można powiązać jedynie z prawdziwym Johnem Murrayem, człowiekiem, który leżał martwy w kostnicy straży pożarnej we francuskim porcie La Rochelle. Podanie informacji o odkryciu broni mogło narazić na niebezpieczeństwo operację antyterrorystyczną, którą planował przeprowadzić baskijski rząd. Gdyby ujawniono, że prawdziwy Murray nie żyje, nie dałoby się udowodnić żadnego jego związku z Michaelem, „Ciemnym” i Collinem, którzy zniknęliby, zanim by się zorientowano. Jeżeli informacja o spotkaniu ścisłego kierownictwa obu organizacji na granicy z Francją była prawdziwa, najrozsądniej

było na razie wstrzymać się od wszelkich działań. Broń nigdzie się nie ruszy, ponieważ ze względu na święto „Lucky Man” miał wypłynąć dopiero w następnym tygodniu.

Jeśli sprawy wyglądały tak, jak sądził Noah, to Biblijny John luzował cumy i szykował się do opuszczenia Bilbao. Zabił Kintxo, kobiety z jego rodziny nie przestawały mu się naprzykrzać, usprawiedliwił swoją nieobecność w pracy i pozbył się trofeów. To ostatnie martwiło go najbardziej. Trofea mordercy były bowiem – jak wynikało z badań agenta Roberta Resslera – pełne symboliki i ukrytych znaczeń. Rezygnacja z nich mogła wskazywać na to, jak przypuszczał Lizarso, że Biblijny John już uciekł. Noah miał jednak przecucie, że nie skończył swojego zadania, że zostało mu jeszcze coś do zrobienia. Gdyby zwiął, po co miałyby się tłumaczyć w MacAndrews, że nie stawi się w pracy, bo jest chory? Nie, Noah uważał, że pozbycie się trofeów było dla niego tym samym, czym dla cesarza Konstancjusza spalenie swoich okrętów – jasną deklaracją, że się nie cofnie. Osoby, które znały go najlepiej, kobiety z jego rodziny, wiedziały o tym i stąd ten błagalny telegram: „Nie opuszczaj nas”. Bo to właśnie zamierzał zrobić Biblijny John – spalić wszystko za sobą tak jak cesarz Konstancjusz; ani myślał robić kroku wstecz.

Noah był bardzo zmęczony, dlatego nalegał, żeby zamówili taksówkę przed restaurację, chciał pokazać im bowiem coś, co widział, kiedy wracał ze spotkania z kapitanem Finneganem, a nie czuł się na siłach, żeby chodzić w deszczu. Mimo że było dopiero nieco po piątej po południu, niebo przysłaniały tak ciemne chmury, że wydawało się, jakby miało zmierzchać, i wciąż mocno padało.

– Podobno w Gipuzkoi leje jak z cebra – powiedział Lizarso. – W miasteczkach Deba i Orrio zaczynają się już problemy.

Noah poinstruował kierowcę:

– Proszę nas zawieźć na nabrzeże Campa de los Ingleses, a potem wzdłuż rzeki aleją Uribitarte.

Taksówkarz przytaknął. Kiedy znaleźli się na alei, Noah poprosił go, żeby zwolnił, a sam wyjrzał przez okno, wyraźnie czegoś szukając.

– Tam jest – powiedział nagle. – Niech pan zatrzyma samochód.

Wysiadł i ruszył w deszczu w stronę nabrzeża, podczas gdy Lizarso na próżno próbował zakryć go parasolem. Już po chwili Rafa i *ertzaina* w osłupieniu patrzyli w miejsce, które pokazywał im Noah.

– Kiedy Rafa nam powiedział, że widział, jak John rozbija latarnie w tej okolicy, nie rozumiałem, dlaczego to robił. Z drugiego brzegu przekonałem się, że faktycznie tak było i że zniszczył także światła po tamtej stronie, na Campo de Volantín. Ale mój błąd polegał na tym, że patrzyłem właśnie z tamtego brzegu. Przyjrzałem się i zobaczyłem, że jest tam molo, dokładnie naprzeciwko mola po przeciwległej stronie, ale nic więcej. Kiedy pierwszy raz zszedłem z pokładu „Lucky Man”, taksówka zawiozła mnie do centrum miasta. Odkąd jestem w Bilbao, nigdy nie byłem w tej części alei. Ale dziś zobaczyłem to – powiedział, wskazując w stronę małej konstrukcji wciśniętej tuż pod deptakiem, tak że z góry była zupełnie niewidoczna. Mimo że schody prowadzące na molo znajdowały się bardzo blisko, jej umiejscowienie wyraźnie wskazywało na to, że dostęp był możliwy wyłącznie od strony wody i tylko w czasie przypływu.

– To budka prze-przewoźników be-benzynówek – powiedział Rafa. – Ludzie nazywali tak mo-motorówki, które pływały z Campo de Volantín do tego miejsca.

Lizarso patrzył to na opuszczoną budkę, to na zmartwioną twarz Noaha.

– O czym myślisz?

– Wykluczyłem to miejsce, kiedy je zobaczyłem, bo nie ma tu dobrego dostępu do podmokłych terenów między łukami podtrzymującymi promenadę. Sądziłem, że zabierze je w miejsce, zachowując oczywiście odpowiednie proporcje, podobne do tego, jakie wybrał na pogrzebanie swoich poprzednich ofiar. Wybrałem się na molo po drugiej stronie i pokonałem kilka stopni. Był to tylko punkt, w którym pasażerowie wsiadali na motorówki i z nich wysiadali, nie dało się stamtąd dotrzeć na błotnisty teren pod promenadą. Kiedy Olga mi powiedziała, że Murray poruszał

się łodzią między portem a Łąką Anglików, byłem pewien, że robił to właśnie w ten sposób. Skorzystanie z okazji, żeby zakopać je na błotnistym brzegu podczas odpływu, wydało mi się najbardziej podobnym sposobem działania do tego, co robił niedaleko domu. John lubił mieć swój osobliwy cmentarz blisko i codziennie obok niego przejeżdżać. Po tym, jak dobrze mu się to sprawdziło w Szkocji, byłem przekonany, że tu spróbuje czegoś podobnego. Ale nie widziałem tej budki.

– Myślisz, że są w środku? Przyptyw jest prawie pełny, ale zdaje się, że woda się obniża. Trudno to ocenić na podstawie przepływu rzeki, standardowe oznaczenia na nic się zdają. Potem zadzwonię i się dowiem. Ale jeśli przyptyw właśnie nastąpił, drugi będzie o piątej nad ranem.

– Nie jestem do końca pewien, ale jeśli nie o to chodzi, to jaki sens miałyby zaciemnienie tej okolicy na noc? To dobre miejsce, niedostępne. Poza tym rzeka cuchnie, przy tych wszystkich zrzutach z okolicy łatwo nie wyczuć, że coś się rozkłada. Z drugiej strony prawda jest też taka, że nie mógł ich tu trzymać wiecznie, musiał mieć jakiś inny plan.

Wysiedli z taksówki na Arenal. Mimo że dzień był smutny, a deszcz nie ustawał, przejeżdżając przez most, przekonali się, że w strefie *txosnas* od teatru Arriaga i wzdłuż całego nabrzeża panuje atmosfera fiesty.

W starej części stan ulic nie był wcale lepszy. Nie przeszli nawet pięćdziesięciu metrów, a Noah miał już przemoczone stopy. Z podbitek dachowych lała się woda, która uderzając w skąpaną w deszczu nawierzchnię, wydawała metaliczny dźwięk. Na rogach niektórych domów woda z rur spustowych trafiała prosto na ziemię. Słabe światło tego dnia zaczęło powoli znikać. Kiedy dotarli w pobliże katedry, Noah poczuł wielką tęsknotę, zobaczywszy opuszczoną roletę w barze Maite. Potrzebował z nią być.

Dochodziła szósta, kiedy weszli do westybulu Gwiazdy. Noah czuł się wyczerpany, musiał jednak przyznać, że nowe dawkowanie leków działało. Jego kostki wyglądały prawie normalnie, mimo że od rana był na nogach i powinien wrócić już kilka godzin wcześniej, żeby wziąć lekarstwa. Przełożył do drugiej ręki torbę z apteki, w której zaopatrzył się po drodze, i bardzo powoli zaczął wchodzić

do swojego pensjonatu w towarzystwie Rify, który w żadnym razie nie chciał zostawić go samego, i Lizarso, który przez cały czas patrzył na niego tak, jakby Noah w każdej chwili mógł znowu stracić przytomność. Mimo że wspinał się pomału, zwrócił uwagę na to, że obaj woleli iść za nim, nie wiedział tylko, czy z szacunku, czy dla bezpieczeństwa. Kiedy dotarli na półpiętro, zobaczyli, że na początku kolejnego odcinka schodów siedzi kobieta. Wstała, gdy tylko ich zobaczyła.

– Doktorka Elizondo – powiedział Noah, już niemal pozbawiony tchu.

Zanim się odezwała, popatrzyła na towarzyszących mu mężczyzn.

– Och, bez obaw, możesz spokojnie mówić, to moi przyjaciele – zapewnił ją. – Rafa i Mikel Lizarso, opowiadałem ci o nich.

Po odpowiedniej prezentacji Elizondo skupiła się na inspektorze.

– Bardzo się cieszę, że cię widzę. – Uśmiechnęła się szczerze. – Kiedy nie zjawieś się na wizycie, zgodnie z obietnicą przyszedłem do Gwiazdy. Pracowałem nad różnymi hipotezami dotyczącymi zachowania pacjenta enigmy i zauważyłem, że istnieje niezwykle znaczący aspekt, który może się okazać kluczowy. I wtedy właścicielka pensjonatu powiedziała mi, że trafiłem do szpitala, a twój przyjaciel przyszedł po dokumenty medyczne. Kobieta nie wiedziała, w którym jesteś szpitalu, więc obdzwoniłem wszystkie, ale kiedy udało mi się znaleźć cię w Cruces, już cię wypisali. Przyszedłem dziś rano, jednak też cię nie było, więc postanowiłem siedzieć tu, dopóki się nie zjawisz.

– Wydarzyło się tyle rzeczy, że nie wiem, od czego zacząć. Myślę, że najlepiej będzie, jak porozmawiamy w środku – powiedział Noah, wyjmując klucz.

Nagle drzwi otworzyły się od wewnątrz, przez co wszyscy odnieśli wrażenie, że właścicielka Gwiazdy słyszała całą ich rozmowę, stojąc po drugiej stronie. Kobieta uśmiechnęła się do Noaha z tym jakże typowym dla siebie wyrazem twarzy, między rezerwą a infantylnością.

– Witam, panie Scott, cieszę się, że skończyło się tylko na strachu – powiedziała, a następnie, krzywiąc się, spojrzała na liczną grupę, która mu

towarzyszyła. – Jako że był pan w szpitalu, mogę pozwolić, żeby wszedł pański przyjaciel, ale zna pan zasady dotyczące kobiet.

– Jestem jego lekarką – wyjaśniła Elizondo, pokazując legitymację.

– Och, tak, pani jest tą doktorką z góry, tak mi się właśnie wydawało, kiedy pani przysłała. Ale sądziłam...

Noah chwycił w pasie Elizondo i popchnął ją w stronę korytarza, zatrzymując się przed właścicielką. Lizarso wszedł za nim.

– Ja jestem przyjacielem – powiedział, wzruszając ramionami.

– Ja jestem pomocnikiem – powiedział Rafa, naśladując gest policjanta.

Zanim kobieta zdążyła się odezwać, Noah wyjął portfel.

– Przy tym całym zamieszaniu wypadło mi z głowy, że dziś mija tydzień mojego pobytu tutaj. Zapłacę za kolejny z góry – oznajmił, wkładając jej pieniądze do ręki, a potem wyjął jeszcze dwa zielone banknoty i dorzucił je do kupki. – A to za niedogodności.

– A właśnie – powiedziała przymilnie – prosił pan, żebym go zawiadomiła, kiedy zwolni się pokój od ulicy. Dżentelmen, który go zajmował, właśnie wyjechał.

Noah się zawahał.

– Później może pan wejść i go obejrzeć. Drzwi są otwarte. Jeśli woli się pan zastanowić, nie ma pośpiechu, raczej nieprędko go wynajmę. Ludzie, którzy szukają pokoju podczas święta, nie są zbyt pożądanymi. Wymiociny, krzyki, śmiechy. Wie pan, że to jest porządny dom, i zna pan moje zasady.

Zostawił ją na środku korytarza, jak mamrotała życzenia zdrowia i cieszyła się z jego szczodrości.

Doktorka Elizondo

Nikłe szarawe światło, które wpadało na patio przez świetlik, okazało się niewystarczające. Noah włączył lampę sufitową. Blask studwudziestopięciowatowej żarówki rzucił na ich głowy słabą aureolę. Usiadł na łóżku z wyraźną ulgą i dodatkowo zaświecił lampkę na stoliku nocnym. Widząc tu swoich przyjaciół, uświadomił sobie, jak marnie wygląda ten pokój. Poszarzałe zasłony, trzeszczący materac, szafa przypominająca podwójną trumnę, małe lustro barberskie.

Lizarso oparł się o umywalkę, Rafa o framugę okna, a Elizondo, gestem, który widział już u innych lekarzy, poprosiła Noaha o pozwolenie, by usiąść w nogach łóżka.

– Słuchamy, pani doktor.

– Chodzi o informację, którą mi podałeś podczas naszej ostatniej rozmowy, dotyczącą tego, że pacjent enigma dawał ubrania swoich ofiar kobietom z rodziny. Nie ma zbyt bogatej literatury związanej z motywacjami morderców, którzy zabierają trofea. Fakt, że określamy je tym mianem, wynika z podobieństwa do polowania, ale to wcale nie musi wyglądać dokładnie tak samo we wszystkich przypadkach. W niektórych to może być nagroda, ale także pamiątka, coś, co ma przypominać mordercy moment śmierci. Gromadzą je, wkładają na siebie, a niekiedy wykorzystują do tego, by podniecić się seksualnie. Fakt, że zależy mi na tym, aby nosiły je kobiety z jego rodziny, od razu przywiódł mi na myśl projekcję, tak jak w filmie *Psychoza*, który podałam ci za przykład. Norman Bates wkłada

perukę i ubrania swojej matki, żeby być nią. Kiedy pacjent enigma ubiera swoje krewne w stroje ofiar, mówi nam, że prawdziwym obiektem jego gniewu są one. Podtrzymuję to, co ci powiedziałam.

– W ciągu tych zaledwie dwóch tygodni, odkąd jest w Bilbao, relacje z jego krewnymi bardzo się zmieniły – zauważył Noah. – Wiemy, że przed opuszczeniem swojego domu zostawił instrukcje i skontaktował się z nimi z portu w Liverpoolu. Po przybyciu do Bilbao rozpoczął pracę w MacAndrews i sam poinformował je o swojej nowej tożsamości, a także przekazał numer telefonu do firmy, w której pracuje. One prawie codziennie zostawiały wiadomości, żeby do nich zadzwonił. Ale przez te dwa tygodnie coś się wydarzyło. Wnosząc po żądaniach z ich strony, można powiedzieć, że się od nich dystansuje. Zostawiają mu prośby o to, żeby się z nimi skontaktował. Lizarso przechwycił rozmowę, w której mocno rozdrażniony zakazał im telefonowania do firmy. One go posłuchały, ale tylko częściowo, bo w ostatnich dniach zaczęły przysyłać mu telegramy. Osoba, która przekazała mu pierwszy z nich, powiedziała, że bardzo mu się to nie spodobało. Do tego wręcz stopnia, że nie mógł ukryć złości. Wydał polecenie, żeby nie przyjmować żadnych telegramów na jego nazwisko, ale wygląda na to, że one nie zamierzają się poddać i zaczęły je przysyłać na firmę.

Elizondo przytaknęła i odwróciła się w stronę Lizarso, który się odezwał:

– Skoro tak naprawdę chce zabić je, to nie rozumiem, dlaczego jeszcze tego nie zrobił.

– Najlepszym przykładem znowu jest tu Norman Bates – odpowiedziała doktorka. – Relacja zależności zbudowana przez lata wykorzystywania, podporządkowania i znęcania. Bates zabił swoją matkę, ale to nie wystarczyło, żeby się od niej uwolnić. Myślę, że pacjent enigma pozbył się swoich krewnych przypadkowo, kiedy był zmuszony uciekać; mimowolnie przerwał pępowinę, która go z nimi łączyła, i nie chce jej z powrotem wiązać. Być może żyjąc własnym życiem, odkrył takie aspekty samego siebie, których dotąd nie znał.

– A więc za każdym razem, gdy zabija jakąś dziewczynę, w jakiej mierze karze te kobiety – powiedział Lizarso.

– Tak, ale nie tylko. To jest właśnie ten znaczący aspekt, o którym wspomniałam wcześniej. Rzecz nie tylko w tym, że one są adresatkami jego gniewu – wyjaśniła Elizondo. – Norman zabijał kobiety, które uważał za atrakcyjne, po to, żeby pokazać podporządkowanie i kontrolę, jakim poddała go jego matka.

Wszyscy przytaknęli.

– Pacjent enigma, po początkowych aktach przemocy, zabija w sposób niemal spokojny. Jest to metoda powolna, w której potrzebuje bliskości i czasu, ofiary prawdopodobnie tracą przytomność na długo przed śmiercią, a więc musi dalej ścisnąć, żeby je udusić, musi być bardzo blisko nich i obserwować, jak ucieka z nich życie. To bardzo okrutny i osobisty rodzaj zabijania, nie wymaga takiej wściekłości i gniewu jak zadżganie nożem. Nie wiem, czy mnie rozumiecie, jest spokojniejszy, jak uraza, jak niechęć.

Noah pokiwał głową.

– Jak zemsta.

– Właśnie – zgodziła się kobieta. – Ale sęk w tym, że także je gwałci, pojawia się agresja seksualna, która zupełnie nie pasowałaby w przypadku Normana Batesa, bo rodzaj podporządkowania, jakiemu poddała go matka, nie był natury seksualnej.

– Myśli pani, że John był molestowany? – zapytał Lizarso.

– Wolę nazywać go pacjentem enigmą. I tak, myślę, że był wykorzystywany seksualnie, a kluczowe w jego wrogości jest to, że wszystkie jego ofiary miały menstruację.

– O mój Boże – wydusił Lizarso, krzywiąc się z obrzydzenia. – A więc...

– Wykorzystywanie seksualne, jakiego doświadczył pacjent enigma, jest bezpośrednio związane z krwią menstruacyjną – stwierdziła Elizondo.

– Zabiera zakrwawione tampony i podpaski, ale na początku, kiedy porzucał ciała, zostawiał przy nich czyste środki higieniczne. W niektórych przypadkach umieszczał je pod plecami lub pod pachami – przypomniał sobie Noah.

– To jest wiadomość. I brzmi ona: „Nie powinniście tego robić”.

Inspektor przytaknął.

– Zawsze uważałem, że w jakiejś mierze to był powód, dla którego je wybierał. Ale wciąż pozostaje dla mnie zagadką, skąd to wie.

– Pamiętasz naszą rozmowę o stresie pourazowym? – zapytała lekarka, zwracając się najpierw do Noaha, a później do pozostałych. – Od dawna mówiło się o jego istnieniu, ale dopiero po tym, jak amerykańscy żołnierze zaczęli wracać z Wietnamu, obrazy tego zaburzenia zaczęły być tak częste, że dało się je zbadać i udokumentować. Osoby, które doświadczyły traumatycznej sytuacji, w której były poważnie zagrożone albo czuły, że ich życie jest w niebezpieczeństwie, niekiedy zapadają na schorzenie, które sprawia, że raz za razem przeżywają odczucia i okoliczności zdarzenia, które doprowadziło do traumy. To naprawdę przerażające, bo pacjenci opowiadają, że widzą, słyszą i czują to samo co w tamtym momencie, w związku z czym bardzo często reagują ogromnym strachem, a nawet przemocą, gdy próbują się bronić. Najbardziej uderzające jest to, że zapalnikiem bywa często mały znak, coś, co dla kogokolwiek innego byłoby niezauważalne, a co te osoby łączą z chwilą przeżytej traumy. To może być dźwięk, słowo, ton głosu, ale także zapach, perfumy, smród... Instynkt przetrwania sprawił, że te osoby stały się ekspertami w rozpoznawaniu tego znaku, w odróżnianiu go spośród miliona innych. Umiejętność wykrywania sytuacji zagrożenia i uprzedzania ich była kluczowa w rozwoju człowieka, jest częścią naszej ewolucji. Przetrwanie gatunków zależy od umiejętności unikania drapieżnika, a przetrwanie drapieżnika zależy od jego umiejętności wykrywania ofiary.

– Chcesz powiedzieć, że je wywąchuje? – zapytał Noah.

– Tak, ale nie tylko to. Jeżeli jego trauma ma związek z wykorzystywaniem go w takiej sytuacji, to z pewnością nauczył się rozpoznawać, jak kobiety ubierają się w tych dniach, jak się poruszają, w jaki sposób się zachowują. Subtelne znaki, które dla większości mogą być niedostrzegalne. Jestem jednak przekonana, że bylibyśmy w stanie je dostrzec, gdyby od tego zależało nasze życie albo nasze bezpieczeństwo.

– Przeczucia nie istnieją, to informacje i instynkt – orzekł Noah.

– A jak pani sądzi, co zrobi teraz? – zapytał *ertzaina*. – Odsuwa się od rodziny, wyrzucił swoje trofea...

– Spróbuje się odrodzić.

– Odrodzić – powtórzył Noah.

– Uważa, że ma prawo do nowego życia; w ostatnich dniach przekonał się, że może żyć inaczej, zrywa więzi, a następnym krokiem będzie zniknięcie, by pojawić się w innym miejscu z nową tożsamością i żyć życiem, do którego jego zdaniem ma prawo. Daleko od nich, wolny.

Noah sprawdził godzinę i spojrzał na Lizarso.

– Za chwilę pewnie ruszą na swoją zwyczajową rundę po barach. Powinniśmy już wyjść.

– Nie ma mowy – sprzeciwił się Mikel, dając znak Rafie. – Nie minęły nawet dwadzieścia cztery godziny, odkąd wypisali cię ze szpitala. W dodatku ledwie wszedłeś po schodach. Nigdzie nie pójdziesz. Zostaniesz tu z panią doktor. Rafa i ja wychodzimy. Jeśli zobaczę coś dziwnego, zadzwonię do ciebie. Mam nadzieję, że będziesz tu siedział, żeby odebrać telefon.

Rafa podszedł do Noaha, żeby ucisnąć go przed wyjściem.

Gdy tylko zniknęli za drzwiami, Elizondo spojrzała na inspektora.

– A teraz porozmawiamy o tobie.

Maite

Maite przesunęła delikatnie dłonią po włosach córki. Dziewczyna już jakiś czas temu przestała płakać. Odkąd wróciły z identyfikacji ciała, na przemian lamentowała i przywoływała wspomnienia o ojcu. Maite nie była w stanie jej przekonać, żeby coś zjadła, ale chwilę temu zgodziła się wypić cola cao. Teraz leżały objęte na łóżku Maite i oglądały telewizję bez dźwięku.

Nagle Begoña zaskoczyła ją swoim komentarzem:

– *Ama*, ten Noah wydaje się miły.

– Jest miły – odparła ostrożnie Maite.

– Bardzo ci się podoba, prawda?

Nie odpowiedziała od razu. Córka usiadła, by na nią popatrzeć.

– Przecież wiem, że tak, to widać. Nie wiem, dlaczego nic nie mówisz.

A potem chcesz, żebym ja ci opowiadała o swoich sprawach...

– Po prostu uważam, że dziś nie jest odpowiedni dzień, by o tym mówić.

– Nie rozumiem dlaczego. Myślisz, że jestem naiwna? *Aita*¹⁸ zawsze będzie moim ojcem, ale wydaje mi się, że nigdy tak naprawdę nie był twoim mężem, a jeśli nim był, to przestał już dawno temu.

– Bego, nie sądzę, żebyś musiała się tym teraz przejmować.

– Jasne, że muszę się przejmować. Martwię cię o ciebie, tak samo jak ty o mnie. Teraz mamy tylko siebie – powiedziała smutno.

– Masz rację – ustąpiła Maite, wzdychając.

– Posłuchaj, *ama*, *aita* spotykał się z innymi kobietami.

– Wiedziałaś o tym?

– No jasne, przedstawił mi swoje dwie dziewczyny, te, z którymi to było coś poważniejszego.

– Nie wiedziałam.

– Jedna była z Indautxu, a druga z Leioa. Tę ostatnią poznałam w poprzednie Boże Narodzenie.

– Nic mi nie powiedziałaś...

– Bo krótko to trwało.

Obie się roześmiały.

– Uprzedzam cię, bo może jutro na pogrzebie zjawią się trzy lub cztery.

Zaśmiały się znowu. Begoña wzięła chusteczkę, żeby otrzeć łzy, które teraz były łzami śmiechu, i dodała:

– Wyobrażasz sobie je wszystkie ubrane na czarno?

Kiedy wreszcie przestały się śmiać, przytuliły się.

– No więc tak, *ama*, Noah wydaje się bardzo miły i uważam, że to urocze, że stanął w obronie taty, kiedy gwardzista powiedział... tamto. On nigdy nie dręczyłby dziewczyny.

– Jasne, że nie, *maitia*.

– Był bardzo opiekuńczy, i to nie tylko wobec mnie. Szkoda, że nie widziałaś, jak zareagował, kiedy zobaczył, jak ten Irlandczyk flirtuje z Edurne.

Maite odsunęła się nieco od córki, żeby widzieć jej twarz.

– Jaki Irlandczyk?

– Jeden z kumpli Michaela, ten najmłodszy. Bardzo dobrze mówi po hiszpańsku. Na początku tylko się z nami witał, ale Edurne mu się podoba...

– Jest dla was za stary. I o niczym mi nie powiedziałaś...

– Jeśli już, to jest za stary dla Edurne, mnie nic z nim nie łączy, poza tym nie miałyśmy umowy, że mówimy sobie o wszystkim. Jeśli ty opowiesz mi o swoich sprawach, ja opowiem ci o swoich.

Maite westchnęła i się uśmiechnęła.

– W porządku, podoba mi się Noah. Bardzo, bardzo mi się podoba.

¹⁸ *Aita* (bask.) – tata, ojciec.

Mnie jest trudniej

I GOT IT HARDER

Spotkanie z doktorką Elizondo, tak samo jak poprzednie, mocno nim wstrząsnęło. W jego głowie mieszały się znane fakty dotyczące Biblijnego Johna, hipotezy, które w ciągu tych czternastu lat zmieniały się albo były odrzucane, oraz teoria Elizondo odnośnie do źródła popędu, który prowadził do zabijania. A z drugiej strony rozmowa, którą odbyli po wyjściu Rify i Lizarso. Słowa kobiety wciąż rozbrzmiewały w jego umyśle.

– Powiedziałeś Rifie, że gdyby istniała choć jedna szansa, byś mógł wyzdrowieć, albo chociaż żeby ci się poprawiło, to poszedłbyś dokądkolwiek, zrobiłbyś, co byłoby konieczne. Twoje modlitwy zostały wysłuchane. Lekarze powiedzieli ci, dokąd masz pójść i co masz robić. Obawiam się, że biorąc pod uwagę twoje własne zasady, zachowujesz się jak głupiec.

Noah nic na to nie odpowiedział.

– A teraz jest jeszcze Maite. To, co się wam przytrafiło, jest wspaniałe, Noah.

– Wiem.

– I zamierzasz z tego zrezygnować, żeby uganiać się za tym facetem, mimo że już raz o mało nie przypłaciłeś tego życiem?

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Myślałem, że ty to zrozumiesz. Dopiero co słyszałem, jak o nim mówiłaś, byłaś tak samo zafascynowana jak ja. Gość od czternastu lat zabija kobiety. W jego domu było dziewiętnaście kopert plus kolejne cztery w tej, którą Rafa znalazł w śmieciach. Dwadzieścia trzy, dwadzieścia trzy kobiety brutalnie zamordowane. Nie mogę tego tak po prostu zostawić.

– Moje zaangażowanie w sprawę pacjenta enigmy nie ma nic do rzeczy, teraz moim pacjentem jesteś ty. I nie proszę cię wcale o to, żebyś pozwolił mu uciec, Lizarso może się tym zająć, a ja mu pomogę.

Noah zamknął oczy i pokręcił głową, nic nie mówiąc.

– Już wiem, w czym rzecz – odezwała się Elizondo. – To twoje ego, prawda? Nie możesz pozwolić, żeby ktoś inny zatrzymał Biblijnego Johna po tym, jak szukałeś go przez tyle czasu.

– Nie chodzi o to. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę z tego, jakie to skomplikowane. Jeśli nie umrę podczas operacji, bardzo możliwe, że stanie się to w ciągu następnych tygodni z powodu byle infekcji, ale najbardziej dręczy mnie to, że nawet jeśli w tej chwili położę się w tej klinice, nie mam gwarancji, że pojawi się zgodne serce. Najbardziej prawdopodobne, że skończę jako inwalida, czekając w łóżku, aż ktoś umrze, żebym ja mógł żyć.

Spojrzała na niego badawczo.

– W tym rzecz. Uważasz, że ktoś musi umrzeć, żebyś ty żył.

– W jakiejś mierze tak właśnie jest.

– Nie, to nie tak, Noah. Dawca przeżył swoje życie, życie, które dobiegło końca bez twojego udziału. Twoje pragnienie, żeby ten ktoś umarł albo dalej żył, nie ma tu znaczenia. Przekazanie narządów następuje dopiero wtedy, kiedy istnieje całkowita pewność, że nie ma już odwrotu.

– Tam nic nie ma.

Elizondo spojrzała na niego zaskoczona, nie rozumiejąc za bardzo, co ma na myśli.

– Właśnie to widziałem, kiedy byłem martwy, właśnie to dręczyło mnie przez cały ten czas. Widziałem to, widziałem, co jest po śmierci. I nie ma nic. Na początku tylko ciemność i chłód, później ciemność cię pożera i przestajesz istnieć, stajesz się jej częścią, z całym bólem duszy czujesz, jak przestajesz istnieć, aż całkiem znikasz. Zostajesz niczym. – Noah zrobił pauzę, a potem wyszeptał: – Strasznie się boję.

Elizondo słuchała go z otwartymi ustami. Zdruzgotana. Nigdy nie sądziła, że w taki sposób odpowie kiedyś pacjentowi, a zrobiła to dokładnie tak samo, jak doktor Handley, kiedy Noah poprosił, by powiedział mu prawdę.

– Przykro mi, Noah.

Delikatne pukanie do drzwi sprawiło, że domyślił się obecności właścicielki pensjonatu, która niczym wiktoriański duch pochylała się, żeby nasłuchiwać przez szpary.

– Tak?

– Panie Scott, dzwoni pański kolega.

Noah podszedł do aparatu. Lizarso wydawał się zmartwiony.

– John nie wyszedł razem z nimi. Pozostali trzej są już nieźle wstawieni i spokojni, jakby nigdy nic. Jesteśmy na ścieżce słoni. Z poprzedniego baru zadzwoniłem do hostelu Toki-Ona i zapytałem o Murraya. Właścicielka powiedziała, że źle się czuje, cały dzień leży w łóżku i prosił, żeby mu nie przeszkadzać. Co o tym myślisz?

Noah wypuścił z płuc całe powietrze.

– Nie wiem.

– Jedno z dwóch: albo czuje się tak źle, że nie mógł wyjść, albo Elizondo ma rację i już zwiął.

Wracając do siebie, wstąpił do pokoju, który się zwolnił. Oprócz okna wychodzącego na ulicę był znacznie przestronniejszy, miał większą szafę i podwójne łóżko. Ze słowami Lizarso wciąż rozbrzmiewającymi w swojej głowie,

oświetlony jedynie światłem z korytarza za swoimi plecami, podszedł do okna i odsunął zasłonę, żeby wyjrzeć na zewnątrz. Dokładnie naprzeciwko znajdował się pensjonat Toki-Ona. W oddali usłyszał ponownie dzwoniący telefon, a kiedy się odwrócił, zobaczył właścicielkę Gwiazdy. Stała przy wejściu, blokując i tak nikłe światło, które wpadało z korytarza. Włączyła oświetlenie sufitowe i Noah zauważył, że jest równie słabe jak to w jego pokoju. Twarz właścicielki wyrażała napięcie, którego początkowo nie potrafił określić.

– Dzwoniła jakaś kobieta, pytała o pana – powiedziała szorstko.

Noah zrobił krok, żeby wyjść na korytarz, ale właścicielka go zatrzymała.

– Już się rozłączyła. Powiedziała, że jest pańską narzeczoną.

Nie zdołał ukryć uśmiechu.

– Zostawiła jakąś wiadomość?

– Tak. Czeka na pana na dole.

Zamknął za sobą drzwi pokoju i wyszedł, ocierając się o właścicielkę, która najwyraźniej nie miała zamiaru się odsuwać.

– Wezmę ten pokój. Przenieś się po powrocie.

– Proszę pamiętać, że jest droższy – powiedziała nieprzyjemnym tonem. – I obowiązuje zakaz przyprowadzania kobiet.

Noah odwrócił się na chwilę, by posłać jej serdeczny uśmiech.

Zszedł po schodach najszybciej, jak mógł. Otworzył drzwi wychodzące na ulicę, ale nie było tam nikogo. Wyszedł na zewnątrz i wtedy pod roletą w barze Maite zauważył małą smugę światła. Na drzwiach wisiała kartka informująca o zamknięciu z powodu pogrzebu. Gdy tylko przekroczył próg, Maite rzuciła się w jego ramiona i zatopili się w namiętym pocałunku.

– Cały dzień o tobie myślę – powiedział Noah.

– I ja.

– Kocham się – wyznał z głębi serca.

– A ja ciebie – odpowiedziała, śmiejąc się i mocniej przytulając do niego, aż Noah odsunął się nieco.

– Lepiej przestań, Maite. Nie mogę się kochać w dosłownym tego słowa znaczeniu.

Roześmiała się kokieteryjnie, a on uważnie przyjrzał się jej twarzy.

– Jak się czujesz?

– No cóż...

– A Begoña?

– Różnie. A to płacze, a to przytula się do mnie jak mała dziewczynka. Przez cały dzień nie chciała nic zjeść. Teraz ogląda telewizję. Przyszłam, żeby wywiesić kartkę i ponieważ zadzwonili do mnie ze Stowarzyszenia Kupców. Mówią, że w niektórych lokalach przy nabrzeżu z powodu deszczu kanalizacja się cofa. Ale tutaj wszystko jest w porządku.

Noah znowu przycisnął ją do siebie i trwali tak przez kilka minut. Objęci, całując się, uśmiechając.

– Posłuchaj, rozumiem, że musisz być ze swoją córką, że tak trzeba, ale chcę, byś wiedziała, że oddałbym wszystko, żeby znowu z tobą spać. Do końca mojego życia.

– Ale przecież nie spaliśmy ze sobą! – zażartowała.

– Nieważne, chcę być blisko ciebie.

– Już niedługo. Pozwól, żeby minął jutrzejszy dzień i pogrzeb. To trudny czas, ale Begoña dobrze to znosi. Jest silna. Uświadomiłam sobie, że mam w domu kobietę i że nic jej nie umyka.

– Maite, chcesz, żebym... przyszedł jutro?

– Nie, Noah, będziemy my dwie, rodzina Kintxo, jego przyjaciele, tak będzie dobrze, nie przejmuj się. Ale dziękuję ci za troskę i za to, że powiedziałeś Begoñi, że jej ojciec wcale nie zaczepiał tamtej dziewczyny. Mogę uwierzyć w wiele rzeczy na temat Kintxo, ale nie w to. Noah, wiem, że nie mówiłeś mi, kim jest ten człowiek, którego śledzicie, żeby mnie nie przestraszyć, ale dziś Begoña o czymś mi opowiedziała. Twierdzi, że tamtego dnia złość jej ojca wynikała z tego, że

widział, jak ten Irlandczyk, ten najmłodszy, rozmawia z dziewczynkami, przede wszystkim z Eburne.

– Możliwe, że nie musicie się już martwić. Niewykluczone, że on wyjechał.

Maite spojrzała na niego bardzo poważnie.

– Przyjechałeś za nim z bardzo daleka. Czy ruszysz dalej, żeby go ścigać?

Noah pomyślał o tym wszystkim, co powiedziała mu doktorka Elizondo, i o decyzjach, jakie musi podjąć, zanim skończy mu się czas.

– Maite, muszę ci o czymś powiedzieć, nie dziś, to nie jest dobry moment, teraz musisz wrócić do swojej córki, ale daję ci słowo, że jeśli on wyjechał, nie będę go dalej ścigał. Nie opuszczę cię, czas, jaki mi pozostał, należy do ciebie. Ale przede wszystkim zrobię, co w mojej mocy, żeby ten czas był jak najdłuższy.

Nagle z odpływu zlewozmywaka dobiegło bulgotanie, jakby ktoś się topił.

– Czy kiedyś zalało ci bar?

– Nie, ale nigdy nie spadło tyle deszczu w tak krótkim czasie. Jak tak dalej pójdzie, będziesz miał swój potop, Noah. Liczę, że masz też arkę.

Bilbao

Piątek, 26 sierpnia 1983

Nowe, większe łóżko okazało się także bardziej nieprzyjazne. Być może dlatego, że przyglądając mu się dłuższą chwilę, zauważył, iż kwiecista narzuta jest dość podobna do tamtej, którą przejął po poprzednim najemcy w mieszkaniu w Glasgow. Ta, pod którą wyobrażał sobie siebie martwego, gdyby postanowił tam zostać. Był bardzo zmęczony i choć intuicja podpowiadała mu, że przez całą noc nie zdoła zmrużyć oka, rozsądek nakazywał położyć się na kilka godzin – dla własnego dobra. Ściągnął całkiem narzutę, ale to go nie zadowoliło, więc w przyływie impulsu upchnął ją na dnie szafy. Tęsknił za Maite, tak jak tęskni się za domem. Było dziwnie i cudownie zarazem, bo spędził z nią tylko jedną noc. Jednakże brakowało mu jej, tak jak człowiekowi brakuje tego, co znajome, wszystkiego, co wiąże się z ciepłem, z bezpieczeństwem, z miłością.

Kilka nocnych godzin spędził, siedząc przy oknie i obserwując wejście do pensjonatu naprzeciwko oraz światła w oknach na pierwszym i drugim piętrze. Nie wiedział, który pokój zajmował John, a widząc przyćmione przez padający deszcz poblaski nocnych lampek, modlił się, żeby wciąż tam był. Rozejrzał się podejrzliwie, w tym pokoju było coś dziwnego. Pomyślał, że musi to mieć związek z panującą tu wonią. Nie było śladu zapachu poprzednika, co akurat powinno go cieszyć, ale miejsce to sprawiało wrażenie zamkniętego mauzoleum, w którym od dawna już nie było życia. Zateęsknił za wonią czystych ubrań wpadającą przez okno

z patio i nagle uzmysłowił sobie, że brakuje mu również małego *Otus scops*, który swoim śpiewem jakby nadzorował bicie jego serca.

W miarę, jak mijały kolejne godziny, światła stopniowo gasły, lecz sen nie nadchodził. Czuł się coraz gorzej. Delikatnym zawrotom głowy towarzyszyło poczucie, że za chwilę zwymiotuje niestrawione jedzenie, mimo że od czasu tamtych smacznych porcji dorsza, które zjadł w południe, nie miał w ustach już nic więcej. Stopy nie były spuchnięte, ale w nogach nieustannie czuł mrowienie. Ponieważ był już ekspertem od mierzenia pulsu, zauważył, że jest on dość przyspieszony, a spojrzawszy na zegarek, przekonał się, że od poprzedniej dawki naparstnicy minęły dopiero trzy godziny. Nie wyglądało to dobrze. Nagłące uczucie, że niebawem wydarzy się coś niecodziennego, zmuszało go do głębokiego oddychania, nabierania dużych ilości powietrza, co przeplatał westchnieniami, zawsze niewystarczającymi. Zastanawiał się, ile w tym, co czuł, było ze stresu pourazowego, o którym opowiadała mu doktorka Elizondo.

Czy przypadkiem nie przypominał sobie tylko znaków z tego wyjątkowo niepokojącego momentu? Czy to ten nieustający deszcz, jakby kończył się świat? Czy ta przeklęta narzuta, która posłużyłaby mu za całun, wystarczyła, żeby wywołać ten cały lęk? Próbował wyjaśnić swój niepokój, wyliczając wrażenia z tamtej nocy, kiedy czekając na opuszczenie szlabanu na przejeździe kolejowym, zobaczył, jak pomarańczowe capri Johna Clyde'a przejeżdża z największą prędkością, oraz to, jak od tamtej chwili wszystko szybko się potoczyło. Niewątpliwie w ciągu ostatnich dwóch tygodni przeżył zbyt wiele stresujących momentów, by móc ich uniknąć, ale przecucie było tak wyraźne, że mógł je przeżyć. Raz za razem wracały do niego obrazy tamtych kobiet z jeziora, które opuszczały swoje groby, sposób, w jaki John rozpostarł ramiona w deszczu niczym gwiazda rocka, i ta budka, do której można się było dostać tylko podczas przypływu.

Człowiek nigdy nie jest tak samotny jak w środku nocy. To najbardziej niepokojące i najciemniejsze godziny. Słabe światło lampki, którą zostawił włączoną na stoliku nocnym, zaczęło ciemnieć i wrócił strach przed śmiercią.

Zniknął wszelki ślad ciepła pocałunków Maite, a mała przestrzeń, którą zachował dla nadziei w ramach złożonej jej obietnicy, że dołoży wszelkich starań, by żyć, wyparowała tak samo szybko jak jego siły. Podczas gdy czuł ogarniający go strach, zauważył, że oddech przyspiesza i warstwa zimnego potu pokrywa mu całe ciało. Całkowicie pokonany przez rozpacz i pewność, że umiera, zaczął słyszeć bęben. Odległy dźwięk, który rozbrzmiewał coraz szybciej, pozbawiony rytmu. Wtedy zdał sobie sprawę, że to nie żaden bęben, tylko jego puls, który dudni mu w uchu wewnętrznym, a tachykardia przejmuje kontrolę nad jego sercem. Poczuł się jak jedyny człowiek na ziemi, który nie śpi, pośród tak wielkiej samotności, że zapragnął tylko wybiec na deszcz, choć wiedział, że to by go zabiło, że najprawdopodobniej nawet by tam nie dotarł. Chciał biec z całych sił, pragnął przemierzać kolejne ulice, aż do domu Maite, i zobaczyć się z nią, żeby domagała się go, jak mu obiecała, by mógł umrzeć w jej ramionach, a nie w samotności, żeby nie przestał istnieć. Próbował zaczerpnąć powietrza, kiedy mocny ucisk zaczął miażdżyć mu klatkę piersiową. Drżąc i z trudem kontrolując ręce, wyjął jedną z tych małych perłowych tabletek. Umieścił ją pod językiem i poczuł, jak gorzka lekarstwa przenika przez delikatną błonę śluzową niczym świder, który przebił naczynie krwionośne, które się tam znajdowało.

Biblijny John

Obudził się w delikatnym ciepłe pościeli o gęstości czterystu nitek w hotelu Carlton. Spał kompletnie nagi i pierwsze, co poczuł, to czysta zmysłowość. Między zasłony wciskało się szarawe światło poranka. Spojrzał na zegarek i uśmiechnął się, zaskoczony godziną. Pamiętał, że od chwili, gdy rzucił się na łóżko, obudził się tylko raz. W środku nocy, z oczami sklejonymi snem i pokryty potem. Zorientował się, że wciąż ma na sobie ubranie, a nawet mokre buty, w których przyszedł do hotelu. Podniósł się na tyle, żeby pozbyć się tego wszystkiego, po czym już nagi zatonął w delikatnej białej pościeli. W ciągu kilku sekund ponownie zasnął. Spałby czterdzieści dni i czterdzieści nocy, wiedząc, że jego sen jest wędrówką przez pustynię, potrzebą samostworzenia siebie jako nowego człowieka, żeby móc się odrodzić.

Przesunął dłońmi po swojej skórze pod pościelą i trafił na twardego, nabrzmiałego członka. Wyciągając się, uruchomił zestaw muzyczny umieszczony nad wezgłowiem i włączył radio. Wstał z łóżka i rozsunął grube zasłony, które ciągnęły się po podłodze. Szyby były zalane kroplami deszczu i John podniósł rękę, żeby pogłodzić je od środka. Prezenter opowiadał, że w ciągu poprzedniego i dzisiejszego dnia w Bilbao spadło łącznie tyle litrów wody, ile przez cały miniony rok, i będzie padać dalej. John zaczerpnął głęboko chłodniejszego powietrza tuż przy szybie. Oparł o nią czoło i poczuł wilgoć, myśląc o mężczyźnie, który powróciwszy do życia, ścigał go od brzegu jeziora Katrine i który w jakimś innym miejscu wielkiego Bilbao patrzył teraz na deszcz przez bardzo podobne okno i myślał o nim. John nie miał co do tego wątpliwości. Ta pewność nie sprawiła

jednak, że poczuł się niepokojony, prześladowany czy nękanym. Uświadomienie sobie jego obecności skłoniło go do przemyślenia wielu aspektów, nad którymi powinien był się zastanowić już dawno temu. Działał w sposób impulsywny, nie zatrzymywał się, żeby zinterpretować znaki, nie zatrzymywał się, żeby pomyśleć. Pozwolił, żeby ciągnęła go inercja, zużywając jego siły, tak jak chłopiec, którym był, gdy płakał aż do świtu.

Kiedy tamtej nocy damy z jeziora opuściły swoje groby, powinien był się zorientować. Tak potężny znak nie mógł zostać wysłany tylko po to, żeby zmienić miejsce. Burza je uwolniła, wyciągnęła z grobów, dając mu do zrozumienia, że to się skończyło; lecz biedny John, nieporadny John w dalszym ciągu robił jedyne, co potrafił, co przez długi czas uważał za swoje zadanie.

Znaki nie były życzliwe, nie były ewidentne, nie dało się łatwo ich zrozumieć ani łatwo przestrzegać. Od tamtego pierwotnego, kiedy powieszony za szyję zwisał ze spłuczki w Harmony Cottage w wieku trzynastu lat, przez tamten pierwszy raz, gdy zobaczył swój portret pamięciowy w gazecie, i noc, kiedy damy wyszły ze swoich grobów, aż do tego ostatniego, kiedy ta nieszczęsna dziewczyna nie umarła, a on nie mógł jej dobić. Niebo musiało zesałać mu znak w sposób najbardziej okrutny, aby rozumiał, że nie jest tym, za kogo zawsze się uważał. John nie był potworem, nie był wampirem ani inkubem, ani bestią, ani okrutnikiem. Potrzebował zejść do piekła, drżeć o własne życie, oszaleć ze strachu, żeby sobie uświadomić, że tutaj – prawie trzy tysiące kilometrów od domu – motywacja do zabijania straciła znaczenie. W ciągu ostatnich dni zastanawiał się, czy w ogóle kiedykolwiek je miała, czy nie było po prostu tak, że ból i lęk szukały ujścia. Dziś znał już odpowiedź.

Prawdopodobnie nie licząc tamtego mężczyzny, który patrzył przez okno zalane deszczem, takie samo jak to, w tym samym ciemnym mieście, John najwięcej wiedział o popędach, pragnieniach i niskich namiętnościach. O nieposkromionej sile, która popycha człowieka do zrobienia czegoś, aby zaspokoić swoje wewnętrzne napięcie. Całymi latami usiłował to zrozumieć nie po to, żeby się usprawiedliwić, gdyż nic nie mogło usprawiedliwić tego, co zrobił Lucy; jedynym

celem tego poszukiwania było zaspokojenie potrzeby, co trwało jedynie chwilę, kilka godzin, kilka tygodni, kilka miesięcy. John nie był jednym z tych wariatów opisywanych w literaturze; seksualnym zboczeńcem kolekcjonującym zwłoki, obłąkanym nekromantą, nieszczęśnikiem ukrytym w śmieciach. John był inny, ponieważ John potrafił kochać, i teraz o tym wiedział. Nie urodził się jako potwór. To one go stworzyły, one poiły go krwią, tym, co ofiarowane, tym, co martwe i skrzepnięte. One ochrzciły go krwią, wampiryzując go. John rozumiał i podziwiał mężczyznę, który tak samo jak on patrzył przez okno na deszcz; pojmował jego pragnienie, by go zatrzymać, ponieważ John chciał dokładnie tego samego. Wiedział, że w jakimś sensie mają wspólny cel – obaj chcieli raz na zawsze skończyć z Biblijnym Johnem.

Podniósł słuchawkę telefonu i zamówił herbatę, sok pomarańczowy, tosty, masło, dżem, jajka sadzone, sery, szynkę i słodkie bułeczki. Musiał mieć dużo siły. Dziś zamierzał uwolnić swoje damy.

Nawet sobie nie wyobrażasz, jak mi trudno

*YOU COULDN'T DREAM HOW HARD
I GOT IT*

Noah pogłodził radio. Od wielu godzin przekazywano ostrzeżenia i chociaż najczęściej problemów dotyczyło sąsiedniej prowincji, mówiono już o terenach górskich, gdzie hodowcy zaczęli mieć kłopoty z powodu wylewających potoków i małych rzek. Oficjalnie zaplanowane na ten dzień wydarzenia miały się odbyć, ale w południe planowano odwołać *sokamuturra* na Arenal, ponieważ, jak poinformowano, ciężarówka, która przewoziła zwierzęta, stanęła na wysokości miasteczka Deba.

Kiedy tak trzymał straż przy oknie, zauważył, że w porównaniu z nocą temperatura powietrza była wyższa o kilka stopni, a nasycenie światłem większe. To jedyne różnice. Noah tęsknił za smokiem oddychającym na wewnętrznym patio, za usypiającym rytmem, w jakim wybrzuszał i zasysał zasłony, niczym szaman wyznaczający mu odpowiedni rytm oddychania. Dziś nie było świtu, nie było przebudzenia, może właśnie dlatego pominął swój poranny przegląd dolegliwości. Jak pilot, któremu zabrakło paliwa, rezygnuje z patrzenia na wysokościomierz.

Czuł, że jego godziny są policzone, spalając się jak zapalki dziewczynki z zapalkami, podczas gdy on, przykuty do swojego bocianiego gniazda, pozwalał, by czas płynął.

Wraz ze światłem poranka i aromatem świeżo zaparzonej kawy wydawało się, że odżył. Około dziewiątej właścicielka Gwiazdy przyniosła mu parującą filiżankę razem z „El Correo Español-El Pueblo Vasco”. Przejrzał pobieżnie pierwszą stronę, siorbiąc kawę i nie spuszczać z oczu wejścia do pensjonatu Toki-Ona. Wśród nagłówków kapitan generalny prowincji Burgos oświadczył w przemówieniu: „Władza wojskowa jest odpowiedzialna za obronę flagi”. Na stronie z wydarzeniami poszukał czegoś nowego, a w końcu rzucił gazetę na łóżko. Odbył krótką rozmowę z Lizarso, który zadzwonił do niego o dziesiątej. I drugą, jeszcze krótszą, z Maite, zanim wyszła na pogrzeb. Starał się szybko odłożyć słuchawkę, z tego samego powodu, dla którego nie spał, przekonany, że akurat w tym czasie, kiedy zamknie oczy albo odejdzie na chwilę od okna, coś się wydarzy. Było w pół do trzeciej po południu, kiedy to coś wreszcie się wydarzyło.

Zobaczył, że John wychodzi z hostelu Toki-Ona. Zanim przekroczył próg, zakrył sobie głowę kapturem płaszcza przeciwdeszczowego. Na rękawie i na plecach Noah rozpoznał logo MacAndrews, i zobaczył, że niesie niezbyt dużą czarną torbę na śmieci. Idąc w jego ślady, wziął własny płaszcz przeciwdeszczowy, który podarował mu kapitan Lester Finnegan, i ruszył za nim.

John szedł dobrym tempem, ale Noah nie miał problemów z dogonieniem go po dotarciu na Arenal. Zebrały się tam dziesiątki osób. Noah nie wiedział, czy na jakieś wydarzenie związane ze świętem, czy po to, żeby zobaczyć rzekę, która spływała z hukiem, tak mętna, że przybrała pomarańczową barwę od rdzy, gliny i błota. Czuł jej uderzenia, niczym czerwony podmuch, który pchał go niemiłosiernie, kiedy przechodził przez most. Biblijny John nie spieszył się zbytnio, ale wyglądało na to, że doskonale wie, dokąd zmierza. Kiedy dotarli do placu Circular, dalej szedł cały czas prosto Gran Vía. Aleja wznosiła się nieznacznie, co dla kogokolwiek innego byłoby prawie niezauważalne, a dla Noaha oznaczało męczącą wspinaczkę. Jego dystans do Johna zwiększał się wraz ze

wzrostem tętna, a oddech zamieniał w dyszenie. Scott Sherrington szedł, otwierając usta, starając się, by chłodne i wilgotne powietrze dostarczyło mu brakującą ilość tlenu. Na szczęście, mimo że aleja tętniła życiem, nie było tu tylu ludzi co w okolicy Siedmiu Ulic.

Spacerowicze i ciekawscy wydawali się tego popołudnia przyciągani przez wzburzone wody rzeki. Nieopodal placu Moyúa Noah musiał wyteńczyć wzrok. Gdyby John skręcił tam w jedną z ulic odchodzących od okrągłego placu, zgubiłby go. Kiedy dotarł na róg, brakowało mu tchu. Przystanął przy zbiegu esplanady z ulicą Ercilla i zobaczył, że John mija sąsiednie ulice. Stanął przed przejściem dla pieszych na alei Recalde, a potem ruszył dalej wzdłuż placu, aż do kolejnej odnogi. Dusząc się, Noah podążał za nim. Potem jednak John doszedł do ulicy Elcano i ku wielkiemu zaskoczeniu Noaha wszedł głównym wejściem do Gran Hotel Carlton.

Czuł takie ciepło na twarzy i taki niepokój w żołądku, że jednym ruchem odrzucił do tyłu kaptur peleryny, żeby zimny deszcz złagodził wrażenie gorączki. Poczuł, że plac zaczyna wirować bardzo szybko. Próbując odzyskać kontrolę, pochylił się i oparł ręce na kolanach. Nagle było tak, jakby znalazł się w komorze próżniowej. Do braku powietrza dołączyło wrażenie zanurzenia, uszy miał kompletnie zatkane i czuł mocne drżenie, jak podczas trzęsienia ziemi pod wodą. Jego uwagę zwrócił powtarzający się dźwięk klaksonu, zmuszając go, by się odwrócił. Niebieska furgonetka zatrzymała się przy chodniku, prawie obok niego. Przez zaparowane szyby nie widział, kto siedzi w środku, zdał sobie jednak sprawę, że to Lizarso i Rafa, kiedy chłopak otworzył drzwi i pokazał mu, żeby wsiadł.

– Dlaczego nie uprzedziłeś, co zamierzasz? – zrugął go *ertzaina*, gdy inspektor siedział już w środku.

Noah odchylił się na oparcie, próbując możliwie najbardziej wyciągnąć się na przestronnym tylnym siedzeniu za Rafą i obok Euri. Walczył, by nie zamknęły mu się powieki, podczas gdy mdłości nieubłaganie brały nad nim górę. Złapał za klamkę i zdążył otworzyć drzwi w samą porę, żeby zwymiotować – do kanału deszczowego, który znajdował się obok chodnika – niewiele więcej niż wodę

w kolorze kawy, ale tak kwaśną, że zostawiła mu w ustach posmak zardzewiałego metalu, podobny do smaku krwi.

Jego żaloszny wygląd bynajmniej nie uspokoił Lizarso, który odwrócił się i popatrzył na Noaha z wyrzutem.

– Spójrż na siebie! Jak ty wyglądasz?! Jesteś nierozsądny! Chcesz się zabić?!

Swoim wzburzeniem musiał zarazić suczkę, która, nawet na tak niedużej przestrzeni, obróciła się parę razy wokół własnej osi i zaszczekała zdenerwowana.

– Nie krzycz na niego – poprosił przejęty Rafa. – N-nie widzisz, że czuje się ba-bardzo źle?

– Mam nie krzyczeć? – powtórzył *ertzaina*, próbując się opanować na widok zdenerwowania chłopaka.

– Wszystko... bardzo szybko – wydyszał Noah z mokrym od potu czołem, próbując zdjąć z siebie mokrą pelerynę.

– Całe szczęście, że Rafa był czujny... Widział was, jak wychodziliście, śledził was pieszo i przez przypadek zobaczył mnie przy kościele Świętego Antoniego. Gdzie on się podział?

Noah podniósł drżącą rękę, wskazując w stronę głównego wejścia do hotelu. Rafa i Lizarso spojrzeli tam, po czym ponownie zwrócili wzrok na Noaha, nie dowierzając.

Maite

Zasmucona spojrzała na nietknięte talerze z jedzeniem stojące na stole. Gotowała bardziej po to, żeby mieć jakieś zajęcie, niż dlatego, że przyszło jej do głowy, że któraś z nich zechce wziąć coś do ust. Zajrzała do salonu, żeby spojrzeć na Begoñę. Owinięta w koc, niemal w pozycji embrionalnej, patrzyła w ekran telewizora. Maite wiedziała, że nie śledzi programu, ale przynajmniej przestała płakać. Widząc ją, jak tak leży, przypomniła sobie soboty z czasu jej dzieciństwa, kiedy cierpliwie czekały, aż skończy się serwis informacyjny i zaczną kreskówki, które ona uwielbiała. Szczęśliwe dni bez zmartwień. Pomyślała, że córka wydaje się mniejsza i delikatniejsza, niż jest w rzeczywistości. Ale tego przedpołudnia niewątpliwie przeszła ciężką próbę.

Na cmentarz Alegre przyjechały taksówką, która podążała za karawanem. Reszta rodziny i niektórzy z najbliższych przyjaciół Kintxo już tam czekali. Nieustający deszcz, który zdawał się wzmacniać wraz z każdą upływającą minutą, ograniczył powitania i rozmowy, zmuszając żałobników, którzy chronili się pod parasolami, do zachowania dystansu. Lało z taką siłą, że wieńce przymocowane do karawanu były przesiąknięte, a płatki kwiatów zgniecione pod ciężarem kropli. Donośne bębnienie o napięty materiał parasoli wywoływało poczucie ogłuszającej pustki. Rodzina Kintxo miała mały panteon w najbardziej na północ wysuniętej części cmentarza. Ziemia wokół grobów była pokryta grubą warstwą marmurowego żwiru, białego i tak lśniącego, że pod wpływem wody z kamyków wydobywały się maleńkie rozbłyski. Czterech grabarzy odsunęło grubą płytę, by położyć ją na sąsiednim grobie. Kiedy rozkładali liny, za pomocą których mieli

opuścić trumnę, wszyscy się odwrócili, usłyszawszy chrzęst kamieni pod stopami sześciu niosących ją mężczyzn. Na ich widok Begoña wydała z siebie rozpaczliwy jęk i nie przestała płakać, kiedy trumna zbliżała się do kwatery. Maite musiała przytrzymać córkę niczym mokłą szmacianą lalkę. Zgięta w pół, zanosila się głębokim i szczerym płaczem, zarażając swoją rozpaczą obecnych, którzy spoglądali na nią, pewni, że nikt nie czuje takiego bólu jak ona. Ze stopami w kałużach, które powstały na żwirze, Maite wciąż podtrzymywała córkę, podczas gdy ksiądz odmawiał modlitwę za zmarłego, a także później, gdy grabarze ponownie umieszczali na grobie grubą płytę i kiedy pracownicy zakładu pogrzebowego kładli wieńce, tak przesiąknięte, że wyglądały na grobie jak mokre szmaty. Przytrzymywała ją, gdy deszcz wzmógł się tak bardzo, że krople uderzające o parasol zaczęły przenikać przez materiał, opryskując ich włosy i twarze. Przytrzymywała ją jeszcze długo po tym, jak ustały pełne współczucia namowy krewnych, którzy się uparli, by zabrać je z cmentarza. Przytrzymywała ją, dopóki nie zostały tylko one dwie – oraz to dojmujące poczucie śmierci i samotności. Przytrzymywała ją, dopóki Begoña nie poprosiła, żeby wracały.

Teraz, wkładając do lodówki nietknięte talerze z jedzeniem, przeżywała to na nowo. Tak, bez wątpienia była to ciężka próba. W tym momencie Maite nie mogła jednak wiedzieć, że najcięższa próba tego dnia miała dopiero nadejść. Dźwięk telefonu wyrwał ją z zamyślenia. Później będzie pamiętać, że w tej chwili pragnęła, żeby dzwonił Noah.

Wysłuchiwała wiadomości od swojej rozmówczyni i westchnęła zdenerwowana. Rozłączyła się, po czym poszła na korytarz w poszukiwaniu kaloszy. Wciąż owinięta w koc, Begoña wyjrzała z salonu.

– *Ama*, kto dzwonił?

– Miren, ta z pasmanterii obok baru. Mówi, że woda na ulicy sięga już dwudziestu centymetrów i że u niej w sklepie zaczęła się wylewać z sedesu i umywalki. Powiedziała, że zamyka i wraca do domu. Pójdę sprawdzić, co się dzieje w barze, i przeniosę wyżej rzeczy, które stoją przy podłodze, w razie gdyby woda jeszcze bardziej się podniosła.

– Idę z tobą.

Maite popatrzyła na bladą twarz córki.

– Jesteś pewna?

– Tak, nie chcę zostać tu sama. Poza tym wyjście dobrze mi zrobi.

Biblijny John

W*ouldn't It Be Good* rozbrzmiewało w radiu i John pomyślał, że tak, byłoby bardzo dobrze. Stojąc nago przed lustrem w pokoju w hotelu Carlton, od dłuższej chwili obserwował swoje odbicie. Czasem odwracał się nieco, żeby zobaczyć część pleców, ramiona, tyłek. Podnosił rękę i dotykał twarzy albo przesuwiał nią do tyłu po ufarbowanych na ciemno włosach. Na podłodze leżały ubrania, które zerwał z siebie w nocy, jak gdyby zrzucał cudzą skórę. Wtedy uświadomił sobie, że od dłuższego czasu się nie widział, możliwe nawet, że nie widział prawdziwego Johna od tamtego dnia, w którym patrzył na siebie w zardzewiałym lustrze w łazience w Harmony Cottage, zanim założył sobie pętlę na szyję. Na bladej skórze wciąż były widoczne zaczerwienienia w miejscach, które tarł, żeby pozbyć się krwi Kintxo; w jakiś sposób nadal ją na sobie czuł, mimo że już cztery razy brał prysznic. Nie cierpiał krwi. Za jego plecami srebrzysty blask raniącego sierpniowego światła odbijającego się w deszczu wpadał przez balkon wychodzący na plac Moyúa. Podszedł do dużego okna i oparł czoło o szybę. Pod stopami czuł miękkość wykładziny, czuł otaczające jego skórę ciepłe i luksusowe powietrze w apartamencie, a dla kontrastu chłód deszczu. Prezenter, który przedstawił się jako Luis Bengoa Zubizarreta, przekazywał właśnie na antenie Radia Bilbao, że deszcz pada nieprzerwanie od stu dwudziestu godzin.

Balkon zapewniał mu fantastyczny widok, lecz mimo to John żałował, że znajduje się tak daleko od rzeki, która z pewnością była o krok od wylania. W radiu zaczęto rozważać możliwość przestawienia samochodów z obszarów zalewowych, gdzie zwykle parkowano, i z okolic nabrzeża. Niczym projekcja w jego głowie

pojawił się obraz śladów, jakie woda zostawiła w środku starej budki przewoźników. I ten obraz zaczął zarysowywać to, co wydawało mu się coraz lepszym pomysłem. Kiedy zamykał oczy, znowu widział ciało Kintxo porywane przez wezbrany nurt rzeki. W jego udręczonym umyśle widok ten mieszał się z obrazem dam z jeziora wydostających się ze swoich grobów i wciąganych w głębiny Katrine. Westchnął, wdzięczny za ten pomysł. Rozważył wszystkie za i przeciw, mając świadomość, że gdyby uwolnił je tak jak damy z jeziora, któreś z ciał mogłoby zostać znalezione. Ale to było mu obojętne, tak samo jak było mu obojętne wtedy, gdy burza odkopała jego dziewczęta. Nie miały na sobie ani ubrań, ani biżuterii, ani żadnego przedmiotu, który dałoby się powiązać z tym, kim były; zaawansowany stan rozkładu już uczynił je anonimowymi, a wzburzona woda zrobiłaby swoje. Powinien je wypuścić. I celebrował moment, w którym już wiedział, jak musi to zrobić: wystarczyło tylko otworzyć drzwi budki przewoźników i pozwolić, żeby zalała ją woda; tak jak nad jeziorem, wyszłyby same, niesione prądami, a prąd zabrałby je z impetem nieujarzmionej rzeki Nervión aż na dno Zatoki Biskajskiej. Ale jeszcze nie teraz, musiał uzbroić się w cierpliwość. John wdychał delikatny zapach luksusu wokół siebie, świadomy, że choć przebywa w tym samym mieście, znajduje się miliony lat świetlnych od pensjonatu Toki-Ona.

Spojrzał niechętnie na leżące na podłodze ubrania, jakby był to cudzy strój, który powinien ponownie na siebie włożyć. Ale musiał to zrobić, ostatni raz musiał wrócić nad rzekę. Ciarki przebiegły mu po plecach, gdy przypomniał sobie płacz, który – jak sądził – dobiegał z wnętrza budki. Przebiegł dłońmi po skórze, na której pojawiła się gęsia skórka. Stając znowu przed lustrem, pogłaskał ją, szczęśliwy, że jest sobą, zadowolony, że znalazł znak. Po raz pierwszy w życiu wiedział, kim jest i dlaczego robi to, co robi. Świadomy jak nigdy dotąd, ponownie zaczął dotykać twarzy, klatki piersiowej, bioder, ust; sięgnął ręką do genitaliów, które teraz nie były bronią. Dotykał się, uzmysławiając sobie, że pożądanie, które zawsze pragnął czuć, pochodzi od niego samego. Patrząc na swoje nagie ciało w lustrze, John się masturbował, zafascynowany zmysłowością własnej skóry, bez potrzeby przemocy

czy strachu. Kiedy skończył, podniósł słuchawkę telefonu i zamówił więcej jedzenia. Czuł się jak jeden z tych uzdrowionych w Lourdes, którzy opowiadali o nienasyconym apetycie, kiedy wyszli ze stanu wegetatywnego i odrodzili się z czystą duszą.

Rozłączywszy się, zauważył wiadomość od Edurne leżącą obok aparatu. Podniósł słuchawkę i pozwolił, by rozbrzmiewał ciągły sygnał, zastanawiając się, gdzie byłoby bezpiecznie się z nią umówić. Nie chciał zbliżyć się zbyt blisko do Toki-Ona i nie chciał też, aby rozmowa się przeciągała. Pragnął ją tylko zobaczyć. Wybrał numer i niemal odetchnął z ulgą, kiedy włączyła się automatyczna sekretarka: męski głos uprzedzał dostawców, że sklep i magazyn będą nieczynne aż do końca Aste Nagusia. Zostawił krótką wiadomość, podając miejsce i godzinę. W oczekiwaniu na posiłek postanowił wziąć prysznic.

Właśnie się wycierał, gdy usłyszał pukanie do drzwi. Uśmiechnął się, owinał ręcznik wokół bioder i otworzył obsłudze hotelowej.

Uśmiech zamarł mu na twarzy.

Ubrany w płaszcz przeciwdeszczowy MacAndrews, Collin otworzył przed nim plastikowy worek i pokazał mu wymięte, zakrwawione ubrania w środku.

– Myślę, że musisz wyjaśnić kilka rzeczy, panie Murray.

John cofnął się, blednąc. Półnagi, bosy i mokry, nagle poczuł się mały wobec imponującej postury Collina, który zamknął drzwi i ruszył przed siebie.

– Musiałem godzinami siedzieć na telefonie, żeby cię znaleźć. Jak się teraz nazywasz? Robert Davidson? Znalazłem ten dokument, kiedy pierwszy raz przeszukiwałem twój pokój.

– Collin, ja... nie...

Collin wycelował w niego oskarżycielsko palcem i pokręcił głową.

– Już wiem, co zrobiłeś, ale chcę to usłyszeć od ciebie.

John zamknął oczy.

– Jestem mordercą – powiedział.

Poczuł na ramieniu zimną dłoń Collina.

– Nie, jesteś żołnierzem, tak samo jak ja.

John otworzył oczy, zdezorientowany.

Collin zawiązał torbę na supeł i rzucił ją w kąt pokoju, potem rozpiął płaszcz, opuścił go na podłogę i usiadł w nogach łóżka.

– Kim był ten cały Kintxo i skąd go znałeś?

John myślał szybko, porządkując w głowie wszystko, co Kintxo powiedział o Murrayu.

– Poznałem go parę lat temu, pracowaliśmy razem na platformie wiertniczej w Aberdeen. Wtedy wyglądał na porządnego gościa, ale kiedy tu przyjechałem, zaczął rzucać dziwnymi komentarzami. Powiedział, że ma jakieś podejrzenia co do ludzi, z którymi się spotykam. Zawsze łąził po barach, nie pracował, nawet słyszałem plotki, że mógł być informatorem.

– Tak, ja też to słyszałem.

John odetchnął z ulgą.

– Próbowałem przemówić mu do rozumu, ale miał długi język.

– Powiedziałaś mu o broni?

John nie odpowiedział, patrzył na niego w milczeniu, usiłując zrozumieć, o co mu chodzi. Collin musiał wziąć dezorientację na jego twarzy za ostrożność.

– Jestem kontaktem, do cholery! – wrzasnął. – To mnie masz ją przekazać. W innym wypadku skąd bym o tym wiedział? Ten gość mówił coś o broni? Tak czy nie?

– Nie – rzucił John.

– Skoro nie, to dlaczego poszedł do kryjówki?

Domyślał się już, że Collin widział, jak zabił Kintxo, ale czy sądził, że miejsce, w którym do tego doszło, jest kryjówką broni? John się wahał. Było jasne, że spokojny i introwertyczny John Murray, którego poznał podczas rejsu na „Lucky Man”, mocno się różnił od człowieka bez życia i przeszłości, za jakiego go wziął. Gdy tylko zobaczył, jak na niego spogląda, kiedy zdejmował koszulę we wspólnej kajucie, przyjął za pewnik, że to przyglądanie się w znacznej mierze wynikało

z jego orientacji seksualnej. Błędnie założył, że tak nieśmiały i wstydlivy człowiek jak Murray nie mógł mieć więcej sekretów prócz swojej homoseksualności. John stał się ekspertem w rozróżnianiu tych, którzy mieli tego typu głód, niezależnie od tego, czy chodziło o mężczyzn, czy kobiety. Kiedy człowiek uwierzy, że wreszcie komuś się spodobał, z łatwością zgadza się pojechać z tym kimś do domu, wsiąść do jego samochodu, wybrać się w jakieś ciemne miejsce (albo do wnętrza kontenera), a nawet się rozebrać. Zorientował się, że Murray był o wiele bardziej skomplikowanym człowiekiem, niż początkowo sądził, kiedy przybył do Bilbao i Irlandczycy przyszli po niego do pensjonatu, żeby zabrać go do swojego hostelu; nie wyobrażał sobie wtedy jednak, że samotnik John Murray jest tak bardzo oddany sprawie. Uznał, że pobudki Murraya i jego mogą być dokładnie takie same.

– Chodziło o coś, co Kintxo powiedział. Coś mi mówiło, że może śledził mnie w inne dni i tam węszył. Wróciłem, żeby to sprawdzić. Niestety okazało się, że przyszedł za mną, i stało się to, co widziałeś.

– Dlatego zwiąłeś z hostelu?

– Nie chciałem was w to mieszać.

Collin przez chwilę chyba się nad tym zastanawiał. Kiedy odezwał się ponownie, jego ton zabrzmiał o wiele przyjaźniej:

– Jego ciało pojawiło się wczoraj w porcie w Santurce. Ale spokojnie, nie sądzę, żeby w jakikolwiek sposób mogli to z nami powiązać. Nikt cię nie widział. Muszę przyznać, że rozwalenie wszystkich latarni to był świetny pomysł. I na szczęście byłem na miejscu, żeby dokończyć sprzątanie. – Uniósł brwi, zerkając w stronę rzuconej w kąt torby.

Nie wiedząc, co robić, John westchnął i powiedział:

– Dzięki.

– Nie ma sprawy. I zapomnij o tej bzdurze z morderstwem. Nie jesteś żadnym mordercą, jesteś żołnierzem, wojownikiem. Jeszcze się nauczysz. Zabicie człowieka w walce wręcz nigdy nie jest łatwe. Nasi kumple Michael i Cillian, z tą całą swoją demagogią, na pewno narobili by w gacie, gdyby musieli to zrobić.

Zważywszy na okoliczności, dobrze ci poszło. Twoim zadaniem było przywieźć tu broń i wykonałeś je.

Collin wstał i zaczął oglądać resztki jedzenia ze śniadania Johna. Wziął kawałek wyschniętego smażonego bekonu i zaczął go żuć.

– Muszę przyznać, że kiedy tu przyjechałem, miałem co do ciebie wątpliwości. Z jednej strony zlecenie dostarczenia towaru komuś bez doświadczenia wydało mi się bardzo ryzykowne. To prawda, że twoje stanowisko w tej firmie jest zaletą, bo możesz poruszać się po porcie, ale i tak... Potem, gdy zobaczyłem, że dni mijają, a ty nic nie mówisz, zyskiwałeś punkty. Kryjówka jest pierwszorzędna i słusznie zrobiłeś, nie próbując wyciągać broni przez żadne wyjścia z portu. Nasze informacje wskazują na to, że jej szukają. Nie wiedzą dokładnie, co to jest ani ile, ale *vox populi* mówi o spotkaniu kierownictwa ETA w Bidart. Wyciągniemy ją dziś.

– Wyciągniemy ją?

– Ty i ja.

– A Michael i Cillian?

– Michael nie jest godny zaufania. To nie jest zły gość, ale kiedy pije, kłapie dziobem. Właśnie dlatego go tu przysłaliśmy. A Cillian, sam widziałeś, prawie cały czas chodzi pijany. Odsunę ich na bok. Jutro pojedziesz ze mną do Francji, zawieziemy im prezencik.

John milczał.

Collin spojrzał mu w oczy, jakby rozmawiał z małym dzieckiem.

– Pistolety, przyjacielu. Ja też wolę AK czterdziestkę siódemkę, ale nasi baskijscy bracia wolą spluwy.

Collin sięgnął ręką za plecy, wyjął broń i mu ją podał.

John patrzył na nią, nie mając odwagi jej dotknąć.

– To dla ciebie; skoro ze mną jedziesz, musisz być uzbrojony.

John wziął broń, jakby to był jakiś robak.

Collin patrzył na niego rozbawiony.

– No już, schowaj ją, jest twoja.

John spuścił wzrok. W dalszym ciągu miał na sobie tylko ręcznik, w którym wyszedł z łazienki. Skierował się do sterty ubrań na podłodze. Schylił się, wziął kurtkę i schował do niej pistolet.

– Na miłość boską! Co ty najlepszego wyrabiasz? Nie nauczyli cię nawet podstawowych rzeczy? – wykrzyknął Collin, zabierając mu ubranie i wyjmując pistolet. – Jak możesz schować spluwę, nie sprawdzając jej wcześniej? Nawet nie wiesz, czy jest naładowana!

– Przepraszam – powiedział John – nie umiem posługiwać się bronią.

Collin chwycił pistolet za lufę i podał mu go ponownie.

– Trzymaj – nakazał, wkładając mu go w rękę.

John posłuchał, ale Collin ponownie mu go zabrał.

– Mocniej, do cholery, jakby mieli ci ją odebrać, i użyj obu rąk.

Dłonie Johna lekko drżały. Collin patrzył bezlitośnie, dopóki nie był zadowolony.

– Teraz sprawdź magazynek.

John przechylił pistolet, żeby go obejrzeć. Collin jednak znowu złapał za lufę, trzymając broń prosto i mierząc we własny brzuch. Przesunął dłoń na kolbę i wcisnął mały przycisk. Magazynek wysunął się pod spodem prosto na dłoń Collina. Podniósł go na wysokość oczu Johna.

– Teraz musisz policzyć kule, ten magazynek mieści osiem. Ile tu widzisz?

– Siedem.

– To dlatego, że jedna została w komorze. Jeśli tego nie sprawdzisz, ta kula może rozwalić ci stopę, kiedy wsadzisz sobie pistolet za pas. A teraz strzel do mnie.

Na twarzy Johna pojawiło się szczere zaskoczenie.

– No dawaj. Wyobraź sobie, że musisz do mnie strzelić, co zrobisz?

John położył palec na spuście i podniósł broń na wysokość czoła Collina.

Irlandczyk się uśmiechnął.

– Masz jaja – powiedział i podniósł rękę, żeby znowu zabrać mu pistolet, lecz tym razem John trzymał go porządnie. – Dobra robota, ale popełniłeś dwa błędy – stwierdził Collin, ponownie chwytając lufę i naciskając, aż prawie skierował ją w stronę podłogi. – Kiedy strzelisz, broń zostanie wyrzucona w górę, zwłaszcza gdy nigdy przedtem tego nie robiłeś, więc jeśli chcesz komuś rozwalić łeb, lepiej celuj w jaja. I najważniejsze – podkreślił, dotykając opuszką palca wskazującego małą dźwignię obok spustu – zanim strzelisz, sprawdź, czy odbezpieczyłeś. I jeszcze jedna rada w prezencie: nigdy nikomu nie pozwól do siebie celować, jeśli wcześniej nie sprawdziłeś, czy ma zabezpieczoną broń.

John odbezpieczył i ponownie zaczął podnosić broń, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Niemal jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, w ręce Collina pojawił się drugi pistolet, odbezpieczył go i w ułamku sekundy wycelował w stronę wejścia.

– To obsługa hotelowa – uspokoił go John, zabezpieczając na nowo pistolet, świadomy, że nie musi nic robić. Przynajmniej na razie.

Collin schował broń i się uśmiechnął.

– Dobrze mi zrobi, jak wrzucę coś na ząb. A ty lepiej się ubierz, wychodzimy.

John zamarł.

– Teraz?

– No jasne, wyciągniemy je teraz.

– Lepiej zaczekajmy, aż się ściemni.

– Czekać, aż się ściemni? Nie wiesz, co się dzieje? Rzeka jest bliska wylania. Policja ostrzega, żeby trzymać się z dala od nabrzeża. Musimy to zrobić już.

W tym momencie Lizarso również myślał o policji i o tym, że nikt ich nie niepokoił, bo z powodu ulewnego deszczu o tej porze funkcjonariusze byli zajęci ostrzeganiem mieszkańców, by zabrali swoje samochody z okolic rzeki. Ustawił Radio Euskadi i słuchał najnowszych wiadomości. Przyjmowano za pewnik, że rzeka wyleje wraz z przyływem. W czasie, gdy czekali w furgonetce, u zbiegu

ulicy Elcano z placem Moyúa zaczęły się tworzyć spore sadzawki, które spowalniały ruch. Ze swojego miejsca za kierownicą Lizarso nie spuszczał z oka wejścia do hotelu Carlton. Poza tym widział też Rafę, który wysiadł z samochodu i stał na rogu, oparty o witrynę sklepu przy alei Recalde, zaś w lusterku wstecznym obserwował Noaha, bez reszty skupionego na oddychaniu z zamkniętymi oczami.

– Naprawdę cię nie rozumiem, stary. W jednej chwili walczysz o życie jak należy, a w drugiej ryzykujesz w zupełnie głupi sposób, jakbyś nie dbał o nic ani o nikogo, nawet o samego siebie.

– Przysięgam ci – wyszeptał Noah – że nie miałem na nic czasu. Sam się tego nie spodziewałem. Byłem przekonany, że on uciekł, ale z drugiej strony miałem silne przeczucie, że coś się wydarzy, jak koniunkcja planet, coś niebywale potężnego i śmiercionośnego.

– Tak, ja też czytałem *Juliusza Cezara*. Jak, do cholery, ma to nie być potężne i śmiercionośne, skoro ścigamy seryjnego mordercę? Ale ja mówię o tobie, do kurwy nędzy! Dziś rano Elizondo mi powiedziała, że wczoraj wyglądałeś na przekonanego, by poddać się leczeniu.

Noah otworzył oczy i podniósł głowę.

– Rozmawiałeś z Elizondo? – zapytał zaskoczony.

– Tak, pewnie, że rozmawiałem z Elizondo – odparł Mikel, naśladowując jego ton.

– Martwię się o ciebie, wszyscy się martwimy. Czy może myślisz, że skoro Rafa nic nie mówi, to znaczy, że się nie przejmuje? Rozmawialiśmy wczoraj po wyjściu od ciebie. Cholera, Noah! Nawet sobie nie wyobrażasz, jaki jesteś ważny dla tego chłopaka. Obawiałem się, że zrobisz coś w tym stylu, więc poprosiłem go, żeby nie spuszczał z oka twojego pensjonatu. Jestem pewien, że nawet nie spał, a gdyby nie on...

Noah pogłaskał Euri, która siedziała obok niego i patrzyła przez okno, czekając na swojego pana.

– Przysięgam ci, że minionej nocy, kiedy trzymałem wartę, postanowiłem, że jeśli facet uciekł, to dziś pojedę do szpitala, że spróbuję...

– Patrz! – krzyknął nagle Lizarso, przerywając mu i wskazując w stronę drzwi hotelu.

John i Collin ruszyli w kierunku ulicy Ercilla. Rafa tymczasem wracał już do furgonetki.

John chronił się pod parasolem z logo hotelu i naraz Noah zdał sobie sprawę, że mężczyzna, którego wcześniej wziął za niego, to najprawdopodobniej Collin w płaszczu przeciwdeszczowym Murraya. Lizarso uruchomił silnik i bardzo powoli ruszył, trzymając się za nimi w pewnej odległości, co jakiegokolwiek innego dnia pewnie zwróciłoby uwagę, ale dziś, przy ogromnych kałużach, które się tworzyły, większość samochodów jechała w taki sam sposób. Zobaczyli, że skręcają w ulicę Colón de Larreátegui i idąc nią w dół, docierają do mostu Ratuszowego, którym przeszli na drugą stronę.

Rzeka Nervión robiła wrażenie, jej zwyczajowy pomarańczowy kolor zmieniał się na żółty i brązowy ze względu na gliniaste zbcza, które ciągnęła po drodze. Noah zobaczył statek „Consulado de Bilbao”, który – zacumowany przed urzędem miasta – kolebał się na płynących z impetem wodach. Już wcześniej zwrócił na niego uwagę, lecz nigdy nie wydał mu się tak imponujący, być może dlatego, że linia wodna była dziś niemal równa wysokości mola, więc doskonale widziało się wysokość kadłuba.

Obaj mężczyźni minęli budynek ratusza.

– Dokąd idą? – zapytał szeptem Noah, widząc, że skręcają w ulicę za urzędem miasta w stronę Matico.

Na ulicy Uribarri, mimo że było jeszcze wcześniej, światła na fasadzie dyskoteki Ovni już się świeciły i przez chwilę myśleli, że może idą właśnie tam, ale wtedy zobaczyli, że dokładnie naprzeciwko wejścia stoi zaparkowany biały samochód, który MacAndrews udostępnił Johnowi Murrayowi. Wsiadli do pojazdu i pokonali trasę prawie że w przeciwnym kierunku, z tą tylko różnicą, że po przejechaniu mostu skręcili w aleję Uribitarte, w stronę Campo de los Ingleses. Kiedy samochód wjechał na teren portu, musieli się zadowolić obserwacją

z daleka. Noah włożył pelerynę przeciwdeszczową, wyszedł z furgonetki na ulewę i stał nieruchomo, nasłuchując i próbując dojrzeć jakiś ruch pośród gęstej kurtyny deszczu. Szeroki uśmiech pojawił się na jego twarzy, kiedy usłyszał odpalany silnik motorówki.

– Nie mogę uwierzyć, że zamierza go tam zabrać, ale wiem, dokąd płyną – powiedział, wracając pośpiesznie do samochodu. – Zawracaj i przyspiesz.

Maite

Woda nie podeszła na ulicę, przy której mieszkały, ale w miarę, jak zbliżały się katedry, kałuże stawały się coraz głębsze i w końcu brodziły w nich aż po kostki. Kiedy szły ulicą Tendería, zobaczyły, że woda dotrze niebawem do stopnia prowadzącego do baru. Maite podniosła roletę, po czym opuściła ją, gdy tylko znalazły się w środku. Zaświeciły światła i zabrały się do pracy. W pewnym momencie Begoña włączyła odbiornik – stacja SER odbierała fatalnie, nastawiła więc Radio Nacional, ale po kilku minutach także i tu zaczęły się zakłócenia, przerywając głos prezentera. Na kontuarze ustawiły kartonowe pudła, słoiki z oliwkami, paczki kawy, papierowe serwetki i wszystko, co zajmowało dolną część lady. Woda zaczęła wlewać się do baru niczym mała kałuża, która jednak szybko rozciągnęła się w głąb.

Pobiegły do kuchni, żeby przenieść wyżej całą żywność i naczynia z niższych półek.

Begoña znieruchomiała nagle z szeroko otwartymi oczami.

– *Ama*, woda wpada mi do butów.

Kiedy skończyły pracę w kuchni, woda sięgała im do kolan.

Maite zajrzała na chwilę za kontuar, żeby sprawdzić urządzenia.

– Chyba powinniśmy wyłączyć prąd, woda jest już za kontuarem, martwią mnie silniki komór chłodniczych. Może dojść do zwarcia.

Begoña przeniosła wzrok na starą skrzynkę elektryczną.

– *Ama*, stoimy w wodzie, nie możemy tego dotknąć, inaczej się usmażymy.

Maite przyznała jej rację. Ta skrzynka pochodziła jeszcze z czasów, kiedy w budynku mieściło się kasyno, miała więc co najmniej sto lat. Były tam dziesiątki bezużytecznych przełączników i archaiczny system bezpieczników, które Maite wymieniała za każdym razem, gdy się przepalały, i mimo że w ostatnich latach naprawiały ją byle jak, a wymiana instalacji elektrycznej była jednym z projektów, jakie planowała zrealizować w swoim barze. Chwyciła miotłę i końcówką rączki wciskała włączniki, aż w lokalu zapanowała całkowita ciemność, nie licząc słabego światła, które wpadało przez małe okienka nad drzwiami wejściowymi. Magazyn był oddzielony grubymi drzwiami wahadłowymi. Maite przesunęła skrzynkę po piwie, żeby przytrzymać jedno skrzydło i żeby nikt nie światło dotarło do spiżarni. Zdruzgotana zobaczyła, że niektóre kartonowe pudła, które tu trzymała, są już pod wodą. Spiżarnia znajdowała się na antresoli dwa metry od podłogi i zajmowała właściwie taką samą powierzchnię jak magazyn, choć Maite prawie nigdy z niej nie korzystała, ponieważ schody były zbyt strome, a w środku nie dało się nawet wyprostować. Stojąc na pierwszych stopniach, utrzymywała równowagę, a Begoña podawała jej butelki uratowane z kartonowych pudeł, z których została miękka masa.

Kiedy skończyły, znowu wyszły do głównej części baru. Maite podniosła roletę i przestraszyła się, widząc, z jaką siłą woda płynie po ulicy. Spojrzała na córkę.

– Wyjście jest teraz bardzo niebezpieczne, Begoña. Zostaniemy tu i zaczekamy, aż woda opadnie. Na starym mieście nigdy nie sięgała wyżej niż na pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt centymetrów. Nic nam nie będzie.

Na powrót opuściła roletę i zamknęła drzwi, zabezpieczając je. Później podeszła do telefonu i najpierw zadzwoniła do pensjonatu Gwiazda. Właścicielka odpowiedziała jej bardzo szorstkim tonem, że Noaha nie ma, po czym się rozłączyła. Maite westchnęła, próbując myśleć, ale nie miała pojęcia, do kogo zadzwonić. Prawda jest taka, że nie dało się wiele zrobić; biorąc pod uwagę to, jak wyglądała ulica, mogła jedynie poinformować kogoś, że są tutaj, w razie gdyby sytuacja się pogorszyła. Przypomniła sobie, że od lat przyjaźni się z pewną

staruszką z tej samej klatki. Była pewna, że jest w domu. Wybrała jej numer i po drugim sygnale kobieta odebrała.

– Rosa, mówi Maite.

– Kto dzwoni?

– Rosa, to ja, Maite. Strasznie pada, woda sięga mi prawie do bioder, wyżej raczej się nie podniesie, ale w razie, gdyby sytuacja się skomplikowała, zadzwoń na policję i powiedz, że jesteśmy...

– Kto dzwoni?

– Rosa, mówi Maite, słyszysz mnie? Begoña i ja jesteśmy w barze.

Na linii zapadła cisza. Maite spojrzała na telefon zdezorientowana i kilka razy wcisnęła przycisk, starając się przywrócić łączność. Próbowwała ponownie wybrać numer, ale linia była martwa.

Kiedy usłyszała drżący głos Begoñi, uświadomiła sobie, że córka zaczyna się bać.

– Co się stało? Co powiedziała?

– Nie wiem, połączenie zostało przerwane. Nie wiem, czy mnie słyszała, Rosa jest nieco przygłucha – powiedziała Maite zamyślona. – Może powinniśmy zadzwonić do twojej przyjaciółki Eburne.

Begoña zacisnęła usta i przekrzywiła głowę.

– Nie sądzę, żeby była w domu – odparła, patrząc na zegarek. – Jej rodziców nie ma i wcześniej do mnie dzwoniła, żeby mi powiedzieć, że spotka się z tym całym Irlandczykiem.

– Mówisz poważnie? Mam nadzieję, że nie mogła wyjść z powodu deszczu. Może to szczęście, że tak leje.

Przy wejściu siła wody przycisnęła roletę do drzwi wewnętrznych, sprawiając, że niektóre szyby wyskoczyły pod ciśnieniem.

Instynktownie cofnęły się do magazynu i weszły na antresolę. Ograniczona przestrzeń nie pozwoliła się wyprostować, a nawet siedząc, głowami dotykały sufitu, ale przynajmniej były suche. Siedziały tam skulone, rozmawiając szeptem,

niczym w kościele, i starając się usłyszeć coś pośród dzwonienia i głuchych uderzeń przedmiotów, które zaczęły się unosić w okolicy kontuaru. Drzwi prowadzące do magazynu, dotąd otwarte, przytrzymywane skrzynką, ustawioną tu w tym celu przez Maite, nagle się zamknęły, pogrążając je w absolutnej ciemności.

Edurne

Większość ludzi ma o szczęściu i pechu mylne albo co najmniej tendencyjne pojęcie. Powtarzanie przeinaczeń jako czegoś oczywistego może nas przekonać, że mamy pecha albo że jesteśmy niesamowitymi szczęściarzami tylko dlatego, że nie znamy innych opcji.

Odkąd sięgnąć pamięcią, na palcach jednej ręki dało się policzyć obfite opady śniegu w Bilbao. Ponieważ miasto leży na poziomie Zatoki Biskajskiej, intensywnie padały tu deszcze, które w ciągu kilku minut rozpuszczały warstwę śniegu, jaka zdołała się utworzyć. Ale w dniu, kiedy na świat przyszła Edurne, sytuacja wyglądała naprawdę źle. Miasto nawiedziła jedna z tych historycznych śnieżyc i na parę dni paraliżowała codzienne życie. Jej rodzice opowiadali to zwykle jako anegdotę w dniu jej urodzin i podczas rodzinnych obiadów. Urząd miasta nie dysponował pługami śnieżnymi ani solą, autobusy nie miały na kołach łańcuchów, a nieliczne taksówki, które jeszcze jeździły, wygrały los na loterii. Na szczęście mieszkali wtedy zaledwie w odległości dwóch kilometrów od szpitala, w którym miała się urodzić. Kiedy w środku nocy jej matce odeszły wody, jechali w śnieżycy rodzinnym samochodem, aż wpadli w poślizg i wylecieli z drogi, uderzając w wiatę przystanku autobusowego. Nie doznali żadnych obrażeń, ale pojazd utknął w zaspie. Ostatni kilometr pokonali więc pieszo, a kiedy weszli na izbę przyjęć, zobaczyli pustki. W szpitalu było ledwie kilka pielęgniarek i lekarz medycyny ogólnej, którzy przyszli do pracy poprzedniego dnia i jeszcze nie wrócili do domów. Oczywiście powiadomiono ginekologa, ale miny pielęgniarek wskazywały na to, że nie dotrze na czas. Kiedy rozwiązanie było już blisko,

zaniepokojeni stwierdzili, że dziecko jest ułożone pośladkowo. W tamtych czasach dopiero po porodzie poznawało się płeć noworodka i chociaż oni nigdy się do tego nie przyznali, mieli nadzieję, że to będzie chłopiec. Matka Edurne pamiętała zdenerwowanie pielęgniarek i poważny wyraz twarzy lekarza, podczas gdy ona, przerażona pierworódka, płakała, wołając swoją matkę, a jej mąż wypalił dwie paczki papierosów w poczekalni. Poród był straszny, długi i męczący, ale rezultatem była zdrowa dziewczynka, blada i ruda niczym szkocka księżniczka, oraz mnóstwo szwów. Dali jej na imię Edurne, po baskijsku „śnieg”, na pamiątkę tamtego dnia.

Co poradzić, dziecko, nie urodziłaś się pod szczęśliwą gwiazdą.

W ten oto sposób opowiadano tę historię przez całe jej życie, nie wiedząc, że dziewczynka miała szczęśliwą gwiazdę wyrytą na czole.

Stroskane miny pielęgniarek po tym, jak zadzwoniły po ginekologa, nie wynikały tylko z trudności pogodowych. Ginekolog, odurzony i dezorientowany, odebrał telefon i nawet wsiadł do samochodu, żeby przyjechać do szpitala. Ocknął się w aucie, kiedy przenikliwy chłód obudził go kilka godzin po przyjściu Edurne na świat. Od dłuższego czasu plotkowano, że lekarz zażywał więcej leków, niż podawał swoim pacjentkom. Trzy miesiące później został zwolniony po dwóch straszliwych zdarzeniach: podczas porodu upuścił noworodka na podłogę, a kiedy indziej matka i dziecko zmarły z powodu błędu w sztuce lekarskiej, ponieważ zjawił się na sali porodowej kompletnie naćpany. Nie wyszło to na jaw, bo stanowiłoby złą reklamę dla szpitala.

Tamtego dwudziestego szóstego sierpnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku, stojąc pod daszkiem przy wejściu do kina Trueba, Edurne czekała i czekała, obserwując ze zdumieniem, jak ogromna ilość wody, która płynęła ulicą Colón de Larreátegui, zamienia się w potok, a momentami w prawdziwą rzekę. Przez ponad pół godziny żywiła nadzieję, że John przyjdzie. Później stała tam już tylko dlatego, że nie była w stanie przejść na drugą stronę i wrócić ulicą Ripa w kierunku mostu.

Rodzice Edurne, którzy właśnie spędzali kilka dni na wybrzeżu kantabryjskim, mieli potem wskazywać ten dwudziesty szósty sierpnia jako kolejny feralny dzień w swoim życiu, ponieważ ich sklep, należący do najlepszych obuwniczych na starym mieście, zalało jako jeden z pierwszych: zniszczony został cały towar oraz wielki przyległy magazyn.

I w ten sposób rodzina Edurne pielęgnowała absurdalne przekonanie, że ma pecha, nie wiedząc, że po raz drugi nawałnica uratowała ich przed nieskończeniem gorszym losem.

Biblijny John

John miał wątpliwości, gdy zobaczył silny nurt rzeki. Poziom wody znacznie przekraczał ten w czasie przypływu, do którego zostało jeszcze wiele godzin. Ale mógł to zrobić, wszak przez całe życie pływał w wodach jeziora. Wszedł spod parasola i wskoczył na motorówkę, szukając płaszcza przeciwdeszczowego, który trzymał pod pokrywą silnika. I właśnie wtedy dostrzegł u Collina pierwszą oznakę obaw, aczkolwiek w tym momencie nie był ich jeszcze całkiem pewien – przekonał się dopiero przy drugiej.

Zanim uruchomili silnik, musieli pozbyć się deszczówki, która zebrała się wewnątrz łodzi, choć padało tak mocno, że właściwie mijano się to z celem. John przekręcił kluczyk w stacyjce, modląc się, żeby zalany silnik odpalił. Udało się. Gdy tylko odrzucili cumę, prąd pociągnął motorówkę w dół rzeki i chociaż John, mocno ściskając ster, nie dopuszczał do tego, by znalazła się na środku koryta, to i tak czuł ogromną siłę nurtu, który niżej był dziesięciokrotnie mocniejszy. Woda miała kolor błota i była tak gęsta, jakby pod powierzchnią przemieszczało się gliniaste bagno. Jakiś przedmiot, prawdopodobnie gruba gałąź, jedna z wielu ciągniętych przez rzekę, uderzyła w łódź, destabilizując ją nieznacznie.

Przez chwilę John widział panikę na twarzy Collina, który siedział, trzymając się wiązania jednej z boi wiszących na burcie motorówki. Umysł Johna pracował na najwyższych obrotach. W miarę, jak zbliżali się do budki, wiedział, że ma niewielkie pole manewru, nie czuł jednak strachu – wprost przeciwnie. Rosło w nim coś w rodzaju ekscytacji. Zdjął kaptur płaszcza i z mokrymi włosami,

mocno trzymając się steru, poczuł się tak samo potężny i wszechmocny jak owej nocy, kiedy rozpostarł ramiona, pozdrawiając burzę nad brzegiem jeziora Katrine. Wyraz twarzy Collina mówił wszystko. Brak żeglarskiego doświadczenia było u niego widać jak na dłoni, blada skóra zdradzała strach, jaki wywoływały w nim wzburzone wody. Możliwe nawet, że ten irlandzki tępak nie umie pływać, pomyślał John. Widział ten wyraz twarzy wiele razy. Wychowany nad potężnym i zdradliwym jeziorem, potrafił rozpoznać tych, którzy nigdy nie czuli, jak pokład chwieje się pod stopami.

Kiedy dostrzegł budkę, najbardziej, jak mógł, zbliżył się do lewego brzegu, nie chcąc dopuścić, by prąd zniósł ich na środek rzeki. Minęli schody dawnego mola i gdy tylko znaleźli się naprzeciwko konstrukcji, John skręcił, próbując wprowadzić łódkę w przestrzeń pod deptakiem, która zmniejszyła się znacznie wskutek przypływu. Woda znajdowała się już dwadzieścia centymetrów powyżej poziomu podłogi i John bez trudu potrafił sobie wyobrazić delikatne kołysane się ciał, które zaczęły się unosić w wodzie. Rzucił na brzeg cumę, która była absolutnie niewystarczająca, by unieruchomić motorówkę, i zanim Collin zdążył zareagować, chwycił bosak, zaczepił go o jeden z uchwytów cumowniczych przy budce i zaczął ciągnąć z całych sił, aż łódź pomału zbliżyła się do budowli. Następnie, używając jednej ręki, wyjął z kieszeni klucz i podał go Irlandczykowi.

– Ty musisz to zrobić, silnik jest za słaby, żeby utrzymać nas przy takim nurcie. Jeśli puszcze bosak, to, że nas pociągnie, będzie najmniejszym problemem.

Tak jak się spodziewał, z wyrazu jego twarzy wyczytał, że dla Collina możliwość, iż woda ich porwie – a może zatopi – okazała się przerażająca.

Irlandczyk wziął klucz i skierował się w stronę rufy, którą John oparł o boczne drzwi konstrukcji. Woda była tak wysoko, że głowami muskali beton. Collin uklęknął na obudowie tworzącej rufę. Gdyby zaczekali jeszcze trochę, nie zdążyłby otworzyć kłódki, zanim łódź zostałaby uwięziona pod dachem, który promenada tworzyła nad ich głowami. Collin dotknął kłódki opuszkami palców. John patrzył, jak manipuluje, wyciągając się pełen obaw. Zdjął ją i rzucił na pokład, po czym zaczął ciągnąć za łańcuchy. Gdy tylko drzwi zostały uwolnione, ciśnienie wody

w środku wypchnęło je i otworzyło na oścież. Smród uderzył w nich złowieszczą mocą i śmiercionośnym przesłaniem. John, który obserwował każdy gest Irlandczyka, zobaczył, że ten najpierw się cofa, jakby dostał cios, a potem zaczyna się powoli odwracać. Zdołał dostrzec, jak w instynktownym geście sięgnął ręką w okolicę prawej nerki, żeby wyjąć pistolet. Jego twarz wykrzywiła się ze strachu, zaskoczenia i obrzydzenia, tak wielkiego obrzydzenia, że wstrząsnęły nim intensywne mdłości, zgiął się wpół i zwymiotował ucztę przyniesioną przez obsługę hotelową.

W tym momencie John puścił bosak i łódź szarpnęła do przodu, ciągnięta przez nurt. Collin wypadł za burtę, zostawiwszy swój pistolet na pokładzie, i zniknął pod wodą. John puścił cumę i stanął za sterem, pozwalając, żeby prąd przesunął trochę motorówkę, wyciągając ją spod łuków podtrzymujących promenadę. Zwiększając moc silnika do maksimum, usiłował przepłynąć te niespełna pięć metrów, jakie dzieliły go od schodów dawnego mola, lecz siła wody była tak ogromna, że nawet z silnikiem pracującym na najwyższych obrotach ledwie mógł ruszyć z miejsca. Zabezpieczył dźwignię i ster i ponownie używając bosaka, wyciągnął się w podobny sposób jak przedtem nieżyjący już Collin. Musiał sięgnąć do starego uchwytu do cumowania, który uratował mu już życie tamtej nocy, kiedy o mało nie spadł z mola. Od śliskich schodów dzieliło go półtora metra; półtora metra, których motorówka, z silnikiem na pełnych obrotach, nie była w stanie pokonać z powodu rwącej rzeki.

Spojrzał w stronę budki i zobaczył, że przez otwarte drzwi wypływa jedno z ciał zawiniętych w zielony brezent. Wody Nervión przyjęły je niczym złożoną ofiarę, natychmiast je połykając. John się uśmiechnął i podbudowany swoim szczęściem, wziął rozbieg, po czym wskoczył na schody. Uderzając o ostrą krawędź, rozerwał sobie nogawkę i był pewien, że także skórę. Opuszki jego poranionych palców z całej siły walnęły o szorstki cement, który już jednej z poprzednich nocy wyrwał mu paznokcie. John jęknął z bólu, uświadamiając sobie, jak ważne jest to, żeby się teraz nie poddać. Jedna noga zawisała w powietrzu, oparta o podłoże tylko zranionymi palcami, druga zaczęła się ślizgać na

śluzowatym mule pokrywającym schody dawnego mola. Całym sobą modlił się do Boga, który nie słuchał dzieci, i odepchnąwszy się resztkami sił, jakie mu jeszcze zostały, zdołał podnieść kolano na tyle, żeby wbić je w ostrą krawędź betonu. Czuł rozrywanie skóry, ale zdołał się uratować, podczas gdy motorówka przechyliła się i została wchłonięta siłą wody, która wywróciła ją niczym małą skorupkę orzecha i porwała ze sobą.

Gdyby to było inne miejsce, gdyby to był inny moment, John dałby sobie kilka sekund na delektowanie się słodkim uczuciem, że oto znalazł się na stałym lądzie niczym rozbitek. Ale to miejsce wywoływało w nim taki strach, że przekonanie o niebezpieczeństwie nadal krążyło nad nim niczym ptak zwiastujący nieszczęście. Był obolały i przemoczony; początkowo nie zdawał sobie z tego sprawy, ale teraz zauważył, że woda błyskawicznie się podnosi i jeśli się nie pospieszy, zakryje go w ciągu kilkunastu sekund. Przewyciężając ból, na czworakach wszedł po schodach, powtarzając – niczym w wyuczonej choreografii – kroki z ostatniej nocy. Kiedy zbliżał się do promenady, poczuł, że woda zalewa mu ręce.

Nie stawiaj się na moim
miejscu, jeśli wiesz,
co jest dla ciebie dobre

*STAY OUT OF MY SHOES IF YOU KNOW
WHAT'S GOOD FOR YOU*

Droga powrotna w okolice urzędu miasta była znacznie trudniejsza. Do wielkich kałuż i sadzawek doszły jeszcze wybijające studzienki, które traciły swoje pokrywy wypychane impetem tryskającej ze środka wody. Na wielu ulicach ruch został wstrzymany. Sygnalizacja świetlna nie działała. Próbowali zobaczyć coś przez zaparowane szyby, ale wycieraczki nie nadążały z usuwaniem kurtyny deszczu, która w tym momencie spadła na Bilbao. W radiu mówiono o powodziach w górze rzeki, o miejscowościach odizolowanych z powodu ogromnej ilości wody, zalanych lokalach na nabrzeżu i totalnym chaosie. Sygnał stacji co jakiś czas zniknął i pojawiał się na nowo. Lizarso przełączył z Radia Euskadi na Radio Nacional, ale efekt był taki sam. Dwadzieścia minut wcześniej w całym mieście wysiadł prąd, pograżając w ciemnościach mieszkania i ulice, gdzie latarnie zapaliły się wcześniej z powodu braku światła. Ludzie wybierali te same numery, pod którymi jeszcze kilka dni wcześniej prosili o piosenki, żeby

przekazać swoim krewnym niepokojące wieści albo opowiadać, jak zalewa ich sklepy, a oni nie mogą nic na to poradzić. Padły telefony biura do spraw ochrony ludności, policji i straży pożarnej. Wszędzie widziało się stojące pojazdy z włączonymi silnikami i światłami awaryjnymi. Przez niezaparowane fragmenty szyb dało się zauważyć zatrwożone twarze kierowców, którzy nie wiedzieli, co robić ani dokąd się udać, i tylko patrzyli w niebo, które spadało na miasto ulewnym deszczem niczym podczas potopu. Rzeka Nervión wylała akurat w tym momencie, kiedy dotarli do promenady Campo de Volantín, a woda zaczęła się rozprzestrzeniać po płaskim terenie szybko jak ogień. Od mola dzielił ich jeszcze kawałek, a przed i za furgonetką stały samochody.

Noah przetarł ręką zaparkowaną szybę. Pośród deszczu i stojących wzdłuż alei kwietników zobaczył mężczyznę, który – jakby wyłonił się z ziemi – właśnie się podnosił. Otworzył drzwi i wyszedł na deszcz, którego huk zagłuszył głosy Lizarso i Rify.

– Niech Rafa nie wysiada z samochodu! – krzyknął, mając nadzieję, że go usłyszeli.

Collin

Wziął go z zaskoczenia. W chwili, gdy Collin wyjął łańcuchy i drzwi się otworzyły, dochodzący z budki smród był tak intensywny, że musiał zwymiotować. Nie pierwszy raz czuł zapach śmierci, ale początkowo sądził, że trafiły tu ścieki z jakiejś uszkodzonej rury kanalizacyjnej.

Nawet w słabym świetle tego ulewnego popołudnia zdołał dostrzec podłużny i napuchnięty kształt, jaki miały ciała w zaawansowanym stanie rozkładu. Było więcej niż jedno, nie miał czasu ich policzyć, bo zapach śmierci natychmiast go zaalarmował. Właśnie się odwracał, sięgając po broń na prawej nerce, ale wtedy łodzią mocno zakolebało i stracił równowagę, której utrzymanie na zalanym pokładzie tak wiele go kosztowało. Szarpnięcie w tył i w bok spowodowało, że wypadł za lewą burzę.

John w jednym miał rację: Irlandczyk Collin nie był dobrym pływakiem. Od chwili kontaktu z wodą jego ciało zachowywało się jak bezwładna kukła. Nagle stracił orientację i nie wiedział, gdzie jest góra, a gdzie dół, nie słyszał niczego prócz huku wody i niczego nie widział, mimo że oczy miał szeroko otwarte ze strachu. Poczuł, że od razu został wchłonięty. Ręce i nogi przypominały kręcący się wiatrak, ale w pewnym momencie uświadomił sobie, że potrząsająca nim siła lekko słabnie. Wyciągnął rękę z wody i natrafiwszy na jakiś przedmiot, chwycił się bosaka, który zwisał przy haku na moło pod promenadą. Złapał się go obiema rękami, aż zbielały mu kostki, i wynurzył się, kaszląc, cały przerażony. Rozejrzał

się dookoła i zobaczył, że z jakiegoś powodu rzeka zepchnęła go w stronę małej, spokojniejszej strefy pod łukami.

Trzymając się z całych sił, odwrócił głowę, żeby spróbować dojrzeć, gdzie się podział Murray. W tym momencie łódź przepłynęła obok i wywróciła się kilem do góry.

Nie miał pojęcia, co się stało ani czy Murraya spotkał jeszcze gorszy los niż jego, ale domyślał się, że zdołał dotrzeć do schodów mola, a potem porzucił motorówkę.

Collin przeanalizował swoją sytuację. Był uwięziony w tym małym zalewie tuż przy budce, z całych sił trzymając się bosaka, nie miał więc innego wyjścia, jak ruszyć do środka budowli. Opuszczenie schronienia pod promenadą i przepłynięcie dziesięciu metrów pod prąd nie wchodziło w grę. Doświadczył już siły wody i wiedział, że to niemożliwe. Inna opcja polegała na tym, żeby dać się ponieść, aż – może przy odrobinie szczęścia – dotarłby do którychś schodów przy promenadzie. Jednak to, w jaki sposób wessał go podwodny prąd, kazało mu myśleć, że jeszcze przed końcem dnia wylądowałby w Zatoce Biskajskiej.

Jego jedyną szansą było dotarcie do frontowej części budki, gdzie znajdowała się wystająca część dachu. Gdyby udało mu się tam wspiąć, miałby jakąś możliwość, by dostać się na promenadę. Niewielki dystans, jaki potrzebował przebyć, czyli tylko do skrzyżowania, był nie do pokonania. Nie miałby tam się czego chwycić i doskonale wiedział, że nie starczyłoby mu sił na walkę z prądem.

Wsparł się na rękach o mały kamienny gzyms pod promenadą i przewyciężając wstręt, rzucił się w stronę bocznych drzwi budki. Woda podnosiła się bardzo szybko i w środku sięgała już czterdziestu centymetrów. Ciało, niczym zalaminowane mumie, unosiło się w niewielkiej przestrzeni, zawadzając o siebie, jakby walczyły o to, które ma się wydostać jako pierwsze. Wokół panował nieznośny odór. Collin popchnął drzwi frontowe, które zachybotwały się od uderzeń wody. Oparty plecami o tylną ścianę, zaczął kopać liche drzwi, z pewnością już i tak mocno osłabione działaniem kolejnych pływów syzygijnych; wraz z trzecim kopnięciem wypadły ze starych zawiasów, które zwisały na porowatej i żółtawej

ramie, i przechyliły się, szczepione z drugim skrzydłem łańcuchami, którymi były zabezpieczone. Woda z jeszcze większym impetem wdarła się do środka, a owinięte zwłoki obracały się niczym makabryczne łódki. Jedne, zawinięte w zielony brezent i tak opuchnięte, że liny, którymi były obwiązane, napięły się, znikając wśród wybrzuszeń, wypłynęły ze środka i natychmiast zostały pociągnięte w dół rzeki. Dwa pozostałe ciała obracały się, aż się zetknęły, blokując boczne drzwi. Collin wyjrzał w stronę wystającej części dachu, widząc podnoszącą się wodę, która miała zawładnąć całą konstrukcją. Podskoczył, wyciągając ręce i wbijając palce w betonową krawędź. Wykrzesał z siebie całą siłę, jaka mu jeszcze została, żeby się odepchnąć, i chwycił żelazny pręt balustrady na promenadzie, a woda wypychała go jednocześnie, jakby miał pod stopami windę. Ostatkiem sił wsparł się o balustradę, obejmując ją rękami i wytrzymując napór wody, która w tym momencie sięgała mu do pasa.

Upał jest duszący, pali mnie od środka

*THE HEAT IS STIFLING,
BURNING ME UP FROM THE INSIDE*

Brakowało tylko piorunów i grzmotów, żeby rozświetlić noc, która nagle zapadła nad Bilbao, ale poza tym sceneria była identyczna jak owej nocy, kiedy Noah umarł, próbując zatrzymać Biblijnego Johna. Szedł przed siebie, ukrywając się za kwietnikami, a serce biło mu coraz szybciej i wszystkie odczucia, które składały się na idealną inscenizację stresu pourazowego, zaczęły się wokół niego uruchamiać. Ponad uderzeniami ulewnego deszczu i ponad ogłuszającym hukiem Nervión wylewającej się z koryta Noah słyszał swoje serce – łup, łup, łup, niczym smagnięcia batem. Odrzucił kaptur płaszcza, musiał mieć wolne wszystkie kąty widzenia. Woda spływała mu po twarzy z taką siłą, że aż bolało, zmuszała go do mrużenia oczu, by mógł cokolwiek zobaczyć i na nowo przeżyć to uczucie, które tak mocno znienawidził. Pomyślał, że mężczyzna nad brzegiem porusza się z trudem. A może czerpał przyjemność z obserwacji, jak prąd wyciąga z niszy damy z Bilbao?

Noah wiedział, że to John, bo to mógł być tylko John. Ogarnęło go przecucie tak wielkie jak Bilbao i nie miał żadnych wątpliwości, że dla jednego z nich nadszedł już czas. Siła tego przecucia była tak potężna, że jego puls przyspieszył wskutek uderzenia adrenaliny, a brzegi jego pola widzenia zaczęły się robić czarne. Wstrząsnął nim intensywny zawrót głowy, powodując, że stracił równowagę. Oparł się o jeden z wysokich kwietników, zamknął oczy i skupił się na głębokim oddychaniu przez nos, próbując przezwyciężyć omdlenie, które na kilka sekund go znokautowało.

Uwagi Biblijnego Johna nie przykuła jednak dama z rzeki. Przez chwilę sądził, że to halucynacja, ale charakterystyczny płaszcz przeciwdeszczowy Collina pomógł mu rozpoznać mężczyznę, który – trzymając się żelaznej balustrady przy promenadzie – walczył, żeby nie porwała go woda.

John patrzył na niego wściekły. Pokręcił nawet głową, jakby miał do czynienia z krnąbrnym dzieckiem. Sięgnął po broń, którą miał za pasem, wycelował, opuścił ją nieco, żeby zamortyzować odrzut, odbezpieczył i strzelił.

Siedząc na zalanej ziemi, Noah nachylił się, żeby spróbować coś dojrzeć, podczas gdy serce waliło mu coraz mocniej, a ze środka klatki piersiowej zaczął promieniować silny ucisk, niczym światło włączonego alarmu.

Dzieliło go od niego niecałe pięćdziesiąt metrów, kiedy zobaczył, że John podnosi rękę w stronę rzeki, jak gdyby dawał komuś znak. Potem ją opuścił, wskazując na swoje stopy, i wystrzelił z broni, której Noah nie widział pod tym kątem. Rozpoznał charakterystyczny dźwięk wystrzału, chociaż był pewien, że nikt nie usłyszał huk, który zagubił się pośród ryku przelewającej się wody. Nie widział, do kogo strzelał, ale celem mógł być jedynie Collin. Z sercem walącym jak młot i przyczajony za kwietnikiem, Noah wyjął rewolwer, który nosił przy prawej nerce, i tak samo jak owej nocy, przysunął go do twarzy, by dodać sobie dostatecznie dużo siły i odwagi, żeby z tym skończyć. Zawroty głowy zniknęły, serce biło bardzo szybko, lecz miarowo, a zimne podmuchy powietrza, które unosiły się nad wodami Nervión, chłodziły mu skórę, sprawiając, że czuł się

rozbudzony i myślał klarownie. Wyprostował się i trzymając broń w obu rękach, bokiem ruszył w stronę Johna. Woda sięgała mu do kolan.

John czuł się upojony euforią, wszystkie znaki z nieba zbiegły się nad jego głową niczym zapowiedź narodzin nowego mesjasza. W poranionej prawej dłoni wciąż dzierżył pistolet. Mimo ciężaru rozkoszował się idealnym strzałem i osłupiałym wyrazem twarzy Collina, wykonując jeden po drugim wszystkie kroki, których ten go nauczył. Podekscytowany, niczym podczas chrztu swojego odrodzenia, wznosił ręce i twarz do nieba.

I wtedy usłyszał ten głos:

– Johnie Clyde, rzuć broń. Jesteś aresztowany!

Zamknął oczy i zaczął kręcić głową. Głęboko niezadowolony.

Ponownie usłyszał głos:

– Johnie Clyde, rzuć broń.

Ale John nie rzucił broni, choć też jej nie ścisnął – zwisała bezwładnie pomiędzy jego palcami, jakby porzucona lub zapomniana. Zamiast wykonać polecenie, zaczął się powoli odwracać, aż znalazł się oko w oko ze Scottem Sherringtonem, z wyrazem irytacji i zniecierpliwienia na twarzy, co zdezorientowało inspektora.

– Nie, mylisz się, nie nazywam się John Clyde – powiedział z przekonaniem.

– Wolisz imię Biblijny John?

Twarz Johna wykrzywiła się w grymasie, jakby Noah właśnie go obraził.

– Niczego nie rozumiesz – oznajmił, podnosząc obie ręce na wysokość twarzy. Spojrzał na pistolet, niemal zaskoczony, jakby się nie spodziewał, że go trzyma, i wycelował w policjanta.

Całkowicie przemoczony, z koszulą i cienką kurtką przyklejonymi do ciała niczym druga skóra, John wydawał się o wiele drobniejszy i młodszy, niż był w rzeczywistości. Przypominał nieco mężczyznę z portretu pamięciowego, który Scott Sherrington studiował tysiące razy, ale obserwując go teraz, wiedział także,

dlaczego kobiety zgadzały się z nim wychodzić. Nawet z rozdartą, pobrudzoną szlamem i krwią nogawką spodni i celując z broni, miał w sobie coś schludnego, niemalże dziewiczego.

Na Noahu nie zrobiło to jednak wrażenia. Odbezpieczył rewolwer i pochylił się nieco, uginając rękę. Odezwał się spokojnym i zdecydowanym tonem:

– Rzuć broń, John, bo przysięgam na Boga, że nie będę miał żadnych skrpułów, by cię zabić.

Doszedł do wniosku, że wzmianka o Bogu wpłynęła na dalszy przebieg wypadków. John nie opuścił broni, ale poruszył lekko prawą ręką, aż Noah znalazł się poza zasięgiem strzału. Wtedy pociągnął za spust. Tym razem Noah usłyszał huk bardzo wyraźnie. Odwrócił się instynktownie, żeby spojrzeć w miejsce, w które John oddał strzał.

Rafa trzymał się jeszcze na nogach. Przez sekundę był pewien, że go nie trafił, ale wtedy na jego czole otworzył się ciemny plątek, zatrzymując na jego twarzy grymas po części bólu, po części zaskoczenia. Przewrócił się na plecy, zamortyzowany wysoką wodą, której poziom stale rósł. Noah rzucił się biegiem w stronę chłopaka, czując jednocześnie, jak świat dookoła niego zaczyna ciemnieć; zdołał jeszcze dostrzec zupełnie przemoczoną Euri skaczącą wokół ciała, i Lizarso, który się zbliżał, trzymając w jednej ręce swój pistolet marki Star. Noah padł na kolana obok Rafey, starając się trzymać jego głowę ponad wodą, podczas gdy serce ostatecznie mu pękało. Położył sobie rękę na klatce piersiowej, pokazując, jak ból go niszczy, miażdży, dusi, a w końcu eksploduje falą, która zatrzymała jego serce z taką samą niszczycielską mocą, z jaką rzeka Nervión rujnowała miasto. Jego ostatni przeblysłk świadomości był mieszaniną wielu myśli. Ale przede wszystkim pomyślał o tym, że śmierć i ból są sprawiedliwe, kiedy człowiek umiera z żalu.

Mikel Lizarso

O d chwili, gdy Noah otworzył drzwi i wysiadł z furgonetki, *ertzaina* Mikel Lizarso wiedział, że wszystko pójdzie źle. Później nie będzie potrafił tego wyjaśnić, ale miał jedno z tych przeczuc, o których tyle opowiadał Scott Sherrington. Być może dlatego, że tak jak w proroczej koniunkcji planet, akurat w tej samej chwili rzeka Nervión zaczęła wylewać. Być może dlatego, że – z pewnością zafascynowany widokiem wody zalewającej promenadę i płynącej w ich stronę – kierowca, który jechał z tyłu, nie zahamował na czas i uderzył w furgonetkę. Być może ze względu na sposób, w jaki Euri zaczęła szczekać. Lecz przede wszystkim dlatego, że w jego uszach wciąż rozbrzmiewało ostrzeżenie Noaha sprzed zamknięcia: „Niech Rafa nie wysiada z samochodu!”.

Zobaczył, że kierowca, który w niego uderzył, wysiada z pojazdu i podchodzi do drzwi furgonetki, łapiąc się za głowę. Stracił z oczu Noaha, a Euri szczekała jak szalona. Lizarso opuścił szybę, żeby pośród deszczu poszukać swojego przyjaciela, ale akurat stanął tam ten facet i zaczął przeproszać i zapewniać, że ma ubezpieczenie. Wysiadł z furgonetki, wylegitymował się jako *ertzaina* i nakazał mu, żeby wracał do swojego samochodu; tymczasem fala wody wylewająca się z rzeki sięgnęła im prawie do kolan. Facet nie słuchał, kontynuował swoją gadkę o ubezpieczeniu, a Mikel starał się coś dojrzeć nad jego ramieniem. I to musiało się stać wtedy, w tym krótkim czasie, kiedy on odsuwał tego gościa, pokazując mu odznakę, bo gdy wrócił do furgonetki, żeby ostrzec Rafę, by został w środku, przekonał się, że w którymś momencie chłopak wysiadł, a suczka ruszyła za nim. Odwrócił się w stronę promenady i zobaczył ich pięćdziesiąt metrów dalej. Rzucił

się biegiem, spowalniany przez fale błotnistej wody docierające tu z nad rzeki, zawołał go kilka razy, ale huk deszczu, klaksony samochodów i odgłos przypominający chrapanie potwora, dochodzący z rzeki, zagłuszyły jego głos. Wyciągnął broń, gdy zobaczył, jak Noah mierzy do Biblijnego Johna, i znajdował się niespełna dwa metry od Ruffy, kiedy ten skurwysyn wycelował w chłopaka i strzelił. Zobaczył, jak Ruffa się przewraca, popchnięty siłą strzału, i usłyszał, jak Noah krzyczy w sposób, którego Mikel nigdy nie zapomni. Ruffa nie żył. Wiedział to z całkowitą pewnością wynikającą z przeczucia. Później wszystko działo się niebywale wolno, jak gdyby ktoś zmniejszył prędkość, z jaką kręci się świat. Zobaczył Johna, jak przedziera się w kierunku głównej ulicy, walcząc z coraz silniejszym bocznym prądem i wodą, która sięgała mu prawie do bioder. Zobaczył rewolwer, niczym przedłużenie swojej ręki, wymierzony w Biblijnego Johna, zerknął w celownik, odbezpieczył i spojrzeniem nakreślił trajektorię, którą później miała pokonać kula. Pociągnął za spust.

Strzał w klatkę piersiową nie powalił Johna, ale zachwiał nim w tył i na bok. Broń wypadła z jego bezwładnej dłoni i przyciągnął rękę do tułowia w ochronnym geście, niemal jakby się obejmował. Ale było coś jeszcze, jedna z tych rzeczy, o których w kolejnych latach Lizarso będzie myślał bardzo często. John podniósł głowę, jakby coś usłyszał, coś, co mógł usłyszeć tylko on. Na jego twarzy pojawiło się przerażenie, jakiego *ertzaina* nie widział nigdy przedtem. Rozejrzał się wokół jak obłąkany i dalej cofał się w miejsce, gdzie znajdowała się balustrada, teraz już niewidoczna. Mikel zobaczył, jak wzburzone wody rzeki Nervión porywają go i ciągną w stronę koryta.

Wtedy *ertzaina* Mikel Lizarso odwrócił się tam, gdzie znajdowali się jego przyjaciele. Euri szczełała wściekle, szarpiąc za rękaw swojego pana i próbując przeciągnąć go w mniej zalane miejsce; Noah nadal był na kolanach, niemal cały pokryty błotem. Mikel myślał, że płacze, przytulony do Ruffy, ale w miarę, jak się zbliżał, dostrzegł, że inspektor leży nieprzytomny na ciele chłopaka. Nachylił się, szukając pulsu na jego szyi. Nie znalazł go.

Facet, który uderzył w jego furgonetkę, wciąż stał na zewnątrz i obserwował wszystko, z pewnością zaalarmowany szczekaniem Euri i ciekawy, co takiego robi *ertzaina*, biegnący w stronę wylewającej rzeki. Przekonawszy się, że wokół jest więcej ludzi, Mikel poprosił kilku mężczyzn, żeby mu pomogli. Zauważył, że zbledli, kiedy zobaczyli ranę Ruffy. Nie było dziury wylotowej. Gdyby nie złowieszczy ciemny okrąg na czole, chłopak wyglądałby, jakby spał. Kiedy mężczyźni podnieśli go z ziemi, Lizarso dostrzegł, że wokół jego ust tworzą się małe różowe bańki śliny i krwi. Jeszcze oddychał. Nie wiedział, czy to dotyczy też Noaha. Mimo że się nachylił, przykładając ucho do jego piersi, zdołał usłyszeć jedynie delikatny szum, jak gdyby nurt rzeki w jakiś sposób krążył w głębi klatki piersiowej jego przyjaciela. Biorąc ich za nogi i ręce, przenieśli obu do samochodu.

Z trudem zdołali otworzyć tylne drzwi furgonetki, które zostały uszkodzone wskutek uderzenia. Umieścili tam oba ciała, a kierowca samochodu, który spowodował kolizję, czując się częściowo odpowiedzialny, własnym paskiem od spodni zabezpieczył drzwi.

– Nie sądzę, żeby udało ci się dostać do szpitala, ulica jest zablokowana autami, studzienki kanalizacyjne zniszczone, a oprócz tego policja zamknęła most. Woda musi tam już sięgać powyżej asfaltu.

– Przejadę, jestem *ertzainq*.

Facet nie powiedział nic więcej. Stał tam na deszczu i w wodzie po kolana. Patrzył, jak Mikel manewruje i kieruje się na promenadę, która zniknęła pod wodą, przekonany, że biedaczyna niczego nie rozumiał.

Maite

Kiedy znalazły się w kompletnych ciemnościach, Begoña mocno przytuliła się do matki, ale nie krzyczały. Wyostrzyły słuch, usiłując wyłapać jakąkolwiek podpowiedź co do tego, co się dzieje. Przez wiele minut nie słyszały nic poza szumem, odległym szeptem. Zaczęły krzyczeć dopiero wtedy, gdy dosięgła je woda. Begoña się rozplakała, a Maite czuła, że łzy napływają jej do oczu, ale je powstrzymała; gdyby ona też uległa panice, jej córka umarłaby ze strachu. Woda zaczęła się podnosić bardzo szybko, sięgała im do bioder, do klatki piersiowej, do szyi, aż w pewnym momencie, żeby móc oddychać, musiały odchylić głowy, by nie zakryła im ust.

Trwały tak, nieruchome, w ciemności i trzymając się za ręce, podczas gdy Maite zadreżczała się myślą o tym, w jak głupi sposób naraziła swoją córkę na śmierć. Niemądrze postąpiła, decydując się tu schronić, ale do głowy przyszła jej inna myśl: jeśli woda osiągnęła wysokość ponad dwóch metrów w barze, to co musiało się dziać na zewnątrz? Krajobraz malujący się w jej głowie był tak przerażający, że nie mogła powstrzymać jęku. Jej niepokój zadziałał niczym młot, wyzwalając emocje obydwu. Słyszała, jak jej córka płacze, a gdy przycisnęła ją do siebie, poczuła, że ta się trzęsie. Poruszyła ją jej odwaga, jej opanowanie, bo chociaż była przerażona, to płakała po cichu, niczym topiąca się mała myszka.

Podniosła ręce tam, gdzie, jak sądziła, znajdowała się jej twarz, i opuszkami palców wyczuła gorące łzy, które płynęły dziewczynie po policzkach.

– Nie płacz, kochanie, tak jest tylko gorzej.

Myszka przestała płakać.

– Masz rację – wyszeptwała.

Wtedy uświadomiły sobie, że woda nieco opadła, tak że – choć nadal sięgała im do szyi – pozwalała trzymać głowę prosto i oddychać swobodnie. W ciągu kolejnych minut woda dalej opadała, zatrzymując się na wysokości klatki piersiowej.

– Wszystko będzie dobrze – odważyła się powiedzieć Maite. – Woda opada i niedługo po nas przyjdą, zobaczysz.

Ledwie to powiedziała, poczuła coś dziwnego. Podniosła rękę i przekonała się, że to kropla, która spadła jej na głowę. Strząsnęła wodę z dłoni i ponownie położyła ją na włosach, żeby się upewnić. Przeciekało z piętra nad nimi. Ta pewność okazała się przerażająca, bo to oznaczało, że jeśli nad ich głowami jest woda, to świat na zewnątrz zmienił się bardziej, niż mogła to sobie wyobrazić. Rozległ się głuchy hałas, rozchodząc się po wodzie. A zaledwie kilka sekund później drugi raz i kolejny, powtarzając się w rytmie, który przypominał Maite fale uderzające o falochron bardzo, bardzo daleko. Ten głuchy hałas się wzmógł, jakby ktoś włączył w wodzie wielki mikser, i stawał się coraz głośniejszy, coraz bardziej intensywny. Maite chwyciła Begoñę i objęła ją, przyciskając głowę dziewczyny do swojej piersi.

W jej świadomości pojawiła się myśl i kilka słów. Myśl była przeznaczona dla Noaha, zaś słowa dla córki.

– Kocham cię, skarbie.

To było ostatnie, co powiedziała, zanim runęły na nie ściany dawnego kasyna.

Mikel Lizarso

Kiedy Lizarso będzie to wspominał, nawet nie będzie pamiętał, że przejechał przez most, ale bez wątpienia to zrobił. Jakiś czas później wspomni wręcz, że widział statek „Consulado de Bilbao”, jak kołysał się, dryfując, nim ostatecznie poszedł na dno, podczas gdy wielka fala wody, która miała zalać miasto do wysokości drugiego piętra, docierała na Arenal. Niczego nie słyszał, niczego nie widział, niczego nie czuł. Przemoczony do suchej nitki, na niektórych odcinkach jechał pod prąd. Bardzo wyraźnie pamiętał jednak inne rzeczy: że ani razu się nie odwrócił, żeby spojrzeć na ciała, że w radiu rozbrzmiewała oryginalna ścieżka dźwiękowa z filmu *Łowca androidów*, że gdy zobaczył, że woda sięga powyżej maski, zaczął powtarzać jak litanię: „Nie zatrzymuj się, nie zatrzymuj się”, i że Euri szczekała przez całą drogę. Nie, tego ostatniego nie pamiętał tak klarownie, raczej się zorientował, że suczka to robi, a było to, kiedy wjechali na teren szpitala Cruces, ponieważ akurat w tym momencie Euri zamilkła. Jak gdyby zrozumiała, że cały jej wysiłek nie ma już żadnego sensu. Włożyła pyszczek między przednie łapy, zwinęła się na siedzeniu obok i cała się trzęsła. Mała, dzielna Euri, deszczowa suczka, z przemoczoną sierścią wydawała się jeszcze mniejsza. Mógłby przysiąc, że między tą chwilą a momentem, gdy pielęgniarz otworzył drzwi, zadając pytania, minęły długie godziny. Pamiętał, że się wylegitymował, pamiętał niezdarne pokazywanie na tył furgonetki, ale nie był pewien, czy cokolwiek powiedział. Później były nosze, stetoskopy, personel medyczny nachylony nad ciałami i pośpiech typowy dla ostrego dyżuru, co Lizarso wydało się zupełnie absurdalne. Podeszła do niego jedna z pielęgniarek.

– Jest pan dawcą krwi?

Przytaknął.

– Jaka grupa?

– Zero minus.

– Proszę wejść, będziemy jej potrzebować.

Stał nieruchomo przed wahadłowymi drzwiami na izbie przyjęć, jeszcze długo po tym, jak nosze zniknęły, i poruszył się dopiero wtedy, gdy poczuł zimny pyszczek Euri, który wpychała w jego dłoń. Razem przeszli przez drzwi. Pamiętał bardzo wyraźnie, że ktoś do nich wyszedł, mówiąc, że pies nie może przebywać w szpitalu, a ponieważ wyciągnął swoją odznakę, ten ktoś odpowiedział:

– To *ertzaina*.

Maite

Po zawaleniu nastąpił głośny huk. Nigdy się nie dowie, ile czasu tam siedziały, pogrążone w ciemności. Ogłuszone hałasem. Czuła drżące ciało córki tuż przy swoim, próbowała otworzyć oczy, lecz wydawało się, że zostały pogrzebane pod tonami piasku, ponieważ lekkie mrugnięcie wywoływało wrażenie, jakby setki małych nacięć rozszarpywały jej rogówkę. Zacisnęła powieki. Wzięła głęboki oddech, szukając powietrza, a jej płuca zapłonęły, jakby oddychała ogniem.

– *Ama...* – dotarł do niej ochrypły głos córki.

Maite pociągnęła za przód swojej mokrej koszuli i zasłoniła sobie nią usta.

– Bego, oddychaj przez materiał koszuli i nie otwieraj oczu. – Wypowiedzenie tych słów kosztowało ją atak kaszlu. W ustach czuła smak gipsu i pleśni, a skóra na twarzy paliła ją, napięta i jednocześnie rozszarpywana.

Były uwięzione jakby w worku pośród zawalonego budynku, nie dało się jednak obliczyć, ile ton gruzu miały nad sobą ani jak stabilna była bańka, w której się znajdowały. Próbując zachować spokój, Maite usiłowała się powoli ruszyć. Wciąż siedziały w wodzie po pas, tyle że teraz była to gęsta papka gruzu, pyłu i gipsu.

Pot wychodzi wszystkimi porami, nie chcę już tu być

*THE SWEAT IS COMING THROUGH EACH
AND EVERY PORE,
I DON'T WANNA BE HERE NO MORE*

Ból fizyczny, który w pewnej chwili wydał mu się nie do zniesienia, ustał nagle, kiedy jego serce pękło; lecz ten drugi, ból ogromnego żalu, jaki czuł z powodu śmierci Rify, nadal ścisnął jego klatkę piersiową niczym zębata pułapka. Noah płakał zrozpaczony. Zasłonił dłońmi oczy, żeby nie widzieć okropnej rany, która przedziurawiła jego czoło, czoło jego dziecka, które – w tym momencie to wiedział – było jego synem śmierci. Niepatrzenie na niego na niewiele się zdało, jego wielkie błyszczące oczy miał wyryte w swojej duszy. Z bardzo daleka słyszał szczekanie Euri. Zobaczył Lizarso z wyciągniętym w stronę Johna rewolwerem. Zobaczył kulę i trajektorię celnego strzału, który trafił w klatkę piersiową Biblijnego Johna. Zobaczył Clyde'a przerażonego nieuchronnością swojej śmierci, zobaczył, jak porywa go woda, i słyszał ten straszliwy płacz, który w istocie był przeznaczony tylko dla niego. Zobaczył Lizarso, jak nachyla się nad leżącymi bezwładnie ciałami, szukając pulsu,

i zobaczył łzy mieszające się z kroplami deszczu na twarzy tego człowieka, który był jego przyjacielem. Zobaczył mężczyzn, którzy biegli w ich stronę, wyciągali ciała z wody i wrzucali je na tył niebieskiej furgonetki z wgniecionymi drzwiami. Euri zaczęła szczeakać.

I wtedy Noah się odwrócił, by popatrzeć na Bilbao. Zobaczył wielką falę, która spływała po zboczach i pustoszyła miasto. Zobaczył, jak podnosi się poziom wody, niszcząc *txosnas* rozstawione z okazji święta wzdłuż nabrzeża. Zobaczył ogrom brudnej wody, która wybiła okna we wspaniałym teatrze Arriaga i zapełniła jego pomieszczenia błotem i gałęziami, plastikiem i osadami pełnymi metali ciężkich, które przez setki lat osadzały się w korycie rzeki. Zobaczył zbocza wzgórz otaczających Siedem Ulic, jak zapadają się w mieszaninę żwiru, wyrwanych z korzeniami drzew i pokawałkowanego betonu, a także stare miasto pogrzebane pod tonami błota i gruzu. Zobaczył dryfujące samochody, mężczyzn na dachach warsztatów, kobiety płaczące za firankami w kuchni, smutne spojrzenia zwierząt ciągniętych na śmierć, ludzi, którzy topili się w swoich sklepach, tych, którzy zostali wchłonięci przez falę w swoich zawałonych domach, tych, którzy nigdy nie zostaną odnalezieni. Półtora tysiąca ton deszczu. W niektórych miejscach pięć metrów wysokości. W krótkim czasie spadło sześćset litrów wody na metr kwadratowy. Noah zobaczył potop. I opłakiwał to miasto, opłakiwał ciała zawinięte w brezent, które unosiły się na rzece, opłakiwał utopione psy, opłakiwał Rafę, Lizarso, doktorkę Elizondo, opłakiwał swoje zmarnowane życie, opłakiwał Maite, swoją dopiero co znaną miłość. Euri wciąż szczeakała, a jej ujadanie stało się jedynym, co się teraz liczyło, kotwicą utrzymującą go na nitce życia, na której wisiało jego chore serce.

Noah płakał tak długo, aż łzy oczyściły mu oczy, i dopiero wtedy, ponad tym całym zniszczeniem, zaczął widzieć. Zobaczył Lizarso, jak jedzie pod prąd ze swoim nieszczęsnym ładunkiem w tylnej części furgonetki, a wznosząc się nieco wyżej, mógł zobaczyć Maite i Begoñę przykryte warstwą pyłu cementowego, torujące sobie drogę przez dziurę w suficie dawnego kasyna i wydostające się z ruin.

Uśmiechnął się na widok tej kobiety, która była jego kobietą, i tej dziewczyny, która mogłaby być jego córką, i wtedy definitywnie przepędził swój smutek, mając świadomość, jak wiele miłości ze sobą zabiera. W oddali Euri nadal szczekała. Obejrzał się za siebie, żeby jeszcze raz zobaczyć ten *finis mundi*, który niszczył miasto, i ujrzał nawet przeblysłk odrodzenia, które miało nadejść, *auzolan*, czyli sąsiedzką współpracę na ulicach, dumę i nadzieję, które odbudują Bilbao. Ale postanowił nie patrzeć już dłużej, wolał oglądać słońce, które zaczęło koić jego duszę, i skierował się w tamtą stronę. Ciepło uspokoiło jego umysł, stopniowo go ogrzewało i usuwało z jego skóry wszelkie wspomnienie chłodu. Wciąż mógł słyszeć szczekanie deszczowej suczki. Lecz w słońcu czekało na niego wielu ludzi, zdało mu się, że w oddali dostrzegł swoich rodziców, którzy uśmiechali się do niego, a także inne osoby, które pamiętał jak przez mgłę, ale miał całkowitą pewność, że były częścią jego życia. Zobaczył grupę kobiet, wśród których rozpoznał Clarissę O'Hagan z rozpuszczonymi włosami lśniącymi w słońcu, i poczuł zadowolenie, bo pomyślał, że do twarzy jej z taką fryzurą. Obejrzał się raz jeszcze, żeby spojrzeć na miasto, które poddawało się, niszczone przez potop, i doszedł do wniosku, że już się nie boi, że uda się w stronę słońca.

„Noah”, usłyszał niezwykle wyraźnie głos Maite, która go wołała, która domagała się go, tak jak mu obiecała, tak jak człowiek domaga się tego, co do niego należy. I mimo ciepła słońca, które ogrzewało duszę, mimo że już zdecydował, że tam pójdzie, odwrócił się, aby do niej wrócić.

Wtedy zobaczył stojącego przed sobą Rafę. Na jego czole nie było śladu po okropnej ranie, którą miał w furgonetce, ale prócz tego stracił również sztywność swoich kończyn i twarzy. Noah chciał się do niego odezwać, lecz uświadomił sobie, że nie może, ponieważ słowa już nie istniały. Rafa się do niego uśmiechnął, jakby wiedział o czymś, o czym Noah nie ma pojęcia. Zawsze był bystrym chłopakiem. Podniósł rękę i dotknął klatki piersiowej Noaha – i właśnie w tym momencie Noah usłyszał oddech smoka. Wiedział, że towarzyszył mu przez cały czas, i niemal słyszał delikatny szelest miliona zasłon, które tworzyły opłucną tego stworzenia pozostającego w uśpieniu, odkąd Noah przyplłynął do Bilbao. Wiedział,

że się budzi, wiedział, że ta mitologiczna istota, potężna i nieśmiertelna, oprócz olbrzymich płuc ma też mocne serce. Euri zamilkła i przez kilka sekund Noah słyszał jedynie ciszę, całkowitą i absolutną ciszę śmierci, ciszę, która zdołała pochłonąć zgiełk miasta ginącego pod wodą, i wtedy, gdy sądził, że ta cisza będzie trwać już wiecznie, usłyszał bicie serca smoka. Bum, bum. Bum, bum. Waliło tak mocno, że wprowadzało w ruch powietrze dookoła. Bum, bum. Bum, bum. Noah chciał się dowiedzieć, chciał to zrozumieć, więc odwrócił się, żeby znowu spojrzeć, żeby pojąć ten cud, który sprawił, że serce smoka bije w jego klatce piersiowej.

Wyraźnie usłyszał wołający go głos i zdawało mu się nawet, że go rozpoznał.

– Noah, obudziłeś się? Otwórz oczy.

Posłuchał.

– Witaj, Noah.

Choć twarz była zasłonięta częściowo przez maseczkę chirurgiczną, Noah rozpoznał doktora Sáncheza.

– Dzień dobry, doktorze.

Mężczyzna uśmiechnął się z zadowoleniem i odwrócił się, by spojrzeć na towarzyszących mu lekarzy.

– Cóż, twoje powitanie wyraźnie świadczy o tym, że wiesz, kim jestem i gdzie się znajdujesz. Jak się czujesz?

– A moi przyjaciele? – Jego głos okazał się ledwie szeptem.

– Za chwilę będziesz mógł ich zobaczyć, ale wcześniej odpowiedz, jak się czujesz.

Noah zastanowił się chwilę.

Czuł się wyczerpany, a niewielki wysiłek, jaki z siebie wykrzesał, by przywitać się z lekarzem, obudził w jego piersi ostry, kłujący ból, który nasilał się jak przypływ.

– Strasznie zmęczony. I boli mnie w klatce piersiowej.

– Obie te rzeczy są normalne, ale nie pozwolimy, żeby cię bolało. Postaraj się nie ruszać – powiedział lekarz, po czym podniósł rękę do jakiegoś miejsca nad

głową Noaha. Odkręcił kroplówkę i Noah zobaczył, że lecące krople zamieniają się niemal w mały strumień. Ból, który narastał falami, niczym przypływ, cofnął się i ukrył w ciemności. – Lepiej?

Noah przytaknął, zamykając oczy; poczuł wyraźną ulgę.

– Za chwilę pozwolimy ci zasnąć, ale jest tu kilka osób, które czekają od wielu godzin, żeby cię zobaczyć. Bardzo się o ciebie martwiły. Na OIOM-ie to trochę skomplikowane, jednak na pewno będą znacznie spokojniejsze, gdy się przekonają, że czujesz się dobrze. Tylko pięć minut, bo później musisz odpoczywać.

Noah znowu przytaknął.

Maite, Lizarso i doktorka Elizondo założyli na swoje ubrania zielone fartuchy, takie same, jakie nosili lekarze. Maite miała włosy schowane pod czepkiem, a twarz zakrywała jej maseczka. Noah uśmiechnął się na jej widok. Podniósł rękę w jej stronę. Nie umknął mu sposób, w jaki Maite patrzyła na lekarzy, jakby prosiła o pozwolenie. Kiedy skinęli głowami, ujęła rękę Noaha w swoje dłonie. Miała rękawiczki chirurgiczne, ale nawet przez lateks Noah poczuł jej silne i bardzo zimne dłonie.

– Cześć, kochanie – przywitała się.

– Cześć – odpowiedział z uśmiechem. – Jeszcze tu jestem.

– Mówiłam, że nie pozwolę ci odejść, że będę się ciebie domagać, teraz należysz do mnie.

– Słyszałem, jak mnie wołałaś.

Nawet przez maseczkę dostrzegł jej szeroki uśmiech.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jak się cieszę, że cię widzę – odezwała się doktorka.

– Myliłem się. Tam jednak coś jest – powiedział, zwracając się do Maite i Elizondo.

– Co tam jest, Noah? – zapytała ta druga.

– Słońce.

– Zawsze tak uważałam – oznajmiła z przekonaniem.

Lekarze się cofnęli, ustępując Lizarso miejsca przy łóżku. *Ertzaina* ścisnęła delikatnie rękę swojego przyjaciela. Noah tylko na niego spojrział i dostrzegł, że oczy Mikela wyrażają zmęczenie, z troską i coś jeszcze. Wyglądał na pokonanego, miał poszarzałą skórę i smutne oczy. Noah pomyślał, że postarzał się o dziesięć lat. Wiedział dlaczego. Ostatnim świadomym wspomnieniem Noaha był Rafa leżący w wodzie z raną postrzałową na czole. Nie musiał o nic pytać, znał już odpowiedź. Mimo to wyszeptał jego imię:

– Rafa.

Usłyszał, jak *ertzaina* nabiera powietrza. Poruszał głową, jak gdyby nie mógł się zdecydować, czy potwierdzić, czy zaprzeczyć.

– Nie udało się, Noah. Był bardzo silny i wytrzymał dość długo; kiedy przyjechaliśmy do szpitala, jeszcze oddychał. Lekarze robili wszystko, co w ich mocy, ale...

Noah zamknął oczy, mocno zaciskając powieki. Wymknęły mu się spod nich dwie grube łzy.

– Słyszałem szczekanie Euri – wyszeptał. – Słyszałem je cały czas. Jakby ona wszystko wiedziała...

– Zgadza się, szkoda, że jej nie widziałeś... Od tamtej pory nie odstępowała mnie na krok, zabrałem ją do jej domu, ale nawet nie chciała wejść. Czeka na mnie na zewnątrz.

Noah zebrał się w sobie i zapytał:

– A John?

– Nie żyje. Trafiłem go w klatkę piersiową. Wpadł do wody i rzeka go wciągnęła.

– Znalezione go?

– Tak, bardzo blisko jednej z jego ofiar, która unosiła się w Zatoce Biskajskiej. Ten plastik, w który je owijał, był widoczny nawet wśród błota. W budce znaleźliśmy jeszcze jedno zaklinowane ciało. Przypuszczamy, że było ich więcej, nie wiemy ile, zostały porwane przez wodę, ale znajdą się, trwa wielka akcja

poszukiwawcza. – Zrobił pauzę i spojrział na lekarzy, a następnie na Maite i na doktorkę Elizondo. – Musisz wiedzieć, że woda podniosła się jeszcze bardziej, w niektórych miejscach sięgnęła nawet pięciu metrów. Są dziesiątki zabitych i mnóstwo zaginionych, liczba nie jest jeszcze ostateczna, codziennie pojawiają się kolejne zwłoki.

Noah zmarszczył czoło, zdezorientowany.

– Myślałem, że to mi się śniło.

– To raczej koszmar – powiedziała doktorka Elizondo. – Spustoszenia są ogromne, miasto nie jest już takie, jakim je poznałeś. Na ulicach leżą tony błota i kamieni, wszystkie sklepy i bary na starym mieście zostały zniszczone. Wiele osób nie ma dachu nad głową, tysiące ludzi straciło swoje miejsca pracy. Przyniosłabym ci gazetę, ale nie mogli jej wydrukować.

Zszokowany Noah otworzył szeroko oczy, szukając spojrzenia Maite.

– Wam nic się nie stało? A Begoña?

– Nie, nic nam nie jest, nie przejmuj się tym teraz. Kiedy poczujesz się lepiej, opowiem ci o naszych przejściach. Bar już nie istnieje, trzeba będzie zacząć od zera, ale my mamy się dobrze i będziemy czekać na ciebie w domu. Zajmiemy się tobą, kiedy wyjdiesz ze szpitala.

Nagle, w jakiś magiczny sposób, Noah przeniósł się w to miejsce i do chwili, gdy pragnął, żeby to był jego dom. Na łóżko, w którym spali razem przez tę jedną noc, do ciepła poranka, do głosu Maite śpiewającej pod prysznicem, do deszczu uderzającego o szyby na balkonie i do aromatu kawy. Przypomniał sobie, jak bardzo chciał utrwalić ów moment, jak pragnął, żeby to była jego pościel, żeby to było jego łóżko, jego dom. Dobrze było mieć takie miejsce, do którego można wrócić. Uśmiechnął się, świadomy, jak kilka słów może wszystko zmienić.

– Jak się czujesz? – zapytał Lizarso.

– Sam nie wiem, to dziwne. Czuję się dobrze, ale boli mnie tutaj – powiedział, podnosząc rękę do piersi. – Kiedy się ruszam, boli mnie w jakiś dziwny sposób, nigdy nie czułem takiego bólu.

Lekarze, na czele z doktorem Sánchezem, ponownie otoczyli łóżko.

– Noah, pragnęliśmy, żeby twoi przyjaciele byli przy tobie, bo chcieliśmy wyjaśnić ci kilka rzeczy. Ten kłujący ból, który czujesz, jest zupełnie normalny, to ból pooperacyjny. W pierwszych dniach jest bardzo ostry, ale potem złagodnieje, aż całkiem zniknie. To się właśnie czuje po operacji.

– Zoperowaliście mnie?

Lekarze przytaknęli.

– Sam wiesz, jak poważny był twój stan w poprzednich dniach. Kiedy przywieziono cię tu dwudziestego szóstego, twój stan był krytyczny.

– Nagła śmierć – wyszeptał Noah.

– Nie, tym razem to był atak serca bardziej, powiedzmy, typowy.

– Ale byłem martwy, wiem o tym, bo tym razem mam wspomnienia.

Lekarze spojrzeli po sobie, po czym głos znowu zabrał doktor Sánchez:

– Z powodu stresującej sytuacji wystąpiła tachykardia i doszło do migotania komór. Nie nastąpiło całkowite zatrzymanie akcji serca, ale migotanie to bardzo słaby, minimalny ruch podobny do drżenia, niewystarczający do utrzymania obiegu krwi i prawidłowego ciśnienia. Na szczęście twój przyjaciel przywiózł cię bardzo szybko. Wtedy byłeś właśnie w takim stanie, więc postanowiliśmy cię zoperować.

– Ale... jak to zoperować? Niczego nie rozumiem. Powiedzieliście, że w tym szpitalu nie wykonuje się zabiegów kardiologicznych...

– Pamiętaj, że kiedy rozmawialiśmy, podpisałeś zgodę na zabieg. Naszym obowiązkiem było spróbować cię uratować, a wystąpiło kilka szczęśliwych zbiegów okoliczności, jak choćby ten, że wszyscy ci wybitni kardiolodzy znajdowali się akurat w mieście.

– Powiedzieliście, że nie ma żadnej operacji, która mogłaby wyleczyć kardiomiopatię rozstrzeniową. Sam mi o tym mówiłeś. Wszyscy tak twierdziliście – upierał się Noah.

– Bo nie ma, Noah. Trafiłeś tu w krytycznym stanie, kardiolodzy byli na miejscu, wcześniej wykonaliśmy już kwalifikację do przeszczepienia... – Lekarz

zamilkł na chwilę i spojrzał na Maite, na Lizarso, a na koniec na doktorkę Elizondo, niemal błagając o pomoc. – I pojawił się zgodny dawca.

Noah wypuścił z płuc całe powietrze, a kiedy się odezwał, zabrzmiał tak, jakby się dusił. Bardziej do siebie niż do pozostałych powiedział:

– Przeszczepiliście mi serce?

Maite stanęła między Noahem a kardiologami.

– To była twoja jedyna szansa, Noah. W przeciwnym razie byś umarł.

Spojrzał na nią wnikliwie.

– Już byłem martwy... pamiętam to.

I kiedy to mówił, w jego umyśle na powrót pojawiły się obrazy miasta ginącego pod wodą, żalodne szczekanie Euri, słońce świecące nad górami z obietnicą wiecznej wiosny, twarze tych, którzy tam na niego czekali, milion wybrzuszonych zasłon, niczym opłucna smoka... I nagle, całkowicie wyraźnie, zobaczył też Rafę. Zamknął oczy, żeby uchwycić znikające wspomnienie. Rafa się uśmiechnął i wyciągnął do niego rękę.

Kiedy otworzył oczy, Maite patrzyła na niego zmartwiona. Drobnym gestem pokazał jej, żeby się odsunęła, by mógł widzieć lekarzy. Kiedy się odezwał, pomimo osłabienia, jego ton odzyskał spokój i pewność typowe dla inspektora Scotta Sherringtona. Jak przystało na policjanta, Noah zapytał:

– Kto był dawcą?

Lekarze popatrzyli po sobie, kręcąc głowami.

– Nie możemy udzielić ci tej informacji, Noah. Przykro nam, ale przepisy są bardzo ja...

– Kto był dawcą? – przerwał im.

– Nigdy nie udostępniany takich informacji, takie są procedury, podpisałeś zgodę – powiedział stanowczo doktor Sánchez.

Wtedy usłyszał westchnienie, po którym Maite się rozkleiła. Łza z jej twarzy spadła na rękę Noaha, którą trzymała w swojej dłoni. Doktorka Elizondo zamknęła

oczy. Spojrzał na Lizarso i znalazł w nim wszystkie odpowiedzi. Gdy zwrócił się do lekarzy, znowu starał się brzmieć jak inspektor Scott Sherrington.

– Kto był dawcą? – zapytał po raz trzeci, a jego oczy napełniły się łzami.

– Noah, nigdy nie udostępniamy takich informacji – powtórzył doktor słabszym tonem.

Noah rozplakał się gorzko.

– Proszę...

– Noah, zrobiliśmy wszystko, żeby go uratować, ale zmarł i okazał się idealnym dawcą.

– Był jeszcze dzieckiem. – Głos Scotta Sherringtona zadrżał z oburzenia.

– Był tak samo wysoki i silny jak ty, i miał taką samą grupę krwi.

– Był dzieckiem – powtórzył.

– Jego matka wyraziła zgodę na pobranie narządu.

Noah zamknął oczy, powtarzając:

– Nie, nie, nie.

Pikanie maszyny kontrolującej tętno stało się coraz szybsze. Nad jego głową i w dyżurce pielęgniarek rozległ się alarm.

Noah płakał gorzko, Maite próbowała wziąć go za rękę, ale on przyłożył ją do piersi, w miejscu, w którym ból stał się nie do wytrzymania.

– Musicie je wyciągnąć, wyciągnijcie je ze mnie! – bełkotał przez łzy.

Lizarso zaalarmowany spojrzał na Maite. Ona nachyliła się nad Scottem Sherringtonem.

– Nie rób tego, Noah, nie rób tego – prosiła. – Nie marnuj życia. Teraz nie należy tylko do ciebie.

Do sali wbiegły cztery pielęgniarki, pchając wózek. Pikanie monitora wciąż przyspieszało. Lekarze odsunęli Lizarso i Maite, po czym nachylili się nad Noahem.

On zamknął oczy, ogarnięty bólem, podczas gdy jeden z lekarzy zatopił w jego rękę igłę, wstrzykując środek znieczulający, który sprawił, że inspektor się uspokoił

i po chwili zasnął. Jego ostatnim wspomnieniem było pikanie monitora oraz szarawe oblicze małej sowy. Zastanawiał się nad tym, jak to możliwe, że jest tu *Otus scops*.

Otworzył oczy i było tak, jakby patrzył przez pryzmat wielu zamazanych twarzy. Zobaczył Rafę. Ukrywał się częściowo za maseczką chirurgiczną, miał na sobie zielony fartuch i jeden z tych czepków, który nie zakrywał całkiem jego gęstych ciemnych włosów. Jego oczy uśmiechały się, pełne zaciekawienia i miłości.

– Rafa – wyszeptał.

– Dzień dobry – przywitała się Iciar.

Noah przez kilka sekund był w szoku.

– Myślałem, że jesteś...

– Bo jestem, po części, tak samo jak Euri, i tak samo jak teraz ty.

Noah milczał.

– Powiedziano mi, że bardzo się zdenerwowałaś, gdy się o tym dowiedziałaś. I dlatego, choć mówiono mi coś tam na temat procedur, pomyślałam, że muszę tu przyjść i cię zobaczyć.

Noah westchnął.

– Rafa cię kochał – powiedziała.

Noah zaczął płakać.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni, a później, z największą ostrożnością, położyła drugą na jego klatce piersiowej.

– W tym krótkim czasie, jaki razem spędziliście, miał w swoim sercu więcej radości i nadziei niż przez całe dotychczasowe życie. Noah, jestem szczęśliwa, wiedząc, że serce mojego syna wciąż bije, ale przede wszystkim dlatego, że bije w tobie, w przyjacielu, w piersi kogoś, kto naprawdę go kochał.

Noah zamknął oczy.

– Wyjeżdżam z Bilbao – oznajmiła kobieta.

Uniósł powieki.

– Wyjeżdżasz?

– Pochodzę z małej miejscowości w prowincji Gipuzkoa, z Iciar, pamiętasz? Tam mieszkają moje siostry. Byłam tutaj tylko ze względu na niego, w miastach takie osoby jak Rafa mają większe możliwości. Poza tym po powodzi zostałam bez pracy. Warsztat, w którym pracowałam, jest zniszczony. Właściciele jeszcze nie wiedzą, czy otworzą go ponownie.

– Zostaw Maite jakiś numer do siebie. Żebyśmy nie stracili kontaktu.

Wykonała niejednoznaczny gest i Noah był pewien, że tego nie zrobi.

– Zanim wyjadę, chcę cię o coś prosić.

– Jasne. O co tylko zechcesz.

Ponownie przyłożyła dłoń do jego piersi i powoli się nachyliła, żeby posłuchać bicia jego serca.

– Nie odrzucaj go, Noah, pozwól, żeby nadzieja, radość i całe dobro mojego syna dalej biły. Obiecuj mi to.

Nie mając odwagi otworzyć oczu i czując bijące w swojej piersi potężne serce smoka, Noah złożył obietnicę.

TO NIE JEST KONIEC

Kilka tygodni później

Rzeczy, które powiedział lekarz i o które zapytała Maite:

Lekarz: Jesteśmy bardzo zadowoleni, Maite. Wszystko wygląda bardzo dobrze, nie ma odrzutu, nie ma infekcji... Na razie musi jeszcze zostać w szpitalu przez prawie dwa miesiące, a kiedy go wreszcie wypiszemy i pojedzie do domu, co najmniej przez pierwszy rok będzie musiał ciągle przyjeżdżać na badania. To będzie uciążliwe, ale uważamy, że wkrótce będzie mógł prowadzić prawie normalne życie.

Maite: Doktorze, mam pytanie, chociaż trochę się wstydzę. – Przygryzła nerwowo wargę. – Jak wreszcie wyjdzie ze szpitala, jak pan sądzi, kiedy Noah będzie mógł uprawiać miłość?

Rzeczy, które powiedział lekarz i o które zapytał Noah:

Lekarz: Wszystko wygląda bardzo dobrze, Noah. Nie ma odrzutu. Wiesz już, że musisz jeszcze trochę zostać w szpitalu i przez najbliższy rok będziesz musiał ciągle przyjeżdżać na badania, ale jesteśmy bardzo zadowoleni. Uważamy, że będziesz mógł prowadzić dobre życie.

Noah: Doktorze, mam pytanie. Jak już wrócę do domu, jak pan sądzi, kiedy będę mógł uprawiać miłość?

Nota od autorki

Jako powieściopisarka, i dopóki będę tworzyć fikcję, zamierzam zmieniać, wyobrażać sobie i pisać historię na nowo, ponieważ to jest moja praca. Jednakże z szacunku dla osób, które stworzyły prawdziwą historię, jestem winna wyjaśnienie, że pierwszego przeszczepienia serca w Hiszpanii, po którym podawano środki immunosupresyjne, dokonał w Szpitalu św. Krzyża i św. Pawła w Barcelonie w maju 1984 roku zespół doktora Josepa Marii Caralpsa. Kilka tygodni później w Szpitalu Uniwersyteckim Puerta de Hierro w Madrycie wykonano drugą transplantację, za którą odpowiadał zespół kierowany przez lekarzy Diega Figuerę i Luisa Alonsa Pulpóna; pacjentką była jedenastoletnia dziewczynka z Granady, która żyje do dziś i prowadzi normalną egzystencję. Miałam ogromne szczęście, że mogłam się konsultować z jednym z lekarzy, który brał udział w tej operacji, wówczas jako młody rezydent, i któremu składałam wyrazy wdzięczności w podziękowaniach.

W Kraju Basków nie istnieje żaden szpital, który przeprowadza, bądź przeprowadzał, transplantacje serca. Tutejsi pacjenci kierowani się do Szpitala Uniwersyteckiego Valdecilla w Santanderze albo do Kliniki Uniwersytetu Nawarry w Pampelunie.

Pozostałam wierna faktom historycznym, ale pozwoliłam sobie przyspieszyć akcję dokładnie o rok, żeby zbiegła się z wielką powodzią w Bilbao.

Historia transplantacji serca zaczęła się w latach sześćdziesiątych XX wieku w Kapsztadzie dzięki doktorowi Christiaanowi Barnardowi. Barnard jako pierwszy

odważył się wykonać przeszczepienie ludzkiego serca i dlatego zapisał się w historii medycyny. On nauczył swojej techniki doktora Cristóbalu Martíneza Bordiú, a ten z kolei przeprowadził pierwszą transplantację w Hiszpanii u pacjenta, który cierpiał na kardiomiopatię rozstrzeniową. Od tamtej pory technika nie uległa zasadniczej zmianie, a pacjenci umierali wskutek odrzucenia narządu. Rewolucją w transplantacji serca okazał się rozwój lekarstw zapobiegających odrzutowi, zwanych immunosupresantami.

Natomiast mój ukochany Nik Kershaw wydał swój singiel *Wouldn't It Be Good*, pochodzący z albumu *The Riddle*, w 1984 roku, ale w tym przypadku również pozwoliłam sobie na swobodę poetycką i włączyłam tę piosenkę w charakterze ścieżki dźwiękowej do akcji powieści, która rozgrywa się rok wcześniej.

Fragment „Wouldn't it be good”, piosenki Nika Kershawa

*I got it bad
You don't know how bad I got it
You got it easy
You don't know when you've got it good
It's getting harder
Just keeping life and soul together
I'm sick of fighting
Even though I know I should
The cold is biting
Through each and every nerve and fiber
My broken spirit is frozen to the core
I don't wanna be here no more
Wouldn't it be good to be in your shoes?
Even if it was for just one day?
Wouldn't it be good if we could wish ourselves away?
Wouldn't it be good to be on your side?
The grass is always greener over there
Wouldn't it be good if we could live without a care?
You must be joking*

*You don't know a thing about it
You've got no problem
I'd stay right there if I were you
I got it harder
You couldn't dream how hard I got it
Stay out of my shoes
If you know what's good for you
The heat is stifling,
Burning me up from the inside
The sweat is coming through each and every pore,
I don't wanna be here no more.*

*Jest mi ciężko
Nie masz pojęcia, jak mi ciężko
Tobie jest łatwo
Nie zdajesz sobie sprawy, jak masz dobrze
Jest coraz trudniej
Po prostu utrzymać razem życie i duszę
Mam dość walczenia, choć wiem, że powinienem
Chłód przenika każdy nerw i każde włókno
Mój złamany duch przemarzył do szpiku kości
Nie chcę już tu być
Czyż nie byłoby dobrze znaleźć się na twoim miejscu?
Choćby tylko przez jeden dzień?
Czyż nie byłoby dobrze, gdybyśmy mogli pragnąć się
na odległość?
Czyż nie byłoby dobrze być przy tobie?*

*Trawa zawsze jest zieleńsza za płotem
Czyż nie było dobrze, gdybyśmy mogli żyć bez trosk?
Chyba żartujesz, nie masz o tym pojęcia
Nie masz żadnego problemu
Na twoim miejscu zostałbym tutaj
Mnie jest trudniej
Nawet sobie nie wyobrażasz, jak mi trudno
Nie stawiaj się na moim miejscu
Jeśli wiesz, co jest dla ciebie dobre
Upał jest duszący, pali mnie od środka
Pot wychodzi wszystkimi porami, nie chcę już tu być*

Podziękowania

Przy każdej z moich powieści dokumentacja zabiera mi wiele czasu, ale jeszcze nigdy tak dużo jak w przypadku tej książki. Dlatego koniecznie chcę wyrazić wdzięczność osobom, które podzieliły się ze mną swoją wiedzą, swoimi doświadczeniami, swoimi wyznaniem i swoim entuzjazmem. Podziękowania zatem zechcą przyjąć:

Ertzaintza, autonomiczna policja Kraju Basków. A zwłaszcza Josu Bujanda Zaldua, jej szef, i Jon Ziarsolo, dyrektor Centralnego Biura Wywiadu. Dziękuję za Wasze wsparcie i szczerość. Uzyskanie informacji od profesjonalistów z Waszym bagażem doświadczeń, którzy opowiadają o idealizmie i nadziei, na jakich oparto taki twór jak *Ertzaintza*, było dla mnie wielkim przywilejem. A tym bardziej, gdy się przekonałam, że ten duch i ta duma młodego *ertzainy*, który wracał do swojego miasteczka na motocyklu, w nowym mundurze, świeżo po wyjściu z akademii, nadal w Was dominują. Nie zmieniajcie się.

Ertzaina Pedro Gorbea za wysunięcie dla mnie szuflady wspomnień, za bycie uczciwym policjantem i dobrym człowiekiem, a przede wszystkim za pożyczenie mi Euri. Teraz żyje także w moim sercu, a myślę, że wkrótce również w sercach wielu moich czytelników.

Ertzaina Rubén Anidos za to, że kolejny raz był niezastąpionym współpracownikiem i łącznikiem z profesjonalistami, z którymi rozmawiałam z myślą o tej powieści.

Stowarzyszenie Aspace, a zwłaszcza Mari Jose Pousada, pierwsza osoba z porażeniem mózgowym, którą poznałam. Kiedy miałam cztery lata, Mari Jose przesiadywała u nas w domu, moja matka często się nią opiekowała, podczas gdy jej matka była w pracy. W tamtych czasach dzieci z porażeniem mózgowym nie zdobywały żadnego wykształcenia. Pewnego dnia, kiedy mama słuchała, jak czytam z jednej z tych książeczek, z których uczyliśmy się składać wyrazy, przekonaliśmy się, że Mari Jose również się uczy, po prostu mnie słuchając. Wciąż pamiętam łzy jej matki Carmen, kiedy moja mama pokazała jej, jak dziewczynka czyta, rozpoznając każdą z liter.

Javier Pagaza, osoba z porażeniem mózgowym, która prowadzi bardzo ciekawe życie, ma wspaniały charakter i charyzmę tak wielką jak Bilbao. To dla mnie zaszczyt, że mogłam Cię poznać.

Andrés Izarra, jeden ze współzałożycieli Aspace Bizkaia, za informacje dotyczące sytuacji społecznej i ekonomicznej w momencie, gdy postanowiono powołać do życia to stowarzyszenie. Andrés jest ojcem pięćdziesięcioletniego mężczyzny z porażeniem mózgowym, a teraz także moim wielkim przyjacielem.

Psycholożka Lorena Benítez za podzielenie się ze mną swoimi doświadczeniami z osobami cierpiącymi na porażenie mózgowie oraz tym, jak one widzą świat i społeczeństwo, w którym żyją. Dziękuję za Twoją wrażliwość i Twoją cudowną umiejętność komunikacji.

Doktorka Marta Pascual, lekarka rehabilitacji medycznej z ponad dwudziestoletnim doświadczeniem w pracy z osobami z porażeniem mózgowym, za podzielenie się bardziej technicznym aspektem dotyczącym tego, czym jest porażenie mózgowie, i za rzucenie światła na ten temat, o którym wciąż brakuje powszechnej wiedzy. Dziękuję za Twoją pracę.

A także Esther Turrado Monedero, szefowa do spraw komunikacji Aspace Bizkaia; to ona skontaktowała mnie z wszystkimi cudownymi osobami z Aspace, od których tak wiele się nauczyłam.

Dziennikarz César Coca za współpracę przy dokumentacji związanej z Bilbao w dniach poprzedzających powódź z 1983 roku. César podzielił się ze mną własnymi wspomnieniami, wybrał się ze mną na kilka spacerów po Bilbao, pokazał mi idealną kryjówkę, a także udostępnił obszerne archiwum dziennika „El Correo”, wcześniej znanego jako „El Correo Español-El Pueblo Vasco”. Bez Twojej pomocy wszystko byłoby o wiele trudniejsze.

Przedsiębiorstwo żeglugowe MacAndrews w osobie Diega Ruigómeza, dyrektora generalnego Containerships CMA CGM Group. Dziękuję za Twoją życzliwość i podzielenie się tyłoma dobrymi praktykami. Mam nadzieję, że wybaczy mi, iż wykorzystałam Waszą nieskazitelną firmę jako nieodzowny element w mojej powieści, ale sposób, w jaki tworzyście część historii Bilbao, w jakiejś mierze uczynił z Was moje „alibi” dla tej książki.

Doktor Manuel Anguita, wybitny kardiolog, jeden z tych, którzy byli obecni przy tamtej legendarnej pierwszej w Hiszpanii transplantacji zakończonej sukcesem. Były prezes Hiszpańskiego Towarzystwa Kardiologicznego, kardiolog w szpitalu imienia Królowej Zofii w Kordobie oraz święty człowiek ze względu na anielską cierpliwość niezbędną, żeby wyjaśnić zawiłe kardiologiczne zagadnienia takiemu laikowi jak ja. Dziękuję za Twoją pomoc i Twoją przyjaźń. Chylę czoła.

Ramón García, a za jego pośrednictwem wszyscy ci, którzy tworzyli i tworzą radio, za całą muzykę, jaką daliście mi w okresie nastoletnim. Kiedy wszystko zawiedzie, zostaje radio. Chyba nigdy nie zrozumiecie, jak bardzo to było ważne.

Jabi Elortegi, reżyser filmu dokumentalnego *1983. Euskadi inundada* [„1983. Zalany Kraj Basków”], za Twoją wspaniałą i przejmującą pracę, zebranie tak niesamowitych historii jak ta Jona i Miren Elizondo, którzy byli prawdziwymi bohaterami i którzy przeżyli zawałenie się Kasyna Bermeo dokładnie tak samo jak Maite i Begoña w powieści.

Pisarz Ian Rankin, którego poznałam, co ciekawe, przez jego zespół The Dancing Pigs, a później także osobiście podczas festiwalu literackiego Quais du Polar w Lyonie, i któremu dziękuję za powieść *Black and Blue*, bo to ona w 1997

roku naprowadziła mnie na trop Biblijnego Johna. Nie myliłeś się, Przyjacielu: myślę, że on nadal żyje – i jak sam powiedziałeś, nie jest jedyny.

Andrew O'Hagan za wspaniałą książkę *The Missing* [„Zaginieni”], która okazała się kluczowa dla zrozumienia piętna, jakie w szkockiej społeczności odcisnęła obecność (i późniejsze zniknięcie) Biblijnego Johna.

Kolejny raz inspektor policji autonomicznej Nawarry Patxi Salvador, ekspert od balistyki i broni, za pomoc w tej wyjątkowej podróży w czasie.

Pedro García Fernández, antropolog i psycholog specjalizujący się w sprawach wykorzystywania seksualnego, za nieocenioną pomoc w rozwikłaniu niektórych aspektów zachowania Biblijnego Johna, które były potrzebne, kiedy przygotowywałam prawdopodobny profil osobowości tego osobnika. (Żebym nie zapomniała: Pedro jest także znakomitym scenarzystą komiksowym).

Mój przyjaciel pisarz Santiago Posteguillo, za przybliżenie wojennych wyczynów cesarza Konstancjusza. Słuchanie Ciebie nigdy mi się nie znudzi. Dzięki, mistrzu.

Anna Soler-Pont, moja agentka od jedenastu lat. Jestem Ci wdzięczna z wielu powodów: za to, że towarzyszyłaś mi na drodze do każdego z moich celów, nauczyłaś mnie, że ścieżki prowadzące do realizacji marzeń są nieskończone; za to, że nigdy się nie poddasz i że zawsze grasz w mojej drużynie. Razem się śmiałyśmy, wznosiłyśmy toasty, ciężko pracowałyśmy, ale w tym roku także razem płakałyśmy, co unaocniło mi, jak bardzo kochasz swoich autorów i swoje autorki, dzięki czemu czuję, że dopóki mam historie do opowiedzenia, marzenia do zrealizowania i życie do przeżycia, zawsze będziesz moją partnerką.

Bogini Mari. Bo tak trzeba. Jestem jej kronikarką.

TYTUŁ ORYGINAŁU:

Esperando al diluvio

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawczyni: Maria Mazurowska

Redakcja: Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta: Ewa Popielarz

Projekt okładki: Łukasz Werpachowski

Zdjęcie na okładce: © Magdalena Russocka / Trevillion Images

Esperando al diluvio © by Dolores Redondo Meira, 2022

By agreement with Pontas Literary & Film Agency

Copyright © 2023 for the Polish edition by Mova an imprint
of Wydawnictwo Kobiectwo Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Barbara Bardadyn, 2023

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2023

ISBN 978-83-8321-452-8

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Aneta Vidal-Pudzisz